

Barbara Gardner

Proroctwo

Opowieść o Sai Babie

Jest tylko jedna kasta, kasta ludzkości.
Jest tylko jedna religia, religia miłości.
Jest tylko jeden język, język serca.
Jest tylko jeden Bóg i jest On wszechobecny.

Sathya Sai Baba



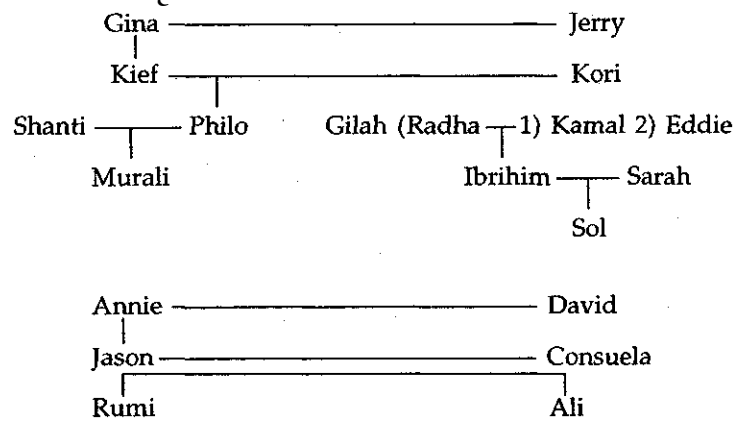
to stan najwyższego oświecenia, wolności, zjednoczenia z Wszechduchem. Także nazwa, jaką nadaliśmy naszej serii książek. Będą to książki skłaniające do refleksji i, jak pragnęlibyśmy tego, inspirujące duchowo. Mamy nadzieję, że każda z nich stanie się chociaż małym krokiem na drodze Czytelnika do zrozumienia.

Dla Sally, Kathleen i Dianne



Sathya Sai Baba

POWIĄZANIA RODZINNE



POWIĄZANIA REINKARNACYJNE

Gina - Gilah (Radha)

Kori - Murali

Philo - John Philo

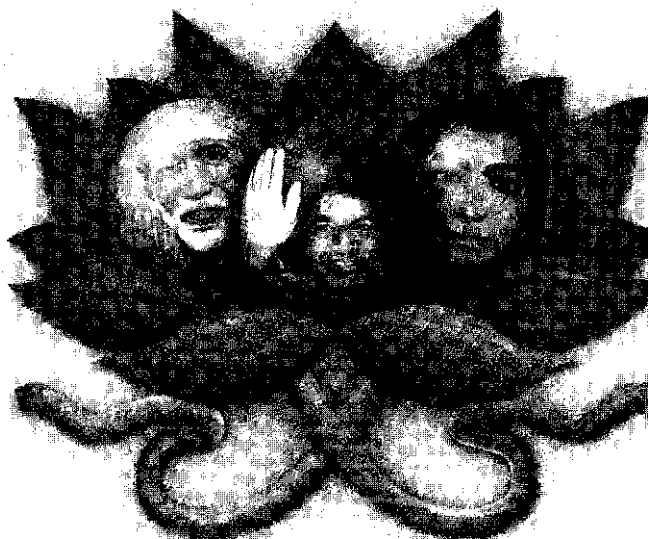
Kief - Sol

Kamal - Rumi

Lakshmi - Shanti

Homer - Ali

PROROCTWO



Opowieść o Sai Babie

Część I

1885, Tasmania

Kiedy kilka szybkich strzałów zakłóciło ciszę gór, stado żółtokich srok uleciało ku najbliższemu kauczukowcowi, a ich czarne skrzydła zaśniły w wiosennej mgle. Oto artyści w uciekaniu, pomyślał Philo Hoffman, jak cała tutejsza fauna odkąd brytyjscy zdobywcy przybyli do Tasmanii. Przesunął na kark korkowy hełm i spoza okularów przyjrzał się śladom widniejącym na ziemi. Pewnie jakiś myśliwy, wzruszył ramionami i ponownie opuścił okulary wracając wzrokiem ku srokom siedzącym na kauczukowcu. Wolał nazywać to drzewo moonah, smakując dźwięk rdzennej nazwy. Philo, którego własna bostońska rodzina nazywała księżycowym marzycielem, od ostatnich dwudziestu lat mieszkał w Azji Południowej i wiódł życie człowieka prymitywnego. Szukał początków człowieka i wierzył, że znajdzie je w języku. Poszukiwał tego czegoś, co sprawiło, że człowiek jest człowiekiem, czegoś, co można by nazwać duszą. Tu, w Tasmanii, niewiele było dusz. To okrutny kraj, powiedział sobie Philo, kiedy zimny powiew wilgotnego wiatru dotknął potu na jego karku. Góry, niedostępne bystre potoki i gwałtowne burze, nie wspominając już o skazańcach i byłych skazańcach, którzy gnieździli się w Hobart, zapchlonej małej stolicy.

Kolejny strzał skłonił go do uniesienia głowy. Zmarszczył ciemne, gęste brwi. Philo był samotnikiem, a w tych górach położonych na południowym krańcu Tasmanii miał nadzieję znaleźć samotność doskonałą. Dostrzegł już pierwszego myśliwego, a kolejnych dwóch schodziło ścieżką znajdującą się jakieś sto pięćdziesiąt metrów od miejsca gdzie stał. Ujadające psy, nie mniej brudne niż ich panowie, biegły z nosami tuż przy ziemi.

Polują na lenah, kangura żyjącego w niskich krzewach, bez wątpienia. Brytyjczycy zawsze ścigali jakieś zwierzę, albo żeby je zabić, albo złapać. Nie mogli po prostu zostawić natury samej sobie, zawsze się do niej wtrącali, budując sobie drogi, pomniki, swoje piekielne więzienia, takie jak to piekło, które odwiedził wczoraj w Hobart, gdzie każdy więzień, który skarżył się na coś, był zmuszany do noszenia żelaznego wędzidla i skórzanego kagańca przywiązanego do głowy. Biedne diabły. Na wolności byli niemal tak paskudni jak rdzenni Tassowie wciąż ukrywający się gdzieś w górach. Philo już miał odwrócić kartkę w notesie, kiedy usłyszał długi, przerażający krzyk, który urwał się tak nagle, jakby ten, kto go wydał, spadł w przepaść.

Poprawiwszy okulary, ujrzał chude, nagie ciało tubylca, Parlevara, jak sami siebie nazywali, pochylonego i niezdarnie usiłującego wspiąć się na górę, aby w ten sposób uciec od myśliwych. Jego skóra była czarna z nieznacznym fioletowym odcieniem, a lewe ramię lśniło czerwienią krwi.

- Szlag by - stwierdził cicho Philo wyciągając pistolet. - Ścigają go jak dingo.

Wypalił w powietrze zwracając uwagę myśliwych na siebie.

- Puśćcie tego biedaka, chłopcy! - zawołał. - Nic wam nie zrobił.

- Pilnuj swoich spraw, Jankesie - odkrzyknął jeden z nich - albo ciebie też wyślemy do piekła Tassów! - wypalił przy tym niedbale w kierunku Phila, i Amerykanin poczuł na karku uderzenia spadających odłamków skalnych. Przywarł do skały i stwierdził, że apelowanie do manier ludzi, którzy ich nie mają, nie ma sensu. Przy odrobinie szczęścia jednak, może uda mu się uratować ранego Parlevara.

Pochyliwszy się, Philo okrążył skałę i ześlizgnął się w dół, w nadziei że przetnie drogę tubylcowi. Gdyby Parlevar miał

dość sił, z pewnością ominąłby tę ścieżkę i poszedł raczej w górę, wspinając się na skałę. Philo widział już wcześniej jak tubylcy to robią. Skały nagle rozstały się pod butami Phila, który ześlizgnął się z sześćdziesięciometrowej wysokości, raniąc przy tym policzek i dłoń w próbie wyhamowania na chropowatej powierzchni skały. Wylądował na szerokiej płacie porośniętej dzikimi trawami i drzewem moonah, którego korzenie za wszelką cenę usiłowały je uchronić przed upadkiem z występu. Potarł dłoń o udo, dotknął policzka, a na dłoni pozostał ślad krwi. Na długiej, ostrej twarzy Phila, było już kilka blizn, więc nie kłopotał się jedną więcej.

Tuż pod sobą usłyszał cichy jęk, a zaraz potem ujrzał czarną dłoń drapiącą skałę w poszukiwaniu oparcia. Zaraz potem za pierwszą ukazała się druga dłoń. Philo usłyszał też mruczenie w narzeczu Parlevarów, a w chwilę potem krzyk rozpacz, kiedy dłonie zaczęły się ześlizgiwać. Philo oparł się o skałę, chwycił obie ręce aborygena i wciągnął go na występ.

Tubylec wtoczył się na półkę i stanął prosto, oczy miał nieruchome i błyszczące.

- Lumeah - wyszeptał. - Odpocznię tu.

- Lepiej poczęstuj się tym - rzekł Philo podsunąwszy mu swoją piersiówkę z brandy. - Musiałeś stracić dużo krwi.

Spojrzał na ranę i pokręcił głową. Kula nie tkwiła w ramieniu, jak mu się wcześniej zdawało, lecz bliżej serca. Philo nie mógł pojąć jak z taką udało mu się wspiąć na wysokość trzystu metrów po pionowej skałe.

Ujście psów idących za krwawym śladem powiedziało mu, że myśliwi są bliżej. Philo pochylił się oceniając jednocześnie twarz Parlevara.

- Musimy iść - powiedział. - Dokąd? Znasz te wzgórza.

- Obróć się - wyszeptał tubylec. - Za pnączami jaskinia. Tam muszę skończyć.

Philo odsunął ciężkie pnącza winorośli o czerwonych i żółtych stożkowatych liściach, i ujrzał ciemny, nieregularny otwór w skale. Zgiąwszy się niemal wpół, wciągnął aborygena do środka, wyszedł z powrotem i otworzył piersiówkę. Psy były już blisko, słyszał jak węszą i parskają. Wylał brandy na ślady krwi, które zostawił po sobie Parlevar i podpalił zapalką brandy.

Ogień rozpalił się, pochłaniając krew i zapach człowieka, kiedy u brzegu półki ukazała się głowa pierwszego psa. Pies zapiszczał i cofnął się. Philo słyszał jak ujadając zbiega ze wzgórza, pociągając za sobą inne psy. Philo ułamał suchą gałąź z drzewa moonah, wetknął ją w ogień i zabrał tę pochodnię do jaskini, zasłoniwszy wejście pnączami.

Parlevar wczołgał się głębiej za róg jaskini. Uniósłszy pochodnię, Philo ujrzał czerwono - czarne malunki na ścianach jaskini przedstawiające ludzi i zwierzęta spleconych ze sobą jakby w akcie miłosnym.

- Połóż pochodnię na ognisku - wyszeptał Parlevar wskazując na krąg kamieni otaczających poczerńiałe kawałki drewna. - Będzie się paliło długo po tym jak odejdę.

Aborygen był starszy niż Philo myślał. Leżał na nagiej skale, a drżące światło rzucało cienie na jego twarz, podkreślając głębokie zmarszczki, jakie powstają kiedy się mruży oczy przed słońcem. Miał pełną twarz i takie same wargi, szeroki i krzywy nos. Philo dotknął sztywnych włosów próbując ukoić ból umierającego. Ukłuły go w dłoń niby drut kolczasty.

- Jak się nazywasz? - zapytał aborygen otwierając nagle oczy. - Z jakiej rodziny i rasy pochodzisz? Jaki jest twój Sen?

- Mój sen? - Philo nie miał pojęcia jak odpowiedzieć na to pytanie.

- Twój Bóg, tak to chyba nazywacie - Parlevar zajęczał i skulił się. - Duch tych, którzy byli przed tobą - machnął niepewnie ręką.

- Zacząłem żyć razem z moim imieniem - odparł Philo, czując jakby nigdy wcześniej tego nie mówił, wsłuchując się w dźwięk tych słów spływających po języku powoli jak mantra. Pytany o rodzinę czuł się dziwnie, gdyż zawsze myślał o sobie jako o profesorze filologii z Harvardu. Nikt nigdy nie pytał go o rasę czy Boga. - Jestem stuprocentowym Żydem - odpowiedział wstydząc się nieco tego, że nic nie wie o wierze swoich przodków poza tym, czego uczył się do barmicwy. - Nie znam Boga, ale sądzę, że jest lepszy niż ja. A ty, przyjacielu, jak ty się nazywasz? Kim jest twój Bóg?

Oddech Parlevara stał się płytki i urywany. Philo obawiał się, że aborygen niedługo umrze. Poznanie Boga tego człowieka wydało mu się nagle bardzo ważne.

- Biali nazywają mnie Jocko, bo żaden z nich nie potrafi wymówić mojego prawdziwego imienia. Tobie je zdradzę - wymruczał wielosylabowe słowo, które natychmiast uciekło nie zrozumiane z pamięci Phila. - A mój Bóg, jak nazywasz Sen, jest tym, który dał początek wszystkiemu. To Stara Kobieta.

Jocko westchnął i wyciągnął rękę przyglądając się jak blask płomienia błądzi między jego palcami.

- Nie mam komu opowiedzieć mojej historii, Philu Hoffman, gdyż jestem ostatnim z mojego plemienia, ostatnim, który zna stare tajemnice. Czy mogę opowiedzieć ją tobie, tak?

Philo czuł jak mu stanęło serce, jakby chciało zatrzymać się na dobre. Zaczerpnął gwałtownie powietrza i zastanowił się czy i on ma tu umrzeć w tej jaskini, której ściany tętniły życiem. Słyszał o bogini, którą Jocko nazywał „Starą Kobieta”. Była tym, kogo mieszkańcy Europy nazywali

Wielką Matką. Jocko nazwał ją starą, ponieważ jego plemię uważało, że starość oznacza moc.

- Tak - odpowiedział. - Opowiedz mi.

- Dawno temu, kiedy wszystkie kontynenty były jednym, moi ludzie już żyli tu, w tym miejscu. Byliśmy pierwszą rasą i to właśnie do nas Stara Kobieta przychodziła każdej nocy, niby matka śpiewająca swym dzieciom do snu. Dała początek światu, a jej imię jest Pra.

- To słowo w starożytnym języku oznacza miłość? - Philo wyjął z kieszeni notes i zaczął pisać.

Aborygen skinął głową i mówił dalej.

- Matka Pra dała początek światu, temu który potrafimy dostrzec naszymi oczami, a także świętemu światu poza nim, który widzimy wtedy, kiedy zamkniemy oczy. Strzeże i opiekuje się obu światami do dziś, a dawno temu, połowę tego czasu, jaki żyje świat, przyszła tu obleczona w ciało. Przyszła jako mężczyzna z sercem kobiety.

- To znaczy Jezus, Żyd z Nazaretu? - pióro Phila zatrzymało się tuż nad notesem.

- Ten sam - Parlevar usiłował skinać, ale jego głowa opadła na bok. Zakaszłał, a w kąciuku warg pokazała się krew.
- Ale to nie była pierwsza Inkarnacja. Ze świata duchów przybywali na Ziemię jej synowie, co każde dwa tysiące lat, aby ocalić ją od zniszczenia. Ona też przyjdzie jeszcze w cieles, ale nie będziemy umieli powiedzieć czy, jest kobietą czy mężczyzną, takie wspaniałe matczyne będzie jej serce w tej Inkarnacji. Bóg jest na Ziemi już teraz, ale ukrywa się.

Tubylec odetchnął ciężko i zamknął oczy. Przygiął nogi do piersi i ułożył się na boku.

- Jocko, powiedz mi - zawołał Philo, zapominając o tym, że nie powinien podnosić głosu - gdzie się ukrywa? Gdzie powrócił na Ziemię? - jego głos odbijał się od malowanych ścian. Philo zastanowił się jak daleko i głęboko sięga.

Stary szaman otworzył oczy i spojrzał głęboko w oczy Phila.

- Jedź do ziemi, gdzie ludzie przestrzegają starych praw, gdzie mężczyźni oddają się uświęconej jedności umysłu i ciała, gdzie kobiety są wcieleniem Starej Kobiety. Szukaj wysokiego, chudego człowieka, który nosi długą białą brodę. Widzę go, kiedy zamknę oczy, w białej sukni, w małej wiosce nad brzegiem morza, Otacza go wielu ciemnych, małych ludzi, jego duchowych dzieci. Nazywa się Ojciec... Baba... imiona są na moim pierścieniu. Weź go, a przed śmiercią oddaj wnuczce swego brata - głos szamana zamarł, jak szczebiot dziecka, które właśnie zasnęło. Odszedł.

Philo dotknął oczu Jocko rytualnym gestem, ale były już zamknięte. Na palcu aborygen nosił złoty pierścień z wygrawerowaną twarzą otoczoną promieniami światła, lecz czy była to twarz kobiety czy mężczyzny, Philo nie mógł zgadnąć. Po wewnętrznej stronie pierścienia wyryto słowa, które z ledwością udało mu się odczytać: Shirdi - Sathya - Prema. Ostatnie dwa w sanskrycie oznaczały Prawdę i Miłość. Pierwsze było nazwą wioski leżącej niedaleko Bombaju. Widział Shirdi na mapie, ale teraz obchodziło go tylko słowo 'dom'. Philo włożył pierścień do kieszeni, posypał twarz starego człowieka prochem i, jako błogosławieństwo, wypowiedział nad nim słowa z pierścienia, jeśli taki człowiek w ogóle potrzebował błogosławieństwa na drogę, w którą się wybierał.

* * *

Santa Barbara, Kalifornia, późny wiek XX

Jak nigdy wcześniej, Gina Hoffman miała ochotę strzelić sobie jednego. Nigdy tego nie robiła, ale miała w domu alkohol na przyjęcie z okazji swoich czterdziestych piątych urodzin oraz na potem. Urodziny będą jutro, a 'potem' wyłaniało się złowieszczo jak długa równia pochyła. Młodość

jeszcze całkiem jej nie opuściła, ale Gina już ukrywała pasemka szarości w swoich gęstych, długich do ramion, kręconych włosach za pomocą środka chemicznego zwanego średni popielaty brąz. Podczas gorszych dni, których ostatnio było coraz więcej, wyglądały bardziej na brudny blond. Kurze łapki, które kiedyś pojawiały się zabawnie, kiedy się śmiała, nie znikwały już, kiedy przestawała się śmiać. Dziś Gina śmiała się niewiele, ponieważ w ostatnim miesiącu nie sprzedała żadnego domu. Recesja zabiła rynek i nikt nie chciał kupować domów.

Od pięciu lat, odkąd odeszła z firmy swego byłego męża i zaczęła pracować na własny rachunek, każdego tygodnia sprzedawała dom, a zeszłego roku zarobiła dość, aby kupić niewielki biurowiec. Udało jej się to zrobić dzięki temu, że pukała do każdych drzwi w każdym domu w Santa Barbara wartym więcej niż dwieście tysięcy i wręczając dziesięć tysięcy swoich wizytówek; matkując każdemu klientowi kupującemu i każdemu sprzedającemu, aż pewnej nocy przyśniło jej się, że ma sto cycków, a z każdego ktoś zwisa. Teraz za to telefon dzwonił rzadko.

Błąd polegał na tym, że sześć miesięcy temu utopiła swoje oszczędności w hiszpańskiej willi stojącej nad brzegiem oceanu, powiedziała sobie Gina postukując ołówkiem z napisem 'RUSZ SIĘ! Zadzwoń do Giny Hoffman, 962 - 3996' o swoje czerwone paznokcie. Złe wyczucie czasu. Gdyby poczekała z kupnem choćby tylko dwa miesiące, cena willi spadłaby o dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Może pięćdziesiąt, zrzędził głosik, który ostatnio zaczął się z nią spierać w czymś, co kiedyś było dobrze uporządkowaną głową. Nie, największym błędem było wynajęcie Jerry'ego Northa, dlatego że był w niej zakochany i dlatego, że wylał go jej były mąż. Jerry miał słabość do młodych par bez grosza,

które pragnęły lepszego domu, niż mogły sobie pozwolić, i którym banki odmawiały udzielania pożyczek.

Gina miała nadzieję, że Jerry poradzi sobie z jej tańszymi ofertami, co pozwoliłoby jej zająć się większymi sprawami. „Zbieraj śmietankę” - to było zawsze jej motto, jej mantra, ale nagle nawet śmietanka się nie sprzedawała. I miała jeszcze spłacić rujnujące ją ubezpieczenie agenta nieruchomości, razem z innymi płatnościami oraz pięćset dolarów kredytu bankowego za jej nadmorską ekstrawagancję.

- Nawróciłabym się, gdyby to miało mi przynieść interes życia - wymruczała Gina, wbijając ołówek (i łamiąc go) w swój bladoczerwony bibularz. - Zaczęłabym się nawet modlić, gdyby to miało coś dać.

Modliła się właściwie parę razy, niezdarnie, a jej modlitwy były jak zardzewiały klucz obracający się w starym zamku. Nic z nich nie wyszło, oprócz tego, że gdzieś tam w głowie słyszała cichy, lecz przekonujący głosik, który mówił, że równie dobrze poradziłaby sobie i bez modlitw. Butelka jest chyba praktyczniejsza, pomyślała Gina gapiąc się przez wielkie okno wychodzące na State Street, przez które miała oglądać kolejnych klientów.

Listonoszka ubrana w spódniczkę mini prawie zupełnie nieprzepisową, która prawie zupełnie nie zakrywała jej pupy, rozmawiała na ulicy z młodą kobietą w poplamionym, workowatym dresie. Dziecko z ciekącym nosem i czerwoną twarzą siedziało niespokojnie na jej udzie, z opuszczonymi ramionami słuchając rozmawiającej matki. To dziecko ma początki przeziębienia, zmartwiła się Gina, czując że zbliża się atak macierzyńskich uczuć. Głupia dziewczucha nie powinna wychodzić z nim w chłodny ranek, i Gina powiedziała jej to, gdyby tu weszła, co ta właśnie zrobiła. Żadna klientka, pomyślała Gina oceniając ją szybko i przesyłając jej

zawodowy uśmiech. Bo gdyby była, zażądałaby apartamentu wartego pięćdziesiąt tysięcy dolarów, i to bez żadnej zaliczki.

- Nazywam się Annie Blake - powiedziała dziewczyna pociągając nosem. Najwyraźniej też była przeziębiona. - Czy ma pani apartamenty za pięćdziesiąt tysięcy dolarów, ale żebym nie musiała dawać zaliczki? - młoda matka siedziała na brzeżku krzesła, które podsunęła jej Gina. - Aha, a tu jest dla pani paczka. Listonoszka jest moją przyjaciółką.

Gina rzuciła okiem na kwadratowy pakunek. Nadeszła ją kuzynka Phyllis Hoffman ze Wschodniego Wybrzeża. Na razie odłożyła ją na bok.

- Nie dostanie pani nic takiego, chyba że jest pani weterynarzem. A tak chyba nie jest. - Zlitowała się nad popiskującym zasmarkanym dzieckiem i dała mu swój łańcuszek od kluczy.

- Muszę coś znaleźć - powiedziała Annie, a w jej błękitnych oczach zaszklily się łzy. - Córka mojej gospodyni przyjeżdża do domu i muszę się wynieść. Wynajmowanie jest bez sensu. Mogą cię wyrzucić, kiedy tylko będą chcieli. Za nic. Tak nie można żyć. - Dziecko upuściło klucze Giny i zawyło odrzuciwszy głowę w tył, i zaczęło kopać matkę w brzuch.

Gina znalazła w łazience czysty ręcznik i chusteczki do nosa, i wzięła dziecko na ręce. Chłopczyk przestał płakać i dał sobie wytrzeć nos.

- Posadzę go na podłodze. Jemu będzie lepiej i my będziemy mogły porozmawiać - stwierdziła Gina wycierając dziecko już drugim ręcznikiem. Tak jak myślała, zasnął natychmiast. - A teraz powiedz mi, Annie, masz jakąś pracę? Jakiekolwiek dochody?

- Trzysta na tydzień, razem z pieniędzmi z opieki społecznej i za pilnowanie dzieci - odparła Annie i pochyliła się konfidencjonalnie ku Ginie ponad mahoniowym blatem jej

biurka. - Pracuję około 60 godzin tygodniowo, ale nie powiedziałam o tym w opiece społecznej.

Gina westchnęła, myśląc że Jerry z pewnością zlitowałby się nad tą dziewczyną, wypisałby prośbę o pożyczkę i walczył o nią w banku. I przegrał, jak zwykle.

- Słuchaj, Annie, mogę ci się postarać o tymczasowy pokój w domu dla samotnych matek. Prowadzi go kościół. Nie wolno palić ani pić, ani przyprowadzać mężczyzn. Chciałabyś?

- Chyba tak - twarz Annie zachmurzyła się. - Właśnie zwolnili mojego chłopaka z pracy u architekta krajobrazowego. Myśleliśmy, że uda nam się kupić jakieś mieszkanie i wziąć ślub.

Znów marzenia. Serce Giny dało znać o sobie, kiedy za okrągłą ziemistą twarzą Annie ujrzała armię młodych rodziców, którzy nie mieli gdzie wychowywać swoich dzieci. Tymczasem ona mieszkała sobie wygodnie w domu z pięcioma sypialniami i jedyakiem, Kiefem, który mieszkał z nią od czasu do czasu, kiedy przyjeżdżał z uniwersytetu. Nie, powiedziała sobie. Żadnego poczucia winy. Zapracowałam na ten dom, nawet jeśli teraz nie mam czasu, żeby go sprzątać. Pracuję sześćdziesiąt godzin w tygodniu. Annie też, odpowiedział jej na to wewnętrzny głos. Zignorowała go i zadzwoniła do schroniska kościelnego. Właśnie zajęto ostatni pokój. Annie siedziała wyprostowana, zniszczone czerwone ręce oparła na kolanach. Zauważ, że nie tylko wykonuje prace domowe, ale też potrafi pilnować dzieci, szeptał zgryźliwie głos.

- W porządku - powiedziała Gina. - Przydałby mi się dozorca i gospodyni. Przyprowadź swojego chłopaka do mnie, dziś koło pół do szóstej i porozmawiamy. Jeśli spodobamy się sobie wzajemnie, będziecie mogli zamieszkać w domku dla gości za sto miesięcznie. Jest tam tylko jedna sypialnia, mała

kuchenka i salonik, ale na razie powinno wystarczyć. Muszę jednak dostać referencje - dodała, jakby chciała pokazać głosowi, gdziekolwiek był, że to jednak ona wciąż tu rządzi.

- Jasne, przyniosę je - Annie pochyliła się, podniosła dziecko i spojrzała na podłogę. - O, Boże, Jason zasmarakał pani śliczny ręcznik - powiedziała. - Wypiorę go i przyniosę dziś po południu, dobrze?

- Dobrze. Tu masz wizytówkę z adresem. Będziecie musieli zadzwonić przy bramie. I zanieś dziecko do ciepłego pomieszczenia zanim dostanie kataru - powiedziała Gina machając Annie na pożegnanie. Kiedy została sama, wsłuchiwała się znów w głos, ten jednak nie odzywał się. Może teraz dręczył biednego, dobrego Jerry'ego. Albo może złapała go od niego jak wirus. Nagle znów go usłyszała: 'Powinnaś nazwać swoje agencję Dom Serca'.

- Och, daj mi spokój - powiedziała głośno. Głos nie ustawał: 'Serce. Biuro handlu nieruchomościami, które daje 10 procent od każdego zlecenia na dom dla bezdomnych matek i dzieci.'

Gina wstała i zaczęła chodzić w tę i z powrotem pod oknem. Czemu nie? Przynajmniej, gdyby przeznaczyła coś na cele charytatywne, głos by się zamknął i dał jej spokój. Może nawet mogłaby zrobić jakiś dodatkowy interes dzięki temu, że розміściłaby swoje reklamy w biuletynach wydawanych przez kościoły i synagogi. W jej głowie już zaczęła rozwijać się kampania reklamowa, usiadła więc i zaczęła projektować logo. Usłyszawszy trzaśnięcie drzwi od samochodu, spojrzała przez okno. Może dobry uczynek już przyniósł jej dobrego klienta. Co jest wokół ciebie, dotyka i ciebie, jak mówią wyznawcy New Age. Gina sądziła, że jest to po prostu inne ujęcie powiedzenia, które mówiło: czyn drugiemu tak, jakbyś chciał, żeby tobie czyniono. A więc spróbuje.

Jerry zbliżał się do drzwi uśmiechając się do niej. W jednej ręce trzymał kontrakt, a drugą zrobił znak zwycięstwa. Dobry omen na nowe plany, pomyślała Gina, jeśli tylko nie jest to kolejna beznadziejna sprawa. Lecz Hoffman Homes miało już swoją renomę. Nie zmieni nazwy. No, cóż, w takim razie, odezwał się głos, który brzmiał coraz bardziej znajomo, niemal jak jej własny głos, zmień reklamę. Umieść serce wokół nazwy i powiedz od razu co będziesz robić dla kobiet takich jak Annie. Gina zrobiła szybki szkic.

- Jerry - powitała go. - Usiądź i rzuć okien na nasze nowe logo.

Poluźnił krawat, jak zwykle kiedy w pobliżu nie było klientów. Jerry był dużym mężczyzną, a jego szerokie ramiona i pierś najlepiej prezentowały się w luźnych blezerach. Siwiejące blond włosy sterczały mu na głowie jak koguci grzebień, gdyż często drapał się podziwiając się światu i zawodowi, którego nie był w stanie pojąć. Miał też łupież głowy spowodowany napięciem nerwowym i przekonaniem, prawdopodobnie właściwym jak sądziła Gina, że lepiej by się sprawdzał jako kaznodzieja czy pracownik socjalny niż sprzedawca. Miał szeroko rozstawione, wciąż zdziwione oczy oraz wielki zaraźliwy uśmiech, który powinien załatwiać więcej spraw niż załatwiał. Kłopot w tym, że za uśmiechem najczęściej szła jakaś uwaga od rzeczy, która sprawiała, że potencjalny nabywca domu wychodził trzaskając drzwiami zanim Jerry zdołał pokazać mu oferty.

- Podoba mi się - stwierdził Jerry studiując logo i słowa pod nim. - Dziesięć procent od każdej sprzedaży idzie na bezdomne matki i dzieci. Świetnie, Gina. Podoba mi się to. Tylko, że najpierw musimy dorwać jakiegoś klienta.

- Więc pokaż mi kontrakt - powiedziała Gina, nagle zakłopotana. Nie wiedziała jak radzić sobie, kiedy ktoś użalał się nad sobą. - Obojgu nam przydałoby się tu jakieś zlecenie. -

Jej oczy szybko prześledziły kolumny cyfr. No tak, świetnie. Kolejne młode małżeństwo, kolejna oferta z pięcioma tysiącami dolarów zaliczki. I poniżej, kolejna oferta dwudziestu pięciu tysięcy dolarów pod listą cen. Westchnęła i odłożyła kontrakt. Nic z tego. - Co, u diabła - wymruczała bardziej do siebie niż do niego. - Bierzemy. Przynajmniej nasz sprzedający będzie wiedział, że pokazałeś komuś jego szopę. Jeszcze dotąd nie mieliśmy wspólnej łazienki w ofercie. - Teraz zgodziłaby się nawet na jedną z tych wścibskich kobiet, które nie mają nic innego do roboty, jak tylko odbywanie wędrowek przez domy innych kobiet. Przynajmniej interes wciąż się kręci. No dalej, powiedział jej wewnętrzny głosik, przyjaźniej odkąd wymyśliła nowe logo, zawsze to coś. Teraz pracujesz dla mnie, pamiętasz? Jesteś moimi rękoma w tym świecie. Czy ja bym cię zawiódł? Gina potrząsnęła głową i pomyślała, że powinna chyba pójść do domu i przespać się. Dwadzieścia godzin pracy bez przerwy i traci zmysły, jak jeniec wojenny poddawany nieustannym wizjom błyskawic wybuchów i huku dział.

- Hej, spójrz na tego Rollsa! - Jerry wstał i zawiązał krawat. - Facet jest dyplomata czy co?

Gina ujrzała wysokiego chudego mężczyznę w elegancko skrojonym, kremowym garniturze. Nosił wielkie, czarne lotnicze okulary słoneczne, miał jastrzębi nos i pociągłe policzki z silnie zarysowanymi liniami smutku. Równo przystrzyżone, czarne wąsy i kozia bródka niemal całkowicie zasłaniały małe, wąskie wargi. Mężczyźni towarzyszył człowiek, który otworzył przed nim drzwi. Inny, ubrany w na wpół wojskowy uniform, stanął obok błyszczącego, czarnego Rollsa. Pieniądze z arabskiej nafty, pomyślała Gina. Mamy go. Święta ciociu Hanno, mamy go w końcu. Kolana jej drżały, ale uśmiechnęła się i skłoniła, wiedząc, że nie należy podawać mu ręki. Ludzie z południowego Wschodu nie lubili,

kiedy dotykały ich obce kobiety, które mogły przecież być rytualnie nieczyste.

- Jerry, siadaj za biurko - wyszeptała wciąż się uśmiechając. - Ty poprowadzisz tę sprawę.

- He? - Jerry zaczerwienił się. - Aha. Proszę usiąść, panie...?

Dobrze, pomyślała Gina. Pamiętał, że Arabowie załatwiają interesy tylko z mężczyznami. Ale Gina usiadła blisko niego, gotowa do pomocy.

- Nazim. - Mężczyzna strzelił palcami i służący wyjął z platynowej papierošnicy ozdobionej rozetą z diamentów długi cienki papieros i podał mu go. - Właśnie przyjechałem z Libanu i natychmiast potrzebuję domu.

- Chce pan wynająć czy kupić, panie Nazim? - zapytał Jerry, wyjmując jednocześnie swoje pióro i kwestionariusz kupna.

Gina kopnęła go mocno.

- Kupić, kupić, nawet nie myśl o wynajęciu! - syknęła.

- Lepszy interes zrobiłby pan kupując natychmiast, panie Nazim - stwierdził Jerry nie mrugnawszy okiem. - Trudno jest znaleźć mieszkanie do wynajęcia o wysokim standardzie.

- Płacę gotówką - rzekł Nazim strząsając popiół w stulone ręce służącego. - Potrzebuję czegoś dużego. Co najmniej pięć pokoi, ma wychodzić w ocean, tak to mówicie? I miejsce przy bramie dla ochrony. Ochrona jest bardzo ważna. Bardzo. - Oddał niedopałek służącemu i ponownie strzelił palcami. Chwyciwszy niedopałek i platynową papierošnicę, służący podał mu pióro i notes oprawiony w skórę. Pan Nazim wypisał czek i wręczył go Jerry'emu. Dwieście tysięcy dolarów dla Hoffman Homes, uwaga - zaliczka, przeczytała Gina ponad ramieniem Jerry'ego.

- Dostarczycie mi dom dziś - rzekł pan Nazim. - Nie muszę widzieć. Wieczorem chcę już mieszkać.

Gina myślała szybko. Żadna z jej ofert nie odpowiadała wymaganiom Nazima. Nie miała nic wolnego. Gdyby zwróciła się do innego pośrednika, straciłaby połowę zarobku. Mogła zrobić tylko jedno. Jej nadmorska ekstrawagancja będzie musiała wystarczyć. Nagle poczuła się lekko, jak gdyby zrzuciła z pleców wielki ciężar.

- Panie Nazim - zaczęła starając się przybrać możliwie głupawy wyraz twarzy. Z filmów wiedziała, że właśnie tego Arabowie oczekiwali od kobiet. - Czy możemy zaproponować panu już umeblowany dom? Z zajmującym się nim małżeństwem z kontraktem na pół roku?

- Tak, tak, ale wszystkie rzeczy osobowe mają być zabrane z domu przed ósmą dziś wieczór - Nazim wstał. - Ja przychodzę za godzina podpisać papier. Przygotować.

Gina nagryzmoliła szybko kilka słów, które podsunęła nieznacznie Jerre'emu.

- E... panie Nazim - zaczął Jerry - Cena domu wynosi milion trzysta tysięcy dolarów plus sto tysięcy za umeblowanie. Czy mógłby pan zapłacić jeszcze dziś?

- Gotówka, kiedy ja wrócę podpisać papier. - Skłonił się lekko Jerry'emu, zignorował Ginę i wyszedł.

Oboje nie poruszyli się póki za Arabem nie zamknęły się drzwi, dopiero potem zaczęli skakać i wiwatować.

- Gotówka! - darł się Jerry. Chwycił Ginę w pól i podniósł ją do góry. - Znów żyjemy!

- Żadnego więcej spłacania domu! - krzyknęła Gina, wymachując nogami w powietrzu. - Żadnego więcej domu - zatrzymała się w pół obrotu i zmarszczyła brwi. - Zadzwoń do Rainbow Movers - powiedziała.

- I załatw mi wynajem tej klitki na Olive Street. Mam w planie szybką przeprowadzkę.

Gina postanowiła, że zabierze z sobą tylko swoje stare meble z pokoju wypoczynkowego, a zostawi wciąż nie

splacone neohiszpańskie śmiecie. Jutro zapłaci firmie Nordstrom osiemdziesiąt tysięcy za meble, a pojutrze będzie mogła wziąć sobie wolne i pójść do ogrodu botanicznego. Była wolna. Nagle znów usłyszała cichy głosik. Jesteś winna trochę grosza matkom i dzieciom, powiedział, nie zapominaj o tym. Kiedy splacę dom, pomyślała, kiedy zakończę tę sprawę, dostaną swoje pięćdziesiąt tysięcy. Obiecuję. Pierwszy raz odkąd pół roku temu przeprowadziła się, Gina czuła, że znów należy do siebie samej.

- Zabieram cię na lunch - zakomunikowała Jerry'emu.

- Ty stawiasz szampana. Świętuję moje urodziny dzień wcześniej. - Wepchnąwszy pod ramię paczkę od kuzynki Phyllis, wywiesiła w oknie napis „Przepraszamy” i zamknęła biuro na resztę dnia. I wcale nie miała zamiaru za to przeproszać. Dochód z kupna, nawet po odjęciu wszystkich podatków i - pięćdziesięciu tysięcy dla bezdomnych mam, dodała w myślach, aby uspokoić głosik - wynosił około pół miliona dolarów. Hoffman Homes wrócił do interesu. Jej eks się to nie spodoba.

* * *

Jerry North, odrodzony chrześcijanin, nie był przyzwyczajony do szampana i głowa ciążyła mu nieznośnie. Gdyby Gina nie nalegała, z przyjemnością napiłby się wody mineralnej. Lecz kiedy błękitne oczy Giny zaczęły błyszczeć i kiedy zaczęła bawić się jego dłońmi ponad blatem stołu, poddał się, jak zwykle. Homer Healey, duszpasterz, powiedział mu, że nie powinien chcieć poślubić Żydówki, ale, jak powiedział św. Paweł, lepiej się ożenić niż spłonąć. Jerry płonął dla Giny, więc nie od razu zrozumiał cytata.

- Nie zrozum mnie źle - mówił Homer Healey. - Jestem wielkim zwolennikiem Izraela. Wielkim. Ale Żydzi i chrześcijanie nie powinni pobierać się.

- A to dlaczego? - Jerry nigdy o tym nie myślał, gdyż Gina nie była religijną osobą. Szeroka, o wydatnych wargach twarz Homera zaróżowiła się lekko. Przeżywał konflikt między wiarą płynącą z Biblii, że dzieci Izraela należą do Syjonu, a przekonaniem, że jego własna wiara jest lepsza niż ich. Ale Jezus był przecież Żydem, zastanowił się Jerry, więc problem jest w zasadzie nie do rozwiązania. Nagły rumieniec wielebnego Healey'a był znakiem moralnego spięcia, które tylko łaska subtelnej inteligencji potrafiła rozwiązać, lecz łaski tej Pan najwyraźniej poskąpił wielebnemu Healey'owi. Sam się do tego przyznawał, twierdząc że od Boga pragnął jedynie wiary, nadziei i miłości.

- No, cóż - Healey wziął do ręki Biblię i odłożył ją z powrotem, oszczędzając Jerry'emu kolejnego cytatu. - Dzieci. Nie znajdą swojego miejsca.

- Gina nie może już mieć dzieci - wyjaśnił Jerry, chcąc oszczędzić wielebnemu moralnej rozterki. - Ma menopauzę.

Healey spuścił oczy, a róż jego policzków zmienił się w szkarłat. Kiedy występował w telewizji, musiał zawsze nakładać grubą warstwę pudru, aby widzowie nie pomyśleli, że jest „po użyciu”. Problem tkwił albo w ogromnej wrażliwości skóry, albo sumienia, z czym zgadzali się jego parafianie i nauczyli się nie zauważać gwałtownych rumieńców wielebnego Healey'a.

- Przyszedłeś do mnie nie tylko z powodu małżeństwa? - stwierdził Healey, dotykając lekko opuszkami palców czarnej, chropowatej oprawy Biblii i złotych liter.

- Przyniosłem moją dziesięcinę - powiedział Jerry kładąc na stole czek - tysiąc dolarów. Ubiliśmy dziś w Hoffman Homes złoty interes. Chwała Panu!

- Chwała Mu i cześć - wyszeptał Healey składając ręce jak do modlitwy i patrząc na leżący między nimi czek.

Jerry i kilka innych osób z rady kościoła wiedziało, że marzeniem Healey'a było wybudowanie świątyni ze szkła, która mogłaby rywalizować z kryształową katedrą w Los Angeles. Z takiego amfiteatru światła mógłby wtedy wygłaszać kazania dla zagrożonych wiecznym potępieniem mas. Homer Healey wiedział, że potrafi służyć Bogu lepiej niż ten nadęty i sztuczny krzykacz, który zawsze podczas modlitw w telewizji miotał się, pocił i tupał. Jezus zdobywał serca ludzi przemawiając cicho słowami miłości, które mówiły grzesznikom, że znajdowali się w czułych objęciach Boga. Przed kamerą zachowywał się spokojnie, nie musiał się specjalnie przygotowywać, zachowywał 'zimną krew', którą lubiła kamera, jak mu powiedział producent. Szkoda, dodał ów producent, że mały, szary kościół Healey'a wyglądał jak klasa szkolna, jakby żywcem wyjęta z jakiejś szkoły w trzecim świecie. Z makijażem ukrywającym jego skłonność do rumieńców twarz i szklaną świątynią wychodzącą na ocean, Healey mógłby się dostać do pierwszej ligi kaznodziei występujących w programach nadawanych w niedzielne poranki. Można by wtedy uratować wiele dusz, dusz; których pragnął Jezus. Włożył czek Jerry'ego z nabożeństwem do Biblii niby zakładkę.

- Niech cię Bóg błogosławi, Jerry - powiedział, a jego głęboki bas drżał. - Sprawileś, że królestwo niebieskie zbliżyło się o krok do Ziemi.

Całe życie Homera było jak zdalnie sterowany pocisk zmierzający ku Paruzji, ekstatycznej chwili nadejścia Jezusa na obłoku i rozpoczęcia jego tysiącletniego panowania. Healey wiedział, że ta chwila zbliża się. Mnożyły się wojny i pogłoski o wojnach, trzęsienia rozrywały powierzchnię jęczącej Ziemi, która czekała uwolnienia od grzechu i śmierci. Jego serce drżało i płonęło na myśl o tym, że tylu grzeszników zostanie zgubionych tego cudownego dnia, cudownego dla

owieczek bożych. Modlił się, a łzy napływały mu do oczu, kiedy mówił o tych biedakach, którzy nigdy nie ujrzą Boga, którzy nigdy nie dołączą do Niego w niebie. Dlatego właśnie musiał zbudować szklaną świątynię i przekazać ludziom swoje posłannictwo. Ciężko pracował nad przebudzeniem dusz dla królestwa niebieskiego, jak to Jerry opowiadał Ginie Hoffman, która śmiała się nerwowo, niepewna czy kochany, łatwowierny Jerry nie stroił sobie z niej żartów.

Sekretarka zapukała i otworzyła drzwi zanim Healey zdołał odpowiedzieć.

- Jakiś arabski szejik przyjechał - wyszeptała z ręką na gardle. - Natychmiast, powiedział. Przyjechał Rolls Roycem. Z ochroniarzem, nie mogę w to uwierzyć!

- Nazim - Jerry podskoczył do okna, aby obejrzeć samochód. - To nasz klient. Ma jakiś rurociąg na Środkowym Wschodzie. Ropa wlewa się jednym końcem, a drugim wychodzą pieniądze.

Healey poderwał się tak gwałtownie, że przewrócił krzesło, a jego twarz zapłonęła nagłym objawieniem.

- Alleluja! Bóg przysłał go do nas. Wprowadź go. Nie, Jerry, nie wychodź. Jesteś członkiem rady i znasz tego człowieka. Zostań.

Jerry skłonił się Nazimowi i czekał póki Healey nie posadzi Araba w fotelu klubowym. Nazim wyraził zgodę na obecność Jerry'ego dopiero wtedy, kiedy Healey przekonał go, że ten zajmuje znaczną pozycję w kościele i musi pozostać.

Nazim strzelił palcami na znak, że chce zapalić, ignorując napis „Dziękuję za niepalenie” stojący na biurku Healey'a, i ochroniarz z platynową cygarnicą zrobił krok naprzód. Zaciągnąwszy się niespiesznie, Arab spojrzał na Healey'a.

- Dobrze mówisz w telewizji - zaczął. - Czemu jeszcze nie masz swój własny show?

Kariera telewizyjna, obok Paruzji, była ulubionym tematem Healey'a. Sprawiał mu przyjemność fakt, że ten egzotyczny, grzeczny obcokrajowiec poruszył go.

- Dziękuję panu. Czekam tylko aż skończę budować naszą szklaną świątynię. Czy słyszał pan o naszej świątyni?

- Słyszałem. - Nazim strząsnął popiół do stulonych dłoni ochroniarza, który wyrzucił go do kosza na śmieci. - Wiesz o syjonizmie wśród mówców telewizyjnych twojej wiary? Skandal, tak?

Jerry spojrzał niespokojnie na Healey'a. Na jego policzkach zaczęły ukazywać się purpurowe plamy. Gdyby duchowny zgodził się z Nazimem, musiałby podważyć swoją solidarność z innymi popierającymi Izrael duchownymi. Gdyby przyznał się do syjonizmu, jego szklana świątynia pozostałaby w sferze marzeń. Purpura zniknęła z policzków, a duchowny uspokoił się.

- To prawda, że Związek Mediów Ewangelickich oficjalnie zaaprobował syjonizm - stwierdził stuknąwszy lekko w Biblię. - Lecz nie wszyscy zgadzają się z nimi. To znaczy, z całego serca. - Jego duże, jasnoszare oczy, które w blasku reflektorów błyszcząły niby oczy świętego, były utkwione w twarzy Nazima w próbie rozszyfrowania go.

- Nie będę owijał w bawełnę - rzekł Nazim prostując nogi i kładąc ręce koloru kości słoniowej na nienagannie odprasowanych kantach spodni. - My na Środkowym Wschodzie chcielibyśmy, żebyście wy natychmiast przestali popierać. Nie chcemy więcej biblijnej gadaniny o tym, że Palestyna jest krajem Żydów. To kraj Arabów, tam tylko Arabowie, Inshallah.

Nazim musnął ręką swoje gęste, czarne wąsy. Jerry zauważył, że drżą mu ręce. Jerry wiedział, że kiedy Arabowie raz zdobędą jakiś kraj dla islamu, nigdy więcej go nie oddadzą. Uświęcona islamem ziemia nie mogła już wrócić do

swych historycznych mieszkańców, to byłoby świętokradztwem, bluźnierstwem wobec Allana. Ciemne oczy Nazima błyszczą opalizująco, a tęczęwki były tak czarne jak źrenice.

- Sądzi pan, że mógłbym wywrzeć nacisk na związek, aby zaprzestał popierać Izrael? Panie Nazim, ja jestem nikim. Zaledwie głosem wołającym na pustyni. - Healey nie wspomniał, że jego głos nie raz wołał o pomoc dla Izraela. Stuknął palcami w Biblię i przełknął ciężko.

- Jak będziesz miał szklaną świątynię - zaczął Nazim strzelając palcami po notes - będziesz mógł wpływać. Prawda?

- Owszem, tak - stwierdził Healey. Palce miał tak spocone, że zostawiały mokre ślady na okładce Biblii. - Ale nie będę w stanie...

Nazim wręczył mu czek.

- Zacznieś budować. Dam ci pożyczkę. Będziesz mówił dla nas, przeciw syjonizmowi, pożyczka spłacona za ciebie. Większy wpływ, więcej mówić dla nas, wtedy więcej spłacać pożyczki. Wiesz co robić? Czy zwracasz pieniądze? - wyciągnął rękę.

Wielebny Healey zapatrzył się w czek, potem pokazał go Jerry'emu. Dziesięć milionów, westchnął Jerry. I jeszcze więcej, jeśli będzie za mało. Nieskończenie więcej. Widział, jak pulsuje żyła na skroni Healey'a, jak czerwienieje jego twarz. Załatwione, powiedział sobie. Nie jestem wielkim sprzedawcą, ale wiem, kiedy kupujący daje się złapać na haczyk. Homer Healey właśnie zerwał z głoszeniem ewangelii syjonizmu.

- Jest pan zbyt hojny, panie Nazim - powiedział ściskając rękę Araba. Jerry pomyślał, że jest gotów ją ucałować, ale Healey tylko ujął ją w swoje obie dłonie, jakby chciał z niej wycisnąć jeszcze jeden czek. - Zrobię to, o co pan prosi. Dyskretnie, oczywiście. Zbyt nagły zwrot w zapatrywaniach

postawiłby moją wiarygodność pod znakiem zapytania, gdyż wszyscy wiedzą, że popieram Izrael, rozumie pan.

Nazim wstał.

- Będziemy cię obserwować - powiedział, jednocześnie gestem nakazując swojemu ochroniarzowi, aby otworzył drzwi. - Masz gotowe plany swojej świątyni? Tak? To zacznij od razu. Nie chcemy marnować czasu. - Zignorował ich ukłony i wyszedł. Pozostał po nim lekki zapach pizma w powietrzu.

- Ta świątynia jest wolą Boga - rzekł Healey cicho, nie patrząc na Jerry'ego. - Muszę cię prosić, abyś nie ujawniał źródła tych pieniędzy.

- Nikt w kościele nie usłyszy o tym ode mnie - Jerry nigdy nie złamałby obietnicy, ale sformułował ją tak, że nie zgrzeszy, kiedy opowie o wszystkim Ginie Hoffman.

* * *

Tego samego popołudnia Gina przerwała pakowanie swoich rzeczy 'osobowych', jak nazwał je Arab, i otworzyła paczkę od kuzynki Phyllis. W środku była jeszcze jedna paczka zawinięta w brązowy, poplamiony i zmięty papier, oraz list od Phyllis. List był krótki; kuzynki nigdy nie były sobie bliskie. Gina szybko przebiegła przez niego wzrokiem, chcąc czym prędzej wrócić do pakowania francuskich kryształów do win. Phyllis przysłała jej paczuszkę z listami od jej dziadka, czyli stryjecznego dziadka Giny, Phila. Z jakiegoś powodu Philo chciał, aby po jego śmierci te rzeczy dostały się Ginie. Z trudem przypomniawszy sobie wychudzonego starca o błyszczących oczach i cichym głose. Posadził ją sobie na kolanach, kiedy miała pięć lat, a jej się wtedy wydawało, że on jest stary jak świat.

- Więc to ta dziewczynka - powiedział wtedy. - Zapamiętam ją.

Wtedy jej rodzina sądziła, że zapamięta ją, aby ją umieścić w swoim testamencie, gdyż posiadał znaczną fortunę. Lecz jego pieniądze poszły na dobroczynność, a pozostały tylko te listy. Zarządził, aby dostała je w dzień swoich czterdziestych piątych urodzin.

Gina otworzyła powoli paczkę. Sztywny brązowy papier zwijał się w dłoniach. Na samym wierzchu stosiku pożółkłych listów, przywiązana do nich zmiętą wstążeczką, ozdobiona wschodnioindyjskimi wzorami, leżała mniejsza paczuszka owinięta cienką bibułą. Wewnątrz znajdował się złoty pierścień z wygrawerowaną małą twarzą i jakimiś słowami w obcym języku, których nie potrafiła odcyfrować, oraz list, który napisał do niej jej stryjeczny dziadek. Pierścień pasował na jej serdeczny palec, który pozostawał niczym nie ozdobiony od pięciu lat, czyli od czasu rozvodu. Gina założyła pierścień, zastanawiając się nad znaczeniem słów. Może list wszystko wyjaśni. Przeczytała go szybko, szukając tłumaczenia słów. Philo mówił tylko, że pierścień dał mu umierający aborygen, który umarł na jego rękach w Tasmanii. Człowiek ten powiedział, że pierścień ma dostać Gina.

- Jak mógł coś takiego powiedzieć? - Gina pociągnęła nosem. - Nawet się wtedy jeszcze nie odrodziłam. Wujek Philo musiał być wariatem, wszyscy tak mówili.

Listy były wysyłane z Shirdi w Indiach, leżącego niedaleko Bombaju, czego dowiedziała się ze swego szkolnego atlasu. Z samej ciekawości otworzyła pierwszy i zaczęła czytać. Philo pisał, że odnalazł świętego człowieka, o którym mówił mu ostatni Tasmańczyk, nazywanego Baba, co znaczy 'ojciec'. Żył w małej chatce w otoczeniu niewielkiej grupki wyznawców, którzy przychodzili do niego każdego ranka po błogosławieństwo. Starzec był wysoki, miał białą brodę, taką jaką nosił dziadek Phila, ten który wyemigrował do Palestyny, jak sobie Gina przypomniała. Był bardzo

pobożny i dowcipny. Jednakże Baba Phila wyglądał na surowego ascetę, który pouczał swoich wyznawców, że muszą zapomnieć o wszystkich swoich światowych pragnieniach.

Gina znów pociągnęła nosem i odłożyła list spojrzawszy na swoje, wciąż czekające na zapakowanie francuskie kryształki. Może hinduski aśram był właściwym miejscem dla wujka Philo, pomyślała, ale zwyczajny świat był jedynym światem, jaki znała ona. Przez chwilę poczuła ukłucie bólu na myśl o tym, że straciła swój neohiszpański dom i meble. Niewielki domek na Olive Street był upokorzeniem. Przyjaciele będą jej współczuć, a Gina nienawidziła współczucia. Znów wzięła do ręki list Phila. Ten Baba powiedział mu, że ma żyć prosto, powrócić do ojczyzny, żyć modlitwą i pomagać biednym. Sam Baba był wielkim uzdrowicielem, a Philo, na własne oczy widział jak uzdrawiał chorych. Jednakże tylko niewielu potrafiło żyć w niezwykle surowej dyscyplinie, jaką sobie narzucił i grupka jego naśladowców pozostawała niewielka.

- Ja bym stamtąd uciekała jak strzała - wymruczała Gina odwracając stronę. - Nie ma mowy o spaniu na brudnej podłodze. I biciu kijem, kiedy poproszę o hamburgera. - Ale Philo pokochał 'Shirdi Babę', jak nazywano starego człowieka i wziął sobie do serca jego słowa, jak Mojżesz słuchający na Górze słów Boga.

Oddawał jej pierścień, pisał, ponieważ Shirdi Baba powiedział, że ona z kolei ma go dać swemu pierwszemu wnukowi, a on zaprowadzi go do domu.

- Wnukowi? - Gina wzruszyła ramionami. Nie miała przecież żadnego wnuka. Jej jedyny syn, Kief, miał dwadzieścia siedem lat i nigdy nie zainteresował się poważnie żadną kobietą. Był subtelnym profesorem uniwersytetu, który swoje szabasy spędzał czytając inskrypcje na egipskiej pustyni. Była przekonana, że jest homoseksualistą. Ów

niemożliwy wnuk, według Phila, to będzie on sam, odrodzony i błogosławiony, bo będzie żyć w czasach, kiedy Baba znów przyjdzie na ten świat, aby go zmienić.

- Bez przesady - mruknęła Gina wrzucając list z powrotem do pudełka, które miało spocząć razem z innymi 'rzeczami osobowymi' w piwnicy domu przy Olive Street. - Bujać to my, wujku Philo. Nie żyjesz i koniec. - Ale nie zdjęła pierścienia z palca.

Kiedy szukała pudła dość wielkiego, aby pomieściło jej kryształową, wykończoną srebrem misę, rozdzwonił się telefon. Kief, jej syn, dzwonił ze swojego uniwersytetu w Santa Cruz.

- Zgadnij co się stało, mamó - zaczął swoim miękkim barytonem. - Pamiętasz tę szwedzką archeolożkę, z którą miałem romans w Egipcie w zeszłym roku? Właśnie dostałem od niej telegram. Wychodzi na to, że mamy syna. Nazywa się John Philo. Dziś przylatują.

- Philo? - Gina wypuściła z rąk kryształową misę, która roztrzaskała się na podłodze wyłożonej meksykańskimi płytkami. - Dlaczego Philo?

- Ponieważ po grecku to oznacza miłość, a on się urodził w Grecji. Matka ma na imię Kori. Nie wyjdzie za mnie, bo jestem od niej osiem lat młodszy. Przyjedziemy do ciebie w piątek, jeśli nie masz nic przeciwko temu. - Mówił szybko, jak zwykle, bojąc się może, że przerwie mu, jeśli tylko da jej szansę.

Mógł mi powiedzieć wcześniej o tej kobiecie, pomyślała Gina odkładając słuchawkę. Nie należała do matek, które bez przerwy pouczają dzieci. Właściwie byłaby nawet zadowolona. Kief nie miał nikogo od tak dawna! A teraz ten wnuk noszący imię Phila. Dotknęła pierścienia na palcu i postanowiła, że przeczyta pozostałe listy stryjecznego dziadka. Zdaje się, że ten Shirdi Baba wiedział to i owo.

Telefon zadzwonił ponownie, lecz tym razem była to Annie. Kilka minut później Annie i jej mała rodzina zajechała przed dom bladoniebieską, poobijaną półciężarówką. Pierwszy wysiadł wysoki, niezgrabny młody człowiek. Jasnobrązowe włosy miał związane w kitkę, która była zaskakująco gruba, zważywszy że czubek głowy był łysy. Annie dźwigała małego Jasona na biodrze. Podąga Ginie oślepiająco biały, złożony ręcznik.

- Proszę - uśmiechnęła się. - Wyprałam go na plaży i wysuszyłam na słońcu. Czy jest dość czysty? To jest David. Jest o wiele silniejszy niż wygląda.

- Dojdzie do siebie, jak go trochę odkarmisz kartoflami i stekami - stwierdziła Gina wyciągając rękę.

- Jestem weganem, pani Hoffman - zawiadomił ją młody człowiek. - Nie jem nawet jajek. - Ale uśmiechnął się, a ona mogła się przekonać, że przynajmniej ma wszystkie zęby.

- To fatalnie. Bo moglibyście tu trzymać drób. Za domkiem dla gości jest kojec.

Poprowadziła ich ścieżką wyłożoną płytkami kamiennymi, ocienioną jaskrawoczerwonymi bugenwilami, których gałęzie stykały się łukiem nad głowami przechodzących.

- Domek jest blisko głównego domu - powiedziała Gina. Możecie nie mieć wiele prywatności. Chodziło o to, żeby był to domek bardziej dla dozorców niż dla gości.

Zatrzymała się przed niskim białym, pokrytym stiukiem budynkiem, który przecinały szare linie pęknięć powstałych podczas ostatniego trzęsienia ziemi.

- Panuje tu mały zaduch - ostrzegła Gina - ale kiedy otworzycie okna i francuskie drzwi na małe patio, zapach zniknie.

Weszli za nią do środka i spojrzeli na pochylone sufity i kominek. Wielki, błękitny ptak przysiadł na parapecie i

przyglądał im się, a lekki wiatr kołysał pięknymi kwiatami hibiskusa nad jego głową.

Annie usiadła przy okrągłym, drewnianym stole kuchennym, zwiesiła głowę i zaczęła płakać.

- Co się stało? - Gina w pośpiechu otworzyła okna, próbując wywietrzyć mieszkanie. - Wiem, że mogłoby tu pachnieć lepiej.

- To nie o to chodzi. - Annie wytarła oczy rękawem. - Tu jest tak ładnie. Nigdy nie myślałam, że moglibyśmy mieć taki ładny dom.

David poklepał ją po ramieniu i zabrał od niej dziecko.

- Będziemy się nim dobrze opiekować, pani Hoffman - powiedział. - Swego czasu zajmowałem się ogrodnictwem i naprawami. - Spojrzał na zdjęcie stojące na stoliku, a potem znów na Ginę. - Ma pani oczy. To syn? - zapytał.

- Tak, Kief Feuerstein. Nosi nazwisko ojca - odparta biorąc zdjęcie do ręki i przypatrując mu się przez chwilę. Potem włożyła je do torby. - Miał wtedy brodę, był na wykopaliskach.

Położyła umowę na stole.

- Muszę wam coś powiedzieć. Będziecie pracować dla kogoś innego. Właśnie dziś sprzedałam ten dom pewnemu Arabowi. Wprowadza się dziś i zgodził się zatrudnić was na pół roku. Nazywa się Nazim. Będzie rozmawiał tylko z Davidem. Nie wolno wam tu trzymać żadnego alkoholu. I nie mówcie mu, że nie jesteście małżeństwem. Może być jednym z tych fundamentalistów.

Jak pan Healey Jerre'ego, pomyślała wracając do głównego domu. Nie potrafiła zrozumieć niektórych ludzi i czuła się niepewnie, kiedy Jerry próbował jej wyjaśnić dlaczego istniała tylko jedna prawda i wszyscy powinni w nią uwierzyć albo spłonąć w piekle. Jego wyjaśnienia zawsze wypadały blado; być może Jerry był zbyt dobrym

człowiekiem, aby samemu w nie uwierzyć. A może jego też żenowało to, że kościół skazuje naród Giny na potępienie.

Gina przypomniała sobie wizytę u swojego ortodoksyjnego wujostwa, mieszkających na wzgórzach Galilei, gdzie gałąź rodziny, z której pochodził Philo mieszkała od stuleci. Zawsze zachowywali szabas, więc będąc z nimi Gina też musiała go zachowywać. Obserwowała mężczyzn kłaniających się zwojowi Tory w sobotnie poranki. Ciotka Hanna kazała Ginie szukać na ulicach Zefat obcych, którzy mogli nie mieć gdzie zjeść szabasowej kolacji i zapraszać ich do domu. Arabowie z Zefat spalili dom Hoffmanów w roku 1948, kiedy Odłam Palestyński zwrócił Arabów i Żydów przeciw sobie. Lecz jej rodzina uciekła przez góry do Tyberiady. Ukrywali się tam przez tydzień, póki żydowscy syjoniści nie przejęli Zefat z powrotem. Tym razem to Arabowie musieli uciekać. Odtąd nigdy już tam nie wrócili.

Ten Nazim, pomyślała niespokojnie Gina wrzucając ostatnie z jej 'rzeczy osobowych' do błyszczącego ciemnozielonego Volvo, miał smutne spojrzenie człowieka wygnanego z ziemi swoich przodków. Najprawdopodobniej nie kupiłby tego domu, gdyby wiedział, że Gina jest Żydówką. Musi ostrzec Jerry'ego, żeby mu o tym nie mówił. Zamykając po raz ostatni rzeźbione drewniane drzwi hiszpańskiej posesji, Gina zatrzymała się i spojrzała na zachodzące słońce i niebo czerwieniejące na zachodzie. Woda w marmurowej fontannie, którą zostawiła włączoną, mruzczała cicho i odbijała promienie słońca, a opadając rozбивała je na refleksy światła. To też przeminie, powiedział głos wewnątrz niej, dotrzymując jej towarzystwa. Zapomnisz. Czeka cię jeszcze wiele radości. Wiele. Gina pokręciła głową, ale patrząc na pierścień uśmiechnęła się. Olive Street nie będzie taka zła. Była wolna.

Jerry czekał na nią w saloniku nowego mieszkania. Przygotował stek i kukurydzę na grillu, a sałatka czekała już na stole.

- Za ciebie - powiedział, a jego spojrzenie mówiło, że chciałby zostać na noc. - Za nowy dom i za dobry interes, i za nas.

Po posiłku, kiedy pili wino, Gina spojrzała na Jerry'ego ponad płonącymi świecami.

- Ten Nazim - zaczęła - niepokoi mnie. Po co tu przyjechał?

- Tak się składa, że wiem - powiedział Jerry. Wstał przy tym i dorzucił polano do ognia. - Przyjechał dziś do biura Homera Healey'a. Ubili interes znacznie większy od naszego.

- Nic nie mów. Chce kupić twój kościół i zamienić go w meczet. - Usiadła na starej sofie stojącej przed kominkiem. Iskry z płonących polan strzelały w górę i lądowały na kamiennej płycie przed kominkiem.

- Niewiele się pomyliłaś - stwierdził Jerry siadając obok niej. Wyciągnął ramię wzdłuż oparcia sofy i dotknął lekko jej szyi. - Przekupił wielebny Homera. Teraz Healey ma rzucić Izrael i zacząć cicho popierać Arabów.

- Rozumiem - Gina postawiła kieliszek na stoliku i objęła rękami kolana. - Chodzi o to, żeby zwrócić duchownych przeciwko Izraelowi, aby nikogo w Ameryce nie obchodziło, kiedy Arabowie przejmą Palestynę. - Ignorując ciepłe ramię Jerry'ego, wstała i zaczęła chodzić nerwowo przed kominkiem. - Kiedy zdarzy się kolejny pogrom, Żydzi nie będą mieli dokąd uciekać. Będą paleni w synagogach, jak zawsze.

Choć od lat nie myślała o pójściu do szul czy spoglądaniu zza zasłony w synagodze na mężczyzn w białych modlitewnych szalach pochylających się w rytm modlitwy, teraz przyszło jej to wszystko na myśl. Niespodziewane

wspomnienia przeniosły ją do maleńkiego saloniku wujka Chaima w Zefat, którego balkon zwieszał się nad wąską, brukowaną uliczką. Na każdym balkonie suszyły się na słońcu ręcznie prane tsizsit. Przypomniała sobie, jak wszystko ogarniał spokój, kiedy słońce zaczynało zachodzić w piątkowy wieczór, a wszyscy spieszyli się, aby zdążyć z pracą zanim słońce ostatecznie schowa się za górami. Ciocia Hanna wyjmowała z pieca chleb challah, przykrywając go wyszywanym płótnem, tak że wyglądał jak prezent. Wnuki dały papier toaletowy na kawałki, które wkładały je do plastikowych pojemników stojących obok toalet, bo w święty dzień nie wolno było nawet drzeć papieru. W końcu nie pozostawało już nic do zrobienia jak tylko zacząć jeść i modlić się, a wtedy ciocia Hanna zapalała szabasowe świece, zakrywała rękoma oczy, aby pozostać w ciemności modlitwy i wymawiała prastare słowa: „Baruch atah adonai, elohainu melech ha-olam...”. Gina zapomniała co było dalej, ale poczuła nagłą potrzebę, aby przypomnieć sobie słowa, które dorośli mruźli nad jej głową, kiedy była dzieckiem.

Głos przemówił delikatnie w jej głowie, ale zamiast niecierpliwości, poczuła jak spokój otula jej głowę niczym miękkiej szali. Bardzo, bardzo szczęśliwa. Nie zapominaj o modlitwach. Gina uśmiechnęła się, obracając się znów ku płomieniom, nie opierając się głosowi i nie walcząc z nim. Może urządzi szabas, kiedy przyjedzie Kief ze swoją szwedzką przyjaciółką i ich nowym dzieckiem. Kief nie będzie miał nic przeciwko temu, bo był 'za religią', jak to określał. Tylko że jego religii nie uznałby ani wujek Chaim, ani ciocia Hanna. Czczenie idoli, tak wujek nazwałby mały ołtarzyk medytacyjny z kadzidelkami i statuetką Buddy. Gina zawsze była dumna ze swojej tolerancji, lecz dopiero teraz zdała sobie sprawę, że to co nazywała tolerancją było niczym więcej jak zwykłą obojętnością. Jestem niewdzięczna,

pomyślała zakrywając oczy rękami. Nie spadłaby mi korona z głowy, gdybym zachowywała Szabas, jak na Żydówkę przystało.

- Jerry, jak powstrzymamy tego Nazima? - pochyliła się nad kominkiem, stojąc tyłem do Jerry'ego. Ręce zacisnęła mocno na marmurowym okapie kominka.

Patrzył na nią i widział zarys pełnych bioder pod bladobłękitną sukienką. Serce Jerry'ego skoczyło i zaczęło bić szybciej, zupełnie jak przed komunią w kościele. W miłości zapominał o sobie, kontemplując tę drugą osobę, która tak bardzo stała się częścią jego samego, że oczy zachodziły mu łzami, kiedy o niej myślał, przez chwilę nie wiedział gdzie kończy się on a zaczyna ona.

- Jezu - westchnął niedosłyszalnie - daj mi tę kobietę, abym mógł się o nią troszczyć. - Zawsze to ona troszczyła się o niego, a on pragnął ochraniać ją przed nienazwanymi demonami, przed niestabilnym spokojem, który narastał w niej, jakby próbowała robić wszystko w jednostajnym tempie metronomu; przed mroczną wściekłością, która czasami ją nachodziła, kiedy jakiś klient przeciągał strunę cierpliwości poza dozwolone granice. Fascynowała go jako Żydówka. W jakiś sposób należała do prastarej przeszłości i była tak krucha, jakby to ona sama przeżyła całe zło uczynione jej narodowi. Należała do tego samego narodu co Chrystus, pomyślał Jerry w zadziwieniu, była zrobiona z tego samego ciała i kości, które dały ziemskie ciało Bogu. Nie mógł zrozumieć dlaczego Homer Healey sprzeciwiał się mieszanym małżeństwom żydowsko - chrześcijańskim. Gina i jej naród byli żywym dowodem na to, że Bóg stanął światu na drodze - tej drodze, którą świat zmierzał do upadku.

- Możemy mieć go na oku - rzekł niepewnie Jerry.

- Przez Annie - zgodziła się Gina postukując palcami o obramowanie kominka. - Mamy go. I już w tej chwili możemy

rozdmuchać całą historię, opowiedzieć o nim gazetom. - Gina strzeliła palcami i uśmiechnęła się. - Poza tym, Kief przyjeżdża na weekend. Mamy uczcić kobietę i dziecko. Czas mazel tov. - Obróciła się ku Jerry'emu, przytuliła się do niego i przez jedwabną sukienkę poczuła jego ciało rozgrzane w blasku kominka.

* * *

Nazim siedział pod gwiazdami, obok fontanny, której wody błyszczały w świetle księżyca. Lubił noc i czcił gwiazdy jak musieli to robić jego przodkowie na pustyni. Zrobił pierwszy solidny krok w zachodnim przedsięwzięciu, pomyślał. Chciał zawołać, żeby Abdul przyniósł mu papierosa, ale zamiast tego postanowił smakować czyste powietrze. Zapragnął, żeby jego żony przybyły na czas, śmiała Fatima i łzawooka Yasmin, zaledwie szesnastoletnia. Były nierozłączne, niby matka i córka, i nie chciały się zgodzić na zamieszkanie w oddzielnych domach. Nazim oparł głowę na rękach, zapatrzył się w gwiazdy. Pragnął usłyszeć głos Boga, jak Prorok. Zamiast tego, miał tylko swoje uczucia, wspomnienia zaniedbanych kobiet o zapadłych policzkach, które siedzących w kucki w obozach uchodźców, gniewnych młodych wojowników, którzy gdyby żyli w innych czasach, zabijaliby dla imperium Allaha, a teraz mogli jedynie od czasu do czasu zabić arabskiego kupca, który handlował z Izraelitami.

Jego naród nie mógł się cieszyć fontannami i posiadłościami nad brzegiem oceanu, pomyślał. Jego naród czekał w namiotach, aby ich uwolnił, wypędził niewiernych ze Świętej Ziemi. Świętej dla kogo, zapytał drwiący głos w jego głowie. Jerozolima nigdy nie była święta dla Arabów, tak jak dla Żydów czy chrześcijan. Koran w ogóle o niej nie wspomina. Zejście Mahometa z miasta świętej Góry było tylko snem, legendą. Nazim o tym wiedział, gdyż dobrze znał

historię Arabów. Mimo to, pomyślał, a szczupłe ramiona zadrżały w niespodziewanie chłodnej bryzie znad oceanu, ziemia raz podbita dla Allaha musi pozostać Jego i tylko Jego. Inshallah. Niech się dzieje wola Boga. Barbarzyńskie zachodnie nauki o wolnej miłości i materializmie nie mogą wygrać z prostymi, świętymi słowami Proroka nakazującymi kochać Boga i służyć Mu do końca.

Fale uderzały głośno o brzeg, a ziemia pod stopami Nazima drżała. Uśmiechnął się, pomyślawszy jak łatwo byłoby wysadzić łodzie desantu nocą na tym niestrzeżonym wybrzeżu, jak łatwo byłoby wnieść na brzeg broń, literaturę, zabójców i szpiegów, wszystkich oddanych sprawie zdobycia Ameryki dla Allaha. Plan wysadzenia w powietrze Światowego Centrum Handlu w Nowym Jorku zakończył się umiarkowanym sukcesem, ale pozwolił ludziom nieostrożnie dobierać sobie współpracowników. System tuneli pod rzekami Manhattanu zostałby zniszczony, gdyby nie szpieg, który zdradził sprawę. W przyszłości Partia Boga musi być ostrożniejsza, jeśli będzie chciała zemścić się na Żydach z Nowego Jorku za cierpienia swoich ludzi w Palestynie. Czas zemsty nie był odległy. Już teraz ekonomia Wielkiego Szatana zaczynała się chwiać. Niewiele trzeba, aby gniewni, pozbawieni domów ludzie w miastach zaatakowali siebie wzajemnie. Wtedy, jeśli proroctwo mówiło prawdę, jeszcze niedawno silna Ameryka zmieni się w podatne na ciosy, oddzielne stany, w których niewielu będzie bogatych, za to wielu biednych, jak w zepsutej Ameryce Południowej, i wtedy ten rozległy, bogaty kraj będzie mógł przejść każdy. Strach przed komunistycznym imperium nie będzie już jednoczył Ameryki, gdyż bezbożni komuniści już wcześniej odbyli tę samą drogę, która jest przeznaczona Ameryce.

Nazim znów spojrział w gwiazdy, wyobrażając sobie, że jest z powrotem w Libanie, w ozdobionych haftami namiotach

swych beduińskich przodków, którzy przyglądali się i modlili pod tymi samymi gwiazdami. Był pewien, że Allah obdarował bogactwem Arabów po to, aby mogli dla niego podbić świat. Arabowie mieli kontrolę nad ropą naftową i budowali broń na ostateczny Jihad, który wzniesie sztandar z Półksiężycem nad każdym narodem ziemi, aby wszyscy ludzie mogli ugiąć kolana przed Allahem, a wszystkie kobiety - przed swoimi mężczyznami. Świat musi być rajem, w którym panuje porządek i prosta pobożność. Nazim potarł zziębnięte dłonie. Nadeszła godzina codziennego czytania dziesięciu stron Koranu, więc wszedł do domu, w którym teraz nie było niczego poza jego własnymi 'rzeczami osobowymi'.

* * *

Gina zrobiła sobie przerwę w szorowaniu kątów kredensu kuchennego w swoim nowym domu, zastanawiając się, czy wyłożyć półki lepszym papierem na wypadek, gdyby miała mieszkać tu dłużej, czy też użyć zwyczajnego szarego papieru. W końcu mogła pomieszkać tu przez jakiś czas. Naszło ją jakieś niewytłumaczalne pragnienie, aby jechać gdzieś, czy robić coś co nie byłoby robieniem pieniędzy dla Hoffman Homes. Może znów pojedzie do Izraela. Od jakiegoś czasu Jerry namawiał ją do wspólnej podróży do Jerozolimy na Wielkanoc, gdyż nigdy nie odbył pielgrzymki do miejsc, gdzie nauczał i umarł jego Bóg. Ginie trudno było sobie wyobrazić, że Bóg wszechświata mógł przybrać ludzki kształt. W jej pojęciu Bóg miał niewiele do czynienia z rodzajem ludzkim, z wyjątkiem chwil, kiedy smagał go zarazami, trzęsieniami ziemi czy ludobójstwem za grzechy, o których większość ludzi nie miała nawet pojęcia. Jerry wyjaśnił jej, że gdyby próbowało się rozmawiać z mrówkami w mrowisku, trzeba by było stać się jedną z nich i przemawiać ich językiem. To właśnie zrobił Bóg przychodząc na ziemię jako Jezus. Gina

pomyślała, że upraszczał sprawę, ale tak właśnie rozumował jej drogi Jerry.

Znów wzięła do ręki listy Phila, zastanawiając się w jaki sposób Bóg zawiódł go tak daleko od domu i bliskich. W jednej z kopert znalazła zdjęcie Shirdi Baby. Był to wysoki, kościsty człowiek o przenikliwym spojrzeniu ciemnych oczu i bujnej białej brodzie. Głowę miał owiniętą chustą, tak jak robiła to ortodoksyjna ciocia Hanna w Izraelu. Zdawało się, że oczy fotografii żyją, przez chwilę myślała, że rozbłysły ku niej, jakby dzielili się wspólnym żartem opowiedzianym we wspólnym im języku.

Wetknęła zdjęcie w róg okna nad zlewem, jeszcze raz spojrzała w oczy, które nie błyszczały już, lecz patrzyły przez nią, a potem usiadła z pożółkłymi listami od Shirdi.

„Mistrz mówi - pisał Philo swym równym, pięknym pismem - że wszystkim, którzy proszą o pomoc musimy dawać z siebie wszystko. On sam oddaje wszystko, co dają mu jego uczniowie. Czasami, kiedy przychodzi do niego ktoś bogaty, mówi mu, żeby dał mu sto funtów. Bogacz wije się z bólu, ale daje. Potem, na jego oczach dzieli pieniądze między biedne kobiety i ich dzieci, między żebrających, kalekich mężczyzn. Potem śmieje się, jakby rozbawił go jakiś żart. Dziś zapytałem go jak powinienem żyć. Czy powinienem pójść w góry i medytować? Nie, odparł mistrz, musisz stanąć twarzą w twarz z tym wszystkim za co jesteś odpowiedzialny. Służ innym. Ale nie zapominaj odnawiać siebie w modlitwie. Nie zapominaj kontemplować Boga, który żyje w tobie. Oddaj się miłości. Nie myśl tyle. Zaufaj mnie i kochaj mnie, bo nie jestem jedynie tym, kim wydaję się być.”

Gina niespokojnie odłożyła list. Słowa te przypomniały jej wszystko, co słyszała od jakiegoś czasu w głowie, oraz to, co Jerry cytował jako słowa Jezusa. Idea Boga żyjącego w tobie wydała jej się sensowniejsza niż teoria Jerry'ego o

komunikowaniu się z mrówkami czy bogach inkarnujących w ciele człowieka. Kim byli ci mistrzowie, zastanowiła się, ci ludzie, istniejący przez ulotną chwilę w dziejach ludzkości i mieszający się w poważne sprawy zarabiania na życie, opiekowania się rodziną i czerpania z życia drobnych przyjemności? Najważniejsze jest przeżycie. Może te sprawy, ci ludzie - bogowie, jak nazywał ich Philo, mogli wyczarowywać jedzenie z niczego i uzdrawiać ludzi machnięciem ręki, ale cała reszta musi płacić za jedzenie i ubezpieczenie zdrowotne.

Zaufaj mi, odezwał się cichutko głos, jak gdyby zza grubego muru, cena jakiej chce świat jest zbyt wielka, a duszy nie wolno jej przyjąć. Zaufaj mi. Gina odepchnęła od siebie głos, pomyślałszy, że kiedy ostatnim razem ktoś poprosił ją, aby zaufała, czyli jej eks, straciła interes, który razem założyli i oba domy, które wybudowali. Świat nie zmienił się bardzo od czasów Jezusa i tego Shirdi Baby, pomyślała sprawdzając w lodówce czy zostało jeszcze trochę smalcu śledziowego. Kief przyjeżdżał, a ona chciała przygotować dla niego szabasowy stół, przy którym schowa się jego ołtarzyk medytacyjny.

* * *

Telefon zadzwonił, kiedy na podjazd wjeżdżał kolorowy volkswagen Kiefa. Gina wepchnęła do piecyka dwa bochenki chleba challah, otrzepała ręce z mąki i podniosła słuchawkę przytrzymując ją między policzkiem a ramieniem, i jednocześnie wrzuciła kulki matzoh do gotującej się zupy.

- Ten Nazim ma dwie żony - odezwała się Annie głosem cichym i niemal pozbawionym tchu, jakby bała się, że telefon jest na podsłuchu. - Właśnie przyjechały. I to z jakimiś ludźmi ze strzelbami, co wyglądają jak karabiny maszynowe, no wiesz!

- Wiem, Annie - odparła Gina, starając się zachować cierpliwość i zjednać sobie ów wewnętrzny głos, który mówił jej, aby czyniła dobrze i nie zabijała swej duszy. - To musi być jego ochrona. Potrzebuje ich. Słuchaj, Annie, mój syn i jego rodzina właśnie wchodzi. Masz coś jeszcze?

- Tak. David znalazł na biurku Nazima jakieś rachunki. Wypisane na nazwiska amerykańskich senatorów. David mówi, że zna te nazwiska. Te czeki są wielkie, Gina.

- O, Boże - westchnęła Gina. - Co ten facet kombinuje? Słuchaj, nie dzwoń do mnie. Po prostu przyjdź albo podrzuć list do mojej skrzynki. Pewnie niedługo założy podśluch na waszym telefonie, jeśli już tego nie zrobił. Porozmawiamy jutro, Annie. Nie denerwuj się, dobrze?

Wytarła ręce w fartuch, jakby to, co jej powiedziała Annie zabrudziło jej ręce. Gina przypomniała sobie z niepokojem, że inni pośrednicy nieruchomości w okolicach San Diego opowiadali jej o podobnych tajemniczych Arabach kupujących domy nad brzegiem oceanu i mających wielu ochroniarzy. Jej eks opowiadał jej o jednym na południowym wybrzeżu Long Island. Więc wykupywali ziemię amerykańską, zadrzała. Oni, Japończycy i wszyscy inni, których kraj nie zbankrutował na wydatkach na zbrojenia. Dlaczego kupowali senatorów, pozostawało zagadką. Może z powodu kolejnego głosowania na rzecz pomocy Izraelowi. Usłyszała trzaśnięcie drzwi samochodu i odgłos kroków zbliżających się do drzwi wejściowych.

Kief nie kłopotał się dzwonieniem do drzwi, ale pchnął je tak silnie, że klamka pozostawiła lekkie wgłębienie w ścianie. Gina ściągnęła fartuch i wybiegła mu na spotkanie. Minał rok odkąd ostatnio widziała syna, a teraz on przywiózł do domu kobietę i dziecko. O Nazimie pomyśli nie wcześniej niż jutro.

Ponad ramieniem syna, Gina ujrzała blondynkę, wysoką jak jej syn i równie chudą. Ta dwójka, pomyślała, musi żyć

jagodami i korzonkami, jak ten kościsty weganin, David. Miała nadzieję, że dziecko jednak dostaje mleko, a nie sok z marchwi, ale wolała nie pytać.

- To jest Kori, mamó. I John Philo. - Objął ramieniem kobietę. Kosmyki popielatoblond włosów okalały małą, trójkątną dziecięcą twarz, zupełnie nie pasującą do długiego ciała. Uśmiech Kori był zaraźliwy, a kiedy się śmiała, w białoróżowych policzkach ukazywały się dołeczki, które zupełnie zawojowały Ginę. Miała nadzieję, że dziecko będzie podobne do Kori, gdyż Kief, ze swoją szeroką rumianą twarzą, nigdy nie był szczególnie przystojny, a jego zęby oparły się wysiłkom aż dwóch ortodontów. Na szczęście miał szerokie barki, gęste, kręcone ciemne włosy, jak dziecko w ramionach Kori, oraz nadzwyczaj sprawny umysł, choć na Boga, używał go w zaskakujący sposób. Ta kobieta - archeolog pewnie też. Na pewno razem z nim siadywała nocami przy ognisku i sklejała tysiącletnie skorupy garnków.

No cóż, nie zainteresowałby się kobietą, która robiłaby cokolwiek innego. Gina objęła ramionami matkę i dziecko.

John Philo spojrzał na nią swymi błękitnymi oczami o zadziwiająco bladym odcieniu, i przez chwilę Gina oddawała mu spojrzenie. Widziała już kiedyś taki kolor, ale były to oczy zmęczone i stare, ocienione szerokimi białymi brwiami. Położyła lewą rękę na jego główce, czując skrępowanie zupełnie do niej niepodobne i głośno wypowiedziała całe imię. Dziecko zaśmiało się, sięgnęło i chwyciło jej kciuk, obejrzało dokładnie pierścień, a jego brwi zmarszczyły się.

- Można by pomyśleć, że go rozpoznaje - uśmiechnęła się Kori. - Zwykle nie zwraca uwagi na biżuterię, a tylko na rzeczy, które się ruszają. - Jej głos był melodyjny i niski, a jej oczy, jasnobłękitne jak oczy dziecka, były czyste jak kalifornijskie niebo.

Kief mógł trafić o wiele gorzej. Gina zastanawiała się jak to się stało, że los złączył tę kobietę i jej syna. Kochali się czy po prostu przypadkowo zmajstrowali dziecko? Teraz, kiedy poznała Kori, Gina poczuła ulgę. Gdyby Kief nie kochał tej kobiety, byłby większym dziwakiem niż myślała. Przez chwilę czuła ukłucie zazdrości, poczuła się stara i nie kochana. Kiedyś Kief kochał ją tak jak ten wnuk kocha swoją matkę. A teraz, zastanawiała się, co do niej czuje, czy zaledwie nieokreśloną, nieco krepującą przyjaźń? Tak dawno nie odczuwała jego troski o nią. Odkąd stał się mężczyzną spotkali się zaledwie kilka razy, i zawsze rozmawiali wtedy o jego zainteresowaniach. Może po prostu go nudziły sprawy związane z handlem nieruchomościami i odnawianiem domów. Kori najwyraźniej interesowała go bardziej, i nic dziwnego, że jego oczy bezustannie do niej wracały, nawet kiedy rozmawiał z matką.

- Podoba mi się ten nowy dom - powiedział Kief.

- Jest taki domowy... używany. Niepodobny do posesji, o której pisałaś. A co się właściwie z nią stało?

- Sprzedałam ją pewnemu Arabowi - odparła Gina krótko.

- Jak wielu innych ostatnio.

Kief okazał zainteresowanie, czym ją zaskoczył.

- To samo dzieje się w Santa Cruz. Mówi się o fundamentalistycznych Arabach osiedlających się w całych Stanach. Nie tylko kupują ziemię, ale też zakładają w miastach ośrodki prania mózgow. Nazywają je centrami nawrócenia. Ich celem są bezrobotni i bezdomni.

- Usiadł na podnóżku obok stóp Kori i spojrzał na nią, kiedy zaczęła karmić dziecko.

- Do czego potrzebowaliby ich ludzie tacy jak Nazim? - Gina podała Kiefowi szklanekę mrożonej herbaty, a drugą postawiła na stolyczku obok Kori, która zdawała się przebywać w innym świecie, kiedy dziecko głośno ssało jej

pierś. - Nigdy nie słyszałam o fundamentalistach, którzy zajmowaliby się pracą socjalną.

- Chodzi chyba o bomby podkładane przez terrorystów. Za chwilę będą próbowali zrobić z tych biedaków swoją armię - stwierdził Kief mieszając lód palcem. - Gina nie cierpiała tego, ale teraz przyglądała mu się pragnąc jedynie, żeby był jaki był. - Może próbują wcielić do wojska te pięćdziesiąt tysięcy ludzi w naszym kraju, którzy nie mają nic do stracenia - mówił dalej cicho, jakby do siebie. - Jihad, jak ją nazywają. Święta wojna przeciw dekadentkiemu zachodowi. Wielki Szatan, pamiętasz? Nie zmienili strategii. Tylko taktykę.

Gina przypomniała sobie co powiedziała Annie o dużych czekach na biurku Nazima, i znów zastanowiła się jakie przysługi kupował.

- Myślisz, że biedni w tym kraju mogliby się zdobyć na coś takiego? - pomyślała o Annie i szczupłym Davidzie, którzy do tej pory mieszkali w przyczepie samochodowej. Raczej mało prawdopodobne, żeby przyłączyli się do jakiejś zdziczałej, obcej armii chcącej zniszczyć tych kilka korporacji, których własnością była większa część Ameryki.

- Tak, jeśli ktoś im pomoże - Kief wziął dziecko od Kori, żeby mogła zapiąć bluzkę. John Philo ułał trochę mleka kącikiem okrągłych, różowych warg. Oczy mu się zamykały. - W Zatoce ludzie mówią o Armii Ludowej. Wykupuje się i odnawia całe bloki z mieszkaniami dla Wiernych. Przyłącz się i przysięgnij, że będziesz się trzymać z dala od narkotyków i wódki, a dadzą ci mieszkanko. Może nawet strzelbę.

- Mówi się, że szkołą misje w górach - dodała Kori swoim melodyjnym głosem, wydobywającym skandynawski akcent w niespodziewanych miejscach. - Czasami widzimy wielkie ciężarówki pełne ludzi, kierujące się w góry.

- I nikt ich nie powstrzymuje? FBI? CIA? Czy oni coś z tym robią? - Ginie trzęsły się ręce, kiedy ponownie napełniała

szklanę Kiefa. - Przecież mają dość naszych pieniędzy, żeby rozprawić się z kilkoma wariatami o rewolucyjnych zapędach.

- Rząd patrzy na to inaczej i media też. - Kief rozłożył na podłodze delikatny, biały kocyk i położył na nim Johna Philo, kiedy mu się odbiło po jedzeniu. Dziecko znów zasnęło. - Pieniądze, które kiedyś szły na CIA, teraz idą w inne ręce. Nikt nie uważa, że powinniśmy śledzić siebie wzajemnie czy kogokolwiek innego, zwłaszcza że Związek Radziecki już odpadł. Ja też tak myślałem.

- Chcieliśmy znaleźć dla siebie jakieś spokojne miejsce - powiedziała Kori kładąc długą, bladą dłoń na ramieniu Kiefa. - Następnego dnia po moim przyjeździe kupiliśmy kawałek ziemi. Pięćdziesiąt akrów w górach nad Santa Cruz. Jest tam mała chatka i studio. Kief myślał, że może chciałabyś zamieszkać z nami. Jeśli w miastach będą kłopoty, tam będzie bezpiecznie.

Gina ucieszyła się, że Kief o niej myślał. Może to dziecko uświadomiło mu jak bardzo go kochała i wciąż go kocha. Spojrzała na swego syna o szerokich wargach, nieregularnym nosie i niesfornych czarnych lokach, i przypomniała sobie jaki był dla niej śliczny, kiedy był dzieckiem. Czowała się tak, jakby nie dzielił ich ani czas, ani przestrzeń. Więc widzisz jak to jest, powiedział głos, jest tylko teraz - nie liczy się czas ani odległość. Po co komu plany? Plany to igranie z wodą i wiatrem, nic więcej. Masz tylko to, co jest tu i teraz. Już rozumiem, odpowiedziała skora do kłótni, ale żadne argumenty nie przychodziły jej na myśl teraz, kiedy czuła się częścią Kiefa, Kori i ich dziecka. Ale muszę planować, muszę. A jeśli to co mówią jest prawdą i nadchodzą straszne czasy? Teraz trzeba myśleć o dziecku.

- Zamieszkami w miastach zajmą się oddziały wojska - stwierdziła Gina niepewnie.

- Oddziały, które pochodzą z tej samej klasy, co rebelianci. Myślisz, że będą strzelać do swoich? - Kief potrząsnął głową. - Wiele się nasłuchaliśmy od naszych przyjaciół w Berkeley odkąd wróciliśmy ze Środkowego Wschodu. Ludzie nie wierzą, że rząd jest po ich stronie. Chcą go przejąć. Siłą, jeśli to będzie konieczne.

- Och, Berkeley - Gina wzruszyła ramionami. - Ludzie tam wychodzą na scenę z gitarami, drą się, kamieniują wszystkich i wybijają szyby. Bez przesady. Kiedyś też tak bywało. Sam tam byłeś. I aresztowali cię, o ile pamiętam.

- Teraz nikt w nikogo nie rzuca kamieniami. - Nie patrząc, Kief sięgnął po dłoń Kori, wiedząc dokładnie gdzie jest. - Chodzą po ulicach w maskach gazowych i z obrzynami, a ich dzieci uczą się w szkołach jak rozwiązywać zadania matematyczne i robić bomby. To samo dzieje się też w innych miastach. Nawet w Waszyngtonie.

- Myślę - zaczęła Kori - że dobrze byłoby założyć naszą własną małą społeczność. Hodować własne warzywa, mieć prądnicę - spojrzała na Ginę pytająco. - Prądnicą, tak to się nazywa? Tak? Kief się zgadza. A ty?

Gina nigdy się nie spodziewała, że jej łagodny syn - pacyfista zmieni się w człowieka myślącego realnie o własnym przeżyciu. - Myślę, że to przedwczesne - odparła wstając, aby nakryć stół. - Ekonomia jest słaba, to prawda, ale przecież już kiedyś tak bywało. Poczekaj rok czy dwa i większość ludzi znów będzie kupować odrzutowce i letnie domy.

- Jeśli będą ich jeszcze potrzebować - stwierdził Kief pomagając jej ustawiać talerze na haftowanym, lnianym obrusie. - Masz gdzie mieszkać. I darmowe warzywa. Jesteśmy teraz wegetarianami. Przygotowujemy się na Indie.

Zignorowawszy z początku słowo 'Indie', Gina uśmiechnęła się do niego dziwiąc się temu, że kiedykolwiek

uważała go za człowieka niezbyt ładnego. Odkąd skończył trzydziestkę, wyprzystojniał w szorstki, męski sposób. Albo może to tylko ona tak uważała, ponieważ usłyszała, jak Kori powiedziała, że jej syn chce, aby zamieszkała z nimi.

- Przyjadę was odwiedzić - powiedziała, a dziecko poruszyło się i zamrugało. - Ale nie dlatego, że potrzebuję miejsca, gdzie mogłabym się schronić. Po prostu dlatego, że chcę trochę pobyć z rodziną; tak długo się nie widzieliśmy. - Oczy jej się zamglily, kiedy opuściła wzrok, zastanawiając się co zrobić z rękami, które nagle zaczęły drżeć. - A co z tymi Indiami? - Pomyślała o kościstych, brązowych ludziach leżących na ulicach Bombaju. Potarła dłonie, jakby nagle zrobiło jej się zimno.

- Kief, może ja wyjaśnię, dobrze? Pomyślisz, że to szaleństwo - Kori przesunęła rękami po swoich krótkich, jasnych włosach i westchnęła. - Myślę, że nie słyszałaś o wielkim uzdrowicielu i świętym hinduskim? Buduje szkoły i szpitale, i uniwersytety. Setki tysięcy jego ludzi rozeszło się po wioskach w Indiach, żeby uczyć i budować kliniki.

- I czyni cuda - przerwał jej Kief i machnął ręką, jak to miał w zwyczaju, kiedy był dzieckiem i chciał, żeby matka zwróciła na niego uwagę. - Uzdrowia chorych i umierających. Materializuje przedmioty z powietrza.

Kori delikatnie zakryła mu usta.

- Za szybko i za wiele - powiedziała. - Dość wiedzieć, że ten Sai Baba zmienia Indie, pomaga bezdomnym. Chcemy go zobaczyć, mamó.

Po raz pierwszy Kori tak ją nazwała i Gina poczuła się dziwnie, jakby ktoś obcy wręczył jej prezent. Prezent Kori trudno było odtrącić, ale nie mogła tak po prostu pozwolić tym słowom umknąć.

- Oboje jesteście ludźmi wykształconymi - zaczęła, czując się jakby wygłaszała wykład, podobny tym, od jakich uciekał

Kief, kiedy przyjął buddyzm, ogolił głowę i przez tydzień przebywał na szczycie góry, dziwacznie się odżywiając. - Macie swoje życie. Dziecko. Mam nadzieję, że nie zaczniecie poszukiwać obcych bogów i wyśpiewywać Hare Krishna jak te typy w pomarańczowych sukniach. Ci, którzy proszą o datki i tańczą po ulicach.

Kori znów położyła dłoń na wargach Kiefa, nie pozwalając mu odpowiedzieć.

- Żadnych obcych bogów - odparła. - Sai Baba nie zakłada nowej religii. Mówi, że na świecie jest już dość religii. Ludzie powinni tylko kochać Boga i służyć człowiekowi. Sai Baba mówi, że to to samo. Ludzie powinni powrócić do religii, w której wyrosli i robić to - kochać i służyć. Uważam, że to samo mówił Jezus i wierzę w to.

Gina czuła, że jej argumenty błędą oprócz jednego, asa.

- Znam pewnego Sai Babę - powiedziała tonem kogoś, kto rzuca na stół wygrywającą kartę. - Umarł sto lat temu w Shirdi, koło Bombaju. Mój wuj Philo pisał o nim w listach. Wasz Sai Baba jest oszustem. - Gina poczuła pewne ożywienie, jak kiedyś, kiedy jej syn powiedział coś głupiego, a ona mogła mu to wytknąć wskazując odpowiednią stronę w encyklopedii.

- To był pierwszy Sai Baba, ten, którego nikt nie słuchał - odparł zbyt głośno Kief, odpychając rękę Kori. Dziecko obudziło się i zaczęło płakać. - Ten nazywa się Sathya Sai Baba. Kiedy miał czternaście lat, powiedział swoim rodzicom, że jest tym samym Shirdi Babą i odszedł, aby nauczać i czynić cuda.

- Chwileczkę, chwileczkę - wykrzyknęła Gina, ściskając swoje dwie złote bransoletki. - Wuj Philo mówił...

- Chciałabym przeczytać te listy - Kori podniosła krzyczące dziecko i stanowczo podała je Kiefowi. - Ciekawe, że wiesz o pierwszym Sai Babie. Ale teraz, mamó, pomówmy

o Kiefie i o mnie. Jak to wszystko się zaczęło. Chciałabym, żebyś wiedziała. Kief, kochany... - uśmiechnęła się uśmiechem, jakim Helena musiała wywołać wojnę trojańską - pójdziesz z dzieckiem na spacer? Chciałabym porozmawiać z twoją matką.

Gina poczuła ulgę, kiedy Kief wyszedł zabierając z sobą dziecko. Poklepała dłonią poduszkę obok siebie.

- Usiądź tu, Kori, obok mnie. Chcę się dowiedzieć jak wy dwoje się spotkaliście. - Z powrotem na swojskim gruncie zwyczajnych ludzkich miłości i kłótni czuła się pewniej, czuła, że żyje. Przez chwilę panowało milczenie, a ona patrzyła na gładką dziecięcą, a dojrzałą twarz Kori, na jej mądre oczy. - Myślę, że przeszłaś długą drogę zanim trafiłaś do nas - stwierdziła niepewnym głosem, który przypominał jej Jerry'ego. - Sądzę, że jesteś niezwykłą osobą.

Jak się okazało, oboje przeszli długą drogę, a Kori rzeczywiście nie była zwyczajną osobą. Egypciologii uczył ją ojciec, którego chłód zraził ją do małżeństwa i mężczyzn. Z kolei pasywność jej matki zraziła ją do małżeństwa i kobiet. Kori przyznała, że była ciężkim przypadkiem, skazanym na samotność i naukę, i zamierzała zdobyć reputację, jaką wymarzył sobie dla niej ojciec. Ona i Kief w końcu odnaleźli się nad butelką kwaśnego egipskiego wina, przy gasnącym ognisku, kiedy inni archeolodzy już dawno spali. To było jak rytuał, jej pierwsze zetknięcie się z czymś na kształt religii. Kief zaproponował, że nauczy ją wszystkiego, co wie o tantrycznym seksie, który nie kończył się na skonsumowaniu związku, ale oznaczał jedność z boskością. Dla nich okazał się zwyczajnym, lecz na tyle przyjemnym, aby go kontynuować przez kolejne dwa miesiące, które pozostały Kiefowi do wyjazdu z Egiptu.

Chciał, aby Kori pojechała z nim do Ameryki, ale właśnie wtedy zajmowała się nowym eksperymentem, studium

starożytnej bogini wiedzy. Pracowała wtedy z szamanką, która opowiadała jej historie z dawno minionej przeszłości, kiedy matka bogini władała ziemią. Opowieści te zostały opublikowane w książce, która obecnie stawiała Kori na piedestale w feministycznych kręgach akademickiego świata.

Tuż po powrocie do Kalifornii z długich wykopalisk w Nowym Meksyku, Kief dowiedział się, że ma syna. Kori zgodziła się zamieszkać z nim, jeśli uda im się znaleźć dom z dala od miasta. Podczas pierwszej wycieczki w góry zobaczyli posiadłość, którą natychmiast kupili. Gina rozzłościła się w duchu, kiedy Kori powiedziała ile za nią zapłacili; wołałaby, żeby to jej pozwolili przeprowadzić kupno. Lecz, z jakiegoś powodu, Kief nigdy nie pozwalał jej podejmować żadnych decyzji, póki nie było za późno na ich zmianę.

Kiedy Kori opowiadała Ginie o ich nowym domu, wrócił Kief z dzieckiem. Twarz mu się rozjaśniła, kiedy mówił Ginie o ogródku warzywnym i sosnach, które wyrastały z mgły, która potem rozplywała się w promieniach górskiego słońca. To dobre miejsce, stwierdziła Kori spokojnie. Miała nadzieję, że zbierze warzywa zanim pojedą do Indii.

Gina zacisnęła pięści, znów gotowa do walki. Było jasne, że ta hinduska eskapada była pomysłem Kori.

- A nie mogłabyś pojechać sama? Z przyjemnością zajmę się dzieckiem. I Kiefem. - Pogłaskała szerokie plecki dziecka, gładkie, jak kiedyś plecy Kiefa. To dziecko jest darem Kori dla nich obojga, pomyślała Gina, lecz ogarnął ją niespodziewany gniew, że ta obca szwedzka czcicielka bogini matki, a pewnie też i hinduskich bóstw, chciała zabrać jej mężczyzn gdzieś, gdzie ludzie cierpieli z głupich powodów i umierali na brudnych chodnikach. - Naprawdę zrobię to bardzo chętnie - nienawidziła siebie za to, że w jej głosie zabrzmiała wrogość i gniew. To była ta strona jej osobowości, którą zwykle udawało jej się kontrolować.

- Aśram jest czysty - odparła Kori, nie biorąc sobie tego do serca. - Przyjeżdża tam wiele dzieci i nic im nie jest. Kief i ja przyzwyczailiśmy się do prostego sposobu życia, a dziecko karmię tylko piersią. Myślę, że teraz jest najlepsza chwila na wyjazd. - Wzięła dziecko na ręce. John Philo machał rączkami jak Kief, kiedy się sprzeczali. Kori pocałowała Ginę w policzek i poszła do sypialni.

* * *

Kief i Kori od dawna już spali, a Gina wciąż jeszcze leżała przyglądając się księżycowej poświacie między wierzchołkami drzew kołyszącymi się ponad jej oknem. Co za szalony pomysł, żeby jechać do Indii i zamieszkać w aśramie. Dziecko pewnie zachoruje od brudnej wody, a lekarz pewnie nie będzie umiał nic prócz aplikowania pijawek. Odepchnęła od siebie poczucie winy i uderzyła ze złością w poduszkę. Te dobre, miękkie poduszki położyła w pośpiechu w pokoju dla gości. Kief i Kori z ich dziwnymi, orientalnymi nawykami pewnie nawet w ogóle ich nie używają, pomyślała Gina. Pewnie śpią na deskach nabijanych gwoździami i co godzinę wstają, aby medytować.

Gina wyskoczyła spod kwiecistej narzuty i podeszła do okna. Wiatr poruszał jej włosami i haftowaną koszulą nocną. Może, mimo wszystko uda jej się przekonać ich, żeby zostawili jej dziecko, kiedy będą się bawili w cadyków. Hebrajskie słowo zadźwięczało dziwnie, niby tamto sanskryckie, które wymówiła Kori. Wuj Chaim pochodził ze starego rodu cadyków i był najszcześliwszym człowiekiem, jakiego знаła, a zmarszczki uśmiechu otaczały i jego oczy, i usta. Wujek Chaim twierdził, że narysował je sam Bóg. Tylko że przez szacunek mówił 'ha - Shem', Imię, zamiast 'Bóg'. Kiedyś, kiedy poszła do skul, spoglądała z za zasłony jak tańczył wokół Tory z rozłożonymi szeroko ramionami, jakby chciał nim objąć świat. Może to cadykowe szaleństwo tkwiło

w genach, pomyślała niespokojnie. Może Kief odziedziczył je po wujku Philo i wujku Chaimie, jak krótkowzroczność czy skoliozę. Co widzieli w tym, co ona postrzegała jako mrzonki, na co patrzyła niby zza zasłony takiej, jak oddzielała mężczyzn tańczących w ekstazie wokół Tory?

Księżyc w pełni pojawił się w zasięgu jej wzroku i uśmiechnęła się do jego okrągłej, cienistej twarzy, która zdawała się przemawiać i uśmiechać do niej jak kiedyś, kiedy była dzieckiem. Gina westchnęła i poczuła senność. Przez chwilę opierała czoło o ramę okna. W deszczu iskier, które rozbłysnęły pod jej zamkniętymi powiekami ujrzała ciemnego mężczyznę w pomarańczowej sukni, z burzą czarnych włosów i twarzą, która jaśniała jak księżyc. A myślisz, że kto cię wzywał?, zapytał, a na ustach błąkał mu się uśmiech. No kto? Ja. Twój wuj Philo znał mnie, a ty nosisz mój pierścień. Dlaczego się boisz? Jestem tu i chcę, abyś do mnie przybyła. Chcę, abyś przybyła jako kobieta zamężna. A może czekasz na telegram? Gina odskoczyła od okna jakby było zarażone jakąś egzotyczną chorobą, jak Indie, jak woda i jedzenie, które Kief i jego mała rodzina będą jeść w tym strasznym, brudnym, pozbawionym uroku miejscu, gdzie zdecydowali się spędzić następne sześć miesięcy swego życia. Rzucili na nią jakiś urok tym gadaniem o prastarych bogach i nowych religiach. Czowała, że potrzebuje długiej kąpieli w jacuzzi i żałowała, że sprzedała swój nadmorski dom z podświetlanym basenem i wanną z bąbelkami.

Nagle rozdzwonił się telefon. Chwyciła aparat i szybko przeniosła się z nim na łóżko, podniósłszy słuchawkę zanim obudziło się dziecko. Przypomniała sobie z dawnych czasów, że lepiej było umrzeć w walce przeciw dzwoniącemu telefonowi, niż pozwolić, aby obudziło się dziecko.

- Gina? - rozległ się głos Jerry'ego. - Wiem, że to środek nocy, ale śniło mi się coś. Muszę z tobą porozmawiać. Ktoś

mi właśnie powiedział, że muszę jechać do Indii. Śnił mi się człowiek w pomarańczowej sukni. Powiedział, że mam się nie bać, ale że powinienem się z nim zobaczyć. Od razu. Gina?

Złożyła twarz na płaskiej poduszce i załkała.

- Nie chcę, żeby ten człowiek pojawił się w moim życiu, Jerry - powiedziała w końcu. - On ma mojego chłopca, mojego wnuka, a ja noszę jego pierścień. Jego głos odzywa się w mojej głowie. Może powinnam porozmawiać z twoim Homerem Healey'em. Może coś mnie opętało.

- Gina, zaraz do ciebie przyjadę - głos Jerry'ego nie wahał się jak zwykle, ale był głęboki i pewny jak głos piosenkarza. - Musimy podjąć decyzję co do naszego małżeństwa. Nie możemy już dłużej z tym zwlekać. Powiedział mi, że mamy się pobrać.

- O, Boże - łzy napłynęły Ginie do oczu. - Mnie też. Przyjeżdżaj. Zostań na śniadaniu. Przedstawię cię rodzinie.

* * *

Kief siedział przy kuchennym stole pokazując Jerry'emu mapę Indii zrobioną przez satelitę.

- Dziwne - zastanowił się Kief. - Kiedy zostało zrobione to zdjęcie, każdy mógł na nim dojrzeć twarz Sai Baby. Nie twarz Shirdi, który umarł w zeszłym wieku, ale tego, który żyje teraz w Indiach.

- Nie wierzę w to - powiedziała Gina kładąc na stole bagietki i wędzonego łososa, zła, bo bolała ją głowa, a wszyscy rozmawiali o tym Sai Babie, a tak bardzo różnił się on od tego, o którym mówił wujek Philo. - Sai Baba nie żyje od stu lat. Patrzcie, to jego pierścień. Kimkolwiek jest ten drugi, ja go nie znam.

Mały John Philo zaszczębiotał i wyrzucił w górę rączki, jakby właśnie wygrał triathlon.

- A ty bądź cicho - powiedziała Gina pochylając się nad nim. - Możesz sobie myśleć, że jesteś wujkiem Philo, ale naprawdę jesteś tylko dzieciakiem z brudnymi majtami.

- Masz rację - Kori podniosła się. - Muszę zmienić mu pieluchy. Kief, czy możesz wyjaśnić wszystko mamie?

- Chyba nie. - Kief starannie rozsmarowywał ser ze szczypiorkiem na bagietce, posypał go pieprzem, jak chciała jedna z niewielu żydowskich tradycji, które zachował. - Wiem tylko tyle, że pewien nasz hinduski przyjaciel w Santa Cruz powiedział nam, że powinniśmy pojechać i zobaczyć tego Sai Babę, który jest jednocześnie tamtym. Nie pytaj mnie jak. Może to reinkarnacja. Tak czy tak, mówią, że on czyni cuda. Wskrzesza zmarłych, uzdrowia chorych, a święty popiół sypie się z jego palców. Nazywa się to wibutti. Mam nawet trochę, dał mi ten przyjaciel, patrzcie.

Jerry wziął z jego ręki małą paczuszkę owiniętą w folię. Na wieczku wyryto sanskryckie napisy.

- W moim śnie dotknął tym mojego czoła. To znaczy Sai Baba - powiedział. - Całą garść. Widziałem siebie z wielką szarą plamą na twarzy. Upadłem i przyłożyłem czoło do jego stóp.

- Och, przestań! - wykrzyknęła szorstko Gina odsuwając paczuszkę. - Myślałam, że jesteś chrześcijaninem.

Jerry przykrył wielką dłonią paczkę i spojrzał na nią tak przenikliwie, że spuściła oczy i stanęła bez ruchu.

- Nigdy nie byłem tak bardzo chrześcijaninem jak wtedy, kiedy leżałem u jego stóp - stwierdził. - Tak mi powiedział. W tym śnie dał mi pierścień, a twarz na tym pierścieniu była twarzą Jezusa.

- Tak - potwierdził Kief zgarniając ostrożnie popiół z powrotem do paczki. - On stwarza takie przedmioty. Czasami z twarzą Jezusa. Czasami z jego własną twarzą albo jakimś hinduskim symbolem. Chodzi o to, że dobrze jest pozostać

przy swojej własnej religii, jeśli tylko nie umniejsza się przy tym religii innych ludzi. On mówi, że naprawdę jest tylko jedna religia. Religia miłości.

- To brzmi rozsądnie - parsknęła Gina. - Kto będzie się spierał z miłością? - odwróciła się do Jerry'ego uderzywszy otwartą dłonią w stół. - Wszyscy, których kocham złapią dyzenterię i słońowaciznę bijąc czołem przed jakimś guru, który udaje, że jest Babą wujka Philo! - przez chwilę zdawało się jej, że pierścień parzy jej palec i przesunęła go w górę do samej kostki. Jestem kim jestem, odezwał się głos. I ty też. Obudź się. Przybądź.

- Pojedziesz z nami, mamó? - Kief przykrył jej dłoń swoją. - Będziemy potrzebować twojej pomocy przy dziecku. I żebyś pilnowała, żebyśmy wszyscy nie zdziwaczeli. Ktoś nam powiedział, że to się może zdarzyć.

Gina przypomniała sobie twarz jaśniejącą w świetle księżycy i słowa, które nadeszły niby krzyk jej własnego serca.

- Pomyślę o tym. Może - zastrzegła się - ale tylko dla dziecka.

- Najpierw będziemy się musieli pobrać - stwierdził Jerry. Obrócił się do Kiefa. - Wy też. W moim śnie zrozumiałem, że Sai Baba nie chce, żeby przyjeżdżali do niego ludzie, którzy po prostu żyją ze sobą.

- Powiedz to Kori - Kief skrzyżował nóż i widelec na swoim talerzu. - To ona nie wierzy w małżeństwo.

* * *

Gina próbowała rozmawiać z Kori, ale Szwedka pokręciła głową.

- Pojadę do Indii - powiedziała - ale nie pod czyimś nazwiskiem. Właśnie w to wierzę. Będziecie musieli jakoś to znieść. - Położyła dziecko do łóżeczka i delikatnie laskotała nagi brzusek, póki John Philo nie zaczął wierzgać nóżkami i

śmiać się radośnie. - Pobaw się z nim, a ja wezmę prysznic - poprosiła. - Powinniście spędzać więcej czasu razem. Postaram się nie być zazdrosna.

Kori przewiesiła przez ramię ręcznik, zrobiła kilka kroków w stronę drzwi i zatrzymała się.

- Żałuję, że moja matka nie dożyła tej chwili i nie może bawić się z dzieckiem - powiedziała głosem tak równym i spokojnym, że Gina poczuła na plecach gęsią skórę. - Zabiła się, bo ja wykreśliłam ją ze swego życia i odeszłam do ojca. Teraz, kiedy mam własne dziecko, wiem dlaczego zrobiła to, co zrobiła.

Zanim Ginie przyszła do głowy jakaś odpowiedź, Kori była już w korytarzu, a zaraz potem za ścianą rozległ się odgłos wściekłych uderzeń wody o podłogę. Najpewniej nie było na to żadnej mądrej odpowiedzi, pomyślała ubierając dziecko na spacer po podwórku. Chciała powiedzieć, że kiedy ludzie odbierają sobie życie, próbują jednocześnie zabrać cię ze sobą. W śmierci mają cię tak jak nie mieliby w żaden inny sposób. Kori dźwigała ciężar i matki, i ojca, pomyślała Gina tuląc małego Johna Philo do serca. Nic dziwnego, że trzymała się z dala od małżeństwa, czy od jakiegokolwiek związku, który mógłby wciągnąć ją w tę samą czarną dziurę, w jakiej zniknęli jej rodzice.

Stojąc na podwórku tego czerwcowego poranka, Gina czuła jak morska mgła kładzie się na jej ramionach. Spojrzała na prześwitujące słońce. Jasnoblękitne pączki jacarandy (ozdobne drzewko o niebieskich lub fioletowych kwiatach (przyp. tłum.)) przypominające kolorem oczy Kori, spadały wokół niej z drzew. Jeden wpadł w rączki dziecka, a ono zbliżyło go do oczu, śmiejąc się. To dziecko najpierw przyglądało się rzeczom, a potem, jeśli w ogóle, kładło je do buzi, zauważyła Gina, zupełnie inaczej niż inne dzieci. Sprawdzanie co nadawało się do jedzenia było dla niego mniej

ważne niż zobaczenie wszystkiego co było do zobaczenia. Urodzony marzyciel, zupełnie jak wujek Philo, pomyślała. Przez chwilę mogłaby przysiąc, że dziecko mrugnęło do niej, ale był to pewnie tylko odruch powieki na dotknięcie pączka kwiatu.

Nie od razu zdała sobie sprawę, że ktoś woła ją po imieniu. Annie zajęła ciężarówką i właśnie z niej wysiadała. Mały Jason, przyczepiony do jej ramienia i uda wyglądał z tej odległości jak malutki różowy prosiaczek. Annie miała na sobie jakiś szary obszerny kaftan, który powiewał wokół niej poruszany delikatnie bryzą. Nazim nie marnował czasu: od razu kazał jej się szczelnie okryć i stać niewidzialną.

- Pewnie zastanawiasz się dlaczego mam to na sobie - zaczęła Annie bez tchu, siadając obok Giny na trawniku. - Hej, czy to twój wnuk? Daj mu buzi, Jason. - Zbliżyła Jasona do Johna Philo, który szarpnął się do tyłu w ramionach Giny i wrzasnął. - Dziwne, dzieci zwykle się lubią - stwierdziła Annie próbując opanować machające rączki Jasona, które jakby same chciały zbić to drugie dziecko.

- Dlaczego to nosisz? - zapytała Gina zmarszczywszy brwi. - Nazim się boi, że go uwiedziesz?

- Nie, nawet jeszcze nie rozmawiałam z panem Nazimem. - Annie dała Jasonowi ciastko. Uspokoił się i zaczął mlaskać próbując je żuć. - To jego dwie żony przyszły dziś do mnie na rozmowę. Są naprawdę miłe. Lubią się, w co trudno uwierzyć. Ja bym zabiła kobietę, która chciałaby mi zabrać Davida. No i ta Fatima, ta starsza, dała mi ten chałat. Mówi, że muszę to nosić cały czas i że mogę to zdejmować tylko wtedy, kiedy jestem sama w pokoju albo z mężem.

- Bzdura - stwierdziła Gina myśląc o wszystkich tych gorących letnich dniach, jakie Annie miała spędzić w tej sukni, gotując i sprzątajac, kiedy rękawy będą wpadać jej do

zupy albo wiadra z wodą. - Myślisz, że ta praca jest tego warta?

- Pewnie - odparła Annie. - Fatima wyjaśniła mi, że mężczyźni cały czas się na nas gapią i myślą sobie różne rzeczy, a może nawet będą chcieli zgwałcić, właśnie dlatego że nosimy te seksowne ubrania, wiesz? Kiedyś ktoś próbował mnie zgwałcić, dosłownie pod samym domem. Ludzie mi pomogli, a wtedy ten facet powiedział, że to przez to, że miałam na sobie body i szorty. Więc może Fatima i Yasmin mają rację. Tak czy tak, nie jest to takie złe i będę to nosić.

- A co o tym myśli David? - Gina przezornie trzymała Johna Philo poza zasięgiem rozmokłego ciastka Jasona.

- Z początku wydawało mu się to dziwne, ale potem powiedział, że przynajmniej nikt nie będzie próbował mnie od niego odciągnąć. Czy to nie słodkie? Jakby fajnie było na mnie popatrzeć albo co! David lubi pana Nazima. Rozmawiali o tym jak pomagać bezdomnym, a Nazim pytał gdzie ich można znaleźć. David zabierze go dziś na mięsny rynek.

Gina wiedziała co to takiego. Było to miejsce we wschodniej części miasta, gdzie bezdomni i bezrobotni siadywali na niskich murkach ziemnych i czekali aż ktoś ich zatrudni na dzień za minimalną płacę. Niedawno czytała w jakiejś gazecie, że pewien Arab z Florydy remontował blok mieszkalny dla bezdomnych czarnych. W takim razie Nazim też do nich należał, jak Arabowie w Waszyngtonie i Santa Cruz, i Bóg wie gdzie jeszcze, rekrutował własną armię.

- Czy Nazim obiecał im broń? - unikała spojrzenia Annie, nie chcąc by dziewczyna domyśliła się, że jej zaufanie do nich jako do szpiegów szybko się ulatniało.

- Nie, nic z tych rzeczy! Mówi, że chce zbudować dla nich i ich dzieci szkołę, żeby mogli się uczyć. Prawdziwą, dobrą szkołę, nawet dla małych dzieci. Wiesz, taką z całodzienną opieką. A może też dom mieszkalny, jak ten, co

na Florydzie zaczęli budować jego przyjaciele. Strasznie się cieszymy z Davidem, że będziemy mogli oddać dziecko do darmowej szkoły. Pan Nazim mówi, że będzie najlepsza. Nawet lepsza niż te udziwnione prywatne szkoły.

A więc rewolucja przyszła i do Santa Barbara, powiedziała sobie Gina, zastanawiając się czy Annie miała rację co do broni. Może David jej nie powiedział. Kobiety mają zajmować się gotowaniem i dziećmi, pewnie to mu powiedział Nazim. Trzymaj Annie na dystans od spraw męskich. Zastanawiała się czy słyszała jeszcze coś o czekach przeznaczonych dla pewnych ważnych senatorów. Najlepiej będzie uspokoić Annie i Davida, i nie pozwolić im przypuszczać, że Nazim robi cokolwiek poza zatrudnianiem nielegalnych imigrantów z rynku mięsnego.

- Zdaje się, że ten Nazim to przyzwoity człowiek, Annie - powiedziała nienawidząc fałszu, który zabrzmiał w jej głosie.
- Mieliście szczęście.

- No jasne - Annie uśmiechnęła się, podniosła Jasona i rzuciła bezkształtne już ciastko w krzak eugenii. - Przyjazne środowisku - stwierdziła zauważywszy wyraz twarzy Giny. - Wiem to. Pan Nazim mówi, że jesteśmy odpowiedzialni przed Bogiem za to, żeby utrzymywać świat w czystości i porządku, zwłaszcza my, kobiety.

- To raczej nic nowego - wymruczała Gina i zaraz uśmiechnęła się szeroko, acz niepewnie ku Annie. - Wpadnij w przyszłym tygodniu i powiedz jak wam się wiedzie, dobrze? Naprawdę mnie to interesuje.

Annie odjechała, a Gina zastanowiła się czy Kief zgodziłby się na jeden dzień zmienić w bezdomnego, po prostu po to, aby przekonać się czy Nazim go zatrudni. Jako źródło informacji, Annie i David wkrótce mieli uodpornić się nawet na jej siłę przekonywania. Kief dowie się więcej.

* * *

Kief sądził, że nikt go nie rozpozna. Od piętnastu lat nie mieszkał już w Santa Barbara, a niedawno zapuszczona broda miała go ukryć przed każdym, kto mógł go jeszcze pamiętać. Miał też teraz szerokie barki, wyrobione w archeologicznych okopach w Egipcie, czyli dwuletnim podarunku od jego uniwersytetu. Kilka dni po wizycie Annie, Kief założył swój stary kombinezon roboczy, koszulkę trykotową oraz brudny, zdeformowany kapelusz, który opuścił nisko na czoło i udał się na rynek mięsny.

Siedział tam może dziesięć minut patrząc na ruchliwą, jednokierunkową ulicę, kiedy pojawił się przed nim niski, krępy mężczyzna z głową obwiązaną czerwoną przepaską.

- Masz ręce, które znają pracę - stwierdził krępy. - Nie jak ci, co tylko grają na gitarach i otwierają puszkę z piwem. - Spojrzał z namysłem na resztę mężczyzn siedzących na murku i wyciągnął ku Kiefowi otwartą dłoń.

- O'Keefe - odparł Kief uderzając w jego rękę. - Myślisz, że będzie dziś jakaś robota?

- Może. Jesteś tu nowy?

- Właśnie przyjechałem z Santa Cruz. Niewiele się tam dzieje.

- Tu i owszem - odpowiedział Bill trącając Kiefa łokciem. - jakiś facet buduje szkołę na Ortega Street. Burzy ten blaszany barak, gdzie mieszkali bezdomni. Chcesz się wpisać?

- Jasne. Dobrze płaci? - Kief przeskoczył mur i szybko dogonił Billa, któremu krótkie nogi nie pozwalały rozwinąć szybszego tempa.

- Dziesięć na godzinę i daje lunch. Ale nie wolno pić. Szef mówi, że jak złapie kogoś na szmuglowaniu piwa, wyrzuci od razu.

Kief skinął głową. Resztę drogi przebył w milczeniu przypominając sobie, czego kazała mu się dowiedzieć Gina. Jego matka była bystra, a mając odpowiednie informacje,

mogła dotrzeć do kogoś na poziomie stanowym, kto mógłby powstrzymać Nazima. Jednakże, może być niełatwo powstrzymać kogoś, kto czyni dobro i to za swoje własne pieniądze. Kto byłby przeciwny szkole dla bezdomnych? Kief spojrział na miasto, zastanawiając się, czy pomysł Nazima naprawdę był taki zły.

Po trzech godzinach uprzątnięcia drewna i metalu z miejsca, gdzie Nazim chciał wybudować szkołę, Kief był gotów zrezygnować ze wszystkiego. Pomyślał o szczupłym ciełe Kori wyciągniętym w popołudniowej drzemce pod chłodnymi bawełnianymi prześcieradłami jego matki i zapragnął znaleźć się obok niej. Jego koszulka była przepocona, więc ją zdjął i powiesił na płocie, aby wyschła nieco na lekkim wietrze. Południowe słońce grzało niby w Egipcie. Gwałtowne poddmuchy wiatru pochodziły z pustyni za górami. Walczyły z chłodną bryzą znad oceanu i wygrywały.

Bill Stuckey zaproponował mu pół kanapki i Kief zawahał się widząc, że była w niej szynka i ser. Choć rodzina niemal w ogóle nie podtrzymywała tradycji żydowskiej, Kief zawsze czuł lekki wstręt do szynki. Teraz, kiedy był wegetarianinem, na widok różowego, śluzowatego mięsa leżącego na mizernym płatku sera, poczuł się jeszcze bardziej nieszczęśliwy. Bill bezskutecznie próbował mówić i żuć jednocześnie, nie zauważył więc jak Kief ukradkowo wyciągnął szynkę z kanapki i wepchnął ją pod kłodę drewna, na której siedzieli.

- To dobrze - odezwał się za nimi jedwabisty głos z obcym akcentem. - Nie jeść mięsa świni.

Kief odwrócił się i spojrział na szczupłego, elegancko ubranego mężczyznę, stojącego kilka kroków dalej i obserwującego ich. Miał głęboko pobrużdżoną twarz i wąskie usta, które wyglądały jakby ich właściciel nieczęsto ćwiczył uśmiech.

Bill Stuckey przełknął gwałtownie i zawiązał resztki kanapki w papier.

- Nie widzieliśmy pana, panie Nazim. Właśnie robiliśmy sobie krótką przerwę.

Nazim skinął głową.

- Przyrowadź go dziś wieczorem - powiedział. - Potrafię poznać człowieka z charakterem. - Wyprostował plecy i wolno podszedł ku inżynierowi i architektowi, którzy pochylali się nad planami budowy.

- Hej, spodobałeś mu się! - zawołał Stuckey. - Nazim zwykle nie pozwala nowym na nocne ćwiczenia.

Kief zaczerpnął głęboko powietrza próbując powstrzymać bicie serca.

- Co za ćwiczenia? To brzmi jak poligon.

- Zobaczysz. - Nagle Stuckey zrobił się chłodniejszy, bardziej odległy. - Musimy tu skończyć z tymi śmieciami. Dzisiaj zaczynają kopać fundamenty.

Po wspólnym zjedzeniu lunchu złożonego z pizzy, Kief zadzwonił do Giny i Kori, aby je zawiadomić, że wieczorem będzie uczestniczył w czymś w rodzaju ćwiczeń wojskowych u Nazima i spróbuje dowiedzieć się czegoś więcej. Najpewniej chciałyby, aby jak najszybciej wracał do domu i nie mieszał się do tajnej armii Nazima, ale Kief szybko odłożył słuchawkę. Nikt go nie rozpozna, a to był najszybszy sposób wejścia do organizacji. Policja będzie potrzebować zaledwie kilku dni na ujawnienie kamuflażu Nazima. I Homera Healey'a, jeśli duchowny Jerry'ego istotnie pracował dla sprawy Nazima.

Kief nie widział wcześniej posiadłości matki, kupionej i sprzedanej tak pośpiesznie, więc kiedy przybył na miejsce w ciężarówce pełnej robotników, zastanowił się, jak mogła z niej zrezygnować. Zawsze marzyła o hiszpańskiej willi nad brzegiem oceanu, a przez lata całe nie mówiła o niczym

innym. Nie był do niej podobny. Nie mógł pojąć jak to się stało, że syn silnej kobiety pragnącej domów jak inne kobiety pragną miłości, potrafi zadowolić się małą chatką w górach i nie chce nic więcej, z wyjątkiem tego może, żeby Kori i John Philo zostali z nim na zawsze. Nie chciała małżeństwa, więc nie mógł być pewien jak długo będzie się cieszył tą niespodziewaną rodziną. Lubił nosić dziecko w małym nosidełku na brzuchu, chodzić z nim na jagody lub niespodziewanie przynosić jagody cherimoya dla Kori, która nigdy wcześniej ich nie jadła.

Upalne słońce zaczęło grzać jeszcze intensywniej, a zza gór powiał gorący wiatr, którego tak obawiają się ludzie w dolinie, gdyż może przynieść ze sobą ogień, który rozprzestrzeni się tak błyskawicznie, że mieszkańcy dolin zdążą zabrać ze swoich domów zaledwie zwierzęta i polisy ubezpieczeniowe. Jego ostrożna matka wynajęła skład położony blisko oceanu, gdzie przechowywała najważniejsze dokumenty, biżuterię i zdjęcia, nie chcąc ich utracić w niepewnym domu, w którym wychował się Kief. Mało brakowało, a straciliby go podczas wielkiego pożaru Kanionu Sykomorowego. Pamiętał jak pomagał jej ładować dokumenty do samochodu, a wysokie, czerwone płomienie tańczyły nad ich głowami, iskry spadały na dach, który Gina na szczęście wyposażyła w zraszacze. Nawet mając zaledwie dziesięć lat, nie myślał o tym, że utraci wszystkie te rzeczy, ale o tym, że nic nie trwa wiecznie.

- Nic z tego nie jest prawdziwe - powiedział matce. - Za jakiś czas, kiedy umrzemy, to wszystko i tak przepadnie. Albo będzie należało do kogoś innego.

Gina nakrzyczała na niego i wlepiła mu klapsa.

- To wszystko jest dość prawdziwe, aby zapłacić za twoją szkołę, moje ty mądre dziecko. Wsiadaj i zapnij pasy. Pójdę jeszcze po moje książki. - Z osmalonymi brwiami i włosami

pachnącymi dymem, jechała wąską drogą, a za nimi nadchodziły płomienie.

Kief stał przed chłodną, szemrzącą fontanną obserwując księżyc prześwitujący przez płynące z wiatrem chmury i zastanawiając się, jak Gina mogła oddać ten dom. Pisała mu, że nareszcie spełniła swe marzenia. Jak wszystkie marzenia, pomyślał, to była tylko mrzonka. Mieszkając z Jerryem w małym domku przy Olive Street była szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Może nawet nauczy się żyć nie goniąc za kamieniem filozoficznym zdolnym zapewnić jej bezpieczeństwo. Jakby mogli żyć wiecznie, pozostać w zdrowiu i nie pozwolić, aby atomy ich ciał rozproszyły się w kosmosie, stając się nowymi, nie ukształtowanymi jeszcze istotami, a oddech życia, Bóg w nich, przybrał inną formę. Nagle pomyślał o Indiach i świętym nauczycielu, którego wkrótce odwiedzi. Jego serce zabiło radośnie jak wtedy, gdy dowiedział się, że ma syna.

- Chodź, O'Keefe! - zawołał Stuckey. - Schodzimy na plażę. Przejdź przez dom i duże podwójne drzwi na kamienne patio. Buty musisz wziąć do ręki.

Kief rozmyślnie został z tyłu. Zdjął trampki, a reszta mężczyzn brała strzelby ułożone przy podwójnych drzwiach, które prowadziły do czegoś w rodzaju studia. Kief wsunął się do środka. Przejrzenie papierów na biurku zabrało mu chwilę. Była tam oferta sprzedaży pakietu kontrolnego od jednego z głównych właścicieli pewnej wielkiej firmy. Inna proponowała wsparcie w rządach lokalnych i wyeliminowaniu rządu federalnego; przecież zimna wojna skończyła się. Kief włożył oba listy do tylnej kieszeni swoich przepoconych dżinsów i obrócił się do drzwi. W tym momencie zauważył nieciekawą, żółtowłosą dziewczynę ubraną w szary kaftan. Zmarszczyła brwi i pogroziła mu palcem. Kief uniósł ręce,

pokazując że nic nie zrobił i wycofał się z pokoju, mając nadzieję, że dziewczyna nie zawoła strażników.

Stała tam tylko i patrzyła na niego, a na jej bladej, okrągłej twarzy wciąż widniał ten wyraz zastanowienia, jakby zastanawiała się skąd go zna. Wystarczy, pomyślał, jeśli go nie zawróci. Pobiegł do drzwi i wziął strzelbę, czując się głupio, bo nigdy nie miał w ręku nic poza wiatrówką, z której uczył się strzelać, kiedy miał dziewięć lat.

- Ty tam! - wrzasnął młody człowiek, dowódca, jak się wydawało. - Jak się nazywasz?

- O'Keefe. - Kief poczuł się dziwnie podając obce sobie nazwisko. Nie był przyzwyczajony do kłamstw i jego głos to zdradzał. Ktoś zaświecił mu latarką w oczy. Zamrugał gwałtownie. - Jesteś synem Giny Hoffman - rozległ się czyjś głos. - Nie jesteś jednym z nas!

Mężczyźni zaczęli się do niego zbliżać, kiedy próbował osłonić oczy przed oślepiającym, sprawiającym ból światłem. Nie przyszło mu do głowy posłużyć się strzelbą inaczej niż jako kijem, który miał go odgrodzić od napierających zewsząd nóg i rąk. Upadł na kolana zamachnąwszy się nieskutecznie w kierunku kolan mężczyzn, którzy przewrócili go na twarz i zaczęli kopać, aż poczuł jak kilka zębów wpada mu do gardła. Z jakiegoś powodu bardziej zajęło go ich wypluwanie niż ochrona pleców, na które spadały ciosy kolb strzelb i butów. Po pierwszym uderzeniu w kręgosłup nie czuł wiele, oddech utkwiał mu w gardle, a on sam wypłynął z ciała i przypatrywał się całej scenie z dystansu i bez wielkiego zainteresowania. Ktoś zaczął odpychać mężczyzn na boki.

- Nie żyje! - rozległ się głos. - Wyrzucę go na posiadłości Wilcoxa.

Kief przebudził się pod nędznym, pochylonym drzewem eukaliptusowym. Przez jego gałęzie przebłyskiwały gwiazdy. Ktoś owijał go kocem. Spróbował zogniskować oczy na

chudym młodym mężczyźnie, którego czubek czaszki był pozbawiony włosów. Pewnie kosmita, pomyślał Kief sennie. Zabierze mnie w podróż międzyplanetarną. Spróbował powiedzieć coś do kosmity, ale głos szybko odmówił mu posłuszeństwa.

- Wyłizesz się z tego - odezwał się młody człowiek.

- Tylko nie gadaj o tym, co tu się stało, bo mnie zabiją.

- Dlaczego...? - głos Kiefa znów zamarł.

- Bo znam twoją matkę, a ona jest dobrą kobietą. - Odwrócił się w kierunku ciężarówki. - Zadzwoń teraz po pomoc. Za kilka minut przyjadą po ciebie medycy. Tylko nic nie mów. Przyrzeknij.

- Przyrzekam. - Kief czuł jak wargi układają się, aby wypowiedzieć to słowo, ale zasnął zanim zdołał je wymówić.

* * *

Nazim słyszał krzyki z plaży, ale nie wiedział co się stało póki o wszystkim nie opowiedział mu kapitan jego oddziału. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami na haftowanych poduszkach w swoim studio i zapatrzył się na malowaną w kwiaty ścianę. Bez sensu byłoby obwiniać o wszystko tych ludzi, stwierdził, ponieważ chcieli być lojalni i dyskretni. A jednak, prawo gościnności zostało pogwałcone tym atakiem na nieznanego, i Nazim był niespokojny. Nie martwiło go to, że mógłby zostać oskarżony o morderstwo, gdyż wiedział, że jego miliardy zapewnią mu ochronę przed amerykańskim systemem sprawiedliwości. Pochylił się nisko, twarzą do podłogi, i zaczął się modlić. Kiedy zamknął oczy, ujrzał twarz swego dawnego nauczyciela, Al - Hallaja, który wziął imię po żyjącym w dziesiątym wieku świętym, ukrzyżowanym za to, że w duchowej ekstazie wykrzykiwał, że jest Bogiem. Tak naprawdę, święty krzyczał, że jest Rzeczywistością, Wszystkim. Nazim, jak jego mistrz, rozumiał, że dusza ludzka jest jak ćma spalająca się na popiół w boskim płomieniu.

Nazim pragnął, aby jego dusza miała skrzydła ćmy. Tymczasem jednak czuł, że ciąży mu w piersi niczym ołów.

- Teraz wiem, o Panie, co jest w moim sercu - wyśpiewał głośno - choć twoja święta twarz pozostaje zakryta przed moim spojrzeniem, czuję jak mnie dotykasz. - Łzy napłynęły mu do oczu i zamarł na chwilę, oddychając tak płytko, że wydawało się, iż w chwili połączenia się niemal w ogóle nie potrzebuje oddychać.

Nazim wyprostował się z westchnieniem, zastanawiając się, czy twarz jego nauczyciela kiedykolwiek przestanie go nachodzić i wyrzucać to, że opuścił świat uczonego dla świata wojownika. Koran był jego życiem póki pewien bojowy imam, który zastąpił Al - Hallaja, nie postawił przed nim zadania zdobycia zachodniego świata dla Allaha. Wśród sufitów mówiło się, że w każdym uczniu na zawsze pozostaje coś z ducha nauczyciela, tak że uczeń nie może oddalić się za bardzo od nauk, które pobrał. Al - Hallaj nauczał, że należy pościć i modlić się co najmniej przez miesiąc, kiedy ktoś zostanie zabity na twojej ziemi. Ale imam wznosił dziękczynne modły za to, że zginął kolejny niewierny. Pomiedzy nimi dwoma, Al - Hallejem i imamem, Nazim przez długi czas żył osobistym dżihadem, który muzułmanie zawsze traktowali poważniej niż świętą wojnę z bronią. Duchowy dżihad rozgrywał się między instynktem a wiarą mężczyzny, a Nazim wiedział, że jego miłość do Allaha często przesłaniało pragnienie ujrzenia królestwa Allaha na ziemi. Był wystarczająco dobrze wykształcony, aby wiedzieć, że jedno różniło się od drugiego, ale jednocześnie był do głębi wojownikiem i nie rezygnował ze sprawy.

Leżąc, spocił się w ogromnym upale, wstał więc i usiadł przy biurku, aby przejrzeć korespondencję. Na list od przewodniczącego sieci powinien odpowiedzieć od razu, gdyż Jihad potrzebował wsparcia mediów, zwłaszcza teraz, kiedy

znalazł się w samej Ameryce. Przeszukał papiery na biurku, potem jedną po drugiej otworzył szuflady. List, który zostawił na wierzchu, zniknął.

Natychmiast zwołano wszystkich ludzi, a Nazim przechadzał się przed nimi zadając pytania. Annie usiadła z tyłu, za Yasmin, i nerwowo bawiła się frędzlami przy sukni młodej żony.

- Listy brakują z mojego biurka - oznajmił Nazim, patrząc wprost w przerażone twarze swojej rodziny i personelu. - Jedno z was zabrało. Który był w studio dziś wieczorem?

Kiedy jego oczy spoczęły na twarzy Annie, ta zaczerwieniła się.

- Ty! Co ty wiesz o tym? - przeszedł przez pokój i zatrzymał się przed nią. Jego głos brzmiał miękko, ale pod nim czaiła się groźba. Yasmin zaczęła płakać, ale uciszył ją spojrzeniem. - Co?

- Byłam w drzwiach - głos Annie załamał się i musiała zacząć jeszcze raz. - Właśnie przechodziłam i zobaczyłam jak ten z brodą stał obok biurka. Może to był syn Giny Hoffman. Pokazałam mu, żeby lepiej wyszedł, i on wyszedł. Od razu.

- Syn Giny Hoffman. On je ma. - Nazim strzelił palcami i dwóch strażników wstało. - Znajdźcie ciało - polecił im. - Zabierzcie listy z kieszeni. Nie iść. Biec.

Wszyscy w milczeniu czekali całą godzinę, póki nie wrócili strażnicy, tym razem z Davidem, który poszedł z nimi, aby im pokazać gdzie zostawił ciało. Na miejscu znaleźli zgniecioną trawę ze śladami krwi, ale ciała nie było.

- Nikt nie może zobaczyć tych listów - powiedział cicho Nazim, znów się przechadzając. - Ja je muszę mieć z powrotem.

Drżąc, Annie podniosła się z krzesła.

- Spróbuję je odzyskać - powiedziała. - To przeze mnie znikły i chcę je odzyskać.

- Znasz rodzinę - Nazim skinął głową. - Myślę, że to dobry pomysł. David, pozwolisz jej pójść. - Odwrócił się nieco ku chudemu młodemu człowiekowi, któremu zaledwie wczoraj oddał za żonę swoją gosposię. Fatima i Yasmin ubrały dziewczynę w kwiaty i czerwoną, haftowaną suknię. Tęskniły za swoją wielką rodziną, którą zostawiły w Libanie. Annie i jej dziecko były teraz częścią ich haremu, domu kobiet.

- Jutro pójdziesz - rozkazał Nazim, otwierając Koran i siadając przed nimi na poduszkach. - Teraz będziemy czytać świętą księgę, przygotujemy się do modlitw - otworzył na ósmej surze, swojej ulubionej i chrząknął oczyszczając gardło. - W Imię Boga łaskawego i litościwego - czytał. - „Bismi - llahi al - rahman al - rehim.”

Dźwięk tych słów sprawił, że zapomniał o zaginionych listach, zabójstwie i pełnej wyrzutu twarzy Al - Hallaja. Prorocy obiecywali, że jeśli będzie się czysto recytowało Koran, wtedy spokój Allaha, jego sakina, otuli recytującego. I tak się stało z Nazimem, którego palec podążał wzdłuż pełnych wdzięku liter tekstu, a serce radowało się świętym pismem stronicy.

* * *

Gina i Kori były już w łóżkach, kiedy zadzwoniono ze szpitala. John Philo marudził cały wieczór, co było do niego zupełnie niepodobne, jak stwierdziła Kori, więc musiały zabrać go z sobą do szpitala. Leżał na boku, a lekarze musieli chyba robić coś bolesnego z jego plecami, bo cały czas jęczał w poduszkę. Zobaczywszy jego spuchnięte, zakrwawione wargi, Gina krzyknęła. Kori nie odezwała się słowem, ale jej twarz zrobiła się biała. Pielęgniarka wzięła od niej dziecko i powiedziała, że położy je do łóżeczka na oddziale pediatrycznymi

Gina odciągnęła jednego z lekarzy na bok i wbiła czerwone paznokcie w jego ramię.

- Nie mogę teraz rozmawiać - bronił się lekarz. - Przygotowujemy go do przeprowadzenia mielogramu.

- Niech pan mnie nie oszukuje - wściekła się Gina. - Mielogram to strata czasu. Tylko idioci jeszcze to robią. Czy będziecie operować? Czy on może chodzić? Czy o to chodzi?

- Nie czuje dolnej części ciała - odpowiedział lekarz niechętnie. - Proszę posłuchać, nawet nie wiem kim pani jest. Nie wolno mi nic mówić.

Potrząsnęła nim z błyszczącymi oczami.

- To mój syn, a pan, do diabła, niech lepiej mi powie co mu jest, żebym mogła się skontaktować z moim ortopedą w Sansum. Żadnego mielogramu póki nie znajdzie się tu doktor Hyde. Opiekujcie się nim tylko i nie róbcie mu żadnych wymyślnych zabiegów, jasne?

W ciągu kilku minut skontaktowała się z drem Hydem, najlepszym w Kalifornii specjalistą od urazów dolnej części kręgosłupa w Sansum Clinic, a w ciągu pół godziny lekarz znalazł się przy Kiefie, robiąc badania. Nie powiedział do niej słowa, za to wciąż mówił do niewielkiego magnetofonu zawieszonego na szyi. Gina nic z tego nie rozumiała. Kori siedziała przy Kiefie, z twarzą bladą i bez wyrazu. Delikatnie głaskała jego czoło, włosy i spuchnięte, pokaleczone wargi.

Dr Hyde dał znak Ginie, aby wyszła z nim na korytarz. Stali w ostrym, błękitnym świetle lamp, a Gina przypomniała sobie, że w takim samym świetle i w tym samym szpitalu leżała, kiedy Kief miał się urodzić.

- Jest źle, Gino - ręka dr Hyde'a dotknęła jej ramienia, a potem opadła. - Widziałem już zdjęcia rentgenowskie. Rzecz w tym, że czwarty i piąty krąg lędźwiowy, a także rdzeń kręgowy zostały zmiażdżone. Będzie miał władzę w górnej części ciała, ale żadnej poniżej pasa.

- Operacja? - tchnęła Gina, a jej oczy wypełniała furia. - Jakaś terapia?

- Nic tu nie pomoże. Jesteś dość silna, aby dowiedzieć się prawdy i ja ci ją mówię. - Dr Hyde zwrócił się w kierunku drzwi, za którymi leżał jego pacjent. - Będzie mógł posługiwać się wózkiem inwalidzkim. Bądź zadowolona, że nie skopali go trochę wyżej, bo byłby sparaliżowany w trzech czwartych.

Gina usiadła w jednym z wyłożonych burgundową skórą krzesłach i pochyliła się nisko, aż jej twarz znalazła się na kolanach. To ona zrobiła to Kiefowi, pozwoliła mu tam pójść, prosiła go o to. To kochane ciało, te kości i mięśnie, ten ukochany radosny syn był teraz okaleczonym, bezsilnym wrakiem, i to była jej wina. Nie martw się Kiefem. Ja się nim zajmę, odezwał się znajomy głos. Przywieź go do mnie i nie płacz. Nie odzywaj się do mnie, rozzłościła się bez słów. Pozwoliłeś, żeby okaleczono mego syna. Zmieniłeś go w kalekę. Czemu miałabym cię słuchać? Nigdy nie przyjadę do ciebie do Indii. Nigdy. To wszystko kłamstwo. Bawisz się nami jak dziecko z mrówkami. Kochasz nas, pewnie, jak cholera! Przywieź go, głos był jednostajny i odległy jak gwiazdy na czystym niebie. Zrób to.

- Gina? - Jerry, spocony i z czerwoną twarzą, biegł korytarzem. - Co z nim? Dr Hyde dzwonił do mnie. Dlaczego ty nie zadzwoniłaś?

Gina patrzyła bezmyślnie przed siebie.

- Wygłosiłbyś mi jakieś idiotyczne kazanie o tym jak to cierpienie nas uszlachetnia. Albo jak to każdy musi dźwigać swój krzyż.

Jerry objął ją i trzymał póki jej sztywne ciało nie rozluźniło się i oparło o jego.

- Nic tak nie boli jak miłość - powiedział drżącym głosem. Czują jego łzy na swoim policzku. - Tak strasznie mi przykro.

Zacząła płakać, ciałem wstrząsało łkanie, a gardło nie nadążało chwytać powietrza, aż myślała, że zwymiotuje.

- Powiedz, że to wszystko mi się śni, Jerry. Powiedz, że to nieprawda - przerwała przypomniawszy sobie jak wiele lat temu Kief powiedział jej, że ogień jest nieprawdziwy i jak za to dała mu klapsa.

- Musimy się modlić - rzekł Jerry cicho jakby się bał ją obrazić. - To wszystko, co możemy zrobić. - Uklęknął na podłodze, schował twarz w dłoniach, a ona poczuła się opuszczona. Przez długą chwilę nie poruszył się, i Gina stała tam sama z rękami opuszczonymi po bokach. Nagle przyszły jej do głowy słowa kaddish, słowa, których Zefat słuchała każdego piątku każdego roku w świątyni, kiedy szła uczcić dzień śmierci swego ojca. „Yis gadal, v'yiskadash shmai raba...” Przypomnijmy sobie życie tych, którzy byli nam bliscy, a którzy odeszli na wieczny spoczynek. Słowa były zbyt radosne, zbyt pewne siebie jak na opłakiwanie zmarłych, pomyślała wymawiając je, ale dokończyła modlitwę. Nagle Jerry spojrzał w górę.

- Powinniśmy zabrać Kiefa do Indii - powiedział. - To właśnie powinniśmy zrobić.

- Na wózku inwalidzkim? - zaśmiała się szorstko, a słowa kaddishu zamarty jej na ustach. - Umieszczę go w klinice rehabilitacyjnej na przyszły rok. Na tak długo jak będzie trzeba. Będę przy nim zawsze, póki nie zacznie chodzić. - Me martw się Kiefem, głos znów się pojawił, ja się nim zajmę.

- Cholera! - wykrzyknęła uderzając głową w błyszczącą, różową ścianę. - On jest mój, jest moim synem! - weszła do pokoju, a Jerry podążył za nią. Uklęka ciężko i wstrzymała oddech, kiedy kolana boleśnie uderzyły o twardą podłogę.

- Obudził się - powiedziała Kori bezbarwnym głosem. -
Chce się ze mną ożenić. Powiedziałam tak, oczywiście. Czy możecie znaleźć kogoś, kto by odprawił ceremonię?

- Zadzwońię po Homera - rzekł Jerry i wybiegł z pokoju. Gina zdołała go zatrzymać dopiero w korytarzu.

- On coś wymyśli, a na to trzeba przecież paru dni. Czy i my moglibyśmy się wtedy pobrać, Gina?

- Czemu nie? - odpowiedziała zmęczonym głosem.

- Dwa w cenie jednego. Kori dotknęła jej ramienia.

- Kief i ja wciąż chcemy jechać do Indii - stwierdziła. - Mam nadzieję, że pojedziecie z nami, ale bez względu na waszą decyzję, my musimy jechać. Tak mi powiedziano. - Wstała, wspierając się na ramieniu Giny. - Zostań z nim, proszę. Ja muszę nakarmić dziecko. Kief mi o tym przypomniał.

Gina złożyła głowę na białe, wykrochmalone prześcieradło, którym okryte było na wpół martwe ciało Kiefa. Łzy płynęły powoli, jak z zardzewiałego kranu. Jeśli Sai Baba opiekował się Kiefem, to ona miała wiele powodów, aby zapytać kim był ten hinduski nauczyciel i dlaczego mówił do niej jakby miał tylko najlepsze intencje. Zawsze czuła, że Bóg nie jest życzliwy. Zbyt wielu jej krewnych zginęło podczas Holokaustu, aby potrafiła przestać myśleć, że Bóg jest jak kot pochylający się nad myszą, której szczęście się skończyło.

Oczy Kiefa, niemal niewidoczne w obramowaniu ciemnych sińców, nagle otworzyły się i rozświetliły. Trudno było dosłyszeć jego ciche słowa, ale Ginie się to udało.

- Nie trać nadziei. Mamy opiekę.

Jego rozbite i pokaleczone wargi spróbowały się uśmiechnąć, a ona zobaczyła co zrobiono z jego zębami. Znów zamknął oczy, a chmura szarego popiołu opadła na jego powieki. Wibhutti, szary popiół, który wydziela się z rąk Sai Baby, jak powiedziała Kori, tylko że Sai Baby tu nie było.

Gina krzyknęła i rzuciła się na nieruchome ciało Kiefa, zacisnęła ręce na jego udach, jakby w ten sposób chcąc je ożywić. Kiedy wszedł Jerry, aby ją zabrać do domu, jej ręce wciąż kurczowo trzymały jego uda, jakby chcąc dotrzeć do źródła życia, które sprawiłoby, że jej syn znów będzie chodził, biegał i płodził dzieci.

* * *

Nie był to łatwy tydzień dla Homera Healey'a. Dwie ściany jego kryształowej świątyni pękły pod wpływem wtórnych wstrząsów po trzęsieniu ziemi o skali 5,2 stopnia. Zastanawiał, się czy Bóg mimo wszystko był przeciwny Katedrze Paruzji. Homer próbował wytłumaczyć swemu małowównemu dobroczyńcy, nieodgadnionemu Nazimowi, że fundamentalni Amerykanie dobrze wiedzieli, że Arabowie nie chcieli, aby Izraelici pojawili się na terenach Morza Śródziemnego. Nazim tylko uśmiechnął się na to nieznacznie i stwierdził, że Amerykanie wiedzą zaledwie tyle, ile im powiedzą media oraz że media, jak Homera Healey'a we własnej osobie, można kupić. Duchowny umilkł, a jego twarz upstrzyły cętki czerwieni. Podejrzewał wcześniej, że Nazim pogardzał nim jako niewiernym, a teraz wiedział to na pewno. A jednak, powiedział sobie, dla tych, którzy kochają Pana, wszystko obracało się na dobre. Pieniądze Nazima pójdą na zdobywanie dusz zanim Dni Ostatnie pogrążą świat w chaosie.

W czasie pierwszego ze swoich ogólnokrajowych programów, przeprowadzonych z właśnie ukończonej południowej części katedry, Healey ostrożnie stwierdził, że dzieci Ishmaela są również dziećmi Boga i zasługują na własny kawałek ziemi. Zewsząd napłynęły pełne wściekłości listy, zwłaszcza z Teksasu, stwierdzające, że Arabowie już w tej chwili zagarnęli cały Środkowy Wschód oprócz Izraela, kraju nie większego niż Massachusetts. Pewien miliarder zadzwonił do niego z Dallas i przez dziesięć minut rzucał na

niego gromy. Jak, chciał wiedzieć, Homer Healey wyobrażał sobie, że Jezus zbierze masy zbawionych w nowym Jeruzalem, jeśli Arabom pozwoli się obrócić święte miasto w perzynę, jak to zrobili w 1948?

Będzie musiał zająć się tym w sposób subtelniejszy, pomyślał bazgrząc odruchowo po brudnopisie przemówienia, które miał nagrać rano. A jednak Nazim będzie musiał najpierw wyrazić zgodę na tę wersję, jeśli Homer chciał jeszcze w tym miesiącu ujrzeć kolejny czek na ćwierć miliona dolarów. Przykrył płonące policzki chłodnymi rękami. Przed wizytą Nazima, który miał przybyć w każdej chwili, zawsze miał zimne ręce. Głęboko w sercu wciąż wierzył, że kaznodzieje powinni trzymać się z dala od polityki i że nie powinien oddawać Cezarowi tego, co boskie.

Lecz przecież zbliżała się ostatnia walka między siłami dobra i zła. Homer od dawna już widział nadchodzący Armageddon. On stał po jednej stronie, a po drugiej byli bezbożni świeccy idealisci i ci, którzy wierzyli w New Age, w to, że Bóg jest równy ludziom i w to, że religie orientalne są równe religii chrześcijańskiej. Do brudnopisu dodał krytykę idei twierdzącej, że wszyscy znajdą miejsce u boku Boga, gdyż pisma ostrzegały, że niektórzy zostaną odsunięci, zwiedzeni przez cudotwórców podających się za wcielenie Chrystusa, lecz którzy naprawdę są narzędziami diabła. Potem, specjalnie dla Nazima, napisał, że dzisiejsi Izraelici nie są tymi samymi, którym Bóg obiecał Ziemię Świętą. Dzisiejsi są współczesnymi socjalistami z dekadentycznej Europy, którzy przeważnie odeszli od Boga Abrahama, Izaaka i Jakuba, i stracili Jego opiekę.

- Bardzo ładnie - powiedział Nazim pół godziny później, postukując szczupłym palcem w passus mówiący o Bogu, który opuścił Izraelitów. - Argument nowy, ale podoba mi się. Ziemia Święta, jak świat należy do nas, którzy żyjemy w

czystości. Znamy warunki Boga i z nich nie drwimy - strzelił palcami po papierosa i pochylił się, kiedy służący podał mu ogień.

- Amen - odetchnął Homer z ulgą. Poczuł, że ma więcej wspólnego z Nazimem niż z obcą, twardą, wyrachowaną kobietą, którą jego diakon, Jerry North, miał poślubić następnego dnia. - Nie drwi się z Boga. - Zastanawiał się, czy może Uniesienie nie było przeznaczone bynajmniej Żydom, ale właśnie muzułmanom, którzy przecież pochodzili z tej samej, semickiej rodziny. Zapisał ten pomysł na późniejsze przemówienie. Z policzkami płonącymi pasją twórczą, przeczytał to Nazimowi.

- Znów dobrze - stwierdził Nazim, strzepując długi koniuszek popiołu w kierunku kosza na śmieci. - Musisz przekonać swoich ludzi, że ten świat rozpadnie się na kawałki, jeśli nie odwrócą się od tego, co stare. Powiedz, Uniesienie, które szybko przyjdzie. Ludzie muszą się na to nastawić. Żadnych więcej bogatych polityków, żadnego gadania, że rząd to Bóg. Mów, że ludzie nie potrzebują wiele rządu, bo będą czyści w sercach. Nie potrzeba wielkich podatków, armii. Tylko dobrzy ludzie i mało władz rządowych wokół. Tak? Wiesz, co mówić?

Po wyjściu Nazima, Homer przeredagował swoje przemówienie. Będzie takie, jak powiedział Arab. Zanim nadejdzie Uniesienie, dobrzy ludzie muszą się zebrać razem, muszą wiedzieć kim są. Niektórzy fundamentaliści, wiedział o tym, krzyczeli nawet, że potrzeba jest trzeciej partii politycznej, głosowali za oczyszczeniem mediów z plugawości i zapędzeniem kobiet z powrotem do domów, do dzieci, gdzie byłyby bezpieczne przed narastającą falą gwałtów, bezdomności i splugawienia ich niewinności. On sam mógłby nawet poprowadzić tę Fundamentalistyczną Partię Boga, pomyślał. Nowa partia mogłaby powstać właśnie

tu, w Santa Barbara, a potem rozszerzyć się na cały naród. Kto nie byłby zadowolony, gdyby położono kres napływowi pieniędzy do Waszyngtonu? I co takiego właściwie miał do roboty rząd teraz, kiedy komunistyczne imperium przestało istnieć? Płacił tylko artystom za ten ich antychrześcijański śmieć i nie pozwalał modlić się dzieciom uczęszczającym do szkół publicznych. Pisząc gorączkowo, układał jednocześnie w myślach program telewizyjny, który miał rozplomienić serca widzów. A ci, których serca nie poruszy Duch, zostaną zwyciężeni perspektywą zawrócenia rzeki ich podatków płynących do Waszyngtonu z powrotem do nich.

Skończywszy pisać, Homer zaczął studiować plany kryształowej świątyni. Słyszał już głosy chóru śpiewającego o dniach ostatnich i nadejściu zbawiciela o głosie jak grom, silniejszego niż trzęsienia ziemi i łagodniejszego niż ten cichy, jednostajny głos, który przemawiał do Mojżesza na pustyni.

Program telewizyjny, realizowany w jasnym, błękitnym świetle budowanej właśnie kaplicy, wywołał natychmiastową lawinę telegramów i telefonów. Ludzie prosili, aby założył numer telefoniczny rozpoczynający się od cyfr 800 (numer telefoniczny, pod który można dzwonić nie płacąc za rozmowę (przyp. tłum.)) oraz konto, na które będą mogli wysyłać swoje darowizny. Uniesienie było w zasięgu ręki, modlił się Homer Healey swoim miękkim, melodyjnym głosem, a nagłe zainteresowanie emocjonalne oznaczało przyłączenie się do niego. Bądź gotów na Dzień Sądu, Powtórne Nadejście. Niech twój rząd znajduje się blisko twego domu, abyś miał pewność, że służy Panu. Kiedy nadejdą okropne czasy, a świat stanie przed sądem, wtedy ci, którzy miłują Boga, znajdą się w objęciach Jego odwiecznych ramion. Homer Healey odczytywał słowa z tablicy umieszczonej przed kamerą z pasją prawdziwego kochanka. Ludzie dzwoniли z całego kraju, obiecując żal za grzechy i

darowizny, póki lokalna stacja telefoniczna, którą Homer wynajął nie zablokowała się.

Kiedy rodzina Giny przybyła na śluby do starego kościoła, który miała zastąpić katedra, Homer jakby oszalał. Gęste, równo ostrzyżone, szpakowate włosy stały mu na głowie, a twarz przybrała odcień szkarłatu. Gdyby śluby zamówił ktoś inny niż brat Jerry, Homer odwołałby je. Kiedy stajesz się postacią publiczną, powiedział mu Nazim uwodzicielsko, zadania mniej ważne wykonują za ciebie inni.

- Widziałeś program? - Homer ujął Jerry'ego pod rękę i ścisnął ją nieświadomie. - Moja sekretarka dzwoniła do twojej... narzeczonej.

- Tak, widzieliśmy go - odparła Gina stając przed Jerrym.
- Próbujesz przekazać Izrael Arabom, ty sukin...

Jerry delikatnie zasłonił ręką jej usta.

- Musieliśmy pokazać kierowcy ambulansu gdzie ma przywieźć Kiefa - powiedział. - Syn Giny nalegał, aby go tu przywieźć, ale jest na wyciągu. Czy nie mamy tu gdzieś jakiegoś podwyższenia, po którym moglibyśmy go wwieźć? Sanitariusze będą musieli zwinąć wyciąg.

- W zakrystii - rzekł Homer. - Przyniosę. - Musiał koniecznie oddalić się od Giny. Jej rozwichrzone, ciemne włosy okalały twarz niby twarz anioła gniewu, a jej słowa przeszywały mu serce.

- Jerry nie da ci już ani centa na ten kościół! - krzyczała za nim Gina. - To była jego ostatnia dziesięcina, słyszysz?!

- Nie gniewaj się na nią - Jerry pospieszył za Homerem, aby pomóc mu przynieść ciężką belkę drewna, która służyła jako rampa dla ludzi poruszających się na wózkach inwalidzkich. - W zeszłym miesiącu okaleczono jej syna, mówiłem ci o tym. Ona nie jest sobą.

Homer obejrzał się na Ginę, której oczy błyszczały ku niemu, a dłonie zaciśnięte były w pięści. Według niego była

nad wyraz sobą. Pomagał sanitariuszom przenosić wyciąg Kiefa i popychał go ku ołtarzowi, gdzie czekały Gina i Kori.

Kori miała na sobie długą, szarzieloną bawełnianą suknię wykonaną z gazy oraz szeroki, słomkowy kapelusz. Kiedy Kief zbliżył się na swoim wyciągu, podała śpiące dziecko Ginie, podeszła do Kiefa i ujęła go za rękę. Homer nie wiedział o dziecku i zastanawiał się przez chwilę, czy powinien odprawić ceremonię zanim nie zbada najwyraźniej podejrzanego statusu duchowego syna Giny i tej nowej synowej o bladej, obcej urodzie, nadzwyczaj wysokiej i mającej ze sobą bękarta.

Kori zwróciła ku niemu swe głębokie błękitne oczy.

- Czy mogę wziąć z ołtarza kwiaty? Moja matka nie chciałaby, żebym brała ślub bez kwiatów.

Homer przyniósł jej dwie nieco przywędnięte róże z bukietów, które od dwóch dni zdobiły ołtarz i owinał je chusteczką, aby panna młoda nie pokłuła sobie dłoni.

- Kto cię oddaje temu mężczyźnie? - zapytał, kiedy wahała róże.

- Ja sama. - Głos Kori był cichy, ale stanowczy.

- Może brat Jerry, nasz diakon? - Homer ponowił próbę, chcąc zapanować nad tą dziwną, pochodzącą z innego świata kobietą; wciąż pamiętał słowa Nazima mówiące, że kobiety na Zachodzie niszczyły i kościoły, i siebie swoim płomiennym feminizmem.

- Zacznijmy już. Kief musi jak najszybciej wrócić do szpitala - powiedziała Kori zamknawszy oczy i kurczowo ścisnęła rękę Kiefa. - Ja sama się oddaję, to wszystko. Co jeszcze możemy oddać, oprócz siebie samych?

Homer błyskawicznie chwycił Biblię i kopie certyfikatów ślubnych. Kobiety takie jak ta, nie potrafiące się miło uśmiechać, plotkować, przepraszać nieśmiało, denerwowały

go i wprawiały w zakłopotanie. Nie wiedział jak się w ich obecności zachowywać. Spojrzał na Jerry'ego żałośnie.

- W porządku - rzekł Jerry. - Możesz zmienić słowa obrządku - spojrzał na Ginę. - Dla nas również. Gina też odda sama siebie.

Gina przypatrywała się Homerowi buntowniczo, jakby jakakolwiek ceremonia, jaką on odprawiał nic dla niej nie znaczyła. Może nawet nie uważała tego małżeństwa za święte, pomyślał Homer zastanawiając się, czy nie powinien pominąć ustępu mówiącego o Jezusie przemieniającym wodę w wino. Może, jako Żydówka, nie będzie zameżna póki ceremonii nie odprawi rabin? Zrobiłby to dla Jerry'ego, ale w sercu miał złe przeczucia. Żadna z tych dwóch kobiet, myślał błogosławiąc je nerwowo, nie była jego ideałem żony.

Tej nocy usiadł w swoim biurze, czytając wieści wpływające z faksu i wysłuchując przekazów telefonicznych. Chrześcijańscy fundamentaliści w całym kraju deklarowali swoje poparcie dla nowej partii, Fundamentalistów Boga. Faksami i telegramami przekazywali swoje przysięgi wierności i pomysły. Większość rozmówców zgadzała się z tym, że przeważająca część ich podatków powinna iść do stanów, okręgów i miast, a fiskus powinien otrzymywać tylko tyle, ile trzeba na utrzymanie gwardii narodowej, poczty, ubezpieczeń socjalnych i autostrad międzystanowych. Rząd mógłby dostać to, co zostało z amerykańskiej maszyny wojennej i przeznaczyć na utrzymanie pokoju na świecie. Żadnej pomocy międzynarodowej. Ręce Healey'a trzęsły się, kiedy wpisywał do komputera idee, które miały stać się podstawą dla Partii Boga.

* * *

Kiedy reszta pakowała walizki na wyjazd do Indii, Gina pochylała się nad dwoma listami, które znalazła w tylnej kieszeni przepoconych, zakrwawionych spodni Kiefa, które

dostała w szpitalu razem z innymi jego rzeczami. Jeden z nich przesłał pewien nowojorski senator, który zgadzał się służyć w sprawie praw stanów i ograniczenia uprawnień rządu federalnego w zamian za milion dolarów Nazima przeznaczonych na jego kampanię. Gina nie miała pewności co do podobnych poczynań pobratymców Nazima w powoli rozpadającym się Związku Radzieckim, ale zgadywała, że Arabowie musieli i do tego przyłożyć ręki. Kiedy sowieckie imperium zostanie podzielone i rozbrojone, amerykańskie szybko pójdzie w jego ślady, i pozostanie zgadywać, kto będzie jedyną na świecie, potężną, bogatą, zjednoczoną militarną siłą. To mój kraj chcą przejąć, wyszeptła Gina. Chcą, żebyśmy pograżyli się w chaosie. Łatwy przeciwnik dla Jihadu. Wiele razy pisała do kalifornijskiego senatora, George'a Gage'a, żądając, aby wszczął śledztwo w Waszyngtonie albo ona roześle wieści wśród pośredników nieruchomości w całym kraju, aby nie sprzedawali więcej posiadłości bogatym Arabom.

Drugi list pochodził od prezesa sieci telewizyjnej, który oferował Nazimowi swój pakiet kontrolny za pięćdziesiąt milionów. Ostatnio sieć ta spadła na trzecie miejsce i prezes ratował się jak mógł. Telewizja publiczna sprzedała się już dawno, myślała Gina sącząc rum z colą na ganku pod drzewami jacarandy. Od lat telewizja PBS niestrudzenie zalewa widzów propalestyńską propagandą, ani słowem nie wspominając o ośmiuset tysiącach Żydów wypędzonych z krajów arabskich, kiedy powstał Izrael, czy o tym, że Palestyna wyraźnie mówi, że chce zmieść z powierzchni ziemi małą demokrację żydowską.

Pomyślała o starej ciotce Hannie przygotowującej chałwę dla swoich bratanków i bratanic, obojętnej na nuklearną i biologiczną broń wycelowaną w nią ze wszystkich stron. Przeszedł ją dreszcz i odstawiła lodowato zimny napój na

metalową podstawkę, która miała chronić przed zniszczeniem jej rattanowy stolik. A więc Jihad zbliża się, pomyślała z roztargnieniem szarpiąc na kawałki purpurowe pąki jacarandy.

Pisk zużytych hamulców powiedział jej, że właśnie zajechała Annie. Gina złożyła listy i włożyła je pod podstawkę do szklanki. Szary kaftan Annie powiewał w orzeźwiającej rannej bryzie, a jej cienkie blond włosy wisały luźno wzdłuż ramion.

- Gdzie Jason? - zapytała Gina starając się, aby jej głos brzmiał przyjaźnie.

- Fatima i Yasmin go pilnują. Dostały bzika na punkcie tego dzieciaka. - Klapnęła na krzesło na wprost Giny. - Fatima ma pięcioro dzieci, ale większość jest już dorosła. Yasmin nie ma jeszcze dzieci i bardzo się tym martwi. Więc uważają Jasona jakby za swoje dziecko - uśmiechnęła się do Giny, ale ta nie odwzajemniła uśmiechu. - Pewnie się zastanawiasz skąd wiedzieli, że Kief jest twoim synem - zaczęła ostrożnie, przyspieszając coraz bardziej, nerwowo wylamując palce. - David i ja... bardzo nam przykro z powodu tego, co się stało.

- Kief mi powiedział, że ktoś go rozpoznał. Tak, zastanawiałam się nad tym. - Gina wstrząsnęła szklanką, a kostki lodu zabrzczały. Odłożyła szklankę z hukiem.

- To David wiedział kim jest twój syn, poznał go na podstawie zdjęcia na stoliku. Ale powiedział tylko któremuś z nich, że to syn Giny Hoffman. Był zdziwiony, wiesz? Nie myślał, po prostu. Wtedy ten drugi krzyknął i wszyscy zaczęli bić twego syna. Naprawdę bardzo mi przykro. Musisz mi uwierzyć - Annie założyła włosy za uszy, czekając na przebaczenie.

Kiedy Gina nie odpowiadała, Annie uśmiechnęła się promieniście spojrzawszy na stół.

- Słuchaj, możesz mi dać colę? Gorąco mi. Trudno jest się przyzwyczaić do tego ubrania. Ale bez rumu. Pan Nazim mówi, że nie wolno pić alkoholu - mówiła wachlując się ręką.

Gina była zadowolona, że może odejść do domu. Poczowała mdłości, kiedy Annie opowiadała o Kiefie i ludziach, którzy go zaatakowali. Czasami nocą, we śnie, widziała mężczyzn o okrutnych twarzach i twardych rękach stojących nad jej synem, i krzyczała wtedy i jęczała, kiedy próbowała ich odepchnąć. Jerry budził ją i tulił do siebie, póki nie przestała drzeć. Potem leżała sztywno, obserwując gałęzie drzewa stojącego za oknem jej sypialni, które poruszały się lekko na wietrze i gubiły pąki kwiatów. Nie mogła zasnąć, gdyż bez przerwy myślała o tym, co musi zrobić zanim pojedzie do Indii. Trzeba będzie zatrudnić nowego agenta w biurze na czas jej nieobecności, wynająć magazyn na przechowanie wszystkich jej rzeczy oraz podnająć dom.

Podróż wciąż wydawała się jej nierealna i przygotowania szły wolno, jak spacer przez wodę. Jechała tylko dlatego, że Kief tego chciał, a ona chciała się nim opiekować. Kori będzie miała pełno roboty z dzieckiem. Jerry będzie doglądał bagaży i dopilnuje, aby rodzina wsiadła do właściwych samolotów i autobusów. Książka wypożyczona z biblioteki przepowiadała złowieszco nieprzeliczone tłumy rojące się na lotnisku w Bombaju i długie, powolne kolejki przy odprawie, celnej. Gina pragnęła, aby głos, który przesładował ją od tak dawna, odezwał się teraz i zapewnił ją, że jest na właściwej drodze. Ale nie słyszała go od owej nocy, kiedy Kief został zaatakowany.

Nalała ostatnią colę do szklanki i wycisnęła trochę soku z cytryny na kostki lodu. Zadzwoił telefon, a ona nie spieszyła się z zakończeniem rozmowy, nie chcąc wracać do Annie i jej niewyraźnego mamrotania. Lód w szklance na wpół się

rozpuścił, kiedy nareszcie skończyła rozmawiać ze swoim nowym agentem.

Kiedy wyszła na ganek, Annie już nie było, nie było też listów. Gina upuściła szklanę i zaklęła. Była zbyt zajęta, aby skserować listy, a teraz Nazim ma je z powrotem. Wie też, że Gina ma na niego oko. Teraz równie dobrze mogli rozplątać się wśród kotłujących się tłumów południowych Indii, powiedziała sobie. Nawet Nazim ze swoją armią fanatyków nie odnajdzie ich.

Za radą Kiefa wyjęła wszystkie pieniądze z banku i ulokowała je w nieruchomościach i ziemi. Kupiła kawałek ziemi trzykrotnie większy od działki Kiefa i Kori w górach nad Santa Cruz. Może, pomyślała Gina, będzie potrzebowała miejsca, gdzie mogłaby uciec, i to raczej wcześniej niż później. Podpisała dokumenty kupna na dzień przed wyjazdem całej rodziny na półroczny pobyt w Indiach.

* * *

Przez cały długi lot do Bombaju John Philo spał albo słuchał jak jego matka czyta urywki listów Shirdi Baby, które przekserowała. Wzięła też ze sobą podręcznik gramatyki sanskryckiej i próbowała czytać te ustępy listów, które wujek Philo napisał w sanskrycie. Gina wiedziała, że jej synowa była naukowcem, ale nie była przygotowana na tę skupioną, natężoną uwagę, z jaką wzięła się do nowego zadania. Kiedy chciała zapytać Kori o jej matkę i o to, dlaczego się zabiła, Kori odpowiadała jej krótko, ale zaraz potem wróciła do nauki. Gina dowiedziała się tylko, że Damaris Dahlquist była oddaną, lecz nadopiekuńczą matką i pragnęła miłości swej córki, której nigdy nie było jej dosyć. Kori pragnęła być taka jak ojciec. Aż do jego śmierci pozostawała jego ukochaną córeczką. Gina miała nadzieję, że potrafi zaprzyjaźnić się z Kori, ale zastanawiała się, czy przypadkiem Kori nie uważa jej

za drugą Damaris - niespokojną, wtrącającą się i nie posiadającą dość intelektu, który Kori tak ceniła.

- Posłuchaj tego - odezwała się Kori, przerywając kolejny wysiłek Giny wciąż starającej się nawiązać bliższą więź. - Nic nie wiadomo o dzieciństwie Shirdi Baby, poza tym, że porzucili go rodzice, a adoptował jakiś czcigodny człowiek. Nawet to jest niepewne, gdyż będąc nastolatkiem zniknął na cztery lata, a swój aśram w Shirdi założył dopiero w 1859. Twój wujek Philo wierzy, że nie urodził się w zwykły sposób, ale że był awatarem, który przybrał ciało. Sam się stworzył siłą woli.

John Philo czknął we śnie i uśmiechnął się. Jerry odłożył Biblię.

- Znaczy jak Jezus? Wierzę, że Bóg tylko raz przyszedł do człowieka. - Ginę niezmiennie dziwiło to, że Jerry zawsze jest gotów rozmawiać o swoim Bogu, nie defensywnie, ale jakby z ulgą, że ktoś dał mu pretekst do wyrzucenia z siebie tego, co bezustannie go zajmowało. Gina nauczyła się przerywać mu, ale zdawało się, że Kori cierpi na tę samą przypadłość. Jerry mówił, że rozumie Symeona, który był szczęśliwy mogąc tylko spojrzeć na maleńkiego Chrystusa, a potem umarł. Bogu z pewnością wystarczyło jedno przyjscie na ziemię, a ludzkość nie zniosłaby więcej takiej hojności. Gina westchnęła i wyjrzała przez okno na chmury rozciągające się pod nimi, mając nadzieję, że stewardessa przerwie to kazanie i zaproponuje im coś do picia.

- Tak jak ty wierzę, że Jezus był Synem Boga - Kori uśmiechnęła się nieznacznie do Jerry'ego, z którym czuła się chyba swobodniej niż z Giną. - Ale czy myślisz, że Bóg pozwolił człowiekowi tkwić w ignorancji swojej boskości przez sto tysięcy lat przed nadejściem Chrystusa? - wsunęła rękę pod kocyk sprawdzając czy dziecko ma sucho. - Odkąd przelecieliśmy nad Hawajami, próbuję przetłumaczyć

sanskryckie zdanie, które wyjaśnia, w jaki sposób boskość mogła pojawić się na ziemi. Tłumaczy się to mniej więcej tak: 'Dusza pragnąca wejść do ciała może to zrobić pominąwszy zwykłe ludzkie narodziny, po prostu stwarzając dorosłe ciało lub wchodząc do ciała już dojrzałego'. - Napisała coś między liniami tekstu i zmarszczyła brwi, zacisnąwszy zęby na ołówku. - Kiedy ludzie w Shirdi pierwszy raz zobaczyli Sai Babę, wchodził do miasta wraz z orszakiem weselnym, a jego twarz promieniała niby twarz anioła. Każdy uważał go za wcielenie swojego ulubionego bóstwa.

- Pewnie usiadł na słupie, jak jakaś statua, i nigdy nie wymówił ani słowa - powiedziała Gina, próbując czytać ponad ramieniem Kori. Zrezygnowała, kiedy stwierdziła, że uwagi są napisane po szwedzku. - Na wiele się to nie zdało.

- Nie. - Kori pochylała się nad tekstem, jednocześnie pisząc i mówiąc. - Rozmawiał i śmiał się z przyjaciółmi. I muzułmanami, i Hindusami, co jest dziwne, zważywszy na nienawiść między obu tymi grupami. Wujek Philo mówi, że Shirdi Baba ubierał się jak muzułmanin, ale nosił znaki przynależności do hinduskiej kasty. Nikt nie wiedział co o nim myśleć.

- Jak o Jezusie - stwierdził Jerry z rozjaśnioną twarzą. - Kochał nawet tę Samarytanę i rzymskiego żołnierza. Tak bardzo, że ludzie umierali z miłości dla niego.

Jeśli Jerry zaraz się nie opamięta, pomyślała Gina, to staną się przymusowymi słuchaczami jego kazań o tym, że nie ma miłości większej niż ta, która sprawia, że człowiek oddaje życie za przyjaciela. Nie chodziło o to, że Jerry mówi inaczej i żyje inaczej, ale ona wołała miłość od słów o miłości.

- Tak, ale Jezus był Żydem - zaoponowała. - Był przede wszystkim Żydem. Wierzył w Prawo. Tak mi powiedziałaś, Jerry. - Zacisnęła w uporze czerwone wargi, chcąc się upewnić przynajmniej co do Jerry'ego. Był przecież

chrześcijaninem, który wiedział skąd się wzięła jego religia. Jego ojciec, fundamentalistyczny kaznodzieja, wychował Jerry'ego w przekonaniu, że Jezus był Żydem 'z adopcji', ale Gina nie potrafiła zrozumieć dlaczego ktoś, kto z urodzenia nie był Żydem, chciałby nim być. Kiedy Jerry o tym mówił, ona odpowiadała, że to nie przez jego miasto rodzinne przejeżdżali pijani Kozacy, gwałcąc małe dziewczynki i nadziewając niemowlęta na włócznie. Opowieści ciotki Hanny stały się jej własnymi, i nie pozwoli Jerry'emu mówić niefrasobliwie o radosnym dźwiganiu krzyża pokuty, który ma rozświetlić jej ciemny świat.

- Tak, Jezus był Żydem, Mesjaszem Żydów - potwierdził Jerry. - Ale niósł nowinę wszystkim, nie tylko Żydom. Kochaj Boga, kochaj swego bliźniego jak siebie. Koniec.

- To samo mówili rabini - mruknęła Gina - tylko że nikt ich nie słuchał.

- Jezus ich słuchał - odparł Jerry, kładąc ręce na jej dłoniach. - Wiesz, zawsze mówiłem, że jeśli ktoś czyni cuda, jak Jezus, to pojedę choćby w najdalszy zakątek świata, aby go zobaczyć. Tak samo, jak mędrcy z Persji, którzy przybyli, aby ujrzeć małego Jezusa.

- To prawda, pomyślała Gina. Jerry nie raz mówił, że chciałby, aby Jezus znów przyszedł, żeby on, Jerry, mógł rozpoznać swego zbawiciela, jakiegokolwiek imię by nosił.

- Dlatego jedziesz do Indii? - Kief obudził się i dyskretnie sprawdzał plastikowy pojemnik, który miał przymocowany pod koszulą opadającą na uda. - Bo Baba czyni cuda? - mówił powoli, gdyż wciąż się obawiał, że obruszy swoje nowo wstawione implanty zębów.

- Dlatego i jeszcze z powodu tego, co mi się śniło w zeszłym miesiącu. Mam tam jechać i szukać dziecka Wschodu. - Jerry zamknął Biblię i włożył ją z powrotem do starej, lnianej podręcznej torby. - Tylko tyle wiem i czuję się

jak ten ślepiec z pism. Nic o Bogu nie wiem, poza tym co sam widziałem. To Homer Healey jest teologiem, nie ja.

- Dzięki Bogu i za to - mruknęła Gina. - Nie chcę już więcej słyszeć o religii Homera. Wolałabym raczej, żeby dał nam ślub zuluski szaman niż on.

Jerry wsunął torbę pod siedzenie.

- Nie zgadzam się ze wszystkim, co mówi Homer, zwłaszcza z tym, co słyszeliśmy w telewizji przed wyjazdem. Ale on nie jest złym człowiekiem. To Nazim go opętał.

Z mikrofonu rozległ się zniekształcony głos stewardessy.

- Proszę państwa, zbliżamy się do Bombaju. Twarz Johna Philo poczerwieniała i dziecko zaczęło krzyczeć wygiąwszy plecki w łuk.

- Uszy - stwierdziła Kori podnosząc go w nadziei, że odbije mu się. - Zmiany ciśnienia doprowadzają dzieci do szału. Lekarz mnie uprzedził. - Trzymała twarz Johna Philo blisko swojej i naśladowała ziewanie, póki nie zrobił tego samego i przestał płakać.

Kiedy samolot zaczął obniżać lot, Gina wzięła z kolan Kori kilka listów wujka Philo. Przeczytała je wcześniej, ale nie miała czasu, żeby zajrzeć do pamiętnika, który również znajdował się w paczce.

- Nie żądaj i nie pragnij niczego - pisał wujek Philo, cytując swego mistrza. - Zaufaj mi całkowicie. Oddaj mi cały swój ciężar, a ja go poniosę. - Nie zdawała sobie sprawy, że czyta na głos, póki Jerry jej nie odpowiedział.

- Jezus powiedział 'Przyjdź do mnie, który jesteś zmęczony. Ja dam ci odpoczynek.' Tak właśnie jest, kiedy zaufasz Bogu, Gina. Chciałbym, żebyś poczuła jak to jest. - Otworzył jej mocno zaciśnięte pięści i pogłaskał wnętrze dłoni. - To jest jak miłość. Jakby nikt przedtem nigdy cię nie kochał.

- Kiedy Bóg przestanie kopać po głowie mnie i mój naród, wtedy może mu zaufam - odparowała Gina wyglądając przez okno na powiększający się galimatias składający się z chałup i wież, i oślepiającej zieleni, którym był Bombaj. Zamknęła oczy i oparła głowę o fotel, chcąc umknąć widoku egzotycznej mieszaniny kolorów i obcych jej poglądów, które chciały ją pochłonąć.

* * *

Gina stała niewzruszenie w kolejce do odprawy celnej, czekając na swoją torbę. Reszta odprawę miała już za sobą; czekali na nią pośród kłębiącego się tłumu. Pewnie mieli nadzieję, że nie wybuchnie i cierpliwie zniesie odprawę, pomyślała Gina żałując, że nie potrafi się porozumieć z powolnym, brązowym człowieczkiem, który zachowywał się jakby spodziewał się znaleźć w jej nieszkodliwej torbie bombę albo torebkę z narkotykami. Uniósł w górę jej wysokie, zrobione z czarnej skóry szpilki i przyjrzał się im z powątpiewaniem.

- Pani jest osobą rozrywkową? - mówił tak szybko, że z ledwością odróżniała jedno słowo od drugiego.

- Jestem Amerykanką - parsknęła. - Ubieram się jak chcę.

- A do Indii przyjechała pani po co?

- Jadę do Sai Baby, do Puttaparthi, ponieważ moja rodzina tam jedzie. - Gina poczuła neodpartą potrzebę wyrwania mu z ręki swojej suszarki do włosów zanim dojdzie do wniosku, że jest to coś, czym Amerykanie wdmuchują sobie kokainę do nosów.

- A, Swami - rozjaśnił się. - Jedzie pani zobaczyć się ze Swamim. - Odłożył suszarkę i błyskawicznie zamknął walizkę. - Sai Ram, madam.

Gina nie miała pojęcia o czym mówił. Jej wyobrażenie Swamiego pochodziło z dziecięcych kreskówek, w których ubrani w turbany mężczyźni grali na fletach dla węży

tańczących w koszykach. Samo słowo sprawiło, że stała się podejrzliwa. Kimkolwiek był ten Swa mi, nie zawładnie nią i nie położy łapy na jej pieniądzach. Przerzuciła torbę przez ramię, przeszła przez drzwi odprawy celnej i dołączyła do rodziny.

- Musimy znaleźć samolot do Bangalore - powiedział Kief zaglądając do trasy podróży. - Wygląda na to, że stąd musimy przejść przez miasto i dostać się do lotniska krajowego.

Podszedł do nich dobrze ubrany Hindus, uklonił się składając ręce przy sercu.

- Jedzicie do Swamiego - stwierdził. - Jeśli chcecie tu przenocować, to my mamy dla was miejsce. Nic nie kosztuje. Rano nasza taksówka zabierze was na lotnisko.

Gina stała przed swoją małą rodziną jakby chcąc ich bronić przed plutonem egzekucyjnym.

- Znam takich jak ty. Z filmów. Zabierają jakichś biednych głupców do domu, który nie należy do nich i okradają ich z wszystkich pieniędzy. Możesz sobie schować swój darmowy nocleg. Znajdziemy taksówkę i wynosimy się stąd do diabła - serce jej biło jak młot, a rękę trzymała na gardle czując w nim zółć i wściekłość. Nie powinna była jeść tej dziwnej, słodkawej rzeczy, którą kupił dla niej Kief. Najpewniej już zaraziła się cholera. Zakaszłała i poczuła w ustach dziwny smak.

Brązowy człowiek wzruszył ramionami i uklonił się, a potem zniknął w tłumie.

- Wiesz - zaczęła Kori miękko, podając pierś popłakującemu Johnowi Philo bez mrugnięcia okiem, na oczach kłębiącej się ciżby niewysokich ludzi - ci, którzy wierzą w Sai Babę, prowadzą coś w rodzaju bezpłatnego schroniska, gdzie mogą się zatrzymać ci, którzy do niego jadą.

- Więc czemu mi o tym nie powiedziałaś? - Gina znów zakaszła i rozejrzała się w poszukiwaniu toalety. Czuła w jelitach ostry ból, lecz była zbyt dumna, aby zgiąć się wpół. - Chyba będę wymiotować. Jerry, potrzyмай moją torbę.

Pospieszyła do ciemnej, małej łazienki i w ostatniej chwili zdała sobie sprawę, że następny krok zrobiłaby w dziurę, która bynajmniej nie wyglądała zachęcająco. Nie mając pojęcia jak tubylcy używają takich toalet, zdjęła dolną część garderoby i postawiła stopy po obu stronach czegoś, co w tych stronach uchodziło za toaletę. Ledwie skończywszy jedno, Gina zmieniła pozycję i zaczęła gwałtownie wymiotować. Ktoś załomotał w drzwi, krzycząc w niezrozumiałym języku.

- O, Boże - załkała Gina przez poranione gardło. - Chcę umrzeć, ale nie chcę wpaść w tę śmierdzącą dziurę. Proszę, pomóż mi. - Nie wiedziała dlaczego się modli, gdyż ostatnio modliła się, kiedy prosiła, żeby Kief znów był normalny. A Bóg rzucił jej tę modlitwę w twarz, jak splunięcie na wietrze.

Głos, o którym niemal zapomniała, znów przyszedł. Masz być pusta, pusta, zaszeptał cicho.

- Przecież jestem pusta - odszepnęła. - Nic we mnie nie ma. Jeśli tego chciałeś, to to masz.

Ból ustępował i Gina ubierała się powoli, ignorując walenie w drzwi i słowa, które brzmiały jak pieśń, mimo tego, że wyrażały gniew.

- Nigdy już nie będę jeść - zakomunikowała Jerry'emu stojącemu za drzwiami i starając się uspokoić małą staruszkę w podartym sari, która wpadła do niewielkiej toalety jak burza. - Skończyłam z jedzeniem.

- Nie ma nic złego w pustym żołądku - rzekł Jerry spoglądając na nią w zakłopotaniu. Wytarł kącik jej ust zmiętą chusteczką. - Ja też chyba nie będę jadł póki nie dotrzemy do aśramu. Mówią, że jedzenie w aśramie jest czyste. Mamy samochód, Gina, jeśli dasz radę. Dobrze się czujesz?

- Nie wiem. - Głos jej zamierał i po raz pierwszy w całym życiu nie obchodziło jej czy w ogóle będzie jakiś następny samochód, samolot czy posiłek. - Spróbujemy. Jeśli nie dam rady, to chyba będzie jeszcze jakiś następny.

Kierowca zażądał dwudziestu dolarów za dowiezenie grupy pasażerów na krajowe lotnisko. O tej porze, powiedział, stawka jest większa, bo po drodze mogą czyhać złodzieje.

Kori schowała swoją małą, białą pierś, ułożyła Johna Philo na ręce i zbliżyła się do kierowcy przewyższając go o całą głowę.

- Jeśli jest tu jakiś złodziej, to ty nim jesteś - oświadczyła silnym głosem, który roznosił się po terminalu.

- Zabierzesz nas na krajowe lotnisko za pięć amerykańskich dolarów, a jeśli nie, to połamię ci ręce. Obie.

Mały człowieczek zatrząsnął się, skłonił głowę, poprowadził do swojego rozklekotanego samochodu i przyrzekł zawieźć ich na lotnisko. Wystarczą trzy amerykańskie dolary. I niech wielka pani nie robi mu krzywdy.

- Dostaniesz pięć - oświadczyła Kori sadowiac się na przednim siedzeniu. - Dodatkowo dwa są za fotel na kółkach. - Kiedy kierowca pospieszył pomóc Jerry'emu, Kori uśmiechnęła się do Giny. - To jest Trzeci Świat - powiedziała. - Znam go. Najważniejsze tu to przeżyć.

Samochód ruszył, krztusząc się i trzęsąc. Wjechawszy na zatłoczoną ulicę, kierowca zaczął bez opamiętania trąbić, co robił też każdy inny, bez względu na to czy było to konieczne czy nie. Wrzask i pisk klaksonów nie przeszkadzał morzu ospałych ludzi przewalających się niby ciężkie fale po obu stronach ulicy i zostawiając wążutki przesmyk dla samochodów i rowerów. Gina zakryła nos chusteczką, pokaszując kiedy wdychała brązowe spaliny z piętrowego autobusu jadącego przed nimi. Powietrze smakowało brudem, który zgrzytał między zębami. Kiedy samochód zatrzymał się,

brązowe ręce wpychały się do środka przez otwarte okna, a poza nimi Gina widziała twarze kobiet trzymających dzieci i kiwające się dziwnie z boku na bok, których przekłute uszy zwisały aż na ramiona. Gina przypuszczała, że gest ten miał jakieś znaczenie w tej części świata, ale nie miała pojęcia jakie. Prawdopodobnie to, że czegoś potrzebowały. Pewnie pieniędzy.

Gina skuliła się na siedzeniu i zamknęła oczy, nie chcąc oglądać otwartych ust ukazujących bezzębne i gnijące dziąsła. W swoich koszmarach widziała siebie podobną do tych kobiet, na ulicy, niezdolną do zatroszczenia się o siebie, potrzebującą datków. Kori wierzyła, że czasami nasze przeszłe wcielenia przypominają się w obecnym życiu. Wujek Chaim, uczeń Kabały, również twierdził, że ludzie wciąż się odradzają, póki nie nauczą się tego, czego nauczyć się mają. Gina wiele razy kłóciła się z nim, twierdząc że raz zupełnie wystarczy, ale wujek Chaim patrzył tylko na nią swoimi małymi, jasnymi oczami i mówił: „Skąd wiesz, szczęśliwe dziewczę, co jest najgorsze? Myślisz, że cierpiałas w życiu?”. Potrząsał głową i wracał do kaligrafowania najczęściej dokumentów ślubnych, ketuby, zawsze przy tym dodawał, że to jej ketubę chciałby wypisywać. Gina zapragnęła nagle, aby pojechali na małe, czyste białe lotnisko obok Tel Avivu, gdzie czekał wujek Chaim z białą, krzaczastą brodą rozwianą na wietrze. Zamiast tego samochód zatrzymał się przed rozsypującym się, brudnym budynkiem lotniska, gdzie nikt ich ciepło nie witał. Było już zbyt wielu ludzi i nikt nie przejmował się garstką Amerykanów odbywających jakąś szaloną pielgrzymkę. Gina pomyślała, że każdy z tych Hindusów bez skrupułów zabiłby dla wycieczki do Kalifornii, i pewnie muszą się dziwić jakie szaleństwo ogarnęło tych ludzi Zachodu, że przyjechali z tak daleka, aby zobaczyć tak niewiele.

Przez trzy godziny cała rodzina czekała na lotnisku na samolot do Puttaparthi. Gina czuła jak ogarnia ją całą dziwny spokój, który uciszył owo kołatanie w głowie, które towarzyszyło jej odkąd wyjechali. Trzeci Świat, tak? Cóż, Kori i Kief wiedzieli, czego się spodziewać po dzikusach. Niech oni wszystkim się zajmą. Oparła głowę o ścianę, wdzięczna za to, że jej żołądek skurczył się do rozmiarów maleńkiej, twardej kulki i że senność ogarnęła głowę, wyrzucając z niej wszystkie inne myśli. Rozglądała się wokół, patrzyła na hinduskie kobiety ubrane w wielobarwne, powiewne sari, układające siebie i swoje dzieci na matach, śpiące z ramionami obejmującymi dzieci, jakby broniąc je przed wielkim bólem, przemocą i wszechobecnymi moskitami, tnącymi skórę niby kamikadze.

- Ci Hindusi są tu pewnie od kilku dni - zauważyła Kori znów karmiąc marudzącego Johna Philo. - Czekanie leży tu w zwyczaju.

Kori zepsuje dziecko, pomyślała Gina, niezdolna do głośnego wypowiedzenia myśli. Znów poczuła mdłości i gorące, ciężkie powietrze. Zepsuje go, jeśli będzie go karmić na każde zawołanie. Lecz nic nie powiedziała pragnąc tylko położyć się na takiej niewielkiej, cienkiej macie, jak te Hinduski, które, jak się zdaje, były przygotowane na wielodniowe oczekiwanie i których nie obchodziło, czy ich samolot spóźnia się czy nie. Zasypiając, oparła się o niewygodne oparcie plastikowego krzesła. Widziała młodą matkę, karmiącą jedno dziecko i obejmującą drugie. Nieoczekiwanie poczuła w oczach łzy. Twarz młodej matki była tak delikatna i dobra. Ręce dziecka tak naturalnie obejmowały jej szyję. Oboje mieli zamknięte oczy, jakby w ten sposób chcieli bronić się przed hałasem i naporem tłumy gniewnych, wymagających podróźnych. Gina otarła łzy z oczu i zasnęła, niepewna czy jest bezpieczna i w dobrych rękach.

Czknęła i pozwoliła, aby dolna warga opadła jej nieelegancko. Poczowała jak Kori delikatnie dotknęła jej policzka i usłyszała ciche słowa, którym nie całkiem dowierzała.

- Śpij. My się wszystkim zajmujemy.

* * *

Samolot do Puttaparthi był mały, a Gina była zadowolona, że do tej pory nic nie jadła. Czowała, jakby jej głowa szybowiała gdzieś ponad chmurami, a ciało ciążyło niemiłosiernie. Pod samolotem rozwijała się mapa Indii. Widziała zielone pola pomiędzy brązowymi, skalistymi przestrzeniami. Potem, na skraju równiny, zaczęły pojawiać się pojedyncze małe wzniesienia, aż wreszcie wystrzeliły w górę wielkie góry, wśród których w dolinie wiła się błękitna wstęga rzeki. Samolot zniżył lot i zaczął zbliżać się do niewielkiego pasa startowego. Blisko niego, jak mówił Kief, był szpital na trzysta łóżek, który Sai Baba zbudował dla biednych i zdesperowanych ludzi, którzy mogli korzystać z niego za darmo. Pracowali w nim lekarze z całego świata, przygotowani do wszelkiego rodzaju operacji, od wycięcia wyrostka robaczkowego począwszy, a na wszczepianiu organów skończywszy. Dwuskrzydłowy szpital ukończono w ciągu roku, a Sai Baba zapowiedział, że będzie on stał przez następnych tysiąc lat witając serdecznie chorych.

Gina spojrzała w dół na szpital i pomyślała, że może Kief powinien zwrócić się do tutejszych lekarzy. Może oni będą umieli mu pomóc. Uśmiechnęła się gorzko do swych fantazji. Jeśli w Ameryce nie można było nic zrobić, to tym bardziej tutaj. Kief był kaleką. Ruiną człowieka. Była głupia mając nadzieję.

Stary mercedes, w którym po stronie kierowcy brakowało drzwi, wyjechał na spotkanie samolotu. Drobny, ciemny mężczyzna powitał ich, kiedy zeszli z metalowych schodków

samolotu. Był schludnie ubrany w białe luźne spodnie i białą koszulę z długimi rękawami.

- Namaste. Jestem Jayaramakrishna - przedstawił się z lekkim ukłonem. Palce złożonych rąk skierowane były ku podbródkowi. - Możecie zwracać się do mnie Jay. - Po czym obrócił się do ludzi rozładujących bagażnik samolotu - wynieście fotel inwalidzki i bagaż, który do niego należy. Zabieram tych ludzi do aśramu.

- Ale skąd nas znasz? - Gina czuła, że znów ogarniają ją mdłości i oparła głowę na ramieniu Jerry'ego. - Nic nie mówiliśmy nikomu o wózku inwalidzkim. Nawet nikogo nie uprzedzaliśmy, że przyjeżdżamy.

- Nie trzeba nic mówić, bo Swami wie, czego potrzebujecie. - Jay otworzył skrzynię, zręcznie wysunął z niej złożony wózek, a potem ułożył bagaż na dachu samochodu w ryzykowny stos. - Jednakże postąpilibyście właściwie, gdybyście uprzedzili go, że przybywacie i poprosili go o zgodę. Oczywiście nikomu się nie odmawia, ale prosić jest tu w zwyczaju. Następnym razem, kiedy tu przyjedziecie, będziecie już wiedzieć co robić. - Mówił szybko, lapidarnie i jednocześnie wiązał chybotliwy bagaż kawałkiem postrzępionego sznura.

- Biorąc pod uwagę to, że cały kraj wydaje się być schroniskiem dla zwierząt, dziwne jest to, że jego mieszkańcy mówią o właściwych manierach - wyszeptała Gina do Jerry'ego, kiedy cisnęli się na przednim siedzeniu, zostawiwszy tylne dla Kiefa i jego małej rodziny. Czuła się teraz lepiej, oddychała swobodniej pomimo ciężkiego, gorącego powietrza, które przypominało jej gorące dni w Santa Ana. Może dobrze było być „pustym, pustym”, choć za nic by tego nie przyznała w tamtej toalecie na lotnisku w Bombaju.

- Kori mówi, że Sai Baba bardzo zwraca uwagę na maniery - odszepnął Jerry. - Najwyraźniej chce, żeby Hindusi nauczyli się dyscypliny. Bądź punktualny, czysty, pamiętaj o swoich obowiązkach względem Boga.

Gina nie odpowiedziała, wspomniawszy nagłą transformację Annie w kobietę obowiązku, która kradnie dla swego pana. Poczła zadowolenie, kiedy pomyślała, że do tej pory ów kalifornijski senator musiał już przeczytać uwagi, które napisała na marginesach skradzionych listów i mógł przekazać dalej informacje - gubernatorowi, a może i prezydentowi. Nazimowi nie uda się zmusić rządu Stanów Zjednoczonych do powrotu w ciemne, purytańskie wieki, jeśli tylko ona będzie miała coś do powiedzenia.

Na wąskiej drodze prowadzącej do aśramu, minęli autobus wypełniony Hindusami do granic możliwości. Okna autobusu były otwarte na powiewy gorącego wiatru. Nagle, po raz pierwszy w życiu, Gina poczuła więź z obcymi ludźmi. Wyobrażała sobie kobietę taką jak ona, podróżującą z kalekim synem, bez pieniędzy, bez ochrony, bez niczego oprócz wiary. Z ręką na gardle, czując że nagle brak jej powietrza, wyglądała przez okno, nie zważając na delikatny, uspokajający dotyk ręki Jerry'ego na jej ramieniu. Jej wzrok napotkał wzrok kobiety w białym, niebiesko obrębionym bawełnianym sari, kobiety pewnie nie starszej niż ona sama, lecz o włosach zupełnie białych, której uśmiech odkrywał bezzębne zębia.

- Namaste - odezwała się Gina nieświadomie i złożyła ręce w modlitewnym geście skłaniając głowę ku kobiecie, która oddała jej uśmiech i pozdrowienie.

- Wiesz, co znaczy namaste? - Kori pochyliła się ku niej przesadzając dziecko na kolanach. - I co znaczy ten gest?

- Nie. - Nie wiedziała i nie obchodziło jej to. Poddawała się słodkiemu wspomnieniu bezzębnego uśmiechu kobiety,

który był ciepły niby błogosławieństwo. - Pewnie coś w rodzaju powitania.

- To też, tak, ale poza tym znaczy też „pozdrawiam boskość w tobie”. - Kori znów przesadziła Johna Philo.

Gina ponownie wyjrzała przez okno. Nie wierzyła, że w ludziach jest jakaś boskość. Gdyby ktoś ją zapytał, powiedziałyby, że ludzie są opętani przez diabła raczej niż przez Boga. A jednak stara ciotka Hanna mówiła, że każdego gościa odwiedzającego ją w szabas witała z miłością, bo w każdym gościu widziała Boga.

Ciotka Hanna nie czyniła żadnych specjalnych gestów rękami, kiedy wchodziła jakaś osoba - bóg, tylko ofiarowywała jej tacę z napojami i jedzeniem oraz nerwowy ukłon. Ciotka Hanna przeżyła Oświęcim. Dla niej już samo przeżycie było błogosławieństwem, samo to, że mogła wciąż przygotowywać szabasowy chleb i skrywać oczy za dłońmi, kiedy zapalała świecę dla uczczenia zachodu słońca po kolejnym tygodniu życia, tygodniu bez pogromów, bez bombardowań. „Kiedy żyjesz - mówiła ciotka Hanna ze swoim powolnym, polskim akcentem - jesteś cudem. Gdybyś zobaczyła to, co ja widziałam, wiedziałybyś czym jesteś.”

Potem stawiała tacę na stole, składała ręce pod fartuchem i opowiadała gościom o życiu w Polsce. „Uprawialiśmy pszenicę na chleb - mówiła, a pod fartuchem jej ręce od nowa powtarzały cały proces tworzenia chleba. - Kiedy byli dziećmi, rzucali ziarna w powietrze i obserwowaliśmy jak plewy ulatują z wiatrem niby złe myśli.”

Gina przez całe życie miała do czynienia ze złymi myślami, więc słowa ciotki Hanny zastanawiały ją. Jakie złe myśli mogła mieć ciotka Hanna? Nieco zbyt długie spojrzenie w oczy chłopca z tej samej wsi, który z nią tańczył, zapraszając w przelotne objęcia swych ramion na oczach wszystkich? Gina pomyślała o tym co robiła na tylnym

siedzeniu samochodu, kiedy była nastolatką i pomyślała o niewinnych plewach ciotki Hanny.

Prastary mercedes przejechał pod łukiem, który oznajmiał, że wjechali do aśramu Prasanthi Nilayam, świątyni spokoju, jak mówiła Kori na swój precyzyjny, chłodny sposób. Gina złapała się na tym, że pragnie mieć synową tak głupią jak Annie, gdyż Kori sprawiała, że czuła się inna i niegodna miłości, jak dziewczynka z pryszczem na nosie.

- Powietrze jest tu inne - powiedział Jerry głosem miękkim i cichym. - Chciałoby się wciąż oddychać - zamknął oczy i oddychał głęboko jak człowiek śpiący. - Jakbym wdychał róże.

Kief siedział sztywno wyprostowany, oczy miał szeroko otwarte.

- Spójrz na słonia. Tam, na prawo.

Kiedy przejechał antyczny samochód, Gina dostrzegła niewielkiego słonia z jedną nogą uniesioną, a drugą opierającą się na brzegu koryta z wodą.

- To Gita - stwierdziła Kori. - Należy do Sai Baby. Podobno płacze prawdziwymi łzami, kiedy Sai Baba odchodzi od niej.

Gina oparła głowę o siedzenie nie chcąc wyrzeć przez okno. Duchowe słonie. Jakby nie było dość ludzi. Jakby z oddali słyszała jak reszta rozmawia o tym, co mijali. Spojrzała przelotnie, kiedy mijali brzydką, wąską zatłoczoną ulicę, która prowadziła do aśramu, a potem znów zamknęła oczy. Kiedy samochód zbliżył się do budynku, gdzie znajdowała się recepcja, nieoczekiwanie poczuła spokój. Po raz pierwszy odkąd była w Indiach, nie słyszała żadnych naglących głosów czy trąbiących klaksonów dręczących uszy.

- Jeśli zdołacie szybko się wprowadzić - odezwał się Jay - możecie pójść na popołudniowy darśan. Zacznie się o

czwartej. - Otworzył tylne drzwi samochodu i wskazał na mały budynek z napisem nad drzwiami. - Poczekam na was.

- Darśan? - Gina zwróciła się po wyjaśnienie do Kori.

- To znaczy spotkanie. Idzie się na darśan, aby zobaczyć świętą istotę.

- I on przemawia, czy co?

- Nie, po prostu tam jest. Ludzie czują się szczęśliwi, tylko dlatego, że mogą być przy nim, nic poza tym. - Kori wydawała się rozproszona, jakby nie była sobą. Policzki miała zaróżowione, a oczy wilgotne jakby zaraz miała się rozpłakać.

- Nie, wszystko w porządku - odparła, kiedy Gina wyjęła paczkę chusteczek do nosa. - To nie ten smutny rodzaj płaczu.

- Odwróciła się i samotnie stanęła w cieniu dachu rozciągającego się nad wąską uliczką.

Nagle Gina stwierdziła, że jest zbyt słaba, aby załatwiać z Jerry'ym pokój i miała jedynie nadzieję, że ten nie zaprzepaści szansy zdobycia przyzwoitego pokoju. Sprytni Hindusi wykorzystają naiwność Jerry'ego i dadzą mu jeden z tych wspólnych pokoi, których tak obawiali się ludzie z Zachodu, jak twierdziła Kori. Pewnie zedrą z nich na dodatek. Gina wyobraziła sobie siebie w wielkiej sali poprzedzielanej zasłonami, razem z setką Hindusów dzielącą wspólną łazienkę, bez wątplenia z dziurą w podłodze jak ta w Bombaju. Chciała krzyknąć do Jerry'ego, że nie może mieć wspólnej toalety, że będzie wściekła, jeśli nie dadzą jej oddzielnego pokoju z łazienką i prysznicem. Nie rozumiała dlaczego łzy cieką jej po policzkach i dlaczego mówi do siebie jak wtedy, kiedy odpowiadała głosowi, który od tak dawna ją prześladował. Potrzebuję czegoś, co przypominałoby mi dom, krzyknęła bezgłośnie. Proszę, proszę nie każ mi spać z tymi wszystkimi ludźmi, których widziałam w autobusach. Przypomniała sobie twarz bezzębnej, radosnej kobiety. Westchnęła. W porządku. Obok tej kobiety mogę spać.

- Mamy oddzielny domek! - wykrzyknął Jerry machając nad głową jakimś papierem. - Kief, Kori i dziecko też. Będziemy mieszkać obok nich. Z jakąś Hinduską i jej synem. My mamy pokój z przodu, a oni z tyłu. Będziemy musieli przechodzić przez ich pokój do łazienki. Ale ten urzędnik powiedział, że mamy szczęście. Jutro z Delhi przyjeżdża cały tłum.

- Ile? - Gina zdjęła z ramienia torbę, wytarła ręce w chusteczkę, aby choć trochę zetrzeć brud i pot. - Założę się, że i tak za drogo.

- Dolar za dzień - Jerry chwycił jej portmonetkę i uśmiechnął się. - I to tylko dlatego, że możemy sobie na to pozwolić. Inaczej wszystko byłoby za darmo.

No cóż, pomyślała Gina wsiadając z powrotem do samochodu, przynajmniej Sai Baba nie goni za pieniędzmi. Ale w takim razie za czym?

Jay rozładował ich bagaże i wniósł wszystko do maleńkiego pokoiku w okrągłym domku, specjalnie zbudowanym dla delikatnych ludzi z Zachodu, jak zauważył, i z prawdziwymi ubikacjami, w których spuszcza się wodę. Gina zatrzymała się, rozejrzała ponuro po pustym pokoiku z maleńkimi otworami okiennymi, który miał być ich domem przez następne pół roku. Para różowych materacy kupionych w pośpiechu przez Jay'a i rozłożonych na podłodze z betonu to ich łóżka. W pokoju nie było żadnych innych mebli.

Drzwi wewnętrznego pokoju otworzyły się i Gina ujrzała dwoje współlokatorów ich maleńkiego mieszkania. Była to owa bezzębna kobieta z autobusu, który minęli po drodze. Popychała wózek inwalidzki, na którym siedział jej syn, z cieknącą z kącików ust śliną, zwisający z jednego oparcia i uśmiechający się do nikogo, z oczami wlepionymi w wysoki, pokryty pajęczynami sufit.

- Namaste, pani - odezwała się kobieta wchodząc do pokoju. - Cieszę się, że widzę panią z nami. Mamy dzielić łazienkę. Zapukaj tylko do drzwi, kiedy będziecie jej potrzebować. Jestem szczęśliwa, że to właśnie ty tu będziesz.

Gina nie miała wątpliwości, że ona sama również jest szczęśliwa iż może być w tym maleńkim, pustym pokoju, i nie miała nic przeciw temu, aby ta właśnie kobieta była jej współlokatorką.

- Jestem Lakshmi - dodała jeszcze kobieta przez ramię. - Za chwilę pójdziemy razem na darśan, a potem zabiorę cię, żebyś kupiła sobie sari. Swami lubi jak kobiety noszą sari.

Gina próbowała sobie wyobrazić jak nieporządna musi się Lakshmi wydawać jej długa do ziemi suknia z długimi rękawami, którą pożyczyła od Kori i skróciła za pomocą agrafek. Gina przywiozła ze sobą tylko luźne spodnie i aż do samego przyjazdu do Indii nie zdawała sobie sprawy, że jej ubrania będą tu nie na miejscu. Kori mogła jej to powiedzieć, ale Kori z zasady nie udzielała rad póki ktoś jej o to nie poprosił. W ostatniej chwili przed wyjściem Gina owinęła wokół piersi długą, jedwabną chustę, jak to zauważyła u innych kobiet przybyłych z zachodu. Czekala, aż Lakshmi wyłoni się z pokoju wraz z synem i poszła za nimi piaszczystą drogą do świątyni, gdzie w dwóch niewielkich pokojach nad salą medytacyjną mieszkał Sai Baba. Mógł sobie pozwolić na duży dom, pomyślała Gina, jeśli wziąć pod uwagę rozmiary aśramu, który osądziła na około pięćdziesięciu akrów. Nie miała jednak pojęcia jak stały ceny ziemi tutaj, tak daleko od miasta. Jeśli mógł sobie pozwolić na zbudowanie sześciu domów dla gości, to i dla siebie mógł zorganizować coś lepszego niż te dwa pokoiki nad świątynią.

Jerry szedł bez słowa obok niej, spokojny i skupiony. Czowała się zupełnie osamotniona, póki Lakshmi nie uśmiechnęła się do niej. Odkąd przyjechali do Puttaparthi,

Jerry zdawał się taki odległy, zauważał ją tylko wtedy, gdy czegoś potrzebowała, a i to tylko na tak długo, póki jej potrzeba nie została spełniona. Wtedy znów skrywał się w sobie i zamykał przed wszystkimi drzwiami. Kiedy próbowała z nim rozmawiać, potrząsał głową i uśmiechał się jakby mówiła do niego w języku, którego nie znał. Czasami Gina próbowała z nim flirtować w nadziei, że przywróci tę romantyczną adorację, którą ją otaczał w domu. Lecz Jerry odpowiadał jedynie nieobecny uśmiechem, mówiąc że gdyby wcześniej wiedział czym jest miłość, to wiedziałby też, że seks nie jest nią z pewnością. Gina zagryzała wargi słysząc te słowa i zastanawiała się, czy jej natarczywość w końcu odpychała ją od niego, jak to się działo z wszystkimi jego poprzednikami. A jednak owa natarczywość była częścią niej samej. Nie mogła tego zmienić nie zabijając jednocześnie siebie samej. Ani nie mogła zmienić swego nawyku krytykowania i naprawiania wszystkiego, co nie wydawało jej się właściwe. A wiele takich rzeczy widziała w Indiach.

Przy brzegu jednej ze ścieżek, które otaczały aśram, mała Hinduska z plecami zgiętym w pół, długimi, pociągłymi ruchami zamiatała ziemię trzymając w ręce krótką miotełkę wykonaną z giętkich witek. Inna starszka z taką samą miotełką utykając zbliżała się do pierwszej. Gina zauważyła, że i ta również nie mogła stać prosto, najwidoczniej dlatego, że przez całe swoje życie zamiatała ziemię równie krótką miotełką. Coś takiego w końcu dwudziestego wieku, pomyślała Gina, te biedne dzikuski jeszcze nie nauczyły się, że można zamiatać stojąc prosto. Ale pewnie ich mężczyźni chcieli, żeby były pokorne. W tym momencie pochylona kobieta przerwała zamiatanie i zwróciła się ku Ginie. Jej błyszczące czarne oczy rozjaśniły się, kiedy się uśmiechnęła, a jej twarz była równie niewinna jak twarzyczka Johna Philo.

Wielki dziedziniec przed świątynią już zaczął się wypełniać. Jerry popchnął wózek Kiefa ku części przeznaczony dla mężczyzn. Kori dołączyła do Giny w części kobiecej. Sevadalowie, surowi mężczyźni utrzymujący porządek na terenie świątyni, skierowali Kori do tylnej sekcji, gdzie siedziały kobiety z dziećmi. Gina nie była pewna co powinna zrobić, ale podążyła za sevadalem, który poprowadził ją na miejsce pod białym łukiem, usiadła na ławce i zaczęła wachlować się kapeluszem. Najgorętsza część dnia przeszła, ale ona wciąż się pocila, a serce biło w przyspieszonym tempie. Widziała jak Lakshmi znalazła miejsce pod drzewem, daleko po prawej stronie dziedzińca, przeznaczony dla osób na wózkach. Lakshmi uśmiechnęła się i skłoniła w jej kierunku, jakby zapraszając, aby podeszła bliżej, ale Gina była zadowolona ze swego miejsca w cieniu na kamiennej ławce. Inne kobiety przyniosły ze sobą kolorowe poduchy, a Gina powiedziała sobie, że też powinna zaopatrzyć się w podobną poduszkę.

Rozległ się wysoki dźwięk warkotliwej hinduskiej muzyki, rozległ się niespodziewanie z głośników tak starych i słabych, że najprawdopodobniej musiały pochodzić z czasów Mongołów. Ginie spodobała się ta melodia przypominająca śpiew ptaków. Zamknęła oczy i pozwoliła się porwać dziwnej muzyce. Nagle poczuła w sobie jakąś zmianę, jakby jej serce powiększyło się dwukrotnie. Otworzyła szeroko oczy.

- Idzie - siedząca obok kobieta trąciła ją łokciem i wskazała na boczne drzwi białej świątyni, która wyglądała jak wielki, obłany polewą tort weselny.

Z wysokich, rzeźbionych drzwi wynurzyła się drobna, ubrana w pomarańczową szatę figurka o czarnych włosach w stylu afro. Uniósł rękę i wykonał nią nieznaczny ruch, który bardziej przypominał błogosławieństwo niż pozdrowienie. Potem podszedł ku części, w której siedziały kobiety,

odwracając się tyłem do ludzi na wózkach. Biedna Lakshmi, pomyślała Gina. Tak bardzo pragnęła błogosławieństwa dla swego syna. Właśnie wtedy Sai Baba spojrział przez ramię na wózki, a Gina mogłaby przysiąc, że spojrział prosto na Lakshmi. Zobaczyła jak jej współlokatorka podnosi ręce do policzków i uśmiecha się.

Sai Baba powoli krążył wśród siedzących kobiet, biorąc listy z wyciągniętych ku sobie rąk, nie zwracając uwagi na ręce dotykające jego stóp. W kącikach jej oczu pojawiły się łzy i Gina otarła je czując się głupio. Nie płakała publicznie odkąd pewien chłopiec w trzeciej klasie szkoły podstawowej wbił jej ołówek w łokieć za to, że nie pozwoliła mu ściągnąć zadań z matematyki. Kiedy Baba mijał ją w odległości jakichś trzydziestu metrów, pochwycił jego wzrok utkwiony w jej oczach. Nie uśmiechał się, a ona czuła jak jego oczy przewiercają ją na wylot. On wie, pomyślała z nagle ściśniętym gardłem, wie, że jestem materialistyczną dziwką, która w niego nie wierzy. Nie obchodzi go to, ale sądzi, że lepiej będzie dla mnie, jeśli uwierzę. W cokolwiek. Otarła oczy rękami starając się nie wycierać tuszu do rzęs. Kiedy Baba zawrócił ku części, w której siedziały kobiety z dziećmi, Gina wstrzymała oddech. Może podejdzie blisko do Kori, pomyślała. Może położy rękę na głowie małego Johna Philo, jak to robił z hinduskimi dziećmi siedzącymi wraz z matkami w pierwszym rzędzie, cierpliwie znoszącymi upał. Lakshmi wyjaśniła jej, że zebrały się one już godzinę temu, aby losowanie przyniosło im miejsce w pierwszym rzędzie.

Gina obserwowała jak zbliża się do ściany okalającej dziedziniec i zatrzymuje się. Położyła rękę na gardle, aby uspokoić głośny oddech. Baba zatrzymał się blisko Kori i uniósł rękę skinąwszy na kogoś. Kori, tuląc do serca Johna Philo, przeszła nad głowami kobiet siedzących w pierwszym rzędzie i podeszła do czekającego na nią Sai Baby. Uklękła,

dotknęła czołem jego stóp i wstała nieśmiało, jakby przepaszając za to, że jest o tyle wyższa od niego. Powiedział coś do niej, a potem znów się odwrócił i odszedł ku sekcji przeznaczonej dla mężczyzn. Kori przeszła do środka dziedzińca, ku świątyni, odwróciła się i osłaniając oczy przed jasnym, zachodzącym słońcem, skinęła. Głowy zwróciły się ku Ginie, która uświadomiła sobie, że ludzie patrzą na nią. Jej sąsiadka znów trąciła ją łokciem.

- To na ciebie - wyszeptała. - Idź!

- Gdzie? - Gina wstała zastanawiając się co ma robić. - Dlaczego ja?

- Ta kobieta to twoja rodzina? Tak? Kiedy on woła jedno, ma iść cała rodzina. - Sąsiadka z ruchliwym łokciem, szczęśliwa jakby to ona została zawołana, popchnęła Ginę naprzód. - Idź! Przejdź przez siedzące kobiety, przepuszczając cię. Kobiety na tarasie świątyni powiedzą ci co masz robić. Pospiesz się. To zaszczyt.

Gina niezgrabnie podniosła skraj swej długiej spódnicy i zaczęła iść przez pole kobiet, które odchyłały się, aby pozwolić jej przejść. A jeśli Sai Baba chciał widzieć tylko Kori? Wtedy będzie musiała wracać między tymi przyglądającymi się jej twarzami, które będą wiedziały, że została odrzucona... i na pewno tak właśnie będzie. Przecież, nie miała pojęcia kim był Sai Baba, a jej życie duchowe było głębokie jak, nie przymierzając, życie duchowe komara. Czując niepewność, przeszła przez piaszczysty dziedziniec i dołączyła do Kori, która siedziała już na tarasie świątyni ze skrzyżowanymi nogami. Kori mogła sobie tak siedzieć, pomyślała Gina. Kori ćwiczyła jogę codziennie przez dwie godziny. Choć nogi ją bolały, kiedy je skrzyżowała, a jedno kolano wciąż uparcie wędrowało ku podbródkowi, jeśli nie przytrzymała go siłą, Gina zmusiła się, aby usiąść bez ruchu jak inni, w oczekiwaniu aż Sai Baba zakończy obchód

sektora dla mężczyzn. Serce jej skoczyło, kiedy zobaczyła jak Sai Baba skinął na Jerry'ego, a ten zaczął toczyć wózek Kiefa ku tarasowi.

- Spotkanie - szepnęła Kori, a jej błękitne oczy były pełne łez. - Spotka się z nami. Z nami, spośród tysiąca zgromadzonych tu ludzi. Rozumiesz, mamó, jakie to dla nas szczęście? To cud.

Może to właśnie on przysłał nam Jay'a w mercedesie, pomyślała Gina patrząc jak Sai Baba powoli wraca do świątyni. Wydawało się, że unosi się nad piaskiem. Może, jak twierdzi Jay, zna nas, wie o wszystkim. Twarda, pełna smutku skorupa zamknęła się wokół niej. Więc dlaczego pozwolił, aby Kief stał się kaleką? Dlaczego nie powstrzymał rzezi jej narodu w komorach gazowych w Europie? To ma być bóg, to ma być miłość...! Spojrzała w dół i serce jej zamarło. Jego małe, delikatne stopy stały tuż przed nią. Może chciał, żebym je ucałowała, jak inni. Gina zeszywniała i zacisnęła wargi.

- Nie - rozległ się nad nią śpiewny głos. - Nie rób tego, jeśli tego nie chcesz.

Spojrzała w górę, w głębokie, schowane pod gęstymi brwiami brązowe oczy i na pełne, śmiejące się usta. Baba śmiał się z niej, z jej myśli. Gina niemal się rozzłościła, ale zaraz również się uśmiechnęła. Śmiał się z nią, jak jej matka dawno temu, kiedy Gina spłatała psikusa, który wywoływał na jej twarz uśmiech miłości. Łzy zamgliły jej oczy, kiedy próbowała odezwać się przez ściśnięte gardło. On jest jak matka, pomyślała zaskoczona, bo zapomniała jak to jest być kochaną za to, kim się jest, a nie za to, co się robi. Baba pochylił się nad nią i uczynił pustą dłonią kolisty ruch. Znikąd spadł popiół, który osiadł najpierw na jej czole, potem dostał się do uchylonych ust. Był jak słodki puder. Gdzie on ukrył ten popiół, zastanowiła się. Może w rękawie trzyma cały jego worek? To magik, z pewnością. Pewnie ma więcej takich

sztuczek w zanadrzu. Kori mówiła jej, że potrafi materializować przedmioty, ale Gina miała co do tego wątpliwości. Jak na naukowca, pomyślała, Kori potrafiła uwierzyć w zbyt wiele.

- Wibhutti - wyszeptała nabożnie siedząca obok niej kobieta, kiedy oddalił się. - Czy mogę sobie trochę wziąć?

Gina patrzyła jak popiół spadał na otwartą dłoń kobiety. Dłoń Baby była pusta. Tego była pewna. W pustce kryje się więcej niż przypuszczasz, odezwał się znajomy głos, a ona nagle wiedziała do kogo należał. Poczowała jak uaktywnia się jej wewnętrzny system bezpieczeństwa. Sai Baba, kimkolwiek był i czy potrafił sypać popiół z pustych dłoni, czy nie, z pewnością nie potrafił komunikować się po całym świecie, jak jakiś duchowy satelita. Nie mógł. Takie rzeczy nie zdarzały się w jej doskonale zorganizowanym, rozsądnym wszechświecie. A jednak, chciała go usłyszeć znowu, tylko po to, aby wyłapać akcent, który przypominał jej ów wewnętrzny głos. Wstała razem z innymi i poszła za nim do małego pokoju, żałując że nie jest tak blisko niego jak Kori, Kief i Jerry. Sai Baba usiadł w wysokim krześle w kącie pokoju.

Jedna z kobiet usiadła w rogu pokoju, płacząc bezgłośnie z twarzą ukrytą w dłoniach, a łzy spływały jej między palcami. Kori kołysała się wolno w tył i w przód, jak ortodoksyjni mężczyźni w synagodze. Baba pochylił się i dotknął czoła Johna Philo, a w tym miejscu pojawił się popiół.

- Witaj, stary przyjacielu - powiedział cicho do dziecka i spojrzał na Ginę. - Pierścień, który nosisz, jest dla niego. Dam ci inny.

Gina poruszyła się nieznacznie, zastanawiając się, czy Kori opowiedziała mu o pierścieniu wujka Philo. Nie wiedziała czy ma odpowiedzieć, czy nie, więc tylko skinęła głową nie odwracając oczu od Sai Baby, który zwrócił się do Jerry'ego.

- Czy też chciałbyś pierścień? - uśmiechnął się do Jerry'ego, który ukląkł u jego stóp. - Czyja twarz ma na nim być?

Jerry zawahał się przez chwilę.

- Twoja, Babo.

- Nie. Dla ciebie będzie Jezus. - Podwinął rękaw zerknąwszy na Ginę, jakby chciał powiedzieć, widzisz, żadnych sztuczek. Potem dłońmi zatoczył w powietrzu koło, a między jego kciukiem a palcem wskazującym pojawił się nagle ciężki złoty pierścień z wygrawerowanym emblematem. Gina na pół wstała, aby móc lepiej widzieć, ale inne kobiety pociągnęły ją za spódnicę, również chcąc wszystko widzieć. - A czego ty chcesz ode mnie? - głos Baby był cichy, kiedy pochylił się nad Jerry'm, który drżał i niemal upuścił pierścień przymierzając go na każdy po kolei palec. Wydawało się, że jest zbyt mały, więc w końcu założył go na najmniejszy palec.

Ulecz Kiefa, mruknęła do siebie z zaciętością. Może nie będziemy już mieli drugiej szansy, aby o to poprosić.

- Wolność - tylko to powiedział Jerry. Jego głos brzmiał stanowczo i nie drżał już.

Cholera, pomyślała Gina. Samolubny bubek. To było zupełnie do niego niepodobne. Otarła oczy wewnętrzną stroną dłoni. Sai Baba znów spojrzał na nią i pokręcił głową.

- Twoja kolej nadejdzie. Czekaj. - Ujął ręce Jerry'ego i spojrzał prosto na niego spod zmarszczonych, ciężkich ciemnych brwi. - Wiesz co to moksha? Wyzwolenie? Chcesz tego teraz?

- Wiem, co to znaczy - głos Jerry'ego był silny, głęboki i pewny siebie, Gina nigdy jeszcze nie słyszała, aby tak mówił. - Bycie z Bogiem. Pozbycie się ciała. Tak, chcę tego.

Co ty mówisz, wściekła się Gina bezgłośnie, mając ochotę przejść przez zbity tłum i walnąć Jerry'ego w plecy, obudzić go. Chcesz umrzeć, czy co? Nie być już ze mną? Myślałam, że

tak bardzo chcesz się ze mną ożenić, że oddałbyś za to życie! Co to znaczy, pozbyć się ciała? Może to tylko przenośnia, myślała desperacko. Może miał na myśli po prostu to, że chce być bliżej Boga. Zmarszczyła brwi przechodząc wzrokiem z twarzy na twarz, bezradna.

- Więc to otrzymasz - Baba znów się pochylił i dmuchnął lekko na czoło Jerry'ego. Ten zachwiał się nieznacznie i opadł na pięty ukrywając twarz w dłoniach. Oparł się o ramię sąsiada.

Choć głos Baby był cichy, Gina wszystko dobrze słyszała: - Niedługo - powiedział do Jerry'ego. - Niedługo.

Potem odpowiadał na pytania kilku Hindusów, którzy mówili szybko, a ich głosy brzmiały jak bystra woda. A potem dał znak, aby Gina zbliżyła się do niego i usiadła u jego stóp, stóp, które tak wielu dotykało czołem i całowało tego dnia.

- Nie przepadasz za stopami, co? - uśmiechnął się. - Masz wiele pytań. Twoja głowa brzęczy jak worek z fasolą. Pytaj.

- Przede wszystkim - zaczęła Gina - nie rozumiem dlaczego pozwalasz, aby działo się tyle zła. Sześć milionów moich braci zginęło w obozach hitlerowskich. Gdzie wtedy byłeś?

Twarz Baby stała się poważna i pusta, jak twarz posągu, a jego głos zabrzmiał jakby z oddali.

- Te wielkie dusze - rzekł - wiedziały co spadłoby na ludzkość, gdyby nie zdecydowały się przybyć na Ziemię właśnie w takiej formie i w tym czasie. Wiedział to też Jezus i przybył, i cierpiał przed nimi. Nie byłoby cię tu teraz, gdyby nie ich poświęcenie. Nikogo by nie było. Bądź wdzięczna.

- On mówi, że ci męczennicy byli bodhisattva - szepnęła Kori. - Wcielili się w ciała i narodzili ponownie, zamiast być z Bogiem zaraz po śmierci. Chcieli służyć pewnemu celowi, którego my nie potrafimy zrozumieć. To tajemnica.

- Tak, tajemnica - Sai Baba skinął głową Kori i spojrzał Ginie w oczy. - Ufaj. Mnie lub komukolwiek, bo jeśli nie nauczysz się ufać, będziesz nieszczęśliwa całe życie. Wiesz o tym?

Oczy Giny wypełniły się łzami i pociągnęła mocno nosem czując się znów jak mała dziewczynka stojąca przed ojcem, który był tak dobry i kupił nowy rowerek w miejsce tego, który bezmyślnie zgubiła, i to za pieniądze przeznaczone na swoje narzędzia. Zdawało jej się, że teraz patrzą na nią dobre oczy jej ojca i zapłakała głośno, jak wtedy kiedy miała zaledwie trzy lata i czekała na swój zgubiony rowerek.

- Jak mam ufać? - zapytała głośno i ze złością, a pobożny tłum wokół niej westchnął z niedowierzaniem. - Wołałam cię, kiedy napadnięto mojego syna, a ty go nie uratowałeś. Mogłeś, ale tego nie zrobiłeś.

- To twój syn? - zapytał Baba spokojnie, nie zwracając uwagi na jej słowa. Kiedy skinęła głową wytarłszy nos końcem swego jedwabnego szala, stanął przed wózkiem. - Wiesz, że to było konieczne, abyś znalazł się w tym stanie? - zwrócił się do Kiefa cichym i spokojnym głosem pozbawionym emocji, nawet cienia sympatii. - Dawno temu, zanim pojawiłeś się na świecie, wybrałeś to dla siebie, choć teraz tego nie pamiętasz. Nie bez powodu musisz zapłacić tę cenę.

- Jestem tego pewien - odparł Kief niemal niedosłyszalnie. Głowa mu opadła i wbił wzrok w swoje ręce złożone na kolanach. - I przyjmuję to.

- Czy chcesz być znów zdrowy? - Sai Baba ujął duże, twarde dłonie Kiefa w swoje małe i delikatne.

- Chcę tego, czego chce dla mnie Bóg - odparł Kief zaciskając palce na rękach Baby. - Chcę tego, czego ty chcesz.

- Cenę zapłacono - rzekł Baba. - Łaska zmieniła karmę. Jesteś wolny. Wstań i wyprowadź stąd swoją matkę - uśmiechnął się. - Za chwilę się rozplacze.

Kief powoli wstał i zrobił kilka kroków, ciężkich jakby szedł przez wodę. Tłum rozstał się przed nim, a on podszedł do Giny i wziął ją za rękę.

Serce Giny biło tak mocno, że pociemniało jej przed oczami i myślała, że za chwilę zemdleje. Otworzyła i zamknęła usta, z których nie wydobył się żaden dźwięk. Zdawało się jej, że Kief idzie do niej z daleka, z końca świata. Może tak właśnie jest, pomyślała. Od tak dawna byli sobie tak dalecy, że teraz nie była częścią jego życia bardziej niż dziewczyna, z którą poszedł na bal maturalny. Zauważyła, że odkąd wrócił z Egiptu, mówił jakby dwoma głosami, jednym, grzecznym, przeznaczonym dla matki, oraz drugim, przeznaczonym dla Kori, w którym brzmiała lekka ironia będąca składnikiem tylko i wyłącznie ich świata, gdzie dla Giny nie było miejsca. Nagle zrozumiała co podarował jej Baba. Po uzdrowieniu Kief zaledwie spojrzał na Kori, za to podszedł wprost do niej, swojej matki, z otwartymi ramionami i błyszczącymi oczami. Przypomniał jej się dzień, kiedy Kief zrobił swój pierwszy krok, trzydzieści cztery lata temu, a teraz znów widziała jak stawia pierwsze kroki, ważniejsze niż jej życie.

- Dziękuję - szepnęła głośno do Sai Baby. - Dziękuję za to, że mi przypomniałeś jak to jest znów kochać. - Teraz rozumiała, że trzeba być pustym, aby znów można było zostać napełnionym, i czuła wdzięczność za cały ten ból, który przywiódł ją do tego pokoju, tej chwili.

- Twoje modlitwy zostały wysłuchane, mamó - powiedział Kief z oczami łagodnie utkwionymi w jej twarzy. Zachowywał się jakby byli w pokoju zupełnie sami. - Czy teraz potrafisz zaufać?

- Mam ciebie! - wykrzyknęła Gina trzymając go w ramionach. - Zwrócił mi ciebie. - Serce biło jej tak mocno, że bała się, iż krew tryśnie jej uszami i ustami. Kief był zdrowy, bezpieczny, był jej. Tak, potrafiła zaufać. Ufność rosła w niej jak dziecko w łonie. Gdyby ktoś zapytał ją jak zaczęła ufać, odpowiedziałby że z powodu cudu, ale teraz wiedziała, że to cud był dziełem zaufania, zaufania, które złamało sztywny kręgosłup jej oporowi do bycia kochaną. Wszystko w niej się topiło, żar rozlewał się w ciele, osłabiając tak, że ledwo mogła stać.

- Widzisz - rzekł Sai Baba - ufność przychodzi ostatnia. Ale przychodzi. - Skinął na Kori i hinduską parę, aby poszli za nim do małego pokoiku przylegającego do głównej salki posłuchań.

- Musimy porozmawiać o tym dziecku - zwrócił się do Kori zamknawszy za nimi drzwi. - I o twoim następnym. Będziesz musiała im pomóc wypełnić ich zadanie.

Posłuchanie było skończone. Gina obejmowała Kiefa w pasie, wciąż bojąc się, że utraci to, co dawała mu obecność Baby i upadnie. Twoja ufność znika tak szybko? Ciężki z ciebie przypadek. Słowa wirowały w jej głowie, ciężkiej i niezdolnej do myślenia, jakby nałykała się nowokainy. Ciężki przypadek, powiedział. No cóż, to prawda. Skorupa, jaką wokół siebie budowała była bardzo twarda, ale ona, i być może Sai Baba, wiedziała o tym. Nawet jeszcze zanim opuścił ją ojciec Kiefa, wiedziała, że on w końcu musi znaleźć sobie jakąś ładniejszą i bogatszą kobietę. Potrzebowała bronii, wyjaśniła sobie samej i głosowi Sai Baby w swojej głowie, głosowi, który nie miał zostawić jej samej sobie. Potrzebowała bronii, ponieważ bez niej byłaby zaledwie słabym biedactwem, a każdy mógłby ją deptać do woli, jak to było z jej dobrym ojcem. I z Jerryem. Pomyślała nagle o tym, jak bardzo Jerry przypominał jej ojca. Zbyt dobry dla tego świata, mówili o

nich obu ludzie. Ojciec umarł na atak serca mając czterdzieści lat, i właśnie wtedy Gina zaczęła budować swoją skorupę. Rozwód jeszcze ją utwardził.

- Zostań tu na tarasie - powiedziała Gina z nieco lżejszą już głową. - Wrócę po Jerry'ego. - Czuła, że może już zacząć planować powrót do domu, choć bez poczucia, zwykle jej towarzyszącego, że musi kontrolować wszystko. Ona wszystko zaplanuje, a plan może stanie się rzeczywistością. A może nie. Już nie miało to takiego znaczenia. Gina nie przestawała się uśmiechać, dotykając policzka, ramienia czy włosów Kiefa. Ufność rosła w niej coraz bardziej. Nie była pewna co jej przyniesie, ale wiedziała, że była to właśnie ufność.

- Chcesz tu usiąść i poczekać na mnie? - Gina zatrzymała się przed wysoką białą ścianą.

- Nie chcę siedzieć. Już dość się nasiedziałem, dzięki - Kief wyciągnął się, dotknął palcami rąk palców u nóg i okręcił się wokół siebie jak tancerz. - To jest tak naturalne! Kiedy opowiemy o tym ludziom, pomyślą, że zwariowaliśmy. Ale teraz wydaje się to takie normalne. To zabawne, jak szybko potrafimy przyzwyczać się do cudów.

- Do tego jeszcze się nie przyzwyczyłam - Gina uśmiechnęła się do niego. - Jestem zaskoczona jak nigdy w życiu. A Jerry? Od czego Jerry chciał się wyzwolić?

Kief stanął nieruchomo.

- Myślę, że wiem. Idź po niego. Poczekaam tu.

Sevadalowie nie wpuścili Giny z powrotem, ale pozwolili jej poczekać na ocienionym tarasie, póki nie wyszedł Jerry, na wpół niesiony przez o wiele od niego niższego Hindusa.

- Mogę iść - powiedział Jerry niewyraźnie. - Tylko muszę się o ciebie oprzeć.

- Co tam się stało? - Gina wsunęła się pod jego pachę i podźwignęła go. - Dlaczego prosisz o wolność? Już zmęczyło

cię małżeństwo? - Uśmiech zniknął, kiedy zobaczyła wyraz jego twarzy.

Jerry oddychał ciężko i trzymał jedną rękę na piersi.

- Taki szczęśliwy... szczęśliwy... - szeptał z zamkniętymi oczami.

- Kief! - krzyknęła Gina, kiedy wyszli na taras, a wszystkie głowy zwróciły się ku nim. - Pomóż mi go nieść.

Niosąc Jerry'ego między sobą, poszli do domku i tam położyli go na różowej macie w małym, pozbawionym powietrza pokoiku i wachlowali go, czekając aż otworzy oczy.

- Czasami ludzie oddalają się w stan uniesienia, który może trwać całe dni - odezwał się Kief kładąc na gorącym czole Jerry'ego zimną, moką szmatkę. - Może i na niego w ten sposób podziałał darśan.

- Nie podobało mi się to, co mówił o wyzwoleniu - powiedziała Gina nerwowo, wachlując Jerry'ego swoim słomianym kapeluszem.

Jerry mocno schwycił jej rękę i otworzył oczy.

- Tego chcę - powiedział silnym głosem. - Kiedyś przypomnisz sobie, że wolność jest wszystkim czego pragnę, Gino. Czego zawsze pragnąłem. - Głowa Jerry'ego opadła na marynarkę, którą Gina podłożyła mu pod głowę niby poduszkę.

- Co z nim? - Kori uklękła obok Giny. - Pewnie jesteś przerażona. To nie jest coś zwyczajnego.

- Owszem, jestem - Gina w roztargnieniu pogłaskała rumiany policzek śpiącego Johna Philo i wróciła do Jerry'ego. Oddychał nieregularnie, a jego czoło płonęło nawet pomimo wilgotnego okładu. - Szkoda, że nie zapytałam Sai Baby co miało znaczyć to wyzwolenie. Jerry nigdy mi o tym nie wspominał.

- Później ci powiem - mruknęła Kori układając śpiące dziecko na drugiej macie. - Później.

Gina oderwała wzrok od Jerry'ego.

- Co ci powiedział Sai Baba - zapytała. - Coś o Jerry'ym?

Kori pokręciła głową i z gracją kwiatu na wietrze usiadła na podłodze skrzyżowawszy nogi.

- Nie o Jerry'ym. O Johnie. I powiedział jeszcze, że przyjdzie następne dziecko. Córka. - Lekko i niepewnie dotknęła swego dziecka. - Para, która była ze mną w tamtym pokoju będzie dziadkami Premy Sai.

- Nie rozumiem - Gina objęła rękami głowę, która była niemal tak gorąca jak głowa Jerry'ego. - Prema Sai? Jak ktoś może wiedzieć kim będzie jego wnuk?

- Prema Sai jest trzecim i ostatnim wcieleniem tego, który pojawił się jako Shirdi Baba sto lat temu. Sai Baba jest drugim. - Kori mocno złożyła ręce. - John Philo i nasza córka będą pomagać opiekować się Premą Sai, kiedy będzie mały i znajdzie się w niebezpieczeństwie. Powiedział mi co mam im przekazać, a hinduskiej parze powiedział, co mają przekazać ich córce, kiedy będzie dość duża.

- Nie mógł mieć na myśli właśnie tego, Kori - Gina czuła jak histeria narasta jej w gardle, dławiąc ją jak to zdarzyło się w jej życiu już kilkakrotnie, jak wtedy, gdy pierwszy mąż oświadczył jej, że odchodzi z blond zastępczynią dyrektora rywalizującej z nimi firmy. - To ma być za czterdzieści lat. To szaleństwo. - Skierowała wzrok ku pierścieniowi na palcu Jerry'ego, a twarz Jezusa oddała jej spojrzenie.

Jerry otworzył oczy i spojrzał na Ginę.

- Ufaj - powiedział cicho. - Pamiętaj. Zrobiłem to, po co tu przybyłem. Przywiódł nas tu. - Nic więcej nie powiedział, odwrócił się twarzą do ściany, uśmiechając się lekko ilekroć Gina próbowała do niego mówić.

Cały wieczór przesiedzieli przy macie Jerry'ego. Lakshmi przyniosła im dzban słodkiego lassi i tacę chleba chapati z sosem warzywnym, ale tylko Kori mogła jeść.

O północy gorączka Jerry'ego jeszcze się wzmogła, zaczął też mieć halucynację, że Sai Baba jest w pokoju. Kori siedziała w kącie i skłoniła się, jakby Sai Baba rzeczywiście tam był, ale Gina potrząsnęła Jerrym, wołając, aby się obudził. To tylko zły sen, powiedziała sobie niepewnie. Wydawało się jej, że gorączka Jerry'ego przechodzi i na nią. Obudzą się w małym domku przy Olive Street i nigdy już, nigdy nigdzie nie wyjadą. Zaopiekuje się nim lepiej, nie pozwoli mu tak ciężko pracować, nie będzie od niego tyle wymagać.

Kief musiał ją odciągnąć, tak mocno tuliła Jerry'ego. Może, pomyślała, pragnął wyzwolenia, bo wiedział, że nie kocha go tak bardzo, jak on ją. To było prawdą. Ale teraz kocham go równie mocno jak on mnie, pomyślała gwałtownie. Jerry, proszę, wróć. Kocham cię. Kocham cię z całych sił. Kiedyś w filmie, który teraz jej się przypomniał, widziała jak matka makaka głośno oplakuje swoje martwe dziecko, nosząc je cały czas na grzbiecie póki małe ciało nie zaczęło gnić i w końcu musiała je porzucić.

- Zabieramy go do szpitala, mamó - oświadczył Kief. - Kori sprowadziła Jay'a i samochód.

Kori wprowadziła Jay'a do pokoju. Obaj z Kiefem zanieśli Jerry'ego do samochodu. Gina usiadła na tylnym siedzeniu, trzymając jego głowę na kolanach i dmuchając na jego rozpalone czoło.

- Powinam była wyjść za ciebie wcześniej, wtedy kiedy oświadczyłeś mi się - wyszeptała do niego, niepewna czy ją słyszy. - To moja wina, że nasze małżeństwo było takie krótkie. Baba, uratuj go, proszę, uratuj go! - wykrzyknęła na głos, mając nadzieję, że jej słowa przedrą się przez ciemną, cichą noc i dotrą do pokoiów Baby nad świątynią.

- Przestań - Jerry otworzył oczy i uśmiechnął się lekko. Zdawał się patrzeć nie na nią, lecz przez nią. - Jestem taki szczęśliwy.

Kiedy sanitariusze w dużym, nowym szpitalu Baby zabrali go z jej ramion, nie żył już. Lekarze powiedzieli jej następnego ranka, że umarł na atak serca, który został spotęgowany jeszcze przez błyskawicznego zdradliwego wirusa, jaki dotknął w tym tygodniu już wielu ludzi z aśramu. Gina nie powiedziała na głos tego, co sobie myślała - że Jerry zostawił ją dla swego Boga i że była niemal zbyt zła na niego, żeby go opłakiwać. Sai Baba zwrócił jej Kiefa, ale zabrał Jerry'ego. Nagle przypomniały jej się słowa ciotki Hanny wypowiedziane, kiedy podczas porodu umarło jej jedyne dziecko. „Pan daje i Pan zabiera. Niech będzie błogosławione Jego Imię.” Jak łatwo jest ufać, kiedy dostaje się to, czego się pragnie, pomyślała Gina, i jak trudno, kiedy dzieje się wola Boga, nie twoja. Gdyby tylko mogła ufać, jak jej ojciec, który wierzył że kiedy raz Bogu zaufa, On daje wszystko czego się pragnie!

Usłyszała jak Kori mówiła Jerry'emu i Kiefowi, że wolność jest wyzwaniem się wszelkiego przywiązania do czegokolwiek, nawet do życia. Może to Kori była przyczyną tego, że Jerry zatęsknił za wyzwoleniem. Serce Giny zapłonęło gniewem ku synowej, póki nie przypomniała sobie, że pragnienie Kori ujrzenia Sai Baby przywróciło Kiefowi zdrowie. Jej myśli kłębiły się jak burza i przez chwilę Gina uciszyła je i obserwowała, nie chcąc, aby rozszarpały ją na kawałki. Zrozumiała, że była zła, ponieważ Jerry nie chciał tego, czego chciała ona, i że to jego wola została spełniona, nie jej. Skłoniwszy głowę, Gina załkała i wymówiła słowa, które tak często słyszała z ust Jerry'ego. Przyszły opornie, tak jej obce jakby mówiła w nieznanym sobie języku.

- Panie, nie moja, lecz twoja wola niech się dzieje. Kiedy to powiedziała, poczuła, że jej oddech uspokaja się, a serce bije wolniej. W końcu mogła zasnąć.

* * *

Wolność, mruknęła Gina przedzierając się przez błoto powstałe po przelotnym, ulewnym deszczu. Zawsze wierzyła, że wolnością jest możliwość kontrolowania własnego życia. Bezpieczeństwo. Żadnego bałaganu. Cóż, dla Jerry'ego nie istniał już żaden bałagan. Czy za bardzo narzucała mu się z tą swoją zrzedliwą pewnością, że ktoś gdzieś bez przerwy knuje, aby odebrać jej wszystkie jej pieniądze? Kiedyś były to rachunki za szkoły Kiefa. Potem pożyczki na rozkręcenie interesu. Potem podatki i spłaty domu, a zawsze nagłe podwyżki stawki ubezpieczenia, choć jedynym, co kiedykolwiek wydebiła od swego towarzystwa ubezpieczeniowego, były opłaty za coroczne badania ginekologiczne. Nie płacili nawet za mammografię. Cyfry tańczyły jej przed oczami - śmieci, których pragnęła się jedynie pozbyć. Zdała sobie sprawę, że zawsze, kiedy stawała w obliczu bólu, jej umysł zaczynał rozważać sposoby zarabiania i wydawania pieniędzy. Przynajmniej na tym się znała i dawało jej to iluzoryczne poczucie, że panuje nad swoim życiem. Lecz teraz cyfry wydawały się pułapką, która zatrzasnęła się i trzymała ją jak migrena.

Zdała sobie sprawę, że biegnie za nią Lakshmi, niosąc koszyk pełen kwiatowych pąków. Lakshmi, ze swoimi kilkoma setkami dolarów na rok zarobionymi szyciem materaców dla wioskowego bogacza, który utrzymywał aśram. Mieszkała w chałupie kilka kilometrów za Puttaparthi, nie miała elektryczności, tylko lampę gazową, a nie stać jej nawet było na gaz do niej. Nie miała innych dzieci oprócz Naranjana, a kiedy będzie stara, nikt się nią nie zajmie. Gina zaofiarowała się zapłacić za elektryczność dla Lakshmi, żeby mogła szyc i w nocy, ale ta tylko roześmiała się, mówiąc: „Gdyby Baba chciał, żebym miała elektryczność, to by mi ją dał. Jestem zadowolona z tego, co mam.”

Zdawało się, że w Indiach nikogo nie obchodzi czy coś się zmieni czy nie. Tyle inwazji przewaliło się przez nie, tylu władców się zmieniło, a Indie zawsze były te same, tu zawsze rzeczy same wracały na stare tory. Zdawało się, że nikt niczego nie kontroluje. A może Hindusi myśleli, że ich kraj sam się sobą zajmie, jak zawsze, a oni będą mogli modlić się do swoich bogów i uczyć dzieci, że w życiu muszą troszczyć się jedynie o swoje dusze, swoich rodziców i swoją karmę, nic więcej. Nagle Ginę uderzyła myśl, że jeśli Kori miała rację co do reinkarnacji, to do tej pory prowadziła tak samolubny tryb życia, że następnym razem wyląduje na ulicach Bombaju. Albo tak dobre życie, odezwał się głos w jej głowie, niefrasobliwie, drażniąco, nie dając żadnych odpowiedzi.

Gina nie rozmawiała wiele z Lakshmi, ale czuła, że ogarnia ją jakiś nieokreślony spokój, kiedy Hinduska jest w pobliżu niej. Nie wiedziała, że po policzkach spływają jej łzy łącząc się z kroplami deszczu, póki Lakshmi ich nie otarła.

- Nie płacz - powiedziała Hinduska. - Módl się do Baby.

Gina zastanowiła się czy potrafi się jeszcze modlić, bojąc się, że po śmierci Jerry'ego nie został nikt, kto by ją kochał. Spróbowała się modlić, prosząc Babę o jakiś znak, nadzieję, że któregoś dnia jej umysł przestanie być jedynie kłębowiskiem ponurych planów. Jak zawsze bała się - bała się, że zostanie sama i że skończy jako żebraczka na ulicy, nie mogąc wydobyć się spod góry papierów, które pozwalały zaistnieć jej niepewnym operacjom finansowym. Jasne, miała teraz ziemię w górach Santa Cruz i kilkaset tysięcy w akcjach rządowych. Nie będzie głodować, ale nigdy nie będzie na tyle bogata, żeby żyć jak by chciała. Ta wolność, myślała Gina, skąd ona się brała? Miała dobrych rodziców, którzy dawali jej tyle swobody, ile potrzebowała. Jerry nigdy niczego nie żądał. Więc dlaczego wolność była dla niej sprawą tak ważną? Dlaczego pragnęła tak nierozsądnie wiele? Ile razy

przeglądała jakiś katalog czy zobaczyła reklamę w telewizji, zawsze pragnęła tej reklamowanej rzeczy. Jakby w jej sercu była jakaś dziura, której nic nie mogło zapełnić.

Spojrzała na ciało Jerry'ego i zadrżała. To tego się bała, nieodwracalnej straty. Nie będzie jej, nie będzie pragnień ani nadziei na wypełnienie tej dziury. Wszystko, co było Giną, zniknie tak szybko i nieodwracalnie jak teraz Jerry. Przyłożyła ręce do gardła, gorącego i spuchniętego, jakby nie przelane jeszcze łzy w nim właśnie się gromadziły. Nagle poczuła w ustach kurz i zaczęła kasłać. Lakshmi uderzyła ją kilka razy w plecy i zaoferowała twardy cukierek do ssania.

Przed nią szedł Kief, Jay i jeszcze dwóch Hindusów, których nie знаła. Nieśli nosze, na których leżał Jerry. Był przykryty prześcieradłem, a Kori idąca obok z dzieckiem na ręku, sypnęła na prześcieradło garść kwiatów. Na jego wargach leżał piękny, różowy pąk, i Gina nie usunęła go, aby ostatni raz ucałować Jerry'ego, póki nie rozpalono ognia. Mężczyźni ułożyli nosze na brzegu wąskiej i płytkiej rzeki zwanej Chitravathi i ułożyli wokół nich stos ze szczap drewna i krowiego łajna. Kobiety piorące w rzece przerwały pracę i z szacunkiem pozdrowiły żałobników, ale krowy dalej przeżuwały i piły wodę, nie zwracając na nic uwagi.

Kiedy płomienie zaczęły lizać drewno, Kori podała dziecko Kiefowi i skoczyła naprzód, aby zdjąć pierścień z palca Jerry'ego.

- Jest twój, mamó - powiedziała. - Właśnie mi się przypomniało: Baba mi powiedział, żeby ci go dała za ten, który kiedyś będzie należał do Johna Philo.

Bez słowa Gina zdjęła z palca pierścień z wygrawerowanymi trzema świętymi imionami i wręczyła go Kori. Dziecko zaśmiało się i spróbowało go wziąć z ręki matki. Kori dała drugi pierścień Ginie, która przypatrywała mu się przez chwilę, zastanawiając się bezmyślnie, dlaczego

twarz Jezusa zmieniała się w twarz Baby. Za bardzo bolało ją serce, aby zastanowić się nad tym głębiej. Założyła nowy pierścień na trzeci palec lewej ręki, nad obrączkę. Pasował doskonale. Potem obserwowała jak płomień zmieniają ciało Jerry'ego w popiół. Nie została, żeby popatrzeć jak jego popioły zostają wrzucone do brązowej, wolno płynącej rzeki.

Kiedy Kori wróciła do domku, Gina leżała na macie Jerry'ego rozpalona tą samą gorączką. Kief usiadł przy niej, zmieniając co chwila okłady na jej czole, które Lakshmi przynosiła z łazienki. Kori stanęła w drzwiach, a Ginie leżącej na podłodze wydawała się jeszcze wyższa, niemal jak anioł, a nie człowiek.

Niejasno zdawała sobie sprawę, że choruje na to samo, co zabiło Jerry'ego. Krzyknęła, wydawało jej się, że głośno, lecz naprawdę z jej ust wydobył się jedynie szept.

- Ta gorączka jest zaraźliwa. Niech Kori nie wchodzi tu z dzieckiem.

Dobrze, że Baba umieścił Kori i dziecko w osobnym pokoju, powiedziała sobie, próbując skupić niewyraźne, rozproszone myśli, rozbiegające się we wszystkich kierunkach, jak gniazdo węży. No tak, Kori i dziecko byli tu wczoraj z Jerryem, więc już są zarażeni.

- Dbaj o moją rodzinę - wyszeptała. - Nie pozwól, aby dziecko też się zaraziło, Baba. - Słowa popłynęły z rozpalonego umysłu, a Gina słyszała śpiewny głos Baby. Nie martw się o dziecko. Ja się nim zajmę, powiedział głos, a ona usłyszała w nim ślad śmiechu. Zasnęła ciężkim snem, a ciemność zamknęła się nad nią jak woda nad tonącym. We śnie ujrzała jak Jerry, z rozświetloną twarzą, unosi się i kołuje nad nią. - Nic cię nie obchodzi? - zawołała ku niemu. - Myślałam, że mnie kochasz! - No tak, on nie żyje, upomniała sama siebie, a ona robi mu pełne winy wyrzuty. Lecz wyraz jego twarzy nie zmienił się. Spojrzał na nią, uśmiechnął się

tym swoim rozbawionym, dziecięcym uśmiechem i dalej krążył nad nią jak krąg jasnego światła.

Gina spała dwa dni, po których nagle obudziła się w ciemnym pokoju i zobaczyła Kiefa, skulonego i śpiącego przy jej macie. Wydawało jej się, że słyszy jak ktoś otwiera drzwi. Ktoś wszedł. Spróbowała usiąść, ale nie dała rady. Jej ciało było niczym mokre spaghetti.

- Kto tam? - poruszyła wargami, ale żaden dźwięk się z nich nie wydobył.

- To ja. Nie bój się.

Widziała sylwetkę i twarz Sai Baby, ale niezbyt wyraźnie. Wydawało się jej, że Baba szybuje w powietrzu jak chmura, a jego pomarańczowa szata lśniła jak zachodzące słońce.

- Jesteś prawdziwy czy mam halucynacje? - Gina zdołała w końcu usiąść i oprzeć się o ścianę, czując pod policzkiem chłodny, biały cement.

- Czy to ma znaczenie czy ty śnisz o mnie czy ja o tobie? - Sai Baba podpłynął do niej i wyciągnął rękę. - Chcesz pójść ze mną? Być ze swoim mężem?

Gina cofnęła się i jeszcze bardziej przycisnęła do ściany.

- Nie, nie chcę umierać! - Jakby na szybkim podglądzie mignął jej przed oczami obraz jej ciała kurczącego się w płomieniach, zmieniającego w popiół i płynącego z prądem małej, brązowej rzeki. Może właśnie to ludzie mieli na myśli, kiedy mówili, że w chwili śmierci widzisz całe swoje życie, pomyślała. Gina miała nadzieję, że Sai Baba dobrze zrozumiał, że nie chciała umierać. Spróbowała mu to powiedzieć, ale spomiędzy warg wydostał się dźwięk niemal nieludzki.

- Dobrze - skinął głową. - Będiesz żyła dłużej na tym świecie. To twój wybór. - Pochylił się nad nią i dmuchnął na czoło, jak wtedy Jerry'emu. Zdziwiła się poczuwszy, że jest jej

chłodniej; przecież śniła. - Mam dla ciebie zadanie - rzekł Sai Baba. - Od tej chwili masz żyć jak Żydówka.

- To znaczy jak? - Gina miała ogólne pojęcie, ale chciała wiedzieć dokładnie co ma robić. Może to oznacza, że nigdy więcej nie ma jeść szynki. A może zadowoli go po prostu, jeśli będzie zachowywać szabas.

- Jedź tam, gdzie jest twój naród i żyj jak oni - powiedział. - Oni cię nauczą.

- Ale ja chcę zostać z Kiefem i Kori. Chcę zająć się dzieckiem - Gina zaczęła płakać i pochyliła się ku niemu, a jej łzy spadały na jego stopy.

- Ty sama jesteś dzieckiem - jego głos był cichy i brzmiał w nim śmiech, choć wargi się nie uśmiechały. - Zostaw swego wnuka jego rodzicom i mnie. Jedź tam, gdzie się tobą zajmą. Ja będę z tobą. Jedź i ufaj.

Potem Gina nie potrafiła wyjaśnić nagłego poczucia, że jest kochana tak bardzo, tak bezwarunkowo, że każda cząsteczka zdawała się to czuć i pławić w tej sile, która wtargnęła w nią jak tajfun. On ją znał i kochał taką, jaka była. Rozumiał ją i nie osądzał. Gina zgięła się wzdłuż i dotknęła rękami i czołem jego stóp w geście szacunku i miłości, jakim hinduskie dzieci czciły swych rodziców. Ten dziwny uczynek nie wydał się jej już taki dziwny, kiedy go wykonała. Przypomniała sobie, jak całowała paluszki u nóg swego syna, kiedy był niemowlęciem, a teraz czuła się podobnie. Zakryła oczy rękami i pozostała tak zgięta ku ziemi przez kilka minut, jak sądziła, czując jak ogarnia ją poczucie ufności, ciepłe jak krew niosąca życie do każdej komórki ciała. Kiedy się wyprostowała, Sai Baby już nie było. Albo jej sen się skończył. Nie miała co do tego pewności.

- Pojadę. Zrobię to, czego on chce - słowa były na tyle głośne, że obudziły Kiefa.

- Mamo? - Kief usiadł prosto, przecierając oczy. - Chcesz iść do łazienki? Lepiej się czujesz?

- Chyba dobrze. - Gina wstała ostrożnie. Oparła się ręką o ścianę, ale zaraz ją puściła. Sprawdzi czy jest tak silna, że może stać bez podtrzymywania. Była.

Do pokoju wpłynął dźwięk śpiewających kobiecych głosów, najpierw daleki, a potem coraz bliższy. Kief otworzył drzwi i śpiew stał się jeszcze silniejszy. Subtelna melodia wznosiła się i opadała jak oddech.

- Nagarsankirtan - rzekł Kief. - Patrz. Ludzie tu wstają przed świtem, aby powitać słońce.

Gina stanęła za nim, obserwując otulone szalami kobiety idące pokrytą kurzem alejką aśramu. Światło świtu wyłaniało się zza wzgórz barwiąc niebo bladą purpurą. Gina odetchnęła głęboko. Czuła w powietrzu zapach jaśminu. Uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie, że jaśminem pachniały stopy Sai Baby.

Godzinę później, na porannym darśanie, siedziała obok Lakshmi i jej syna, śliniącego się, drżącego i ześlizgującego się ze swego wózka. Lakshmi wyprostowała go i poprawiła koc na jego kolanach.

- Przybyli ludzie z Delhi - wyszeptała do Giny. - Są tak biedni, że całą drogę musieli iść pieszo. Przyjechali też bogaci ludzie z Europy. Chcą dać Swamiemu prezenty.

- Cicho!... - sevadal zmarszczył brwi i gestem uciszył Lakshmi, która wzruszyła ramionami.

- Wczoraj w nocy cały czas paliło się światło w pokoju Swamiego. Słyszałam, że pracuje przy biurku aż do chwili, kiedy jego ludzie nie przyszli po niego na darśan.

- Proszę nie rozmawiać! - sevadal błysnął okiem ku Lakshmi.

Gina siedziała bez słowa, obserwując drzwi, z których miał wyjść Baba i zastanawiając się jak mógł być w jej pokoju

i swoim jednocześnie. Tajemnica, jakby powiedziała Kori. Sprawdzano jak potrafiła ufać. Nagle ptaki zaczęły świergotać i kwilić, kołując nad dachem świątyni. Kilka połączyło się, głośno i bezwstydnie łopocząc skrzydłami o dach. Nad najdalszym wzgórzem lśnił niewielki łuk brzegu tarczy słonecznej.

Kobiety siedzące wokół Giny wyprostowały się i wyciągnęły szyje, kiedy Baba wyszedł i rozpoczął swój długi spacer wzdłuż dziedzińca. Nikt nie rozmawiał. Sevaladowie nie musieli napominać gadatliwych, gdyż wszyscy pragnęli usłyszeć choćby jedno słowo z tego, co Baba mówił do szczęśliwego wybrańca.

Serce Giny zabiło szybciej, kiedy spostrzegła, że Baba zmienia kierunek swego zwykłego spaceru i podchodzi do rzędu krzeseł i wózków inwalidzkich. Lakshmi mówiła, że prawie nigdy nie podchodzi do krzeseł. Wziął kilka listów i zatrzymał się kilka krzeseł od nich, aby porozmawiać z wysoką, białowłosą Angielką.

- Co mam zrobić, Baba - odezwała się, kiedy ją powitał. - Nie mogę się zdecydować na operację. Powiedz co mam zrobić.

Baba zakręcił dłonią i dotknął jej czoła popiołem, którego resztę złożył w otwartej dłoni spoczywającej na kolanach.

- Jedyne guru jest w tobie. - Dotknął swojej piersi. - Nie czekaj aż ja ci powiem co masz zrobić. Bóg przemawia do ciebie w twoim sercu. Słuchaj.

Nagle syn Lakshmi usiadł prosto.

- Jai! - wykrzyknął. Kori powiedziała Ginie, że najbliższym tłumaczeniem tego słowa mogło być 'Alleluja'. Głowy odwróciły się ku nim z dezaprobatą, ale ludzie zauważyli, że był to tylko na pół świadomy kaleki chłopiec. Baba podszedł, zatrzymał się przy jego wózku i dotknął jego czoła popiołem. Chłopiec odsunął głowę i uśmiechnął się.

Baba zadał Lakshmi jakieś pytanie w telugu, a ona odpowiedziała z twarzą rozjaśnioną zaskoczeniem i radością. Może mówił jej, że Narajan wyzdrowieje, pomyślała Gina. Ale syn Lakshmi wciąż siedział na wózku i ślinił się, a jego ręce miętosiły koc.

- Ufaj i jedź - Sai Baba zwrócił się do Giny. - Pamiętaj.

Zamglonymi oczami patrzyła jak oddala się alejką. Sen nie był tylko i wyłącznie snem, chyba że on śnił z nią razem. Powiedział to naprawdę. Miała zostawić wszystko i jechać do Izraela. Uczyć się od ciotki Hanny i wujka Chaima jak być Żydówką. Nie może się od tego wymigać. Gina westchnęła i spróbowała wyobrazić sobie jak będzie ręcznie prała w Zefat, godzinami stała modląc się w synagodze. Potrzeba cudu, żebym wytrzymała tam tydzień, powiedziała sobie. I Baba będzie daleko. Wciąż tak uważasz? Nie widzisz, że jesteśmy przyjaciółmi? Nigdy się nie rozstaniemy. Nigdy. Głos rozbrzmiał w jej uszach, a ona podniosła wzrok.

Baba zatrzymał się przed sektorem mężczyzn i spoglądał przez ramię na nią. Wskazał na swoje stopy, uśmiechnął się, jakby dzielili jakiś sekret i ruszył dalej. Gina znów poczuła zapach jaśminu w lekkim powiewie i przypomniała sobie zapach jego stóp we śnie czy wizji, gdzie go widziała po raz ostatni.

Zanim wszedł do świątyni, Baba skinął i tłum obdartych gości z Delhi podążył na spotkanie. Lakshmi wyjaśniła, że to byli ci, którzy przeszli tysiące kilometrów, aby się z nim spotkać. Bogaci obcokrajowcy prosili o spotkanie, ale Baba odmówił im na rzecz grupy z Delhi.

- Są jego dziećmi - powiedziała Lakshmi. - Tak im powiedział. Myślę, że bogaci ludzie są wściekli.

- A ty jak się czujesz? - Gina położyła rękę na brązowym ramieniu pokrytym bliznami i wypukłymi żyłami. - Nie uzdrowił twego syna.

- Pobłogosławił mojego Narajana - odparła Lakshmi. - Powiedział mi, że tylko tyle Narajan chciał od niego. I powiedział jeszcze, że w moim następnym życiu będę z Premą Sai. My nie widzimy tego, co on widzi. Ufam mu.

Gina zostawiła modlącą się Lakshmi na dziedzińcu, a sama poszła wzdłuż małej alejki za świątynię. Starła się opanować drżenie rąk. Wyobraziła sobie, że Jerry jest tu z nią, ale jego obecność czuła zaledwie przez chwilę. Potem znów była sama, nie wiedząc co zrobić z kłębowiskiem myśli w głowie, gniewem i tęsknotą do bezpieczeństwa. Zostanie tu, w tym dziwnym, niewygodnym miejscu, postanowiła, póki nie poczuje tego, co Lakshmi, póki nie zaufa tak, jak ufała Lakshmi. A to może zabrać dużo czasu.

* * *

Kiedy Kori nie potrzebowała jej przy dziecku, Gina szła wijącą się ścieżką do budynku administracji uniwersytetu i spędzała kilka godzin w tamtejszej czytelni, w której znalazła parę angielskich książek. Gina nie zwracała uwagi na książki o nauczaniu, gdyż napisane były w niemożliwym do odczytania hindi i nie rozumiała ich bardziej niż komentarzy do Talmudu z biblioteczki wujka Chaima. Zamiast tego czytała książki o samym Sai Babie - jego życiu oraz opowieści ludzi z Zachodu, którzy zbliżyli się do niego.

Urodził się w biednej, pobożnej rodzinie hinduskiej pewnej dziwnej nocy, podczas której struny tampoury wiszącej na ścianie wydawały dźwięki, choć nikt ich nie dotykał, a maddala, bęben akompaniujący świętym pieśniom, grał, jak gdyby pod rękami natchnionego muzyka. Świętobliwi starcy z wioski kiwali głowami i mówili, że jakaś dobroczynna siła przybiera właśnie ziemski kształt. Easwamma, ciężarna matka, zaczęła rodzić jak tylko ukończyła swoją puję, czyli codzienną modlitwę. Kiedy słońce ukazało się ponad górami, urodził się chłopczyk, którego

położyła na posłaniu ze złożonych ubrań. Dziwne ruchy pod stosem ubrań skłoniły ją do zajrzenia pod nie. Spod ubrań wysunęła się kobra; podnosząc kaptur głowy, spojrzała na nich i zniknęła we frontowych drzwiach. Gina wstrząsnęła się wyobrażając sobie jak młoda matka musiała drzeć o życie swego nowo narodzonego syna. Potem jednak przeczytała, że kobiety uważały węże za wielce pomyślną wróżbę, znak boskiej opieki nad dzieckiem.

Dziecko, Sathyanarayana, stanowiło atrakcję wioski. Przyjeżdżali goście, którzy siadali u jego łóżeczka, dotykali jego loków, wdychali słodki zapach jaśminu, który roztaczał się wokół niego. Był słodkim, grzecznym dzieckiem. Nawet jako mały chłopiec nie zbliżał się do miejsc, w których zabijano zwierzęta. Kiedy na obiad przeznaczono ptaka, mały Sathya chwycił go w ramiona i próbował przekonać rodziców, że zwierzę powinno żyć. Kiedy do drzwi podchodził żebrak, to trzyletnie 'dziecko - bramin', jak zaczęto go nazywać, wołał swoje starsze siostry, aby nakarmiły biedaka. Jeśli odmawiały, płakał, póki żebraka nie zawołano ponownie i nie nakarmiono. W końcu matka kiwała nad nim głową i mówiła, że sam będzie się musiał obejść bez jedzenia, skoro wciąż chce karmić żebraków. Nie przeszkadzało to Sathyi, który po prostu nie jadł obiadu ani kolacji, za to dalej karmił żebraków. Kiedy matka zapytała go jak może nie jeść, wyjaśnił, że Thatha, starzec, daje mu kulki mlecznego ryżu. Wyciągnął rękę, a jego matka poczuła zapach masła, mleka i twarogu tak dobrego, jakiego nigdy nie było w jej własnym domu. Nikt inny, tylko Sathya widział tego starca.

Dzieci w wiosce nazywały go „Guru”. Kiedy spóźniały się do szkoły i zbierały się pod szkołą, bojąc się śmigłej różgi nauczyciela, Sathya przynosił im ciepłe koszule i ręczniki, aby nie zmarzli w chłodnym deszczu i mgle. On sam był wzorowym uczniem, a mając siedem lat zaczął komponować

święte pieśni, których słuchali mieszkańcy wioski. Dziesięcioletni, utworzył wędrowną trupę muzyczną, w skład której weszli chłopcy, którzy przedstawiali święte opery bazujące na starożytnych, wedyjskich historiach o bogach. Ci, którzy go oglądali, myśleli, że patrzą na boga Krisznę, tańczącego, śpiewającego i skaczącego jak lew, który zwycięża złe moce niszczycielskich bogów. Gina oglądała ilustracje szczupłego, o błękitnej twarzy, grającego na flecie Kriszny, ale nie dostrzegła żadnego podobieństwa między nim a Sai Babą w średnim wieku, którego znała.

Jego moc zaczęła się ujawniać w późniejszych latach dzieciństwa. Kiedy ktoś gubił jakiś cenny przedmiot, on go znajdował, nawet jeśli przedmiot ten został specjalnie ukryty. Pewien służący ukradł pióro swego pana, a Sathya dokładnie powiedział gdzie znajduje się owo pióro: u syna tego służącego, kilometry całe od szkoły w Anantapurze. Chłopiec był zaszokowany i upokorzony, kiedy po pióro zgłosił się jego właściciel.

Koledzy podziwiali Sathyę nie tylko za cuda, ale i za to, że potrafił bardzo szybko biegać. Każdego ranka przed lekcjami prowadził wspólne modlitwy. Gina spróbowała wyobrazić sobie szkołę, w której czci się ucznia za jego świętość, ale przyszła jej na myśl jedynie ortodoksyjna yeshivot w Izraelu, gdzie mali chłopcy w krótkich, czarnych spodenkach, z kręconymi pejsami, które kiwały się w przód i w tył, wysokimi głosami śpiewali hebrajskie modlitwy i otrzymywali nagrody za postępy w nauce.

Kiedy Sathya miał trzynaście lat, nastąpiła w nim nagła zmiana. Gina pomyślała w tym momencie o barmicwie, kiedy żydowscy chłopcy stawali się mężczyznami. Lecz rytuał Sathyi był raczej ciężką próbą niż zwyczajnym uczeniem się jak czytać Torę. Ukąsił go skorpion i Sathya stracił przytomność na wiele dni. Była to pierwsza z całej serii

śpiączek, podczas których opuszczał swoje ciało i często widywano go w dwóch miejscach jednocześnie. No cóż, pomyślała Gina, to może wyjaśniać w jaki sposób przebywał jednocześnie w moim i w swoim pokoju.

Po ukąszeniu skorpiona, Sathya zaczął śpiewać i dziwnie mówić, jakby nie był już chłopcem, jakim przecież był. Rodzice obawiali się o jego umysł, gdyż często miewał wizje bogów przechadzających się po niebie. Rodzicom mówił spokojnie: „Dlaczego tak się martwicie? Nie ma lekarza, który mógłby mnie wyleczyć.” Ojciec go nie słuchał i sprowadził znachora, olbrzyma z krwawoczerwonymi oczami, który zdecydowany był uleczyć „Cudownego Chłopca”. Szaman składał w ofierze zwierzęta i posadził Sathyę w okręgu narysowanym krwią. Wyśpiewał wszystkie pieśni, które znał, a chłopiec tylko uśmiechał się na widok jego niepowodzeń. Zdesperowany szaman ogolił chłopcu głowę i nożem wyciął na jego czaszce trzy znaki X. Na otwarte rany wylał sok z cytryny i czosnku. Zły duch, który jak sądził szaman, opętał chłopca, mimo to nie poddał się, więc szaman zaczął bić chłopca po stawach i znów śpiewać pieśni. W końcu szaman posłużył się swoją najsilniejszą bronią, kalikam, czyli kwasem, który wtarł chłopcu w oczy. Cała głowa i twarz spuchły Sathyi przeraźliwie, a ciało drżało z bólu. Sathya nic nie powiedział, lecz pozwolił, aby ból trwał. Rodziców i mieszkańców wioski zdumiała pogoda z jaką znosił tortury szamana. W końcu poddali się i spytali chłopca kim jest - bogiem, duchem czy szaleńcem. Sathya odparł: „Jestem Sai Baba. Ten sam, który żył w Shirdi. Przyszedłem, aby położyć kres waszym smutkom. Modliliście się, aby przyszedł, więc oto jestem.”

Mając czternaście lat, młody człowiek opuścił szkołę, mówiąc: „Nie jestem już waszym małym Sathyą. Mam zadanie do wykonania i nie mogę z wami zostać.” Został

nauczycielem w swoim rodzinnym Puttaparthi i zaczął też czynić cuda, uzdrawiać chorych, uciszać burze i karmić głodnych. Rozesłał swoich uczniów, a były ich setki tysięcy, do wiosek Indii. Mieli budować szkoły i szpitale. Absolwenci jego uniwersytetów zdobywali urzędy państwowe, ale Gina zastanawiała się, czy nawet oni mogli zmienić jakże powolne tempo zmian w Indiach. Taka zmiana byłaby większym cudem niż wszystkie, które do tej pory Baba uczynił. Cóż, przynajmniej można było mieć nadzieję. Coraz większe rzesze uczniów, ubranych w białe szaty i siedzących w cichej modlitwie przed świątynią Baby, słuchały jego nauk o tym, że dyscyplinę i służbę, których uczyli się w jego szkołach, muszą teraz nieść na ulice, gdzie będą zdawali prawdziwe egzaminy. Gina widziała rozświetlone radością twarze chłopców i dziewcząt zwrócone ku przechodzącemu między nimi i błogosławiącemu im Babie. Nie mieli nigdy tego zapomnieć.

Siedząc w domku, gdyż było zbyt gorąco, aby czytać gdziekolwiek indziej, Gina zapytała Lakshmi, co ta pamięta z młodości Sathya Sai Baby. Kobieta usiadła i potarła ręce, zadowolona że na chwilę może przerwać szycie materaców.

- Pamiętam jak kazał rosnać owocom na daktyłowcu, temu obok biblioteki. Wszystkim rodzajom owoców, nie tylko daktylom. A było to w porze roku, kiedy nic nie rośnie - wyciągnęła rękę ku uniwersytetowi. - To drzewo wciąż rośnie - powiedziała. - Do dziś ludzie pod nim medytują. - Lakshmi przygarbiła chude ramiona i zaśmiała się bezgłośnie. - Ale nigdy więcej nie wydało nie swoich owoców. - Skręciła nić i przetknęła ją przez ucho igły. - I był jeszcze taki dzień w 1950 r., Dzień Vijayadasami. Robiliśmy długie, grube girlandy ze świeżych liści tulsii, żeby udekorować mały aśram Baby. Nie ten wielki, który jest dziś, ale ten pierwszy, mały. Zapytał, czy chcemy jeszcze dwóch koszy tulsii i oczywiście, powiedziałyśmy, że tak. A on dotknął dna każdego pustego

kosza, a kosze nagle były przepelnione liśćmi. Często robił to samo z jedzeniem, które dostawali biedni. Albo z lekami.

- Dlaczego rozdaje tyle prezentów? - zapytała Gina. - Żeby przekonać do siebie ludzi?

- Może - odparła Lakshmi pochylając się nad kwiecistym materacem. - Powiedział kiedyś: „Daję wam to, czego pragniecie, abyście pragnęli tego, co ja muszę dać”.

- Ale co to znaczy? - zacięła się Gina, zwijając szpulę nici, która potoczyła się po podłodze.

- To, że prawdziwym darem jest tylko serce pełne radości - uśmiechnęła się Lakshmi. - Błogosławieństwo, które wypełnia cię tak, że nie pragniesz już niczego więcej.

- Jak twojego Naranjana, kiedy zawołał do Baby 'Jai' i był szczęśliwy mogąc jedynie otrzymać od niego błogosławieństwo?

- Jak Naranjana, tak. - Lakshmi uklęła się w palec, ale zaraz powróciła do szycia. - Ma to czego pragnął. Wszyscy mamy, jeśli tylko zdamy sobie z tego sprawę. Prawdziwy cud polega na tym, żeby o tym wiedzieć. Wtedy nie potrzebujemy darów zmaterializowanych znikąd. Rozumiesz teraz?

Gina nie odpowiedziała. Wyszła z domku i przeszła przez zakurzony dziedziniec, gdzie dzieci kopały piłkę, uważając, by jej nie trafić. Przypomniały jej czasy, kiedy dzieci na placu starego miasta w Jerozolimie grały spokojnie w piłkę pod czujnym okiem uzbrojonych żołnierzy tylko trochę starszych niż one same. Jej myśli powędrowały na północ, ku górą, gdzie nad Galileą królowało Zefat, a krzyki rozbawionych dzieci nigdy nie ustawały, bo zawsze było ich tak wiele. Ciotka powiedziała jej, że kobiety z Zefat miały tak wielkie rodziny, ponieważ starały się dla tych wszystkich, którzy zginęli w Holokauście. Może, pomyślała Gina przypominając sobie słowa Sai Baby, kobiety z Zefat dawały ciała wielkim duszom, które poświęciły siebie, w jedyny sposób jaki znały,

dla dobra świata, który tego właśnie potrzebował do przeżycia.

Gina zadrżała lekko, kiedy słońce zaczęło znikać za hinduskimi górami. Wkrótce będzie obchodzić święto Paschy w Zefat razem ze swoją rodziną, w domu wujka i zada pytanie, które zawsze zadawało najmłodsze w rodzinie dziecko: „Dlaczego ten dzień różni się od wszystkich innych?” Ponieważ, odpowiedziała sobie, Pesach to dzień, w którym Bóg uwolnił swój naród od niewoli w Egipcie i przyrzekł poprowadzić ich do ich własnej ziemi, gdzie będą bezpieczni.

Przypominając sobie widok słońca ginącego za wzgórzami Galilei, Gina szła w kierunku niewielkiej świątyni Ganeszy, boga - słonia, tego aspektu Boga, który usuwał trudności. Przed kolorowo pomalowanym pomnikiem słonia stał człowiek ubrany jedynie w białe dhoti i rozbijał orzechy kokosowe, a ich mleko spływało strumieniem ze stóp posągu.

- Uczynił ślub - odezwał się jeden z gapiów, widząc że Gina potrząsnęła głową na widok takiego marnotrawstwa. - Baba uleczył jego dziecko, a on obiecał Ganeszy dwadzieścia orzechów kokosowych.

Tutaj śluby brano poważnie, jak ślub, który Bóg złożył Abrahamowi, a Abraham Bogu. Ty będziesz moim narodem, a ja będę waszym Bogiem. A słysząc te słowa, jak Gina je teraz usłyszała, Abraham opuścił bezpieczne, najbogatsze miejsce na ziemi i wyruszył ku ziemi obiecanej jemu i jego dzieciom. Jak ona wkrótce zrobi. Gina ciaśniej owinęła się jedwabnym szalem, żałując że nie posłuchała Lakshmi i nie wzięła ze sobą wełnianego.

Tłumek dzieci zbliżył się do rozbitych orzechów kokosowych, śmiejąc się i popychając w próbach ocalenia białego mięszu dla swoich rodzin. Gina obeszła wokół świątynię i ujrzała małą klatkę z wychudzoną małpą w środku. Może trzymają to biedne stworzenie, aby je zjeść, zastanowiła

się. A może powinnam je wypuścić? W tym momencie nadeszła mała dziewczynka i podała małpcę kawałek orzecha. Uśmiechnęła się do Giny ukazując białe zęby, zbyt wielkie jak na tak małą buzię.

- Karmimy ją codziennie, ciociu - obwieściła po angielsku. - Spadła z drzewa i złamała łapkę. Karmimy ją aż znów będzie silna i będzie mogła wrócić na drzewo.

Dlaczego, zapytała Gina samą siebie, zawsze przychodzi mi na myśl najgorsze, że ci ludzie są barbarzyńcami tylko dlatego, że są biedni? Dała się ponieść pierwszemu wrażeniu, nie starając się go zgłębić. Dotychczas żyła w świecie cieni i złudzeń, jak ktoś kto film bierze za prawdziwe życie. Scenariusz zagrażającej jej biedy stał się prawdziwy, że uwierzyła w niego jak ludzie prymitywni wierzyli w krwawe ofiary z ludzi. Może, pomyślała, bała się, że jeśli kiedykolwiek będzie biedna, sama zmieni się w dzikuskę, która zrobi wszystko, byleby tylko nie głodować. Może to prawda, że wracamy, aby uczyć się czegoś nowego w nowych wcieleniach. Może ta ziemia jest piekłem, którego każdy potrzebuje, aby osądzić swoje złe życie. Może powróci tu jako Hinduska z ramionami chudymi jak patyki i plecami zgiętymi od zamiatania ziemi za krótką miotłą. Wtedy nauczy się, jeśli nie potrafi teraz, co to znaczy żyć nie mając kontroli nad swoim życiem.

Daj spokój, odezwał się nagle głos, kiedy spoglądała ku oknom mieszkania Baby. Prędzej czy później będziesz musiała. Kiedyś, tak, wrócisz tu, a twoje imię będzie Radha. Nie będziesz posiadała wiele, ale będziesz miała w sobie wielką radość. Będziesz służyć Premie Sai. Bądź szczęśliwa, nie obawiaj się.

Ginie wydawało się, że w oknie nad świątynią dostrzega jakiś ruch i przez chwilę myślała, że widzi ciemne włosy Baby. Na wszelki wypadek, gdyby stał tam i patrzył na nią,

skłoniła się, i poczuła się z tym dobrze, jakby zdała egzamin. Powróciła pod pomnik Ganeszy w poszukiwaniu kawałków orzechów kokosowych, którymi mogłaby nakarmić małpę.

* * *

Senator George S. („Gas”) Gage, który technicznie reprezentował Kalifornię, ale faktycznie interesy tutejszych producentów nafty, siedział w swoim waszyngtońskim biurze i czytał list Giny Hoffman. Dołączono do niego notatkę mówiącą o tym, że pani Hoffman wpłaciła pięćset dolarów na jego ostatnią kampanię. Senator przejechał dłonią po białej grzywie włosów. Stwierdził, że nie jest tak gęsta, jak była zanim jego fryzjer nie zaczął farbować mu włosów na śnieżny kolor. Szkoda, bo owa grzywa była jego znakiem firmowym, mówiła o jego męskości, sile i podkreślała senatorski wygląd, wzmocniony jeszcze przez kwadratową szczękę i wąskie wargi. Osobiście uważał, że wyglądał bardziej jak prezydent niż sam prezydent, i miał nadzieję, że jego wyborcy zauważą to jeszcze przed przyznaniem nominacji w sierpniu.

List Giny zawierał wieści, których nie życzył sobie poznać. Nazim zapewniał go, że cała operacja będzie ściśle tajna, a tymczasem ta kobieta grozi, że zawiadomi wszystkich handlarzy nieruchomości, że ziemię wykupują obcokrajowcy, którzy planują obalić rząd. Niezupełnie jest to prawdą, bo przecież niektórzy najwyżsi członkowie rządu, na przykład on, uczestniczyli w planie zdobycia Ameryki Północnej dla Boga i fundamentalizmu, a te dwie rzeczy stapiały się w jedno w książce Gasa Gage'a. Senator Gage już wyznaczył rolę dla samego siebie. Gdyby został nominowany na prezydenta, ujawniłby cały spisek i zatwierdził tym samym swój wybór. Gdyby nie został nominowany, połączyłby się z Nazimem i Healey'em, i ich Partią Boga, kończąc jako prezydent nowego kraju, Kalifornii, który byłby przecież ósmym najbogatszym krajem na świecie. Spojrzał w lustro

wiszące na przeciwnej ścianie, dość daleko, aby nie widział linii, które twarz opaloną słońcem Kalifornii zmieniały powoli w mapę drogową, co bynajmniej nie było zabawne. Miał siedemdziesiąt lat i wyglądał na tyle. Niewiele zostało mu czasu. A to była mapa, która prowadziła donikąd.

Założył małe okulary do czytania, w których tak dobrze wypadł w telewizji, przejrzał pobieżnie list Giny Hoffman, a potem zanotował, że ma zadzwonić do Yusafa Nazima. Ta Hoffman była pyskata, miała dobrze postawionych przyjaciół i trzeba było się nią zająć. Powie Nazimowi, że trzeba przyczepić jej ogon. Kiedy ją znajdą, przyjaciele Gage'a z FEMA, ludzie najlepsi z najlepszych, zajmą się nią. Dobrze, że miał czternaście tysięcy lojalnych zwolenników na kluczowych stanowiskach w FEMA. Mieli go popierać w razie jakiejś katastrofy, ale jedyną katastrofą, na jaką byli przygotowani, było powstanie Kalifornijczyków, którzy mogli nie chcieć, żeby Gas Gage został ich prezydentem.

* * *

Jeszcze zanim usłyszał wieści od senatora Gage'a, Nazim kazał dwóm swoim ludziom odszukać Ginę, ale obaj wrócili z niczym. Wyjechała z kraju, najpewniej do Izraela, domyślał się Nazim - informatorzy donieśli mu, że ma tam krewnych. Powiedział Gage'owi, że ma niewielką, lecz godną zaufania grupę libańskich terrorystów, którzy szukają Giny Hoffman. Ponieważ ramię FEMA nie sięgało tak daleko, lepiej będzie, pomyślał Gage, jeśli zajmą się wszystkim terroryści Nazima. I będą mniejsze szanse na to, że ślady morderstwa zaprowadzą kogoś do świątobliwej osoby senatora, pomyślał Nazim kwaśno odkładając słuchawkę.

Sam zapalił sobie papierosa, nie wzywając tym razem lokaja. Ci Amerykanie byli tak skorzy do mordowania, pomyślał, może dlatego, że tyle naoglądali się tych swoich

brudnych filmów. Nazim nie oglądał filmów i nie pozwalał na to swojej dużej rodzinie. Pokój telewizyjny w jego nadmorskiej posiadłości został zamieniony w mały meczet. Gdyby Al - Halaj mógł przyjechać do Santa Barbara, na pewno ucieszyłby się, pomyślał Nazim wpatrując się w zdjęcie starego sufiego, w jego głębokie, ciemne oczy, które patrzyły na niego zza grobu. Chciałby, żeby mistrz był u jego boku, rozjaśniał jego wątpliwości, bo Nazim pragnął pocieszenia.

Słowa Koranu zabrzmiały w jego uszach. „Intryga to dzieło Szatana. W Bogu niech wierzący pokładają zaufanie.” A czyż on nie ufał Bogu i nie robił wszystkiego, co było konieczne, aby przywieść świat z powrotem ku czystości? Nazim zakaszał i zgasił papierosa nie wypaliwszy nawet jego trzeciej części. Za dużo ostatnio palił i często budził się w środku nocy z ciężko bijącym sercem. Musi być silny dla dżihadu. „Agresorów, wrogów Boga, należy zabijać gdziekolwiek się ich napotka”, nauczał Koran. Nazim więc miał prawo rozkazać, aby Gina Hoffman umarła. A jednak mistrz Al - Halaj mówił, żeby zabijać tylko wroga Boga, który znajduje się w twoim własnym sercu. Nazim ujął głowę w ręce, przyciskając dłonie do oczu póki nie ujrzał światła. To miało być proste, podążać za wolą Boga, pomyślał. Ale nie było, a już z pewnością nie dla niego. Jego ukochany imam kazał mu wstąpić na uniwersytet i uczyć się życia ludzi Zachodu, aby mógł ich lepiej niszczyć. Nazim miał wyraźne rozkazy. On miał być niszczycielem, lecz okazał się niszczycielem, któremu trudno jest zasnąć.

Homer Healey spał dobrze, Nazim o tym wiedział, bo go o to zapytał. Nie martwiło Homera to, że jego kraj wpada w ręce ludzi twardych, jak ich dumnie nazywał. W ręce ludzi, którzy nie widzieli szarości, a tylko wyraźną czerń i biel dobra i zła. Partia Boga już zdobyła pięćdziesiąt pięć procent głosów w

stanie, a wybory dopiero za trzy miesiące. Healies, jak nazywały ich gazety, robili swoje, więc i on musi zrobić co do niego należy. Już teraz rosły objawy nienawiści ku intelektualistom, homoseksualistom, wyznawcom New Age i Żydom. Prześladowania na pełną skalę rozpoczną się zgodnie z planem, kiedy tylko zakończą się wybory. Nazim nie miał wątpliwości, że Partia Boga zwycięży. Kiedy się modlił, słowa imama dźwięczały w jego uszach, a słowem, które bez przerwy słyszał było 'zwycięstwo'.

- Yusuf? - W drzwiach jego biura stała Fatima pukając cicho.

- Możesz wejść - był zadowolony, że żona przyszła do niego. Uśmiech podnoszący pulchne policzki jeszcze bardziej zwięził jej oczy. Fatima zawsze wiedziała kiedy nie mógł zasnąć, nawet wtedy, kiedy to nie jej łóżko opuszczał.

Usiadła przed biurkiem.

- Mam zrobić ci herbaty? - jej miękki arabski był jak muzyka dla jego uszu.

- Nie. Podrażniłem trochę żołądek. - Nazim ujął jej rękę w roztargnieniu. - Wiesz, że Koran mówi, abyśmy nie zabijali niewinnych, ale czynili dobro i pozwolili Allahowi zająć się światem.

- Tak - Fatima wpatrywała się w wąską, nieruchomą twarz męża. - Trudno ci znaleźć drogę pomiędzy tym, co mówi Koran a tym, co nakazują ci zrobić przywódcy w Libanie?

- Tak. To bardzo trudne. - Nazim zabrał rękę i potarł wilgotne czoło. - Otwórz, proszę, drzwi na taras. Chciałbym poczuć wiatr znad oceanu.

Kiedy owiał go chłodny wiatr, Nazim zadrżał nieznacznie, ale poczuł się lepiej. Zanim przyjechał do Stanów Zjednoczonych, nigdy nie widział oceanu. Nieskończoność zawsze oznaczała dla niego rozległe, puste równiny

rozgrzanego piasku, tak gorącego, że jego wielbłąd szybciej podnosił nogi w biegu. Teraz często łapał się na tym, że obserwował jak fale oceanu biją w skały poniżej domu, jak uderza w nie piana wyglądająca w blasku księżyca jak mokra koronka. Czym był on, senator Gage, czy nawet sam mistrz Al - Halaj wobec tych niezmordowanych prądów, które twarde skały zmieniały w piasek? Czy nie lepiej byłoby przestać zabijać i spiskować, zabrać żony z powrotem do domu, gdzie słowo Boga rozbrzmiewało, nie przynosząc jednocześnie sprzeciwu i bólu?

- Opowiedz mi jedną z twoich baśni, Fatimo - poprosił chcąc słyszeć inny głos niż ten, od którego bolała go głowa.

Fatima usiadła wygodniej w fotelu, podłożyła ręce pod głowę i zapatrzyła się na pochylony sufit.

- Dawno temu pewien człowiek poszedł do kraju Głupców i zobaczył, że ludzie uciekają w przerażeniu z pola. Powiedzieli mu, że jest tam potwór, który chce ich zabić. Tymczasem on zobaczył tam tylko arbuza, który zaofiarował się dla nich zabić. Zaczęli się go bać, bo jeśli mógł zabić potwora, to mógł zabić również ich. Przepędzili go widłami. - Fatima stanęła za Nazimem i zaczęła delikatnie masować mu czoło swoimi dużymi, chłodnymi dłońmi. - Potem przyszedł jeszcze jeden człowiek, a ludzie powiedzieli mu to samo, co powiedzieli pierwszemu. Lecz zamiast zaoferować, że zabije dla nich potwora, drugi człowiek sprytnie wymigał się od tego, zgodziwszy się z nimi, że jest to niebezpieczne. Wiele miesięcy spędził z głupimi ludźmi, uczył ich prawdy o świecie, aż przestali być głupcami i potrafili odróżnić arbuza od potwora. - Pochyliła się i pocałowała go w czoło. - Chodź do łóżka, mężu. Jestem pewna, że teraz zaśniesz. Pamiętaj, święte nauki szerzą się w wielu miejscach. Wypełniasz swój obowiązek.

Lecz Nazim pozostał w swoim biurze długo po tym, jak odeszła, wpatrując się w księżyc rozbłyskujący w falach oceanu. W ich szumie słyszał głos mistrza: „Jeśli nie potrafisz znieść bólu żądła, nie wkładaj ręki w gniazdo skorpiona”. Może Fatima też miała rację, może sam przykład i cierpliwość nauczą ludzi z tego dziecinnego, obłąkanego kraju, czym są ich demony. Lecz on nie miał czasu. Głupcy też mieli wielką władzę w świecie, i tę ich władzę należy złamać, jeśli ma stać się wola Allaha. Przez chwilę, obserwując załamujące się fale, wydawało mu się, że widzi piękną krainę, raj wyłaniający się w świetle księżyca, krainę, w której każdy człowiek jest posłuszny woli Boga i nie pragnie nic dla siebie. Kiedyś mistrz powiedział mu, że posłuszeństwo zawsze jest rzeczą słuszną, czy przynosi przyjemność, czy nie. Nazim będzie posłuszny.

Kiedy Yusuf Nazim dzwonił do Damaszku, rozkazując, aby znaleziono i zabito Ginę Hoffman, nie odczuwał żadnej przyjemności. Przypomniawszy sobie, że jej oczy były skośne jak oczy Fatimy, kiedy się śmiała, i że miała syna, którego okaleczyli jego ludzie. Przypomniawszy sobie też, że mistrz powiedział mu, kiedy wyjeżdżał z uniwersytetu, aby podjąć służbę w Al - Fatah: „Wszyscy ludzie, z wyjątkiem martwych, są umarli”. Nazim wziął dwie pigułki zachodniego lekarstwa na ból, poszedł do łóżka i dwie pozostałe do świtu godziny spędził tuląc do siebie śpiącą Fatimę.

* * *

Tura, Liban

Kamal Al - Essa leżał w swojej chacie w obozie dla uchodźców, gdzie dorastał. Miał wizję. Cały poprzedni dzień pościł i modlił się, mając nadzieję, że sam Bóg potwierdzi rozkaz zabicia Giny Hoffman. Nie wystarczało mu to, że szejik, który władał jego obozem jeszcze zanim się urodził, wydał mu taki rozkaz. Kamal miał swoje wątpliwości co do

zdrowia psychicznego szejka odkąd zobaczył jak stary człowiek, przeklinając i płacząc, strzelał ze swojego zardzewiałego karabinu do lecących wysoko na niebie amerykańskich odrzutowców. Kiedyś szejk miał dwa tysiące akrów leżących niedaleko Tyberiady i piękny dom, z którego widać było Jordanię. Przez wiele lat od czasu rozbioru Palestyny, prosił jordańskich sąsiadów o gościnę dla siebie i swoich ludzi, ale spotkał się z odmową. Obecnie żył w namiocie za drutem kolczastym, w Libanie, z tym, co zostało z jego wioski - trzema tysiącami dorosłych i dziećmi, których było więcej niż ktokolwiek potrafił zliczyć. Przed laty została zbombardowana jedyna szkoła, czego skutkiem było to, że tylko niewielu ludzi w obozie potrafiło liczyć, a jeszcze mniej czytać.

Kamal należał do tych nielicznych, gdyż jego matka była nauczycielką angielskiego kiedy jeszcze stała szkoła. Nauczyła Kamala czytać i mówić po angielsku równie dobrze jak po arabsku, gdyż była córką bogatego przemysłowca i wychowywała ją angielska niania. Kamal miał zdolności artystyczne i często szkicował pustynny krajobraz rozciągający się przed wejściem do jego namiotu, a palce go świerzbiły, aby narysować również okutane w długie suknie postaci mężczyzn i kobiet. Lecz nie złamał reguł wiary nie pozwalającej na robienie wizerunków postaci ludzkich. Często kusiło go, by narysować swoją własną twarz, przystojną, o jasnej cerze, dzięki spędzaniu wielu godzin w pomieszczeniach. Jednak ten akt uczynienia z siebie samego boga byłby jeszcze gorszy niż narysowanie postaci innych. Rysował więc skały i cienie przez nie rzucane dzięki okrutnym promieniom słońca.

Matka nalegała, aby czytał dla niej Koran, gdyż wzrok znacznie się jej pogorszył z powodu jaskry, której obozowy lekarz nie potrafił wyleczyć. Kamal podejrzewał, że w ten

sposób trzymała go w namiocie, aby nie włóczył się po obozie w towarzystwie niespokojnych młodych mężczyzn, których często rekrutowali Syryjczycy do wypadów przeciw Izraelitom. Lecz kiedy szejik posłał po niego, matka nie miała powodu się bać i pobłogosławiła syna na drogę.

- Mówiono mi, że jesteś dobrym chłopcem - zaczął szejik Omar machając swoją fajką wodną. Jego małe oczka tonęły w tłuszczu. - Pomagasz potrzebującej matce, tak?

Kamal skinął głową i otarł pot spod policzków, mając nadzieję, że szejik nie pomyśli sobie, że to łzy.

- Szybko się mażesz. Za wiele czasu z kobietami - Szejik zmarszczył brwi i dmuchnął dymem w twarz Kamala. - Nadszedł czas, abyś stał się mężczyzną, Kamal, opuścił świat kobiet i wstąpił do świata mężczyzn. Chcesz tego, tak?

Kamal znów skinął głową, choć nie miał pewności co do tego jak sobie poradzi w świecie mężczyzn. Większość czasu Kamal spędzał na modlitwach lub z matką albo w świecie wyobraźni. Czasami pisał pieśni miłosne do Boga, kiedy budził się nocą wspominając sny o raju. W tych snach leżał przy fontannie w ramionach hurys, ale wiedział, że były one jedynie symbolami niewidzialnego światła, którym był Bóg, kryjący się za wszystkimi rzeczami, czy to kurzem i brudem obozu, czy czerwonymi jedwabnymi sukniami hurys. Nie chciał żyć tak długo jak matka; chciał szybko wejść w światło Boga, gdzie będzie mógł głośno śpiewać swe pieśni. Kamal dysponował pięknym tenorem. Powiedziano mu, że powinien zostać muezinem. Tylko że w obozie nie było żadnej wieży, z której mógłby wzywać wiernych na modły, a kurz dławił głos każdego, kto próbował śpiewać na dworzu. Kamal wolał poczekać aż będzie mógł śpiewać samemu Bogu.

Szejik Omar pochylił się i położył rękę na gęstych, krótko przyciętych brązowych włosach.

- Jesteś pobożnym młodym człowiekiem - rzekł. - O tym też słyszałem. Wiesz, że twoim obowiązkiem jest posłuszeństwo wobec Boga? Przedkładanie Jego woli nad swoją własną?

- Zawsze byłem posłuszny - odparł Kamal nieco słabym głosem, gdyż dym z fajki sprawiał, że robiło mu się słabo.

- Więc opowiem ci o zadaniu, jakim obarczył cię Bóg przeze mnie - ciągnął szejka okrywając wyblakłym brązowym kaftanem spuchnięte nogi i moszcząc swoje ogromne ciało na niewygodnych, bo spłaszczonych poduszkach. - Pragniesz umrzeć za Boga, tak?

- Tak - potwierdził Kamal. - Śmierć nie jest dla mnie rzeczą straszną.

- Ani dla mnie - oświadczył szejka. - Gdybym był młody, zrobiłbym to, co musi zostać zrobione, ale nie mogę. - Wziął do ręki zdjęcie i popukał w nie zgrubiałym, poplamionym palcem. - Rozkazano nam zabić tę kobietę - ciemne oczy rozblysnęły spod krzaczastych brwi. - Rozkaz nadszedł od naszego przywódcy z Ameryki.

- Jak to? - serce Kamala zabiło mocno. - Co ta kobieta zrobiła?

- Jest bluźniercą, jak cały jej naród - ciągnął szejka chrapliwym i monotonnym, hipnotyzującym umysł Kamala głosem. - Jeśli Nazim i inni twierdzą, że ona jest naszym wrogiem, to znaczy, że musiała bluźnić. Mówią, że czci obcych bogów. To dosyć. Rozkaz wydano.

Kamal skłonił się. Może to zabójstwo okaże się aleją prowadzącą ku Allahowi. Jeśli tak, to musi podziękować za nie Bogu. Zawsze wiedział jak dziękować Bogu, bez względu na to czy to, co się stało było dobre czy złe, i w ten sposób tak jego wiara jak i wrażliwość pozostawały nietknięte.

Choć ludziom wydawało się, że jest człowiekiem opanowanym, Kamala przepęłniał strach. Kiedy się modlił,

strach zdawał się oddalać, ale kiedy znów stał się tylko sobą, strach powracał. Przypomniawszy sobie, że po raz pierwszy go poczuł, kiedy był jeszcze małym dzieckiem, w dzień, kiedy szkoła stojąca w sąsiedztwie, wyleciała w powietrze, a na chatę Kamala posypały się odłamki murów i płomienie rozświetlające mroki nocy. Przez lata ukształtował w sobie nawyk noszenia w uszach bawełnianych kulek, w razie gdyby zdarzyła się kolejna eksplozja. Sąsiedzi myśleli, że był trochę głuchy, ale matka wiedziała, To ona zawsze była osobą mówiącą, z wyjątkiem chwil, kiedy czytał dla niej na głos. Nikt nie wiedział jak bardzo Kamal bał się głośnych odgłosów, a on nie miał zamiaru pokazać komukolwiek, że czuł się taki mały i przerażony.

- Bóg pomoże mi wysłuchać jego głosu - rzekł Kamal. - Ale chyba nie pamiętam jak się posługiwać bronią. Już dawno nie ćwiczyłem.

Jak wszyscy chłopcy w wiosce, pobierał nauki od syryjskich gości, jak ich nazywano, posługiwania się rosyjską bronią szmuglowaną do obozu pod stertami żywności i ubrań. Lecz, jak powiedział, już dawno nie ćwiczył i jego umiejętności pordzewiały jak stary karabin szejka.

- Sam cię będę uczył - oświadczył szejk. - Będziesz tu przychodził codziennie i będziemy się razem modlić, a potem ćwiczyć strzelanie. Za parę tygodni wyruszysz na swoją misję. Jeśli zostaniesz zabity, zajmijemy się twoją matką jak naszą własną. Twoja zasługa przed Bogiem będzie wielka.

Kamal poczuł jak oczy zachodzą mu mgiełką, pocił się też lekko. Zdawało mu się, że szejk znika, a na jego miejscu zobaczył złote światło mające kształt człowieka, lecz nie było tam żadnych rąk czy nóg. Słyszał głos, który brzmiał dziwnie, jak jego własny, kiedy śpiewał, i głos ten powtarzał tylko jedno: „Bądź posłuszny”. Kamal widział, że to był znak, i że Bóg w końcu osobiście zjawił się w jego życiu, o co zawsze

się modlił. Jego modlitwy zostały wysłuchane, choć nigdy nie śmiał wierzyć, że Bóg zabierze go do siebie w tak młodym wieku i że do raju wkroczy jako bohater. Został wybrany, i za to, jak za wszystko inne, Kamal był wdzięczny.

Szejk położył rękę na ramieniu Kamala i potrząsnął nim lekko.

- Rozumiesz co masz zrobić? - był przyzwyczajony do tego, że rekruci zadawali pytania, okazywali strach, wątpliwości, i zastanawiał się czy Kamal ma jakieś. Może chłopak naprawdę był głuchy, jak twierdziła plotka.

Kamal przypatrywał się zdjęciu, które dał mu szejk. Kobieta uśmiechała się, a jej policzki były okrągłe niby policzki dziecka. W każdym z nich było małe wgłębienie. Obok niej stał duży blondyn, co sprawiało, że ona sama wydawała się bardzo mała. Kamal miał nadzieję, że będzie mógł ją zabić nie patrząc jej w twarz.

- Przyjrzyj się dokładnie - mówił szejk. - Musisz dobrze poznać tę twarz.

Teraz, miesiąc później, w noc poprzedzającą wyjazd, Kamal leżał w chacie, ze zdjęciem Giny Hoffman na piersi. Miał wizję Boga. Złote światło unosiło się nad nim, jak opuszczająca ciało dusza, a głos podobny do jego własnego powtarzał wciąż to samo: „Bądź posłuszny”. Za światłem Kamal dostrzegł inny kształt. Odetchnął ciężko starając się usiąść i przyjrzeć mu się lepiej. Kształt stał się wyraźniejszy, a Kamal z ciężkim westchnieniem opadł z powrotem na podłogę. Postać przypominała tę ze zdjęcia, a z twarzy kobiety płynął ku niemu uśmiech. Za nią był jeszcze inny kształt, i serce Kamala ścisnęło się, kiedy rozpoznał kto płynie i miesza się z kształtem kobiety. Twarz zastąpiła jej twarz, a kiedy spojrzał ponownie, ujrzał, że jest to jego własna twarz.

* * *

Góry w Santa Cruz, Kalifornia

Lato zrobiło się suche i gorące, a poszarpane, wyschłe krzaki wciąż wdzierały się do ogrodu, bez względu na to jak często Kori je podcinała. Wyprostowała się i przyłożyła dłoń do obolałego krzyża. Ta ciąża była cięższa niż pierwsza, ale oczywiście była te parę lat starsza, przekroczyła już czterdziestkę. Jej spuchnięte ciało wydawało się jeszcze bardziej zaokrąglone i pełniejsze wody niż wtedy, kiedy nosiła Johna Philo. Była za stara, żeby być w ciąży, w tym rzecz, powiedziała sobie. To dziecko będzie ostatnie. Szkoda, że nie zaczęła wcześniej, ale zajmowała ją praca mężczyzn w świecie mężczyzn. A teraz ten świat gwałtownie się zmieniał; bandy nedorostków królowały na ulicach i nawet stare kobiety kupowały sobie broń, aby się przed nimi bronić. Kogo teraz obchodziło czy jej książka udowodniła, że Maria była ostatnim wcieleniem bogini - matki, czy jak się ta jej książka sprzedawała?

Teraz, pod koniec ciąży, Kori często czuła burczenie gdzieś w dolnych partiach ciała. Przypominało jej toczącą się lawę i odłamki skalne uderzające w locie o skały zanim pogrążą się w płonącym potoku lawy. Kori czuła się jak widz przypatrujący się powstaniu, oglądający z pełnym przerażenia zachwytem jak rozwija się wojna domowa, a jej umysł buntował się przeciw rozlewowi krwi. Gruba, bezkształtna bogini z prastarych jaskiń, straszyla ją w snach, a kiedy spoglądała w lustro, nie widziała żadnej twarzy.

Od miesięcy starała się wyobrazić sobie to małe stworzenie, które rosło w niej, przypominając sobie zdjęcia in utero wielkogłowych, uśmiechających się kijanek z zadziwiająco ludzkimi rękami wyciągniętymi jakby w próbie pochwylenia piersi, kiedy nadejdzie ku temu czas. Pomyślała o tej małej istocie pływającej w niej jak ona sama pływała w powietrzu albo jak ziemia w przestrzeni kosmicznej. Zadziwiały ją umiejętności i pewność siebie dziecka. Kori

zawsze bała się wody i nigdy nie nauczyła się pływać, pewna, że od razu by utonęła. Kief mówił, że trzeba było po prostu wyciągnąć się na wodzie i pozwolić się jej unosić, i nauczyłby ją tego, gdyby tylko poszła z nim na plażę. Mały pływak Kori przypominał jej, że sama kiedyś czuła się w wodzie jak w domu, i że znów mogłoby tak być. Zastanowiła się, czy dziecko będzie miało ciemne, kręcone włosy sterczące wokół uszu, jak Kief, jakby jego siły życiowe sprawiały, że jego włosy nie potrafiły wyglądać schludnie i przyzwoicie. Nie zaplanowali tego, a ich połączone chromosomy mnożyły się i rosły niczym balony na po cichu urządzonej prywatce pod jej sercem, która trwała już osiem i pół miesiąca.

Pozlepiane potem kosmyki jej blond włosów kleiły się do głowy, kiedy schyliła się nad pompą, aby ochłodzić się zimną wodą. Woda spłynęła po jej szorstkiej, bawełnianej koszuli, znacząc swoją drogę ciemnymi pasmami podobnymi do tych, które pojawiły się pod pachami. Jej elegancka, dbająca o formy matka zapłakałaby, gdyby zobaczyła córkę ubraną w przepocone, nie wyprasowane rzeczy, z szorstkimi i poczerwieniałymi od pracy dłońmi. Wyobrażała sobie Damaris załamującą ręce i wykrzykującą bezgłośnie i bezużyteczne rady z tych dziedzin niebieskich, w których umieszczano samobójców.

Temu pokoleniu przyszło żyć w pieskich czasach, powiedziałyby Damaris. Ostatnie prawdziwe kobiety, nauczone jak nalewać herbatę i dyrygować czyszczeniem ich sreber, dobiegały swych dni w domach opieki, podczas gdy ich córki studiowały prawo, podawały do stołów, prowadziły agencje handlu nieruchomościami i wychowywały dziecko lub dwoje w ciągu tych kilku godzin dziennie, kiedy udało im się wygospodarować nieco wolnego czasu. Kori szybko odwróciła myśli od nieruchomości, gdyż przypominały jej Ginę. Na myśl o teściowej, Kori ścisnęło się boleśnie gardło.

Nigdy nie rozmawiała o niej z Kiefem od tego wydarzenia sprzed roku. Właśnie zaczęli być przyjaciółmi, jak to określił Kief po powrocie z Indii. Wiele godzin spędzili siedząc pod drzewem, które kiedyś wydało obce sobie owoce, nadrabiając czasy, kiedy niewiele z sobą rozmawiali. Przynajmniej pod koniec poświęcił jej dużo czasu, mówiła mu Kori, ale nigdy jej nie odpowiadał.

Usłyszała w dole głosy i pomyślała, że to pewnie Kief wrócił z wyprawy do wioski. Przeczesując palcami wilgotne włosy, próbowała doprowadzić się do ładu. Przez ostatnie miesiące nie czuła się ładna i miała nadzieję, że Kiefa nie odpychały jej podkrążone oczy i spuchnięte kostki. Lecz Baba powiedział, że dał jej dobrego, wiernego męża, któremu musi być posłuszna, jeśli chce uciszyć swe ego. A to okazało się łatwe, gdyż Kief chciał tego, czego pragnęła ona. Jeśli poprosiła, on dawał, może dlatego, że nigdy nie naciskała, jak jego matka, i nigdy nie prosiła w sposób bezceremonialny. Czy mógłbyś nakarmić Johna Philo, pytała, a ja pokroję buraki? Albo: mógłbyś poprosić Juana, żeby pokazał nam jak uprawiać soję. Cokolwiek to było, Kief słuchał jej równie często jak ona jego. To był dobry rok, z wyjątkiem tego milczenia na temat jego matki i jego wychodzenia z domu, kiedy Kori odmawiała ich codzienne modlitwy przy małym ołtarzyku.

Głosy nasiliły się i Kori zdała sobie sprawę, że na wzgórzu wjeżdżała grupa mężczyzn, obcych. Serce jej zabiło tak mocno, że poczuła jak krew pulsuje w uszach. Dmuchnęła w gwizdek zawieszony na szyi, przywołując ludzi z farmy, ale wiedziała, że większość z nich była zbyt daleko na polach fasoli, aby dotrzeć do niej przed obcymi. Nie mogła biec, ale udało jej się w miarę szybko dotrzeć do chaty, mając nadzieję, że będzie pamiętać lekcje posługiwania się bronią, jakich

udzielał jej Kief. Najpierw jednak, pod luźną deską podłogi ukryła biżuterię, którą zostawiła jej Gina.

W drzwiach ukazała się Candelaria, pulchna, twarda młoda Indianka, w obu rękach dzierżąc amunicję. Może to ona powinna powitać obcych, pomyślała Kori, gdyż zdawało się, że Candelaria nie boi się niczego. Indianka przyjęła na świat wiele dzieci, razem ze swoją własną córką, i Kief nalegał, aby była blisko Kori podczas ostatniego miesiąca jej ciąży. Candelaria od razu się zgodziła, bo uwielbiała Kori, która znalazła ją w górach, błakającą się, głodującą i w ciąży. Jej ludzie wyrzucili ją za to, że miała dziecko z białym mężczyzną i umarłaby, gdyby nie Kori. Candelaria miała mrukliwy sposób mówienia, co odstręczało niektórych, ale będąc z Kori, mówiła wyraźnie i szybko, jak dziecko próbujące opowiedzieć całą historię póki matka ma czas, aby go wysłuchać. Nocą lubiła siedzieć u stóp Kori, ze swoją trzymiesięczną córeczką w ramionach, a Kori czesała wtedy i zaplatała w warkocze jej gęste włosy i opowiadała bajki o odwiecznych boginiach mieszkających w krajach, o których Candelaria nigdy nie słyszała.

Kief nauczył Kori posługiwania się bronią, pewnie tylko z obawy przed temperamentem Candelarii, ale to Kori będzie musiała zająć się nimi obiema. Tak bardzo drżały jej palce, że upuściła pudełko z amunicją i przez chwilę stała nieruchomo, niepewna czy naboje nie wybuchną. Sama strzelba mogła wypalić, o ile wiedziała. Od roku nikt jej nie używał, odkąd Kief dwoma głośnymi wystrzałami przepędził pumę. Miała nadzieję, że oczyścił ją od tego czasu. Pewnie tak, gdyż Kief był bardzo czuły na punkcie bezpieczeństwa, zwłaszcza odkąd dowiedzieli się o jego matce.

- Nie zapomnij odchylić bezpiecznika - przypomniała jej spokojnie Candelaria.

Kori ostrożnie skierowała strzelbę ku wzgórzu, skąd płynęły rozmowy obcych i odbezpieczyła broń. Dobrze, że dzieci spały i nie będą jej rozpraszać. Z dzierżącą siekiere Kiefa Candelarią u boku, Kori czekała aż mężczyźni pokażą się na ścieżce prowadzącej w dolinę. Z początku widziała tylko ich głowy, gdyż wzgórze było strome. Niektórzy nosili długie brody. Może to byli wędrowcy, którzy sami bronią trzymali obcych na odległość. Mogło stać się tak, że nadeszły dla nich ciężkie czasy i musieli zorganizować się w grupę i okradać co bardziej zamożne, duże farmy, jak ta. Dłoń Kori zacisnęła się na strzelbie, a spocone palce zaczęły ślizgać się po stali.

- Ani kroku dalej! - krzyknęła napiętym, chrapliwym głosem. - Jesteśmy uzbrojeni i będziemy strzelać.

- Może ja sam tylko podejść? - odezwała się jedna z głów. - Nie mamy żadnej broni z wyjątkiem naszych kosturów.

- Dobrze - zgodziła się Kori niechętnie. - Tylko jeden i na tyle blisko, żebym mogła widzieć cię całego.

Ten, który odezwał się, wyszedł naprzód. Był to olbrzym, miał przynajmniej 1,95 m wzrostu. Ubrany był w niebieskie dżinsy i ciasną wypłowiałą koszulę w kratkę, która wyglądała, jakby ktoś nieumiejętnie próbował ją przerobić na tak wielkiego człowieka. Miał długi, rzeźbiony kostur w jednej ręce, a drugą podtrzymywał ciężki plecak.

- Nazywam się ojciec Gregory - zawołał. - Jesteśmy mnichami.

- W życiu nie widziałam takiego mnicha! - odkrzyknęła Kori, celując w niego. - Dlaczego miałabym ci wierzyć?

Ojciec Gregory położył plecak na ziemi, przykucnął przy nim i zaczął przeszukiwać swoje rzeczy.

- Uważaj! - ostrzegła go Kori. - Zobaczę broń, zanim zdążysz ją wyjąć!

- Nie martw się - wyprostował się, a w rękę trzymał wielką, zmiętą białą suknię. Przerzucił ją przez głowę i pozwolił jej opaść wokół nóg. - Czy taki dowód ci wystarczy?

- Każdy może nosić ze sobą habit, żeby oszukać ludzi - Kori modliła się cicho, a słowa Om Sai Ram pulsowały w jej głowie zgodnie z rytmem serca. Słowa te przybliżały jej Sai Babę i czuła się dzięki nim bezpieczniej.

Człowiek wyciągnął z plecaka kielich i płaską, złotą patenę, która zaśniła w słońcu. Uniósł je w górę, jakby odprawiał mszę.

- A to? Nie są najlepsze, ale są tym, na co wyglądają.

- Czego tu chcecie? - Kori z powrotem zabezpieczyła broń, skierowała lufę ku ziemi i oparła się na niej. Nagle poczuła się bardzo słabo.

- Słyszeliśmy, że macie dużo ziemi. - Ojciec Gregory schował kielich i patenę, owinąwszy je uprzednio w czerwony aksamit. - Nasz klasztor w Santa Cruz został sprzedany, a pieniądze rozdane ubogim. No, przynajmniej większość. Żle się czuliśmy mając ten wielki, wygodny dom, kiedy ludzie spali na ulicach.

Postanowiliśmy więc przyjść tu, poszukać kilku akrów ziemi i zbudować sobie dom do spania, i zacząć uprawiać warzywa.

- Dlaczego mielibyśmy dać wam ziemię? - Zmęczona, Kori usiadła na stopniach ganku i położyła strzelbę obok siebie. Candelaria porwała ją i gniewnie przypatrywała się księdzu.

- On i jemu podobni zawsze biorą, nigdy dają - powiedziała Indianka. - Ja mówię zastrzel ich. Wypędź ich.

- Nie - Kori machnęła ręką ospale. - Nie zrobią nic złego, obiecują ci. Patrz, jest ich niewielu. Ilu was jest, ojciec Gregory?

- Tylko sześciu. Reszta nas opuściła, kiedy sprzedaliśmy klasztor.

- Niech tu podejda, jeden po drugim i staną przy tobie - poleciła Kori. - Porozmawiamy.

Ojciec Gregory skinął i pięciu pozostałych mężczyzn, trzech brodatych jak on sam i dwóch wyglądających na nastolatków, wspięło się na grań. Przedstawił ich wszystkich, ale Kori zapamiętała tylko pierwsze imię, brata Eliasza, szczupłego łysego człowieka ze spiczastym nosem i jasnymi, pełnymi radości oczami, które zwięzały się, kiedy gdzieś pod gęstą brodą pojawiał się uśmiech. Chodził lekko i mówił śpiewnym barytonem. Śpiewa, pomyślała Kori. Jak przyjemnie byłoby mieć blisko kogoś takiego. Kief już nie śpiewał, a jej brakowało jego piosenek.

- Jesteśmy benedyktynami - powiedział brat Eliasz. - Modlimy się i studiujemy, ale uprawiamy też rolę. Może moglibyśmy wam pomóc przy zbiorach? Przecież będziemy sąsiadami.

Kori oddała mu uśmiech, odprężona. Nie było zdrady w tym człowieku. Była tego tak pewna, jakby sam Baba wyszeptał jej to do ucha.

A my moglibyśmy przychodzić na wasze msze, kiedy byśmy chcieli?

- Będziecie mile widziani - odparł ojciec Gregory.

- Czy mogę podejść bliżej? Jestem też lekarzem, nie tylko księdzem, i widzę, że zbliża się twój czas. Mogę się przydać.

Kori pozwoliła, aby zbadał jej puls i ciśnienie krwi.

- Niezbyt dobrze - stwierdził, pochylając się nad jej kostkami. - Masz toksemię. Wiedziałaś o tym?

- Podejrzywałam to - Kori oparła się o poręcz i zamknęła oczy. - Już przy pierwszym dziecku to się pojawiło.

- Pomogę ci - oświadczył ojciec Gregory stanowczo, pakując stetoskop do torby. - Jeśli będziesz mnie potrzebować, po prostu zawołaj.

- Ona i ja poradzimy sobie - burknęła Candelaria.

- Nie potrzebujemy takiego jak ty. To sprawa kobiet, to tu.

Ojciec Gregory uśmiechnął się do Kori, wzruszył ramionami i podszedł do brata Eliasza.

- Nie mamy dokąd pójść, chyba że dostaniemy ziemię pod budowę klasztoru - powiedział. - Czy moglibyśmy zatrzymać się w twojej stodole? Będziemy pracować na swoje utrzymanie.

- Powiedziałabym wam 'tak' od razu - odparła Kori - ale muszę poczekać na męża. On podejmie decyzję. Do tego czasu, tak, możecie zatrzymać się w stodole.

Obiad podamy tam - wskazała ku niskiej, płaskiej budowli z blaszanym dachem, którą Kief wykończył zaledwie trzy tygodnie wcześniej. - Koło szóstej. - Dobrze - odparł ojciec Gregory. - Może pozwolicie nam odprawić przedtem nieszpory? - Oczywiście - Kori miała nadzieję, że Kief nie zjawi się akurat w chwili, kiedy mnisi będą śpiewali *Asperges me domine* i odprawiali modlitwy niby wieczorną ofiarę. Nie przepadał za Kościołem katolickim, gdyż matka wychowywała go na opowieściach o księżach, którzy namawiali swe owieczki do zabijania Żydów. Będzie musiała z nim porozmawiać. Obecność mnichów na jego ziemi Kief może odebrać jako policzek dla matki. Trzeba coś z tym zrobić. Candelaria z pewnością będzie głosować przeciw nim.

Kori wysłała Indiankę do stodoły z dzbanem wody i chlebem domowego wypieku, gdyż widziała, że mnisi byli chudzi i bladzi. Nie prosili o jedzenie, ale widziała jak bratu Eliaszowi rozbłyły oczy na widok bochenków chleba piętrzących się na stole na ganku. To pewnie on będzie

śpiewał podczas nabożeństwa, pomyślała, żałując że nie ma na tyle energii, aby pójść i posłuchać go. Sama zaniosiłaby im jedzenie, ale Candelaria wymogła na niej, aby odpoczęła. Z ponurym, sceptycznym spojrzeniem Candelaria umieściła tacę z chlebem na głowie i poczłapała ciężko do stodoły, mówiąc głośno, że pragnie, aby mnisi się nim udławili.

Kori znów zrobiło się gorąco, więc podeszła do pompy, aby ochłodzić twarz. Uwielbiała, kiedy chłodna woda spływała jej po głowie, niby w akcie chrztu. Odgłos kopyt końskich sprawił, że zatrzymała się i podniosła rękę do oczu, aby osłonić je przed zachodzącym słońcem.

Kief wracający z pola sojowego właśnie wspinał się na grań. Pomachała ku niemu ręką, mając nadzieję że spotkał po drodze starego McCavera, który dwa razy w tygodniu dostarczał im mleka ze swojej farmy. Tak, dostrzegła już, że spotkał. Juan Herrera, jeden z pierwszych członków ich społeczności, jechał obok Kiefa, a bańka z mlekiem kołysała się między nimi. Niech Bóg błogosławi Shay'a, pomyślała Kori, wdzięczna za silną, grubą islandzką klacz, która mogła unieść na grzbiecie całą rodzinę. Odkąd ceny benzyny tak bardzo podskoczyły, dzięki gubernatorowi Gasowi Gage'owi i jego partnerom, używali konia częściej niż samochodu.

To naprawdę była Kali Yuga, pomyślała Kori wolno. Jej umysł zdawał się ostatnio poddawać ociężałości bardziej niż jej ciało. Wiek żelaza, kiedy ludzie byli dla siebie gorsi niż zwierzęta. Kali Yuga była stanem umysłu, powiedział Sai Baba, który sprawiał, że świat stawał się ciemny i twardy. To było jeszcze przed wspaniałym wiekiem Boga, zanim powrócił niosąc z sobą niewyobrażalną miłość, której nie można się oprzeć. Kori wymruczała modlitwę, prosząc Sai Babę, aby napełnił jej umysł lekkością i światłem. Napłynęły ku niej sanskryckie słowa: 'om bhur buvah suva'a...' Kiedy je wymawiała, zobaczyła pod zamkniętymi powiekami Babę

otoczonego świetlistymi kolorami, obejmującego ramionami ją i jej nie narodzone dziecko.

- Dobrze się czujesz, Kori? - Kief podbiegł do niej, zostawiając Juanowi uwiązanie konia.

Kori nie odpowiadała mężowi, lecz sięgnęła ku niemu, kiedy zsunął się z konia. Kief pocałował ją delikatnie, aby nie urazić dziecka w niej. Jego kręcone ciemne włosy zaczynały nieco cofać się na zakolach, a na twarzy pojawiły się głębokie bruzdy od spędzania wielu godzin na słońcu, ale wciąż pachniał świeżością, a jego ręce na jej ramionach wciąż były tak samo silne.

- Juan, postaw mleko w strumieniu, proszę, żeby się oziębiło. - Kori uśmiechnęła się do krępego, ciemnego mężczyzny, który nieznacznie przebierał nogami, jak zawsze, kiedy mówiła do niego Kori, wciąż niepewny czy go akceptuje. Przecież, kiedy się poznali był bandito, a pół roku nienagannego zachowania chyba nie wystarczyło, aby złagodzić to pierwsze niefortunne spotkanie.

Juan Herrera był członkiem gangu w czasach przed Candelarią. Spotkali się, kiedy próbował jej ukraść nici i bele materiału, które niosła ze sklepu w dolinie. Candelaria jechała wtedy na mule, który potrafił kopnąć tego, na kogo wskazała. Muł tańczył niespokojnie przed Juanem, a w końcu wysłał go w powietrze kopnięciem tylnych kopyt. Juan wylądował na głowie i stracił przytomność uderzając się o skałę. Pod gburowatością Candelaria kryła czułe serce, miała też mocne ramiona, więc załadowała martwy ciężar na muła i wprowadziła go do swej chaty. Tam obie z Kori położyły go do łóżka, związawszy go przedtem roztropnie i zaczęły na Kiefa i innych mężczyzn, którzy mieli zadecydować o losie ich bandito. Wtedy właśnie gangi motocyklowe po raz pierwszy, lecz z pewnością nie ostatni, zapędziły się tak głęboko w góry.

Zdawało się, że uderzenie w głowę zrobiło mu dobrze, gdyż został z Candelarią i nie wrócił już do Santa Cruz do swego gangu. Okazało się, że Juan jest dobrym farmerem; jeszcze w Meksyku dziadek nauczył go jak uprawiać fasolę. Kief nie miał z nią szczęścia i już miał zrezygnować i zająć się uprawą avocado, kiedy pojawił się Juan. Eks - bandyta umiał też grać na gitarze, co stanowiło główną atrakcję na cotygodniowych spotkaniach społeczności. Sam grał na swoim weselu z Candelarią, a jej krewni tańczyli swoje indiańskie tańce w szybszym, hiszpańskim tempie. Kief również z nimi tańczył, a nawet śmiał się trochę, czego nie robił odkąd doszły go wieści o matce.

- Generator znów nawalił? - Kief przesunął swój poplamiony kapelusz na tył głowy. - Mówiłem Eddiemu, że będziemy potrzebowali systemu zabezpieczającego. - Uwiązał klacz obok pompy, wytarł ją derką spod siodła, którą następnie rozłożył, aby wyschła w słońcu.

- Eddie próbował naprawić traktor - czasami Kori martwiła się, że Kief jest zbyt ostry dla Eddiego Szu, ich jedynej mechanika, pół Chińczyka, pół Amerykanina, i że ten może uciec od nich z powrotem do Los Angeles. Często przychodziły listy od jego rodziny, która błagała go, aby wrócił do nich. Mieli nadzieję, że ożeni się i ustatkuje, ale Eddie wolał samotne, spokojne życie w górach. Czasami Kori widywała go o świcie na polanie niedaleko kuchni, kiedy wykonywał niespieszne, baletowe ruchy tai chi, wsłuchując się w muzykę wiatru.

- Wiem, wiem - Kief otarł czoło wierzchem dłoni, przyjrzał się jej i zmarszczył na widok pasma brudu.

- To moja wina. Kończą nam się części zapasowe. Nie chcę wyjeżdżać aż do Zatoki, teraz kiedy dziecko może lada chwila się urodzić.

- Mamy teraz nową pomoc przy dziecku - Kori spojrzała w bok i zaczęła zdrapywać plamkę zielonego nalotu z pompy.

- Przybyli tu pewni ludzie. Musimy o tym porozmawiać.

- Kto? - oczy Kiefa zwęziły się. - Przyszli, kiedy mnie nie było? Boże, Kori, mówiłem ci, żeby strzelać do każdego obcego, który wystawi głowę poza tę grań. Wiesz czym to grozi.

- To mnisi, Kief - Kori postanowiła załatwić to szybko; była zbyt zmęczona, aby owijać to w piękne słowa.

- Sześciu benedyktynów. Sprzedali swój duży klasztor w mieście, rozdali pieniądze biednym i przyszli tu, aby kupić od nas parę akrów. Jeden z nich jest lekarzem. Wydaje mi się, że są dobrzy i chciałabym, żeby zostali.

- Mnisi? - zapytał Kief niedowierzająco. - Ludzie, którzy całymi dniami siedzą i modlą się? I pewnie mamy ich karmić i czyścić ich wychodki? Cholera, Kori, mam nadzieję, że nie powiedziałaś im, że mogą zostać?

- Powiedziałam im, że zapytam ciebie - odparła Kori cicho i spokojnie. Mogła dać Kiefowi do zrozumienia, że bardzo chce, żeby zostali, lecz to mogło zmusić go do wyrażenia zgody, a nie chciała tego załatwiać w ten sposób. Poza tym, nie było żadnego powodu, dla którego mieliby zostać, z wyjątkiem tego, że ich polubiła i chciała usłyszeć ich śpiew. - Chcą pomagać na farmie i mają trochę pieniędzy, którymi chcą zapłacić za ziemię. Może dałyś im szansę.

Kief odwrócił się do niej plecami i założył ręce na piersi. Widziała jak jego palce nerwowo uderzają o bicepsy.

- Ale to mnisi. Mamy dość gęb do wyżywienia. Są starzy? Młodzi?

- Młodzi, chyba. I silni. Jeśli nie sprawdzą się, będziesz mógł poprosić, aby poszli sobie dalej.

- I jest między nimi lekarz?

- Tak. Powiedział, że zajmie się mną.

- No cóż, temu nie mogę się sprzeciwić. - Kief zaczął pompować mocno i podstawiał twarz pod strumień wody. - Ale kiedy przyjdzie dziecko, będziemy musieli jeszcze porozmawiać z nimi o tym, czy będą mogli tu zostać.

- Dziękuję, Kief - chwyciła róg swego długiego fartucha i wytarła mu twarz. - To właśnie chciałam usłyszeć.

Kief ujął jej ręce i spojrzał w oczy.

- Wyglądasz jak zbieg, Kori. Masz ciemne kręgi pod oczami. Wejdźmy do środka i połóżysz się z nogami w górze.

- Oboje jesteśmy zbiegami - Kori uśmiechnęła się, ale nie opierała się, kiedy pomagał jej wejść do domu, a potem ułożył jej nogi na podwyższeniu z poduszek i przyniósł jej zimną wodę do picia. Pompa nad zlewem była dobrym pomysłem, bo nie można było liczyć na wodę dostarczaną przez okręg w przypadku kolejnej suszy.

Kori przestała się martwić o zapasy wody przypomniawszy sobie co musi zrobić. Musi się skupić i oddychać głęboko, oczyszczając umysł z bezproduktywnych zmartwień. Pomyślała o Indiach i twarzy Sai Baby, który mówił, aby się nie denerwować. Bądź spokojna, powiedział jej. Wykonuj swoje obowiązki, a w sercu miej mnie. Złóż swoje życie w moje ręce, a ja będę cię strzegł jak powieka strzeże oka. Kori często żałowała, że nie słyszy w głowie głosu Sai Baby jak Gina, ale może działa się tak, ponieważ Baba wiedział co ma się stać i obdarzał Ginę wyjątkową, potrzebną jej łaską. Zamknęła oczy i oparła się na poduszce, którą Kief podłożył jej pod głowę. Spróbowała nie myśleć o Ginie.

- Mam wieści - odezwał się Kief pompując szklanekę wody. Ramiona mu połyskiwały. Były tak umięśnione, że podwinięte mankiety ciasno opasywały mięśnie. - Ludzie Nazima zaczynają mieć kłopoty z Healies Homera. Ale opinia publiczna zdaje się sympatyzować z Nazimem. Przynajmniej

jego muzułmański korpus pokoju, jak go teraz nazywają, zapewnia ludziom szkoły i pracę. Zwłaszcza kiedy szkoły publiczne upadają. Ludzie uważają Nazima za bohatera.

- Ale za Healies opowiada się klasa średnia. - Kori sączyła wodę, a potem zanurzyła w niej palce i położyła je na rozgrzanym czole.

- Która też upada. Więc Homer nie ma nic stałego oprócz oddziałów Gage'a - stwierdził Kief chodząc po pokoju. - Nazim sprytnie postawił na liczebność klas niższych.

- Liczebność i dyscyplinę - mruknęła Kori. - To coś nowego dla biednych w tym kraju.

- Wygląda na to, że możemy się spodziewać zamieszek, jak media klinicznie nazywają krew rozlaną na ulicach. - Kief rozpałił pod piecem.

- Między Healies i ludźmi Nazima? - Kori potrząsnęła głową. - Nazim jest na to za mądry. Potrzebuje Healey'a i jego Partii Boga. A Gage potrzebuje ich obu.

- Miejmy nadzieję. Ale na następnym spotkaniu społeczności mam zamiar znów wznowić sprawę ziemnego muru wokół głównego kompleksu. Eddie mówi, że mógłby przeprowadzić drut na jego szczycie, więc moglibyśmy po zapadnięciu zmroku podłączać ogrodzenie do prądu - Kief napełnił czajnik wodą na herbatę.

- Co noc wystawiamy straż - zaproponowała Kori. - Myślę, że broń sprowadza kłopoty. Jak byśmy sami się o nie prosili. Bóg nas ochroni. - Miała nadzieję, że Kief pamięta jak Baba go uzdrowił, że Babie można ufać, ale zdawało się, że Kief nikomu już nie ufa, zwłaszcza Bogu.

- Czy obronił moją matkę? - zimny, wyprany z wszelkiego uczucia głos Kiefa brzmiał obco.

Po raz pierwszy wspomniawszy matkę odkąd wujek Chaim zadzwonił z Zefat. Kori wstrzymała oddech, mając nadzieję, że powie coś więcej, ale on wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Słyszała jak nawołuje Johna Philo. Kiedy był w złym nastroju, dziecko było jego pocieszeniem. Brał go na ręce, całował jego kark i pytał czy znalazł jeszcze więcej polan z jeżynami. John Philo miał niewytłumaczalną zdolność do wyszukiwania krzaków jeżyn. Nie przejmował się też ostrymi kolcami i przynosił dzban jeżyn na wspólny posiłek. Wracał zawsze ze świeżymi zadrapaniami na ramionach i uśmiechem zadowolenia na opalonej, absurdalnie dorosłej twarzyczce o pełnej szczęce i wargach. Będzie wysoki, pomyślała Kori, ma przecież w sobie geny jej i Kiefa. Chciałaby, aby ich następne dziecko też było chłopcem, bo córka wysoka na metr osiemdziesiąt, choć przydatna na farmie, niełatwo znajdzie sobie męża. Sai Baba jednak powiedział, że będzie córka i że on się nią zaopiekuje. Automatycznie wyciągnęła rękę, jakby chciała odgarnąć sprzed twarzy pajęczą nitkę czy odsunąć myśl. Nie martw się. Spokój. Oddychaj i pamiętaj. Ujrzała twarz Sai Baby i odprężyła się. Jak niewiele trzeba, zastanowiła się, aby umysł uciekł spod jej kontroli, aby zapomniała kto kieruje jej życiem. Jeśli pomyślała, że jest mądrzejsza niż jej teściowa, to myliła się. Kori wstała i jeszcze raz odczytała list z Izraela.

Kiedy Gina wysiadła z samolotu, pisała, miała ochotę ucałować ziemię, tylko że ziemia ta była brudnym, niezbyt kuszącym asfaltem. Okna długiego, niskiego budynku lotniska błyszcząły w pustynnej nocy, a w środku, czysty, biały instytucjonalnie antyseptyczny terminal powitał ją znajomymi wspomnieniami, tak niepodobnymi do tych z Indii, że mogłaby zapłakać z wdzięczności. Wokół niej tłoczyli się ciemnolicy imigranci z Etiopii z głowami okutanymi jakby odnieśli rany w akcji wojskowej. Przyjechali tak jak stali, uciekając przed głodem i kulami, z głowami osłoniętymi przed afrykańskim słońcem i wyzbyci zaufania do Boga.

Gina poczuła się głupio ze swoimi wylakierowanymi włosami i długimi, czerwonymi paznokciami. Zaczęła zdzierać czerwień, i zanim dotarła do Zefat, znów lśniły czystym, dziewiczym różem. W Tyberiadzie, gdzie musiała się przesiąść, kupiła ręcznie malowaną chustę na głowę i założyła ją. Pomyślała też o swojej sukni bez rękawów i kupiła bawełniany szal. Przeplącała, bojąc się spóźnić na autobus. Ceny skłoniły ją do zastanowienia się na jak długo wystarczy jej miesięczny czek w tym pustym, spartańskim i kosztownym kraju. Może nie powinna ulec impulsowi, który kazał jej zostawić biżuterię Kori. Przypuszczała, że Izraelici wydają wszystko, co mają na obronę. Z pewnością nie kupowali dóbr konsumpcyjnych. Ostatecznie, Tyberiaada ze swoim zatłoczonym dworcem autobusowym i przeładowanymi autobusami, nie różniła się specjalnie od Indii.

Kiedy autobus pokonywał górzystą drogę wzdłuż stromych ścian wysokich skał, Gina zauważyła dwóch młodych żołnierzy, chłopca i dziewczynę, drzemiących naprzeciw niej. Za każdym razem, kiedy autobus przystawał, aby zabrać pasażerów, oni poruszali się, otwierali oczy i podnosili swoje uzi. Potem znów zapadali w sen z rękami wciąż spoczywającymi na broni. W ich wieku, w autobusie, jej Kief czytałby podręcznik do fizyki albo śnił na jawie o plaży. Oni wiedzą, że śmierć może nadejść w każdej chwili, powiedział cicho jej wewnętrzny głos. A ty?

Cóż, szczerze mówiąc, nie myślę wiele o śmierci, odparła Gina, zadowolona z chwilowego towarzystwa Sai Baby. Życie jest życiem. Taka jesteś pewna, że wiesz czym jest życie? Twoje ciało jest jedynie ubraniem noszonym przez krótką chwilę. Wiem, wiem, odparła Gina myśląc o ubraniu Jerry'ego zmieniającego się w płomień i poczerniałe kości. Byłam tam, widziałam. Cóż, pamiętaj więc. Twoje ciało to nie ty.

- Pamiętam - powiedziała Gina na głos. - Nie zapomnę. - Zaczerwieniła się, bo żołnierze obudzili się i zapatrzyli w nią. Po tym, co widziałam, dodała w myślach, śmierć to nie tak znów wiele. Uśmiechnęła się, ponieważ takie słowa mógłby wypowiedzieć wujek Chaim.

Wyszli po nią na dworzec, wujek Chaim i ciotka Hanna, a potem wszyscy poszli do ich małego domu położonego naprzeciw skalistej, rozległej doliny, gdzie był grób wielkiego rabina Ari Lwa. Nazajutrz miał być szabas, więc już teraz wielu mężczyzn szło w kierunku mikvah nad grobem, z ręcznikami i czystymi koszulami w rękach. Ciotka Hanna obiecała, że podczas popołudniowych modlitw, jeszcze przed szabasem, kiedy mężczyźni będą zajęci w shul, kobiety pójdą do prastarego mikvah i wykąpią się w jego zimnych, czystych wodach.

Przed mikvah, Gina, czyli Gilah, gdyż wujostwo nazywali ją jej hebrajskim imieniem, musiała się dokładnie umyć, zmyła nawet paznokcie, a ciotka Hanna sprawdziła ją zanim pozwoliła jej zanurzyć się w lodowato zimnych, turkusowych wodach mikvah Ariego. Przez chwilę Gina stała naga nad falującym, ograniczonym zaporą jeziorkiem, drząc na zimnym wietrze wiejącym z coraz bardziej mrocznych gór. Oczyszczyć się, oczyścić, odezwał się głos Sai Baby, a ona skoczyła, chwytając gwałtownie powietrze w odruchu na szok, jaki wywołał kontakt z zimną wodą. Zgodnie z instrukcjami Hanny wstrzymała oddech i przykucnęła, aby każda część jej ciała, nawet końcówki włosów, znalazły się pod wodą.

- Abrahamie, Izaaku i Jakubie - powiedziała do siebie. - Zabierzcie mnie do domu. - Wynurzyła się z zaczerwienioną i uśmiechniętą twarzą, a ciało drętwiało jej z zimna. - Om Sai Ram! - wykrzyknęła. - Jai!

- Ciotka Hanna pogroziła jej palcem nakazując jednocześnie milczenie i owinęła ją ręcznikiem.

- Mężczyźni usłyszą - ostrzegła. - Chodź.

Z odrzuconą głową i oczami wpatrzonymi w czerwień zachodzącego słońca, Gina szła za ciotką stromą, nierówną ścieżką. Kiedy dotarły do małego domku, ciotka Hanna zakryła twarz i odmówiła błogosławieństwo szabasowej świecy. Gina owinęła się szalem jak muzułmańskim welonem i przez wiele godzin nie odzywała się. Serce jej mocno biło, a oczy zamknęła jakby w obronie przed zbyt jaskrawym światłem. W tym przelotnym momencie łatwo jej było uwierzyć, że nie jest tylko swoim ciałem.

Odłożywszy list, Kori poczuła, że jej brzuch robi się coraz bardziej napięty i zastanawiała się czy nadszedł czas, aby obudzić Kiefa. Znała to uczucie, kiedy życie chciało wydostać się na świat, odsunąć kamień z grobu. Przez kilka chwil leżała rozmyślając o ostatnich godzinach życia Giny, tak podobnych do chwili, kiedy życie czekało na swe narodzenie, i przypomniała sobie co powiedział wujek Chaim. Oboje z Kiefem odebrali ten telefon, on w stodole, ona w domu.

Atak był kompletnym zaskoczeniem, powiedział im wujek Chaim. Arabowie podkradli się o świcie pod nową granicę na wzgórzach Golan, zaledwie osiem kilometrów od Morza Galilejskiego, potem wzdłuż wybrzeża ku Tabgha, miejsca siedmiu źródeł, gdzie nauczali prorocy, a cichy plusk wody rozbrzmiewał w porannym powietrzu. Gina zebrała grupę uczniów szkoły podstawowej, z którymi urządziła piknik pod Tabgha, na łagodnym zboczu terenów opuszczonego klasztoru franciszkanów.

Odmawiała z nimi kaddish, gdyż była to rocznica śmierci jej ojca. Kiedy doszli do słów Y'hay shlomoh rabboh min sh'mah... „Ten, który czyni pokój w niebiosach, niech nas i Izrael obdarzy pokojem...”, pojawił się młody Arab w poobijanej półciążarówce, wyskoczył z niej i ostrzelał ich z obrzyna.

Arabowi drżały ręce i zaczął strzelać dziko, jakby chciał strącić ptaki z drzew. Większość dzieci padła na ziemię ochraniając głowy rękami, lecz jeden z chłopców stał sparaliżowany obok Giny. Kiedy lufa broni skierowała się w ich kierunku, Gina podbiegła do niego zręcznie zwalając go z nóg dobrze wymierzonym kopniakiem i wyciągnęła ręce mówiąc coś, co dla dzieci zabrzmiało jak „Oh Sy Ra”. Upadła twarzą ku ziemi, kiedy kule Araba dosięgły jej piersi i leżała na trawie z rękami wciąż wyciągniętymi ku zabójcy. Chłopiec, którego ścięła z nóg, przeżył, jak i inni. Później chłopcy opowiadali, że słyszeli jakby odgłos płaczu, kiedy Arab uciekał w kierunku swojej półciężarówki. Ale inni mówili, że był to pewnie śmiech. Nikt nie był tego pewien, gdyż młodego zabójcy nie złapano.

Kief natychmiast wyjechał do Izraela, a kiedy wrócił, nie powiedział ani słowa o pogrzebie matki. Kori nie wiedziała, czy w ogóle odmówił kaddish za Ginę, bo nie wierzył w takie rzeczy. Może, pomyślała, lżej by mu było, gdyby to zrobił. Może ona sama by to zrobiła, gdyż czuła wyrzuty sumienia, że nie okazywała Ginie dość miłości. Była zadowolona, że Gina wykrzyknęła przed śmiercią Om Sai Ram, gdyż znaczyło to, że Sai Baba był z nią. Kori włożyła ostatni list Giny do szuflady, a ostry ból spłynął z pleców w kierunku nóg. Nadszedł czas, aby zawołać Kiefa i Candelarię. Pokuśtykała do łóżka i położyła na nim gumowe prześcieradło. W tym momencie wypłynęły z niej ciepłe wody i spłynęły po wewnętrznych stronach ud.

Długie, ciemne warkocze Candelarii frunęły za ich właścicielką do pokoju. Zmusiła Kori do chodzenia i nie pozwoliła jej jeszcze położyć się do łóżka. Indianka mocno przytrzymała Kori pod łokciem, a kiedy Kori zmęczyła się chodzeniem w kółko, wyprowadziła ją na dwór. Kori zeszła wysypaną kamykami ścieżką i zanurzyła twarz w kwiaty,

wielkie jak otwarta dłoń. Obserwowała, jak długonogi pajak rozpinał nić pajęczyny między dwiema gałęziami drzewa oliwnego, póki nie wzeszło słońce i oświetliło doskonałe, mokre nitki. Przez chwilę wydawało się jej, że podobna nić łączy jej głowę z jej ociężałym ciałem i Kiefem. I z tobą, mój drogi przyjacielu, wyszeptała głośno do Baby, bo właśnie jego twarz ujrzała w samym środku pajęczyny.

Pomyślała z początku, aby posłać Candelarię po ojca Gregory. Ale przypomniała sobie, że ksiądz - doktor wyjechał na trzy dni po drewno potrzebne na budowę klasztoru. Już dość długo mieszkali pod namiotami, mruknął Kief niechętnie, nie do końca chcąc, aby zapuścili tu korzenie, a jednocześnie wiedząc, że ciężko pracowali na polach fasoli, i to po zachodzie słońca, po całym dniu spędzonym na doglądaniu ich własnego pola. Ojciec Gregory wciąż kupował zapasy w Santa Cruz.

Skurcze zmieniły się w pojedynczy, długotrwały ból, który przygiął ją do ziemi. Silne ramiona Candelarii uchroniły ją od upadku. Kief pomógł jej położyć Kori na łóżku pokrytym gumowym prześcieradłem, a potem, z twarzą napiętą i zakłopotaną, usiadł przy żonie. Jest przyzwyczajony do tego, że może pomagać, pomyślała, a tu nagle nic nie może zrobić.

- Czy to dziecko już nie powinno się urodzić? - zwrócił się do Candelarii, która nacierała ogromny brzuch Kori ziołami. - Czytałem gdzieś, że kiedy dziecko znajdzie się w kanale rodnym, wszystko idzie szybko.

- To prawda - odparła Candelaria. - Ale to dziecko jest bardzo wielkie. - Miała zmarszczone brwi i pocila się, jakby sama rodziła. - Wolałabym, żeby był tu lekarz. Moje umiejętności tu nie wystarczą.

Kori rzuciła się, zajęczała i ścisnęła rękę Kiefa, żeby zaraz ją od siebie odrzucić.

- Tym razem jest inaczej - wyszeptała. - Znacznie ciężiej.

- Za bardzo krwawi - powiedziała Candelaria Kiefowi. - Zły znak. Zioła nie pomagają.

- Módl się - nagle Kori podniosła się i ujęła jego głowę w obie ręce. - Maria, Jezus, Baba... nie mogę... jestem taka zmęczona - jej głos zamarł, a głowa opadła na mokrą od potu poduszkę.

Kief przycisnął twarz do jej ramienia i zaczął mruzczyć wysokim, przerażonym głosem, przypominającym raczej głos dziecka, a nie jego własny. Kori słuchała go z oddali, poruszała ustami cicho powtarzając słowa modlitwy.

- Boże, byłem niewdzięczny. Ty dajesz i odbierasz, ale proszę, nie zabieraj mi Kori. Baba, bądź tu przy niej i przy mnie. Nigdy już o tobie nie zapomnę.

Kori usłyszała ciche pukanie do drzwi i Candelaria pobięła je otworzyć.

- Tak myślałem, że masz kłopoty - czysty, cichy głos brata Eliasza orzeźwił Kori. - Niewiele mogę zrobić, ale pomagałem ojcu Gregory przy kilku porodach. Czy mogę wejść?

Candelaria niechętnie odsunęła się, aby go wpuścić.

- Bardzo z nią źle - powiedziała. - Ja nic nie mogę dla niej zrobić. Gdzie jest ten wasz doktor, kiedy jest potrzebny? - głos jej się załamał, a Kori domyśliła się, że naprawdę musi być z nią niedobrze.

- Tak - Kori odezwała się cicho, choć myślała, że krzyknęła. - Chcę, żebyś tu był, Eliaszu. Chciałabym, żebyś mnie pobłogosławił. Proszę.

Kori pomyślała o tych chwilach, kiedy siadywał przy niej na ganku, a ona obierała kartofle, i czytał jej książkę, nad którą właśnie pracował. Czasami rozmawiali, ale wtedy on miał oczy utkwione w książce i zarumienione policzki. Pewnego razu przyłapała go na tym, jak wpatrywał się w nią podczas mszy. Zaczerwienił się wtedy jeszcze bardziej niż

zwykle, a jego dobre brązowe oczy przymknęły się lekko jakby w nagłym ataku bólu, czy pospiesznej modlitwie. Candelaria też to zauważyła i ostrzegła Kori, że księża, którzy za bardzo wpatrywali się w kobiety, przynosili kłopoty. Kori zaśmiała się tylko. Jaki człowiek mógł zakochać się w kobiecie tak spuchniętej jak ona, z grubymi kostkami i podkrążonymi oczami?

- Poczekaj - oświadczyła Candelaria kiwając znacząco głową pełną wiedzy o świecie i jego grzechach. - Kiedy znów będziesz szczupła, on zrobi ruch. Ja cię ostrzegam.

Teraz Candelaria siedziała w napięciu przy jej łóżku, wędrując wzrokiem od twarzy Kori do Eliasza, z wargami zaciśniętymi w wąską, pełną dezaprobaty linię.

Brat Eliasz podszedł do łóżka i lekko dotknął czoła Kori. Spojrzawszy na niego, zobaczyła, że jego broda dotyka łóżka, a wielkie jabłko Adama porusza się w takt wymawianych słów rozgrzeszenia.

- Tak chciałabyś, abym położył na tobie ręce? - zapytał brat Eliasz patrząc na nią jasnymi oczami, a ona poczuła, że po policzkach spływają jej łzy.

- Rób, co należy - Kori uśmiechnęła się do niego, ale zaraz kąciki jej ust opadły jej w kolejnym paroksyzmie bólu.

Brat Eliasz delikatnie położył ręce na brzuchu Kori, a ona poczuła jak całe jej ciało na moment rozluźnia się. Nadeszła następna fala bólu, ale wydała się jej ulgą, silną potrzebą parcia. Zdawało jej się, że jej głowa jest gdzieś ponad jej wyjąłym z bólu i rozpaczony ciałem. Nie słyszące, skoncentrowane na jednym miejscu ciało, parło i jęczało, nie zwracając uwagi na krzyzącą głowę. Ciało znalazło się we własnym świecie, gdzie liczyło się tylko parcie i jęk. Głowa krzyczała do Boga o pomoc, a ciało niezmordowanie parło zakrwawione, bezsilne życie między niechętnie rozwierające się kości, aż w końcu wydało na świat córkę, pozbawioną

tchu, z opuchniętą główką i ciałkiem pokrytym śliską mazią. Candelaria podniosła ją, aby Kori mogła ją zobaczyć, a jej wydało się, że dziecko jest efektem eksperymentu jakiegoś ambitnego smakosza.

Kori zobaczyła wymachujące, różowe ramiona dziecka, a jej ciało oddało się smakowaniu nagle powstałej w nim pustki. Patrząc jak dziecko chwyta oddech, macha swymi mocnymi, zaborczymi rączkami w poszukiwaniu piersi, Kori westchnęła głęboko, nie z bólu, jak dotychczas, ale w powitaniu go na tym świecie, ziemi mlekiem i miodem płynącej, ziemi łaskawego Boga, który pobłogosławił ich oddechem, ciałem i miłością. Wciąż jej się zdawało, że dziecko jest częścią jej, Kiefa i Baby, który obejmował ich, a oni tańczyli w jego ramionach w blasku wschodzącego słońca. Twarz jej zmarłej matki jaśniała w twarzy Baby, i Kori wiedziała już, że nigdy więcej nie będzie musiała opłakiwać Damaris.

Candelaria po chwili odcięła pępowinę, a dziecko zaczęło zachłannie oddychać. Jego małe, pulchne policzki pracowały jak miechy, a umysł skoncentrowany był tylko na wypełnianiu powietrzem niewielkich płuc i dostarczeniu go do każdej najmniejszej komórki ciała. To była prawdziwa praca, którą dziecko wykonywało z zacięciem i uwagą. Kori przytuliła córeczkę do piersi, a małe usteczka wciąż pracowały. Dziecko zdawało się być świadome tego, że życie od samego początku to nie zabawa, ale przecież nie jest ono tak sterylne i pozbawione radości jak kiedyś myślała Kori, pracując nad książkami i zamierzając wydrzeć życiu jak najwięcej.

Kori przyjmowała wszystko takim, jakim było i nie pragnęła niczego. Czy mogę sprawić, aby popłynęło mleko? - zapytała siebie Kori. Czy mogę zapewnić temu dziecku powietrze? Kori wiedziała, że nie była bardziej świadoma i nie bardziej kontrolowała swoje życie niż deszcz kapiący z nieba, i tak myśl sprawiła jej radość. Tak długo czuła się

odpowiedzialna za wszystko wokół siebie, a teraz ta odpowiedzialność spłynęła z niej jak woda i krew z jej zmęczonego ciała. Tak właśnie musiała się czuć jej matka, kiedy ją rodziła, i matka Damaris, i tak dalej, zawsze. Była jedną z długiego łańcucha córek, a teraz sama spłaciła dług dając życie kolejnej córce. Śmierć jej matki nie spadła na jej głowę. Nie czuła też bólu dlatego, że trzymała Ginę na dystans. Wszystkie były w rękach Boga, żyjące lub uwolnione od życia z Jego woli jak liście na drzewie.

- Dziecko będzie miało na imię Gilah Damaris, po obu matkach - powiedziała cicho Kori zanim zasnęła. - Ale prawdziwą matką jest Matka nas wszystkich.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadł ojciec Gregory, uderzając boleśnie głową o framugę.

- Właśnie wróciłem - oświadczył. - Coś mi mówiło, że muszę się spieszyć. Chcę zobaczyć dziecko - pochylił się nad Kori i zbadał oczy i serce dziecka. - Kori, chciałbym dać ci zastrzyk na powstrzymanie krwawienia.

- Tak, trzeba zatrzymać krwawienie. Wiesz, cieszę się. Cieszę się, że przyszedłeś - Kori patrzyła na brata Eliasza, który cofnął się kilka kroków i stał ze zwieszoną głową. Kief podtrzymywał go, ale zdawało się, że brat Eliaz przebywa gdzie indziej.

- Zostańcie - poprosił Kief. - Zostańcie jak długo chcecie. Jestem wam to winien.

Ojciec Gregory wysterylizował igłę nad płomieniem palnika bunsenowskiego i włożył ją z powrotem do torby.

- Dzięki. Tak sobie myślałem, że może to powiesz. Przy okazji, fasola u stóp wzgórza ma za mało wody. Stracimy ją, jeśli nie wykopujemy rowu.

- Jutro rano - odparł Kief. - Jeśli pożyczysz mi kilku ludzi.

Kief zostawił dziecko opiece Candelarii i ojca Gregory, a sam wyszedł w noc. Młody księżyc był blady i biały jak rączki jego córeczki. Będzie żyła ta jego córka, pomyślał, kiedy Bóg, który jest miłością, powróci na ziemię, do swego ludu. Jezus Mesjasz, moshiach, Prema. Jakimkolwiek imieniem by Go nie nazwać, był Bogiem, który słyszy, i Bogiem, który powróci. Który zawsze przychodzi. Kief spoglądał na dolinę, gdzie rosła jego fasola. Za nim spała jego rodzina. Niepewnie, bo słowa prastarej modlitwy za zmarłych zatarły się w jego umyśle, Kief zaczął odmawiać kaddish za matkę.

Część II

Ladakh w Himalajach, początki XXI wieku

Dhattu był jeszcze dzieckiem, kiedy wijącą się, stromą ścieżką prowadzącą ku przełęczy Fatula nadeszło jedenastu hinduskich mnichów ubranych jedynie w białe dhoti i lekkie, bawełniane szale. Musi być im zimno, pomyślał owijając się ściślej kocem. Księżyc świecił jasno na czystym niebie, a gwiazdy zdawały się być na wyciągnięcie ręki. I księżyc, i gwiazdy lśniły jak lód, a ich światło sprawiało, że śnieg wokół klasztoru połyskiwał bladym błękitem. Na horyzoncie widniały białe szczyty gór.

Dhattu przybył do klasztoru Lamaryaru, najstarszej fundacji Ladakh, kiedy miał cztery lata, a więc przed ponad pięciu laty, i nigdy dotąd nie oglądał dziwniejszego widoku. Stał na balustradzie wychodzącej na drogę i spoglądał w dół na podróżników przechodzących przez maleńką wioskę przycupniętą u stóp ścian klasztoru. Potem popędził schodami w dół, chcąc dotrzeć do bramy i zobaczyć powitanie podróżnych.

Serce szybko mu biło, kiedy mężczyźni weszli, a on podpatrywał ich spoza wysokiej, żelaznej bramy. Przez chwilę, spoglądając na spokojne, obce sobie twarze, dostrzegł wokół nich przebłysł jasnego światła, który wydał mu się owym stałym punktem, na którym zawieszono są drżące, efemeryczne barwy świata. Zapragnął głośno zaśpiewać. Teraz wiedział co miał na myśli wielki lama, kiedy mówił, że wszystko jest maya, przechodzeniem i zmienianiem się sił, które ożywiały wszystko wokół niego, nawet wielkie góry, które wydawały się tak niezmiennie i pewne. A jednak i one, mówił lama, któregoś dnia zostaną zamienione na proch przez wiatr i śnieg.

Dhattu spróbował wyobrazić sobie jak delikatne płatki śniegu niszczą góry takie jak na przykład Kailas, na którą

zabrano go rok wcześniej. Tam odbył kora, dwunastomilowy spacer wokół szczytu, domu i źródła najczystszej boskości, oraz zanurzył się, do samiotkich końców włosów, w jeziorze Manasarovar, aby w następnym życiu reinkarnował się jako bóg.

Widząc tych obcych, poczuł nieodpartą potrzebę skłonienia im się, jak przed wielką, lodową kopułą Kailas, skalistą świątynią, gdzie serce Ziemi biło tak głośno, jak mu powiedział lama, że można je było usłyszeć na własne uszy. Lama był szczęśliwy, że Dhattu ujrzał świat rozplywający się w jasnym świetle, gdyż potwierdzało to to, w co zawsze wierzył, czyli że Dhattu jest reinkarnacją poprzedniego lamy klasztoru. Przyniosło to ulgę Dhattu, gdyż nic nie pamiętał ze swego poprzedniego wcielenia, ani nawet tego miejsca, które teraz kochał. Nie miał nic przeciwko okazjonalnym obowiązkom obejmującym wyrzucanie popiołów przez otwór ściekowy czy paleniem w piecu nawozem jaków. A przede wszystkim, uwielbiał ćwiczenia oddechowe, które któregoś dnia umożliwią mu wymówić głębokie, pełne pogłosu pieśni, od których cierpła mu skóra, a świat drżał przed oczami.

Oddychał głęboko, pragnąc za wszelką cenę uspokoić się, aby starsi mnisi pozwolili mu razem z nimi powitać hinduskich gości. Dhattu powiedział głównemu lamie, że chciałby podać gościom po obiedzie gorącą, okraszoną masłem herbatę i posłuchać o czym opowiadają. Siedział teraz ze skrzyżowanymi nogami przy wielkim, miedzianym dzbanku na herbatę, zaledwie na wyciągnięcie ręki od najważniejszego z mnichów przybyłych z aśramu Gufa w Nepalu.

Nie byli pielgrzymami, jak początkowo myślał Dhattu, ale mieli zamiar osiedlić się nad Lamaryaru. Jakiś czas temu, kiedy mieli zaledwie po trzydzieści lat, zostali wysłani przez swego mistrza, Sai Babę, do jaskini w Nepalu. Wtedy było ich

dwunastu, a jeden z nich, głupi, arogancki człowiek, który koniecznie chciał z nimi iść, miał za zadanie nieść Akshakya Patrę, boskie naczynie, które dał grupie Sai Baba, a które miało zapewnić im jedzenie i picie podczas ich pobytu w jaskini. Tak się złożyło, że ów dwunasty zgubił się po drodze i pomyślał, że reszta celowo go opuściła.

Dhattu pomyślał, że to raczej nieprawdopodobne, skoro wiedzieli, że to właśnie on niósł zapas jedzenia. Wraz z nadchodzącym zmrokiem, w pokoju robiło się coraz zimniej, więc Dhattu przysunął się nieznacznie do miedzianego dzbanka z herbatą. Przywódca mnichów z aśramu Gufa wyjaśniał, że kiedy dwunasty człowiek dotarł do wąwozu Urvashi Kund i znalazł małą jaskinię, w której schronili się przed nocnym chłodem, pozostali siedzieli już w kręgu, radując się z samadhi. Z początku nowo przybyły sądził, że śmieją się z niego, więc sam zaczął się z nich naśmiewać, szturchając jednego z nich w żebra i łaskocząc drugiego w stopy. Lecz oni nie poruszyli się. Czuł dotyk ich skóry, która była jak kamień. Nie mógł wyczuć pulsu.

- Więc wszyscy umarli - powiedział i zaczął płakać, zastanawiając się, jak zniesie okropną samotność zagubionej w górach jaskini. - Na pewno Sai Baba oszukał nas - mówił dalej - i wysłał nas tu na pewną śmierć. - Chwycił boskie naczynie i rzucił je na dno przełęczy, gdzie spadło na dno jeziora. Potem wrócił do miasta i rozpowiadał wszędzie, że jego towarzysze nie żyją i że Sai Baba ich okłamał.

Pozostała jedenastka przebudziła się ze stanu boskiej kontemplacji po osiemnastu dniach, a wszyscy byli bardzo głodni. Szukali dwunastego i ich Akshaya Patry, lecz po obu nie było śladu. Z początku patrzyli na siebie pełni przerażenia.

- Jak możemy przeżyć wysoko w górach bez jedzenia? - zastanawiali się. Lecz po chwili uspokoili się; przecież byli świętymi mężami i już zdołali przeżyć osiemnaście dni bez

jedzenia. Zgodzili się, że Sai Baba dotąd opiekował się nimi troskliwie, i że dalej również zostawią sprawy jemu.

Poszli dalej w poszukiwaniu lepszego miejsca i po kilku kilometrach znaleźli przestrzenną jaskinię, w której płynął nawet strumyk czystej wody. To, postanowili, będzie ich dom. Jaskinia była dość duża, aby każdy z nich urządził sobie swój własny kącik, a w tyle postawili małą świątynię. Teraz potrzebowali już tylko jedzenia. Czuli, że to ich wina, nie Boga, że zgubili boskie naczynie, zaczęli więc się modlić o radę.

Dwóch z nich ujrzało w medytacji wizję naczynia leżącego na dnie jeziora. Tak więc wszyscy zeszli nad to jezioro. Woda w nim była nadzwyczaj przejrzysta, więc dostrzegli leżące na dnie naczynie. Co robić? Z powodu własnej nierozwagi stracili naczynie, więc nie powinni kłopotać mistrza modlitwami o odzyskanie go. Będą musieli poradzić sobie sami. Jeden z nich potrafił wstrzymać oddech aż na całą godzinę, więc on właśnie zanurzył się po naczynie, zamierzając niemal na śmierć w lodowatej wodzie.

Dhattu bardzo zainteresowało to opowiadanie i postanowił jeszcze bardziej przyłożyć się do ćwiczeń pranayamy. Przypomniawszy sobie jak Budda siedział przez czterdzieści dziewięć dni pod drzewem figowym, zdecydowany nie wstawać póki nie ujrzy głębi ludzkiego życia i nie zrozumie jego tajemnicy. Wrócił do ludzkości z naczyniem prawdy, które uwolniło człowieka od cierpienia, nauczyło go oczyszczania siebie, aby mógł napełnić się mądrością. Siedź w spokoju i śledź swój ból i złe uczynki aż do ich źródeł, nauczał Budda, a w końcu osiągniesz słodką pustkę spokoju. Wdychając z uwagą skoncentrowaną na tej jedynej rzeczy, której potrzebujemy w życiu, wyjaśniali nauczyciele Dhattu, otrzymasz wszystko, czego pragniesz. Kiedy Dhattu oddychał w ten sposób, czuł jak cały ten nieprawdziwy świat wokół

niego rozmywa się jak sen. Szedł w subtelnej ciemności, gdzie jego dusza odżywała i śpiewała wraz z nim. Dhattu, chcąc napęlić swe własne cielesne naczynie świętą praną, zaczął ćwiczyć słuchając mnichów, a oddychanie tak go zajęło, że nie dosłyszał niektórych opowieści. Lecz nie stracił tego, co powiedzieli na końcu.

Ich aśram stał się sławny jako miejsce, do którego Sai Baba wysłał jedenastu mnichów, aby modlili się za świat, lecz oni teraz to miejsce opuścili i poszukują nowego domu. W medytacjach ujrzeli Lamaryaru i obszerną jaskinię w górach, jakąś godzinę drogi stąd. Tam właśnie, powiedzieli, pragnęliby zamieszkać póki Prema, trzeci i ostatni avatar Sai, nie przyjdzie, aby pobłogosławić świat. Nie chcą nic od mnichów z Lamaryaru, bo wciąż mają Akshakya Patrę.

Dhattu nie mógł się powstrzymać i dotknął ramienia jednego z gości.

- Och, proszę, czy możemy je zobaczyć? - wyszeptał.

Żaden z mnichów z Lamaryaru nie skarcił go za śmiałość, gdyż i oni najwyraźniej pragnęli zobaczyć Akshakya Patrę.

Goście spojrzeli po sobie i przez chwilę nie odzywali się, siedząc z zamkniętymi oczami. Potem większość z nich skinęła głową, a ich przywódca wyjął lśniące naczynie z haftowanej, ściągniętej sznurkiem torby i uniósł je w górę. W jego błyszczącej powierzchni odbiło się światło ze stojących wokół lamp. Dhattu spostrzegł odbicie swej okrągłej twarzy i wielkie, ciemne oczy, wyciągnięte i drżące. Widok ten przypomniawszy Dhattu chwilę, kiedy porzucał to, co wcześniej brał za solidną prawdę, wiedząc że za zmieniającą się powierzchownością rzeczy, które udawały rzeczywistość, była tylko spowijająca wszystko ciemność. Z tej dobrej ciemności, jak z matki, wychodziły wszystkie rzeczy i do niej powracały. Była to ciemność tak intensywna, że stawała się swoim własnym przeciwieństwem, kiedy dusza zanurzała się w jej

głębie, zmieniając się w końcu w światło, którego słońce samo jest cieniem.

- Wyciągnijcie swoje miseczki - powiedział hinduski mnich. - I zobaczymy, co ukaże się w Akshakya Patra.

Dhattu pierwszy to uczynił, a kiedy przytknął ją do warg i upił nieco, poczuł słodki, bursztynowy nektar, który ogrzał całe jego ciało. To musi być soma prastarych bogów, pomyślał, czując jak dusza opuszcza jego ciało i łączy się w tańcu z innymi duszami. W tej właśnie chwili postanowił, że kiedy dorośnie, też będzie żył w jaskiniach i czekał na nadejście Premy, Boga, którego imię było Miłość, który przejdzie śnieżne szczyty górskie swoimi świętymi stopami i cały świat weźmie w ramiona.

* * *

Góry w Santa Cruz, Kalifornia

Koszmar obudził Gilah. Śniło jej się, że jakiś mężczyzna w ciemnej opończy i ręczniku na głowie strzelał do niej, a ona stała przed stadem przerażonych owiec, próbując je obronić. Ziemia wokół była zielona i słyszała plusk pobliskiego wodospadu. Za nią, kiedy odwróciła głowę, aby spojrzeć na przerażone owce, było wzgórze łagodnie schodzące do jeziora, które lśniło w jasnym słońcu. Wyciągnęła do mężczyzny rękę, błagając aby nie strzelał, próbując powiedzieć, że to miejsce z jego czystą wodą wypływającą spomiędzy skał jest zbyt święte, aby je plamić zabójstwem. Nagle uszy napęlił jej krzyk, w piersi poczuła ból i otworzyła oczy. Przez chwilę piętnastoletnia dziewczyna nie wiedziała gdzie jest.

Siadając, Gilah przełknęła kwaśną ślinę, która zgromadziła jej się w gardle. Ostrożnie, aby nie obudzić Consueli, jej współlokatorki, Gilah odrzuciła koc i podeszła do okna wychodzącego na małą polanę otoczoną nieregularną linią sosen, czarnych na tle rozgwieżdżonego nieba. Pragnęła zawołać matkę, bo wciąż uwielbiała udawać, że jest ciągle

jeszcze małą dziewczynką. Kori przytuliłaby ją do siebie i śpiewałaby jej nieco fałszując, w dziwnym języku. Nie rozumiała słów tych piosenek i dlatego wydawały jej się tym bardziej uspokajające. Lecz matka nie przyjdzie, bo Gilah była za duża, aby ją ktoś tulił, kiedy śniły jej się koszmary. Gilah zaczęło się wydawać, że oboje, matka i ojciec, za bardzo byli zajęci obroną farmy przed maruderami, którzy szarżowali po górach na motocyklach, aby przejmować się koszmarami swoich dzieci.

Philo, prawie siedemnastoletni, nigdy nie miał takich snów. Gilah przypuszczała, że pewnie dlatego, iż był chłopcem. Albo może takie sny ustawały, kiedy dochodziło się do pewnego wieku, więc przed nią zostało już niewiele długich i krwawych nocy, podczas których będzie cierpiała i krzyczała z bólu, który przepływał przez jej ciało jak elektryczność. Przypominały jej to, o czym opowiadali, rozmawiając o filmach. Sama nigdy nie widziała filmu, a ich telewizor zepsuł się, kiedy była jeszcze bardzo mała.

Nawet dzieciaki McCarverów, którzy od wieków żyli w tych górach, nie miały telewizji. Ludzie z miasta, jak mówił ojciec, mieli telefony, które służyły jako komputery, odbiorniki telewizyjne i telefony jednocześnie. Ojciec mówił, że były połączone bezpośrednio do satelitów. Gilah nie wiedziała co znaczy 'satelita'. Rodzice często mówili o rzeczach, które zdawali się znać, ale których ona nigdy nie widziała. Słowa takie jak 'kuchenka mikrofalowa' czy 'komputer' trafiały do jej uszu, ale nikt nigdy nie pokwapił się, aby jej je wyjaśnić. Mówiono o nich głosem zrezygnowanym, smutnym, jak o zmarłych i Gilah pomyślała, że pytanie o nie byłoby tym samym, co otwarcie puszek pełnej robaków.

Zbyt często jej mówiono, że za dużo mówi. Matka powtarzała to niemal codziennie i jednocześnie ostrzegała, żeby pomyślała zanim coś powie. Gdyby tak zrobiła,

wyjaśniała Gilah niecierpliwie, zgubiłaby wątek. Musiała mówić szybko, mając nadzieję, że zdoła wszystko z siebie wyrzucić zanim nie napłynie nowa fala myśli, zmywając po drodze poprzednie. Kori wzdychała i próbowała jej słuchać, ale Gilah wiedziała, że matka myślała o czymś innym, na przykład o przepisie na zupę lub stronicy niemożliwego do odczytania tekstu w języku, który wyglądał jak kręcone włosy przyczepione do kartki.

Gilah zamarła, dostrzegłszy jak elektryczne ogrodzenie rozbłyska nagłym światłem. Może to jelen, który otarł się o ogrodzenie, ale może nie. Czekwała na przeszywający odgłos gwizdka strażnika, ale nic nie usłyszała. Więc to musiał być jelen albo kojot. Kiedyś jelen zawisł na ogrodzeniu, a rano Gilah znalazła jego ciało. Obok leżały zwłoki małego jelonka, który nie miał na tyle rozumu, aby uniknąć losu matki. Może teraz to też był jelen, może wciąż żył. Gilah zawsze chciała znaleźć jelonka, którego mogłaby trzymać jak zwierzę domowe, ale płot odstraszał zwierzęta. Tym razem pójdzie i sprawdzi. Eddie Szu będzie zadowolony, jeśli znajdzie jelonka, bo kochał zwierzęta. Może razem mogliby się nim opiekować.

Gilah musiała uciekać się do wymówek, aby móc jak najwięcej czasu spędzać z Eddiem. Odkąd urosła i stała się niemal tak wysoka jak on, Eddie zaczął jej unikać i stał się małomówny. Gilah chciała po prostu siedzieć obok niego, rozmawiać z nim o wszystkim, co przychodziło jej do głowy, kiedy on pracował przy motorach i rozkładał części zapasowe na stole w ich stodole. Eddie nigdy jej nie powiedział, że za dużo gada, a jej się nawet zdawało, że podobają mu się jej śmiałe ruchy i potoki słów. Choć ostatnio zrobił się z niego odludek - ćwiczył to swoje tai chi w ciemnościach, zanim jeszcze ona się obudziła. Uwielbiała naśladować jego ruchy i

dobrze się ich nauczyła. Teraz, jednak, przestała ćwiczyć tai chi, bo nie bawiło jej to, kiedy nie było z nią Eddiego.

Gilah założyła sweter, a na zmarznięte nogi wciągnęła dżinsy. Wysunęła się z pokoju, przeszła cicho przez bawialnię, gdzie na kominku wciąż potrzaskiwały nie dopalone polana. Kiedy otwierała drzwi frontowe, dogonił ją Philo.

- Widziałaś? To światło na ogrodzeniu? - Philo zapiął bluzę, klnąc cicho, kiedy jego kręcone włosy na klatce piersiowej dostały się między ząbki zamka. Były dla niego czymś nowym i często zapominał, że je ma, tak samo jak o niskim nadprożu warsztatu, w które regularnie walił głową. Jeśli nadal będzie rósł w tym tempie, wkrótce będzie równie wysoki jak ojciec Gregory.

- Tak, i czekałam na alarm. Myślisz, że brat Eliasz zasnął i niczego nie widział?

- Może. - Philo naciągnął na głowę kaptur, drżąc nieco w chłodnym, wilgotnym wietrze wiejącym znad brzegu. - Jeśli Eliasz zaczął się modlić na warcie, to pewnie się wyłączył, jak zwykle. - Szedł przed nią, trzymając przy nodze procę, z którą nigdy się nie rozstawał. Z procą Philo radził sobie nawet lepiej niż ze strzelbą. Jego dobre, głęboko osadzone, błękitne oczy zawsze myszkowały wokół, jakby szukając najgładszego kamienia, który należy wsadzić do kieszeni w oczekiwaniu na kolejny strzał.

Gilah zatarła ręce, żałując, że nie zabrała swoich mitenek.

- Ale przynajmniej Eliasz robi najlepsze ciasto ze szpinakiem. Kiedy nie oddaje się samadhi - Gilah zachichotała myśląc o tym, jak kiedyś brat Eliasz modlił się, zupełnie oderwany od spraw ziemskich, a jedno leciutkie pchnięcie mogło sprawić, że wylądowałby w wodzie.

- Nie samadhi. To Hindusi i buddyści mają samadhi. Eliasz jest katolikiem, więc kontempluje. Pytałem go o to.

Philo zawsze zadawał takie pytania, pomyślała Gilah, a przecież ludzi na pewno one irytują.

- Dlaczego, na miłość boską, nie zapytałeś go o jego życie seksualne, jak już z nim rozmawiałeś? Zdębiałbyś, jakby zapytał cię o twoje. Nie myśl, że ludzie nie zauważyli jakie podchody robisz do Consueli.

Gilah właściwie wcale nie chciała o tym z nim rozmawiać, ale jej język pogalopował jak koń smagnięty szpicrutą. Philo nie powinien narzucać się Consueli, która najwyraźniej chciała tylko czytać książki, które dawała jej Kori. Najpierw to Kori miała czas wyłącznie dla Consueli, a teraz Philo. Gilah było przykro, że straciła dwoje z trojga ludzi, których kochała najbardziej na świecie, na rzecz małej dziewczyny o orzechowej skórze, ciemnych, sowych oczach i czarnych warkoczach tak grubych i długich, że mogła owinać je wokół gałęzi i bujać się na nich jak na huśtawce. Sama nie potrafiła oprzeć się uczuciu przyjaźni do Consueli, więc tym bardziej niechętnie przyznawała się przed sobą, że postępy dziewczyny w sanskrycie są tym, czego w skrytości ducha oczekiwała od niej Kori.

Nawet w ciemności widziała jak napięta skóra na policzkach Phila pokrywa się rumieńcem.

- Przynajmniej nie latam za kimś, kto jest dwa razy ode mnie starszy. Eddie musiał już chyba dostać zadyszki od tego wiecznego uciekania od ciebie.

Łzy pojawiły się w oczach Gilah, kiedy przedzierała się przez wysoką, kłującą trawę.

- Na pewno nie latam za nikim - odparła. - Na pewno nie czerwienię się i nie nudzę kogoś, jak mówi o tobie Consuela.

- Tak powiedziała? Nie wierzę ci. - Zatrzymał się i zapatrzył ponad jej głową. Irytowało ją to, że miał nad nią przewagę ponad trzydziestu centymetrów. - Czeka! - Philo

chwycił jej ramię i ściągnął ją w dół za krzak oleandra. - Wydaje mi się, że słyszę odgłos kroków.

- Trzech ludzi - Gilah odwróciła głowę, próbując coś dostrzec między gałęziami. - Jeden ma strzelbę. - Zrobiło jej się zimno, a żołądek zwinął jej się w twarde, znajomy węzeł. Ilekroć widziała strzelbę, serce zaczynało jej mocno bić.

- Zagwizdź na gwizdku - powiedział Philo. - Nie powinienem próbować z nimi sił będąc z dziewczyną i bez broni.

Gilah była oburzona.

- Umiem walczyć. Przez ostatnie siedem lat ćwiczyłam tai chi z Eddiem. Mam nad tobą przewagę, Schwarzeneggerze. - Nie wiedziała co to dziwne słowo oznacza, ale słyszała jak jeden z mnichów zwrócił się tak do ojca Gregory, kiedy ten podniósł pień sekwoi, który przygniótł psa.

- Od dwóch miesięcy nie ćwiczyłaś - odpalił jej brat. - Myślisz, że nie zauważyłem? Od kiedy Eddie zaczął cię unikać.

Dała mu kuksańca i z zadowoleniem ujrzała, jak skrzywił się z bólu. Siedem lat tai chi uzbroiło jej małą pięść.

- Eddie mówi, że mogę pokonać dwóch mężczyzn, jeśli tylko nie znają tai chi.

- W porządku, wygrałaś - zasyczał jej do ucha. - Zagwizdź, a ja strzelę do tego ze strzelbą. - Wyjął z kieszeni kamień i zaczął odwijać gumę procy. - Kiedy będziemy mieli go z głowy, zaatakujesz tamtych dwóch. Dołączę do ciebie, jak tylko zdobędę strzelbę.

Trzech mężczyzn zatrzymało się gwałtownie na przeraźliwy dźwięk gwizdka, a ten ze strzelbą okręcił się dookoła siebie i stanął dokładnie twarzą w twarz z nadlatującym kamieniem Phila. Gilah wyskoczyła pomiędzy dwóch pozostałych, jej wyciągnięta ręka poszybowała w stronę splotu słonecznego jednego, a celny kopniak zwałił z

nóg drugiego mężczyznę. Zanim obaj dotknęli ziemi, Philo już celował w nich ze strzelby. Jego ofiara nie ruszała się, a na czole wykwitowała mu fioletowa śliwka.

- Jesteście z miasta? - świeży baryton Phila załamał się nieco.

- Może. - Jeden z nich podniósł się powoli, poruszył rękami, jakby nie brał Phila poważnie. Był bardzo młody i tylko trochę niższy od Phila. Miał rzadkie, krótko ostrzyżone brudnoblond włosy i bladą twarz. - Jak dziewczyna zapyta naprawdę ładnie, to może odpowiem. - Wyszczерzył się do Gilah i zwilżył językiem wargi, jakby chciał ją dostać na obiad.

- W porządku - odparła Gilah, oparłszy ręce na biodrach. - Kim jesteście? I dlaczego nie mielibyśmy zastrzelić was na miejscu? - Wymówiwszy te słowa, poczuła jak serce znów zaczyna jej mocno bić, i wiedziała już, że nigdy nikogo nie potrafiłaby zastrzelić. Uderzyć, to jedno, ale zastrzelić, z jakiegoś powodu, nigdy by nie potrafiła. Myśl, że w ciało może wtargnąć twardy, zjadliwy metal, powstrzymywała ją nawet od wspólnych z ojcem wypadów na ryby.

- Ale z ciebie smakowite ciasteczko - odpowiedział młody człowiek i zrobił kilka kroków naprzód póki Philo strzelbą nie przywołał go do porządku. - Te śliczne włosy. I niebieskie oczy, jak mojej mamy. Naprawdę chciałbym cię zabrać z sobą do domu.

- Gadaj jak się nazywasz - głos Gilah był stanowczy, ale schowała się za Phila. - I dlaczego tu weszycie!

- Mam na imię Jason, kochanie. - Wychudzony młody człowiek skręcił sobie papierosa i zapalił go. Miał zaskakująco zręczne, delikatne ręce. - Jestem dobrym muzułmaninem, i bynajmniej nie mam zamiaru nikogo nabierać. Nie robię ceregieli z kobietami. Gdybyś poszła ze mną, ślub odbyłby się naprawdę szybko. Co ty na to?

Gilah odwróciła się tyłem do człowieka, który nazywał siebie Jasonem, aż jej gęste, ciemnozłote włosy uderzyły o ramiona. Zaczerwieniła się, a nieznany dreszcz przeszedł przez jej ciało. Młody człowiek był z gatunku tych, których Eddie nazywał 'istotami niższymi', a jednak czuła do niego niewytłumaczalny pociąg, mimo tego, że jednocześnie chciała uciekać. Miał ową pewność siebie, której zawsze pragnęła, nawet gdyby była tylko maską dla strachu, który czynił ją tak wrażliwą.

- Nawet mnie nie znasz - powiedziała wzruszając ramionami. - Co za głupi pomysł prosić o rękę kogoś, kto może tego nie chcieć.

- Wiem tylko, że wyglądasz całkiem nieźle - nalegał Jason. - I umiesz walczyć jak mężczyzna. Ja sam jestem wojownikiem i podoba mi się twój styl, dziewczyno. Oferta jest aktualna.

- Zostaw moją siostrę w spokoju - Philo szturchnął Jasona strzelbą. - Masz nam powiedzieć, po co tu przyszliście. Żeby ukraść konie?

- A, tak - Jason palił bezczelnie, podnosząc głowę kiedy się zaciągał i wypuszczając dym wprost w twarz Phila. Powiewy wiatru psuły zamierzony efekt i dym płynął z powrotem krążąc wokół głowy Jasona. W świetle księżyca wyglądał jak jasny nimb, oświetlający chudą, białą twarz Jasona o prostych wargach i szerokim nosie. - Jesteśmy zwiadowcami Partii Boga. Sprawdzamy to terytorium. Coś nam się stanie, a przyjdzie tu armia uzbrojonych mężczyzn i zmieni was w nawóz.

Gilah poczuła przez podeszwy butów zimną, wilgotną ziemię i zadrżała. Objęła się ciasno ramionami, szepcząc cicho Om Sai Ram, jak robiła to matka w trudnych chwilach. Ten stanowczy młody człowiek ze swymi znającymi świat oczami sprawiał, że czuła się niepewnie, jakby z całych sił próbowała

obudzić się ze złego snu. W końcu z ulgą usłyszała odgłos nadbiegających mężczyzn. Ziemia drżała od ich ciężkich kroków, a głosy niosły się na wietrze. Głęboki bas ojca Gregory wyznaczał się spośród innych głosów jak warczenie bębna.

To właśnie ojciec Gregory dobiegł do nich pierwszy, dzierżąc swój długi kostur. Gilah widziała jak kiedyś zatłukł nim niedźwiedzia wysokiego jak człowiek. Mnisi wyglądali w świetle księżyca jak drżące duchy. Mieli na sobie swe białe suknie, gdyż dźwięk gwizdka poderwał ich z nocnych modlitw. Kief ze strzelbą biegł za ojcem Gregorym. Eddie i inni nadbiegli z drugiej strony i okrążyli trzech intruzów.

- Nic wam się nie stało? - Eddie okrążył grupę i stanął przy Gilah. - Ojciec powiedział, że nie było was w domu. Baliśmy się o was. - Przerwał i spojrzał na błyszczące czubki swych butów. - Ja się bałem.

Serce Gilah skoczyło, kiedy spojrzała w przystojną, okrągłą złotoskórą twarz Eddiego. Odgarnął z czoła proste, ciężkie czarne włosy.

- Szukałeś mnie? - głos zadrżał jej trochę, więc uśmiechnęła się, żeby sobie nie pomyślał, że się denerwuje. Chciała też pokazać podłużne dołeczki po obu stronach swych pełnych warg. Dokładnie obejrzała w lustrze swą twarz i upewniła się, że dołeczki są największym jej atutem, one i okolone ciemnymi rzęsami błękitne oczy.

Cichy głos Eddiego był jeszcze cichszy niż zazwyczaj, a on sam wciąż przyglądał się swym butom.

- Usłyszałem twój gwizdek i pomyślałem, że masz kłopoty. To była pierwsza rzecz, jaka przyszła mi na myśl. - Każdy członek społeczności miał gwizdek o innym tonie, więc łatwo było stwierdzić kto wzywa pomocy.

Gilah ścisnęła jego rękę. Z początku nie poruszył się, ale potem odsunął się i dołączył do innych, wciąż na nią nie

patrząc. Dlaczego tak się bał jej dotknąć, zastanawiała się Gilah. Kiedyś, kiedy była dzieckiem, Eddie często ją przytulał, jak i inni, a czasami nosił ją po całej farmie, kiedy wykonywał swoje obowiązki.

Któregoś dnia, zaledwie pół roku temu, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w usta, tylko dlatego, że czuła się szczęśliwa, że go ma. Ciało Eddiego zeszytywniało. Odepchnął ją od siebie i uciekł, jakby chciała go zasztyletować. Nigdy nie pozwolił jej zbliżyć się do siebie na tyle, aby go zapytać dlaczego.

Ojciec Gregory przysiadł przy rannym intruzie, który próbował usiąść. Ksiądz dotknął guza rozmiaru sporego jajka, a potem zaświecił latarką w jego źrenice.

- Dzięki, ojciec - powiedział chłopak. - Nie wiedzieliśmy, że mieszkają tu mnisi. Jezu, co za bomba mnie walnęła?

- Nie ma wstrząsu mózgu - stwierdził ojciec Gregory stawiając go na nogi. - Może wrócić do domu o własnych siłach z pomocą przyjaciół.

- Problem w tym czy powinniśmy pozwolić im odejść - rzekł Kief. - Philo mówi, że są zwiadowcami. Partia Boga przysłała ich tu, żeby nam się przyjrżeli na wypadek, gdybyśmy nadali się do ich celów.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że powinniśmy ich zabić? - czysty, cichy głos brata Eliasza zadrżał. - Z pewnością nie. To tylko chłopcy.

- To zależy. - Kief zwrócił się do Phila. - Złapaliście ich, kiedy byli już w środku?

Gilah spojrzała na ojca. Zachowywał się, jakby tylko Philo miał do czynienia ze schwytaniem maruderów.

- Jakies sto metrów wewnątrz ogrodzenia - odparła, podnosząc głos, aby zagłuszyć Phila. - Wtedy na nich uderzyliśmy. Sama załatwiłam dwóch.

- Nie mogli wiele zobaczyć - zauważył Philo spokojnie, jakby w ogóle się nie odezwała.

To oczywiście, było to, o co pytał ojciec, zdała sobie sprawę, zaciskając zęby. A ona, oczywiście, znów zaczęła gadać tylko po to, aby ją zauważano i kochano. Westchnęła i rozejrzała się po twarzach, napotykając spojrzenie Eddiego zanim zdążył spuścić oczy. Potrząsnął głową, a wargi miał zaciśnięte w wąską linię, jak wtedy gdy chował ciało psa przywalonego przez sekwoję. Pewnie Eddie wiedział o czym myśli i współczuł jej. Gilah przełknęła ciężko, nie chcąc głośno chrząknąć, aby pozbyć się nieprzyjemnego uczucia, które narastało w jej gardle. Odwróciła się i pobiegła do domu, ocierając oczy wierzchem dłoni. Kiedy kluczyła pośród nieregularnie rosnących sosen w stronę domu, zaczęło jej cieknąć z nosa i była zadowolona, że Eddie nie widzi jak pociąga nosem i usiłuje powstrzymać płacz.

- Co się stało? - spytała Kori, która była już w salonie i obejmowała rękoma Consuelę.

Candelaria stała obok nich ze strzelbą w rękach, którą teraz powierzył jej Kief. Po dniu, w którym omal nie zastrzeliła ojca Gregory, Kori oświadczyła, że więcej nie dotknie broni. Teraz Candelaria broniła kobiet. Gilah wiedziała, że matka nie aprobowwała tego, że uczy się walczyć, nie wspominając już o tym, że znokautowała dwóch intruzów. Dziwne, pomyślała, jak w jednej minucie pragnęła aprobaty za to, co zrobiła, a w następnej obawiała się za to samo nagany. Jej umysł zdawał się wiecznie krążyć między jedną skrajnością a drugą. Eddie zauważył i zasugerował jej delikatnie, żeby spróbowała podążać za jedną myślą na raz, po prostu po to, aby sprawdzić dokąd ją zabierze, ale Gilah zawsze zapominała o pierwszej myśli, kiedy tylko nadbiegła następna.

- Trzech członków Partii Boga przedostało się za ogrodzenie. - Usiadła na podłodze, opierając się o szorstką sosnową ścianę i ściągnęła buty. Kori chciała, aby wszyscy zdejmowali buty przy drzwiach, nawyk, który przywiozła z Indii razem z innymi, których Gilah nie rozumiała, na przykład siedzenie przed portretem Sai Baby co rano przez godzinę, zanim jeszcze wykona ćwiczenia jogi. Gilah zawsze nudziła się już po krótkiej chwili i odchodziła, ale Consuela siedziała razem z Kori. Consuela powtarzała ćwiczenia za Kori, Consuela powtarzała za Kori wszystko. Podobnie jak Gilah, Candelaria często przypatrywała się im obu. Gniewna twarz Indianki odzwierciedlała uczucia Gilah, kiedy jej matka i jej najlepsza przyjaciółka odchodziły od niej w swój własny świat. Tak jak teraz.

- Wiedziałam, że w końcu nas znajdą. W zeszłym miesiącu najechali aśram na Górze Madonny, i słyszałam, że w tym samym czasie spalili synagogę w Santa Cruz. - Twarz Kori była nieruchoma. Mocno tuliła do siebie Consuelę. - Miałam nadzieję, że pomyślą, że należymy do klasztoru i dadzą nam spokój.

Gilah chciałyby, żeby matka obejmowała ją tak, jak obejmowała Consuelę, ale może nie wiedziała, że ona, Gilah, też się boi. Przez chwilę była zła, pomyślawszy że Kori powinna o tym wiedzieć, powinna przejrzeć tę maskę, którą codziennie zakładała. Lecz zwalczyła to uczucie, a jej serce stwardniało.

- Może to dobrze, że zobaczyli tu mnichów. Jeśli tata ich nie zastrzeli, wrócą tam skąd przyszli i powiedzą swoim, że jesteśmy ludźmi pobożnymi, jak oni sami - Gilah zbliżyła ręce do ciepłego pieca, do którego Kori musiała niedawno dołożyć drewna. Płomienie strzelały wysoko, napełniając pomieszczenie ciepłem i światłem.

Niedobrze, że zobaczyli mnie, pomyślała Gilah. Będą się zastanawiać dlaczego dziewczyna mieszka z mnichami. Może o mnie zapomną. Proszę, Sai Babo, modliła się spoglądając na obraz nad ozdobionym kwiatami, niewielkim ołtarzem w rogu pokoju. Niech zapomną. Miała jednak przeczucie, że ten młody Jason nie zapomni, i wciąż czuła na sobie jego zimne, bezczelne spojrzenie.

Candelaria wróciła do łóżka, ściskając strzelbę jak żołnierz, a Kori podeszła do ołtarza. Zapaliła świeczkę przed starą, popękaną ikoną Marii i dzieciątka Jezus.

- Możecie pomodlić się ze mną, jeśli chcecie. Będę się modlić za tych trzech młodych ludzi, żeby nie uczynili nic złego.

Gilah i Consuela usiadły po obu jej stronach, obie z łatwością przyjęły pełną pozycję lotosu, przyzwyczajone do niej od dzieciństwa. Spokój spłynął na Gilah, kiedy patrzyła na uśmiechnięte zdjęcie ciemnoliciego świętego unoszącego rękę w geście błogosławieństwa. Myślał czasami, że ręka Sai Baby uniesiona jest ku niej, nakazując, żeby się zamknęła, ale tego wieczora czuła tylko błogosławieństwo. Odprężyła się oddychając długo i powoli, tak jak nauczyła ją matka zanim jeszcze potrafiła mówić.

Światło świec zadrzało, a Gilah wstrzymała oddech. Wydawało jej się, że widzi jak poruszają się wargi Sai Baby, a gdzieś w zakamarkach umysłu usłyszała słowa wypowiedziane lekkim, śpiewnym głosem, słowa, które wydawały jej się znane. Czas się przebudzić, przyjaciółko, powiedział głos. Masz zadanie do wykonania, a niedługo dostaniesz nowe imię. Nie marnuj czasu. Chcę, żebyś się przygotowała. Gilah wyciągnęła szyję, aby lepiej widzieć zdjęcie, ale wargi Baby były nieruchome. Było to po prostu zdjęcie Sai Baby, błogosławiącego czy ostrzegającego, czy cokolwiek znaczyła ta uniesiona ręka. Zastanawiała się jak ma

się przygotować i do czego. Może powinna zapytać Kori, ale nagle poczuła onieśmienie i postanowiła nie mówić nikomu o głosie. Miała coś do powiedzenia, ale po raz pierwszy w życiu, nie chciała tego powiedzieć. Tylko Eddiemu powierzyłaby tę tajemnicę, ale Eddie nie chciał już z nią rozmawiać.

Gilah podniosła się, ciało miała zdrętwiałe. Przez kilka chwil była jak ptak ulatujący ku słońcu, ale teraz czuła tylko zimno i smutek, jakby ów głos, odchodząc, zabrał z sobą jakąś witalną część jej samej. Dziwne, nigdy wcześniej Gilah nie czuła takiego smutku, lecz teraz, kiedy głos przyszedł i odszedł, zrozumiała, że smutek ten był stanem ludzi, którzy byli daleko od Boga. Przyzwyczajali się do tego, jak ludzie kalecy przyzwyczajają się do braku kończyny. Leżąc z zamkniętymi oczami, Gilah zastanawiała się, jakie będzie jej nowe imię.

Następnego dnia poszła do Eddiego, do jego warsztatu. Czekala tam na niego, kiedy wrócił z porannych modlitw mnichów. Eddie zatrzymał się w drzwiach, patrząc na nią niepewnie, kiedy wstała i podeszła do niego. Włożyła za ucho czerwony kwiat hibiskusa, w który zapatrzył się, jakby nie chciał spojrzeć jej prosto w oczy.

- Co się stało z tymi trzema ludźmi? - pomyślała, że będzie to najlepszy początek neutralnej rozmowy.

- Twój ojciec powiedział im kilka mocnych słów o zakradaniu się do klasztorów. Odprowadziliśmy ich do drogi, ale zatrzymaliśmy strzelbę - oczy Eddiego wciąż były utkwione w hibiskusie.

- Muszę ci coś powiedzieć - oświadczyła Gilah stanowczo, zdziwiona tym, że nie czuje żadnego strachu.

- To nie jest dobry pomysł - odsunął się i założył ręce za siebie. - Milczenie jest najlepsze, jak mówi twoja matka.

- Nikomu innemu nie chcę tego mówić - Gilah zbliżyła się do niego. - Muszę porozmawiać.

- Może powinnaś porozmawiać z matką - Eddie rozejrzał się i westchnął, kiedy nie dostrzegł nikogo w pobliżu.

- Nie, chcę porozmawiać z tobą - Gilah stała blisko niego i patrzyła prosto w jego głębokie, brązowe oczy, wokół których tworzyły się zmarszczki, kiedy się uśmiechał. - Porozmawiamy w warsztacie czy gdzieś indziej?

- W porządku - Eddie poddał się i skierował ku wspólnej kuchni. - Tam jest ławka. Wciąż ktoś tamtędy przechodzi. Tam możemy porozmawiać.

- Eddie, co się z tobą dzieje? - Gilah zamachała nerwowo rękami. - Kiedyś byliśmy przyjaciółmi.

- Nie mogę tego wyjaśnić. - Eddie szedł z rękami założonymi za siebie. - To się stało lata temu, zanim tu przybyłem. Oskarżono mnie o coś... - przerwał. - Nie powinnaś tego słuchać. No, dalej. Mów, co ci chodzi po głowie.

- Wczoraj wieczorem, po tym wszystkim, medytowałam razem z mamą przed ołtarzem. Znasz to zdjęcie Sai Baby, które tam wisi?

- Tak - teraz, kiedy poznał temat rozmowy, wydawało się, że Eddie odprężył się.

Gilah niemal zapomniała, że do tej pory chciała jedynie, aby Eddie znów ją kochał, tak jak ona jego kochała. Cichy, śpiewny głos wciąż tańczył w jej głowie jak liść na wietrze.

- Nie uwierzysz w to, Eddie, ale zdjęcie przemówiło do mnie. To znaczy, widziałam jak poruszają się jego wargi, a w głowie słyszałam słowa.

- Twoja babka też je słyszała - rzekł Eddie. - Kori mi o tym mówiła. Ona sama nigdy ich nie słyszała.

- A ty, Eddie? - Gilah pochyliła się ku niemu, nie zauważywszy, że kwiat wypadł jej z włosów. - Słyszałeś je kiedyś?

- Nie. No, może trochę. Czasami, kiedy ćwiczę pod sosnami, wydaje mi się, że słyszę muzykę i przychodzą mi do głowy słowa, które nie są moje. Chce ci się płakać, kiedy to się dzieje, ale nie dlatego, że jest ci smutno.

- Tak, tak, tak właśnie się czułam. - Gilah wstała i zaczęła chodzić z rękami założonymi do tyłu, jak on miał to w zwyczaju. Wiele jego gestów stało się częścią jej samej, i nie wiedziała nawet, że pochodziły od niego.

- Więc co ci powiedział? - Eddie podniósł kwiat i pogłaskał jego płatki.

Gilah wstrzymała oddech, jak zwykle, kiedy widziała w jaki sposób Eddie dotykał roślin. Przypomniała sobie wyraz ekstazy na jego twarzy, kiedy w świetle księżyca stapał po pokrytych mchem kamieniach w strumieniu i zapragnęła poczuć to, co on. Wzięła od niego kwiat i dotknęła go lekko. Lecz dla niej płatki były po prostu płatkami.

- Powiedział, że mam zadanie i że mam się do niego przygotować. - Poniechała prób wydobycia czegoś z hibiskusa i trzymała go luźno. - Powiedział, że wkrótce zmienię imię. Może ty mi jakieś wymyślisz. Chciałabym, żebyś dał mi imię.

- To nie należy do mnie - Eddie potrząsnął głową.

- Będiesz wiedziała, kiedy imię przyjdzie do ciebie. Porozmawiaj z matką.

- W porządku. Chyba wiedziałam, że tak właśnie powiesz - Gilah westchnęła. - Proszę, weź ten kwiat. Zdaje się, że on tego chce.

Położyła kwiat na jego kolanach i poszła poszukać Kori. Matka tłumaczyła Consueli sanskrycki tekst. Długie warkocze dziewczyny dotykały stron książki.

- To znaczy 'bogowie weszli w człowieka' - głos Kori był chłodny i czysty, jak głos nauczyciela. Gilah zawsze uważała, że brzmiał, jakby dochodził z daleka. - albo 'wszyscy bogowie są w nim'. Oczywiście, tych wielu bogów to jedynie manifestacja tego Jedyne. Chodzi o to, że Bóg mieszka w każdym z nas.

- A ja myślałam, że Bóg mieszka tylko w mężczyźnie - Gilah nie podobał się ten kłótniwy ton, jaki pojawił się w jej głosie. Ostatnio słyszała go coraz częściej, kiedy wtrącała się do rozmów jej matki z Consuelą. - Kobiety tylko odgrywają rolę służebną w tych historiach.

Kori ujęła rękę córki.

- Jesteśmy komórkami ciała Boga. Wiesz o tym. Spójrz na Radhę, oblubienicę Kriszny. Zawsze o nim myślała, była jego częścią. Można powiedzieć, że Radha była Kryszną, była tak samo manifestacją Boga, jak on sam.

Kiedy matka wymówiła imię hinduskiej bogini, Gilah poczuła jak serce jej skoczyło w piersi, a w oczach pojawiły się łzy.

- To moje imię - powiedziała do siebie, tak zdziwiona, że aż się zakrztusiła i zaczęła kaszleć. - Właśnie - wykrztusiła. - Radha to moje imię.

Kori i Consuela wpatrywały się w nią.

- Ale dałam ci imiona po twoich babkach - powiedziała Kori potrząsając lekko córką.

- Nie szkodzi. - Kaszel ustał. - Ja nie jestem nimi. Nie mogę być nimi dla ciebie. Mam na imię Radha i nie będę reagować na żadne inne.

Wybiegła z domu i skierowała się ku wzgórzom za domem, skąd można było dostrzec błękitną mgiełkę rozciągającą się nad oceanem.

- Radha! - krzyknęła z rękami wokół ust, mając nadzieję, że usłyszą ją wszyscy na farmie. - To moje imię! - Usiadła na

ziemi i przysunęła kolana do piersi. - Radha, oblubienica Boga. - Drżała trochę, zastanawiając się, jak powinna się zachowywać oblubienica Boga. Czy ma być słodka i cicha, jak Consuela? Jaka była Radha? Zamknęła oczy i odchyliła głowę, a słońce tworzyło kalejdoskop kolorów za zamkniętymi powiekami. Radha była jaka była. Bogu po prostu musi to wystarczyć. Patykiem napisała na piasku swoje stare imię, wstała i starła je stanowczo metalowym czubkiem buta. Koniec, nie ma. Była, kim była. Teraz chodziło o to, jakie było jej zadanie? Może odpowiedź przyjdzie do niej nieoczekiwanie, jak to nowe imię?

Radha wróciła do domu, mrużąc melodię, której matka nauczyła się w Indiach. Jej imię było w tej piosence. Po raz pierwszy poczuła, że jest częścią świata matki. Consuela może sobie znać sanskryt, może sobie czytać historie o bogach, ale to ona, Radha, była w tych historiach, wpleciona w nie, jak nić w materiale. Jej brat postanowił, że jego imię będzie brzmiało Philo, nie John. Jeśli on mógł sobie wybrać imię, to może i ona.

- Radha? - usłyszała napięty głos Consueli. - Szukam cię od dwóch godzin. - Okręciła ciężkie sploty dookoła głowy, lecz teraz znów pozwoliła im opaść. - Możemy porozmawiać?

- Dobrze. - Radha podeszła do przyjaciółki. Podwinęła rękawy bluzy i poczuła na ramionach dotyk popołudniowego powietrza. - O czym?

- Chcę tylko powiedzieć, że ostatnio zajmowałam twojej matce wiele czasu. Może ci to przeszkadza?

- Nie, chyba nie - odpowiedziała szczerze i przyspieszyła kroku. Krótkonoga Consuela musiała robić dwa kroki na jeden Radhy. - Ja nie bardzo chcę się uczyć sanskrytu, a mama chce go uczyć. Więc lepiej, żebyś to była ty niż ja.

- Czy możemy tu usiąść? - Consuela wskazała na kłodę leżącą obok, jakieś półtora metra od elektrycznego ogrodzenia. - Chcę porozmawiać o Philo.

- Zastanawiałam się, kiedy się na to zdecydujesz - powiedziała Radha siadając na kłodzie i prostując nogi. - Ja też chciałabym o kimś porozmawiać.

- O Eddiem?

- Zgadłaś.

- Widziałam jak na ciebie patrzy. Robi to częściej niż myślisz - Consuela owinęła czarny warkocz dookoła nadgarstka. - Tak, jak Philo patrzy na mnie. Pewnej nocy pocałował mnie. O tym chciałam ci powiedzieć. To było tydzień temu.

- Eddie nigdy mnie nie pocałował - Radha poczuła starą zazdrość, ale zaraz ją powstrzymała, przypomniawszy sobie, że dano jej nowe imię. Przynajmniej tu miała przewagę.

- Myślę że chciałby - Consuela zerwała kilka stokrotek i splotła je w koronę. - Ale jest dla ciebie za stary. Tak mi powiedział.

- Ale ja szybko dojrzewam - zaprotestowała Radha. - Słyszałam jak ojciec mówił to mamie. Czuję, że mam tyle lat co Eddie.

Consuela skoncentrowała się na swoim stokrotkowym wianku.

- Słyszałam jak Eddie mówił coś twojej mamie. Może powinnaś o tym wiedzieć.

- Powiedz mi - Radha wstrzymała oddech i zbliżyła twarz do Consueli. Słońce zaszło zostawiwszy ich w cieniu.

- Kiedy Eddie był jeszcze w Los Angeles, pewna dziewczyna powiedziała, że ją zaatakował. Miała tylko trzynaście lat. Jacyś mężczyźni zbili Eddiego i powiedzieli mu, że nie ma tam wracać, chyba że ożeni się z nią. Powiedział, że nic jej nie zrobił, ale nikt mu nie uwierzył.

Radha powoli wypuściła powietrze, obserwując jak jej oddech tworzy obłoczek pary w chłodnym powietrzu.

- Nie mógł tego zrobić - oświadczyła. - Nie Eddie.

- Oczywiście, że nie. Ale ludzie tak myślą.

- Więc boi się mnie. Jakbym mogła powiedzieć o nim coś złego. - Radha podniosła się, stojąc tyłem do ogrodzenia i patrząc na wąski wschodzący księżyc. - Nigdy, nigdy nie powiedziałabym o Eddiem nic złego. - Odwróciła się do Consueli. Mówiła tak cicho, że sama zaledwie słyszała to, co mówi. - Kocham go. Jest tym, czego chcę.

- Myślę, że to samo czuję do Phila - powiedziała Consuela wieszając łańcuch ze stokrotek na szyi. - Ale nie jestem tego tak pewna. Czasami myślę, że to tylko moje ciało czegoś chce. Nie wiem co o tym myśleć.

Nagle ogrodzenie trzasnęło, i kiedy Radha odwróciła się, zobaczyła łuk błękitnej iskry przeskakującej między przeciętymi częściami płotu. Tuzin czarno odzianych mężczyzn przeskoczył przez wyrwę i otoczył ich.

- Nie dmuchaj w ten gwizdek, kochanie - odezwał się jeden z nich odsłaniając twarz spod czarnej szmaty. - I nie próbuj żadnej z tych swoich sztuczek jak ostatnim razem.

To był Jason. Radha stała nieruchomo i przypatrywała mu się.

- Jeśli myślisz, że uda ci się ukraść konie, to się bardzo mylisz - powiedziała. - Są dobrze strzeżone. Nic nie ukradniesz.

- Wezmę to, po co przyszedłem - odparł Jason i podszedł do niej tak szybko, że nawet nie miała możliwości unieść ręki w swojej obronie. - Przyszedłem po ciebie.

Dwóch innych mężczyzn otoczyło ją i związało jej ręce na plecach tak mocno, że sznur przeciął jej skórę na nadgarstkach.

- Nie próbuj krzyczeć - Jason zbliżył pistolet do jej gardła. - Chłopcy, zwiążcie tę drugą też. Za ładna jest, żeby ją zostawiać z bandą mnichów. Zabieramy obie.

Radha otworzyła usta do krzyku, nie dbając o pistolet. Nie wierzyła, że Jason mógłby go użyć. Lecz jeden z mężczyzn zakrył jej usta ręką, a lufa pistoletu Jasona wbiła jej się w podbródek. Mężczyźni przenieśli je obie przez otwór w ogrodzeniu i dalej, do drogi, gdzie czekała na nich ciężarówka z wybitymi reflektorami.

- Będziesz siedziała mi na kolanach w drodze do domu - wyszeptał jej Jason do ucha, kiedy usiedli na twardej, metalowej podłodze pick - upa. - Spodoba ci się to.

Radha zamknęła oczy, nie chcąc patrzeć na tę twarz. Próbowwała wołać Eddiego siłą umysłu, pragnąc móc wchodzić do głów ludzi jak Sai Baba. Lecz Eddie najpewniej odprawiał nieszpory razem z zakonnikami i nie miał pojęcia, że ona jedzie wyboistą drogą, wsparta na Jasonie, niezdolna odepchnąć jego ramiona ze swojej szyi. Om Sai Ram, krzyknęła w duszy, pragnąc rozpaczliwie, aby Sai Baba usłyszał ją, gdziekolwiek był. Potrzebuję cię. Jeśli oni mnie stąd zabiorą, nie będę mogła wykonać tego zadania, o którym mówiłeś. Wiedziała, że była to próba przekupienia Boga, ale nie obchodziło jej to. Głos nadszedł i zaraz się rozpląnął. Wykonasz swoje zadanie. Właśnie się zaczęło.

* * *

Santa Barbara, Kalifornia

Nazim, po raz trzeci tego dnia, pożałował, że rzucił palenie. Lekarz powiedział, że dym pogarsza arytmie serca Fatimy, więc nie miał wyboru. Pewnie Fatima powiedziała to lekarzowi, żeby go przestraszyć, wiedząc że szybciej rzuci palenie dla niej niż dla siebie samego.

- Czy Healey nie miał tu być dziesięć minut temu, Kamal? - Nazim stuknął w pustą papierośnicę i spojrzał na

szczupłego, ciemnolicego mężczyznę, sortującego dokumenty właśnie wydrukowane przez drukarkę.

- Może napotkał na ulicy tłumy. Wie pan, że oni zawsze chcą go dotknąć po programie telewizyjnym - Kamal uśmiechnął się nieśmiało, pragnąc uspokoić swego opiekuna i skłonić go do oddania uśmiechu. Odkąd Jason przyprowadził tu tę dziewczynę Feuersteinów, starszy mężczyzna stał się ponury. Jason pragnął otrzymać pozwolenie na poślubienie jej, ale Nazim, który dla Jasona był jak drugi ojciec, miał inne plany. Chciał, aby Jason poślubił najmłodszą córkę Fatimy i w ten sposób naprawdę został jego synem.

Kamal zdusił chwilową zazdrość; pragnął, aby to jego Nazim uznał za syna, gdyż uważał go za ojca odkąd Nazim wyrwał go z południowego Libanu. Policja przeprowadziła śledztwo w sprawie morderstwa Giny Hoffman, lecz zaledwie godzinę wcześniej on opuścił obóz. Kamal usiadł ciężko na pluszowej podusze. Obecność wnuczki jego ofiary w tym domu sprawiała, że był nerwowy. Jak dotąd udawało mu się uniknąć spotkania z nią. Miał obowiązki jako sekretarz Nazima, choć ten posługiwał się już niemal doskonałym angielskim.

- Healey myśli, że jest Bogiem - mruknął Nazim. Rozpiął kołnierzyk satynowej marynarki i zaczął przemierzać pokój niespokojnymi krokami. - Ludzie tak szybko zaczynają myśleć dobrze o sobie samych, kiedy tylko świat ich zauważy. Nieprawdaż? A może twój stary szejik nigdy ci nie mówił takich rzeczy? - zatrzymał się i popatrzył w szeroko rozstawione oczy Kamala, lecz zaraz znów zaczął chodzić.

- Mój stary mistrz był człowiekiem ograniczonym - odparł Kamal, czując że go zdradza, nawet jeśli musiał powiedzieć tę prawdę. - Myślę, że nigdy nie czytał błogosławionych pism Rumiego czy Al - Halaja. Tylko dzięki panu mogłem je przeczytać - chciał powiedzieć, słowami

Rumiego, że pragnął się przebudzić i spojrzeć na świat jasnymi oczami na wody całego swojego życia, które zaczęło się w chwili, kiedy Nazim po raz pierwszy zapoznał go ze starymi mistrzami sufickimi. Zamiast tego, zaczerwienił się i pochylił głowę nad listem. Jutro wyśle go przez kuriera do nowo wyznaczonych głów czterech guberni, na które ostatnio podzielono USA. Prezydent nadal urzędował w Waszyngtonie, lecz jego rząd był cieniem tego, czym był kiedyś.

Nazim wziął do ręki list, przebiegł go oczami i rzucił go na kolana młodego człowieka.

- Pomyśleć, że syn świętej pamięci Gasa Gage'a zajął stanowisko, którego tak pragnął jego staruszek, choć jest jeszcze większym głupcem. Ale ja dotrzymuję słowa.

Drzwi otworzyły się, a lokaj w liberii wprowadził Homera Healey'a. Duchowny był gniewny, choć zbyt dobrze przyswoił sobie nauki Nazima, aby to okazać. Usiłował mówić spokojnie i cicho, jak podczas przekazów telewizyjnych.

- Właśnie się dowiedziałem, że ty i Gage postanowiliście podzielić Kalifornię nad San Francisco, nie poniżej, jak mi to przyrzekłeś. - Nos zrobił mu się purpurowy, a wokół niego rozlały się czerwone placki, jak potoki lawy wypływające z wulkanu.

Nazim założył ręce do tyłu i zapatrzył się na rozłożysty kandelabr, który rzucał na sufit maleńkie tęczowe odblaski.

- Ustaliliśmy ten podział biorąc pod uwagę wskazania demografii. Wiesz o tym. Większość ludzi od San Diego to teraz czarni lub Hiszpanie. Większość z nich to muzułmanie. Twoi chrześcijańscy fundamentaliści będą bardziej potrzebni na północy.

- Więc nie dostaliśmy nic oprócz Sacramento i Fresno? - głos Healey'a zadrżał, a ręka powędrowała do gardła w geście, jakiego nauczył się w telewizji, kiedy chciał pokazać widzom

jak bardzo jest czymś poruszony. - Reszta, ze wszystkimi wpływami z zagranicy i podatkami, należy do ciebie? Nie mogę uwierzyć, że tak mnie oszukałeś. Bóg cię poka...

- Interesy Boga zostały doskonale dopilnowane, Healey - przerwał mu zimno Nazim. - Zaakceptuj to co się stało. Czyż nie tego uczy cię twoja religia? Moja, tak. Inshallah. Powinieneś studiować Koran, przyjacielu.

- A moja szklana katedra? - Healey wyłamywał palce u rąk i spoza kandelabra, w który Nazim wciąż się wpatrywał, dzikim wzrokiem, patrzył na spokojną twarz Araba.

- Już jej nie potrzebujesz. Partia Boga zwyciężyła. Z twojej katedry zrobimy meczet. Możesz zbudować nowy kościół na północy. Otrzymasz na ten cel pieniądze.

Homer cofnął się o krok, wpadając na wysoki, poczwórny ekran ozdobiony złotymi i czerwonymi trójkątami. Ekran upadł na ścianę, a razem z nim Healey.

- Już dość długo brałem twoje judaszowe pieniądze! - wykrzyknął. - Teraz koniec z tym. Strąsnę kurz tego miejsca z moich butów i pójdę gdzie indziej, tam, gdzie skieruje mnie Pan.

Odwrócił się i wybiegł, a Arab nie próbował go zatrzymać.

- Męczy mnie to miejsce i ci ludzie - powiedział Nazim po części do siebie, po części do Kamala. - Moja rola skończyła się. Czas mi wracać do domu. Jason wie, że musi kontynuować moje dzieło, a David pomoże mu, jeśli to będzie konieczne. Pojedziesz pierwszy, Kamal, aby przygotować mój dom. Weź z zapasów taki paszport, jaki będzie ci pasował. Posługiwanie się twoim własnym nazwiskiem może wciąż być niebezpieczne. Izraelici mają długą pamięć.

- Czy zabierze pan do domu wszystkich? Także swoją córkę? - Kamal zarumienił się i spuścił wzrok, mając nadzieję że jego pan postanowił oddać rękę córki komu innemu.

- Nie. Ayesha zostaje tu, aby poślubić Jasona, jak sobie tego życzy. Inni pojedą jak tylko Fatima będzie mogła znieść podróż. Albo jak tylko... - zatrzymał się przed kominkiem i przez parę minut nic nie mówił.

- Pójdź za Healey'em i daj mu to - Nazim wręczył mu czek. - Zasady bez wątpienia opuszczą go przy bramie i będzie szczęśliwy mogąc wziąć pieniądze.

Kiedy został sam, Nazim starannie ogolił się i poszedł odwiedzić chorą Fatimę. Była teraz tak krucha. Wiedział, że będzie zadowolona, kiedy nie urazi jej skóry szorstkim policzkiem. Fatima była zbyt słaba, aby się z nim kochać, ale Nazim często szedł do jej łóżka tylko po to, żeby leżeć przy niej i rozmawiać. Tego wieczoru chciał porozmawiać o Jasonie, którego oboje kochali jak własnego syna.

- Czy to ty, mój kochany? - głos Fatimy utracił swą siłę, ale Nazima wciąż poruszała jego śpiewna melodia.

- Właśnie mi się śniło, że odszedłeś ode mnie bardzo daleko - uśmiechnęła się do niego, kiedy położył się obok i przyłożył policzek do jej ramienia. - Choć bardziej prawdopodobne jest raczej to, że to ja wcześniej opuszczę ciebie.

Nazim westchnął i pogłaskał jej miękkie, siwe włosy.

- Jeszcze nie jestem na to gotów. Jakże często mówię innym, aby zaakceptowali to, co jest, a sam tego nie potrafię.

- Przyszedłeś porozmawiać o tym, że Jason pragnie poślubić tę dziewczynę, którą tu przyprowadził. Tak?

- Tak. Wiem, że cię to martwi, ale musimy szybko coś postanowić. Chłopak zgłupiał na jej punkcie. Na nic się nie przyda, jeśli nie dostanie tej dziewczyny, a wkrótce czeka na niego mnóstwo pracy.

- A czy ona jego chce? - głos Fatimy zrobił się silniejszy, choć ciężko chwytiała powietrze. - Tak jak nasza córka?

Ayesha tylko płacze odkąd Jason wrócił z północy ze swoją konkubiną.

Nazim delikatnie położył dłoń na jej bladych wargach.

- Ona nie jest jego konkubiną, Fatimo. Rozmawiałem z Radhą. Jest cnotliwą dziewczyną, choć bardziej nowoczesną niż bym tego pragnął. Mimo wszystko Jason jest Amerykaninem, a takich kobiet jest tu pełno.

- Pełno, rzeczywiście. A co z Ayeshą? Czy chcesz złamać jej serce?

- Słuchaj. Annie i David zaproponowali rozwiązanie. Jason musi się zgodzić poślubić najpierw Ayeshę, aby to ona urodziła mu następców. Potem może poślubić Radhę.

- Ale ta dziewczyna jest nieletnia, a poza tym prawo amerykańskie nie pozwala mieć dwóch żon... - oddech Fatimy był płytki, a czoło pokryło się potem.

- Wkrótce zapanują tu nasze prawa - zapewnił ją Nazim. - Tymczasem, na jutrzejszy rano zaplanowałem legalny ślub Jasona i Ayeshy. Później nam imam podpieczętuje prywatne małżeństwo z tą drugą.

- Czy ona na to przystanie? Mówisz, że jest cnotliwa. Z pewnością się domyśli, że to małżeństwo jest oszustwem - Fatima zamknęła oczy.

- Nie będzie wiedziała o pierwszej ceremonii. Kiedy małżeństwo zostanie skonsumowane, Jason powie jej o tym albo nie, jak będzie chciał. Zgadzasz się, Fatimo?

- Żal mi tej dziewczyny - wyszeptała. - Może robimy jej krzywdę.

- Została zwrócona islamowi - odparł Nazim wyłączając światło. - Co może być w tym złego? A nasz Jason znów będzie szczęśliwy.

Homer Healey jechał zbyt szybko, ale nie zdawał sobie z tego sprawy, póki nie usłyszał za sobą syreny policyjnej. Ręce mu się trzęsły, kiedy zjeżdżał na pobocze. Spojrzał na tylne

siedzenie, gdzie okryte kraciatym kocem leżało pudełko dynamitu. Z pewnością je znajdują, pomyślał, szukając portfela. Boże, modlił się, daj mi czas na oczyszczenie twego sanktuarium. Nie pozwól, aby zbezczęścili je poganie.

- Czy wie pan, że od Garden Street jechał pan z szybkością 85 mil na godzinę? Poproszę pańskie prawo jazdy.

- Wysoki policjant schylił głowę i szerokie ramiona na wysokość okna czarnego mercedesa Healey'a.

- Proszę, panie oficerze. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie - pochylił głowę, mając nadzieję, że jego pokora zniechęci policjanta do sprawdzenia co znajduje się w pudle na tylnym siedzeniu.

- Ach, to pan, wielbny ojciec - głos policjanta zmiękł i Healey od razu dostał z powrotem swoje dokumenty. - Właśnie tego lata moja żona i ja dołączyliśmy do Jezusa w pańskim kościele. Od tego czasu złagodniała. Uratował pan nasze małżeństwo. Chciałem panu za to podziękować.

Healey powoli wypuścił powietrze z płuc, mając nadzieję, że ciemność zakryje przed policjantem plamy szkarłatu rozlewające się po jego twarzy.

- Dziękuj Panu, nie mnie - odparł. - Niech Bóg błogosławi was oboje.

- Popełniłbym grzech, gdybym takiemu człowiekowi jak pan wlepił mandat za przekroczenie prędkości - oświadczył policjant i odsunął się od pojazdu. - Niech pan na siebie uważa, dobrze?

Póki policjant nie odjechał, Healey siedział trzęsąc się cały. Może to Bóg go wynagradzał za to, że nie przyjął czeku Nazima. Podarł go i rzucił młodemu Arabowi pod nogi, dokładnie w eleganckiej bramie podjazdu Nazima. Gdyby tylko tak samo zrobił z pierwszym czekiem Nazima, wtedy, siedemnaście lat temu, pomyślał Healey i załkał ciężko. Zgrzeszył przeciw Bogu, przeciw swemu własnemu krajowi,

przeciw Izraelowi, za którego zacieśnione granice i sterroryzowanych ludzi był równie odpowiedzialny jak wszyscy inni. Zatrzymał samochód przed wejściem do kościoła, przytknął zimne dłonie do policzków i spojrzał na błyszczącą iglicę. Światło księżyca odbijało się na całej powierzchni budynku, sprawiając wrażenie jakby katedra promieniowała światłem. Przynajmniej, pomyślał Healey wysiadając z auta, z tego świętego miejsca świat usłyszało naukę Paruzji. Chrystus wkrótce znów nadejdzie, a dzięki przekazom Healey'a, o wiele więcej dusz będzie gotowych na jego przyjęcie.

Nagle oślepiło go jasne światło i Healey zamrugał.

- Kto to! - krzyknął głos zza światła. - A, to wielbny ojciec. Nieczęsto bywa tu ojciec nocą.

- Przyszedłem, aby się pomodlić, Jesse - odpowiedział strażnikowi. - Na moim sercu ciąży brzemię i chcę się modlić o Przybycie Pana. Będę tu przez resztę nocy, więc możesz iść do domu.

Strażnik przytknął palce do kapelusza, uśmiechnął się i pospiesznie odjechał, jakby w obawie, że Healey jeszcze zmieni zdanie. Duchowny otworzył drzwi i wszedł do kościoła. W środku było ciemno, więc przez szklane panele dachu widział gwiazdy. Dotykając tu i ówdzie ławek, Healey żegnał się z błyszczącym drewnem, rzeźbionym piedestałem, na którym stało Święte Słowo Pana, kazalnicą, zza której nauczał tak wielu ludzi jak kochać i służyć Panu, jak utrzymywać płomień swoich świec na szybkie nadejście Oblubieńca. Nie mogą pozwalać sobie na hulanki jak poganie.

- Dla mnie Oblubieniec nadejdzie tej nocy! - wykrzyknął Homer zza kazalnicy, jakby znów słuchały go miliony ludzi. - Alleluja, słyszę wiatr Ducha Świętego śpiewający w mych uszach. Maranatha! Przyjdź, Panie Jezu!

Nagle, bez słuchaczy, poczuł się mały, a długie rzędy pustych ławek przypomniały mu o tych wszystkich duszach, do których nigdy nie dotrze. Zasługiwał na karę, musi oczyścić się ogniem zanim pójdzie do Oblubieńca, powiedział sobie Healey. Będzie musiał to załatwić szybko; nie chciał ryzykować ponownego aresztowania, tym razem za podpalenie. Jesse, strażnik, widział go. Wszyscy się dowiedzą kto to zrobił, i jego przesłanie zostanie splamione. Postawią go przed sądem, uwiężą, wyszydzą. To będzie gorzki koniec. Nie było innego wyjścia, powiedział sobie Homer Healey, łykając łzy zbierające się w kącikach ust.

Ułożył w stos laski dynamitu w nawie głównej, ostrożnie odkręcił druciki, a przez cały czas mruczał słowa z Księgi Objawienia: „I jeżeli ktoś nie był zapisany w księdze żywota, został wrzucony do jeziora ognistego.”

Stanąwszy przed rzeźbionym piedestałem, odrzucił w tył głowę i wykrzyknął: - „I widziałem nowe niebo i nową ziemię; i słyszałem donośny głos z tronu mówiący: 'Oto przybytek Boga między ludźmi! I będzie mieszkał między nimi, a oni będą ludem jego, a sam Bóg będzie z nimi'”.

Zapaliwszy lont, spojrzał w górę, na wielkie okna, przez które świeciły gwiazdy i księżyc.

- I otrze wszelką łzę z oczu ich... - wyszeptał. - Albowiem pierwsze rzeczy przeminęły, oto wszystko nowym czynię". - Dla niego zaczęła się Paruzja.

Ekspluzja rzuciła nim na piedestał i Homer Healey stracił przytomność uderzywszy o wielką, oprawioną w metal Biblię. Nie widział powolnego, brzęczącego deszczu błyszczących szklanych iskier, które spadały na niego i na płomienie pożerające to, co zostało z katedry i z niego samego.

Radha usłyszała eksplozję i wyskoczyła z łóżka, myśląc że to trzęsienie ziemi. Śnił jej się dom i twarz wciąż miała mokrą od łez. Drzwi jej pokoju były zamknięte od zewnątrz, aby

uniemożliwić jej ucieczkę, więc Radha skuliła się pod ciężkim stołem, który służył jej jako biurko. Zawsze obawiała się, że podczas trzęsienia ziemi mógłby przygnieść ją gruz i wierzyła, że lepiej było umrzeć próbując wydostać się na zewnątrz niż umierać powoli z głodu w maleńkiej norze pośród niemożliwego do przebycia zwałowiska. A jednak zanurkowała posłusznie pod stół, tak jak uczyli ją rodzice podczas comiesięcznych ćwiczeń.

Kiedy minął szok po eksplozji, Radha podbiegła do okratowanego okna. Na zachodzie, gdzieś w Santa Barbara, ujrzała płomienie przedostające się przez chmurę czarnego dymu. Poprzez zalegającą gęstą mgłę przedostało się wycie syren. Pewnie kolejny napad bandytów, pomyślała Radha. A kto wie, gdzie bandyci uderzą następnym razem? Może nawet na ten luksusowy kompleks budynków nad oceanem? Bandyci zawsze wiedzieli, gdzie są pieniądze. Wściekle potrząsnęła kratami. Cały Jason! Żeby tak zapomnieć, że ona jest sama w tej pułapce!

Radha wzięła głęboki oddech, próbując sobie przypomnieć czego uczył ją Eddie. Słowa Om Sai Ram przyszyły same, a serce przestało walić. Na interkomie wdusiła trzy cyfry kodu Jasona i zostawiła wiadomość, że ma mu coś ważnego do powiedzenia. Potem zdjęła powiewną suknię, którą miała nosić w tym domu i wciągnęła swoje własne dżinsy, czarny golf i buty. Musiała mieć możliwość szybkiego poruszania się. Potem jednak przyszło jej do głowy, aby na to wszystko założyć jeszcze i suknię. Zrobiwszy to, usiadła przy stole i zapatrzyła się na ciężki chiński wazon, który Jason wypełniał świeżymi różami, i czekała.

Dwie godziny później w drzwiach pojawił się Jason. Jego ubranie było zniszczone i poczerniałe, ale twarz i ręce najwyraźniej nosiły ślady szorowania.

- Dostałem twoją wiadomość - powiedział, próbując uporządkować swoje długie, mokre brudnoblond włosy. - Przyszedłem jak tylko mogłem.

Radha wyobrażała sobie, że dobrze byłoby zacząć przyjaźnie. Eddie zawsze mówił, że muchy łapią się na miód, nie ocet.

- Zdaje się, że byłeś przy pożarze - zauważyła, obracając w rękach szklany przycisk do papieru. Palce jej drżały trochę, a nie chciała, żeby Jason to zauważył.

- Zgłosiłem się na ochotnika do straży pożarnej - wyjaśnił Jason. - Ktoś wysadził w powietrze szklaną katedrę - chodził po pokoju z ponurą miną. - Za wiele ostatnio wybuchów pożarów, żeby strażacy sami dali sobie radę.

Wyglądał, jakby kogoś naśladował, pewnie Nazima, pomyślała Radha, przypomniawszy sobie jak Arab chodził w tę i z powrotem przed okratowanymi oknami i zadawał jej pytania o to, jak się prowadzi.

- Powiedziałeś, że porozmawiamy, kiedy będę gotowa. Więc jestem gotowa. Co masz mi do powiedzenia?

Jason zatrzymał się, oparł o jej krzesło i położył ręce na jej ramionach.

- Mam zamiar się ożenić - zaczął. - Dla muzułmanina to poważny problem. Potrzebuję kobiety. Chcę, żebyś to była ty. - Jego ręce zacisnęły się na jej ramionach aż do bólu, ale Radha nie poruszyła się.

- Czemu nie jakaś miła muzułmańska dziewczyna? - zapytała, a głos drżał jej bardziej niż by sobie tego życzyła. - Nie jestem w twoim typie. Nie poddam się łatwo, jakbyś pewnie tego chciał.

- O to właśnie chodzi: chcę zmusić cię do poddania się - Jason pochylił się nad nią, zbliżył wargi do jej szyi i zaczął ssać jej skórę.

Radha wciąż się nie poruszała, choć ręce zacisnęła mocno na szklanym przycisku.

- Ucieknę, jak tylko będę mogła. Wiesz o tym.

- Ale najpierw będziesz moja, kochanie - zaśmiał się Jason i zakręcił obracającym krzesłem, aż ich twarze znalazły się naprzeciwko siebie. Ręce zacisnął na oparciach krzesła. - I znajdę cię, gdziekolwiek byś się nie ukryła, tak jak poprzednio. Nie wypuszczam tego, co moje.

Radha poczuła jak strużka krwi spływa z miejsca, gdzie ją ugryzł i miała nadzieję, że nie zaraził ją jakąś paskudną chorobą. Słyszała, że prawie każdy mężczyzna z miasta, który nie przekroczył pięćdziesiątki najprawdopodobniej jest nosicielem wirusa HIV.

- Nie zamierzam być twoja ani niczyja. Powiedziałam to twojemu panu Nazimowi.

- Kochanie, nie masz wyboru - powiedział cicho i pochylił się do jej ucha. Najbardziej lubił gryźć, bo przecież nie wolno mu było mieć do czynienia z kobietami póki się nie ożeni. Gryzienie sprawiało, że czuł się lepiej, jakby to on kontrolował sprawy. - Jutro po południu bierzemy ślub. Nazim mówi, że to postanowione.

Radha uderzyła ciężkim przyciskiem dokładnie w jego podbródek i usłyszała, jak zazgrzytały mu zęby. Potem uderzyła go w skroń. Upadł na nią ciężko przycisnąwszy ją do krzesła. Musiała je przewrócić i upaść razem z nim na podłogę, żeby się uwolnić. Zabrała klucze z jego kieszeni i sprawdziła puls na skroni. Żył. Jej karma była nienaruszona, pomyślała z ulgą. Przy odrobinie szczęścia będzie nieprzytomny na tyle długo, że zdąży uciec.

Zdażyła zamknąć drzwi i schować klucze do kieszeni, kiedy usłyszała za sobą cichy głos: - Wiem kim jesteś i chcę ci pomóc.

Radha opuściła rękę do pozycji, z której natychmiast mogłaby zaatakować gardło mężczyzny. Znała go skądś, choć nie mogła sobie przypomnieć gdzie mogła widzieć tę gładką, opaloną owalną twarz o wysokich kościach policzkowych, długich, nieco skośnych brązowych oczach i wąskich ustach z niewielkimi wgłębieniami po obu stronach, zupełnie jak u niej. Na wysokie czoło opadały mu ciężkie proste włosy, które odgarnął trzęsącą się nieco ręką. W jakiś sposób przypominał jej Eddiego Szu, i Radha niemal odprężyła się, choć zastanawiała się, dlaczego ogarniał ją strach ilekroć spojrzała mu w oczy. Może, pomyślała, bała się oszustwa. Nikt w tym domu nie mógł być jej przyjacielem.

- Wyjaśnię ci w drodze - powiedział. - Mamy mało czasu. Proszę, musisz założyć to. Zakryj dokładnie twarz. - Wręczył jej długi, szary szal na głowę. - Szybko, ktoś idzie.

- To przynajmniej jest dobry kamuflaż - wyszeptała Radha. W pośpiechu zakryła sobie też oczy i musiała wesprzeć się na ramieniu Kamala, aby poprawić okrycie.

Minęły ją dwie młode kobiety. Zachichotały i wpatrzyły się w Radhę.

- Dobry wieczór, Ayesho - Kamal skłonił się i położył rękę na sercu. - Wszystkiego najlepszego z okazji twego jutrzejszego ślubu.

- Czy tak? - wyższa dziewczyna klasnęła w ręce. Była wysoka jak Radha, a jej oczy były wielkie i okolone ciemnymi rzęsami, jak Radhy. - Nie byłam pewna. Przyjdiesz na ceremonię, Kamal?

- Dziś wyjeżdżam do Palestyny - odparł i znów się skłonił. - Rozkazy twego ojca. Nie sądzę, żebyśmy się jeszcze zobaczyli, Ayesho.

- W takim razie cieszę się, że znalazłeś sobie tak szybko kobietę - welon Ayeshy poruszał się lekko w miejscu, gdzie były usta. - Niech Allah cię błogosławi, Kamal.

- I ciebie. - Przez chwilę szedł za kobietami, lecz zaraz zawrócił do Radhy i szybko poprowadził ją dalej.

- To łobuz - syknęła Radha, kiedy zostali sami. - Miał zamiar poślubić i mnie, i ją. Gdzie ty mnie właściwie prowadzisz?

- To mój pokój - oświadczył, puszczając ją przodem. - Tu są torby - wyjął paszport i spojrzał czy zdjęcie przypomina ją. - Ayesha jest mniej więcej twojego wzrostu i wymiarów - stwierdził. - Możesz przykryć włosy, ale zauważą błękitne oczy. Trzymaj oczy spuszczone podczas odprawy celnej.

- Co jest w tej torbie? - Radha założyła torbę na ramię.

- Wszystko, co, jak myślę, zrobi z ciebie pełnoprawną podróżniczkę - zarumienił się. - Nie bardzo wiem czego potrzebują kobiety.

- Nie powiedziałaś jeszcze dlaczego mi pomagasz - Radha nie ruszyła się, kiedy otworzył przed nią drzwi.

- Byłem coś winien twojej babce - rzekł Kamal, odwracając od niej twarz. - Poza tym, właśnie się do wiedziałem, że Jason miał najpierw poślubić Ayeshę, a potem ciebie. Ayesha nie chciała dzielić się nim z żadną inną kobietą i poprosiła mnie o pomoc. Co innego mogłem zrobić?

- Rozumiem. Sam ją kochasz, tak? - Radha poszła za nim, starając się dotrzymać mu kroku. - Powiedziałaś jej o tym?

- Wie o tym i dokonała wyboru - Kamal patrzył prosto przed siebie. - Przyjmuję to, co jest. Allah może ze mną robić co chce.

Coś w jego głosie przypominało jej Eddiego, który tak często mówił, że jego życie jest w rękach Chrystusa. To, mówił, przynosiło mu ukojenie. Jakże mu tego zazdrościła! Z nią było inaczej. Póki nie otrzymała bezpośredniej wiadomości od Baby, chodziła własnymi ścieżkami. Jej umysł był tak pełen chwilowych pragnień, że jedynie grom z ręki Boga mógł zwrócić jej uwagę, jak często mówiła jej Kori.

Radha westchnęła i spróbowała uspokoić myśli kłębiące się w głowie. Jedna na raz, upomniała siebie, próbując wcielić w czyn radę Eddiego. Jedna na raz.

- A Consuela? Czy możemy ją też zabrać? - nieprzyzwyczajona do powiewnej szaty, Radha drobila kroki w drodze do garażu.

- Pytałem ją. Odpowiedziała, że ma tu do wykonania zadanie i musi zostać.

Radha zagryzła wargi, a łzy napłynęły jej do oczu.

- Muszę przesłać wiadomość moim rodzicom, powiedzieć im gdzie jestem.

- Cicho! - Kamal przycisnął ją do ziemi za pick - upem zaparkowanym obok czarnego mercedesa. - Słyszę jakieś głosy - zakrył ręką jej usta i zbliżył ją do siebie. - Czasami Nazim nie może zasnąć i wtedy rusza na przejażdżkę. Może to on.

Radha patrzyła jak mija ich wysoka postać Nazima, a jego cień przesuwana się po nich. Czarny szofer otworzył przed nim drzwi mercedesa.

- Przykro mi, że pańska missis umarła, proszę pana - powiedział szofer. - Lubilem ją. Wszyscy ją lubiliśmy.

- Do meczetu - rzucił Nazim nieobecny głosem. - Po drodze zabierzemy imama - nagle znieruchomiał z ręką na klamce otwartych drzwi. - Jest tu kto? - zapytał ostro.

- Mam sprawdzić? - olbrzymi szofer wyszedł z auta.

Radha wstrzymała oddech i przytuliła się do Kamala, próbując zmniejszyć cień, jaki mogli rzucić w ostrym, jasnym świetle. Och, Baba, modliła się cichutko. Nie pozwól, żeby mnie złapał. Nie pozwól, żebym wyszła za Jasona, a obiecuję ci, że już nigdy nie będę paplać. Chcę tylko wrócić do domu.

Kiedy szofer ruszył naprzód, Radha znów usłyszała głos. Jedź z Arabem do Izraela. Teraz tam będzie twój dom i tam czeka cię twoje zadanie. Nie bój się. Pracujesz dla mnie,

przyjaciółko. Łzy Radhy popłynęły na palce Kamala wciąż zaciśnięte na jej wargach. Otarł delikatnie jej oczy rąbkiem szala i potrząsnął głową nakazując milczenie.

- Jedźmy już - szofer zatrzymał się na dźwięk głosu Nazima. - Nie mamy czasu. Powiem strażnikom przy bramie, żeby uważali na obcych, którzy próbowaliby uciekać.

Kiedy samochód wyjechał, a automatyczne drzwi zamknęły się za nim, Kamal pomógł jej wejść na pick - upa.

- Masz przy sobie kluczyki Jasona?

Radha odsunęła zawoje sukni i włożyła rękę do dzinsów. Wzięła je, bo planowała uciec samochodem Jasona, jeśli tylko udałoby jej się dostać do garażu.

- Proszę. Ale co z tymi strażnikami przy bramie?

- Połóż się na podłodze - powiedział - i skul się między tymi pudłami najbardziej jak potrafisz. Kiedy stąd wyjedziemy, będziesz mogła przejść na tylne siedzenie. - Przykrył ją spleśniałym, starym brezentem.

- Gotowa? I ani słowa!

Kiedy ciężarówka turkotała po kamienistym podjeździe, Radha przypomniała sobie jazdę z Jasonem i zadrżała. Jaka perwersyjną przyjemność sprawiał jej jego dotyk, mimo tego, że go nienawidziła! Jej ciało zdawało się mieć swoją własną wolę, drząc niespokojnie, opętane chorym pragnieniem, z którym jej głowa nie miała nic wspólnego. Pomyśl o mnie, głos pojawił się w głowie niby promień światła spośród ciemnych chmur. Kiedy nachodzi cię pragnienie, którego nie chcesz, pomyśl o mnie, a twoje serce będzie pragnęło tylko Boga. Radha ukryła twarz w dłoniach i spróbowała zapanować nad drżeniem, kiedy auto zwolniło i zatrzymało się, a gdzieś nad nią rozległ się głos strażnika. Om Sai Ram, powtarzała. Om Sai Ram. Babo, pomóż.

- Muszę sprawdzić co masz z tyłu, Kamal - głos strażnika dochodził z tyłu pickupa. - Szef nakazał nam nie przepuszczać nikogo bez przeszukania samochodu.

Drzwi auta otworzyły się, a Radha poczuła, że Kamal wysiada. Jego buty zachrzęściły na kamieniach drogi, kiedy podchodził do strażnika.

- Mam tu dziewczynę - wyszeptał konspiracyjnie.

- Moją ukochaną. Nikt o niej nie wie. Proszę, przepuść nas.

- Ty, Kamal? A wszyscy mówią, żeś czysty jak jakiś święty! - prychnął strażnik. - Dobra, jedź i zabaw się z nią. Zachowam twoją tajemnicę.

Radha leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami, kiedy strażnik odchylił brezent i spojrzał na nią. Jego oddech śmierdział cebulą. Skuliła się jeszcze bardziej.

- Ślicznotka - gwizdnął. - Daj mi znać, jak ci się znudzi.

Strażnik z powrotem narzucił na nią brezent, a kiedy samochód ruszył, Radha znów mogła zacząć oddychać. Dopiero kiedy minęli Santa Barbara, Kamal zatrzymał się i mogła przejść na przednie siedzenie.

Oboje prawie wcale nie odzywali się przez całą drogę na lotnisko. Po raz pierwszy cieszyła się z tej ciszy, gdyż jej umysł krzyczał pytaniami. W końcu usłyszała głos Eddiego: najpierw musisz zadzwonić do domu i zawiadomić ich gdzie jest Consuela. Potem zapytaj ich, jak odnaleźć rodzinę Hoffmanów w Izraelu. Z jakiegoś powodu nie chciała im mówić o Kamalu. Może im o nim opowie w liście, jaki napisze z Izraela.

Przy Santa Monica samochód zjechał na drogę prowadzącą na lotnisko. Wzdłuż całej drogi stacjonowały uzbrojone oddziały straży, która miała bronić ludzi przed bandytami i włóczęgami. Radha przypatrywała im się ciekawie, zastanawiając się dlaczego się nie boi. Nigdy w

życiu nie widziała wielkiego miasta i nie mogła oderwać oczu od ciemnych, wysokich budynków i pokrytych śmieciami ulic. Wielu zaparkowanym przy nich samochodom brakowało kół i przednich szyb. W końcu miała dość i zamknęła oczy. Na długo zanim dotarli do lotniska, Radha spała, i śniło jej się, że jest u Baby w Indiach. Wiedziała gdzie jest, gdyż matka pokazała jej kiedyś zdjęcia. We śnie, Baba stanął przed nią podczas darśanu, wziął z jej ramion dziecko o jasnych oczach i przytulił je do serca.

* * *

Zefat, Izrael

Po dwóch latach pobytu w Zefat, Radha wciąż nie wiedziała dlaczego Baba chciał, aby przyjechała do Izraela. Nie wiedziała co na tym zyskała, może oprócz tego, że wyrobiła sobie mięśnie u nóg od codziennego wspinania się po setkach metrów stromych schodków w górzystym mieście. I co miało być tym zadaniem, zastanawiała się, kąpiąc starą ciotkę Hannę i słuchając jej opowieści o dawnych czasach. Pomogła rodzinie pochować wujka Chaima i przejęła opiekę nad ciotką, która umierała, jak twierdził lekarz. Ciotka Hanna nie poznawała jej już i wciąż nazywała ją Gilah. Dopiero, kiedy kuzyn wyjaśnił jej, że ciotka myśli, iż Radha jest tą, która w obronie dzieci została zabita przez arabskiego zabójcę, dziewczyna zrozumiała to. Miała dziwaczne uczucie, że jest swoją babką i nie wiedziała już gdzie kończy się Radha, a zaczyna Gina Hoffman. Ciotka Hanna dała jej nawet pierścień z podobizną Sai Baby, który Gina miała na palcu w dniu swojej śmierci, i Radha nosiła go na łańcuszku wokół szyi. Dar ten uśpił zadawnioną zazdrość o Phila i pierścień, który dała mu Kori, pierścień z twarzą Prema Sai, który uprzednio należał do tasmańskiego szamana.

Radha często chodziła na cmentarz Ben - Ari, patrzyła na wzgórze Galilei i dalej, ku nowo utworzonej granicy, która

pomniejsza Izrael do połowy jego poprzedniej wielkości, gdzie można było dostrzec syryjskie oddziały. Arabowie wracali powoli do niewielkiego, położonego na szczycie wzgórza Zefat, z którego uciekli siedemdziesiąt lat wcześniej. Kamal był jednym z nich. Czasami towarzyszył dziewczynie w spacerach po dzielnicy artystów. Nie nosił wtedy turbanu, aby nie sprawić jej kłopotów w razie, gdyby zobaczył ich ktoś z rodziny. Czasami, kiedy spacerowali, ich ręce dotykały się. Kamal rumienił się wtedy, wkładał ręce do kieszeni i uciekał przed nią wzrokiem. Ta nieśmiałość umożliwiła jej przyglądanie się jego twarzy, która była dla niej tak obca i nieznana, jak twarz Eddiego.

Widziała w niej coś, co od dawna chciała mieć, coś czego zawsze w sobie szukała, lecz dotąd nie znalazła. Starła się nazwać to coś, ale zdołała wymyślić tylko 'spokój'. Ktoś, kto nauczył się tak doskonale żyć sobą, pomyślała, musi żyć w spokoju, nie żądając niczego od świata zewnętrznego. Ona nie potrafiła wzbudzić w sobie obojętności na przyjemności czy piękno, ale może któregoś dnia nauczy się od tego człowieka owego doskonałego, spokojnego dystansowania się. Stopniowo zaczęła myśleć, że Kamal należy do niej, choć on sam nie powiedział nic, co mogłoby utwierdzić ją w przekonaniu, że należy do niej czy do kogokolwiek innego. Niewielka zachęta z jej strony mogłaby w tym pomóc, zaczęła przypuszczać Radha, i postanowiła zakłócić ten jego spokój i zmusić go do wyznania, że ją kocha.

W dzień jej osiemnastych urodzin zaskoczył ją, dając jej w prezencie pierścionek z malachitu i srebra, którym zachwyciła się tydzień wcześniej w sklepie obok synagogi Kosov, gdzie co piątek chodziła na nabożeństwa szabasowe. Kamal włożył pierścionek na trzeci palec jej prawej ręki. Nie pasował, więc włożył go na trzeci palec lewej ręki. Pierścionek wsunął się

łatwo, a Kamal trzymał przez chwilę jej rękę, przyglądając mu się.

- Sądziłam, że któregoś dnia założę na ten palec pierścioneł zaręczynowy - uśmiechnęła się Radha. - Ale ten jest lepszy. Dziękuję ci. - Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Minęła ich ortodoksyjna kobieta, która zmarszczyła się na ten widok i pogroziła im palcem.

Kamal puścił jej rękę.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczął. - Przez ten cały czas, który się znamy, leży między nami cień. Winny jestem ukrywania czegoś przed tobą, Radho.

- Chcesz teraz o tym porozmawiać? - Radha szła obok niego, pragnąc, aby nie odwracał od niej oczu jak czynili to ortodoksyjni mężczyźni, kiedy mijali na Ulicy kobietę. - Możemy pójść na wzgórze do zamkowego parku. Tam nikt nie będzie nam przeszkadzał. - Zastanawiała się czy chciał powiedzieć, że już nie kocha Ayeshy. Potem miała nadzieję, że powie, że kocha ją. Była pewna, że Kamal ją kocha, ale chciała to od niego usłyszeć.

Kamal skierował się ku szerokim schodom wiodącym ku ruinom starego zamku należącego niegdyś do krzyżowców, którzy bronili Zefat przed armiami muzułmańskimi. Znalazł ławkę, z której rozciągał się widok na miasto i zatrzymał się na chwilę, spoglądając w tył, gdzie miały bazy arabskie armie wspierane przez oddziały syryjskie.

- Nasze narody są wrogami i nienawidzą się wzajemnie - zaczął, wciąż na nią nie patrząc. - Kiedy byłem chłopcem, moja nienawiść sprawiła, że zrobiłem coś strasznego...

Radha skoczyła i uściskała go, zmuszając aby spojrzeć jej w oczy.

- Kamal, jesteś najczystszy, najlepszy człowiekiem, jakiego znam z wyjątkiem jednego czy dwóch w domu. Nie dręcz się dlatego, że rzucałeś kamieniami w żołnierzy czy

czegokolwiek innego. Jestem Żydówką, przynajmniej w połowie, i przebaczam ci. Nawet cię kocham. Jezus powiedział, kochajcie swoich wrogów, prawda? A jeśli kogoś kochasz, to ten ktoś nie jest już twoim wrogiem. - Stała na palcach i delikatnie pocałowała go w usta.

- Kochasz mnie? - wyjąkał Kamal. - Ale nie wiesz kim jestem. Jesteśmy przyjaciółmi. Czy nie kochasz mnie jak przyjaciela.

- Nie - wyszeptała Radha, kładąc ręce na jego ramionach. - Nie kocham cię jak przyjaciela. Kocham cię inaczej. Powiedz, że też mnie tak kochasz. - Oczy wypełniły jej się łzami, kiedy zastanawiała się czy przypadkiem nie popełniła strasznego błędu i nie zniszczyła ich przyjaźni, jak zniszczyła przyjaźń z Eddiem.

Przez chwilę Kamal nie odzywał się, tylko patrzył jej w oczy i poruszał ustami, jakby się modlił. Nagle objął ją mocno i przytulił, kołysząc się jakby oboje popychał wiatr.

- Kocham cię, Radho, bardziej nawet niż prawdę, Boże dopomóż. - Oparł głowę o czubek jej głowy. - Tak ciężko było spotykać cię dzień w dzień i nic nie mówić. Tak ciężko.

- Ale dlaczego nic nie mówiłeś? - oderwała się od niego i posłała uśmiech ku jego poważnej twarzy. - No dalej, uśmiechnij się. Czy być zakochanym to takie straszne?

- Straszne, tak, kiedy się kocha... - Kamal przerwał gwałtownie i ruszył ścieżką, chowając ręce w kieszeniach. - Jak możemy się pobrać, Żydówka i Arab? Twoja rodzina na to nie pozwoli.

- O to się martwisz? - Radha znów się uśmiechnęła, czując w sercu lekkość. - Twój imam może udzielić nam ślubu. Albo sędzia. Nowe prawo zezwala na to. Jeśli chodzi o moją rodzinę, to wujek Chaim nie żyje, a ciotka Hanna już mnie prawie nie poznaje. Ich dom już na mnie przepisano. To będzie nasz dom, Kamal.

- Rozumiesz, że moi ludzie uznają mnie za zdrajcę - rzekł Kamal, stojąc na skraju urwiska i patrząc na miasto. - A twoi mnie nie przyjmą.

- Więc pojedziemy do Jerozolimy - powiedziała Radha. - Teraz to otwarte miasto, a przecież można mieszkać wszędzie. Nikt nie będzie nas znał.

- To właśnie musimy zrobić, bo nie zrezygnuję z ciebie, Radho. - Kamal znów ją przytulił, a potem nieco odsunął. - Co masz na szyi pod swetrem?

- Jeśli mam ci pokazać, to musisz mi przyrzec, że to, co ci powiem weźmiesz zupełnie poważnie - oświadczyła Radha. Kiedy skinął głową, wyjęła złoty pierścień, który nosiła na łańcuszku.

- Kto to jest? Ktoś, kogo kochałaś? - Kamal uśmiechnął się nieprzekonywająco.

- Wciąż kocham - odparła Radha. - Ma osiemdziesiąt sześć lat, więc nie martw się. To Sai Baba, święty z Indii. Ten, który mówi, że wszystkie religie muszą nauczyć się żyć razem w miłości. Dał ten pierścień mojej babce.

Przez chwilę Kamal patrzył w przestrzeń, nic nie mówiąc. Potem ostrożnie dotknął pierścienia.

- Słyszałem o Sai Babie. Wielu muzułmanów twierdzi, że nasze pisma go przepowiedziały. Człowiek w sukni koloru płomienia, napisał Prorok w Mehdi Moud. Człowiek o gęstych włosach, z przerwą między przednimi zębami, pieprzykiem na policzku i małym nosem, a słyszałem, że Sai Baba tak właśnie wygląda. Może to właśnie on jest tym wielkim prorokiem z pism.

- Więcej niż prorokiem. Mówi nam kim jesteśmy, kiedy jesteśmy zagubieni. Kocha nas. - Radha opuściła głowę, nagle zawstydzona. - On do mnie mówi, Kamal. Słyszę jego głos w głowie. A teraz myślisz, że oszalałam.

Kamal obracał pierścień w palcach, jakby nie chciał się z nim rozstać.

- Samo dotykanie jego twarzy sprawia, że myślę o czasach, kiedy Bóg mówił do mnie - powiedział. - Czasach, kiedy byłem najzdrowszy. Myślę, że chcę wiedzieć więcej. Wszystko, co możesz mi powiedzieć.

- Radha! - z dołu ścieżki dobiegł ich dziecięcy głos. - Radha! Wszędzie cię szukam. Moja mama mówi, żebyś szybko przyszła. Twoja ciotka umiera.

* * *

Kamal nie mylił się co do tego co powiedzą ludzie, kiedy oni dwoje pobiorą się.

- I to ledwie na trzy miesiące po odejściu jej biednej ciotki - mruzczały kobiety. - Słyszałaś? Siostrzenica z Ameryki sprzedała dom Hanny jakiemuś obcemu, kiedy Hanna jeszcze nie ostygła.

Radha i Kamal nigdy nie dowiedzieli się o tych plotkach, gdyż przenieśli się do Jerozolimy, do apartamentu w budynku Króla Dawida, modnym acz cokolwiek zniszczonym domu poza złotymi murami miejskimi Jerozolimy, terytorium, które niedawno ogłoszono wolną strefą tak dla Żydów, jak i dla Arabów. Jerozolima nie była tak nowoczesna jak Tel Aviv, lecz nie była tak zanieczyszczona jak inne miasta, gdyż zasilano ją za pomocą energii elektrycznej, co kosztowało krocie. Po Starym Mieście mogły poruszać się tylko elektryczne samochody i autobusy, aby w ten sposób chronić przed zniszczeniem zabytki i mury miasta i przed losem, który niedawno dosięgnął Sfinksa i Partenon. Jeśli gdzieś istniało wieczne miasto, wyszeptała Radha do Kamala, to właśnie tu.

Jerozolima była dla Paryża tym, czym Paryż był dla Nowego Jorku, miejscem prastarych źródeł, które sprawiało, że nowsze miasta wyglądały jakby były wykonane z blachy i plastiku. Tak stwierdziła Kori, kiedy razem z Kiefem

przyjechali ich odwiedzić. Właśnie przyszedł na świat syn Radhy i Kamala, Ibrihim, i oboje koniecznie chcieli go zobaczyć. Była to trudna podróż; wszędzie szerzył się sabotaż, i zamknięto lotniska w Kalifornii. Musieli popłynąć statkiem do nowej prowincji Waszyngton - Columbia, skąd bezpiecznie odprawiano loty międzynarodowe.

- Prowincja północna jest wciąż w dość dobrym stanie, częściowo dzięki temu, że połączyły się obszary które kiedyś były zachodnią Kanadą - mówił Kief podpierając nogi na podnóżku. Był to jedyny mebel w domu, na którym leżały poduszki na styl arabski. - Ale i tak mieliśmy trudności w porcie. Gdyby nie pojechał z nami ojciec Gregory, nie przedostalibyśmy się przez granicę. Celnicy nie przepadają za Kalifornijczykami. Dom krzykaczy, tak nazywają Kalifornię. I mają rację. Ruch neo - punków zaczął się właśnie w Los Angeles, ale kiedy wszystko przejęli muzułmanie, krzykacze przenieśli się gdzie indziej. Nie w góry Santa Cruz, dzięki Bogu.

Czasami Radha myślała, że byłoby lepiej wychowywać Ibrihima na farmie, na którą nie zawitał jeszcze dwudziesty pierwszy wiek. Gdyby owo zadanie, które miała wykonać, nie zmuszało ją do pobytu w Izraelu, zmusiłaby Kamala do powrotu do Kalifornii. Jej rodzice wciąż nieźle, jak to ujęła Kori, odpierali narastający napływ barbarzyństwa. Wciąż była nadzieja, mówił Kief, gdyż miliony 'afrykamerów', jak obecnie nazywali siebie czarni Amerykanie, stały się wyznawcami Sai Baby, i chrześcijaństwo, i muzułmanie. Początkowo przyciągnęła ich brązowa skóra Sai Baby i włosy afro, lecz z czasem przekonały ich jego nauki, które mówiły, że wszyscy ludzie są zjednoczeni w miłości, oraz to, że udało mu się przełamać system kastowy w Indiach.

Radha, ubrana w elektryzująco błękitny kaftan, oparła się o pierś Kamala i poprawiła poduszkę pod kolanami.

- Słyszysz się tu okropne historie. Na przykład o amerykańskich gangach, które przejmują we władanie całe miasta czy masowych mordach na ludziach Wschodu. Czy z Eddiem wszystko w porządku? Martwię się o niego. - Patrzyła na dziecko śpiące w ramionach Kori. W jakim świecie będzie żył mały Ibrihim, zastanawiała się, jeśli neo - punki ryczały w telewizji, waliły w puste kanistry po benzynie i gwizdały przeraźliwie na parowych gwizdkach w swojej karykaturze muzyki? Krzykacze, których widziała w telecomie nosili czerwone szkła kontaktowe, a wargi malowali na czarno. Golili pas z tyłu głowy, a resztę włosów, z boków i na czubku, zapuszczali, smarowali śmierdzącym świńskim tłuszczem i skręcali w przypominające węże loki. Bardziej skrajni krzykacze, podczas przedstawień zaplatali sobie w owe loki żywe węże. Kamal założył na ich telecomie specjalne klucze, tak aby rodzina przez przypadek nie natknęła się przypadkowo na którąś ze scen orgii czy tortur, jakimi krzykacze przyozdabiali swoje występy.

- Z Eddiem wszystko w porządku - Kori uśmiechnęła się do wnuka i poprawiła kocyk pod jego rumianym, krągłym podbródkiem. - W ogóle się nie starzeje, może dzięki tym swoim ćwiczeniom. Można by pomyśleć, że bierze ten nowy narkotyk, który opóźnia starzenie się organizmu. Większość tak robi, nawet Philo.

- Wszyscy myślimy, że Eddie powinien się ożenić - dodał Kief - ale on nie chce. I pewnie nigdy się nie ożeni, bo większość swojego wolnego czasu spędza z zakonnikami.

Radha rzuciła szybkie spojrzenie Kamalowi, zastanawiając się, czy odgadł, że te wieści o Eddiem sprawiły jej przyjemność. Wciąż te samolubne myśli, zganiała się w myślach. Postanowiła nic nie mówić matce, że sama też bierze melatoninę. Lekarz powiedział, że jeśli zacznie ją brać teraz,

w wieku lat dwudziestu, to nie zacznie się starzeć póki nie ukończy siedemdziesiątki.

Kori, która nie potrzebowała melatoniny, aby wyglądać pięknie w każdym wieku, nie zrozumiałaby jej, A wstyd jej było przyznać się do własnej próżności.

- Czy farma jest wciąż bezpieczna? - spróbowała zmienić temat, gdyż Kamal mógł odgadnąć jej myśli dzięki owemu przeblyskowi nagłego zrozumienia, który tak często przerażał ją celnością.

- Nie bardziej niż reszta Dolnej Kalifornii, choć mniej niż ta część, która kiedyś była Półwyspem Meksykańskim - odparł Kief wstając. - Co niewiele mówi. Muzułmańska większość jest dla całej reszty względnie dobra, jeśli tylko nie handlujemy narkotykami i nie kupujemy filmów pornograficznych. Pewnie słyszeliście, że zrobili porządek z przemysłem filmowym. Żadnych więcej śmieci. Ale nikt, nawet milicja, nie może powstrzymać przemocy.

- My tu też mamy fundamentalistów i przemoc. - jedno pytanie zawisło ciężko w powietrzu i Radha zawahała się zanim je zadała. - Pisaliście, że Philo pojechał odwiedzić Consuelę. Nie mogę uwierzyć, że chciała tam zostać z Jasonem.

- Jej matka też nie mogła w to uwierzyć - westchnęła Kori i położyła dziecko z powrotem do łóżeczka. - Consuela mówi, że ma tam do wykonania zadanie. Nie mogę sobie wyobrazić co by to mogło być.

- Candelaria i Philo narobili zamieszania w Santa Barbara - powiedział Kief przenosząc się z beznadziejnie niewygodnego podnóżka na nowoczesną, wypełnianą gazem poduszkę, która automatycznie dopasowała się do jego ciała. - Ale wtedy Consuela i Jason byli już małżeństwem.

- Czy Consuela powiedziała wam, że Jason już wtedy miał muzułmańską żonę?

- Nie - skrzywiła się Kori. - Pierwszy raz o tym słyszę. Przypuszczam, że teraz takie małżeństwa są prawomocne, odkąd muzułmanie legalnie mogą żyć w poligamii.

- Dziwne, ale większość z nich jednak tego nie robi - Kief zaśmiał się i pochylił, aby pocałować Kori w szyję.

- Pewnie to zbyt kosztowne - Z Kori, jak zwykle, nie można było żartować.

Radha spojrzała na matkę z miłością, zastanawiając się, jak kiedykolwiek mogła myśleć, że Kori jest zimna. Wyobrażała sobie, jak matka pochylała się nad nią, kiedy była dzieckiem, tak samo jak teraz ona troszczyła się o małego Ibrihima.

- Mamy czwartkowy wieczór - powiedziała Kori. - Chcielibyśmy odmówić razem kilka modlitw, bo to wieczór Sai Baby. Czy nie masz nic przeciwko temu, Kamal, abyśmy zrobili to tutaj?

Kamal odparł, że mogą robić co tylko im się podoba, ale Radha spuściła wzrok, zakłopotana. Nie odprawiała czwartkowych wieczorów odkąd opuściła dom i miała nadzieję, że Baba nie jest nią rozczarowany.

- Dziś przychodzi sprzątaczką do kuchni i łazienki - powiedziała. - Zostawię dla niej otwarte drzwi i napiszę kilka słów, żeby nam nie przeszkadzała. Jest trochę fanatyczką religijną, jak wielu tutaj. Mam nadzieję, że jej nie zgorszymy.

W ciągu kilku minut Kamal zapalił jedną z szabasowych świec ciotki Hanny i przygotował mały ołtarzyk, a Kori postawiła na nim małe zdjęcie Sai Baby i położyła przed nim różę.

Kiedy Kief zaintonował wielką mantrę Gayatri, oczy Radhy rozbłyły łzami. Od tak dawna nie wymawiała tych słów!

- Światło, czyste i święte - wyszeptała - przyjdź od Boga ku ludzkości, rozbłyśnij w twarzy matki - słońca, wypal

wszystko, oprócz tego, co boskie. - Usłyszała, że drzwi za nią otwierają się i zamykają, ale nie odwróciła głowy. Och, Baba, modliła się, byłam tak zajęta, że o tobie zapomniałam. I zadanie, zadanie! Nawet nie starałam się domyślić czego ode mnie chciałeś! Za zamkniętymi powiekami ujrzała kręgi złotego światła, z których wyłoniła się uśmiechnięta twarz Sai Baby. Ty mogłaś zapomnieć, ale ja pamiętam. Zadanie jest pod ręką. Zaczęłaś dobrze.

- Czekaj! - zawołała Radha, spojrzawszy na twarz Kamala, która nagle zbladła i pokryła się potem. Już wcześniej miał takie napady, raz tuż zanim zaczęła się wojna. Teraz poczuła nagle uderzenie strachu, że Kamal znów widzi kłopoty, które dopiero mają nadejść. - Kamal, co się dzieje?

- Czuję się trochę dziwnie, to wszystko - odparł, opierając się o ścianę. - Zrobiło mi się ciemno przed oczami i trudno mi było oddychać. Proszę, nie przerywajcie sobie, to zaraz przejdzie.

Kief śpiewał właśnie swoim silnym barytonem słowa 'jedyną religią jest religia miłości', kiedy drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadło sześciu mężczyzn uzbrojonych w pałki. Prowadziła ich sprzątaczką Radhy.

- Widzicie! - krzyknęła kobieta. - Czczą obcych bogów! Słyszałam ich, a wy na własne oczy widzicie, że to poganie, plamią to miejsce!

Radha skoczyła na nogi. Trzęsła się tak, że ledwo mogła ruszyć się w stronę kosza ze śpiącym dzieckiem. Wydawało się, że każdy krok niesie ją za wolno, jakby szła przez wodę. Ponad ramieniem dostrzegła, że Kamal próbuje zatarasować drzwi własnym ciałem i serce załomotało jej mocno. Mogli go zabić, ale on będzie bronił swojej rodziny. Znów miała to dziwne uczucie dotyczące Kamala - zdawało jej się, że tak niefrasobliwie postępuje ze swoim fizycznym ciałem, bo wie, że prawdziwe życie czeka go gdzie indziej. Może to właśnie

tam był, kiedy przewidział atak, który za chwilę miał się zdarzyć. Nigdy nie rozmawiali o jego darze, gdyż bała się niemal poznać jego źródło.

Najwyższy z mężczyzn z łatwością odepchnął Kamalę. Innych dwóch zatrzymało Kiefa i związało mu ręce na plecach. Mały Ibrihim zaczął płakać, więc Kori schwyciła go na ręce, powtarzając bladymi wargami słowa Om Sai Ram. Wysoki mężczyzna, który odepchnął Kamalę, stanął przed małym ołtarzem i wznosił pałkę z zamiarem roztrzaskania go. Lecz nagle zatrzymał się.

- Dziwne - powiedział i wyciągnął rękę, aby ostrożnie dotknąć zdjęcia. Przez chwilę stał bez ruchu, a potem upuścił pałkę i upadł na podłogę twarzą ku ziemi.

Drugi mężczyzna ujął upuszczoną pałkę i zamachnął się, chcąc zmieść wszystko z ołtarza jednym ruchem ramienia, ale i on zastygł w pół zamachu. Przeszedł wokół stołu i spojrzał na zdjęcie od tyłu z otwartymi szeroko ustami i oczami.

- Podejdźcie bliżej, bracia, i zobaczcie to. - Głos mu drżał, a pałka wypadła z ręki.

Radha uniosła się trochę i spojrzała ponad mężczyznami czołgającymi się u stóp ołtarza. Zobaczyła przelotnie szary proch sypiący się ze zdjęcia. Nagły powiew wiatru zatrzęsł budynkiem i wdarł się do środka przez przymknięte okna. Płomień świecy strzelił w górę prosto, choć płatki róży drżały na wietrze. Z oczu Sai Baby uwiecznionych na zdjęciu spłynął bursztynowy płyn i rozlał się na stole obok świecy.

- To święte miejsce! - krzyknął wysoki i osunął się na kolana. - To jest podobizna Świętego, którego obiecał Bóg - wyciągnął rękę i dotknął palcem najpierw bursztynowego płynu, a potem swoich warg. - Posmakujcie, jakie to słodkie.

- To znak od Boga - powiedział drugi, również smakując płyn.

- Amrita - powiedziała chłodno Kori. - To znaczy, że Bóg jest tu obecny w formie fizycznej. - Podeszła do ołtarza, dotknęła palcem amrity i przyłożyła ją do ust płaczącego dziecka. Ibrihim otworzył szeroko oczy i ucichł.

- Błagamy o wybaczenie - odezwała się sprzątaczką, chwyciwszy Radhę za rękaw. - Przebacz, proszę!

- Pozwólcie przyłączyć nam się do modłów - prosił wysoki. - Będziemy przychodzić ilekroć będziecie się modlić, jeśli tylko nam pozwolicie.

- Tak, tak, oczywiście, wybaczymy wam - Radha nie odrywała oczu od zdjęcia, niemal nie słysząc swoich własnych słów. - On jest Panem i czyni wielkie rzeczy.

Kori przeszła między klęczącymi ludźmi. Płomień świecy otaczał blaskiem jej złotosrebrne włosy, kiedy dotykała czoła każdego z nich popiołem.

- Jakiegokolwiek imienia używasz przed Bogiem - mówiła - niech ci ono przypomina, że Bóg jest wszędzie i że jest miłością. Loka samastha sukhino bhavantu - wyszeptała w sanskrycie. - Niech wszystkie istoty we wszystkich światach będą szczęśliwe.

* * *

Jerozolima

Z czasem niewielka grupka modlących powiększyła się i musieli przenieść się do większego pomieszczenia w centralnej części budynku. Zdjęcie zostało włożone pod szkło, aby uchronić je przed wieloma rękami próbującymi go dotknąć, lecz wibhutti wciąż leciało, kiedy śpiewano bhajany w czwartkowe wieczory, i ludzie z całej Jerozolimy przybywali, aby wziąć go sobie trochę. Amrita pojawiała się tylko w dni święte dla wielkich religii, i w takie dni wszyscy, muzułmanie, żydzi i chrześcijanie zbierali się i razem odprawiali swoje święta przed ołtarzem Baby.

Czasami ludzie przynosili na ołtarz symbole swojej własnej religii, i po kilku latach małe zdjęcie Sai Baby zostało otoczone przedmiotami, takimi jak birmański posążek Buddy, krzyż wyrzeźbiony we Włoszech i menora z domu pewnego rabina, który przyjechał z Zefat, aby zobaczyć cud. Wszystkie przedmioty stały na jaskrawo pomalowanym obrusie, utkanym przez żonę beduińskiego wodza, którego sparaliżowany syn wstał i szedł, kiedy przytknięto mu do ust amritę.

Kiedy Ibrihim trochę dorósł, powierzono mu obowiązek rozkładania wszystkich przedmiotów na ołtarzu w czwartkowe wieczory. Chłopiec pragnął być taki pobożny jak jego ojciec, ale często podczas modlitw bywał niecierpliwy. Kamal pracował jako nauczyciel sztuki w szkole średniej i często po powrocie z pracy przez wiele godzin siedział przed ołtarzem. Czasami Ibrihim przypatrywał się twarzy ojca, która zdawała się jaśnieć od wewnątrz. Matka bywała zdenerwowana częstymi modlitwami Kamala i kiedy nachodził czas kolacji, zaczynała zbyt głośno ustawiać talerze na stole. Wtedy Kamal mył ręce i przychodził do stołu, spokojnie, jakby wciąż jeszcze trwał w tym stanie. Radha pochylała się i dotykała jego ręki, dając mu w ten sposób znać, że ma rozpocząć modlitwę przed jedzeniem.

Kiedyś podsłuchiwał rodziców rozmawiających późną nocą, kiedy myśleli, że już śpi. Radha mówiła podniesionym głosem, więc słyszał każde słowo.

- Skąd mam wiedzieć, że wciąż mnie kochasz, jeśli nigdy tego nie mówisz? Kiedy modlisz się całą noc, zamiast przyjść do mnie do łóżka? To nie klasztor, Kamal. A ja nie mam zamiaru tylko gotować tu i sprzątać.

- Radha, nie kocham cię mniej, dlatego że kocham Boga - Kamal mówił cicho i Ibrihim ledwie go słyszał. - Jak mam ci to wyjaśnić?

- Słowa nie wystarczą - natarła na niego Radha. - Bóg nie ma ciała, a ja tak. Potrafisz to zrozumieć?

- Coś nas dzieli - rzekł Kamal. - Nie potrafię o tym mówić.

- Coś, co ja zrobiłam? Powiedz mi. - Płakała już i mówiła niewyraźnie. - Już nie mogę tego dłużej znieść.

- Powinienem był wiedzieć, że tak się stanie - mruknął Kamal. - To moja wina, nie twoja.

- Wina? Masz na myśli to, że zostawiłeś dla mnie swoich? Daj spokój, Kamal, oni zrobiliby z ciebie kryminalistę. Tak mi przynajmniej mówiłeś.

- Byłem kryminalistą - powiedział wolno. - Nie wiesz co zrobiłem, a ja nie mogę ci tego powiedzieć.

Poszli do kuchni i Ibrihim słyszał jak Radha przestawia filiżanki, a potem syk wody w ekspresie do kawy. Podkraść się do częściowo otwartych drzwi sypialni i wyjrzał przez szparę. Dobrze im tak, że on podsłuchuje. Miał dziesięć lat, za dużo, żeby go kłaść do łóżka już o dziewiątej.

- Porozmawiajmy więc o tym, jak to dobrze jest Bogu i tobie razem. Jakie to patriarchalne i jak wiele wyjaśnia. - Radha głośno przesunęła metalowy taboret po białej, plastikowej podłodze i usiadła na nim. - To takie łatwe. Nie musisz przejmować się mną. Przecież jestem tylko tymczasowym workiem krwi i skóry, i kości, i bynajmniej nie czystym duchem. Kompletny brak doskonałości. Więc łatwo nie wziąć mnie przez pomyłkę za Boga.

Kamal stanął za nią, położył ręce na jej ramionach. Jego twarz była mizerna i blada.

- Powinienem być mnichem, nie mężem - powiedział. - Bóg dał mi taką kobietę, a ja unieszczęśliwiam ją. Co mam dla ciebie zrobić, Radho? Nie jestem mądry w tych sprawach.

- Po prostu dotknij mnie od czasu do czasu - przysunęła jego rękę do swojego policzka. - Czuję się taka samotna.

Nawet Baba już do mnie nie mówi. Ibrihim jest ciągle ze swoimi przyjaciółmi. Czego od ciebie chcę? - odwróciła się, obejmując mocno jego biodra i położyła twarz na jego piersi. - Chcę świętego małżeństwa. Chcę ci towarzyszyć, kiedy idziesz do Boga. Chcę, żebyś mi w tym pomógł, a nie zostawiał w kuchni czy przed teleconem.

- Dobrze - wymruczał Kamal, głaszcząc ją po włosach. - Byłem taki samolubny. I przez cały czas myślałem, że staję się świętym.

Nagle wyprostował się, chwycił za serce i oparł się o zlew, ciężko chwytając powietrze. Radha krzyknęła i podbiegła ku niemu.

- Ibrihim, obudź się! Ojciec ma zawał serca! Chłopak był w kuchni zanim skończyła.

- Mam zadzwonić na pogotowie, mam?

- Nie, nie - powiedział Kamal słabym głosem. - To nie to. Coś strasznego stało się na świecie. Jakby otwarło się niebo i opadła nas ciemność. Szybko, Ibrihim, włącz telecon, musimy się dowiedzieć co się stało.

Radha pomogła mu dojść do fotela przed ekranem, który służył jednocześnie jako telefon, komputer i telewizor. Nie mieli, jak większość ludzi, odbiornika rzeczywistości wirtualnej, który dostarczyłby im trójwymiarowych wrażeń. Kamal stwierdził, że on sam też jest gotowy usunąć się z tego świata i że wolałby, aby Ibrihim nie tracił z nim kontaktu zanim nie doświadczy prawdziwych rzeczy. Radha lubiła podróżować, jak wszyscy to nazywali, i często szła do sąsiadów, aby przenieść się w niemożliwy świat, w który przenosiło ją zwykłe dotknięcie palcem odpowiedniego przycisku. Po rzeczywistości wirtualnej, zwykły świat wydawał się ciemny i nudny. Może, pomyślała, Kamal czuł się tak samo, kiedy ze swoich duchowych wyżyn schodził do ich sypialni.

Usiadła na podłodze, oparłszy głowę o jego kolana, a Ibrihim szukał kanału z wiadomościami. Wieści szły z obszaru, który kiedyś był Tybetem kilka minut, a słowa były zniekształcone.

- Przerwywamy program, aby dzięki chińskiemu satelicie przekazać państwu najnowsze wieści z Lhasy - powiedział głos. - Prywatny samolot, na którego pokładzie znajdował się znany na całym świecie, hinduski przywódca duchowy Sri Sathya Sai Baba, zniknął z ekranu radaru po przekroczeniu granicy z Nepalem. Sai Baba leciał odwiedzić mnichów w himalajskim aśramie. Najprawdopodobniej samolot rozbił się w Ladakh. Z powodu śnieżycy nie można tam wysłać grupy ratunkowej, lecz i tak najprawdopodobniej nikt nie przeżył upadku z wysokości, na jakiej leciał samolot, w chwili, kiedy po raz ostatni był widziany na radarze. Oczekujemy na zdjęcia satelitarne tego zdarzenia. Pozostańcie z nami, podajemy wiadomości całą dobę.

Spiker wziął do ręki coś, co musiało być bio - gazetą i zaczął czytać.

- W ciągu ostatnich dziesięciu lat, Sai Baba zdobył szacunek świata jako rzecznik sprawy zjednoczenia wszystkich religii oraz jako twórca bezpłatnych szkół i szpitali na terenie całej Azji. Liczba jego stronników wynosi co najmniej miliard. Nasza stacja pragnęłaby uczcić chwilę jego odejścia minutą ciszy.

Radha wcisnęła przycisk na pilocie i ekran zmienił się w codzienny obraz przechodzących w siebie barw, który był jedyną ozdobą ich niewielkiego saloniku.

- Zapal świecę przed zdjęciem Sai Baby, Ibrihim - nakazała drżącym głosem.

Kamal usiadł przed ołtarzykiem, na którym stało zdjęcie, kiedy zabierali je z cotygodniowych, czwartkowych obrzędów.

- Nie smuć się - powiedział, a jego twarz znów była spokojna, a oczy pełne światła. - Powiedział, że odejdzie mając 96 lat, i tyle miał.

Ibrihim starał się nie płakać. Miał nadzieję, że któregoś dnia pojedą razem do Indii i zobaczy Świętego, a teraz wszystko przepadło. Tym razem ojciec się mylił. Należało płakać. Miał nadzieję, że nikt nie zauważy, że po policzkach płyną mu łzy, i cieszył się, że nie ma z nim żadnego z jego przyjaciół.

- Nigdy już nie usłyszę jego głosu - szepnęła Radha. - Już nigdy.

Nagle pod zamkniętymi oczami wybuchł znajomy gejzer kolorów i usłyszała słowa: Czy myślisz, że to, iż opuściłem ciało fizyczne oznacza mój koniec? Nigdy nie opuszczę tych, którzy mnie kochają. Nigdy. Ale teraz jestem z tobą inaczej. Poczekaj tylko trochę i ufaj. Znów przypomnę ci o zadaniu.

Radha podniosła wzrok na zdjęcie.

- Spójrzcie! - krzyknęła. - Wibhutti przestało lecieć. Ibrihim wyciągnął rękę i lekko dotknął szkła. Palec pozostał czysty, bez zwykłej szarej plamy.

- Dorosnę w świecie, w którym nie będzie Baby - powiedział, czując do głębi serca powagę tych słów. - Ale będę pamiętał.

* * *

Jerozolima

Radha nie była pewna, dlaczego czuje się taka pusta i smutna. Może to dlatego, że w dzień swoich osiemnastych urodzin Ibrihim ma iść do wojska. Cały dzień czuła, że coś ma się wydarzyć. Radha nigdy nie była psychicznie wrażliwa jak Kamal, i nie miała pojęcia, czy to co ma się zdarzyć będzie dobre czy złe. Powołanie do wojska było wielkim zaszczytem dla młodego Araba, nawet jeśli miał służyć tylko jako tłumacz. Pragnęła być z tego powodu tak szczęśliwa jak jej

wysoki, barczysty syn. Ale nie była. Przemoc i walki na obszarach granicznych były powszechne na całym świecie, a osłabione siły Narodów Zjednoczonych nie były już w stanie zapewnić spokoju na środkowym Wschodzie. Kiedy nadejdzie następna wojna, bo z pewnością nadejdzie, nikt nie będzie bezpieczny, nawet w otwartym mieście Jerozolimie. Może to straszne zdarzenie, od którego dostawała dreszczy miało być kolejną wojną, pomyślała Radha.

Nie chcąc być sama w domu, ubrała się w plastikowe poncho i długi, ręcznie robiony biały szal, prezent od matki na któreś urodziny, i ruszyła w kierunku Kotel, miejsca, w którym naród jej babki zawsze opłakiwał zmarłych. Niektórzy nazywali je Ścianą Płaczu, a Kamal powiedział, że czasami mógł dostrzec łzy, skryte i jawne, spływające z muru jakby same kamienie płakały. No cóż, pomyślała, dziś będą płakały, nawet dla tych, którzy nie są mistykami, bo nadchodzi zimowy deszcz.

Szła szybko, ciasno trzymając płaszcz pod brodą dla ochrony przed deszczem. Padał tak mocno, że spadające krople odbijały się na kilka centymetrów od ziemi wokół jej butów. Kręte, wąskie uliczki Chabad pokryte były błotnistą wodą i zrobiło się ślisko. Po wąskich uliczkach dzielnicy wolno tu było poruszać się tylko samochodom dostawczym, gdyż inaczej wypadki zdarzałyby się na każdym kroku, jeśli wziąć pod uwagę jak nieuważnie jeździli samochodami Izraelczycy. Zatrzymała się przy Ha - Kotel Yeshiva, aby kupić sobie bułkę. Mimo jej starań, nie przyjęto tu Ibrihima. Nawet z nowym, ulepszonym prawem, nie mógł zostać uznany za Żyda, gdyż jego matka do końca również nie była Żydówką. A rodzona babka Radhy umarła jako męczennica, broniąc żydowskich dzieci przed kulami jakiegoś szalonego Araba. Radha potrząsnęła głową, pragnąc aby jej naród usłyszał słowa pojednania Baby. Może któregoś dnia, kiedy

pojawi się Prema Sai, religia miłości stanie się religią wszystkich. To obiecują prorocy na całym świecie, ale dla Radhy ten dzień wydawał się odległy i nierzeczywisty.

Trzymając się poręczy, schodziła schodami ku prastaremu placowi. Uniosła poły płaszcza, aby pokazać uzbrojonym bogom, że nie chowa żadnych bomb. Nawet w deszczu, mężczyźni w czarnych kapeluszach stali przed ścianą po lewej stronie, a kobiety przykładały czoła do ściany po prawej, jakby czerpiąc pocieszenie z dotyku ukochanej osoby. Małe roślinki strzelały zielenią ze szczelin muru, który wyglądał przez to jak żywa istota. Trzy tysiące lat temu te kamienie były zewnętrzną ścianą świątyni Salomona, w dniach, kiedy Żydzi tęsknili do wielkiego królestwa. Teraz, ten niszczyjący relikwiarz niezliczonych ataków przypominał im, jak ulotne są zaszczyty świata, jak pewna jest własna śmiertelność. Radha wepchnęła maleńki zwitek papieru w szparę w murze. Napisała na nim modlitwę za bezpieczeństwo Ibrihima i drugą, za uczciwość i prawdę w jej małżeństwie. Przyłożyła twarz do mokrych, nierównych kamieni. Kamal kochał ją, była tego pewna, ale wciąż tkwił mocno w swoim własnym świecie, nie mogąc czy nie chcąc powiedzieć jej, dlaczego nie mógł jej do niego wprowadzić. Nie pytała go już o to i starała się go kochać nie stawiając żadnych żądań, tak jak Baba tego by chciał. Może, jeśli stanie się lepszą żoną, pomyślała Radha odwracając się od ściany, Baba przyjdzie skądś spoza śmierci i znów do niej przemówi.

Kiedy mijiała wysoki, pociemniały od starości łuk bramy Jaffa, niedaleko budynku Króla Davida, Radha usłyszała metaliczny stukot wystrzałów z broni maszynowej. Zaczęła biec szeroką ulicą Mamillah, objając się o trąbiące samochody. Kaptur odłonił jej głowę, a deszcz przemoczył włosy. Dotarłszy do przeciwnej strony, usłyszała wycie syren.

Kamal, pomyślała, czując nagle zawroty głowy. Teraz musi wracać ze szkoły. Dobry Boże, niech to nie będzie on.

Doszła do rogu i stanęła u wylotu małej, kamiennej uliczki, przy której stał ich dom. Zbierany tłum pochylał się nad kimś, kto upadł. Spomiędzy stóp ludzi wyływała strużka krwi, która w deszczu robiła się różowa. Przepchnęła się przez tłum, wykorzystując ruchy tai chi, tu uderzając lekko kolanem, ówdzie łokciem, i tak torowała sobie drogę.

Wraz z ostatnim pchnięciem stanęła w środku kręgu, gdzie ktoś leżał twarzą w dół. Zanim jeszcze przepchnęła się i odwróciła go, wiedziała kto to.

- Cofnąć się, cofnąć się! - krzyczała, odpychając gapiów tak mocno, że niektórzy upadali. - To mój mąż. Przepuście karetkę! Idźcie do domów! - Serce bolało ją na myśl, że przypadkowi ludzie oglądają jej ból i agonię Kamala. Co sobie myśleli, że to film czy wiadomości, że ból nie ma prawa do prywatności? Zdjęła poncho i zrobiła z niego mały namiot. Pochyliła się pod nim nad mężem i wzięła go w ramiona.

- Dobrze, że przyszłaś, kochanie - wyszeptał, trzymając mocno jej rękę przy piersi, jakby to mogło zatamować płynącą krew. - Muszę ci coś powiedzieć zanim umrę. Musisz to usłyszeć, żeby uwolnić moją duszę. Żebyś wiedziała czym jestem i nie oplakiwała mnie tak bardzo. Wiedziałem, że ludzie Nazima ukarzą mnie któregoś dnia za to, że go opuściłem. To przynajmniej ci powiedziałem.

- Nie szkodzi, nie szkodzi - Radha kołysała się łagodnie. - Chciałabym mieć złagodzić ból. Chciałabym, żeby to mnie bolało zamiast ciebie.

- Nie boli tak bardzo. Chyba jestem w szoku. - Jego twarz przybrała barwę popiołu i ciężko oddychał. - Słuchaj. Nie mogę powiedzieć tego tak delikatnie jakbym chciał. Twoja babka... - przerwał, a Radha otarła różową pianę, która pojawiła się w kąciku jego warg. - To ja ją zabiłem. Każdego

dnia mojego życia błagałem Boga o przebaczenie, ale aż do teraz nie czułem, że uwolnił mnie od winy za tę zbrodnię. Teraz cierpię za to, co jej zrobiłem, i tak powinno być. Dlatego... - głos znów zaczął go zawodzić, ale oczy pozostały czyste i wpatrzone w jej twarz. - Dlatego nie wolno ci mnie oplakiwać, ale masz być zadowolona, że spłaciłem mój dług.

Radha siedziała wciąż kołysząc go mechanicznie, a serce ciążyło jej w piersi niczym kamień. Otworzyła usta do płaczu, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Robi to, żebym za nim nie płakała, pomyślała. Nie, Kamal by nie skłamał. Zacisnęła usta i zapatrzyła się w niego zimnymi oczami. Znałaby swoją babkę, do której miała być tak podobna, gdyby ten człowiek jej nie zamordował. Mogłaby zaznać tego ciepłego zrozumienia, którego nie potrafiła jej zapewnić matka. Miała wszelkie prawo zostawić tego mordercę tu na ulicy, żeby umarł samotnie, jak jej babka.

Oczy Kamala wciąż były otwarte, choć zamglily je łzy. Wyglądał jak człowiek czekający na wyrok, a nie jak ktoś, na kim właśnie wyrok wykonano.

- Mam nadzieję, że Bóg mi wybaczy, bo ty nie możesz. Uwierz mi, Radha, moja miłość do ciebie nigdy nie była kłamstwem. Byłem zbyt słaby, żeby powiedzieć ci prawdę, za bardzo się bałem, że cię utracę.

Nadeszła fala wspomnień. Najpierw Radha ujrzała jak trzyma dłoń w ręce Kamala podczas porodu, który ciągnął się tak długo, że krzyczała o cesarskie cięcie, potem ujrzała jak cierpliwym był dla małego chłopca, który zrzucał książki z półek i rozrzucał jedzenie po podłodze. A jego ramiona, trzymające ją delikatnie przez całe godziny, po tym, jak się kochali. Radha zaczęła płakać, otworzywszy szeroko usta, jak dziecko.

- Nie wiem czy mogę ci przebaczyć. Ale kocham cię, Kamal. Mam nadzieję, że to wystarczy.

- Wystarczy. - Kamal uśmiechnął się lekko i zamknął oczy.

Radha poczuła jak puszcza w niej jakaś tama i przechodzi przez nią blask, jak tej nocy, kiedy wibhutti zaczęło sypać się ze zdjęcia. Widzisz teraz jak miłość znosi karmę, przemówił w jej głowie odległy głos Sai Baby. Droga przyjaciółko, właśnie przerwałaś łańcuch przemocy, który pętał obie wasze dusze przez tysiąc lat. Teraz wszystko się skończyło. Musisz wracać do domu, do rodziców. Zostaw Ibrihima i zrób, co ci powiem.

Ale nie mogę zostawić mego syna, wykrzyknęła ku oddalającemu się głosowi. Nie, głos znów nabrał mocy. To mnie zostawiasz. Pamiętaj, że twoje zadanie wciąż trwa i ma zostać dopełnione gdzie indziej, daleko stąd. Dziś narodził się Prema Sai. Musisz być gotowa służyć mu. Przeszyła ją radość, która sprawiła, że zapomniała gdzie jest i kogo trzyma w ramionach. Radha opuściła głowę i wypowiedziała ciche 'tak', całując męża na pożegnanie.

Przybyła karetka, aby zabrać go do szpitala, lecz Kamal już nie żył. Kiedy Ibrihim wrócił tego wieczora do domu, zastał ciemne, puste mieszkanie. Zanim pojawili się sąsiedzi, aby przekazać mu wieści, miał zamiar obwieścić rodzicom, że właśnie poznał Sarę, czarnowłosą, rumianą piękność z ortodoksyjnej rodziny i że ma zamiar ją poślubić, bez względu na to co powiedzą obie rodziny. Nie poszedł od razu do szpitala, chcąc pożegnać zmarłego ojca w samotności, w miejscu, które dzielili przez osiemnaście lat. Ibrihim zapalił świecę przy zdjęciu Sai Baby i usiadł ze skrzyżowanymi nogami przed nim. Właśnie zaczął się modlić, kiedy ujrzał, że zdjęcie zamgliło się. Pochyliwszy się, Ibrihim dotknął szkła. Na palcu pozostał ślad szarego popiołu, a z oczu Sai Baby znów popłynęła amrita.

* * *

San Francisco

Opuszczając Izrael, Radha nie wzięła ze sobą wiele rzeczy. Nawet jej złoty pierścień z twarzą Sai Baby został powiększony i teraz nosił go Ibrihim. Miała nadzieję, że będzie mu przypominał o tym, żeby prosić Boga o opiekę. Oprócz kilku ulubionych ubrań i książek, zostawiła wszystko Ibrihimowi, przepisała też mieszkanie na jego imię. Trochę czasu zabrało jej wyrobienie paszportu, gdyż nie miała starego. Władze izraelskie skontaktowały się z jej rodziną w Santa Barbara, teraz stolicą Dolnej Kalifornii, aby potwierdzić jej tożsamość. Radha nie czuła się dobrze, podając nazwisko i adres swej rodziny ludziom, którzy mogli to wykorzystać w niewłaściwy sposób, ale nie miała wyboru.

Część San Francisco wychodząca na morze, gdzie przycumował jej statek, była połączona kanałami. Jak w większości miast portowych, San Francisco zaczęło tonąć pod wodami topiącego się lodowca. Most Złote Wrota zawalił się z jednego końca, a pozostała wieża wyciągała swe kable jak opuszczona królowa. Grobla utworzona z unoszących się na wodzie barek niosła pasażerów i ładunek ze statku do budynku portowego, szerokiego i cementowego, usytuowanego między poczerniałymi, wypalonymi starymi budynkami.

Radha chwyciła torbę nerwowo, niezadowolona z szybko zapadającego zmroku. Nie chciała czekać na Philo w tym opustoszałym miejscu. Terminal wyglądał jak pusty hangar, a pod stu pięćdziesięciometrowym, ukrytym w cieniu dachem latały wielkie, czarne ptaki. Większość pasażerów z jej statku pochodziła z okręgu Washington - Columbia, i wszyscy, jak tylko przeszli przez odprawę celną, rozbiegli się szybko do elektrycznych taksówek. Wokół stały niewielkie grupki obdartych punków, przyglądając się pasażerom, więc Radha, nie widząc nigdzie Phila, zdecydowała się czekać w damskiej toalecie. Kiedy podchodziła do drzwi, usłyszała stłumiony krzyk. Zatrzymała się, przeszukując gorączkowo torbę w

poszukiwaniu pojemnika z gazem, w który zaopatrzył ją Ibrihim. Powiedział jej, że ma go skierować w oczy napastnika, a trująca ciecz rozprysnie się na odległość trzydziestu metrów, prosto niby promień lasera. Powiesiła ciężką torbę na lewym ramieniu i kopnięciem otworzyła drzwi.

Trzech krzykaczy ubranych w plastikowe kurtki i obcisłe różowe, fluorescencyjne spodnie, siłowało się na podłodze z czarnowłosą dziewczyną, która wyglądała jakby miała na sobie tęczę. Tęczowe sari, poprawiła się od razu Radha. Dziewczyna zaciskała w rękach brzegi sari, a w jej ciemnych oczach było przerażenie.

Korzystając z zaskoczenia krzykaczy, Radha rzuciła torbę w pierś tego, który się podniósł, kiedy weszła. Upadł na ścianę. Celując dokładnie, prysnęła purpurową cieczą w oczy krzykacza, który odskoczył od Hinduski. Jego twarz natychmiast pokryła się jaskrawą purpurą. Trzeci był zbyt blisko dziewczyny, aby Radha odważyła się użyć pojemnika.

Unikając kontaktu z czasowo oślepionym napastnikiem, który potykał się wokół, przeklinając i próbując bezskutecznie złapać ją, Radha krzyknęła do tego, który trzymał dziewczynę: - Puść ją, albo twoja twarz będzie wyglądała tak jak jego! Szybciej!

Mężczyzna podniósł się do przysiadu i cofnął ostrożnie. Nagle wyprostował się i zwrócił do krzykacza uderzonego torbą, który zdążył się niemal podnieść.

- Hej, patrz! - wskazał na Radhę. - To ona! Ta, którą kazał nam sprowadzić Jason!

Radha chwyciła dziewczynę za rękę i wypchnęła przez drzwi.

- Chodź - powiedziała. - Musimy znaleźć policjanta. - Tęskniła za Izraelem, gdzie wszędzie można było znaleźć uzbrojonych obrońców.

Światła u sufitu rozblysnęły spoza wyblakłych, pozbawionych kolorów osłon. Dwóch innych krzykaczy wyskoczyło z kabin toaletowych poza nią, a żołądek Radhy ścisnął się w ciasny węzeł. Zapomniała większość tego, czego nauczył ją Eddie i nie miała już przewagi wynikającej z zaskoczenia. Chłopcy Jasona, pomyślała. Któż inny mógłby nakazać sprawdzanie paszportów nowo przybyłych?

- Ruszaj się! - krzyknęła do dziewczyny. - Oni chcą mnie, nie ciebie. Wracaj szybko do celników i sprowadź pomoc.

- Ale nie mogę cię z nimi zostawić - odezwała się dziewczyna z wahaniem.

- Nie możesz tu pomóc - Radha kopnęła w kolana tego, który próbował ją zająć od tyłu, ale dwóch innych chwyciło ją za ręce. - Biegnij!

Dziewczyna stała spokojnie z zamkniętymi oczami. Om Sai Ram, powiedziała pewnym głosem.

W drugim końcu budynku otworzyły się gwałtownie drzwi i wpadło przez nie trzech mężczyzn. Jeden z nich był ubrany w habit i dzierżył długi drewniany kostur.

- Ojciec Gregory! - krzyknęła Radha, zatapiając paznokcie w nadgarstkach trzymającego ją mężczyzny. - Philo! Tutaj!

Krzykacze cofnęli się, odciągając również chwiejącą się na nogach purpurową twarz. Szczupła, czarno odziana postać pospieszyła za nimi z rękami ugiętymi w znajomy sposób, gotowa do akcji. Eddie. Przyszedł po nią. Philo wyciągnął ręce i Radha rzuciła się w ramiona brata. Potem odsunęła się lekko, aby przyjrzeć się jego twarzy. Była szczuplejsza niż ją zapamiętała, a pod jedną, wysoką kością policzkową biegła biała blizna, która odcinała się od opalonej, gładkiej twarzy.

- Wyglądasz świetnie, Radha - odezwał się, obracając nią wokół. - Prawie się nie zmieniłaś odkąd odeszłaś.

- Ty też nie. Błogosławieństwo melatoniny. Mam nadzieję, że wiesz gdzie mogłabym dostać jej trochę w tym piekle. Czy Kalifornijczycy nie płacą już podatków czy co?

- Kto tu ma jeszcze pieniądze? - Philo wzruszył ramionami. - A ta dziewczyna?

Radha tak była zajęta Philem i ojcem Gregory, że zapomniała o Hindusce, która zdążyła poprawić sari i stała cicho poza ich niewielkim kręgiem. Przypominała jej kogoś. Po chwili Radha przypomniała sobie kogo.

- Consuelo! - wykrzyknęła. - Ona wygląda jak Consuela.

- Rzeczywiście. - Philo podszedł do dziewczyny i grzecznie powitał ją ze złożonymi dłońmi. - Namaste. To niebezpieczne miejsce dla samotnej dziewczyny. Czy możemy ci pomóc odnaleźć twoich krewnych? Oczekiwałaś kogoś?

- Nie. Powiedziano mi tylko, że mam przyjść. - Dziewczyna miała wielkie, lśniące oczy, a jej gruby, długi do pasa, czarny warkocz był ciasno spleciony. Uśmiechnęła się, a jej twarz rozbliły delikatnie niczym twarz dziecka.

- Kto ci powiedział? Rodzice? - Philo patrzył na nią, zaciekawiony.

- Trudno to wyjaśnić - odparła. - Muszę wziąć moje torby. Zostawiłam je przy odprawie.

- Pomogę ci. - Philo poszedł z nią. Po chwili oboje wrócili, dźwigając dwie błękitne lniane torby z białym znakiem Om Sai Ram na każdej. - Nazywa się Shanti Patel - powiedział Philo z błyszczącymi oczami. - Przyjechała z Puttaparthi, aby zostać misjonarką! Nie wiedziałem, że jesteśmy uważani za Trzeci świat, odkąd powaliła nas epidemia AIDS.

- Dziwi cię to? - Ręka Radhy zatoczyła koło wskazując odrapane ściany budynku. - Nie jest to światowej klasy architektura, co? Mam nadzieję, że następny misjonarz będzie inżynierem.

- Nie jestem tak zupełnie misjonarką - powiedziała Shanti, a w jej dźwięcznym głosie brzmiało zdecydowanie. - Przyjechałam tylko, żeby pomóc, najlepiej jak potrafię.

- Teraz, Shanti, to my chyba pomożemy tobie - oczy Phila i Shanti przez chwilę nie odrywały się od siebie, jakby byli zupełnie sami. - My też jesteśmy wyznawcami Sai Baby. Może to nas miałaś znaleźć. Zabierzemy cię na farmę moich rodziców. Z nami będziesz bezpieczna.

- Ale najpierw musimy szybko się stąd wydostać - stwierdziła Radha. - Ci ludzie znają mnie, Philo. Jason przysłał ich po mnie.

- Jason? Po tylu latach taki jeszcze z niego wierny kochanek? - Eddie Szu stanął obok Radhy i patrzył na nią z radością. - Ma dobry gust.

- To nie miłość, Eddie - odparła podając mu torbę. - To żądza posiadania. Jason myśli, że wszystko, co kiedykolwiek wpadło w jego ręce, musi pozostać na zawsze jego. Tak samo myślą Arabowie o Izraelu. Chodźmy. Sądzę, że mamy nad nimi z dziesięć minut przewagi, w zależności od tego jaki będzie ruch na drogach.

Philo załadował pasażerów i bagaże do pordzewiałej elektrycznej półciężarówki.

- Napędzana promieniami słonecznymi - oświadczył dumnie z siedzenia dla kierowcy - bateria skończy się za jakieś trzy godziny. Do tej pory powinniśmy już dotrzeć do domu. Shanti, siadaj tu, wygodniej.

Hinduska posłusznie usadowiła się obok niego z rękami na kolanach i spokojnie patrzyła przed siebie. Radha westchnęła z tyłu, gdzie siedziała obok Eddiego. Dziewczęta takie jak Consuela i Shanti zawsze miały pierwszeństwo. Ich głębokie, ciche głosy sprawiały, że ludzie robili co chciały, pomyślała Radha, żałując że ma jedynie szorstki, stanowczy głos. Kobiety musiały być delikatne, aby zdobyć miłość,

powiedziała sobie, a w oczach pojawiły się łzy i musiała gwałtownie zamrużyć. Więc kto mógł ją w ogóle kochać, wiedząc jaka jest?

Eddie wyciągnął rękę i dotknął kącika jej oka, a potem warg.

- Cieszę się, że wróciłaś, Radho - powiedział, chroniąc ją ramieniem przed gwałtownymi podskokami samochodu. - Długo czekałem.

Radha oparła głowę na jego ramieniu i spojrzała mu w twarz, czując że nie może oddychać. Więc nie zapomniał jak go kochała, jak on, być może, kochał ją. Teraz nic już ich nie dzieliło, pomyślała, bo była już dorosłą kobietą, której nie musiał obawiać się dotknąć.

- Ja też czekałam, Eddie - szepnęła. - Prawie złamałeś mi serce, kiedy mnie odepchnąłeś.

- Byłaś dzieckiem. - Eddie dotknął jej policzka, lekko i delikatnie. - Nie miałem do ciebie żadnego prawa. Ale nocami, myliłaś mi się w snach z Bogiem. Mam nadzieję, że Bóg nie był tak zakłopotany jak ja.

- Bóg, który stworzył taki świat - powiedziała Radha wskazując na poniszczone samochody i domy pozbawione okien, które mijali po drodze - jest poza uczuciem zakłopotania.

Radha z ledwością rozpoznawała to Santa Cruz, które zostawiła tu dwadzieścia lat temu. Philo wyjaśnił, że autostrady były niebezpieczne, bo grasowały na nich gangi, które bezkarnie rozbijały samochody i mordowały. Boczne drogi były wolniejsze, ale bezpieczniejsze, choć wioski były przeważnie opuszczone albo mieszkali w nich bezdomni, zwykle gwałtowne, bezmózgie dorosłe dzieci matek uzależnionych od narkotyków. Epidemia AIDS, dodał ojciec Gregory, zabrała trzy czwarte dawnej ludności. Wielu z tych, którzy pozostali, żyło w celibacie lub uciekło do klasztorów,

takich jak na farmie jej rodziców, bardziej ze strachu przed terrorem niż z powołania. Muzułmanie, protestanci, każde wyznanie miało teraz swoje klasztory, które oczywiście nie płaciły podatków. Złamany epidemią AIDS system opieki zdrowotnej załamał się, razem z usługami świadczonymi przez państwo, bo nie było wpływów z podatków. Większa część ludności żyła z handlu wymiennego, więc niewiele zostawało na zapłacenie podatków.

- Mówisz, że wszyscy mają broń - Radha nie spuszczała wzroku z Eddiego, kiedy jechali wyboistą, zarosniętą drogą. - Więc dlaczego się nie buntują?

- A przeciw komu? Przeciw jakimś bogaczom w Brukseli czy Jokohamie? - Eddie potrząsnął głową. - Nie. Minęły czasy rewolt. Teraz chcemy tylko obronić siebie przed własnymi sąsiadami.

Samochód jechał teraz wolniej, a światelko baterii migotało. Radha spojrzała przez okno na bujną zimową roślinność. Bładobiałe dzikie kwiaty błyszczały w świetle księżyca, a krzewy oleandra kołysały się wraz z podmuchami wiatru znad oceanu, który niósł za sobą mgłę widoczną już między poszarpanymi krawędziami gór. Serce zabiło jej szybciej, kiedy w górze ujrzała światła domu i klasztoru. Wierne generatory Eddiego wciąż działają, pomyślała, karmione czystą górską wodą, która dawała też życie farmie.

- Wciąż mamy energię, jak widzisz - rzekł Eddie wskazując na dom. - Teraz, kiedy nie już ropy, każdy musiał pomyśleć o alternatywnych źródłach energii.

- Szkoda, że chęć zysku trzyma Amerykę wciąż w dwudziestym wieku - powiedział Philo gorzko. - Reszta świata już dawno przerzuciła się na inne źródła zasilania, a tymczasem my wciąż próbujemy wycisnąć ostatnią baryłkę ropy. A jak z tym jest w Indiach, Shanti?

- Nie tak źle - odparła trochę nieśmiało, najwyraźniej nie chcąc robić niepochlebnych porównań między jego krajem a jej własnym. - Sai Baba, jeszcze w latach 90 - tych, zaprosił amerykańskiego wynalazcę generatora Starbursta do osiedlenia się w Andhra Pradesh, żeby tam pracował. Wtedy energia połączona była dla nas jeszcze zbyt kosztowną przyszłością. Teraz Indie wytwarzają generatory Starbursta dla całej Azji.

- Samoodnawiający się generator De Sola! - Eddie strzelił palcami. Radha spojrzała na niego pytająco, więc wyjaśniał dalej. - Zamiast zamieniać jedną energię na drugą, De Sola generuje ją z zupełnej próżni. Nie powstają przy tym żadne zanieczyszczenia, nie ma też żadnych kosztów paliwa. Słyszałem, że korporacja Eurocom zarabia miliardy na ulepszonej wersji Starbursta.

- Dziwię się, że sam nie wpadłeś, jak coś takiego zbudować - uśmiechnęła się ku niemu Radha.

- Nie mam części. Ostatni człowiek, który umiał robić części, przeszedł na emeryturę dziesięć lat temu - Eddie westchnął. - Wytwarzanie części zapasowych to teraz zapomniana sztuka, jak muzyka pokojowa czy poezja.

Samochód wydał ostatni warkot i zatrzymał się, a niepewne czerwone światełko na tablicy rozdzielczej w końcu zgasło. Philo wysiadł i otworzył im drzwi.

- Jutro będziemy musieli zaciągnąć go traktorem do hangaru słonecznego - zwrócił się do ojca Gregory, kiedy rozładowywali bagaże. - Szczęście, że dojechaliśmy przynajmniej tutaj.

Radha, która obserwowała pełne, delikatne wargi Shanti poruszające się w niekończącym się powtarzaniu Om Sai Ram, była pewna, że szczęście nie miało z tym nic wspólnego. Dziewczyna modliła się przez całą drogę, zapewniając im w ten sposób boską opiekę. Był to ten rodzaj oddania, do którego

szalona i zmienna Radha zawsze chciała być zdolna. Przynajmniej potrafiła być wdzięczna. Podeszła do Shanti i ujęła ją za rękę.

- To niedaleko. Chodź. Chcę, żebyś poznała moją matkę. Polubicie się.

Kiedy Shanti spojrzała na nią swoimi ciepłymi, brązowymi oczami i uśmiechnęła się bez słowa, Radha poczuła nagle radość ze spotkania kogoś znajomego. Pomyślała, że widziała już tę twarz, była z nią już kiedyś, choć może nie w tym życiu. W pamięci pojawił się przelotny obraz kobiety pchającej krzesło na kółkach, na którym siedział chłopiec, gdzieś pośród tłumu, lecz za chwilę wspomnienie znikło niby płomień świecy w przeciągu.

- Czy Baba mówił co masz tu robić? - zaintrygowana się Radha, ściskając mocno rękę Shanti. - Możesz mi powiedzieć. Ja też mam jakieś zadanie do wykonania.

- Wiem tylko, że miałam tu przyjechać i służyć Premie Sai - odparła Shanti. - Podobno urodził się właśnie niedaleko miasta Mysore, ale nikt nie wie kim jest. Trudno jest mi zrozumieć jak mogę mu służyć w Indiach, skoro jestem tutaj. Ale wiem, że nie mogę sprzeciwić się Bogu, kiedy słyszę jego głos.

- Ani ja. - Radha pocałowała ją lekko w policzek i zwróciła się do Philo, który również szedł obok Shanti. - Philo, zaprowadź ją. Ja chcę pójść naprzód i chociaż raz mieć ich tylko dla siebie.

Shanti łatwo wpasowała się do stylu życia Kori. Radha nie była zaskoczona, choć czuła lekką zazdrość. Hinduska uczyła się sanskrytu odkąd miała siedem lat od nauczycieli w Puttaparthi, którzy sami uczyli się od Sai Baby. Każdego wieczoru siadały przed kominkiem i Kori wypytywała ją, poprawiając swoje własne notatki według odpowiedzi Shanti. Philo również uczestniczył w tych sesjach, próbując

odświeżyć swój zardzewiały sanskryt. Nagle poczuł pragnienie wiedzy, jak w dzieciństwie, kiedy chciał zaimponować Consueli. Radha nie chciała uczyć się czegoś, co nazywała martwym językiem, ale przyjęła pomoc Shanti w nauce podstaw telugu, języka, którym mówił sam Sai Baba.

Po kolacji, ona i Philo siadali przy kuchennym stole razem z Shanti i uczyli się zawzięcie dialektu z południowych Indii. Shanti powiedziała, że nie muszą się uczyć czytać, ale dziwnie stanowczo nalegała na to, aby uczyli się w ogóle. Radha zastanawiała się, czy przypadkiem Shanti nie chce, aby Philo mówił w jej własnym języku i w ten sposób mogliby być sobie bliżsi. Obserwowała jak oczy Phila wędrowały na spotkanie Shanti, ilekroć nie był czymś zajęty, widziała jak Shanti schyla wtedy głowę onieśmielona i uśmiecha się. Któregoś dnia, kiedy zbierały jajka w kurniku, Radha postawiła sprawę jasno.

- Czy martwi cię to, że Philo mówi w telugu jak dziecko?
- zapytała Hinduskę.

Shanti wyprostowała się, powiesiła koszyk na ramieniu i dokładnie wytarła ręce w fartuch. Nie jadła jajek z obawy, że jednocześnie może zjeść żywego embriona, ale reszta rodziny nie podzielała jej obaw. Tak trudno było zdobyć proteiny w tych czasach, zwłaszcza odkąd Kori zabroniła wszystkim jedzenia mięsa.

- Chciałabym być bliżej niego, tak - odparła Shanti patrząc w przestrzeń ku błękitnemu brzegowi oceanu. - Ale nie dlatego uczę was oboje telugu.

- Więc dlaczego? - Radha również podniosła się, ostrożnie trzymając jajka w fartuchu, gdyż zapomniała wziąć ze sobą koszyk.

- Powiem ci w domu - odparła nie patrząc na nią i skierowała się ku domowi. - Będę musiała powiedzieć to wszystkim od razu. Trzeba podjąć decyzję. - Wzruszyła

bezradnie ramionami i potrzęsnęła głową. - To dla mnie kłopotliwe prosić ludzi, żeby o czymś zdecydowali.

Tego wieczoru cała rodzina zebrała się wokół kuchennego stołu. Ze strony klasztoru przyszli ojciec Gregory i brat Elias. Eddie Szu usiadł obok Radhy z wyprostowanymi plecami, nie opierając się do końca, jakby gotowy do czynu. Szczupłe ręce położył na kolanach i zapatrzył się na nie z twarzą bez wyrazu, jakby wyrzeźbioną w kości słoniowej. W gęstych, szorstkich włosach pojawiły się przebłęski siwizny, ale na twarzy widniało jedynie kilka bruzd nad ciemnymi, ciężkimi brwiami.

Radha zawsze zastanawiała się, dlaczego Eddie tak często patrzy w dół na swoje ręce, jakby z nich chciał czerpać siłę. Uczestnicząc w mszach w klasztorze, co robiła i po to, by móc patrzeć na Eddiego, i modlić się, Radha obserwowała jego silne ręce złożone na klęczniku i podpierające czoło. Kiedy Eddie modlił się, był jak Kamal, odległy i obecny jedynie w swoim własnym świecie światła. Co ją pociągało w takich mężczyznach, zaczynała się zastanawiać? Czy to, że równoważyli jej zmysłowość i przyziemność, przypominając, jak Baba, że jej ciało nie było wszystkim czym była ona?

Kiedy przyjmował komunię świętą z rąk ojca Gregory, jego twarz odprężała się, a oczy błyszczały. Czasami czuła się winna, że gapiła się na niego podczas tak intymnych chwil, ale patrzenie na Eddiego było dla niej jak sama komunie. Jego siła, dobroć, przypominały jej o Bogu i nie pozwalały zastanawiać się nad tym, co mogłoby być między nimi. Ostatniej nocy śniło jej się nawet, że Eddie rozmawiał z nią i nagle jego twarz zmieniła się w uśmiechniętą twarz Baby. Nie słyszała nawet słów, tak była zaskoczona tą przemianą jednej twarzy w drugą.

Kiedy czekali w kuchni na innych, opowiedziała mu o śnie, a Eddie skinął głową.

- W ten sposób przypomina się nam o tym, żeby traktować siebie nawzajem jak wcielenie Boga. Namaste, Radha - odparł i podniósł jej ręce do ust, lecz nagle odwrócił je wewnętrzną stroną do góry i wolno pocałował. - Pozdrawiam boskość w tobie.

W drzwiach za Eddiem pojawiła się Kori, i Radha widziała, jak uśmiechnęła się lekko.

- Śniliście mi się wy dwoje wczoraj - powiedziała. - Może później opowiem wam o tym. - Kiedy się uśmiechała, po obu stronach jej warg pojawiały się delikatne zmarszczki.

Radha była zadowolona, że podczas tych dwóch miesięcy odkąd powróciła do domu, ona i Eddie ćwiczyli codziennie dwie godziny, dzięki czemu przypomniawszy sobie swoje umiejętności. W ten sposób skupiali napięcie panujące między nimi na czymś innym niż seks, co pozwalało im na osiągnięcie dawnej zażyłości bez niezręczności. Z Eddiem, inaczej niż z Kamalem, Radha czuła, że była z człowiekiem, który zabierze ją z sobą do Boga i nie zostawi jej po drodze. Ale nie powiedziała mu, że go kocha, jak to było z Kamalem, przysparzając im obojgu bólu. Tym razem, przysięgła sobie, poczeka, polecając duszę cierpliwości, jak Eddie.

Ojciec Gregory i brat Elias usiedli obok Eddiego. Za nimi weszli Shanti i Philo, który usiadł obok Kiefa, po drugiej stronie stołu. Ręce trzęsły się Shanti trochę i Philo ujął jedną z nich w swoje.

- Shanti powiedziała mi już, co chce oświadczyć nam wszystkim - zaczął Philo. - Chce, żebym jej w tym pomógł. - Głos miał opanowany, śpiewny i lekki, a jego ton zawsze odrobinę Radhę irytował swoją pewnością i, zdawałoby się, rozbawionym dystansem. Nic dziwnego, że panował nad swoim światem, pomyślała. Nie dawał się ponosić namiętności, z wyjątkiem tej, którą łatwo można było zaspokoić, i która niewarta była tęsknoty czy żalu. Philo

spojrzał na Shanti, a ona skinęła głową. - Ja zacznę - poprosił.
- Zatrzymaj mnie, jeśli coś powiem nie tak. Przede wszystkim
- rozejrzał się wokół stołu - Shanti miała coś w rodzaju wizji.
Przemówił do niej Prema Sai i poprosił, aby mu pomogła.

- W mojej wizji był dzieckiem - odezwała się Shanti spokojnie. - Ale miał głos dorosłego mężczyzny. Powiedział, że mam przywieźć moich przyjaciół do Mysore i pomóc mu. Wymówił trzy imiona, ale zapamiętałam tylko Phila i Radhę.

- Po tym co śniło mi się wczoraj, nic mnie nie zdziwi. - Kori pocierała ręce, gdyż artretyzm dawał jej się bardziej we znaki zimą. Światło nad stołem oświetliło jej srebrne włosy. - Słyszeliśmy plotki, że różne odłamy religii, nawet ruch Sai Baby, próbują odnaleźć nowo narodzone dziecko. To naturalne, że ludzie dążą do władzy, a dla tych odłamów posiadanie świętego dziecka oznaczałoby władzę najwyższą.

- Już kiedyś tak było - mruknął ojciec Gregory, próbując znaleźć pod stołem najwygodniejszą pozycję dla swoich długich nóg. - Inne Wcielenie w innym miejscu. Herod chciał odnaleźć małego Chrystusa, aby go uczcić, jak mówił. Ale tak, to dla władzy ludzie poszukują tego dziecka.

- Nie tylko wyznawcy Sai Baby będą szukać Premy Sai - odezwał się Kief, nalewając sobie szklankę wody. Zapatrzył się w nią, potrząsając siwymi lokami. - Założę się, że politykierzy z całego świata będą chcieli go mieć, a może również jakieś międzynarodowe kartele. Boże, kiedy się tego dowiemy? - Kief potarł z lekka oczy, jakby był jedynie zmęczony, ale Radha wiedziała, że w jego oczach, jak w jej własnych, pojawiły się łzy.

- Więc wszyscy są co do tego zgodni? - Philo zacisnął rękę na ręce Shanti. - Radha? Pojedziesz z nami? - spojrzął nad głową Shanti w przestrzeń, nie na Radhę. Tak właśnie robił, nigdy nie patrzył na ciebie tym swoim przeszywającym, głęboko błękitnym spojrzeniem, pozwalając ci się domyślać,

że spoglądał gdzieś w tajemnicze źródła mądrości, które tylko on potrafił dostrzec.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, myśląc, czekając na głos, któremu nauczyła się ufać. Tylko jedno słowo pojawiło się w jej umyśle i natychmiast znów się rozplynęło. Zadanie.

- Pojadę - oświadczyła. - Ale tak długo byłam sama i dopiero co wróciłam do domu. Ciężko mi znów wyjeżdżać. - Radha zwróciła błagający wzrok ku Eddiemu i mocno zacisnęła wargi, żeby ukryć ich drzenie.

- Nie wiem, czy to ja powinienem jechać - Eddie siedział na brzegu krzesła z wyprostowanymi plecami. - Wiem tylko tyle, że nie chcę znów być daleko od Radhy.

- Ale jesteś jednym z nas - brat Eliasz położył rękę na jego ramieniu. - Zawsze myśleliśmy, że zostaniesz zakonikiem. - Cofnął rękę i westchnął. - No cóż, jesteś potrzebny. Co mogę więcej powiedzieć?

- Święte dziecko może potrzebować lekarza - odezwał się ojciec Gregory. - Jestem stary, ale wciąż silny. Pojadę z nimi.

- I ja też? - oczy brata Eliasza rozbliły, a w głosie zabrzmiała radość. Spojrzał na Kori, na jej zachmurzoną twarz. - Może jednak nie - dokończył pośpiesznie, spuszczaając wzrok.

- Zajmiesz moje miejsce, Eliaszu - powiedział ojciec Gregory. - Myślę, że mnisi będą głosować za. Co ty na to, Kief? Wystarczy ci ludzi, jeśli nas troje odejdzie?

Kief potarł ręce i zapatrzył się w światło, omijając wzrokiem ludzi.

- Myślę o tym odkąd wróciła Radha - odezwał się cichym głosem. - Powiedziała mi, że Jason wie gdzie jest. Już raz przyszedł po nią i przyjdzie znowu. Zgadzam się w tym z Radhą. Już żyjemy na kredyt. On tu ma władzę wojskową, jedyną jaka jeszcze istnieje, i może zrobić z nami co zechce.

Myślę, że cała wasza piątka powinna jechać. Eddie, ty i ojciec Gregory będziecie bronić kobiet.

Radha otworzyła usta w proteście, ale Kief uniósł rękę.

- Tak, wiem, że jesteś wojownikiem, ale pozwól nam być mężczyznami. Będziemy was chronić, czy wam się to podoba czy nie.

- Muszą jechać, i to szybko - Kori wstała i odsunęła dzbanek z wodą. - W moim śnie byli małżeństwem, Philo i Shanti, i Radha i Eddie. Odjeżdżali, kiedy przyszła burza i zniszczyła farmę. Myślę, że mamy niewiele czasu.

- Ożenić się z Radhą? - głos Eddiego drżał. - Mnie też się to śniło. Ale przecież nie mogę oczekiwać...

- Zapomnij o tym, co ludzie kiedyś o tobie mówili, Eddie - rzekł Kief, kładąc ręce na ramionach Eddiego. - W tym domu jesteś kochany. Uwierz w to.

- Jeśli ojciec Gregory udzieli im ślubu jutro rano, to zaraz potem będą mogli wyjechać - oświadczyła Kori bezosobowym, silnym głosem, jakby jej umysł błędził gdzie indziej. - Do jutra wieczór zdążycie dotrzeć do klasztoru w Ukiah.

Radha rzuciła matce szybkie pytające spojrzenie, ale Kori patrzyła w przestrzeń szeroko otwartymi oczami, jakby chciała dostrzec więcej niż ludzki wzrok zdolny jest dostrzec.

- Mogę zaopatrzyć samochód w tę nową baterię słoneczną, nad którą ostatnio pracowałem - Eddie uśmiechnął się do Radhy, a jego wąskie oczy zmarszczyły się w kącikach. - Czy przyjmiesz tego starego, dziwnego Chińczyka, który cię kocha?

- Starego! Pięćdziesięciosiedmioletni mężczyzna nie jest stary - Radha zarzuciła mu na szyję ramiona. - Ja mam trzydzieści siedem lat, wiesz? Nie tak już prosto z pieca. Chodź, Shanti, musimy się spakować.

- Czekaj. Najpierw modlitwa. - Kori zwróciła się ku ołtarzowi, na którym stały obok siebie ikona z Dziewicą i Dzieciątkiem oraz zdjęcie Sai Baby. Nad ołtarzem, na ścianie wisiał półtorametrowy, z lekka tylko obrobiony żelazny krzyż, który był podarkiem brata Eliasza dla Kori. - Potrzebujemy twojego błogosławieństwa, ojcze Gregory. Pobłogosław to zadanie i tych, co odjeżdżają - poprosiła Kori.

Radha podbiegła do matki, a nagły ból ścisnął jej żołądek w ciasny węzeł.

- Dopiero teraz dotarło do mnie, że ani ty, ani tata nie chcecie z nami jechać. - Teraz, kiedy dowiedziała się jak bardzo kocha matkę, miała ją znów stracić. To nie było w porządku, zapłakała bezgłośnie. Całe życie, Aż do teraz coś traciła. Radha z całych sił chwyciła rękę Eddiego, jakby chciała powiedzieć Bogu, że jego nie straci.

Kori patrzyła poprzez stół na męża, czekając aż skinie głową.

- Po osiemdziesięciu latach - zaczęła - wciąż żyjemy. To jest nasze miejsce na Ziemi. Tu możemy umrzeć szczęśliwi. Odeślę innych, ale sama nie będę się chować przed tym, co ma nadejść. - Zapaliła świecę. - Pomódlmy się teraz i idźmy spać. Jutro jest wielki dzień i musimy być na niego gotowi.

Tej nocy, jak i wiele przedtem, Radha śniła o Kamalu. Stał w kręgu znikającego światła z ręką podniesioną w geście, który mógł być błogosławieństwem albo pożegnaniem, Radha nie była tego pewna. Patrzyła jak maleje aż stał się małym jasnym punktem, a potem znikł.

- Taktowny i nie myśli o sobie, jak zwykle - uśmiechnęła się do siebie rano. Pragnęła, aby mu przebaczone, jak ona przebaczała mu każdego ranka, ale nagle zdała sobie sprawę, że nie ma już co przebaczać. Odszedł i miała przecucie, że nigdy już nie wróci. Wstała i przejechała ręką po ciemnozłoty wilgotnych włosach, mając nadzieję, że

wyschną na słońcu, które o siódmej rano było jedynie bladym kręgiem pośród chmur.

Radha nie miała żadnej pięknej sukni, którą mogłaby założyć do ślubu, więc Shanti pożyczyła jej tęczowe sari. Sama ubrała się w płomienną czerwień przetykaną złotem, tradycyjny strój narodowy, który podarowała jej matka w razie, gdyby Shanti wyszła za mąż. Shanti nie spodziewała się tego, powiedziała w rozmowie z Radhą. Czesła swoje długie, czarne włosy sięgające jej do pasa. Jej matka, jednakże, mądrze powiedziała, że w nadchodzącym wieku to nie mnisi i zakonnice będą duchowymi przywódcami, ale zwykli ludzie żyjący w związkach małżeńskich. Może zawsze tak było, stwierdziła Shanti, wplatając we włosy długą, złotą wstążkę, ale wszystko robiono w takiej ciszy i tak skromnie, że nikt nie wiedział, kto niesie światu miłość Boga, która ratuje go przed upadkiem. To właśnie miała nadzieję robić, wychodząc za Phila.

Stojąc przed klasztornym ołtarzem, z Eddiem u boku, Radha wróciła myślami do chwili dawno temu, kiedy ojciec Gregory chrzczył ją. Myślała o tym, co powiedziała Shanti, kiedy ojciec Gregory dał im komunikanty, aby razem je spożyli. Uświęcono ich jako dzieci Boże w tym świecie, ich dwoje będzie odtąd jednym ciałem, jednym instrumentem Boga. Myśl ta przeraziła ją na chwilę, gdyż oznaczała, że nie będzie już powrotu na starą, łatwą ścieżkę. Potem spojrzała Eddiemu w oczy i ujrzała w nich swoją własną twarz odbitą w ich ciemnych głębiach. Wiedziała, że w jej oczach odbija się jego twarz.

- Namaste - wyszeptał, kładąc chleb życia w jej usta i przyjmując go z jej rąk.

Słońce właśnie przedarło się przez chmury, kiedy wyszli z kaplicy i Radha wyciągnęła ręce, chcąc ostatni raz poczuć to, co musiała czuć ziemia i powietrze farmy. Pragnęła

wykrzyczeć dotyk słońca na swojej skórze. Kori objęła ją i wibhutti uczyniła mały znak krzyża na jej czole.

- Niech będą z tobą Jezus i jego Święta Matka - modliła się z zamkniętymi oczami i twarzą uniesioną ku srebrystemu niebu. - Niech święty Sai Baba zawsze cię prowadzi i chroni, moje kochanie.

- Nie zobaczymy się więcej, prawda? - Radha zacisnęła ręce na dłoniach matki, chcąc zostać, ratować ją, umrzeć przy niej raczej niż zostawić ją jeszcze raz, ostatni raz.

- Nie w tym życiu - powiedziała Kori delikatnie głaszcząc wilgotne włosy Radhy.

- Należysz do tych, którzy nie powracają - wyszeptała Radha, patrząc w duże, jasne oczy matki. Nagle wiedziała do kogo mówiła. - Już jesteś z Bogiem.

- Jak my wszyscy jesteśmy - odparła Kori, a jej zmęczoną, pomarszczoną twarz rozjaśnił uśmiech. - Ale teraz musimy pomówić o rzeczach praktyczniejszych - mówiąc to, pociągnęła za sobą Radhę ku domowi, gdzie Shanti już się pakowała. - Pierścień Premy dałam Philowi, jak kazał Sai Baba - zaczęła i powiesiła na szyi córki skórzany woreczek. - Są tu klejnoty twojej babki. Zanim pojechała do Izraela, dała je mnie. Są tu diamentowe kolczyki, szmaragdowa bransoleta, sznur prawdziwych pereł. Perłami będziesz płacić w czasie podróży. Za resztę będziecie żyć w Indiach.

Radha zamknęła dłoń na woreczku i spojrzała na matkę. Kori ufała jej i jej przekazywała odpowiedzialność. Jej, nie Philowi. Przełknęła ciężko, niezdolna do wypowiedzenia słowa.

- To ty podróżowałaś i mieszkałaś za granicą. Inni nie mają takiego doświadczenia - dodała Kori. - Powierzam ci ich. - Spojrzała na słońce i zmarszczyła się widząc nadciągające sine chmury. - Przebierz się szybko i zapakujcie bagaże do samochodu. Nie mamy wiele czasu. Czuję, że nadciąga burza.

Radha, przebrana w stare dzinsy i czarny golf, wcisnęła swoją torbę z tyłu samochodu, zostawiając miejsce dla długich nóg ojca Gregory. Ledwo mógł sobie znaleźć miejsce, kiedy Kief dodał jeszcze torbę zapasów.

Ksiądz niespiesznie zegnał się ze swoimi zakonnikami, a inni czekali przy samochodzie. Na końcu ujął dłoń brata Eliasza.

- Kiedy nadejdą kłopoty - rzekł - musisz zabrać braci i ukryć się w jaskiniach, gdzie trzymamy zapasy na zimę. Kief powiedział, że mnisi nie są po to, aby walczyć. Niech klasztor przetrwa, bracie Eliaszu. Nie ma już żadnego biskupa, który mógłby cię wyświęcić, ale ja, mocą mojej władzy, ogłaszam cię księdzem.

- Nie mam zostać, aby bronić Kori? Aby z nią umrzeć? - twarz Eliasza postarzała się nagle. - Jak mogę nie zostać?

- Winny jesteś posłuszeństwo, ojciec - oświadczył stanowczo ojciec Gregory. - Chcę, abys mi to przyrzekł. Ty i inni bracia macie tu zostać, póki nie przyjdzie Pan.

- Przechowaj je dla mnie. - Kori podała Eliaszowi ikonę z ołtarza i zdjęcie Sai Baby.

- Macie oboje moją obietnicę - Eliasz westchnął.

Ciężarówka skierowała się ku mniej uczęszczanej drodze prowadzącej w góry, a reszta niewielkiej społeczności długo za nią patrzyła. Gdyby chciał przyjechać, Jason wybrałby łatwiejszą, południową drogę. Kori ujęła rękę Kiefa, stwardniała od ciężkiej pracy, jaką oboje włożyli w swój ukochany dom. Spojrzała mu w oczy.

- Myślę, że oboje nie zobaczymy jutra, mój kochany

- powiedziała jasnym i radosnym głosem. - Przeżyjmy dzień dzisiejszy dobrze.

- Nie boisz się? - Kief położył ręce na jej ramionach.

- Ja boję się o ciebie.

- Zapominasz - uśmiechnęła się Kori - że pochodzę od ludzi, którzy wymyślili Gotterdammerung, upadek świata w chaos. Chodźmy, kochany. Uśmiechnij się. Jesteśmy w rękach Boga.

Juan i Candelaria, twardzi jak szorstkie sosny górskie, podeszli do nich wraz z szóstką młodszych mężczyzn i kobiet, którzy osiedlili się na farmie w ciągu ostatnich kilku lat.

- Co mamy robić? - zapytała Candelaria, dzierżąc w sękatych rękach stary, starannie wyczyszczony winchester Kiefa. - Nie jesteśmy żołnierzami, ale odganialiśmy niedźwiedzie i wilki, więc możemy odgonić też ludzki pomiot.

- Macie odejść razem z zakonnikami - oświadczył Kief, porozumiewawszy się wpierw wzrokiem z Kori. - Będą was potrzebowali, żeby zacząć wszystko od nowa. Zabierzcie całe zapasy żywności z kuchni i koce.

- My musimy tu zostać - dodała Kori. - Widząc nas, napastnicy pomyślą, że nikogo więcej tu nie ma. Ale jeśli zastaną pusty dom, wytropią nas wszystkich w górach.

Candelaria była na tyle mądra, żeby nie protestować. Ujęła twarz Kori w obie dłonie, pocałowała ją w usta i weszła do domu. Inni zegnali ich bez słowa. Kori i Kief stali sami, patrząc na siebie. Nie odprowadzili wzrokiem małej społeczności prowadzonej w góry przez zakonników. Ostatnia osoba zacierała ślady za grupą.

Pierwsze ciężkie krople deszczu zaczęły spadać z niskiego nieba, kiedy usłyszeli odgłos jadących ciężarówek.

- Chcę wejść do mojego domu - powiedziała Kori śmiejąc się cicho. - Nie powinno się witać gości na deszczu.

- Skąd możesz wiedzieć kto to? - Kief podążył za nią, pochylając głowę w niskich drzwiach. Wciąż był bardzo wysoki, choć liczył sobie już osiemdziesiąt lat. - Ty naprawdę wiesz, prawda?

- W starych legendach mojego narodu - zaczęła Kori, zdejmując długi metalowy krzyż ze ściany nad ołtarzem - Skandynawowie zawsze wiedzieli, kiedy nadchodził ich kres. - Uśmiechając się, dotknęła wargami krzyża i podeszła do drzwi. - Może i we mnie pozostała jeszcze pamięć dawnych czasów.

Kief stał obok niej w drzwiach, patrząc jak gromada czarno odzianych mężczyzn wyłania się zza skały niby chmura szarańczy. Ochryple okrzyki rozległy się w wilgotnym, ciężkim powietrzu, a przed nimi stanął wysoki, szczupły jasnowłosa mężczyzna.

- Radzę brać żywą! - krzyknął. - Reszta jest wasza!

- Nie mogę - głos Kiefa drżał. - Nie mogę stać tu i patrzeć jak będą cię zabijać. - Krzyknął głośno i wybiegł na spotkanie najeźdźców, machając rękami, aby zwrócić ich uwagę na siebie.

Napastnikom najwidoczniej nakazano oszczędzać cenną amunicję. Kiedy zobaczyła jak Kief zostaje podcięty kolbami karabinów, w oczach i duszy Kori pojawiła się płomienna furia. Wyprostowała się na całą wysokość prawie metra osiemdziesięciu, jak w młodości. Kiedy pierwszy z mężczyzn biegł ku niej, ujęła żelazny krzyż w obie ręce i zamachnęła się nim jak mieczem, zwalając napastnika na ziemię. Trzeciego uderzyła w czoło z okrzykiem, który wstrząsnął jej duszą.

- Teraz mogę spokojnie iść do Boga. Wrócę tu, aby służyć Panu, kiedy nadejdzie in gloria Dei patris.

Jason stał poza zasięgiem krzyża. Strzelił prosto w brzuch starej kobiety. Osunęła się w drzwiach, tuląc krzyż do siebie.

- Om Sai Ram - wyszeptała z uśmiechem na ustach i zamknęła oczy. - Nie znajdziesz mojej córki, biedny człowieku. Powróciła do źródła. - Kori czuła jak krew pulsuje jej w głowie. Usłyszała dźwięk, jakby walił się wielki dom.

Zanim podłożył ogień pod zabudowania, Jason długo patrzył na spokojną twarz kobiety, którą zabił. Jego własna twarz wykrzywiła się z wściekłości, kiedy kolbą swojej strzelby walił w jej pokrwawione ciało. Consuela nie będzie miała za czym tęsknić, powiedział sobie, teraz, kiedy starej już nie będzie. Z góry cieszył się na to, że powie tej najbardziej odległej i niepokornej ze swoich żon, że kobieta, którą kochała jak matkę, nie żyje.

Później, kiedy napastnicy odjechali pozostawiwszy za sobą tłące się ruiny, wrócił ojciec Eliasz i inni, i długo chodzili wśród popiołów, póki nie znaleźli tego, co pozostało z Kori. Wciąż leżał przy niej żelazny krzyż, wciąż ciepły pod dotknięciem ręki. Eliasz pochylił się nad nią w cichej modlitwie i poznaczoną błękitnymi żyłami dłonią dotknął jej włosów.

- Pochowamy ją i Kiefa pod tym krzyżem, na wzgórzach, gdzie będą mogli czuć wiatr od oceanu - powiedział. - Nowy klasztor zbudujemy na ołtarzu z jej kości. Requies aeterna... - Eliasz zaczął śpiewać pieśń za zmarłych, klęcząc pośród szarych popiołów. Zimowy deszcz zmienił ziemię w błoto i przygotował ją pod zasiew.

* * *

Tura, południowy Liban

Nazim upuścił list Consueli i schował twarz w dłoniach. Siedział na stercie poduszek, które Yasmin ułożyła dla niego w rogu namiotu. Zimny wiatr wiejący z gór wdarł się do środka i Nazim zadrżał. Bez rozkazu, Yasmin przyniosła mu gorącą herbatę, którą podgrzała na prymitywnej kuchence, i usiadła obok niego. Poklepał ją po ramieniu w roztargnieniu, chcąc jej okazać, że docenia jej usługi. Yasmin zawsze pragnęła być zauważana i wciąż wtrącała się w jego rozmyślenia z pytaniami, czy aby czego nie potrzebuje. Jego żona pragnęła, aby poświęcał jej więcej uwagi, domyślał się,

tak jak on pragnął ciszy. Próbowwała robić to, co, jak sądziła, zrobiłaby Fatima, i nie było jej winą, że nie miała owego instynktu, który podpowiadał Fatimie kiedy powinna się usunąć.

Biedna Yasmin, musi być jej niełatwo, pomyślał Nazim rozglądając się po bynajmniej nie luksusowym namiocie. Mieszkali w wiosce położonej niedaleko nowo wytyczonej granicy z Izraelem. Trzy lata wcześniej zaproponował oczywiście, że umieści ją w domu, który zostawił w Ammanie, ale ona zdecydowała, że zostanie z nim. Musiała uważać go za głupiego starego człowieka, który pragnął umrzeć pośród swoich ludzi, dzieląc ich biedę, skoro nie potrafił jej zaradzić. Dzięki wielkim planom przeszłości udało mu się przesiedlić większość arabskich uciekinierów, ale w jakiś sposób wciąż byli oni tak biedni jak poprzednio, wciąż żyli w namiotach, wciąż trzymali niedobitki stad i uprawiali małe ogródki warzywne.

Spojrzał ponownie na list, naciągając na chude ramiona zniszczony koc wojskowy. Czy do tego doszła Partia Boga odkąd on i Homer Healey doprowadzili ją do świetności czterdzieści lat wcześniej? Zamordowanie dwojga starych ludzi i spalenie ich farmy tylko po to, aby znaleźć kobietę, na punkcie której Jason miał obsesję? Jason nie tyle pożył Radhy, stwierdził Nazim, ile zemsty na niej. Obraziła Jasona odrzucając go, a za to on zabił jej rodziców. Głupi syn głupiej matki.

Nazim zamknął oczy i spojrzał w ciemność. On sam był głupi pokładając nadzieje w Jasonie, gdyż ten młody człowiek był barbarzyńcą, kimś, kto nigdy nie zrozumiał Pism, których nauczał go wraz z imamem, kiedy on wiercił się na lekcjach z niecierpliwości. Nazim zdał sobie sprawę, że lepiej by zrobił jadąc do Paryża, teraz stolicy Wspólnoty Europejskiej, i

wpłynął na jego wschodzącą gwiazdę, Broma Strassbourga. Popełnił błąd wybierając Amerykę.

- Budowli bez trwałej podstawy - pomyślał na głos - nie buduje się wysokiej. A jeśli to robisz, drżysz.

- Ty z pewnością się nie boisz - Yasmin dołąła mu herbaty, choć tego nie chciał. - Nigdy niczego się nie bałeś.

- Nie wiesz - mruknął - jak bardzo boję się tego, że niewłaściwie służyłem Allahowi. Tylu zginęło przeze mnie, a tak niewielu jest lepiej.

- Masz może na myśli Kamala? - zaryzykowała. Roztarła jego zimne stopy, co robiła często, gdyż zawodził jego układ krążenia.

- Byłoby dla mnie wielką ulgą, gdyby Kamal był tu teraz z nami. Człowiek, który go zabił, chciał mnie tym ucieszyć, a tymczasem odebrał mi jedyną pociechę, jaką mogłem mieć na starość. - Spojrzał szybko na nią, nie chcąc urazić jej uczuć. - Oprócz ciebie, kochanie, oczywiście. Przynieś mi teraz stolik do pisania. Muszę odpowiedzieć Consueli.

Nazim miał wiele do powiedzenia kobiecie, która prowadziła dom Jasona i która miała na niego większy wpływ niż ktokolwiek inny. Powinna się dowiedzieć o kilku sprawach, które wydarzyły się na świecie, a które w umyśle Nazima układały się w pewien wzór. Małe narodowe i plemienne rządy Zachodu stopniowo zaczynały być ekonomicznie zależne od rozległej sieci Wspólnoty Europejskiej, i Nazim przeczuwał zagrożenie dla nieuprzedzonymu światu muzułmańskiego. Europejczycy byli w posiadaniu potężnego centralnego, jak go nazywali, generatora Starbursta, który kontrolował wszystkie mniejsze generatory od Anglii aż po Syberię, niemal eliminując użycie ropy. Brom Strassbourg, który go zbudował, teraz panował nad Europą i najwyraźniej miał zamiar zapanować nad światem. Bardziej prymitywny, azjatycki

Starburst mógł pracować niezależnie, ale nie był dość potężny, aby dać radę bardziej wymagającym i wszechstronnie połączonym ze sobą gałęziom technologii Zachodu. Do tego potrzebny był centralny układ Broma Strassbourga. I Wschód, i Zachód odwracały się od paliw kopalnych. Teraz, kiedy tak mało zostało i potrzebowano ropy, Arabowie nie mieli nic do zaoferowania, nic z wyjątkiem siły pociągowej.

Jason dobrze by zrobił, gdyby połączył swoje upadające terytorium z Azją, pisał Nazim do Consuela, gdyż wtedy kraje muzułmańskie zdobyłyby dostęp do nowego generatora powstającego w Indiach, nie płacąc przy tym europejskich cen za wątpliwą korzyść przyłączenia się do centrum Strassbourga w Paryżu. Consuela, sugerował, dobrze zrobi zwracając oczy Jasona ku Pacyfikowi i zachęcając przedstawicieli z Malezji i Indonezji do zainwestowania większych sum w Dolnej Kalifornii, zanim ten rejon pograży się w biedzie, chorobach i przemocy. Do tego dochodzi jeszcze nieustanna groźba suszy, gdyż Healies z północy odcięli San Francisco od zapasów wody. Źle jest nie mieć wody. Jeszcze gorzej - nie mieć charakteru. Westchnął i zakończył list uprzejmymi pozdrowieniami dla Jasona.

Nazim nakazał Yasmin wysłać list, po czym położył się i zapatrzył na poruszające się na wietrze ściany namiotu z wielbłądziej skóry. Niektórzy miewali koszmary, pomyślał, ale on widział gorsze jeszcze wizje, i to na jawie. Lepiej, kiedy człowiek śpi niż kiedy czuwa, powiedział sobie, czas umrzeć.

Consuela zdawała się wiedzieć, że potrzebował pocieszenia, zupełnie jak Fatima. Studiowała pisma wielu religii i często pisała mu o tym, czego się nauczyła. Tym razem przysłała zdjęcie, jak mówiła, Premy Sai, wielkiego proroka, który niedawno narodził się w Indiach. Zdjęcie - Nazim przyjrzał mu się dokładnie - wyglądało jak portret

Jezusa, mężczyzna na nim miał długie, ciemne włosy i krótką brodę. Nazim nie rozumiał jak ktokolwiek mógł przewidzieć, że dziecko - - prorok będzie wyglądało jak dorosły mężczyzna, ale twarz na zdjęciu przemawiała do niego w przedziwny sposób. Nazim wciąż przyglądał się zdjęciu. Może ten prorok przybywał, aby ogłosić zbliżanie się dni ostatnich, nadejście Sądu Ostatecznego, pomyślał przypominając sobie słowa Koranu, który mówił, że tego dnia ziemia zatrzęsie się w ostatnich konwulsjach, a ludzie zostaną spaleni w rozszalałym ogniu. Ten dzień na pewno był bliski, gdyż trzęsienia ziemi zdarzały się wszędzie, a słońce paliło z niespotykaną wcześniej intensywnością, gdyż Ziemia była coraz słabiej ochraniajana przed promieniami ultrafioletowymi. Ale może, myślał Nazim, a serce drżało mu jak wejście do namiotu na wietrze, może Sąd Ostateczny to tylko chwila, kiedy człowiek umiera, chwila spotkania z żywym Bogiem, który wypełni zmysły jak południowe słońce.

W każdym razie, ten prorok z Indii, ten Prema Sai, przypomni umierającym, że powinni uchronić się przed palącymi płomieniami przeznaczonymi dla niesprawiedliwych. O, nie pozwól, abym okazał się być jednym z niesprawiedliwych, modlił się Nazim z oczami pełnymi łez. Wstaw się za mną u Boga, proroku o łagodnej twarzy, bo ponad wszystko pragnąłem sprawiedliwości i prawdy. Wpatrując się w głębokie, ciemne oczy Prema Sai, zdawało mu się, że słyszy słowa Koranu, brzęczące w uszach niby delikatne skrzydełka pszczoł. Synu, przed Bogiem wszystko zostanie wyjawione, nawet jeśli zostało ukryte głęboko w skale... On jest zawsze łaskawy. Nazim uśmiechał się zasypiając, i miał nadzieję, że Yasmin nie zmartwi się za bardzo, kiedy nie będzie mogła go dobudzić.

* * *

Paryż

Brom Strassbourg patrzył na panoramę Paryża rozpościerającą się z okien biurowca Eurocomu. Z tego właśnie budynku prowadzono sprawy przemysłu krajowego i światowego, i to właśnie Brom Strassbourg je prowadził. Mam zaledwie czterdzieści lat, a już jestem na szczycie, pomyślał krzyżując na piersi potężne ramiona i głaszcząc bicepsy pod cienkim, połyskliwym kombinezonem z mieszanki poliestru i jedwabiu. Kilku jego dyrektorów starej daty wciąż nosiło luźne, nudne, dwuczęściowe garnitury modne w wieku XX, ale większość z nich, jak on sam, pracowała dwie godziny dziennie i ci chcieli ubrań, które by świadczyły o ich wysiłkach. Był szczupły i dbał o siebie równie troskliwie, jak o swoje interesy. Mając dwadzieścia lat, zaprojektował 'generator główny' Starbursta, który połączył i pomnożył moc wszystkich generatorów w Europie. Kiedy miał lat trzydzieści, jego korporacja wytwarzała generatory kompatybilne z generatorem głównym, podczas gdy generatory azjatyckie nie miały tej właściwości. W rezultacie, zaczął kontrolować Eurocom, starą Wspólnotę Europejską od Wysp Brytyjskich aż po Syberię. Obecnie miał włączyć Azję w swój skomplikowany network. Potrzebował jedynie zgody Narodów Zjednoczonych, aby przenieśli swą tymczasową siedzibę w Tokio do nowego, budowanego ze szkła i włókien szklanych budynku, który właśnie wyrastał obok biurowca Eurocomu w Paryżu.

Z ekranu wydobył się cichy dźwięk, a on skinął głową, aby włączyć odbiornik.

- Sekretarz generalny Narayana Tewati - rozległ się pogodny tenor jego sekretarza. - Z Narodów Zjednoczonych - zakończył niepotrzebnie, niepewny ile powinien powiedzieć.

Brom sam otworzył drzwi, nie chcąc, aby sekretarz generalny, nadzwyczaj grzeczny i łagodny starszy człowiek z Madrasu, pomyślał, że bierze wszystko tak poważnie, jak to w

istocie robił. Usiadłszy, Tewati spojrzał na Broma spod cienkich, białych brwi uniesionych teraz pytająco.

- Delegaci przysłali mnie, abym powiedział panu, że Narody Zjednoczone przeniosą się tu jeszcze w tym roku, jak pan... - przerwał, zastanawiając się nad właściwym słowem - ...sugerował.

- Doskonale, świetnie - Brom złączył dłonie i przeszedł się po pokoju, a energia rozpierała jego wysokie, umięśnione ciało. - Nie będziecie tego żałowali.

- Japończycy - Tewati uniósł dłoń - nalegają na zatrzymanie podwodnej bazy na ich Hawajach. To sprawa dumy narodowej, pan rozumie. Rozkazy będą pochodziły stąd i oni to wiedzą.

Brom usiadł na biurku i wyciągnął stopy w kierunku sekretarza generalnego. Wiedział, że dla Hindusa jest to gest obraźliwy, ale to go nie powstrzymało.

- Rozprawimy się z lokalną jurysdykcją później - oświadczył. - Jak tylko Japończycy zrozumieją, że tu jest centrum wszystkiego.

- Nie podoba im się pańska decyzja o tym, że każdy, kto zajmuje się handlem, musi mieć zrobione zdjęcie holograficzne. - Tewati położył ręce na kolanach, a Brom dostrzegł, że u podstawy kciuka nie miał wszczepionego małego błękitnego procesora. - Muszę stwierdzić, że mnie również się to nie podoba. Może jestem męczącym, starym człowiekiem, ale nie widzę żadnego celu w tym oznakowaniu.

- Zapobiegnie ono kradzieżom i defraudacjom. Każdy, kto ma pieniądze, będzie sobie mógł pozwolić na tę operację - powiedział Brom zimnym, opanowanym głosem. - Jeśli chodzi o innych, to nie ma to znaczenia. Niech się zajmują handlem wymiennym, niech głodują. Nowy świat będzie lepiej wyglądał bez nich.

Tewati westchnął i przekręcił ciężki, złoty pierścień na środkowym palcu, patrząc na namalowany na nim wizerunek czarnowłosego człowieka.

- Ja sam znajdę się w ich liczbie - powiedział. - Dziś wieczór wręczonej moją rezygnację podczas Zgromadzenia Generalnego.

- Wolałbym, żeby pan został - oczy Broma zrobiły się zimne. - Przynajmniej póki znak handlowy nie zacznie być wszczepiany na całym świecie. Wolałbym. - Kiedy mówił dwukrotnie, że wolałby coś, wszyscy wokół wiedzieli, że dostanie czego chce.

Tewati niewiele wiedział o taktycznych sztuczkach Broma, a obchodziły go one jeszcze mniej.

- Jednakże ja wolałbym odejść - wstał. - Mówi się, że wcielenie Boga narodziło się w moim kraju. Chcę go odnaleźć i zakończyć życie służąc mu. Służba Narodom Zjednoczonym, jak się obawiam, stała się bardziej służbą dla Eurocomu i interesów bogaczy.

Zamierzając zrobić użytek z piętnastu centymetrów przewagi, Brom zagroził mu drzwi.

- Jest pan trzecią w tym tygodniu osobą, która powiedziała mi o tych narodzinach - powiedział, a jego uśmiech nagle stał się piękny. Brom Strassbourg, kiedy uśmiechał się szerokim, białym, jasnym uśmiechem, stawał się innym człowiekiem. - Chcę wiedzieć gdzie mogę go znaleźć. Czy może mi pan to powiedzieć?

- Urodził się w tym roku koło Mysore - odparł starszy mężczyzna po chwili. - Jeśli chce się pan dowiedzieć więcej, będzie pan musiał dowiedzieć się na własną rękę. A teraz, jeśli pan wybaczy...

Kiedy Tewati odszedł, Brom znów zatarł ręce. Jeśli dziecko - prorok miało pojawić się w Indiach, pomyślał, to takie dziecko mogło zaćmić rosnący wpływ Sai Baby i

zwrócić setki milionów ludzi na całym świecie ku nowemu przywódcy, który stałby się religijnym symbolem nowego porządku. Chińczycy znali potrzebę istnienia symbolu, którym można by manipulować, kiedy zabili Dalaj Lamę i na jego miejscu umieścili jego brata. Ci chrześcijanie, muzułmanie i żydzi, którzy teraz byli również wyznawcami Baby, w większości zachowali również swoją własną wiarę i jednocześnie wyznawali niepraktyczny ideał Baby służby i zapomnienia o sobie. Brom zamierzał zdobyć tych ludzi dla swego komercyjnego imperium, w którym pieniądz był jedyną nagrodą za pracę. Tylko wtedy mógł ich kontrolować. Tymczasem miliony służyły w bezpłatnych szkołach i szpitalach Baby, które pojawiały się w każdym kraju, i które utrzymywali sami wyznawcy Baby. Z pewnością będą przeciwni planom Broma dotyczącym znaku handlowego, chyba że będzie mógł zaprezentować im nowego i bardziej elastycznego przywódcę duchowego.

Zabranie dziecka i właściwe go urobienie nie powinno sprawić żadnych trudności. Brom nakaze swoim agentom w południowych Indiach śledzenie Tawatiego, kiedy stary dotrze do Mysore, postanowił siadając przy biurku i uruchamiając memoekran. Czekał na połączenie, dotknął palcami nowego znaku handlowego, który wkrótce znajdzie się na ręce każdego businessmana i handlowca na świecie. Sam go zaprojektował; miał przedstawiać trzy grupy, a w każdej z nich sześć narodów, które wchodziły w skład Eurocomu. Symbol był prosty i uniwersalny: trzy zjednoczone szóstki tworzące słoneczne koło, trzy zakrzywione ogonki i słoneczna tarcza pośrodku. Proste i przyciągające. Nawet duchowe, można powiedzieć.

* * *

Ukiah, Kalifornia

W wieczór swojego ślubu Radha stała w mrocznej kaplicy klasztoru Przemienienia, a twarze na złoto obramowanych ikonach patrzyły na nią swoimi ciemnymi, zaciekawionymi oczami, a głęboki bas głosów mnichów brzmiał w jej uszach jak szum wielkiej muszli. Jakże podobałoby się to miejsce matce, pomyślała Radha i oczy zaszyły jej łzami. Zamrugła, aby je odgonić, pociągnęła nosem i pomyślała uspokajająco, że Kori i Kief ukryją się w jaskiniach przed atakiem ludzi Jasona, że będą bezpieczni. Zawsze tak robiła, już jako dziecko, wymyślała historię o tym, jak by chciała, żeby coś się potoczyło. Taka historyjka była przynajmniej lepsza niż ukłucia bólu, powódź niespokojnych myśli, w których utonęłaby, jeśli nie mogłaby utrzymać ich na odległość ramienia.

Westchnęła drżąco i otarła twarz szorstkim rękawem czarnego swetra. Eddie ujął drugą jej rękę i trzymał na swoim sercu, a wzrokiem śledził mnicha machającego złotą kadzielnicą, z której wydobywała się ciemna smuga dymu.

- Unieśmy ku Bogu ręce w wieczornej posłudze - zaintonował słowa liturgii, potem spojrział na nią wzrokiem tak ciepłym i intensywnym, że Radha nie mogła oderwać od niego oczu.

Czuła, że zaprasza ją do komunii tak całkowitej, że pochłonie ją całą, i nie wiedziała jak mu odpowiedzieć. Dla takiego człowieka będzie musiała poznać swoją i jego boskość, odsunąć swoje ego i jego gierki, i małe pragnienia. Eddie zapraszał ją do oddania się małżeństwu, które było czymś więcej niż złączeniem ciał. Shanti wyjaśniła jej, że kiedy jej rodacy konsumowali małżeństwo, mężczyzna stawał się bogiem, a kobieta boginią. Jak piasta i szprychy w kole, powiedziała Shanti, razem toczą ognisty rydwan ku błogości. Nie pozostawiają za sobą żadnego oddzielnego śladu.

Radha poczuła jak na dźwięk tych słów przebiega ją, dreszcz, gdyż głęboko w niej drzemała potrzeba zachowania odrobiny siebie, dla poczucia bezpieczeństwa. A jeśli Bóg, w najlepszej intencji, oczywiście, chciał pozbawić ją wszelkich ziemskich przyjemności i bezpieczeństwa? Puściła rękę Eddiego i chwyciła woreczek z klejnotami, który miała zawieszony na szyi. Nie zniosłabym takiej bezradności, takiego cierpienia, modliła się w duchu. Nie jestem dość silna. To był prawdziwy powód, dla którego nie potrafiła zaufać do końca. Policzki zaczerwieniły się jej ze wstydu.

- Obmyj mnie hyzopem, a będę czystsza niż śnieg - zaśpiewała. Jej szorstki alt zmieszał się z barytonem Eddiego, a złoto odziany ksiądz pokropił ich święconą wodą. Ogarnęła ją nostalgia za żydowskim ślubem pod kanopą, którego nigdy nie miała, za słowami, które powiedział jej wuj Chaim: „Czczę cię całym moim ciałem”.

W ich pokoju, celi z dwoma wąskimi łózkami, które złączyli, Radha usiadła obok Eddiego i spróbowała wyjaśnić mu co czuła i do siebie, i do niego. Chciała uwolnić się od duchów przeszłości i pragnień terażniejszości, które miotaly nią jak wiatr liściem, lecz wciąż nie potrafiła wypowiedzieć modlitwy Marii, jak to zrobiła Kori: „Niech się dzieje wola twoja. Proszę cię, Panie, o wszystko, co pozwoli mi zjednoczyć się z Tobą.” Zadrzała w sercu na słowo 'wszystko' i nie mogła dokończyć modlitwy oddania się. Patrzyła na Eddiego smutnymi, pałającymi oczami i opuściła ręce na kolana.

- Niech się dzieje wola moja - tylko te słowa przyszły jej do głowy, lecz zbyt była nimi zawstydzona, aby wypowiedzieć je na głos.

- Może zaczniesz od innego poddania się - powiedział delikatnie, głaszcząc ją po włosach.

- Tobie? - zapytała, niepewna jak Eddie wyobrażał sobie małżeństwo i podejrzewając, że może będzie chciał wprowadzić jakieś orientalne zwyczaje, na przykład całowanie przez żonę stóp męża.

- Nam - odparł i pocałował ją delikatnie w usta. - Temu, czym możemy stać się razem. - Pocałował ją mocniej, i jeszcze mocniej, tuląc ją do siebie. - Narzeczonego oddaje swe życie kobiecie, jak Chrystus oddał swoje za Kościół - wyszeptał. - Przyjmij moje, Radha.

Radha czuła się dziwnie, niemal jak dziewczyna, niepewna siebie na nie znanym sobie gruncie Eddiego, gdzie spotykały się i mieszały z sobą ciało i dusza. Kiedy się kochali, miała chwilowe uczucie, że jest szerokim, płodnym polem, pełnym kwiatów i pszczół, i że jej mąż jest wielką, ciężką chmurą, z której pada na nią deszcz, że nie mieli twarzy, ogarniała ich dzikość i uniesienie, jak ptaki przedzierające się przez gałęzie, aby ulecieć w niebo. Później, kiedy zasypiała w jego ramionach, był po prostu Eddie, z pieprzykiem na ramieniu i szczupłą pomarszczoną nieco szyją. Kocham go za to, że jest po prostu sobą i nikim więcej, pomyślała i mocniej się do niego przytuliła pod kocem, aby zimna wietrzna noc jej nie dosięgła.

Podczas drogi do stanu Waszyngton - Columbia, Radha nie przyłączyła się do rozmowy o tym, co trzeci Sai Baba zrobi na świecie. Siedziała bez słowa, patrząc na góry, które stawały się coraz wyższe, w miarę jak posuwali się na północ. Philo jechał tak szybko, jak na to pozwalały przepisy i częste patrole, gestykulując wolną ręką i co chwila spoglądając na Shanti.

- Dlaczego ludzie zapominają o tym, co zrobił Shirdi Baba? - zapytał. - To, że nie miał wielu wyznawców, nie znaczy, iż odegrał mniejszą rolę w tym, co się dzieje. Nauczał

obowiązków wobec Boga i właśnie to było pierwsze, przed tym wszystkim, co tak podoba się ludziom.

Shanti uśmiechnęła się i splotła swoje małe, brązowe palce z jego machającymi.

- Mówisz, jakbyś był z Shirdi Babą - stwierdziła. - Jakbyś znał go osobiście, tak jak ja znałam Sai, kiedy byłam dzieckiem.

- Tak, czuję się, jakbym go naprawdę znał - Philo pokiwał zamasyżycie głową, jakby dla wzmocnienia swoich słów. - Śni mi się i w tych snach marszczy brwi na mój widok, grozi mi palcem i mówi, że nie wolno mi zapominać, że poza mną są na świecie jeszcze inni.

Radha chciała się wtrącić i powiedzieć, że Shirdi Baba ma rację. Philo zawsze chadzał własnymi ścieżkami, nie zauważając uczuć i potrzeb innych. Uważał, że powinni być silni, jak on, i nie potrzebować nikogo. Przynajmniej, stwierdziła, zdawało się, że tym razem potrzebował Shanti, choćby tylko po to, aby zaprzeczała jego wypowiedziom. Shanti rzadko się odzywała, jak Radha zauważyła, i może Philo mógł łudzić się, że się z nim zgadza.

- Jeśli Shirdi nawoływał do obowiązku - zauważył siedzący z tyłu ojciec Gregory - to Sai mówił o dostrzeganiu boskości w każdym człowieku i ukochaniu jej, jak Jezus. Więc pytam teraz, co robi Prema Sai? Czego jeszcze można nauczać? - podrapał się w głowę, aż srebrne włosy stanęły wyprostowane. Radha wiedziała od Kori, że ojciec Gregory obawiał się głęboko tego, że może pomylił się w życiu, wyrzekając się wszystkiego dla Boga. Ciągle trzymał się myśli, że Bóg ześle mu znak, iż droga, którą podążał jest właściwą. Jak dotąd, znaku nie otrzymał i ojciec Gregory wciąż był niespokojny.

Przez chwilę nikt nie odpowiadał. W końcu Shanti chrząknęła.

- Prema Sai pozwoli ludziom zrozumieć, że Bóg nie tylko mieszka w nas wszystkich, ale że każdy jest Bogiem z ludzką twarzą. Dopiero wtedy nauczymy się kochać innych tak, jak Bóg.

- Jak ja w Ojcu, tak wy jesteście we mnie, a ja w was - mruknął Eddie. - Jezus też to mówił, ale ludzie go nie słuchali.

Więc nie możemy kochać się naprawdę, powiedziała sobie Radha, póki nie dostrzeżemy boskości w drugiej osobie. Spojrzała twardo na Eddiego, zastanawiając się, czy potrafiłaby go kochać jak Boga. Wymagałoby to czegoś więcej niż tylko siły woli, może czegoś w rodzaju transformacji całego rodzaju ludzkiego. Zadanie Premy Sai jest dokładnie określone, pomyślała Radha, patrząc przez spryskane błotem szyby na osamotnione domy, jakie mijali. Każdy z nich był osobną fortecą, w której mieszkaniec był udzielnym królem.

- Spróbujemy dostać się do lotniska w Seattle - powiedział Philo, skręcając ku autostradzie. - Słyszałem, że codziennie odlatuje stamtąd jeden samolot do międzynarodowego lotniska w Vancouver.

- Powinniśmy oszczędzać - Radha dotknęła skórzanego woreczka na szyi, myśląc jak mały był i jak niewiele zawierał.

- Nie wiemy, ile kosztuje życie w Indiach.

- Shanti? - Philo zjechał z autostrady przy zielono - białym znaku zjazdu na lotnisko. - Czy Indie są droższe niż Ameryka?

- Wychowałam się w aśramie - odparła potrząsając głową.
- Nie wiem ile co kosztuje gdzie indziej. Bilet na statek dostałam, więc nawet nie wiem ile kosztował.

Radha odmówiła sobie przyjemności powiedzenia na głos tego, co myślała - że wplątali się w nieznaną i niemożliwą do kontrolowania sytuację, i że Philo wiele przejdzie zanim zdobędzie doświadczenie siostry. Trzymała rękę na woreczku,

chcąc przypomnieć wszystkim kto ma go używać, i mocno zacisnęła wargi.

Padał lekki, wiosenny deszcz, kiedy ustawiali bagaże przed kasą biletową. Radha strząsnęła wilgoć z włosów. Samochód został sprzedany za walutę okręgu Waszyngton - Columbia, ale nie mieli pojęcia czy ta suma wystarczy na pięć biletów do Vancouver w jedną stronę.

Kasjer strzelił palcami, kiedy nadeszła kolej Phila i Radhy. Pozostała trójka czekała za żółtą linią, trzymając w rękach bagaże.

- Ty - kasjer wskazał podbródkiem na Phila. - Pokaż mi znak handlowy.

Philo spojrział na Radhę, potem znów na kasjera, wzruszając ramionami, jakby nie obchodziło go czym jest znak handlowy.

- Co z wami, ludzie, cofnięci? - kasjer chwycił rękę Phila dłonią ku górze i obejrzał ją. - Nic z tego. Nie ma znaku, nie ma biletu.

- A to? - Radha wyciągnęła pieniądze i potrząsnęła nimi pod nosem kasjera. - Nie wiesz co to pieniądze?

- Powiedz nam - powiedział Philo zimno, wysuwając się przed nią. - Co to jest znak handlowy?

- Rozkaz przyszedł wczoraj - wyjaśnił kasjer. - Musisz mieć holochip w ręce, inaczej nikt nic ci nie sprzeda - podniósł głos. - Następny! Tutaj. Ruszajcie się, ludzie, albo zawołam gliny.

Ustawili się w rogu budynku, zastanawiając się co zrobić. Shanti usiadła na torbie, trochę z boku i złożyła ręce, najwyraźniej odmawiając wzięcia na siebie jakiegokolwiek odpowiedzialności. Spojrzawszy na nią, Radha zastanowiła się, dlaczego innym kobietom tak łatwo przychodziło oddalanie się do świata marzeń i powracanie dopiero wtedy,

kiedy mężczyźni podjęli decyzję. Zacisnęła rękę na ramieniu brata.

- Nieźle, Philo. Samochodu nie ma, może masz jeszcze jakieś pomysły?

- Jeśli mnie pamięć nie zawodzi - Philo strząsnął jej rękę z ramienia - to właśnie ty bałaś się opuścić San Francisco i przez to musieliśmy jechać na północ. To nie był mój pomysł.

- Fakt zostaje faktem - stwierdziła Radha, zapomniawszy o strachu - sprzedałaś samochód zanim dowiedzieliśmy się, czy w ogóle dostaniemy bilety. Eddie zaproponował, że poczeka przy samochodzie, póki nie kupimy biletów.

- Musimy pamiętać - Eddie objął ją ramieniem - po co w ogóle wyjechaliśmy. Będziemy mieli z tego choćby trochę dobrej woli.

- Gdzie jest Shanti? - zawołał Philo rozejrzawszy się wokół. - I ojciec Gregory?

Po chwili znaleźli ich oboje siedzących przy bagażach obok małego, starego Hindusa ze zmierzwionymi, białymi włosami i cienkimi, również białymi, zbiegającymi się brwiami.

Shanti powiedziała, że nazywa się Narayana Tewati, jest emerytowanym urzędnikiem Organizacji Narodów Zjednoczonych i wraca do domu, do Indii.

- Pomyślcie! - wykrzyknęła z błyszczącymi oczami. - Nosi pierścień, który Sai Baba zrobił dla niego czterdzieści lat temu! Patrzcie!

Radha przysiadła u stóp starego człowieka.

- Wydaje mi się, że znam skądś pana nazwisko - powiedziała. - Co pan robił w ONZ?

- Moje nazwisko jest dość powszechne - odparł. - A to, co robiłem, niestety nie było zbyt ważne. Ale powiedzcie, dlaczego się kłóćcie? - spojrział pytająco na Phila i Radhę.

Radha spuściła wzrok, żałując że tak głośno krzyczała na Phila za coś, na co nic nie mógł poradzić. Rumieniec wypłynął na jej policzki i zdała sobie sprawę, że obwiniła go, jak zawsze, zanim on zdołał obwinić ją. Znajdowali się w błękitnym kole, skazani na nie od dzieciństwa. Stary człowiek przejął rolę Kori, która zawsze zaprowadzała między nimi pokój. Czy zawsze, zastanowiła się Radha, będą potrzebowała kogoś, kto by zaprowadził pokój dla mnie i we mnie?

- Mamy kłopoty - zaczęła, znajdując pocieszenie w spokojnych, brązowych oczach, wokół których tworzyły się zmarszczki, kiedy stary człowiek uśmiechał się. - Nie ma sposobu, aby dostać się na lotnisko w Vancouver. Nie mamy znaku handlowego, czymkolwiek to jest.

- Ani ja - powiedział Tewati. - Podróżuję jedyną dostępną mi drogą, czyli transportem prywatnym. Bez znaku handlowego nie można podróżować dalej.

- Jak to się stało? - palce ojca Gregory biegały po różańcu w szalonym tempie, jak zwykle kiedy nad czymś myślał.

- Brom Strassbourg, głowa Wspólnoty Europejskiej, zarządził, że nikt nie może nic kupować ani sprzedawać bez tego znaku. Obawiam się, że dla nas, zwykłych ludzi, okaże się to bardzo niewygodne - Tewati potrząsnął głową i w zamyśleniu pokręcił pierścieniem z twarzą Sai Baby.

- Zdaje mi się, że właśnie spełnia się proroctwo - ojciec Gregory odetchnął głęboko, a jego wielkie ręce zamknęły się na krzyżu różańca. - Pojawiła się Bestia i każe wszystkim nosić swój znak. To początek.

- Jaka Bestia? - zapytała Radha, a serce biło jej tak mocno, że niemal się dusiła. - Jaki początek?

- Czas prześladowań - objaśnił Eddie. - To, co Pisma Chrześcijańskie nazywają Dniami Ostatnimi, zanim Chrystus znów przyjdzie, aby zbawić swój lud.

- Trzęsienia ziemi, powodzie, głód - dodał ojciec Gregory. - To wszystko dzieje się teraz, plus zarazy i ogień na niebie. Słońce, które pali - zwinął różaniec w ciasny kłębek. - Może powinniśmy zostać w domu i czekać na drugie przyjście.

- W przyrodzie zawsze zdarzały się jakieś katastrofy - argumentowała Radha. - Czy teraz jest gorzej niż kiedyś?

- Wydaje mi się, że tak - odparł Tewati, drapiąc się w biały zarost podbródka ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń.

- W mojej pracy więcej miałem do czynienia ze złem tego świata niż większość ludzi. Młodzi umierają na AIDS, a starzy z biedy i przemocy. Wydaje się, że w ludziach nie zostało nic współczucia dla innych, żadnej zwyczajnej dobroci.

Shanti przysunęła się bliżej do niego, jakby chciała objąć go ramionami.

- Nie trać nadziei - wyszeptała. - Narodził się Prema Sai. Bóg jeszcze raz przybył na Ziemię, aby nam pomóc.

- Wiecie o Premie Sai? - stary człowiek przestał kręcić pierścieniem i zapatrzył się w Shanti.

- Jedziemy go zobaczyć - skinęła głową. - Służyć mu, jeśli będziemy mogli.

- Ja też jadę, aby go zobaczyć - powiedział Tewati, patrząc w ich twarze. - Może jestem za stary, aby mu służyć, ale mogę przydać się wam. Pewien mój przyjaciel ma tu po mnie przyjechać i zabrać mnie na lotnisko w Bellingham, a drugi przyśle po mnie jacht, którym mam popłynąć do Madrasu. Dołączcie do mnie, proszę.

- Jai! - Shanti klasnęła w dłonie. Radha nigdy jeszcze nie widziała jej tak podekscytowanej. - Dziękuję, Sri Narayana. Sai Ram! - skłoniła mu się z dłońmi złożonymi i palcami dotykającymi podbródka.

- Możecie wszyscy zwracać się do mnie Narayan - powiedział podnosząc się tak wolno, że Eddie zerwał się, aby

mu pomóc. - Za długo dźwigałem ciężar tytułów. Za stary jestem na coś innego oprócz prostoty. Chodźcie, przyjaciele, widzę człowieka, który nas zawiezie. Czekaj przy drzwiach.

Radha siedziała w limuzynie prowadzonej przez przyjaciela Narayana i zastanawiała się, kim naprawdę był stary Hindus. Nikt nie miał takich luksusów, chyba że należał do ludzi bardzo bogatych i bardzo wpływowych. Nagle przypomniała sobie, że widziała jego twarz w teleconie, jeszcze w Jerozolimie, kiedy ONZ wysłała swego przedstawiciela, który miał przekonać Arabów, aby nie zajmowali części Izraela. Oddziały arabskie szły od Jordanii ku granicy izraelskiej, przez nowy stan, Palestynę. Widziała tego człowieka, Narayana Tewati jak proponował Arabom pożyczkę, która miała zostać przeznaczona na zindustrializowanie zachodniej części Jordanii i wszystkich arabskich miast położonych na Zachodnim Wybrzeżu. Izraelici zapłaciliby za to, ale oczywiście Arabom tego nie powiedziano. Sekretarz generalny Narayan Tewati zaprowadził tymczasowy pokój między dwoma śmiertelnymi wrogami.

Oznaczało to trudne dni dla Izraela, westchnęła Radha, przypominając sobie, że jej syn służył w wojsku.

Może powinna była zmusić całą rodzinę do powrotu do Ameryki, kiedy jeszcze był mały, bez względu na ryzyko. Lecz nawet, gdyby Ibrihim przeżył nieustającą groźbę w postaci Jasona, nie zdobyłby takiej wiedzy i wykształcenia, jaką zapewniły mu izraelskie szkoły. Kori często narzekała, że jej dzieci stają się powoli barbarzyńskimi ignorantami i że bawią się z nie uczonymi i nie wychowanymi dziećmi, które posługują się miernym angielskim i plują. Cóż, pomyślała Radha, Kori nie mogłaby tego powiedzieć o Ibrihimie, bo chłopak nie tylko nie plął, ale również znał arabski, hebrajski i angielski. Po dwóch latach spędzonych w wojsku, miał zamiar

wstąpić na Uniwersytet Hebrajski i studiować języki starożytne. Ujawniły się, mimo wszystko, akademickie geny Kori, choć ona sama nigdy się o tym nie dowie.

Wieczorna mgła okryła błękitne wierzchołki gór na wschodzie, a oni wciąż posuwali się ku Anacortes, południowemu wybrzeżu Bellingham. Rzeki wiły się pośród wzgórz, a potem wpadały do cieśniny Puget. Na ich brzegach Radha dostrzegła rozłożyste krzewy eugenii, kaskady purpurowych kwiatów bugenwilli i szorstką, czerwoną korę pni madrony. U stóp wzgórz rosły białe róże, wielkie jak pięść, a za wzgórzami wznosiły się białe ośnieżone szczyty gór, niby wysokie, spienione fale.

Radha przystanąła na chwilę, kiedy przenosili bagaże do czekającego na nich jachtu i spojrzała na bujną zieleń, zwieszające się zewsząd kwiaty wilgotne od rosy. Chciała kazać im się zatrzymać, zostać tu, bo tu był raj. Misja, w którą wierzyła odkąd tylko usłyszała głos, teraz wydawała jej się niedorzeczna, jakby pomyliła prawdziwe życie z filmem. Dla jakiegoś tajemniczego dziecka zostawiała za sobą tych kilka miejsc na ziemi, na których można było żyć nie będąc jednocześnie wplątany w odległe i nieludzkie plany ludzi i bogów. Cokolwiek robiła, było w jakiś sposób związane z Philem. Może powinna wziąć diamenty i kupić dla siebie i Eddiego małą farmę w tym czarodziejskim miejscu, a brata wysłać w podróż z resztą kosztowności. Wtedy stałby się przywódcą wszystkich w zasięgu wzroku, właśnie tak, jak tego zawsze chciał.

- Moje drogie dziecko - głos Tewaniego rozległ się przy jej uchu. Ruszyła szybko w stronę łodzi, ujrawszy, że wszyscy czekają już tylko na nią. - Kiedy weźmiesz pług do rąk, nie oglądaj się za siebie - uśmiechnij się - bo jakiś zbłąkany kamień wyprysnie spod twojego pługa i uderzy cię w

głowę. Pamiętaj zawsze, droga Radho, o tym, dla czego pojawiłaś się na tym świecie. Służąc innym, służysz sobie.

Radha zawstydziała się tego, że zaczęła myśleć o sobie. Szybko chwyciła torbę i weszła za nim na błyszczący, piękny jacht. Nie spodziewała się usłyszeć słów Boga z ust małego Hindusa, który miał bogatych i wysoko ustawionych przyjaciół. Kiedy jacht wypływał z portu, stała przy relingu obok Eddiego, obserwując mijające ich, niewielkie wysepki. Jak moje życie, pomyślała, jak wszystkiemu w moim życiu i temu muszę powiedzieć do widzenia. Spróbowała pocieszyć się myślą o Premie Sai i o tym, jak będzie ją kochał, ale oczami wyobraźni widziała tylko twarz syna oddalającą się coraz bardziej i niknącą na horyzoncie, jak ostatnia wyspa, którą minęli przed wypłynięciem na otwarte morze.

* * *

Santa Barbara

Consuela miała na sobie zniszczony czarny kaftan, który założyła kilka tygodni wcześniej, wtedy, kiedy Jason powiedział jej, że Kori nie żyje. Jason ganił ją za to i wciąż by ganił, gdyby tylko śmiał. Kiedy zrobił pierwszą uwagę, Consuela obcięła swój długi warkocz do wysokości ramion i zagroziła, że gdyby znów coś powiedział, to w ogóle ogoli głowę. Zbyt dobrze ją znał, żeby temu nie wierzyć. Nie odzywała się też do niego przez pierwszy tydzień, oddając się modlitwie w swoim pokoju. Nie mógł mieć nic przeciwko temu, gdyż Ayesha przejęła domowe obowiązki. Jednakże Ayesha miała ograniczony repertuar kulinarny, który nie mógł równać się z umiejętnościami Consueli, i Jason został dobrze ukarany za to, co zrobił, myślała Consuela, patrząc w zamyśleniu na ogród. Jaśminy właśnie zaczynały rozkwitać i Consuela wychyliła się, aby poczuć ich słodki zapach.

Przebiegła strudżonymi palcami potargane czarne włosy. Może nadszedł czas, aby znów zacząć żyć, pomyślała. Kori

nie pochwaliby tego usunięcia się od obowiązków, ani Nazim, którego nauczyła się kochać na rok przed jego odejściem. Tyle razy siedzieli razem pod tym właśnie oknem na białej kamiennej ławce i rozmawiali o tym, jak każde z nich rozumiało Boga. Pozwolił jej zamówić sanskryckie książki, a potem poprosił, aby mu czytała o Brahmanie, o niepoznawalnym, nie mającym postaci, który z pewnością musiał być Allahem, a którego on czcił pod innym imieniem.

W pokoju rozległ się szelest i Consuela odwróciła się. Ktoś, prawdopodobnie Jason, wsunął pod drzwi list. Nic dziwnego, próbował, jak zwykle, przeprosić ją, nie tracąc przy tym twarzy. Odkąd zmusił ją do małżeństwa dwadzieścia lat temu, ich role subtelnie się zmieniły. Z czasem dowiedziała się, że była zaledwie substytutem Radhy, i nienawidziła tego, ale po tylu latach i urodzeniu mu dwóch synów, Jason wydawał się zapomnieć, że nie była tą, której naprawdę pragnął. A jednak, aby mieć pewność, że Jason nie wiedział gdzie podziwia się Radha, Consuela ukryła tych kilka listów i zdjęć, które przyjaciółka dyskretnie przysyłała jej przez przyjaciół udających się do Ameryki. Radha nie lubiła pisać listów, więc większość zagranicznej korespondencji Consueli pochodziła od Nazima.

Podniosła list, który Jason najwyraźniej zdążył już otworzyć. Widząc, że był od Nazima, usiadła i czytając, kiwała głową. To prawda, że musieli połączyć się z krajami muzułmańskimi z Azji. Często mówiła to Jasonowi, ale był zbyt dumny, aby jej posłuchać. Nikogo nie potrzebował, twierdził, mógł rządzić samodzielnie. Jego rodzice, Annie i David, byli zbyt starzy, aby przeciwstawiać mu się. Poza tym, Annie stała się bardzo gruba i całymi dniami leżała i oglądała programy muzyczne w teleconie. David miał Alzheimera i nie pamiętał nawet gdzie jest łazienka, a co dopiero mówić o położeniu i znaczeniu Azji. Więc wyłącznie od niej zależało

to, czy jej osiemnastoletni syn, Rumi, nazwany tak przez Nazima, odziedziczy cokolwiek oprócz nic nie znaczącego tytułu i domu obleganego przez głodnych barbarzyńców. Ali, piętnastolatek, też będzie musiał coś odziedziczyć, lecz jego silne podobieństwo do Jasona zniechęcało Consuelę do niego.

Nagle rozległo się ostrożne pukanie do drzwi.

- Możesz wejść, Jasonie - powiedziała, nie podnosząc się z fotela. - Drzwi nie są zamknięte.

- Miałem nadzieję, że minął ci już ten twój nastrój - powiedział Jason, stając w zakłopotaniu przed nią, gdyż jedyne wolne krzesło znajdowało się po drugiej stronie pokoju. Jego rzadkie, przyprószone siwizną włosy odsłaniały większą część czoła, co sprawiało, że wyglądał na znacznie inteligentniejszego niż był w istocie. Jego skóra wciąż była szarawa pod opalenizną, a szczęka zacisnęła się w groźny grymas. Tego wyrazu twarzy nauczył się od Nazima i przybierał go ilekroć spodziewał się, że Consuela będzie miała odmienne zdanie. - Wciąż pisze do ciebie, nie do mnie, po tylu latach - powiedział wskazując na list.

- Chyba dlatego, że wie, iż i tak czytasz moją korespondencję - Consuela nie patrzyła na niego.

- Masz zamiar znów zapuścić włosy czy też trzymać je w takim nieładzie, tylko po to, żeby mnie odstręczyć od siebie? - zamachał rękami, jak to miał w zwyczaju, kiedy inspirował przemówieniami swoich ludzi. - Gdzie się podziały te słodkie, małe kobietki? Gdzie mam szukać żony, która by mnie szanowała?

- Próbowałeś w Bangladeszu? - Consuela oparła się wygodniej i zapatrzyła w sufit.

- Ależ kochanie, wiesz przecież, że pragnę tylko ciebie! - Jason wyciągnął ku niej rękę, ale odsunęła się i podsunęła mu pod nos list.

- Musimy o tym porozmawiać - oświadczyła. - Kuala Lumpur i Singapur chcą tu mieć swoje fabryki Starbursta. To oznacza tuzin fabryk wzdłuż całego wybrzeża. Moglibyśmy dzięki temu raz na zawsze wydostać się spod władzy nafciarzy.

- Nie jestem pod niczyją władzą, słyszysz? - Jason założył do tyłu ręce i zaczął przechadzać się po pokoju, wpatrując się dzikim wzrokiem w meksykańskie płytki na podłodze.

- Oczywiście, że nie. - Consuela przewróciła oczami, modląc się o cierpliwość. - Posiadasz cenną ziemię, której wielu pragnie i możesz ją drogo sprzedać. Musisz zażądać, aby nas ochraniali i zapłacili za szkolenie pracowników. W ten sposób zyskasz coś za nic.

- Chyba zależy im na mnie, skoro chcą mi płacić za to, żebym tu został - mruknął. - Przemyślę to. Ale to ja tu decyduję, Consuelo. Nie zapominaj o tym.

- Przemyśl coś jeszcze - dodała Consuela. Podeszła do toaletki i zaczęła szcztokować gęste włosy, póki nie zaczęły błyszczeć. - Nazim mówi, żeby połączyć się z Azją i ostrzega przed Eurocomem. Czemu nie miałbyś mu pokazać, że masz zamiar zacząć z nimi pracować? Czemu nie spotkać się z tym Bromem Strassbourgiem i nie namówić go, żeby Eurocom zainwestował tutaj? Nazim byłby zaskoczony, a nie jest łatwo zaskoczyć Nazima.

- Hej, to prawda! - Jason strzelił palcami. - Pomyśli, że działam lepiej niż on. Jeśli ten Strassbourg by tu przyjechał, moglibyśmy dzięki niemu znów zacząć prosperować. Pamiętam jak tu było dawniej i dostaję mdłości na widok tego, co tu jest teraz - uśmiechał się, najwidoczniej zadowolony z tego, że sprawia przyjemność sobie i jej jednocześnie.

- Więc mam napisać te listy? - Consuela miała nadzieję, że dzięki temu przysporzy mu pracy, bo nie chciała, aby ręce, które zabiły Kori dotykały jej. Kiedykolwiek.

- Za chwilę, kochanie - Jason pociągnął za guziki jej czarnego kaftana. - Długo czekałem, abyś doszła do siebie.

Consuela wyłączyła umysł, myśląc tylko o swoim nowym zadaniu i o sanskryckich słowach, które tańczyły jej w głowie niby ogniste języki: Musisz stać się panem swoich zmysłów. Gdzie jest czystość, tam jest boskość. Jason nigdy by się nie domyślił, że nie było jej w jego ramionach.

* * *

Mysore, Indie

Radha była zaskoczona jak szybko pociąg przewiózł ich z portu w Madrasie do Mysore, miasta położonego w głębi kraju, na płaskowyżu Karnataka. Wszystko, co widziała, było dobrej jakości, ocierało się nawet o luksus. Epidemia AIDS zabrała jedną trzecią populacji, ale ci, którzy ocaleli, otrzymywali dobrą zapłatę za pracę i mieli ładne, solidne domy. Czarna, żyzna ziemia Karnataki rodziła więcej niż ludzie potrzebowali, a wysyłali też dużo żywności do Afryki, wyjaśniał Tewati, gdzie epidemia była cięższa, i gdzie potrzeba było jednego pokolenia, aby wyjałowiona ziemia mogła się zregenerować. Starburst indyjski już pracował w Afryce Wschodniej i na południowej Saharze, dając energię potrzebną dla kanałów irygacyjnych jak ten, który Radha widziała, kiedy jechali do Mysore.

Shanti wyjaśniła, że Karnataka zawsze była zielona i że ludzie zasiedlali ten obszar od ponad dziesięciu tysięcy lat. Nawet wszędobylskie metamorficzne skały pełne były żelaza i złota, jak w nowym, złotym wieku, powiedziała, pochodziły prosto z Kali Yugi, ich własnego żelaznego wieku. Kiedy mijali łagodne wzniesienia wschodniego Ghat, które wiatr i deszcz obniżyły do niewielkiej części ich dawnej wysokości, Radha dostrzegła błysk słońca na żyłach kwarcu osadzonego w szarzielonych skałach. Kiedy pociąg dojechał do południowej wyżyny Karnataki, kraj stał się bardziej

nierówny, a pomiędzy postrzępionymi, skalistymi wzgórzami więcej było terenów płaskich. Ghat, jak się dowiedziała, były naturalnymi schodami ku gniom po zachodniej stronie płaskowyżu, który wychodził na Morze Arabskie. Rozumiała teraz, dlaczego maharadźowie mieszkali właśnie tu, trzysta metrów powyżej parych równin leżących nad poziomem morza i poprzecinanych brązowymi rzekami i kałużami pól ryżowych.

Po brudzie i gwarze Madrasu, drzewa i szerokie ulice śródmieścia Mysore były dla podróżników ulgą. Wciąż jednak panował upał, a powietrze było wilgotne od deszczu przyczajonego w ciemnych chmurach przewalających się od zachodu. Mysore było małym miastem, można je było przejść na piechotę w pół godziny, jak im powiedział Tewati. Zostaną tu kilka dni, aby odpocząć i spotkać się z przyjacielem Tewatego w centrum Sai Baby, które teraz było duchowym sercem miasta. Aby być bliżej dworca autobusowego, postanowili zatrzymać się w hotelu Siddhartha, który był raczej pensjonatem rządowym, w którym przyjaciel Tewatego zarezerwował dla nich miejsca.

Z balkonu, Radha widziała zielone ogrody białego, marmurowego pałacu Maharadży, wyglądającego jak gigantyczny tort weselny na tle błękitu nieba - obszerny, bogato rzeźbiony monument będący połączeniem architektury hinduskiej i muzułmańskiej. Ile cywilizacji powstało tu i upadło, zastanowiła się, i wstąpiło w mieszane związki, jak małżeństwo jej i Phila? Wydawało się, że natura chce zmieszać ludzkość w jedną rodzinę, mimo tego, że rasiści walczyli o zachowanie czystości krwi. Radha pomyślała o liście od Ibrihima, który otrzymała przed wyjazdem, Ibrihima, który walczył w dżihadzie przeciw ortodoksyjnej rodzinie Sary, aby móc poślubić ich córkę. Choć ideał harmonii panującej wśród religii świata, który głosił Sai Baba, zyskał

setki milionów zwolenników na całym świecie, to serca ludzi wciąż pozostawały zamknięte, kiedy w grę wchodziło małżeństwo ich dzieci.

W ośrodku Sai Baby przy ulicy Mirza, który dzielił od ich hotelu zaledwie krótki spacer, poznali Jagdish, przyjaciela Tewatego, który przekazał im, że Prema Sai urodził się w pobliskiej wsi o nazwie Gunaparthi. Radha usiadła między Eddiem a ojcem Gregory na plastikowym krześle, które sprawiło, że zaczęła się pocić. Wstając, zastanowiła się czy jej długa, biała jedwabna spódnica nie przyległa nieskromnie do nóg.

Shanti ostrzegła ją, żeby ubrała się starannie, aby nie przekroczyć rygorystycznego kodeksu moralnego wyznawców Sai. Przez spustoszenia, jakie poczyniła epidemia AIDS, religijni Hindusi stali się bardzo stanowczy w sprawie skromności ubrań, podobnie jak ortodoksyjni Żydzi w Zefat. Radha sądziła, że mieli po temu powód, gdyż samo powietrze tutaj było przepełnione zmysłowym zapachem jaśminu i drzewa sandałowego. W każdym zakątku Mysore było czuć ten zapach i w końcu Radha czuła się jakby utonęła w słodczy tego aromatu. Jagdish, głowa Ośrodka Sai, był w średnim wieku i trzymał się bardzo prosto. Na czole miał znak z wibhutti.

- Nie jesteście jedynymi, Sri Narayan, którzy przybyli tu w poszukiwaniu dziecka. Byli tu też przedstawiciele Eurocomu i pewnej grupy religijnej z Ameryki - w melodyjnym głosie pobrzmiwał brytyjski akcent.

- O ile pamiętam, nazywają się Hellies, dość złowieszczo, jak mi się wydaje (gra słów: 'hell' znaczy po angielsku piekło.).

- Healies - poprawiła go Radha, ignorując Shanti, która nieznacznie potrząsnęła głową. - Amerykańscy fundamentaliści. Wyobrażam sobie, jak bardzo chcieliby mieć

dziecko. Prema poprowadzi wszystkich do swej Paruzji. A fundamentaliści sądzą, że tylko oni mają tam zaproszenie.

Jagdish chrząknął i skłonił jej się grzecznie. Zrozumiała, że poprawianie kogoś, a zwłaszcza jeśli robiła to kobieta, nie było tu dobrze widziane.

- My tu w ośrodku potrafimy bronić dziecka przed tego typu atakami na jego życie. Został już przeniesiony z Gunaparthi, gdzie się urodził, do bezpiecznego miejsca tu, w Mysore.

- A ta druga grupa - zapytał Tewati łagodnie. - Czy przysłał ich Brom Strassbourg? Zdaje się, że mnie należy za to winić.

- Skierowaliśmy ich do pewnej niedostępnej wioski w górach Ghat - odparł Jagdish. - Jeśli w ciągu kilku miesięcy nie wykończy ich upał, to zrobią to monsuny. Rozumiesz, Sri Narayana, że wszystkie nasze ośrodki stanowczo sprzeciwiają się wpływowi wiary Zachodu. Stanowczo.

Shanti otworzyła usta, jakby chciała się temu sprzeciwić, ale zamknęła je z powrotem bez słowa. Wznosząc oczy ku sufitowi, na którym widniała oddana szczegółowo błękitna twarz Kriszny i jego żeńskiego orszaku, Radha przełknęła swoją własną odpowiedź, zdając sobie sprawę, że kłótnia na nic się nie zda. Ten człowiek, który jak mówił Tewati, był wielkim uczonym, najwyraźniej nie uznawał żadnego innego punktu widzenia oprócz swojego własnego.

- Od czterdziestu laty pragnę zobaczyć to dziecko, odkąd tylko usłyszałem prorocstwo o jego narodzinach

- Tewati zacisnął złożone na kolanach ręce. - Czy możesz zaaranżować dla nas darshan?

Jagdish odsunął się z krzesłem od biurka, jakby tym samym chciał się zdystansować od samej grupy.

- Nie wolno tu wchodzić ludziom z Zachodu - oświadczył. - A nawet ty, Sri Narayana, zostaniesz tam zabrany samochodem z zaciemnionymi szybami.

- Trzymacie go jak więźnia? - wybuchnęła Radha.

- Czy jego rodzice nie mają tu nic do powiedzenia?

- Akceptują konieczność chronienia świętego póki nie dojdzie do lat - Jagdish zmarszczył brwi, a wibhutti posypało się z jego czoła. - I rozumieją, że dziecko musi znajdować się pod opieką swoich własnych wyznawców. Nie możemy pozwolić na żaden wpływ obcych, którzy przybywają tu w imię innych bogów - patrzył potępiająco na Radhę, jakby reprezentowała jakiś piekielny spisek.

- Inni bogowie - mruknęła, zakładając ręce. - Jest tylko jeden Bóg, chyba że wciąż żyjesz w poprzednim wieku. Sądzę, że świat to uznał.

- Chciałabym iść ze Sri Narayanem - odezwała się Shanti nagle, zanim Jagdish zaczął na dobre walkę z Radhą. - Nie pochodzę z Zachodu, więc chyba będę mogła go zobaczyć?

- Przybyłaś tu z innego ośrodka Sai? - Jagdish zaczął porządkować swoje biurko, nie patrząc na nikogo.

- Nie każdy ośrodek sądzi to, co my o dziecku Prema.

- Przybyłam z Prasanthi Nilayam - odparła Shanti mocniejszym głosem. - A polityka ośrodków nigdy mnie nie obchodziła.

- Bardzo dobrze - Jagdish podniósł się. - Wy dwoje możecie tam pojechać jeszcze dziś. Ale tylko wy. Sri Narayan, czy napijesz się ze mną herbaty? Wybaczcie nam, bardzo proszę.

Kiedy wyszli, Philo zwrócił się do Shanti: - Dobrze zrobiłaś. Może dzięki temu poznasz drogę.

- A niby jak? - Radha uniosła wilgotne włosy z karku, mając nadzieję, że wiatr trochę ją orzeźwi. - Nawet nie pozwolą jej otworzyć okna.

- Philo chyba chce, żeby założyła czujnik - powiedział Eddie, kładąc rękę na jej ramieniu. - Gdzieś tu można chyba dostać jakiś sprzęt elektroniczny. Połączę coś z czymś i będziemy mogli ją śledzić.

Zanim Shanti i Tewati wyjechali, Eddie przymocował małe transponder do jej choli, obcisłej bluzki z krótkimi rękawami, którą nosiła razem ze srebrno - oliwkowym sari. Kiedy granatowy sedan z zaciemnionymi szybami odjechał ulicą Harishchandra, a potem skręcił na zachód w labirynt małych uliczek, taksówka z Radhą, Philem, Eddiem i ojcem Gregory w środku, ruszyła za nimi w dyskretnej odległości. Aby upewnić się, że nikt ich nie śledzi, kierowca sedana kluczył, po uliczkach. Zgubiliby go, gdyby nie jednostajne bzyczenie przekaźnika Shanti.

W końcu sedan zatrzymał się przed niewielkim domem przy ulicy Dhanvantri, niedaleko dworca kolejowego. Budynek stał między hotelami i otoczony był żelaznym ogrodzeniem o ostro zakończonych krawędziach. Taksówkarz odczekał w bezpiecznej odległości, póki Shanti i Tewati nie zniknęli w środku.

- Dziwne - stwierdził ojciec Gregory po chwili ciszy. - Odwiedzamy Nazarejczyka naszych czasów. - Spojrzał na pełne wdzięku kobiety ubrane w sari i ciemnowłosych mężczyzn noszących białe ubrania. - Nie sądzę, że ludzie wiele się zmienili.

- Ci, tak. - Radha wyprostowała się i wskazała na trzech jaśniejszych mężczyzn w szortach i rozchełstanych koszulkach, zbliżających się do bramy domu. Jeden z nich niósł coś, co wyglądało jak wielka torba na aparat fotograficzny, który musiał być bardzo ciężki, gdyż mężczyzna przechylał się na jedną stronę.

- Zaczekaj na nas - poprosił Philo kierowcę, wręczając mu banknot. - Chodźmy. Założę się, że to ludzie Broma Strassbourga.

- Eddie, ty i ojciec Gregory zajmiecie się tym z torbą - powiedziała Radha, biegnąc za Philem. - Philo i ja weźmiemy tamtych dwóch.

- Stój! - Eddie zatrzymał się przed otwartymi drzwiami budynku. - Nie wiemy przecież czy nie są zwykłymi turystami.

Kiedy weszli do chłodnego, wysokiego holu, usłyszeli za sobą szybkie kroki trzech ludzi rozbrzmiewające na posadzce.

- Są za rogiem - wyszeptała Radha z ręką na ramieniu Phila. - Cicho... chyba się zatrzymali.

- Uderzymy na nich zanim przejdą przez drzwi - powiedział Philo. - Nie narażajmy na niebezpieczeństwo Shanti albo dziecka.

Zza rogu doszedł ich zduszony odgłos wybuchu. Pobiegli w tym kierunku.

- Wysadzili zamek - stwierdził Eddie. - Musimy zająć się tym z torbą zanim zdążą wyjąć broń - Eddie wyjaśnił jej wcześniej, że napastnicy mogą być zaopatrzeni w nowy rodzaj broni, która automatycznie znajdowała cel za pomocą czujników ciepła.

- Naprzód! - wykrzyknął Philo już w biegu. W drzwiach powalił mężczyznę wyciągającego rękę po broń, którą podawał mu właściciel torby. Radha krzyknęła ostrzegająco, kiedy mężczyzna z torbą skierował broń w kierunku szczupłej, ciemnej kobiety, która tuliła dziecko i bezgłośnie krzyczała. Ludzie Broma, stwierdziła Radha, mieli rozkaz zabicia rodziców i wzięcia dziecka. Ojciec Gregory ze swoim wielkim kosturem, wpadł między dwóch pozostałych i zasłonił sobą matkę i dziecko. Rozłożył szeroko ręce, kiedy do sięgnął go błysk światła z broni. Radha i Eddie powalili strzelca, a Philo

wytrącił mu broń z ręki, która przeleciała przez wywoskowaną podłogę.

- Ojciec Gregory! - krzyknęła Shanti i uklękła przy księdzu, który upadł, kiedy kula dosięgła jego piersi. - Sprowadzimy pomoc - ułożyła jego głowę na swoich kolanach i pochyliła się nad nim.

Korzystając z okazji, trójka mężczyzn chwyciła torbę i rzuciła się do ucieczki, popychając na ścianę próbującego ich zatrzymać Phila. Pobiegł za nimi z bronią w rękę, ale za chwilę wrócił do pokoju. Zamknął drzwi, oparł się o nie i zamknął oczy, a jego wargi poruszały się bezdźwięcznie.

- Niech ktoś przyniesie koc - Radha czuła w piersi zimny ciężar, jakby to w nią uderzyła kula. Przypomniała sobie, jak Kamal drżał w deszczu, jak krew pieniała mu się w kącikach warg, i poczuła w ustach gorzkość. - Jest w szoku.

Wysoki, siwy Hindus stojący przy kobiecie z dzieckiem, wziął koc z sofy i przykrył nim ojca Gregory.

- Obawiam się, że umiera - powiedział. - Sri Tewati, zadzwoń, proszę, po karetkę. Telecon jest w sypialni.

Nagle ojciec Gregory otworzył szeroko oczy.

- Pozwólcie mi zobaczyć dziecko - wyszeptał niewyraźnie.

Szczupła kobieta uklękła przy nim i bez słowa pokazała dziecko, ruchliwego, rocznego chłopczyka o czarnych kędziorkach i wielkich, błyszczących oczach. Dziecko wyciągnęło do ojca Gregory pulchną rączkę w momencie, kiedy on zrobił to samo. Dotknęli się końcami palców, a dziecko uśmiechnęło się.

- Teraz pozwól mi odejść w pokoju, Panie - wyszeptał ksiądz. - Bo widziałem Twoją twarz...

Radha delikatnie zamknęła mu oczy i dotknęła czołem jego zimnego czoła. Kiedyś, przypomniała sobie, opowiedział jej, że śniło mu się, że wyciągał ręce i krzyczał do swoich

zakonników: „Umarłbym za miłość!” I umarł, przypominając im wszystkim, że śmierć nie była czymś wielkim, zwłaszcza gdy była odkupieniem za nowe życie. Spojrzała na matkę i dziecko. Twarz kobiety była delikatna, a wokół ust znaczyły się subtelne zmarszczki. Musi mieć trzydzieści kilka lat, pomyślała Radha, nie była młodą dziewczyną, jakiej się spodziewała. Patrząc kobiecie w oczy, zdała sobie sprawę, że serce przestało jej walić w piersi, a umysł uspokoił się i rozjaśnił.

- Narayan! - Radha nagle podskoczyła. - Zostań tu i zajmij się ciałem ojca Gregory, kiedy przyjedzie karetka. Spotkamy się później w szpitalu. Dziecko i rodziców zabieramy z nami. Jagdish stanął między Radhą a małą rodziną.

- To my kochamy go najbardziej. Nie waż się wtrącać w nasze plany - jego pełne wargi zacisnęły się stanowczo, jakby chciał poznać smak tych słów. - Nie pozwolę na to.

- Nieźle ci wychodzi ta opieka - Radha czuła jak żal po stracie ojca Gregory zmienia się w nienawiść ku temu oschłemu, opanowanemu człowieczkowi. Przez chwilę zdawało jej się, że nienawidzi w nim dokładnie tego, czego nienawidzi w sobie samej. - To nasz ksiądz umarł za to dziecko, nie wasz. - Odwróciła się do kobiety, uniosła rękę Phila i wskazała na pierścień na jego ręce, dar tasmańskiego szamana. - Przysłano nas tu, abyśmy ci pomogli - powiedziała drżącym głosem. - To nasz jedyny dowód. Pójdiesz z nami? - Nagle całe przedsięwzięcie wydało się jej absurdalne i opanowało ją uczucie, które często towarzyszyło jej w koszmarach, że brnęła w głębokim, błocie i za każdym krokiem coraz bardziej się pogrążała.

Kobieta owinęła dziecko końcem bładobłękitnego sari. Spojrzała na nich po kolei i skinęła głową.

- Powiedziano mi, żebym czekała na obcych z pierścieniem. Widziałam ten pierścień we śnie i wyglądał dokładnie jak ten - odwróciła się do wysokiego, siwowłosego mężczyzny, najwyraźniej swojego męża. - Giri, musisz to powiedzieć. Pójdziemy czy nie?

- Wezmę nasze rzeczy, Devi - wysoki mężczyzna bez wahania skinął głową. - To trochę potrwa. Sri - skłonił się w stronę Phila - moja żona i dziecko pójdą z wami. Możecie przyjechać po mnie za godzinę, będę czekał z tyłu hotelu Agarwal. To niedaleko stąd. Wasz kierowca będzie wiedział.

- Popęlniasz wielki błąd, Giridhar - zasyczał Jagdish, wyciągając palec ku jego twarzy. - Jesteście wyznawcami, ty i twoja żona. A jednak chcecie powierzyć życie Boga tym obcym? Ludziom z Zachodu, którzy oszukają was i wykorzystają dziecko do swoich własnych celów? - twarz Jagdish'a pociemniała, a całe ciało zaczęło się trząść.

- Powiedziano mi, co mam robić - odparła spokojnie Devi, kłaniając mu się. - Muszę iść, gdzie mi kazano. Nie gniewaj się Jagdish. Spotkamy się jeszcze. - Nie oglądając się więcej, wyszła za Radhą.

- Musimy ich gdzieś zabrać - Radha szła obok Devi i dziecka, i mówiła przez ramię do Phila. - Jagdish wie, gdzie się zatrzymaliśmy, tak samo tamci trzej ludzie.

- Może powiedziano im, żeby zabili dziecko, gdyby nie mieli czasu, aby wziąć je żywcem - pomyślał Philo na głos.

- Jak Herod zabijał w Nazarecie wszystkie niemowlęta, żeby się upewnić, że pozbył się w ten sposób Jezusa - Eddie przyglądał się swoim rękom. - Może Hindusi mają rację, twierdząc, że historia jest jak spirala, a nie jak linia prosta.

Radha nieśmiało dotknęła rączki dziecka wspartej o ramię matki. Chłopczyk spojrział na nią nad swoim pulchnym ramieniem, ukrył twarz w ramieniu matki i znów na nią

wyjrzał. Radha wydała dźwięk podobny do motorówki, a on zaśmiał się w głos i klasnął rączkami.

- Jak ma na imię?

- Amar - odparła Devi. - Po moim ojcu.

- Nie Prema? - zdziwiła się Radha. A jeśli to nie to dziecko?

- Dla mnie jest Amarem - Devi potrząsnęła głową. - Jego pełne imię brzmi Prasadamara Krishnan.

- Czy możemy zwracać się do ciebie Devi? - Radha biła się z myślami, czując jak pot zalewa jej oczy. Mimo wszystko ta kobieta śniła o nich. Będą musieli tym się zadowolić.

- Nazywam się Devichamundi - odparła kobieta. - Ale Devi wystarczy.

- Devi znaczy bogini - mruknął Philo. - Odpowiednie imię. A Chamundi była boginią z Mysore, która zabiła demona i uratowała swój naród. - Miał pamięć Kori i nigdy nie zapominał rzeczy, których go nauczyła, rzeczy, które Radha zapominała w chwili, kiedy ktoś skończył o nich mówić.

- Jej drugie imię to Durga. Matka Kali - odezwała się Shanti cicho, jakby znajdowała się daleko od nich.

- Matka nas wszystkich - przytaknęła Devi, przekładając ruchliwe dziecko na drugie ramię. - Niedługo będę musiała go nakarmić.

Kiedy tak szli pod drzewami oliwnymi, przez które przeświecało słońce, Radha przypomniała sobie, że Indie były krajem, gdzie czczono matkę na długo przed nadejściem patriarchalnych bogów razem z ich opowieściami o wojnach i żelaznych rydwanach. Shanti opowiadała jej jak wielka matka Kali połknęła swe dzieci i o tym, że shakti, czyli moc w postaci kobiety była siłą aktywną, która stwarzała świat z biernej, nieruchliwej siły męskiej. Prema, jak mówiła jej Shanti, będzie wielką siłą kobiecą, która zmieni ścieżkę ku

chaosowi, którą podąża świat, w drogę miłości. Nic dziwnego, że silni, nieustępliwi ludzie chcieli go porwać lub nawet zabić. Nagle zapragnęła być sama w pokoju, gdzie mogłaby opłakiwać ojca Gregory i swoich rodziców, i tych, którzy umarli za miłość z rąk tych, którzy kochali tylko siebie samych.

- Wybierzmy jakiś pensjonat na dzisiejszą noc - powiedziała Radha, mając nadzieję, że decyzja, jakakolwiek decyzja, uspokoi jej rozbiegane myśli. Zatrzymała się przed skromnym budynkiem z szyldem nad wejściem. - Hotele będą sprawdzali.

- Dobry pomysł. Shanti i ja zostaniemy tu z Devi - zgodził się Philo. - Wy dwoje pojedźcie do hotelu i weźcie nasze rzeczy, a potem zabierzcie Giridhara. - był już w drzwiach, nie dając jej szansy na rozpoczęcie kłótni, a mówiąc patrzył na innych.

- Przyjdziemy tu z Girim na piechotę, żeby nikt nie mógł nas wysledzić - Eddie odpowiedział zanim zdążyła otworzyć usta, jakby on i Philo zawarli potajemną umowę, która miała na celu powstrzymanie Radhy od bezustannego podejmowania decyzji.

- Philo - patrzyła na nich zimno - skoro zostajesz tu z Devi i dzieckiem, to lepiej weź broń - chciała mu przypomnieć, że pamięta o szczegółach, o których on zapomniał. Eddie przekazał mu broń, którą porzucili napastnicy i stał przez chwilę patrząc na dziecko, które z zamkniętymi oczami wydawało dźwięki podobne do ssania. - To niedobrze, że dobra trzeba bronić siłą - powiedział.

- Jest coś jeszcze, co broni nas - uśmiech rozjaśnił zmęczoną twarz Devi. - Dziękuję wam, przyjaciele, za to, że jesteście rękami Boga, że ochraniacie mego syna i mnie - skłoniła się i weszła za Philem do budynku.

Zanim pojechali po Giridhara, Radha i Eddie załadowali taksówkę bagażami i kluczyli nią po bocznych uliczkach Mysore, aby zgubić potencjalny pościg. Dopiero dwie godziny później, po zachodzie słońca, podjechali pod tylne wyjście hotelu Agarwal. Z początku nie mogli dostrzec nikogo w cieniu rzucanym przez kontenery na śmieci i zaparkowane półciężarówki. Lecz nagle Radha wskazała na ciemną postać wspartą ciężko o stos pudeł. Obok, ze strunami na ziemi, leżała długa, drewniana tambura.

- To Giridhar - wyszeptała. - Pamiętam tę brązową koszulę.

Wiedziała, że jest martwy jeszcze zanim go odwrócili. Jego delikatna twarz pokryta była sińcami, a wargi były rozbite.

- Torturowali go, a potem zabili - powiedziała, powstrzymując szloch. - Prawdopodobnie chcieli się dowiedzieć gdzie są kobieta i dziecko. Nie powiedziałby im, nawet gdyby wiedział.

- Musimy go tu zostawić. Zadzwoń do hotelu z ulicznego conu i powiem im, gdzie jest ciało - oświadczył Eddie, podnosząc dwa pudła. - Weź trzecie i instrument. Pospiesz się.

Devi spokojnie przyjęła wieści o tym, co przydarzyło się jej mężowi. Pochyliła głowę nad śpiącym w jej ramionach dzieckiem. Kiedy jej łzy spadły na jego twarz, Amar obudził się i wyciągnął rączki do policzka matki. W tym momencie z jego dłoni wydobyła się smuga wibhutti, a struny tambury poruszyły się, wydając dźwięk szklanych dzwoneczków poruszanych delikatnym powiewem wiatru.

Nikt się nie poruszył oprócz Shanti, która usiadła na podłodze u stóp matki, skłoniła nisko głowę, ujęła dłonią wibhutti i dotknęła nim języka i czoła.

- To on jest świętym, którego szukamy - powiedziała cicho. - Teraz nie ma co do tego wątpliwości.

- Więc musimy pomyśleć, co mamy robić dalej - oświadczyła Radha, przemierzając pokój i rzucając ukradkowe spojrzenia na dziecko, z którego rąk ciągle wydobywał się szary popiół. - Trzeba chronić Amara przed kolejnym atakiem.

- To ludzie Broma zabili Giridhara - Philo nieświadomie przesunął dłonią naznaczoną wibhutti po czole. - Jagdish może być fanatykiem, ale nie jest mordercą.

- Tewati powiedział Bromowi Strassbourgowi, że dziecko jest w Mysore - przypomniała wszystkim Radha, siadając przed dzieckiem i matką. - Więc musimy stąd odejść. Może jeszcze dziś wieczór - przez chwilę nadśluchiwała, aż w jej głowie rozległ się głos. Bangalore. Zabierz też Tewatiego. W Bangalore będziecie bezpieczni przez pięć lat, mówił głos, a potem pojedziecie do Puttaparthi. Pięć lat. Nie zapomnij. Radha pochyliła się i dotknęła dłoni dziecka, zastanawiając się, czy to właśnie jego głos słyszała.

- Bangalore - oświadczyła, głosem tak głębokim, i spokojnym, że Philo spojrzał na nią z uwagą. - Jeszcze dziś pojedziemy do Bangalore. Eddie, znajdź Narayana Tewatiego i powiedz mu o tym.

- Czy nie powinniśmy po prostu wyjechać? - zapytał Philo, przeczesując niepewnie swoje gęste, brązowe włosy. - Narayan może wyjawić nasze plany Jagdishowi.

- Musimy go zabrać - oświadczyła Radha. - To Narayan ma wychować dziecko na Hindusa, teraz, kiedy jego ojciec nie żyje.

Devi westchnęła głęboko, a dziecko lekko dotknęło jej twarzy, zostawiając na policzku ślad szarego popiołu.

Tewati nie był zaskoczony ich widokiem. Siedział na podłodze w swoim pokoju, pomiędzy dwoma spakowanymi torbami. Aby uniknąć pościgu, Philo wyprowadził go tylnym

wyjściem i dźwigał jego bagaże dwie przecznice, zanim dołączyli do reszty. Radha nie chciała wynajmować taksówki, w obawie że to mogłoby naprowadzić ludzi Strassbourga na ich ślad, kupiła więc trzyletnią elektryczną półciężarówkę za garść pereł, a Eddie wypróbował ją. Cokolwiek ma się stać stwierdził Philo, i tak będą potrzebowali dobrego samochodu. Tewati skierował ich na boczną drogę w kierunku Shriirangapatnam, na północ od Mysore, gdyż w ten sposób mogli ominąć punkt graniczny, na którym strażnicy często zatrzymywali samochody w poszukiwaniu nielegalnych imigrantów i narkotyków. Z potęgą Strassbourga rosnącą wszędzie tam, gdzie kwitł handel międzynarodowy, stwierdził Tewati, ryzyko że zostaną złapani, było większe na lepszych drogach, takich jak autostrada do Bangalore.

- Bangalore to dobry wybór - zgodził się z Radhą, opierając głowę o wysokie siedzenie. - Leży wysoko, jest tam chłodno i ma wiele parków. Dziecku będzie tam dobrze.

- To nie był wybór - powiedziała Radha. - Usłyszałam w głowie słowa. Czasami ktoś do mnie mówi w ten sposób - zakończyła niezręcznie, wyglądając przez okno na skupisko małych, pokrytych strzechą domów położonych po obu stronach wąskiej drogi. Bez względu na rozwój indyjskiej gospodarki, chłopcy wciąż żyli jak przed wiekami, zachowując stare wierzenia, w których najprawdopodobniej nie było miejsca na osobiste rozmowy z Bogiem. Stary Tewati, wychowany tak samo, pomyśli, że jest niebezpieczną fanatyczką, z pewnością nie kimś, komu można powierzyć dziecko - boga.

Zamiast tego, Tewati otworzył szeroko oczy i spojrzał na nią zaciekawiony. Potem zaczął wyjaśniać jej tradycję, w której został wychowany, sposoby, dzięki którym jogini zatrzymywali swoje myśli i przyjmowali pozycje, pozwalające na to, aby prana, boski duch, przeniknął ich i powiedział co

robić, ale nie słowami, jak duch, który przemawiał do Radhy. Słowa te pochodziły sprzed trzech czy czterech tysięcy lat przed Chrystusem, nawet jeszcze zanim Kriszna narodził się między wielkimi jogami z Mohenjo - Daro i Harappy, starożytnych miast wielkiej hinduskiej cywilizacji. Uczni Zachodu chętnie wierzyli, że to ich przodkowie, nieokrzesani aryjscy nomadzi z gór, przynieśli słowa Wed i Upanishad do Indii na tysiąc lat przed Chrystusem, ale nawet na pieczęciach cywilizacji znad Indusu przedstawione były wizerunki medytujących joginów i inskrypcje napisane we wczesnej formie sanskrytu. Te prastare wierzenia przybyły z Himalajów najprawdopodobniej dziesięć tysięcy lat temu. Radha zastanawiała się czy owi dawni wyznawcy nauczyli się sztuki oddychania, aby móc utrzymywać ciepło w nieubłaganym chłodzie gór.

Najstarszymi formami wierzenia, mówił Tewati, nie były mityczne, pełne przemocy historie o wedyjskich bogach, ale kult Savitri, mocy kryjącej się za słońcem, oraz kult źródła życia, Atmana, boskiego ducha, który znajdował się w każdej istocie. Wszystko, co nazywamy prawdziwym, mówił, zostało wyśnione przez Brahmana, bezkształtnego i niewidzialnego ducha, którego ludzkość nazywa Bogiem. Tak więc, wyjaśniał Tewati, mit był tylko widoczną częścią sfery, stanowiącej religię hinduską. Jej istotę stanowiły nauki joginów o związku z boskim duchem. Tewati obrócił w dłoniach niewidzialną kulę i przypatrywał jej się z osłupieniem, jakby był bogiem, który przygląda się obracającemu się światu i próbuje znaleźć w nim ślad życia i swego kultu.

Radha pochyliła się i spojrzała na twarz śpiącego Amara. Dziecko leżało wyciągnięte na kolanach matki i przez chwilę wydawało jej się, że wygląda jak żywe przedstawienie obrazka, na którym młody Vishnu leży na bezkresnym oceanie, a lotos stworzenia wyrasta z jego brzucha. Ale chwila

ta zaraz minęła, a Amar z powrotem był brązowoskórym, hinduskim dzieckiem z pulchnymi policzkami, śniącym o mleku matki. Radha odwróciła się z powrotem ku Tewatiemu, zastanawiając się, czy przypadkiem sama nie śni. On też patrzył na dziecko, a jego pomarszczone policzki rozciągał uśmiech.

- Takich cudów oczekuje się po avatarach - powiedział miękko do Radhy. - A mimo to zawsze okazują się niespodzianką.

- Moje dziecko będzie się wychowywało razem z tym świętym - powiedziała Shanti, kładąc rękę na brzuchu. Po raz pierwszy wspomniała przy wszystkich o swojej ciąży. - Eddie, musisz wziąć mój zapas melatoniny. Nie będę jej teraz używać, a ty musisz być silny.

Radha cieszyła się, że Hinduska tak postanowiła, gdyż Eddie nie odmówiłby przyjęcia leku przeciw starzeniu się, który pochodził od Shanti. W jakiś sposób ta dziewczyna umiała postawić na swoim, może dlatego, że tak rzadko prosiła o cokolwiek. A może dlatego, że oni wszyscy, łącznie z Radhą, czuli, że Shanti różniła się od zwyczajnych ludzi, nie mówiła tylko za siebie, ale przemawiała przez nią jakaś oceaniczna przestrzeń, w której Shanti poruszała się bez wysiłku, podczas gdy Radha musiała czynić nadludzkie wysiłki, aby utrzymać się na powierzchni. W każdym razie, stwierdziła Radha, teraz będzie miała to, czego pragnęła najbardziej - Eddiego przy boku, w pełni sił, póki razem nie umrą. Marzyła, aby mieć go przy sobie zawsze, a teraz czuła zadowolenie, bo miała nigdy go nie stracić, ona, która tak wiele straciła.

* * *

Bangalore

Z wyjątkiem jego matki, Tewati najwięcej przebywał z dzieckiem, od czasu gdy grupa już się zadomowiła w

skromnym domu w Bangalore, leżącym niedaleko Kregu Kempegowda i rynku miejskiego. Tewati siadał ze skrzyżowanymi nogami na ziemi, z paciorkami japamali pomiędzy powykrzywianymi, brązowymi palcami i oczami utkwionymi w Amarze, jakby dzięki niemu doznawał wizji. Nawet jeśli tak było, to nie mówił o tym nikomu, tylko patrzył z tym samym wyrazem zastanowienia na pomarszczonej, starej twarzy, który Radha zauważyła w samochodzie.

Swoje pierwsze kroki Amar zrobił na zacienionym podwórku z tyłu domu, którego mury porastały krzewy oleandra. Mając dwa lata, uwieszał się koszyka, w którym spała mała Murali, córka Shanti, i śpiewał jej w swoim dziecięcym, sepleniącym telugu, powtarzając te same święte bhajany, które matka śpiewała jemu samemu. Mała Murali była jego jedyną towarzyszką zabaw, bo odwiedzanie sąsiadów było uważane za zbyt niebezpieczne. Nikt w sąsiedztwie nie wiedział, że w czystym, białym, dwupiętrowym budynku były dzieci, póki nie zdradziły tego krzyki Murali cierpiącej na kolkę.

Pewnego piątkowego popołudnia Murali poczerwieniała i zaczęła krzyczeć w ramionach matki. Amar podszedł do nich niepewnie na bosych nóżkach. Jego brązowe oczy były pełne łez. Radha poszła za nim, niepewna czy Devi wie gdzie podziewa się jej syn.

- Dziecko boli - zwrócił się do Shanti. - Nie możesz jej pomóc?

- Nie, Amar - odparła Shanti cierpliwie, kładąc rękę na lokach chłopczyka. - Boli ją brzusek. Myślę, że moje mleko nie jest dla niej dobre.

- Mleko zawsze jest dobre - oświadczył Amar przykładając usta do twardego, wzdętego brzuszka. Kiedy uniósł głowę, Radha ujrzała, że po oliwkowej skórze Murali spływa żółty strumyczek amrity. - Pocałuj i wypij, Shanti -

nakazał Amar. - Twoje mleko znów będzie dobre - podciągnął swoje błękitne spodenki i wyszedł z pokoju.

Dziecko zasnęło natychmiast, a Radha poszła za Amarem. Chciała być blisko niego, pragnęła wziąć go na ręce i przytulić, gdyby tylko śmiała. Czasami on przytulał ją czy innych, kiedy miał na to ochotę, ale już teraz Amar miał w sobie samotniczą godność, która sprawiała, że wszyscy oprócz jego matki nie dotykali go nie ośmieleni przez niego.

Amar poszedł prosto do Devi, która przygotowywała stół do kolacji. Usiadł przy stole, wsparł brodę o ręce i patrzył jak ustawia dwa wysokie, rzeźbione miedziane świeczniki z białymi świecami. Radha stała w drzwiach i patrzyła jak Devi przykrywa głowę końcem swego sari, zapala świece, zakrywa oczy rękami i zaczyna się w ciszy modlić.

Kiedy skończyła, Radha przeszła przez pokój i dotknęła jej ramienia.

- Dlaczego to robisz? - zapytała. - To samo robili przodkowie mojego ojca w piątkowe wieczory.

- Nie wiem - delikatne brwi Devi uniosły się nieznacznie. - Kobiety w mojej rodzinie zawsze tak robiły. Moja babka przywiozła z sobą te świeczniki, kiedy jej rodzina przeniosła się z Cochin do Bangalore wiele lat temu. Mój mąż... - głos jej zamrugał smutno, kiedy nie odrywała wzroku od płonących świec. - Mój mąż urodził się w Mysore, ja nie.

Radha pochyliła się i przyjrzała świecznikowi, zastanawiając się, czy pomiędzy wijącymi się złotymi wzorami odnajdzie Gwiazdę Dawida. Świecznik jednakże, mógł zrobić jakikolwiek złotnik, niekoniecznie żydowskiego pochodzenia. A jednak w głębi serca była pewna, że była właśnie świadkiem starożytnego, znanego sobie rytuału.

- Twoja matka była Żydówką - stwierdziła, patrząc na Devi. - Albo przynajmniej niektóre kobiety z twojej rodziny były Żydówkami, i gdzieś kiedyś musiały odprawiać szabas.

Amar roześmiał się, odrzucając w tył głowę, a potem przytulił się do nóg Radhy.

- Nic o tym nie wiem - odparła Devi wzruszając ramionami. - Teraz jesteśmy Hindusami, bez względu na to, skąd mogła pochodzić rodzina mojej matki.

Radha poszła do kuchni zamieszać warzywne curry. Usiadła w zamyśleniu przed kuchenką, patrząc na warzywa gotujące się w złotobrazowym sosie. Teraz sama była w takim samym stopniu chrześcijanką co żydówką, gdyż jak Sai Baba uważała nową religię za zjednoczenie starych, ale w swej istocie taką samą. Lecz wiedziała, że dla Żydów takich, jak ci, z którymi mieszkała w Izraelu, Mesjasz będzie musiał nosić inne imię niż Jezus i będzie musiał mieć żydowską matkę. Żydzi zbyt wiele wycierpieli z rąk tych, którzy nie uznawali ich wiary, żeby uwierzyć w Mesjasza, który nie był Żydem.

Radha nachyliła się nad garnkiem i powąchała parującą potrawę, tak podobną do tych, które gotowała jej matka, i przygotowała brązowy ryż, taki sam jak ten, na jakim się wychowała. Przypomniała sobie chrześcijańską ikonę Kori, która stała obok zdjęcia Sai Baby i potrząsnęła głową, zastanawiając się, dlaczego ludzie robią sobie tyle kłopotów nazywając Boga więcej niż jednym imieniem. Jakby myśleli, że żołądek człowieka może strawić tylko biały ryż, albo że słońce świeci tylko dla wybrańców Boga, a reszta trwa pogrążona w ciemności. Ludzie chcą być uważani za wyjątkowych, pomyślała, jak ona sama pragnęła, kiedy była dzieckiem, aby Kori uważała ją za wyjątkową, podczas gdy faworytem rodziny był Philo. A teraz? Nawet jako dobiegająca czterdziestki kobieta, stwierdziła, pragnęła, aby Philo ją podziwiał i okazywał jej to dając jej prawo podejmowania decyzji. On był całą jej rodziną, a w jego subtelnej twarzy wciąż widziała twarz matki.

Marzyła o tym, że mała Murali ją pokocha, może nawet bardziej niż swoich własnych rodziców. Wtedy, kiedy Eddie umrze, a z pewnością umrze przed nią, zostanie jej Murali i nie będzie sama. Coś w tym dziecku o długich rękach i nogach i jasnobrązowych włosach przypominało jej Kori. Radha przerwała mieszanie curry, aby pomyśleć. Kiedy Murali nie płakała z powodu kolki, była spokojna i obserwowała wszystko uważnie, jakby już potrafiła kontrolować swój umysł i ciało. Poruszała się celowo, nie machając wokół rączkami jak większość dzieci, i szybko uczyła się, jak chwycić jakąś rzecz i zbadać ją. Jednak Kori, myślała Radha, była zbyt święta, aby powrócić na ten świat i nie należało czekać na jej reinkarnację. Radha westchnęła i wstała, aby przelać curry do wazy. Minie wiele czasu, zanim zaakceptuje fakt, że nie zobaczy już więcej matki.

* * *

Jerozolima

Ibrihim El - Essa zakończył studia na Uniwersytecie Hebrajskim i przygotowywał się do obrony pracy magisterskiej, zmagając się z podobieństwami między językiem hebrajskim i sanskrytem. Zmagał się też z ortodoksyjną rodziną Sary, która nie chciała pozwolić dziewczynie na poślubienie kogoś, kto nie jest Żydem. Ale przynajmniej nie kazali jej wychodzić za kogoś innego i Sara obiecała mu, że nigdy tego nie zrobi. Spotykali się często w małym parku niedaleko rosyjskiego kościoła, poza murami Starego Miasta, gdzie nie mogli ich zobaczyć członkowie jej rodziny.

- Mógłbyś przyjąć moją wiarę - powiedziała Sara poprawiając długie, czarne włosy i opierając się wygodniej o ławkę. - Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Rodzina przejmuje się tylko sprawą religii. Podoba im się, że jesteś uczony w Piśmie.

- Ale nie tak, jakby oni sobie tego życzyli, obawiam się - Ibrihim podrapał się we wciąż nową sobie brodę, którą zapuścił dla Sary. - Kiedy powiedziałem twemu ojcu, że studiuje święte pisma arabskie i sanskryckie jednocześnie, między nami jakby zapadła kurtyna, jak kurtyna w synagodze, która oddziela mężczyzn i kobiety.

- Wiem, że nie akceptujesz tych aspektów religii, które dzielą ludzi - Sara przyglądała się swoim krótko obciętym paznokciom. - Ale przecież faktem jest, że każdy jest częścią plemienia, bez względu na to, jak to nazwać. Ludzie kochają swoich i nienawidzą obcych. Czy nie było tak zawsze?

- Może. Ale tak nie będzie zawsze. Opowiadałem ci o Sai Babie. On mówi, tak, wyznawaj swoją religię, ale nie potępiaj czyjejs. Zdaj sobie sprawę z tego, że każdy idzie swoją ścieżką ku Bogu. Ku świętości. - Ibrihim dodał to ostatnie z pewnym drżeniem w głosie, gdyż Sara miała i tak dość problemów z religią uniwersalną, nawet bez owego elementu świętości człowieka.

- Świętości? - ciemne oczy Sary rozbłysły ku niemu. Tak mocno zawiązała przy tym wokół szyi czerwony szalik, że zakrztusiła się przy następnym słowie. - Uważasz, że ludzie są bogami, Ibrihim? Przyjrzyj się tylko historii. Tylko dlatego, że Sai Baba ma dwa miliardy wyznawców, nie oznacza, że musi mieć rację. My, Żydzi, przywykliśmy do tego, że jesteśmy w mniejszości.

Żaden człowiek nie może być Bogiem. Nie cierpię, kiedy tak mówisz

- Czy mogę ci powiedzieć trochę o Babie? - zaryzykował Ibrihim, zacisnąwszy mocno ręce na kolanach. W takich chwilach wiedział, że gdyby tylko mógł przytulić Sarę, ucałować jej świeże, gładkie, rumiane policzki, pogłodzić włosy, nie walczyłaby z nim tak zacięcie. A on nie czułby tego bólu, który towarzyszył mu we śnie, w studiach, a nawet w

modlitwie. - Przybył tu, aby uczyć ludzi kochać i służyć sobie wzajemnie, jak ja chcę kochać i służyć tobie, Saro - ujął jej rękę z gwałtownością przeznaczoną dla całej reszty jej ciała.

- To nie ma sensu, Ibrihim - wyrwała rękę. - Będę musiała się z ciebie wyleczyć. Nie spotykać cię więcej. Nie mogłabym żyć z mężem, który wierzy, że ha - Shem, czysty duch, mógłby przybrać ludzką formę. Albo że zwykli ludzie są bogami. Między nami jest coś więcej niż tylko kurtyna. Między nami jest kamienny mur. - Wstała i zaczęła oddalać się od niego z rękami schowanymi w kieszeniach długiego do kostek, szarego płaszcza.

- Sara, zaczekaj! - Ibrihim zerwał się za nią. - Nie zrezygnuję z ciebie! - odwrócił ją ku sobie i przytrzymał mocno, kiedy chciała się wyrwać. - Nie mogę. Jeśli chcesz, żebym został Żydem, to zrobię to. Patrz - potarł dłonią nieogoloną, brązową szczecinę na policzkach i zaśmiał się cicho. - Już nawet zacząłem.

- Zrezygnowałbyś ze swojej wiary dla mojej? - twarz Sary złagodniała i dziewczyna przysunęła się do niego.

- To, w co wierzę - powiedział - to inna sprawa. Dalej będę modlił się pięć razy dziennie, jak muzułmanin. Dalej będę wierzył, że Bóg chce, abyśmy wszyscy się kochali, tak jak on nas kocha. Ale tak, przyjmę prawa twojej wiary, jeśli tylko w ten sposób mnie zechcesz.

Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go niespiesznie, a potem pozwoliła, aby ją przytulił, na co nigdy mu nie pozwoliła podczas tych pięciu lat, odkąd się poznali. - Porozmawiamy o tym z moim ojcem - powiedziała. - Jest rabinem i będzie wiedział co robić. Ale nie wolno ci nikomu mówić o twoich szalonych pomysłach. Nawet mnie. Nie chcę wiedzieć. - Przez całą drogę do domu jej rodziców w Dzielnicy Żydowskiej trzymała go mocno za rękę, jakby się bała, że zmieni zdanie i ucieknie.

Kiedy przybyli do domu, rabi Ordman właśnie studiował Pismo. Nikt nie wiedział, czym właściwie zajmował się w maleńkim, pełnym książek pokoiku przez osiem godzin dziennie. Nie mógł czytać, gdyż oczy odmówiły mu posłuszeństwa dziesięć lat temu, a teraz spoglądał na świat przez okulary tak grube, że od ich ciężaru czerwieniała i bolała go nasada nosa. Był niskim, ale imponującym mężczyzną o grubym karku i szerokich ramionach, które zdawały się niebezpiecznie przeciążać jego drobne skądinąd ciało.

Kiedy Sara i Ibrihim weszli, rabbi nie uścisnął mu ręki. Machnął jedynie ręką w kierunku dwóch starych, obitych czerwoną skórą foteli stojących naprzeciw biurka, oparł siwy podbródek na rękach i zapatrzył się w nich, jakby usiłował zobaczyć książki stojące na ścianie za nimi. Sara zawsze mówiła, że jej ojciec czuje się lepiej z książkami niż z ludźmi. Ta cecha, jak uważała, była wszystkim co miał wspólnego z Ibrihimem, oprócz tego, że obaj byli dobrzy, byli najlepszymi ludźmi na świecie.

Sara czekała, ale ojciec nic nie mówił. W końcu chrząknęła i wskazała na Ibrihima.

- Ojczy, on zostanie Żydem. Zgodził się.

- Moja Sara jest piękną dziewczyną - powiedział rabbi, głaszcząc niesforne loki swojej brody, które zaczynały znów sterczeć, kiedy tylko odrywał od nich rękę - ale nie aż tak piękną, żeby mężczyzna sprzedawał za nią duszę. Musimy porozmawiać o tym, w co wierzysz. Jesteś muzułmaninem, jak rozumiem, i przestrzegasz zasad diety swojej wiary.

- To prawda - Ibrihim skinął głową. - Mój ojciec nalegał, abyśmy prowadzili to, co wy nazwalibyście koszerną kuchnią.

- I potrafisz czytać nasze pisma?

- Codziennie je studiuję. - Ibrihim poczuł jak rozluźniają się jego napięte mięśnie. To przesłuchanie nie było gorsze niż zwykle ćwiczenia na studiach i równie bezosobowe.

Rabi Ordman wstał, uderzywszy przy tym krzesłem w chwiejną górę książek, które zadrżały, ale nie rozsypały się po podłodze. - Co wiesz o swojej rodzinie, młody człowieku? - nagle zwrócił się bezpośrednio ku Ibrihimowi, wspierając się na zaciśniętych pięściach.

- Czy to ma znaczenie, ojcze? - Sara nerwowo zwijała i rozwijała koniec swego szala. - Jego prababka była Żydówką i została zastrzelona w obronie dzieci przez Araba. Była męczennicą. Każdy zna tę historię.

- Nie każdy wie, jednakże, kim był ten Arab - oświadczył rabi z błyszczącymi oczami wbitymi w Ibrihima. - Poczyłem wiele starań, aby się tego dowiedzieć. To był twój ojciec.

Ibrihim zerwał się na nogi, a gardło zacisnęło mu się tak, że słowa stały się ochryple.

- Ty stary, zły człowieku. Mój ojciec był świętym. To ci, którzy go zastrzelili byli terrorystami, nie on.

- Czekaj, czekaj! - Sara potrząsnęła go za ramię. - On ma dowód. Wiedziałaś o tym, ale nie chciałam ci niczego mówić, Ibrihim. Dla mnie to nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma. - Rabbi usiadł ciężko za biurkiem, zdjął okulary i przycisnął ręce do oczu. - Sara jest moim jedynym dzieckiem, a jej dzieci będą moimi jedynymi wnukami. Czyż miałyby też być wnukami mordercy? Zrozum mnie, nasza rodzina nigdy jeszcze nie przeżyła takiego wstydu.

- Chcę zobaczyć ten dowód - zażądał Ibrihim zimno. - Pokaż mi go. - Przez chwilę siedział bez ruchu, a Sara i rabi obserwowali go, kiedy przeglądał dokumenty. - Wygląda na to, że mam drugi powód dla opuszczenia mojej rodziny dla twojej - odezwał się, wstając. - Od tej chwili nie mam ani

rodziny, ani przeszłości. Czy przyjmiesz mnie takiego, jakim jestem?

- Ojczy, nie możesz powiedzieć nie! - wykrzyknęła Sara, obejmując go z całej siły za nogi. - Nie wyjdę za nikogo innego! Chyba że zostanie odbudowana Świątynia Salomona na Górze! Przysięgam.

- Zdaje się, że nie mam wyboru - westchnął rabi Ordman. - Silna wola mojej Sary zawsze mnie w końcu zwyciężała. Znać się od pięciu lat, i trzymanie was z dala od siebie jeszcze dłużej byłoby jak popychanie was do grzechu. Kiedy Ibrihim stanie się Żydem, ty, Saro, możesz zostać jego żoną.

- Przepraszam, ale muszę iść do łazienki - oświadczył Ibrihim, ignorując rękę Sary.

Kiedy został sam, przycisnął mocno rękami usta, żeby nikt go nie usłyszał, oparł głowę o lustro i zapłakał.

* * *

Bangalore

Radha siedziała na werandzie, pod bananowcem, obierając groszek i pilnując dzieci bawiących się w piaskownicy, którą zrobił dla nich Eddie. Grube korzenie drzewa wiły się pod niską, zwieńczoną łukiem bramką, która prowadziła ku ulicy. Stwierdziła, że dzieci mogłyby być dla niej wnukami. Jej własny, dwuletni wnuk był daleko, w Jerozolimie, więc Amar i Murali wydawali się jej prawdziwsi niż syn Ibrihima, który był tylko imieniem i garścią zdjęć. Tymczasem ta dwójka była rzeczywistością z przytulaniem, podrapanymi kolanami i bajkami czytanyymi bez końca, kiedy oboje siedzieli obok niej.

Mając prawie sześć lat, Amar umiał już czytać i często sam czytał Murali. Tewati nauczył chłopca początków sanskrytu, i teraz Amar codziennie kilka godzin uczył się sam, czasami prosząc o pomoc Shanti czy Tewatiego. Twarze obojga jaśniały, kiedy o coś ich pytał, i Radha zastanawiała się, czy przypadkiem Amar pytał nie dlatego, że potrzebował

pomocy, ale raczej dlatego, żeby ujrzeć ową radość na ich twarzach, kiedy razem z nim odczytywali starożytne słowa Wed.

Radha często przyłapywała się na tym, że przypatrywała się uważnie twarzy chłopca, kiedy ten bawił się, zaabsorbowany budowaniem precyzyjnych budynków i murów z piasku, a potem przeprowadzał małe ciężarówki pod piaskowymi tunelami. Murali również próbowała tak budować, ale jej wieże często się waliły. Kiedy dziś upadła jej wieża, właśnie kiedy próbowała przepchnąć przez tunel za dużą ciężarówkę, Murali wstała i kopnęła budowlę.

- Chcę umieć budować jak ty, Amar! - krzyknęła. - Dlaczego mi się nie udaje? - usiadła i podparła głowę rękami, płacząc rozpaczliwie. Murali zawsze traciła cierpliwość, kiedy coś jej się nie udawało.

Amar spojrzał na nią wielkimi jasnymi oczami znad drugiego końca piaskownicy. Był niemal tak wysoki jak Murali, ale bardziej krępy, silniejszy i zręczniejszy w rękach niż dzieci dwa razy od niego starsze.

- Nie płacz, Murali - odparł uspokajająco. - Naprawię to.

Siedząc na piasku, podniósł rękę z dłonią skierowaną ku ruinom piaskowych budynków. Przez zamglone oczy, może dlatego, że zaszyły jej łzami, Radha zobaczyła, że budowle znów ustawiają się w wieżę. Murali klasnęła w ręce z radością.

- Tym razem weź mniejszy samochód - powiedział Amar, rzucając jej jeden ze swoich. - Ta ciężarówka jest za duża do tego tunelu.

Radha zastanawiała się, czy nie iść opowiedzieć Devi o tym, co właśnie zobaczyła, ale postanowiła jeszcze nikomu o tym nie mówić. Odsunęła miskę z obranym groszkiem i zacisnęła ręce na udach, kołysząc się w tył i w przód. Chyba nadszedł już czas, aby wysłać Amara do szkoły, pomyślała.

Ale gdyby robił w szkole takie rzeczy, ludzie zaczęliby o nim mówić. W takim mieście jak Bangalore, nie można by go było ochronić przed ciekawskimi i tymi, którymi kierowała nie tylko ciekawość, ale chęć użycia jego mocy do własnych celów. Głos powiedział jej, żeby zabrać chłopca do Puttaparthi, kiedy skończy sześć lat, a najwyraźniej ten czas właśnie nadszedł.

Doszedł ją zduszony dźwięk podobny do wystrzału. Skoczyła na równe nogi, zrzucając na ziemię miskę z groszkiem. Małe zielone kuleczki potoczyły się wzdłuż ścieżki i Amar i Murali rzucili się, aby je pozbierać. Bose stopy zatupotały po płytkach kuchni, a w chwili potem w drzwiach ukazały się Shanti i Devi.

- Szybko, do tylnego wyjścia! - wysapała Shanti. - Eddie i Philo zatrzymali kilku mężczyzn, którzy chcieli się tu wdrzeć.

Devi chwyciła Amara i rzuciła się z nim ku furtce. Radha już mocowała się z zardzewiałym zamkiem. Słyszała dźwięk strzałów i przewracanych mebli, kiedy obiema rękami próbowała obrócić klucz w zamku.

- Amar! - krzyknęła rozpaczliwie Radha. - Nie mogę go obrócić! Zrób coś!

Chłopiec wyciągnął rączkę i odsunął Radhę. Położył palce na kluczu, a wtedy amrita zaczęła płynąć po samym kluczu, wlała się do zamka i spłynęła na ziemię. Gęsta, podobna do miodu ciecz zdawała się wtapiać w metal, i Radha z łatwością przekreśliła klucz. Pobiegli do samochodu, który zawsze czekał w pogotowiu z bakiem pełnym benzyny, otwartymi drzwiami i kluczykami ukrytymi pod przednim siedzeniem.

- A mężczyźni? - krzyknęła Shanti, razem z Murali siadając w pośpiechu na tylne siedzenie. Devi już siedziała razem z Amarem na przednim.

- Już o tym mówiliśmy - odparła Radha, uruchamiając silnik i modląc się, aby nowy, miniaturowy silnik Starbursta, który zainstalował Eddie, zapalił od razu. - Philo wie, że ma jechać za nami do Puttaparthi. Shanti, mam nadzieję, że wzięłaś ze sobą klejnoty, bo inaczej będziemy zebrać o obiad na ulicach aśramu.

- Jestem marzycielką, ale nie aż tak bardzo jak myślisz - Shanti uśmiechnęła się, nachyliła i położyła woreczek z klejnotami na kolanach Radhy. - I właśnie odnowiłam zapasy żywności i ubrań w samochodzie, jak co tydzień, czyli jak chciałaś.

- To dobrze - Radha rzuciła okiem na wsteczne lustro, w nadziei, że zobaczy w nim Phila lub Eddiego. Byli dość silni, aby odeprzeć trzech lub czterech mężczyzn, powiedziała sobie, ale jeśli napastnicy mieli broń, a Eddie nie miał czasu, aby użyć ich, wtedy on i Philo mogli już nie żyć. Tewati nie mógł pomóc - spał na górze, kiedy zostali zaatakowani. Wargi Radhy zaczęły się bezgłośnie poruszać. Dziwne, pomyślała, modlę się całym sercem tylko wtedy, gdy się boję, kiedy tracę kontrolę nad tym, co się dzieje. Czy to oznacza, zastanawiała się, że zwracam się do Boga tylko wtedy, gdy cierpię? W takim razie mogła oczekiwać znacznie więcej cierpień, gdyż Bóg nie zadowala się byle czym.

Amar pochylił się ku niej i położył rączkę na jej ramieniu. Niezdolna się oprzeć, Radha dotknęła jego gładkiego policzka, czując, jak zawsze gdy go dotykała, ów ciepły dreszcz, który jak płynny miód, ogarnia jej ciało. Kiedy skręciła w Hosur Street, która prowadziła do autostrady, usłyszała pisk opon ślizgających się na asfalcie.

- Gonia nas! - wykrzyknęła Shanti, tuląc do siebie Murali i nie pozwalając jej wyrzeć przez tylne okno.

- Przynajmniej zostawili Phila i Eddiego - stwierdziła Radha, zaciskając mocno ręce na kierownicy. - W samochodzie mamy więcej szans niż oni.

- Mają broń! - zapiszczała Murali, wyrwawszy się z objęć matki. - Jeden wychyla się z okna! - rzuciła się na kolana matki i zastygła w bezruchu.

- Shanti? Devi? - Radha ominęła dziurę w jezdni i docisnęła pedał gazu. Bała się oderwać wzrok od drogi i sprawdzić to w lusterku, gdyż droga zatłoczona była krowami i ulicznymi sprzedawcami, który bez ostrzeżenia wychodzili na jej środek. - Mają zamiar strzelać?

- Chyba tak - odparła Devi słabym głosem. Zamknęła oczy i mocniej przytuliła syna. - Nie możesz jechać szybciej?

- Szybciej, ciociu! - Amar skakał w podnieczeniu w jej ramionach.

Radha gwałtownie skręciła, aby wyminąć rowerzystę, kiedy obok niej przemknął niewielki pocisk i rykoszetował od grubej, plastikowej szyby po stronie Devi.

- Nie uda nam się - szepnęła Radha, oddychając szybko, jakby zbierało jej się na płacz. - Nie mamy rady. Amar? Możesz pomóc? - spojrzała na dziecko, które spokojnym wzrokiem patrzyło prosto przed siebie.

- Już myślałem, że nigdy nie zapytasz - odparł Amar, a jego głos brzmiał bardzo dorośle, co zwykle przyprawiało wszystkich o śmiech. - Skręć, bangaroo. W lewo, a potem w prawo.

Radha nie mogła powstrzymać uśmiechu, słysząc w ustach Amara słowo 'kochanie', którym nazywała go Devi. Skręciła gwałtownie, jak nakazał i samochód zagłębił się w labirynt wąskich uliczek.

- Widzisz? - dziecko wskazało mały skład z otwartymi drzwiami. - Wjedź tam. Mamo, wyskakuj i zamknij za nami drzwi.

Przez chwilę wszyscy siedzieli bez słowa, słysząc odgłos zbliżającego się i mijającego ich samochodu.

- Czy możesz sprawić, żeby zniknęła ich broń, Amar?

- odezwała się w końcu Murali. - I żeby umarli?

- Nie potrzeba nikogo zabijać, tylko trzeba zejść im z drogi - Amar chwycił matkę za rękę. - Czy możemy zjeść coś słodkiego, jak będziemy czekać? - zapytał. - Mam cukierki w kieszeni.

- Amar może wyczarować cukierki znikąd - oświadczyła Murali, klaszcząc w ręce. - Ale nie da mi żadnego, póki mama się nie zgodzi.

Radha spojrzała na dwie kobiety bez słowa.

- Nadszedł czas, żebyśmy wyjechali do Puttaparthi - odezwała się w końcu. - Nie można go dłużej ukrywać.

Całą drogę do Puttaparthi Radha trzymała się bocznych dróg, podróżowali więc wolno. Mężczyźni pojechali pociągiem i już tam na nie czekali we wcześniej uzgodnionym miejscu, czyli w holu jednego z luksusowych hoteli, które stały wzdłuż bocznych uliczek prowadzących do aśramu. Wielkie hotele zostały zbudowane jeszcze w czasach Sai Baby i miały na celu dać schronienie odwiedzającym, którym nie odpowiadały proste warunki Prasanthi Nilayam. Rezydencje i centra handlowe wyrosły wokół aśramu i u stóp wzgórz, za wysokimi, zwieńczonymi wieżyczkami murami starego miasta. Pod koniec życia Sai Baby, aśram wzmocniono w obronie przed tłumami tak desperacko pragnącymi ujrzeć awatara, że aż uciekającymi się do przemocy. Teraz, pomyślała Radha, wieżyczki armatnie i strażnice zapewnią Amarowi przynajmniej trochę poczucia bezpieczeństwa, gdyż garstka jego opiekunów już nie wystarczała.

Napastnicy, opowiadał im Philo, odjechali jak tylko zdali sobie sprawę, że Amara w domu już nie ma. On i Eddie nie mogli ich powstrzymać.

- Myślisz, że pojechali za wami na północ? - Philo objął jednym ramieniem Shanti, a drugim. Murali, śpiącą na jego kolanach.

- Nie. Amar tego dopilnował - Radha spojrzała na chłopca, który uśmiechnął się nieznacznie i chwycił matkę za rękę.

- Nadszedł już czas - powiedział - żebyśmy wyjechali stamtąd.

Murali obudziła się na dźwięk jego głosu i usiadła obok niego.

- Puttaparthi nie będzie gorsze niż inne miejsca - zgodził się Philo, zniżywszy głos, gdyż w holu hotelu pełno było ludzi. - Ale ludzie Strassbourga bez trudu tu się dostaną. Lub ktokolwiek inny, kiedy ludzie zaczną mówić, że pojawił się Prema.

- Więc uważasz, że dalej powinniśmy trzymać go w ukryciu przed wszystkimi? - Radha oparła łokcie na kolanach, a podbródek na dłoniach i zapatrzyła się na dzieci. - Murali wkrótce pójdzie do szkoły i Amar będzie czuł się samotny.

Tewati obrócił się do Amara, który czytał Murali bajkę, wskazując palcem słowa, aby dziewczynka również mogła czytać.

- Dzieci, przepraszam - odezwał się łagodnie, kładąc dłoń na książce. - Musimy cię o coś zapytać, Amar. Jeśli mamy cię posłać do szkoły razem z Murali, to musiałbyś powstrzymać się od robienia rzeczy... - chrząknął - ...niecodziennych.

- Pójdę do szkoły - oświadczył Amar stanowczo.

- I obiecuję, że nie będę robił cukierków. Nie, nawet czasami, Murali - uśmiechnął się do dziewczynki, widząc rozczerowanie na jej twarzy. - Będę jak wszyscy inni.

- Czy potrafisz dotrzymać takiej obietnicy, Amar?

- Devi pochylała się nad synem i wzięła jego twarz w obie dłonie. - A może te rzeczy dzieją się, zanim zdasz sobie z tego sprawę?

- Nie zrobię nic złego, możecie być tego pewni - powiedział chłopiec. - Ani sobie, ani wam. I tak, będę dyskretny. Mamo, jestem pewny, że wszyscy są zmęczeni. Wynajmiemy teraz pokoje?

Czasami Amar mówił jak dorosły, zauważyła Radha. Ale za chwilę znów budował z Murali piaskowe domy lub rzucał kamieniami w kałuże. Radha miała nadzieję, że dorośnie na tyle szybko, aby umieć nie zwracać niebezpiecznej uwagi na siebie i nich wszystkich.

Kiedy Tewati zaproponował, aby wszyscy wprowadzili się do jego domu, który Sai Baba pozwolił mu wybudować w samym aśramie, pomiędzy rezydencjami Hindusów, Radha zgodziła się od razu. Samo Puttaparthi, jak Bangalore, wydawało się zbyt pełne obojętnych nieznajomych, robiących Bóg wie jakie interesy.

Nie obejrzawszy nawet samego aśramu, Radha czuła, jak ogarnia ją spokój, kiedy myślała o małej świątyni, w której modlili się jej rodzice i babka, oraz o tej większej, pobudowanej później, jak mówiła Shanti, obok stadionu.

Kiedy wszyscy przeszli przez bramę, ujrzeli zniszczony, poszarzały pomnik Ganeshy, boga przewycięzającego przeszkody. Radha zapragnęła nagle podejść i zamoczyć palce w mleku kokosowym, które spływało ze schodów przed bogiem - słońcem. Uczyniono tu ofiarę i w jakiś sposób czuła, że Prasanthi Nilayam jest miejscem, gdzie składanie ofiar może nie być takie trudne.

* * *

Paryż

Jason nie potrafił przekonać Broma Strassbourga do przyjazdu do Kalifornii, choć właśnie Kalifornia stała się bazą

i Eurocomu, i powiązanych z nim korporacji azjatyckich. Ale przynajmniej, chwalił się przed Consuelą, skłonił głowę Eurocomu do spotkania w Paryżu, który Consuela zawsze pragnęła zobaczyć. Ona i jej syn Rumi, teraz dwudziestoczteroletni, o smagłej urodzie, jak jego matka, nie spieszyli się na spotkanie Strassbourga. Cały ranek spędzili w muzeum Cluny, oglądając średniowieczne chrześcijańskie dzieła sztuki. Pasją Rumiego była sztuka klasztorna, gdyż sam był utalentowanym malarzem, któremu trudno było trzymać się zasad islamu, który nie pozwalał malować ciała ludzkiego. Czasami łamał tę zasadę, malując krajobrazy pełne postaci mężczyzn i kobiet pracujących czy modlących się. Chował te obrazy w swoich wielkich tekach i pokazywał tylko matce.

On i Consuela mieli więcej wspólnych tajemnic, których nie dzielili z Jasonem. Przed rokiem, kiedy Jason wyjechał z Santa Barbara na wiele miesięcy, Rumi i Consuela pojechali na północ i odszukali starą farmę. Był tam teraz klasztor, a oboje jej rodzice już nie żyli, jak wielu z tych, których kochała. Z tych, których znała został tylko ojciec Elias, który powitał ich oboje jakby ostatni raz widzieli się zaledwie wczoraj. Oprowadził ich po klasztorze, pokazał drewniany, rzeźbiony ołtarz stojący na grobie Kori, jej obraz w niszy, jej zdjęcie Sai Baby i jej samej z czasów młodości.

Rumi długo stał przed jej zdjęciem, a palce same chciały narysować delikatne linie jej twarzy i wielkie, czyste, lekko skośne oczy i roześmiane usta.

- Ty też uważasz, że jest piękna - powiedział ojciec Elias drżącym głosem. - Ja znałem jej duszę tak, jak można znać duszę drugiego człowieka, a była to dusza piękniejsza niż ta twarz. Spójrz na ten smutek kryjący się w kącikach jej ust - wskazał staruszek. - Kiedy wystarczająco długo wpatruję się w ten cień, mam wrażenie, że ona wciąż tu jest.

- Chciałbym tu przez chwilę zostać - poprosił Rumi, siadając naprzeciw obrazu i biorąc do ręki szkicownik.

Stary ksiądz stanął za nim, patrząc jak rysuje portret Kori.

- Mamy tu artystę - oświadczył, kiedy Rumi skończył. - Może wyświadczyłbyś nam przysługę i namalował kilka świętych scen na tych pustych ścianach w wolnej chwili.

I tak Rumi spędził miesiąc malując na ścianach kaplicy obrazy, które kopiował ze świętych ksiąg Eliasza i przekształcał tak, jak mu to podpowiadała wyobraźnia. Malując, czuł na sobie oczy Kori obserwujące go ze zdjęcia, a wyraziste obrazy rodziły się pod dotknięciem jego pędzla, jak nigdy przedtem. Eliasz często rozmawiał z młodym człowiekiem i czule nazywał go Romualdem na cześć patrona kaplicy. Pod koniec swojego pobytu, Rumi powiedział Eliaszowi, że któregoś dnia chciałby wrócić i zamieszkać w klasztorze.

Tego dnia chodził wraz z Eliaszem po kaplicy, szczęśliwy, że księdzu podobała się jego praca.

- Czy sądzisz, ojcze, że mógłbym zostać zakonnikiem? - zapytał. - Czy to możliwe, skoro jestem muzułmaninem? - wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź.

- Nie, nie niemożliwe - ojciec Eliasz w zamyśleniu głaskał swoją długą, białą brodę - bo każdy tu szuka Boga jak umie. Ale powiedz mi, synu, czy doświadczyłeś już kobiety? Czy nie czujesz takiej potrzeby?

- Nie. Czuję, że w innym życiu musiałem taką potrzebę czuć i to sprawiło, że cierpiałem - odparł Rumi, czyszcząc zapamiętałe pędzle. - Teraz pragnę tylko Boga.

- To poważna sprawa - stwierdził ksiądz łagodnie - odciąć się od miłości kobiety, bo taka miłość jest potrzebna, aby złagodzić męskie serce - westchnął. - Pamiętam, jak to było ze mną, kiedy pokochałem kobietę, której nie mogłem mieć, i zawsze będę oplakiwał jej stratę. A jednak, dzięki niej

przestałem tak bardzo interesować się sobą samym i za to jestem jej wdzięczny.

- Widzi więc ojciec, jak taka miłość może przynieść ból - Rumi zawinął czyste pędzle w płótno. - Łatwiej mi nie szukać miłości. Mądrzej jest kochać tylko Boga, który nie zmieni się i nie umrze.

- Mimo to - mruknął stary ksiądz pod nosem, podążając za Rumim - serce, które nie wie czym jest ból miłości do drugiego człowieka, nie może wiedzieć, że Bóg kocha nas aż do bólu.

Dopiero w samochodzie, jadąc z powrotem do domu, Rumi uświadomił sobie, że ojciec Eliasz mówił o swojej miłości do Kori, miłości, która zbliżyła go do Boga bardziej niż zdołałby to zrobić sam. Nie chcąc pamiętać jak uśmiech Kori i jej mądre, jasne oczy dosięgły jego własnej duszy, Rumi mocno zacisnął ręce na kierownicy i skoncentrował się na wyboistej drodze.

Rumi bynajmniej nie pragnął poznać Broma Strassbourga, lecz ojciec na to nalegał, wypychając go naprzód i serdecznie klepiąc syna i tamtego człowieka po plecach. Strassbourg spojrział na wyciągniętą rękę Rumiego, nieznacznie wykrzywił wąskie wargi w grymasie pogardy i zignorował ją.

- Twój syn, jak przypuszczam, będzie rządził Kalifornią po tobie? - Strassbourg mierzył go uważnym spojrzeniem, zastanawiając się, czy był równie głupi jak jego ojciec, czy też należało się z nim liczyć jak z jego matką, którą wielu uważało za trudnego przeciwnika.

- Ja myślę! - Jason przesunął ciężar ciała na pięty, starając się sprawiać wrażenie rozluźnionego. Wcześniej powiedział żonie i synowi, że nie przepada za Europą, razem z jej głupimi mężczyznami, którzy noszą jedwabne garnitury i cały czas gadają o swoich winnicach czy dziwacznych winach. - Któregoś dnia będzie to robił równie sprawnie jak ja teraz.

Jason stał nieco przed Consuelą, najwyraźniej nie zamierzając przedstawić jej Strassbourgowi, lecz ona wystąpiła przed męża.

- Słyszałem o tobie - wysoki, opalony mężczyzna założył ręce na szerokiej piersi w wystudiowany sposób, jak człowiek, który robi wrażenie po prostu stojąc.

Wpatrywał się w niewielką, ciemnicą kobietę, która odwzajemniała jego wzrok, a na jej okrągłej, indiańskiej twarzy o wysokich kościach policzkowych, malowała się tajemnicza siła.

- Moi ludzie twierdzą, że wychowywałaś się z kobietą, która obecnie przebywa z Premą Sai, dzieckiem, które wielu uważa za nowego Mesjasza - odezwał się w końcu, a Rumi pomyślał, że ostatnie słowo zawsze musi należeć do tego człowieka. Myśl ta rozbawiła go niby żart, który dzielili tylko oni dwaj.

- O tym nic nie wiemy - wtrącił się Jason wysokim głosem. - Jesteśmy tu po to, aby skłonić Eurocom do zainwestowania w...

- Nie tak szybko, Jason - powiedziała Consuela. Chwyciła przy tym Strassbourga pod ramię i poprowadziła go w kierunku sofy stojącej przy wielkim oknie wychodzącym na L'Etoile i zatłoczone ulice. - Dyrektor Strassbourg musi najpierw napić się herbaty i opowiedzieć nam o swoich zmartwieniach.

Rumi przysiadł w napięciu na brzeżku rzeźbionego, antycznego krzesła. Wiedział, że matka próbuje dowiedzieć się, co Strassbourg wie na temat Radhy, zanim powie mu cokolwiek o przyjaciółce z dzieciństwa.

- Rozumiesz chyba - zaczął Strassbourg, zwracając się wyłącznie do Consueli. Wiedział już, że to ona, a nie Jason, czy chłopak, stoi na czele tej rodziny - że ta twoja przyjaciółka

jest swego rodzaju fanatyczką? Że należy do ugrupowania, które zamierza przejąć kontrolę nad światem?

- I uczynić z niego miejsce święte - dodała Consuela niewzruszenie. - Rajski ogród.

- Nie jest to dokładnie to, co mam na myśli - mówił dalej Strassbourg, biorąc jej słowa za dobrą monetę. - Jak budują zunifikowany, jednolity porządek świata. Nie ma w nim miejsca dla religijnych fanatyków, zwłaszcza fanatyków, którzy chcą wszcząć rewolucję.

Rumi pochylił głowę, aby nie napotkać wzroku matki. Pomyślał o spokojnym klasztorze, gdzie Eliasza razem ze swoimi braćmi uprawiał warzywa i modlił się o zachodzie słońca, wznosząc ku górze ręce i zapalając kadzidło w wieczornej ofierze. Tacy ludzie niczego nie potrzebowali, niczego nie pragnęli, więc byli niebezpieczni dla Broma Strassbourga i jego nowego porządku świata, w którym ludzie mieli żyć po to, aby sprzedawać i kupować, a nie modlić się i kochać. Ojciec Eliasza powiedział drżącym głosem, że jest pewny, iż Mesjasz znów nadejdzie, i to niedługo, że czuje to w starych kościołach. Powiedział, że Rumi dożyje dnia, kiedy przyjdzie Pan, i że wszyscy Go poznają, kiedy już przyjdzie. Wszyscy oprócz Strassbourga, pomyślał Rumi, wyjmując notatnik z wewnętrznej kieszeni marynarki. Zaczął szybko szkicować twarz dyrektora, spoglądając na niego od czasu do czasu. W jego oczach Strassbourg wyglądał jak byk i Rumi nie mógł się powstrzymać, żeby do gotowej twarzy nie dorysować rogów i kółka w nosie.

- Twoja przyjaciółka jest w południowych Indiach. Tyle wiemy - Strassbourg wyciągnął ramię na oparciu sofy za Consuelę, ignorując wyraz twarzy Jasona. - Czy możesz nam powiedzieć gdzie dokładnie?

- Przykro mi - Consuela potrząsnęła głową i odsunęła kosmyk czarnych włosów, który wysunął się z ciasno

splecionego warkocza i opadł na kark. - Przez te wszystkie lata nie miałam od niej żadnych wieści, z wyjątkiem jednej, kiedy urodził się jej syn, i jeszcze jednej, kiedy ponownie wyszła za mąż.

- Więc ma syna - Strassbourg wstał i zacisnął pięści. - Dobrze wiedzieć. Może, gdybyśmy go aresztowali, zmusilibyśmy ją do wyjawienia, gdzie jest ten hinduski chłopiec. Jaka kobieta patrzyłaby spokojnie jak jej syn umiera za kogoś? - zanim Consuela zdołała odpowiedzieć, był przy drzwiach.

- Nic ci nie powie! - wykrzyknęła, trzymając się ręką za serce. - Ani jej syn!

- O tym się przekonamy, jak tylko go znajdziemy. - Machnął ręką na Jasona, który próbował go zatrzymać. - Jutro, Monsieur, porozmawiamy o interesach, nie teraz. - Otworzył drzwi i już go nie było.

- Musimy ostrzec syna Radhy - wyszeptała Consuela. - Jeszcze dziś zadzwonię do jego uniwersytetu.

Rumi spojrzał na zmienioną twarz matki. Wiedział już co zrobi, co ona chciałaby, żeby zrobił. Consuela powiedziała mu już wcześniej, że Prema Sai ma się pojawić, ale on nie zrozumiał, że święty już przyszedł. Jeszcze tego wieczoru zamierzał zdobyć bilet do Bombaju i stamtąd zacząć szukać po całych Indiach przyjaciółki matki i dziecka, którym się opiekowała. Serce Rumiego zabiło szybciej na myśl o Indiach. Zapragnął móc już w tej chwili wybiec na ulicę. Nie miał pojęcia dlaczego, ale samo słowo 'Indie' rozbrzmiewało w nim całym, jak słowa 'Jerozolima', czy 'Mekka'. Wyszedłszy z hotelu, spojrzał ponad rzymskim Łukiem Triumfalnym na stado białych mew lecących ku morzu i poczuł się wolny jak one.

* * *

Santa Barbara

Ali przez cały ranek grał w warcaby z Ayeszą, swoją drugą matką i z zadowoleniem przyjął przerwę w postaci pożegnalnego listu Rumiego. Otworzył go i przeczytał go na głos Ayeshy, która jadła słodkie ciasto upieczone przez Annie i oglądała program Homera Healey'a w teleconie. Starła się zjadać tylko jeden kawałek dziennie, delektując się słodyczą rozlewającą się po języku, gdyż nie chciała przytyć tak samo jak jej gospodyni.

Jason nie zwracał na nią wiele uwagi i Ayesha obawiała się, że jeśli przytyje jeszcze bardziej, to w ogóle przestanie ją odwiedzać. Tak jej powiedział ostatnim razem, przyglądając się z odrazą jej szerokiej talii i siwiejącym włosom. Dla Jasona liczył się wygląd, pomyślała, nie jak dla Homera Healey'a, którego ciepły głos i łagodny uśmiech sprawiały, że czuła się kochana. Przy Jasonie nigdy tego nie czuła.

Ayesha wiedziała, że Homer Healey nie żyje, ale dla niej wciąż był żywy. Obejrzała wszystkie jego stare taśmy emitowane przez chrześcijańskie rozgłośnie Północnej Kalifornii i powoli, nawet tego nie zauważywszy, stała się chrześcijanką. Czysty, bezosobowy Allah, którego nauczone ją czcić, wydawał się nie dbać o kobiety, obchodzili go wyłącznie mężczyźni. Lecz Jezus, jak się dowiedziała, kochał kobiety tak samo, jak mężczyzn. Kochał nawet ją, grubą i głupią, jak ją nazywał Jason, bo Jezus wiedział, że miała czyste serce, które go pragnęło. Kiedy Homer, jak go nazywała, pod koniec każdego seansu nawoływał ludzi, aby oddali serca Jezusowi, płakała i rzucała się na podłogę. Jej serce płonęło miłością i wdzięcznością ku temu, który ofiarował jej zbawienie, wydobył ją z tego pozbawionego miłości świata i wziął w swoje ciepłe, dobre ramiona. Czasami nie była pewna, czy ją twarz widziała za zamkniętymi oczami, Homera czy Chrystusa, ale wiedziała, że jest kochana i to

dodawało jej sił, aby kochać nawet Jasona, który z niej drwił i szydził.

Zaprosiła Alego do wspólnego oglądania programu Homera i on też oddał swe serce Jezusowi. Potem odwiedzał ją codziennie i razem oglądali programy Homera, nie zwracając uwagi na to, że codziennie wysłuchiwali tego samego. Za każdym razem płakali i mocno trzymali się za ręce. Ale powiedział jej jak bardzo się cieszy, że Chrystus go kocha, gdyż czuł, że matka i ojciec kochali tylko Rumiego. Co dziwne, Ali nie nienawidził brata jak Ayesha kiedyś znienawidziła Consuełę, jeszcze zanim Jezus zawitał do jej serca. Ali podziwiał Rumiego, i chciał być tak święty jak on. Lecz póki nie odnalazł Jezusa, Ali czuł, że jest zbyt słaby i zbyt mały. Naprawdę był dość niski, o głowę niższy od Rumiego, a jego cienkie, jasne włosy zwisały smętnie nad wysokim, bladym czołem.

Powiedział Ayeshy, że kiedy patrzy w lustro, wie, że tylko Jezus mógłby kochać jego niepozorne ciało i wychudzoną, kościstą twarz. Obejmowała go wtedy i zapewniała, że wkrótce wyrośnie na przystojnego mężczyznę, i że Jezusa i tak nie obchodzi, jak Ali wygląda. Nieważne, że inni uważali ich za głupich czy brzydkich, Jezus kochał ich jak kwoka swe kurczęta, a ich wiara zbawi ich. Krew baranka jest na nich, jak powiedział Homer Healey, i są bielsi niż śnieg. Ali, który uważał, że już i tak jest zbyt blady, powiedział Ayeshy, że nie ma pewności co do tego, ale i tak mocno wierzy w obietnice wiary.

- Rumi mówi, że będzie szukał po całych Indiach tego dziecka - Boga - Ali złożył list i wsunął go z powrotem do koperty. - Wydaje mi się, że zgubi przez to swoją duszę.

- Antychryst - powiedziała Ayesha mądrze, kiwając głową. - Rumi myśli, że ten Antychryst jest Bogiem. Musimy

się za niego modlić. Ale nie teraz. Za chwilę zacznie się Godzina Homera - włączyła telecon i nabożnie złożyła ręce.

Przed programem Homera podawano wiadomości, które przekazywał przywódca ruchu Healie, Waynel Masters o blond włosach, aksamitnym głosie i twarzy anioła. Ayesha wyprostowała się i chwyciła Alego za ramię.

- Będzie mówił o końcu świata - dyszała, potrząsając nim.
- Wczoraj wieczorem powiedzieli, że dziś o trzeciej Waynel opowie jak skończy się świat. Waynel był poważny, choć najczęściej próbował naśladować ciepły uśmiech i łagodny ton Homera Healey'a, tym razem najwyraźniej był podenerwowany i mocno zaciskał dłonie, wpatrując się w nich z nateżeniem z ekranu. Pałce Ayeshy kleiły się, więc oblizwała je w nerwowym napięciu.

- Bracia i siostry - zaczął swym silnym południowym akcentem. Kobieta siedząca obok niego, z włosami pofarbowanymi na kolor błyszczącego srebra i okalającymi jej twarz niby aureola, westchnęła głośno, jakby siłą powstrzymując się od płaczu. - Mam dla was wiadomość, która wstrząśnie waszą wiarą, lecz nią nie zachwieje. Nawet najwierniejsi będą wstrząśnięci, jak mówi Księga - podniósł wielką czarną książkę obiema rękami i z uszanowaniem przyłożył wargi do okładki. - Nie zachwiejecie się w waszej wierze, jeśli znacie przepowiednie:

- Teraz im powie - pełna entuzjazmu, podkreśliła głos. - Czy nie pragniesz się dowiedzieć?

- Muszę zdobyć dla nas Biblię - Ali pokiwał głową, nie odrywając oczu od ekranu. - Kupię ją jeszcze dziś i przemycę tu.

Waynel Masters odłożył swoją Biblię, lecz nie puszczał jej.

- Antychryst przybył, przyjaciele. Po prostu. Pomyślałem sobie, że powinniście o tym wiedzieć - wstał i zrobił kilka

kroków przed kobietą o srebrnej aureoli włosów, która przyłożyła do oczu chusteczkę. - Pojawił się w Indiach, pomiędzy niewiernymi, którzy wierzą w tysiąc bogów i żyją w grzechu, a ich oczy pozostają zamknięte na prawdę Ewangelii - przełknął ciężko, a jego błękitne oczy zamglily się. - Nazywa się Prema Sai i twierdzi, że jest odrodzonym Chrystusem - złączył zaciśnięte w pięści dłonie. - Wszyscy wiemy co to oznacza, prawda, przyjaciele? Bestia z Księgi Objawienia nadeszła i ludzie na całym świecie noszą jej znamię. Na całym świecie szerzą się trzęsienia ziemi i głód. Muzułmanie niszczą Żydów. To chwila, przyjaciele, Drugiego Przyjścia. Lepiej bądźcie na nie przygotowani, jak mądre dziewice. Wyczyśćcie swoje lampy i ustawcie się zawczasu przy drzwiach kościoła, bo inaczej Oblubieniec was nie dostrzeże.

Kobieta z dziwnymi włosami już głośno łkała, a makijaż spływał jej na policzki czarnymi smugami. Waynel objął ją ramionami i delikatnie kołysał.

- To wam mówię, przyjaciele, że Antychryst będzie dręczył wierzących i próbował odstręczyć ich od Jezusa. Pojawi się jak wąż w Edenie i powie wam, że ludzie są bogami, a nie biednymi, nędznymi grzesznikami. On jest diabłem, przyjaciele, i Bóg straci go jak stracił do piekła Lucyfera, a od dźwięku jego upadku zadrzą wszystkie szyby we wszystkich oknach na całym świecie.

Ali zakrył oczy rękami i załkał w ramionach Ayeshy. Nagle wiedział co było celem jego życia. Przeznaczeniem. Dlatego właśnie Bóg sprawił, że list Rumiego i przekaz od Waynela nadeszły w tej samej chwili. Bóg chciał, aby Ali nie miał żadnych wątpliwości. Jak tylko będzie dość duży, aby odnaleźć Antychrysta, Ali wypełni swoje ziemskie przeznaczenie. Uratuje Rumiego i jemu podobnych od piekła, zabije tego fałszywego Mesjasza. A na razie, będzie się modlił i wierzył.

Będzie wzrastał w łasce, a z czasem Bóg naznaczy go płomienną pieczęcią. Ali będzie tym, który przygotuje ścieżkę Panu, aby mógł nadejść na obłoku chwały. Nie stanie mu się nic złego, bo kiedy zacznie się Uniesienie, Ali znajdzie się w objęciu odwiecznych ramion. A Prema Sai, Antychryst, będzie martwy.

* * *

Paryż

Odkąd Jason zdecydował, że zostaną w Paryżu, Consuela wciąż była podenerwowana. Jedyne miejsce w tym błyszczącym, kosmopolitycznym mieście, w którym czuła się jak w domu, były podziemia muzeum Cluny, gdzie mogła godzinami siedzieć przed rzeźbą Czarnej Madonny, stojącej w niszy, gdzie turyści rzadko zaglądali. Za nią, pod poczerńiałym łukiem sufitu pomieszczenia, które tysiąc lat temu było klasztornym refektarzem, w nieregularnym kamieniu wykuto szereg otworów, które połączono drabinami. Wyglądało, że pracę przerwano dawno temu, gdyż całą powierzchnię kamienia pokrywała warstwa kurzu, a otwory nie prowadziły donikąd.

Ciemna twarz Madonny, jej oczy patrzące przed siebie i lekko uśmiechnięte wargi zwrócone były zawsze w kierunku pustych otworów, jak powiedział jej strażnik, jakby wiedziała co w każdym z nich trwa i czeka na odkrycie. Jej twarz wyraża większą dobroć niż okropna twarz Kali z tymi otwartymi ustami i nieobecnyimi oczami, pomyślała Consuela, ale i ona przedstawia i narodziny, i śmierć. Może ciemnolica bogini jest tą, którą świat poznał najpierw, którą odkryli przodkowie rodzaju ludzkiego w Afryce, oplakując swoich zmarłych składanych w ciemnej, żarłocznej ziemi.

Wpatrując się w twarz Wielkiej Matki, Consueli zdało się, że została przeniesiona w czasy, kiedy kobiety były duchowymi strażniczkami rasy, a mężczyźni otaczali je

szacunkiem, gdyż to one wydierały pożywienie z ziemi, a ze swoich ciał - dzieci. Były czasy, Złoty Wiek, kiedy ludzie nie znali broni ani słowa 'wojna', kiedy miłość była najwspanialszym sposobem oddawania czci boskiej.

Teraz, pomyślała wstając i ruszając ku wyjściu z muzeum, dominacja takich ludzi jak Brom Strassbourg sprawiła, że świat przypomina dobrze naoliwioną maszynę, a człowiek czci jedynie siebie samego. Prema Sai i jego nowy porządek świata wydał jej się jedynie nieznacznym słodkim zapachem niesionym przez wiatr, otoczonym jak ona przez ludzi cuchnących zmysłowością, pocących się na myśl o kontrolowaniu i posiadaniu. Wiedziała, że są i inni, tacy jak jej syn Rumi, którzy nie nosili holochipu Broma i nie zdobywali w pocie czoła bogactw tego świata tylko po to, aby na nich usiąść, sycząc na innych jak smoki. Ale te ciche miliardy, zajmujące się uprawą roli czy uzdrawianiem, nauczaniem, sztuką i budowaniem, robiły jedynie to, co im kazano, czekając na dzień, kiedy Sai spełni swoją obietnicę i powróci na Ziemię. Nazywali siebie wieloma imionami ci cierpliwi, zwykli ludzie, ale wszyscy wierzyli, że on przyjdzie.

Kiedy dotarła do domu, Jason i Brom już na nią czekali. Jason zaczął naśladować Broma i też ubierał się teraz w jedwabne garnitury. Wisiały na jego wąskich ramionach i opinały zaczątki brzucha powstające dzięki gęstym francuskim sosom. Jason zarzucił muzułmańskie przepisy dotyczące jedzenia, i jadł teraz pił wszystko. Consueli nie podobało się to, że jej mąż pija wino z Bromem, gdyż potem Jason stawał się arogancki. Zaczynała rozumieć, że islam był jedyną wartością, która nie pozwoliła mu doprowadzić się do stanu zupełnego zezwierzęcenia. Teraz, kiedy tego nie stało, był nie lepszy od szakala i nie mniej odstręczający. Nawet zaczynał powoli wyglądać jak szakal: ta jego podłużna twarz i duże, nieregularne zęby uderzające o siebie, kiedy mówił.

Właśnie mówił, kiedy wróciła, gdyż obiecał Bromowi, że Consuela będzie w domu godzinę temu.

Consuela zignorowała go i usiadła przy metalowo - - szklanym stole, gdzie jedli swoją padlinę, jak nazywała paryskie bankiety Jasona.

- Czego chcesz, Brom? Pewnie więcej informacji o Ibrihimie i jego matce. Nie wiedziałam nic więcej wcześniej i teraz też nie wiem - była zmęczona i wysunęła stopy ze swoich ciasnych, modnych pantofli, nie zwracając uwagi na zmarszczone brwi Jasona.

- Moi informatorzy uważają, że Ibrihim jest w Jerozolimie. Czy miałaś jakieś wiadomości od swojej przyjaciółki?

- Myślisz, że powiedziałabym ci o tym?

- Powinnaś. Pomyśl o tym. Znajdę go wcześniej czy później - Brom przysunął krzesło i usiadł tak blisko niej, że mogła dostrzec swój powiększony obraz w jej - go bladoszarych oczach. - I chciałbym wiedzieć coś o tej ich religii. Zdaje się, że moi pracownicy grzęzną w niej jak w błocie - przysunął się tak blisko, że Consuela niemal czuła na twarzy jego oddech.

- Co właściwie ci się w tym nie podoba? Przede wszystkim, to jest żadna nowa religia, tylko życie w sposób, o jakim zawsze nauczały wielkie religie świata. Zasada numer jeden jest miłość. Wyrzeczenie się siebie. Dobroć. Brzmi to cokolwiek wywrotowo?

- Cokolwiek. - Brom przejechał dłonią po podbródku i zerknął w lustro wiszące nad połączonym hebanowym stolikiem. - To jak narkotyk. Ludzie stają się niezdyscyplinowani, lekceważą wszelkie reguły. Całe firmy zaczynają pozwalać swoim pracownikom brać udział w podejmowaniu decyzji i podziale zysków - znów się ku niej pochylił z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. - Nikogo nie

jestem pewny. Nie ma żadnego szacunku dla władzy. Czy możesz mi wyjaśnić co się dzieje?

- To ty masz władzę, Brom - spróbował się wtrącić Jason.
- Potrzeba tu tylko władzy, a oni zrobią co im rozkażesz. Wszystko.

Brom odwrócił się plecami od Jasona.

- Muszę to wiedzieć, a ty mi to możesz powiedzieć.

- Nie mam do powiedzenia nic, co potrafiłbyś zrozumieć - Consuela odsunęła się z krzesłem i skrzyżowała ramiona. - Prema Sai podniósł poziom energii duchowej na świecie. To coś jak pompowanie tlenu do namiotu, pod którym leży chory. Albo nauczysz się oddychać, albo umierasz.

- To nic nie wyjaśnia! - Brom walnął otwartą dłońią w stół tak, że szklany blat pękł na dwoje. - Co z moimi pracownikami i dyrektorami, którzy łamią zasady współpracy? Co z poborcami podatków, którzy przymykają oczy na handel wymienny? Co z żołnierzami, którzy dezercerują, aby kopać rowy kanalizacyjne w Afryce?

- Tu masz książkę, która ci to wyjaśni - Consuela szurnęła tomem po stole, nie chcąc się do niego zbliżyć. Ten górujący nad nią wielkolud sprawiał, że się dusiła, zupełnie jak zawsze, kiedy jej mąż popychał ją na łóżko. - Autor jest znanym specjalistą w dziedzinie religii porównawczych. Jeśli on nie potrafi ci tego wyjaśnić, to nikt nie potrafi.

- „Wiek Boga”, Abraham Hoffmann - Brom trzymał książkę na długość ramienia. Nie chciał nosić szkielek kontaktowych, pomimo wciąż zwiększającej się dalekowzroczności. - Żyd, jak sądzę.

- Tak sądzę - Consuela wstała i przeszła na drugą stronę stołu. - Książka jest światowym bestsellerem. Dziwne, że o niej nie słyszałeś. Znajdziesz tu wszystko, co chciałeś wiedzieć o Premie Sai i o tym, co zamierza zrobić - modliła się bezgłośnie o to, aby Bóg pomógł temu człowiekowi z

cementu i jedwabiu uciszyć swe rozwrzeszczane ego i przyjąć naukę miłości. Tak to prawdopodobne, pomyślał, jak to, że odszuka Czarną Madonnę i złoży na jej prastarych wargach pocałunek pokoju.

- Przepowiednie - prychnął Brom, przeglądając szyb - ko książkę. - Majaczenia lunatyków w łachmanach i o długich włosach.

Ale wychodząc, zabrał książkę.

* * *

Jerozolima

Sara Hoffman nie chciała przeczytać książki męża traktującej o Premie Sai, ale kiedy poprosił ją o nią ojciec, przyniosła mu egzemplarz. Pomiedzy kartkami znajdowało się zdjęcie Radhy i Murali, obejmujących się i uśmiechniętych. Siedzieli razem w ciemnej, po brzegi wypełnionej książkami bibliotece, a on bez przerwy kartkował książkę. Rabi Ordman nosił na czole lampkę, niby górnik, a do jego grubych szkieł przymocowano chirurgiczne szkło powiększające. Miał zaciśnięte wargi i potrząsał smutno głową.

- Ojczy, pozwól, żebym ci ją przeczytała. Twoje oczy są na to zbyt słabe - odezwała się Sara, pochylając się, aby zabrać mu książkę.

- Co za jędrza z ciebie, Saro! - rabbi uderzył ją po rękę. - Zawsze się wtrącasz do moich spraw. I do spraw twojego męża też, jak podejrzewam. Zawsze z nim walczysz, skarżysz się na niego. Dlaczego za niego wyszłaś, skoro ciągle jesteś na niego zła?

Sara cofnęła się i położyła pulchne ramiona na równie pulchnym brzuchu. Ciało, które kiedyś doprowadziło Abrahama do szaleństwa, teraz było bardziej macierzyńskie, ale jej twarz była wciąż gładka jak oblicze renesansowej Wenus, różowa i pełna, o zmysłowych wargach, które częściej krzywiły się w niezadowoleniu niż uśmiechały.

Niezadowolona była i teraz, męczył ją i ojciec, i mąż. Jej syn, Solly, był jedynym mężczyzną w jej życiu, któremu mogła ufać, co często powtarzała Abrahamowi, i częściowo sama w to wierzyła.

- A skąd miała wiedzieć, że małżeństwo tak będzie na mnie działać? - zaoponowała. - Skąd może kobieta wiedzieć przed ślubem co znaczy wybieranie robaków z ryżu i liczenie bezpiecznych dni? Zanim skończę liczyć, zupełnie odechciewa mi się miłości. Tak samo jest ze wszystkimi młodymi kobietami, które znam. A nasi mężowie wychodzą sobie i używają życia, kiedy my wciąż tylko karmimy dzieci i sprzątamy. Jeśli jestem zła, to dlatego, że tak właśnie jest, tato - mówiła z błyszczącymi oczami.

- Dziecko, nie wiń mnie za to - rabi Ordman westchnął i zwrócił oczy ku otwartej książce. - To właśnie dzięki temu od trzech tysięcy lat żyjemy i jesteśmy czysti. Oczekujesz, że życie będzie proste. Zawsze tego oczekiwałaś. A teraz ten twój mąż, którego tak bardzo pragnęłaś, okazuje się być zdrajcą i swojej własnej, i naszej religii - postukał w książkę powykrzywianym palcem. - Posłuchaj tego: „Wiem z nieomylnych źródeł, że matka Premy Sai pochodzi z Domu Dawida, jak Mesjasz. Jak dobrze wiadomo, Żydzi żyją w Cochin w Indiach Południowych od czasów Diaspory”. I co myślisz, Saro, o hinduskim Mesjaszu twego męża? - głos rabiego Ordmana drżał, jakby siłą powstrzymywał płacz. - Wymyślił sobie te informacje, tak?

- Myślę, że ten Mesjasz jest oszustem. I ty też tak uważasz - wybuchnęła Sara. - Ale nie, Abraham niczego nie wymyśla. Przejrzałam jego papiery. Trzyma je pod łóżkiem, w zamkniętym na klucz, metalowym pudle, ale znalazłam kluczyk w jego biurku. Widzisz, tu jest list od jego matki, pisze, że Prema Sai jest w miejscu, które nazywa się

Puttaparthi. Ona też tam jest. Przynajmniej mój mąż nie jest kłamcą.

- Zatrzymam ten list - oświadczył rabi Ordman, odsuwając się, kiedy Sara próbowała mu go wyrwać.

- Lepiej, jeśli będzie w moich rękach niż w twoich. Kiedy Sara wybiegła, krzycząc, że nikt jej w niczym nie ufa, rabbi Ordman zaczął czytać uważnie pokryte drobnym pismem kartki listu. Marszczył przy tym brwi, a ostre światło raziło jego oczy. Serce mu biło i nie mógł oderwać się od listu, póki nie nauczył się go na pamięć. W końcu włożył kartki do szuflady biurka.

- Muszę się modlić, aby moje serce pozostało czyste i bronić się przed słowami diabła - powiedział na głos.

- Nie mogę pozwolić im odciągnąć się od ha - Shem - opuścił głowę i zamknął oczy, próbując wymazać z pamięci uparty obraz młodego chłopca z oczami jak ciemne diamenty, które zmuszały go do spojrzenia w nie i modlitwy.

Abraham Hoffman, kiedyś Ibrihim Al - Essa, sprzątał swoje biurko na uniwersytecie. Nie żałował, że poproszono go, aby oszedł, gdyż w chwili, kiedy jego przełożony wyraził owo życzenie, opanowało go uczucie wolności. Biedny stary Ari o dobrym sercu, któremu język się plątał, kiedy musiał być administracyjnie okrutny. Ari załamał ręce, a głos mu drżał, kiedy mówił Abrahamowi, że decyzję podjęli ludzie ważniejsi od niego. Nawet tak wielki uczony jak Abraham Hoffman może zostać wyrzucony z uczelni, jeśli napisze, że hinduski guru jest Mesjaszem, nawet jeśli matka tego Hindusa jest Żydówką, o czym napisała mu Radha w jednym z listów, zanim jeszcze zrobiło się zbyt niebezpiecznie, aby pisać. Była jeszcze jedna sprawa, drobiazg doprawdy - Abraham niezupełnie był Żydem. Widziano go nawet, jak modlił się w meczecie. No i wszyscy znali historię jego ojca, terrorysty... Ari zagryzł swoje pełne wargi i spojrzał na niego tak, jakby

chciał się rozplakać, jak podczas barmicwy Solly'ego. Uczył go nawet odczytywania hebrajskich tekstów, gdyż Abraham nie miał poczucia rytmu, a chciał, aby jego syna uczył mistrz. Abraham poklepał Ariego w ramię, mówiąc że nie musi nic dodawać. On bardzo dobrze zrozumiał.

Postanowił, że później przyśle po książki, spoglądając na ściany zastawione tekstami w trzech świętych językach. Na razie weźmie ze sobą tylko swoje osobiste dokumenty. Wyszedł z pokoju, czując się dziwnie radośnie i lekko.

Sara powitała go w drzwiach ze łzami w oczach. Wcześniej zadzwonił do niej i przekazał wieści, mając nadzieję, że póki on nie przyjdzie do domu, jej przejdzie gniew i żal. Nawet zatrzymał się w swojej ulubionej arabskiej restauracji przy bramie Jaffa na małą przekąskę, sądząc, że Sara najpewniej będzie zbyt zła, żeby cokolwiek ugotować. Często tu przychodził w trudnych chwilach, czerpiąc przyjemność z rozmów z Ahmedem, właścicielem hotelu Petra, z którym pił gęstą, słodką turecką kawę i rozmawiał o nieprzetłumaczalnych zawłościach Koranu.

- Więc to koniec?! - wykrzyknęła Sara. - Koniec z uniwersytetem? I to tylko z powodu tej szalonej książki?

- Ta szalona książka już zarobiła dla nas pół miliona szekli - odparł z uśmiechem. - I zarobi jeszcze wiele milionów. Nie będziesz przez nią cierpiała, Saro, obiecuję.

- Taka byłam dumna z tego, że jesteś profesorem - oświadczyła czkając i uderzając mokrą twarzą w jego pierś. - Nie obchodzą mnie pieniądze. Obchodzi mnie to, co pomyślą ludzie.

- To znaczy twój ojciec? - Abraham rzucił swoją czarną marynarkę na krzesło. Nigdy nie lubił czarnego garnituru i zaraz zaczął przebierać się w jasne spodnie i srebrnoszarą jedwabną koszulę. - Martwi cię twój ojciec, wiem. Nie

rozmawia z nami odkąd ukazała się książka. Naprawdę myślisz, że może być jeszcze gorzej?

- Mój ojciec ma złamane serce, Abrahamie, i to ja je zламаłam, wychodząc za człowieka z dziwnymi pomysłami. Dybuk cię opętał, czy co? Jak Mesjasz może urodzić się w Indiach, nawet jeśli jego matka jest Żydówką? Co też pozostaje wielkim znakiem zapytania, przyznaj - tupnęła nogą tak mocno, że świecznik zadrżał na etażerze. - Co za pomysł! Solly płacze w swoim pokoju, bo wszyscy w szkole mówią, że jego ojciec jest zupełnym meshugganah.

- Co mam zrobić, Saro? - Abraham zapiął koszulę i włożył jarmułkę, która spoczęła niepewnie na jego gęstych, falowanych włosach. - Straciłem pracę i książka się ukazała. Co niby miałbym z tym zrobić?

- Chcę, żebyś wszystko odwołał. Wszystko. Przeprosił - Sara płakała, a z pomiędzy dłoni zakrywających twarz ciekły jej łzy.

- Kogo przeprosić? - Abraham wzruszył ramionami. Przyzwyczał się do jej wybuchów, które już go tak nie denerwowały. - Za co? Powiedziałem prawdę. A moja religia to moja sprawa.

- Nie, to nasza sprawa - dławiała się słowami. - Dzięki niej mamy to wszystko, dziecko, wspólne szabasy, modlitwy przed miłością. Gdybyś był muzułmaninem, jak wciąż twierdzisz, bylibyśmy po prostu jak dwa spółkujące psy, a nie jak mąż i żona. Twoja dusza byłaby gdzieś indziej. Z jedną z tych hurys w prześwitujących majtkach.

- Nie rozumiesz co to znaczy być muzułmaninem, Saro - powiedział i otworzył drzwi. - A ja nie będę już próbował ci tego wyjaśniać. Wrócę później, kiedy się uspokoisz. - Zamknął za sobą drzwi i Sara usłyszała odgłos oddalających się schodami przeciwpożarowymi kroków. Winda jeździła wolno, a on lubił zbiegać schodami w dół. Na dole, u wylotu

szerokiej, trójpasmowej ulicy zauważył limuzynę z zaciemnionymi oknami. Stała w tym samym miejscu, w którym zatrzymał się ambulans tego dnia, kiedy zamordowano jego ojca, zauważył Abraham, czując nagłe ukłucie niepokoju budzące się gdzieś w dolnych partiach ciała. Przyłgął do ściany, przesunął się ostrożnie w kierunku podwórka budynku, a potem rzucił się biegiem ku jego drugiej stronie.

Stała tam kolejna limuzyna, tym razem ze znakami Eurocomu. W środku siedział jeden człowiek, a drugi wchodził schodami do budynku. Abraham przypomniał sobie o ostrzeżeniu, które nadeszło pięć lat temu od przyjaciółki jego matki. Upłynęło już tyle czasu i niemal już zapomniał, że Brom Strassbourg go szuka. Prawdopodobnie zmiana nazwiska utrudniła mu poszukiwania. Przybranie nazwiska babki sprawiło, że Abraham stał się niemal niewidzialny, jakby nieprawdziwy, nawet dla siebie samego. Trudno mu było uwierzyć, że ktokolwiek mógłby go odnaleźć, gdyż i uniwersytet, i wydawca dostali ściśle instrukcje, aby nikomu nie ujawniać gdzie Abraham przebywa.

Nagle uderzyła go myśl, że może to ojciec Sary zaczął mówić. Stary rabbi miał szerokie grono przyjaciół, a nie każdy z nich życzył Abrahamowi dobrze. Teraz nie ma znaczenia, pomyślał Abraham, kto mnie zdradził. Musiał się dostać na posterunek policji za bramą Jaffa i poprosić o ochronę Sary i Solly'ego. Abraham skierował się w boczną uliczkę prowadzącą do Starego Miasta przez Bramę Syjonu.

Do jego mieszkania natychmiast skierowano dwóch policjantów, a Abraham czekał na posterunku na ich telefon, wiedząc, że nie powinien iść z nimi. Kimkolwiek byli jego prześladowcy, pokażą się znowu, kiedy tylko znikną policjanci. Teraz, kiedy już wiedzą gdzie mieszka, stał się niebezpieczny dla własnej rodziny. Zadzwoił telefon. Sara i

Solly byli bezpieczni, napastnicy odeszli, ale Abraham wciąż był niespokojny.

Wyszedł z posterunku bocznym wyjściem prowadzącym na ulicę Dawida, rozglądając się wokół siebie, przyglądając twarzom, których normalnie w ogóle nie zauważał. Zatrzymywał oddech ilekroć ktoś oddawał mu spojrzenie, bojąc się, że właśnie został odnaleziony. Dawno temu matka zaproponowała, że nauczy go jak się bronić, a teraz żałował, że nie skorzystał z jej propozycji, lecz jak ojciec, chciał tylko, aby pozostawiono go w spokoju. Niczego się nie bał, niczego nie pragnął oprócz życia wypełnionego miłością, modlitwą i nauką. Teraz Abraham utracił to wszystko i był bardziej samotny niż chciał.

Upychając jarmułkę w tylnej kieszeni, Abraham przebiegł całą drogę do arabskiego rynku, kilka ulic od ogromnej świątyni Grobu Świętego. Tam kupił keffiyesh na głowę i kaftan w biało - szare pasy. Nie szukają przecież Araba. Lecz kiedy sprzedawca wręczał mu torbę z zakupami, w drzwiach świątyni stanęło dwóch mężczyzn w ciemnych okularach i błękitnych, jedwabnych kombinezonach. Przyglądali mu się.

Abraham przepchnął się obok sprzedawcy i wbiegł do pomieszczenia na tyłach sklepu. Przy maszynie do szycia siedziała młoda dziewczyna, która spokojnie wskazała na drzwi za nią. Najwidoczniej wzięła go za terrorystę, którego ściga policja, i była przyzwyczajona do tego, że ludzie uciekają jej tylnym wyjściem. Znalazłszy się znów na ulicy, skreślił w pierwszą uliczkę, wciąż trzymając plastikową torbę. Nie ma czasu na przebieranie się, pomyślał, słysząc za sobą strzały i tupot szybkich kroków. Serce waliło mu szaleńczo, kiedy z trudem chwycił oddech. Desperacko szukał jakiegoś kąta, w którym mógłby się ukryć i w końcu przykucnął pod stertą skórzanych kurtek. Ich ostry, cierpki zapach przyprawił go o mdłości. Jak matka, nigdy nie jadł mięsa i nie nosił skóry.

- Chcesz coś kupić, Adoni? - sprzedawca kucnął przy nim, jakby był przyzwyczajony do klientów, którzy chcą wachać jego towar.

- Nie teraz - syknął Abraham, wyglądając przez ubrania na zbliżających się, błękitno odzianych mężczyzn. - Ukrywam się, na miłość boską!

- A tu cię mam! - odszepnął sprzedawca podnosząc się. - Czy mógłbym zainteresować was, panowie, hełmem ze skóry? - mówił dalej gładko, bez zająknięcia. - Mam dokładnie taki sam kolor, błękitna szczurza skóra - uwiesił się niemal na ramieniu jednego z nich. - Zaledwie jeden tysiąc szekli. Za drogo? Dla was, panowie, niech będzie pięćset.

Odepchnęli go na bok i poszli dalej ulicą, nurkując bronią między ubraniami, rozchylając zasłony broniące dostępu do sklepów. Abraham stwierdził, że może już wyjść. Kupił przy okazji, i z wdzięczności, wełniany szalik.

- Patrz, wracają! - wykrzyknął sprzedawca, chowając się.

Wyłaniali się właśnie zza rogu. Jeden z nich wyciągał z kabury miniaturowy rakieta. Abraham przycisnął pakunek do piersi, jakby to mogło go ochronić, i skreślił w lewo, przedzierając się pomiędzy kramami i zaczął zbiegać stromymi schodami w kierunku bocznego wejścia do świątyni Grobu Świętego. Zmieszał się z tłumem i wszedł do wysokiego kościoła, który przypominał bardziej fortecę krzyżowców niż świątynię.

- Podejdz tu i ucałuj święty kamień za jedyne pół szekla - zawołał za nim franciszkanin w brązowym habicie, uśmiechając się bezzębnymi ustami i wskazując na niewielki tunel pod ogromnym ołtarzem.

Abraham błyskawicznie uznał tunel za dobrą kryjówkę, ale za chwilę stwierdził, że jest to raczej pułapka niż kryjówka. Słyszał zamieszanie w drzwiach, którymi wszedł i domyślił się, że muszą to być jego prześladowcy. Przypomniał

sobie, że gdzieś tu były schody, które niełatwo było odnaleźć, a które prowadzą do podziemi kościoła. Szybko skręcił w lewo, mając nadzieję, że pamięć go nie zawodzi. Odnalazł schody i zbiegł niezgrabnie, tylko na piętach, gdyż nie chciał, aby napastnicy usłyszeli stukot metalowych zakończeń nosków jego butów.

Niskie, prastare sanktuarium było tylko z grubsza ociosane i przypominało jaskinię. Pochodziło sprzed czasów Konstantyna, kiedy żydowscy chrześcijanie zbierali się u grobu Pana, odmawiając modlitwy i łamiąc się chlebem, który był Jego ciałem. Abraham skulił się za pociemniałym ołtarzem i założył arabskie ubranie, czując że jest mu w nim wyjątkowo wygodnie. Pochyłe ściany zbiegały się nad jego głową i zdawało mu się, że z ich wilgotnej, ciemnej powierzchni emanuje energia, przenikająca niczym bicie serca. Ktoś tu się modlił, pomyślał Abraham, rozglądając się wokół siebie i modląc się z ową desperacką intensywnością, która miała odstraszyć zbliżającą się śmierć. Stał niepewnie pośrodku pomieszczenia, z ręką przy sercu, czując potrzebę wyprostowania się w modlitwie. W uszach poczuł dudnienie, a potem słowa, które wypełniały jego ciało jak muzyka. Abrahamie, teraz musisz pójść za mną. Opuść to miejsce i idź do swojego przyjaciela przy bramie. Stamtąd pójdziesz na lotnisko. Zapytaj przy stanowisku Air India. Bilety są na nazwisko twego ojca, znajdziesz tam też paszport. Chodź, ukochany. Tak bardzo pragnę cię zobaczyć.

Zapominając, że może zostać rozpoznany, Abraham wspiał się wolno na schody, niemal nie zauważając dwóch mężczyzn ubranych w błękit, którzy minęli go na schodach, pędząc w dół. W uszach mu dzwoniło, a oczy miał pełne łez. Nie miał wątpliwości do kogo należał ów głos, i już się nie bał.

Sara czekała na niego w kawiarence przy bramie Jaffa. Głowę okryła chustą. Wtuliła się w jego ramiona, drżała i z trudem chwyciła powietrze.

- Cały czas biegłam - powiedziała, siadając obok niego na niskim, obdrapanym stołku. - Zanim zjawiała się policja, ci mężczyźni powiedzieli, że cię zabiją, jeśli cię znajdą. Chyba że ty, albo twoja matka powiecie im gdzie jest Prema Sai. Tak powiedzieli.

- Kiedyś to wiedziałem - Odparł Abraham, trzymając kurczowo jej dłonie. - Nie chciałem ci tego powiedzieć.

- Będziemy musieli wyjechać - załkała i ukryła twarz na jego ramieniu. - Gdzie byłbyś bezpieczny? Do Strassbourga należy większa część świata, a resztą rządzą fundamentaliści.

- Bynajmniej, kochanie - wyszeptał, gładząc ją po włosach. - Ale ty musisz tu zostać. Masz tu rodzinę, dom i pieniądze na życie. Nie będą cię niepokoić, kiedy zniknę.

- Kiedy wrócisz? Szybko? - Sara potrząsnęła nim lekko. - Wiem tylko, że ha - Shem mi cię zabiera, bo byłam złą, niedobrą żoną. Czy w ogóle jeszcze wrócisz?

- Kiedy to będzie bezpieczne - odparł. - Nie wiem. Nawet dobrze nie wiem dokąd jadę.

- Jeśli będziesz potrzebował pieniędzy, dzwoń do Ahmeda - nakazała. - Poślę je przez niego. Ludzie Strassbourga będą prawdopodobnie obserwować dom. Włożyłam do tej torby pięćdziesiąt tysięcy szekli, twój modlitewnik i trochę ubrań. I trochę jedzenia. Nie zapomnij, żeby jeść koszerne jedzenie, gdziekolwiek jedziesz.

- Bóg z tobą, moja kochana, i z Sollym - powiedział Abraham tuląc ją do siebie. - Lepiej wyjdź tylnym wyjściem. Ja wyjdę frontem, tak jak wszedłem, w razie gdyby ktoś obserwował kawiarnię. Nie szukają Araba.

- Lehitraot - Sara pocałowała go mocno w usta. - Wciąż jesteś Żydem. Powiedz, że jeszcze się spotkamy, yechiri,

ukochany. Tylko powiedz to, a ja będę tym żyła tak długo, jak będzie trzeba.

- Spotkamy się jeszcze - powiedział Abraham i popchnął ją lekko ku drzwiom. - Czekaj na mnie tu, w Jerozolimie.

Wsiadł do jednej z arabskich taksówek czekających pod Wieżą Dawida, kilka kroków od kawiarni. Było wczesne popołudnie i ruch na ulicach nie był wielki, kiedy pędzili przez gęsto zaludnione, przemysłowe tereny środkowego Izraela, kierując się ku Tel Avivowi, gdzie skręcili na wschód, w kierunku lotniska Ben - Gurion. Obiecane bilety rzeczywiście na niego czekały, Uśmiechał się, wkładając do torby paszport na nazwisko K. Al - Essa. Bilety, stwierdził z zaskoczeniem, były nie do Indii Południowych, ale do Nepalu i dalej, do Ladakh.

Sara siedziała w bibliotece ojca. Tuliła do siebie Solly'ego i płakała.

- Abraham wyjechał - łkała. - Pewnie na dobre. Byłam złą żoną, a teraz straciłam męża. Ojczy, musisz mi powiedzieć jak mam go odzyskać! Zawsze wiedziałeś jak sprawiać cuda!

- Teraz myślisz, że to ja jestem Mesjaszem - mruknął rabi Ordman, nie spuszczać z niej wzroku. - Moje dziecko, za bardzo zależna jesteś od innych. Zawsze tak niemądrze postępowałaś.

Solly wyślizgnął się z objęć matki i sięgnął po aksamitną torbę, w której dziadek trzymał swój cenny tefillin.

- Nie! - powiedział dziadek i włożył torbę do szuflady. - Któregoś dnia będzie należał do ciebie, mały, ale jeszcze nie teraz.

- Ci ludzie napadli na nasze mieszkanie, ojczy! - wykrzyknęła Sara żałościwie. - Szukali czegoś i potłukli moją kolekcję ceramiki, każdy garnuszek!

- Rozumiem, że nie znaleźli tego, czego szukali? - rabi Ordman otworzył szufladę, sprawdzając czy list Radhy do Abrahama wciąż tam jest.

- Skąd mam wiedzieć czego szukali? - Sara dała klapsa wiercącemu się synowi. - Cokolwiek to było, zdaje mi się, że tego nie znaleźli, bo wyszli rozgniewani. Powiedzieli, że poszukują Abrahama.

- Ale on wyjechał, mówisz? - rabi Ordman wyglądał na zdenerwowanego. - Nie powiedział ci dokąd?

- Myślę, że do Premy Sai w południowych Indiach - odparła Sara drżącym głosem. - Nie powiedział mi. Nie mówi mi nic ważnego.

- W tej książce również nie podaje nazwy tego miejsca - rabi położył ręce na błyszczącej okładce bestsellera Abrahama. - Tylko w liście.

Nagle odgłos szamotaniny przy drzwiach i krzyk gospozi poderwał oboje na nogi. Sara przytuliła do siebie Solly'ego. Drzwi do biblioteki otworzyły się gwałtownie i do środka wpadło dwóch uzbrojonych mężczyzn ubranych w błękitne kombinezony. Jeden z nich wycelował małą wyrzutnię w kierunku rabiego, a drugi chwycił Sarę za szyję i przyciągnął ją do siebie.

- Z pewnością wiecie gdzie można znaleźć dziecko Premę - odezwał się ten, który trzymał Sarę. Na pewno matka Abrahama Hoffmana powiedziała mu to.

- Możemy zdemolować to miejsce - powiedział złowieszczo drugi, zbliżając się do rabiego - chyba że dacie nam to, po co przyszliśmy.

- A cóż to takiego? - odparł rabbi spokojnie i wyprostował się. - Nie mam nic, co należy do was.

- Jeśli nie ma tego w mieszkaniu Hoffmanów - powiedział ten, który trzymał Sarę - to musi to być tutaj. Sprawdziliśmy już uniwersytet; jego osobiste rzeczy zniknęły. Szybko, list od

matki Abrahama Hoffmana! Musi tu być! Gadaj, albo zabijemy najpierw ją, a potem dziecko! - przyłożył broń do pleców przerażonej Sary.

- Zdaje mi się, że nie mam wyboru - stwierdził rabi, wyjmując list z szuflady. - Ale może to jest wola Boga, żeby ten fałszywy Mesjasz został złapany zanim wyrządzi światu krzywdę. Proszę. Tego właśnie szukacie. Znajdźcie tu nazwę miejsca, gdzie przebywa to dziecko.

- I zdjęcie - stwierdził napastnik, wpatrując się w zdjęcie Radhy i Murali. - Może się przydać.

- Ojczy, nie! - wyjąkała Sara. - Abraham tam będzie! Myślę, że pojechał, aby bronić dziecka. Oni go zabiją!

Rabi Ordman wzruszył ramionami i rozłożył ręce, kiedy mężczyźni uciekli z listem. - Co zrobiłem, zrobiłem - powiedział. - Gott will helfen.

* * *

Prasanthi Nilayam

Monsun się spóźniał i Radha spędzała większość czasu na werandzie, gdyż w domu było zbyt gorąco. Bała się wychodzić gdzieś dalej, bo na słońcu dostawała zawrotów głowy. Niebo było brudnoblade, jak i spękana ziemia, a zwykle bujna roślinność teraz nabrała brązowego koloru. Najłżejszy ruch powodował, że pociła się, a kiedy próbowała wycierać pot, na skórze pojawiała się wysypka. Inni przyzwyczaili się do klimatu, nawet Philo ze swoją jasną karnacją, lecz kiedy Radha stawała w obliczu nadchodzącego marca i kwietnia, zapadała w rodzaj odrętwienia, które pozwalało jej wykonywać tylko niezbędne czynności. Eddie zainstalował w saloniku elektryczny wentylator, ale Radha twierdziła, że urządzenie tylko rozwiewa dookoła nagrzane powietrze. Wolała siedzieć na werandzie. Stąd mogła patrzeć na rzekę Chitravathi, gdzie dzieci pluskały się i moczyły na samodzielnie zrobionych tratwach, a kobiety prały ubrania.

Pomimo tego, że w mieście zainstalowano automatyczne pralnie, kobiety z Puttaparthi wciąż wołały prać po starymu. Przybysze, jak ona sama, przypatrywali im się, zazdroszcząc trochę tego pełnego radości śmiechu, który rozlegał się wzdłuż brzegów rzeki. Radha miała też widok na masywny, luksusowy budynek, który skonstruował Sai Baba, a w którym mieściły się siedziby głów państw, które przybywały do niego w ciągu ostatnich trzydziestu lat jego życia. Wśród pierwszych znajdowali się przywódcy muzułmańscy i hinduscy, którzy dzięki niemu zakończyli wojny wyniszczające ich kraje od sześciuset lat. To był początek czasów pokoju, miała nadzieję Radha, choć obawiała się jednocześnie niezgody między muzułmanami a Żydami, która wciąż zagrażała egzystencji Izraela. Przywódcy ze Środkowego Wschodu nie zgodzili się na przyjazd do Sai Baby, nie chcąc zakończyć cierpień swoich narodów. Shalom, westchnęła Radha, wciąż był dla nich tylko słowem. Zamknęła oczy i oparła się wygodniej w bujanym fotelu, modląc się, jak każdego dnia, o pokój w Jerozolimie.

Tewati obudził się z popołudniowej drzemki, wyszedł na werandę i usiadł obok niej. Usiadł powoli na podłodze, wzdychając ciężko. Zdawało się, że i on często zapada w owo odrętwienie, choć nie z powodu upału. Tylko wtedy, kiedy zaczynały się lekcje sanskrytu lub rozmowy z Amarem, Tewati budził się, ale i te chwile zdarzały się coraz rzadziej odkąd Amar skończył dwanaście lat.

- Widziałaś dziś Amara? - Tewati odezwał się tak cicho, że Radha musiała się ku niemu pochylić.

- Poszedł do szkoły. - Nawet najmniejszy wysiłek wypowiedzenia tych słów sprawił, że policzki Radhy zaróżowiły się. Miała nadzieję, że Tewati znów się wyłączy, nie żądając niczego od niej. - Niedługo Eddie i ja pojedziemy po niego.

- Mówił mi, że nie trzeba go więcej odprowadzać do domu - oświadczył Tewati. - Tobie też to mówił?

- Tak. Oczywiście, ma rację - zgodziła się Radha, wachlując się lekko. Zaraz jednak z tego zrezygnowała, gdyż wysiłek ten sprawił, że zrobiło jej się jeszcze goręcej i czuła się jeszcze bardziej zmęczona. - Nadopiekuńczość może tylko ściągnąć na niego uwagę. Ale idziemy w pewnej odległości od niego, więc nikt nas i tak nie widzi.

- Trudno jest wypuścić go w świat, prawda? Ku temu, co ma nadejść? - Ręce starca leżały bez ruchu na jego kolanach, i Radha pomyślała, że dla niego nic nie jest trudne.

- Dla mnie to bardzo trudne - westchnęła. - Będę musiała siłą go sobie wyrwać. Zawsze tak było.

Tewati uśmiechnął się i starannie starł z brody kropelkę śliny.

- Był kiedyś wielki angielski biskup, którego zapytano jak może być tak spokojny, kiedy umysł i materia znajdują się w ciągłym chaosie. Odpowiedział, że nic nie szkodzi, nic nie ma znaczenia. Tak właśnie bronił się przed namiętnościami, niepokojem i strachem.

Czasami zdawało jej się, że mówił jak Amar, który często powtarzał, że wszystko jest dobre takie, jakie jest. Zastanawiała się, dlaczego w takim razie, jeśli rzeczywiście tak jest, w ogóle przychodził na świat. Codziennosc niosła tak wiele bólu, poskarżyła mu się. Gdybym mogła zmienić to wszystko, jak ty możesz, zrobiłabym to. I powiedziała mu o wszystkim, co jej zdaniem powinno ulec zmianie - żadnych więcej chorych dzieci, żadnego głodu, żadnego okrucieństwa.

Amar wysłuchiwał jej, potakując ze zrozumieniem i współczuciem.

- Czy wiesz co jest prawdziwe, a co nie? - pytał potem. - Czy potrafisz dostrzec, że nicość jest chwilą, lecz ciągle się zmienia, umiera, rodzi się, jak chmury na niebie? Czy

martwisz się tą czy inną chmurą i tym, że zmieniają swój kształt? Nie. Po prostu przyglądasz się, jak mijają i kochasz Boga w każdej z nich. Czyż nie tak właśnie postępujesz, ciociu? - potem dawał jej szybkiego buziaka i uciekał, aby się bawić z tłumami przyjaciół, którzy nigdy nie zostawiali go samego. Jak wszyscy, chcieli, żeby z nimi był przez cały czas. Radha pozostawała sama ze swoimi myślami o tym, że kiedy zaczynała się martwić, przestawała kochać. Może Amar chciał jej tylko powiedzieć, że miłość uwolni ją od cierpienia, wyciągnie ją z tego jej wyczerpanego, pomyłonego ego. Kiedy w końcu nadejdą deszcze, powiedziała sobie Radha, będzie lepiej.

Siatkowe drzwi zatrzeszczały i na werandę wszedł Eddie. W jakiś sposób zawsze wydawało się, że jest mu dość chłodno i że jest suchy, może dlatego, że wszystkie jego ruchy były tak ekonomiczne, iż trudno było powiedzieć, że w ogóle się ruszał. A jednak, zawsze szedł o krok przed nią, pomimo swoich sześćdziesięciu sześciu lat, nie marnując energii na skargi czy zmartwienia. Wystarczyło mu, że był blisko Amara.

- Czas iść po chłopca - powiedział. - Jeśli jest ci zbyt gorąco, pójdę sam. Narayan, czy te deszcze już nigdy nie przyjdą?

- Żadnej chmurki na niebie - starzec zerknął na rozjaśnione niebo i poprawił nogi, aby przywrócić im krążenie krwi. - Może już niedługo. - Zamknął oczy i usiadł wyprostowany, odsuwając się od nich w oczekiwaniu na Amara.

- Pójdę - Radha zmusiła się do wstania i wsparła się na ramieniu Eddiego, czując chwilowe zawroty głowy. Na chwilę, dla Amara, przestanie zwracać uwagę na upał. - Do szkoły nie jest daleko. - Przez wszystkie te lata widziała jak Eddie i Amar stawali się sobie coraz bliżsi i postanowiła nie pozwolić im być razem bez niej. Czasami zdawało się jej, że

znowu jest dzieckiem i próbuje wejść między Kori a Consuełę, i ta sama zastarzała zazdrość narastała w jej gardle teraz, kiedy usilnie nadażała za długimi krokami Eddiego.

Kiedy szli ku szerokiemu, białemu budynkowi, który Sai Baba wybudował jako szkołę dla chłopców, Radha zakaszłała i zakryła usta w obronie przed wszechobecnym kurzem. Jeszcze więcej kurzu otaczało plac budowy tuż obok szkoły. Wysoki dźwig podnosił bloki betonu wielkie jak ciężarówki i kładł je na szczycie nowej szkolnej lecznicy. Nawet tak ciężki kawałek rzeczywistości sprawiał wrażenie lekkości i ulotności w rozgrzanym, drgającym słońcu popołudnia. Radha znów poczuła zawroty głowy i osłoniła oczy obiema rękami, przez palce spoglądając na szkołę i starając się dostrzec czy Amar już z niej wyszedł. Pierwsza grupa chłopców, ci najmłodszy, wylała się właśnie frontowymi drzwiami, spiesząc do domów i uciekając przed słońcem.

- Widzę go - Eddie wskazał ręką i Radha dostrzegła Amara, wyglądającego jak dorosły w nieskazitelnej białej koszuli i długich białych spodniach. - Lepiej poczekajmy tutaj. On tak woli.

Inni chłopcy roili się wokół niego, gestykułując, rozmawiając, nie spuszczać go z oczu, walcząc o miejsce u jego boku. Amar słuchał najpierw jednego, potem drugiego, zwracając ku każdemu swoje ciepłe, jasne oczy. Wielu z nich wybiegło naprzód, aby spojrzeć na budowę, lecz zaraz wróciło, wołając, aby Amar też poszedł i popatrzył.

Radha patrzyła jak Amar szedł szybko pośrodku grupy chłopców. Wydawało się, że nigdy nie brakuje mu energii. Zastanawiała się czy jest tak dlatego, że niczego nie oczekiwał, a wszystko dawał. Tyle energii zabierało, wiedziała o tym dobrze, odseparowanie się od innych, planowanie i zmartwienia. Upał zabierał jej całą energię i przez chwilę wydawało się jej, że znajduje się w stanie

przyjemnej nieważkości, jaka ogarnia człowieka tuż przed snem, kiedy zmartwienia oddalają się i rozplývają w mroku.

Jeden z chłopców, młodszy od innych, stał na wprost na wpół wykończonej lecznicy, wołając Amara i wskazując na ogromny blok unoszący się nad nim. Potem nagle Radha usłyszała ostry dźwięk podobny do wystrzału i spojrzała w górę. Rozerwała się lina i wielki blok spadał. Nie było czasu, aby krzykiem ostrzec chłopca stojącego pod nim, gdyż blok był tuż nad jego głową.

Nagle Radha spostrzegła, że szara masa zaczęła drzeć, rozplývając się w gorących promieniach słońca, jak i wszystko wokół. Spojrzała na Amara, stojącego z podniesioną ręką, skierowaną dłonią ku chłopcu i wierzchem ku blokowi, który zmienił się w niewyraźną, szarą chmurę, a zaraz potem w ciężką, twardą bryłę dokładnie przed chłopcem, który drżał i trząsał się jak w gorączce.

Radha stała, trzęsąc się z otwartymi ustami, niezdolna do wypowiedzenia słowa. Zrobił to, pomyślała. Teraz wszyscy się dowiedzą. Jak będą mogli ukrywać go teraz, rozpaczała. W Indiach plotki o świętych rozchodziły się jak tyfus. Można było się spodziewać, że wkrótce pojawią się tłumy. A razem z wiernymi przybędą ci, którzy chcą skrzywdzić dziecko. Widziała jak stoi tam, delikatny i podatny na ciosy, i serce zabolalo ją z miłości do niego, i przez chwilę nie mogła oddychać.

Jeden z chłopców padł przed Amarem na kolana.

- Ty jesteś Prema! - wołał. - Zawsze tak myślałem, a teraz to wiem. Ty jesteś Prema Sai.

Reszta, jeden za drugim, również uklękli u jego stóp, a potem usiedli w ciszy, wpatrując się w jego twarz. W tej sekundzie Radha ujrzała, jak powietrze wokół całej postaci Amara zmienia się gwałtownie od błyszczącego złota, przez delikatny błękit, aż do czystej bieli, jakby chłopiec pochłaniał

światło i stawał się przezroczysty. Nagle wydał się wyższy, górował nad nimi wszystkimi.

- Tak. Nadszedł czas, żebyście się o tym dowiedzieli - jego głos był silny, niepodobny do głosu chłopca, który słyszeli codziennie. - Jestem Prema Sai, już nie Amar. - Potem jego twarz znów przybrała dawny, znajomy wyraz, a głos znów był głosem Amara. - Nie bójcie się. Bądźcie szczęśliwi. Po to tu jestem - uśmiechnął się promieniście i wyciągnął ku nim ręce.

- Pobawisz się z nami? - malec, którego uratował przed zmiążdżeniem zdawał się być bliski płaczu.

Prema podszedł do niego wolno i położył ręce na jego ramionach.

- Już nie - powiedział miękko i spojrzał w kierunku Radhy i Eddiego. - Muszę zająć się tym, po co tu jestem. Lepiej będzie, jeśli nikomu nie powiecie co tu widzieliście. Wkrótce wszyscy i tak się o tym dowiedzą.

Tego wieczoru przed werandą zebrał się tłum. Nikt nie krzyczał, nikt się nie pchał. Radha spoglądała na nich zza zasłony. Ludzie po prostu stali, wielu trzymało się za ręce, czekając jak stado milczących ptaków na pobliskim drzewie.

- Patrz - powiedziała Shanti. - Ludzie trzymają się za ręce. To coś, co Hindusi rzadko robią.

- Chcesz tam wyjść? - zapytała Radha drżącym głosem. - Mogą cię zadusić, podeptać, albo co.

- Nie zrobią tego, ciociu - odezwał się Prema, a oczy mu błyszczały jakby wpatrywał się gdzieś w przyszłość. - Oni chcą mnie tylko kochać - Radha zdała sobie sprawę, że od tego popołudnia jego oczy zdawały się odbijać cały wszechświat. Niemal bała się w nie spoglądać; bała się, że mogłaby w nich zobaczyć zbyt wiele i to zmiotłoby ją, jak wiatr, który zaczął właśnie wiać, przynosząc z sobą ciemne chmury.

Prema wyszedł na ganek i wyciągnął do ludzi ręce, jak matka przywołująca dziecko.

- To, co o mnie słyszeliście, jest prawdą - powiedział. - Ale mówię wam, abyście mnie nie czcili i nie kłaniali się przede mną. To było konieczne w dawnych dniach, kiedy ludzkie serca były zamknięte i martwe. Teraz mówię wam, że to wy jesteście atmą, Bogiem. Jesteście tacy jak ja. Jesteście miłością, jesteście oddechem Boga, jesteście wszystkim co jest. Kiedyś mędrcy powiedzieli wam, że macie mówić Tat twam asi, ja jestem Tym. Ale ja wam mówię, mówcie: 'Ja jestem sobą'. Nie ma różnicy między wami a wszystkim co jest.

- Uśmiechnął się i mówił dalej w ten sam ciepły, przekonujący sposób, który sprawiał, że Radha chciała płakać i śmiać się jednocześnie. - Ale nie ma też żadnego ja. Pokłońcie się sobie wzajemnie, nie mnie, bo w sobie wzajemnie musicie rozpoznać Boga, siebie wzajemnie musicie czcić tym oddaniem, które przeznaczacie mnie. Czy chcecie sprawić mi przyjemność, ukochani? Więc kochajcie siebie wzajemnie.

Stał przez chwilę, patrząc na ludzi zbitych w małe grupki, obejmujących się, opierających głowy na ramieniu sąsiada, póki cała ta masa ludzka nie stała się jak; jeden wielki, mruczący organizm, a ptaki zaczęły wyśpiewywać swoją ekstatyczną, drżącą pieśń. Pierwsze ciężkie, chłodne krople deszczu spadły na jego otwarte dłonie.

- Matko - powiedział - będę potrzebował kilku rzeczy. Chciałbym, żebyś do mojego tornistra włożyła trochę ubrań i trochę jedzenia. Coś pożywnego.

- Synku, mój synku! - załkała Devi. - Dokąd chcesz iść?

Radha wymieniła spojrzenie z Eddiem i Philem. Chłopiec wydawał się silny i pewien siebie, lecz nie mogli pozwolić, aby oddalił się sam, mimo że wiedzieli, iż nie istnieje potęga,

która mogłaby go skrzywdzić. Stał się silny i ich rola dobiegła końca. A jednak, pomyślała, płacząc w głos w sercu, jak mogłaby pozwolić mu odejść? Kiedy wychodził z pokoju, już zdawało się, że świat pociemniał, a ona żyła w oczekiwaniu chwili, kiedy on wróci.

Prema uśmiechnął się i ujął ją za rękę, głaszcząc ją i masując pewnymi palcami, jakby wyciągał drzazgę. Radha poczuła ulgę i westchnęła.

- Radha, czy sądzisz, że mógłbym cię zapomnieć? Nigdy już z tobą nie rozmawiać? - jego oczy utraciły całą tajemniczość i błyszczały ku niej jak co dzień. - Od mileniów jesteśmy przyjaciółmi, ty i ja. Kiedy byłaś nieszczęśliwa, ja byłem przy tobie, pocieszałem cię. Długo zdobywałem twoje serce. Ale teraz ono jest już prawie moje, i nigdy nie pozwolę ci odejść.

Przytuliła jego rękę, czując to samo.

- Moje serce jest twoje.

- Jeszcze nie, bangaroo - powiedział, kładąc jej rękę z powrotem na kolanach. - Jeszcze nie. Ale już wkrótce będzie moje.

Ktoś zapukał do drzwi, a Radha podskoczyła na ten dźwięk. Nie byli przyzwyczajeni do odwiedzin gości. Philo otworzył drzwi i wyszedł na werandę, aby porozmawiać z przybyszami. Zanim Philo zamknął drzwi, Radha zdołała dostrzec mężczyzn ubranych w czerwono - żółte szaty.

- Są tu! - wykrzyknął radośnie Prema. - Taki jestem szczęśliwy! Przyrowadź ich do mnie!

Philo otworzył drzwi powoli, niemal niechętnie. Za nim do pokoju weszło trzech tybetańskich mnichów w średnim wieku oraz jeden biały, którego skóra była jednak równie ciemna jak ich. Uklękli i dotknęli czołami stóp Premy, ale on czym prędzej podniósł ich, okazując niecierpliwość z powodu przedłużającego się rytuału.

- Musicie odpocząć po tak długiej podróży - powiedział, prowadząc ich w kierunku jadalni, gdzie wszyscy usiedli przy niskim stoliku. - Odpoczywajcie i jedzcie. Sam was obsłużę.

- Nie, Panie, nie! - wykrzyknął ich przywódca o policzkach pomarszczonych od wiatru i uśmiechów. - To my będziemy służyć tobie.

- W takim razie usłużymy sobie wzajemnie - Prema rozłożył talerze z dhal z ryżem, a do szklanek nalał białe, gęste lassi. Po czym również usiadł, tuż obok Murali siedzącej z podkulonymi, chudymi nogami i delikatną, trójkątną twarzą zwróconą ku niemu niby kwiat ku słońcu.

- Synku - Devi bezradnie uniosła ręce. - Kim są ci ludzie? Skąd ich znasz?

Najstarszy z nich przedstawił się jako Dhattu, głowa aśramu w Ladakh, daleko w Himalajach. Skłonił się Devi i całej reszcie.

- Przybyliśmy tu w poszukiwaniu naszego lamy - oświadczył. - Znaki powiodły nas do południowych Indii, a ten młody człowiek pomógł nam - skinął głową ku młodemu, białemu człowiekowi, którego delikatne rysy twarzy zdawały się być mistrzowsko wyczelowane w złotobrazowym marmurze i przypominały twarz samego Premy. Ci dwaj mogliby być braćmi, pomyślała Radha, choć tamten był znacznie wyższy od Premy.

- Nazywam się Rumi - odezwał się młody człowiek, patrząc na Radhę. Jego oczy przybrały nagle ciepły wyraz - raz i zdawało się, że nie może ich oderwać od Radhy.

Zrobił kilka kroków w jej stronę i zatrzymał się, nagle onieśmielony. - I myślę, że jesteś przyjaciółką mojej matki, Radho. Pamiętasz Consuelę? To ona pokazała mi zdjęcie, które jej przysłałaś. Ale wydaje mi się, jakbym cię znał jeszcze wcześniej. Czy spotkaliśmy się kiedyś?

Jest bardzo podobny do Consueli, pomyślała Radha, choć ma bardziej kwadratową szczękę. Gęste czarne włosy dotykały ramion i przypominały zwinięte skrzydła kruk. Jego subtelne rysy przypominały jej jeszcze kogoś, tylko nie mogła sobie przypomnieć dokładnie kogo.

- Możliwe - odparła, podchodząc do niego i patrząc mu w oczy. - Mam wrażenie, jakbym cię znała. Philo, spójrz! - wykrzyknęła, wiedząc, że brat jest jedyną osobą, która mogła dzielić jej radość. - To syn Consueli! I taki do niej podobny! - ujęła rękę Rumiego. - Dlaczego tu przybyłeś? Jak się czuje twoja matka?

- Chciała, żebym ci powiedział, iż Brom Strassbourg zamierza uwięzić twego syna, póki nie powiesz mu gdzie jest Prema Sai. Widziałem tego człowieka, tego Strassbourga. Zrobi wszystko, aby tylko zdobyć to, czego pragnie.

Serce Radhy zabiło mocniej i wsparła się na ramieniu Eddiego, czując ulgę, kiedy objęło ją jego ramię.

- Czy Ibrihim wie? - zapytała.

- Przesłaliśmy mu wiadomość przez jego uniwersytet. Dobrze, że o tym napisałaś, kiedy zawiadamiałaś nas o jego ślubie.

- Więc mógł się ukryć. - Ścisnęła palce Eddiego. - Ibrihim nie posługuje się nazwiskiem ojca, zmienił również imię na Abraham. Miejmy nadzieję, że nie będą mogli go znaleźć. - Strach, jak twarda kula, dławił jej gardło i zaczęła gwałtownie przełykać, próbując się go pozbyć.

Dlaczego sądzicie, że Prema jest tym, którego szukacie? - Tewatiemu trzęsły się ręce, więc chwycił kurczowo serwetkę, starając się powstrzymać drżenie. - Jest Hindusem, nie buddystą.

- Nasz lama powiedział, abyśmy szukali Issy, naszego założyciela, którego wy, na Zachodzie, znacie jako Jezusa. Powiedział, że Issa znów przybędzie, w Indiach. Dawno temu,

po zmartwychwstaniu, Issa przybył do Himalajów i zamieszkał w aśramie Hemis, gdzie uczył się jako młody człowiek. W ostatnim wieku nasz lama i jego mnisi opuścili Hemis, aby szukać samotności w wyższych partiach gór. Nad Lamaryaru odkryli jaskinię, w której my wciąż mieszkamy.

- Jezus powiedział - Eddie gwałtownie zaczerpnął oddechu - że będzie odwiedzał innych, których Żydzi nie znali. I wielu chrześcijan wierzy, że Jezus był na Wschodzie zanim zaczął swoją misję. - Odwrócił się od mnichów. - A wy twierdzicie, że przybył właśnie do waszego aśramu?

Dhattu jadł niespiesznie i odezwał się dopiero, kiedy wszystko przełknął.

- Wszyscy znają historię o tym jak Notowicz, rosyjski badacz z przełomu wieków, został przyniesiony do Hemis ze złamaną nogą. Mnisi przywrócili mu zdrowie, a w tym czasie Notowicz czytał starożytne księgi z ich biblioteki mówiące o pobycie Issy w Himalajach.

- I wy wierzycie, że nasz Prema jest Issą? Dhattu i reszta mnichów skinęli głowami, a Dhattu dodał poważnie i łagodnie:

- My to wiemy. I przybyliśmy tu, aby zabrać go do jego klasztoru. Będzie nad nami panował, a my będziemy mu służyć.

- Nie, proszę! - rozległ się krzyk Murali. - Ja go potrzebuję! Zostawcie go tu jeszcze trochę! W przyszłym tygodniu będę występowała w sztuce, a on przyrzekł, że mnie obejrzy. Przyrzekłeś! - ukryła twarz na jego ramieniu.

- Murali, zobaczę cię, gdziekolwiek będę. Nie płacz - Prema uspokajał ją, gładził po delikatnych, brązowych włosach. - A pewnego dnia wrócę po ciebie i innych. Musisz stać się bardzo dobra i silna do tego czasu. Czekaj, obetrę ci twarz.

- Czy to prawda? - Radha przenosiła dziki wzrok od Premy do Devi. - Może za chwilę przyjdzie ktoś jeszcze i powie nam, że on jest Prorokiem Mahometem! Prema to Prema. Czy to nie wystarczy?

- Radha, bangaroo - powiedział Prema, wciąż obejmując pobladałą Murali. - To to samo. Myślisz, że Jezus był tylko synem Boga, a nie Bogiem? Powiedział, że jest synem, ponieważ ludzie wtedy nie potrafili zrozumieć więcej. Ale on był Bogiem, jak ja jestem, jak ty jesteś. Wszyscy jesteśmy jedną wielką, wszechobecną falą życia i miłości. Czy nazwiesz się Brahman, Prema, Issa, czy Radha! Czy twoja ręka nie jest tobą? A twoje serce? I każda komórka w twoim ciele? Tak samo wszystkie komórki twojego ciała są moimi, a ja jestem nierozdzielny z tobą.

- Ale czy musisz odejść?! - wykrzyknęła Radha, nie chcąc za nic w świecie go stracić, zatrzymać go za wszelką cenę. - Czy nie opiekowaliśmy się tobą, czy nie robiliśmy wszystkiego, co było trzeba?

Prema delikatnie odsunął Murali i ujął Radhę za rękę. Wyprowadził ją z kuchni i zostali sami.

- Mam do ciebie wielką prośbę, Radho. Nie musisz się na to zgadzać.

- O co chodzi? - wytarła mokre oczy rękawem. - wiesz, że zrobię wszystko, o co tylko poprosisz.

- Czekaj! - uniósł rękę. - Chcę, żeby Eddie poszedł ze mną. Lepiej będzie dla niego, jeśli będzie żył wśród tych mnichów i dla mnie, jeśli nadal będzie moim najbliższym przyjacielem. Zasłużył na to błogosławieństwo przez wiele wcieleń, jako Arjuna, jako Jan, ukochany uczeń, i jako inni, których imion nie znasz. Ty będziesz z nami w tej miłości, bangaroo. Czy zgodzisz się?

- Ale przecież tylko dzięki niemu wciąż się jakoś trzymam! - wybuchła. - Jak mogę pozwolić mu odejść? Bez

niego oszaleję. Wiesz jaka jestem, denerwuje mnie każda najmniejsza rzecz - chciała krzyknąć, rzucić mu się do stóp, zawrócić czas i sprawić, żeby znów był małym chłopcem znajdującym się pod jej pieczą.

Eddie był wszystkim, co miała, a bez niego zostanie sama jak kometa mknąca po bezkresnym, ciemnym niebie, póki nie rozbije się o jakiś przyjacielski grób. Najpierw to byli Kief i Kori, których wciąż zabierał Philo, a w końcu śmierć. Teraz traciła Premę i Eddiego za jednym zamachem. Może i Ibrihima, jeśli Strass - bourg zdoła przeprowadzić swój plan. Radha czuła, jak zaczyna brakować jej powietrza. Zaciśnęła ręce na gardle, jakby się dusiła. Nikogo nie będzie przy niej, nikogo, i tak już będzie zawsze. Tak właśnie będzie się czuła w każdej chwili życia, jaka jej jeszcze została, od rana do wieczora. Dlaczego, dlaczego, zapytała siebie, zawsze kochała mężczyzn, których Bóg kochał bardziej niż ją? Mężczyzn, którym nie wystarczała? Zakaszła i poczuła, że zbiera jej się na wymioty. Tak wiele straciłam, pomyślała nagle, bo musiałam nauczyć się nie potrzebować tak wiele, a tylko w ten sposób mogła się tego nauczyć. Czuła żal i strach, i w końcu głośno załkała.

I wtedy, nagle poczuła się pusta, jakby nic z niej nie zostało. Będzie musiała pozwolić Eddiemu odejść. Jeśli naprawdę go kochała, jak siebie samą, to będzie musiała to zrobić. Radha oparła czoło o kran, chwytając gwałtownie powietrze, póki Prema nie położył dłoni na jej plecach. Nagle poczuła, że ciepło, spokój i skończone zadowolenie rozlewają się po całym jej ciele, jak wtedy, kiedy urodził się Ibrihim.

- Będę z tobą. Zawsze. Nie bój się - szepnął Prema zbliżając do niej twarz tak bardzo, że poczuła zapach jaśminu, który zawsze od niego emanował. - Twój syn Abraham też będzie ze mną, gdziekolwiek pójdę.

- Zaopiekuj się nim - poprosiła, wzdychając głęboko. - I zaopiekuj się mną. Rozumiem. - Złożyła ręce w znaku namaste, poddania. - Dobrze, Eddie pójdzie z tobą. Poradzę sobie.

Prema uczynił kolisty ruch prawą ręką i wręczył jej wisiorek na grubym, złotym łańcuchu. Po jednej jego stronie widniała jego twarz, a po drugiej - twarz Eddiego.

- Abyś nigdy nie zapomniała jak bardzo obaj cię kochamy - powiedział. - A teraz, pomóż mu się spakować. Idź, kochana. Ja muszę poświęcić trochę czasu mojej matce i Narayanowi, bo czuję ich ból.

Radha zauważyła, że Philo nie pomagał w przygotowaniach. Stał tylko w drzwiach z zaciśniętymi mocno ustami i pociemniałymi, pustymi oczami. Błagał Premę, aby pozwolił mu iść z sobą, ale ten powiedział, że musi tu zostać, aby chronić kobiety. A teraz Philo stał niemy, jakby nagle zmalął i zastygł w bezruchu. Radha czuła jego smutek; nie był przyzwyczajony do tego, że zostawia się go na uboczu. Zawsze był ulubieńcem, a teraz nagle to mu wydarto, jak jej wydzierano przez wszystkie te lata. Oddech miał krótki i płytki, jakby chciało mu się płakać. Podeszła do niego, ale prawie jej nie zauważył.

Kiedy Prema i Eddie byli gotowi, wszyscy stanęli w kręgu przy otwartych drzwiach wejściowych. Nocne niebo zasłaniały deszczowe chmury, nie było widać ani księżyca, ani gwiazd. Prema powiedział, że najlepiej odejść od razu, żeby nikt ich nie zobaczył. Był ostrożny, zauważyła Radha, i nie powiedział dokąd się udają. Rumi pomógł Eddiemu założyć plecak, a potem założył własny. Poprosił Radhę, aby zawiadomiła jego matkę, że powróci z Premą Sai, ale dopiero za wiele lat. Eddie nic nie wspomniał o powrocie, a Radha nie potrafiła go o to zapytać.

Kiedy wyszła na ganek za mężem, natychmiast przemoczył ją deszcz. Nie pocałowała go na do widzenia, ale tylko przyłożyła policzek do jego policzka, nie mówiąc ani słowa. Zbyt wiele było do powiedzenia i zbyt mało na to czasu. Stała między kolumnami werandy, obejmując Murali, i obie patrzyły jak mężczyźni oddalają się błotnistą drogą, a plastikowe kaptury powiewają na ich głowach. Kiedy znikli na dobre, Radha usłyszała w głowie znajomy głos. Jestem z tobą teraz i zawsze, jak promienie słońca i twój cień, mówił głos. Szukaj mnie wszędzie, bo jestem wszędzie, podtrzymuję świat, zmieniam bieg galaktyk, rozciągam wszechświat do nieskończoności. I nie zapomnij zagrać w kulki z Murali, żeby nie było jej zbyt smutno. Radha spojrzała na nieruchomą, oblaną łzami twarz dziewczynki. Przez chwilę widziała w niej odbicie twarzy Premy, i serce skoczyło jej w piersi. Lecz natychmiast pojawiła się własna twarz Murali, i Radha ucałowała delikatnie jej czoło, jakby całowała czoło Boga. Bo czyż Prema nie mówił, że nie było tu żadnej różnicy?

Dwa dni później do Puttaparthi przybyli inni ludzie, również poszukujący Premy. Murali zobaczyła ich pierwsza i pobiegła do domu powiedzieć wszystko matce. Shanti prasowała sari. Wyprostowała się z trudem, przykładając jedną rękę do pleców. Była w siódmym miesiącu ciąży i trudno jej było chodzić przez cały dzień, jak dziś. Cztery godziny prasowania to za dużo, ostrzegła ją Radha, ale Radha i Philo poszli do wsi kupować warzywa i nie dowiedzą się, że pracowała za ciężko.

- Cicho, kochanie - powiedziała do Murali. - Obudzisz Devi i Tawatiego.

- Dwóch ludzi - powiedziała Murali, obejmując matkę. - Szli za mną do aśramu. Jestem tego pewna. I widziałam, jak wskazują na mnie palcem i pytają kogoś kim jestem.

Tewati wyszedł ze swojego pokoju przecierając oczy.

- Słyszałem. Może to ludzie Broma szukają Premy Sai. Śniło mi się, że przyjdą. Devi! - zawołał. - Wstawaj! To się dzieje, mówiłem, że tak będzie.

Rozpuszczone siwe włosy Devi spadały swobodnie na jej plecy. Ukryła je pod sari, wchodząc do pokoju.

- Murali, biegnij tylnym wyjściem. Idź na policję. Nie możesz tu być, kiedy oni nadejdą.

Popatrzawszy z wahaniem na matkę, Murali zrobiła co jej kazano i wybiegła, zostawiając za sobą nie domknięte drzwi.

- Odwagi! - powiedziała Shanti, biorąc Devi za rękę. - Zawsze wiedzieliśmy, że to się stanie.

- Myślę, że wiedziałam o tym, zanim jeszcze przyszedłam na świat - powiedziała Devi spokojnie.

Tewati stał między obiema kobietami, próbując zasłonić je swoim ciałem, kiedy obcy wtargnęli do domu i wycelowali w nich miniaturowe torpedy.

- O co chodzi? - zapytał Tewati niewzruszenie. - Jeśli szukacie dziecka, to zjawiliście się za późno. Odszedł, a my nie wiemy dokąd.

- Gadaj! - jeden z nich skierował broń ku Tewatiemu. - Albo zabijemy starego.

- Nie wiemy! - krzyknęła Devi, obejmując opiekuńczo Shanti. - Prema nic nam nie powiedział.

- Nie powiedział swojej matce gdzie się udaje? - prychnął napastnik i jeszcze bardziej zbliżył broń do Tewatiego. Jeszcze zanim kula dotarła do serca Tewatiego, broń skierowała się ku Shanti. - Na pewno nie chcesz, żebym zabił tę ciężarną kobietę? - posłał pytanie do Devi. - Wszystko zależy od ciebie. Albo powiesz nam, gdzie poszedł twój syn, albo ona umrze razem z dzieckiem.

Shanti stała z rękami złożonymi na wydatnym brzuchu, szepcząc bez przerwy 'Om Sai Ram'.

- Nie powiedziałałabym wam, nawet, gdybym wiedziała - oświadczyła Devi. - Shanti i ja gotowe jesteśmy umrzeć. Nasze życie należy do Premy.

Ponownie z wyrzutni rozległ się syk, który tym razem powalił Shanti. Z otworu w czole ciekła jej krew.

- Jeszcze raz cię pytam, gdzie jest twój syn? - wyższy napastnik skierował broń w jej kierunku.

Devi milczała, choć usta układały się w tę samą modlitwę, którą odmawiała Shanti. Na ulicy rozległy się krzyki, głosy zbliżały się.

- Ta mała musiała kogoś zawiadomić! - niższy zerknął nerwowo na drzwi. - Wynośmy się stąd!

- Jeszcze chwileczkę - broń dotykała piersi Devi. - Gadaj.

Devi zamknęła oczy i potrząsnęła głową. Uśmiechała się, kiedy błysnął pocisk.

- To bez sensu - warknął wyższy. - Jeśli inni wiedzą, też nam nie powiedzą. To pewne. Lepiej wracajmy do Paryża i powiedzmy szefowi, że zgubiliśmy trop.

Mężczyźni przeszli przez ogrodowy mur i zniknęli w wiosce, kiedy Radha i Philo, na czele tłumu, wbiegli przez otwarte drzwi. Philo krzyknął i chwycił w ramiona Shanti. Poszukał pulsu, potem przyłożył ucho do jej serca. Krew z jej czoła została na jego twarzy, kiedy usiadł na podłodze i zaczął ją łagodnie kołysać.

Murali przykucnęła przy matce, położyła rękę na jej brzuchu, szepcząc słowa pocieszenia dla umierającego dziecka i mając nadzieję, że je usłyszy.

- Nie powiedzieli o mnichach z Himalajów - powiedziała Radha z ręką zaciśniętą na gardle. - Dlatego nie żyją.

Do pokoju wpadł szczupły mężczyzna w bieli, w rękę trzymał białe plastikowe pudełko z czerwonym krzyżem.

- Proszę się odsunąć - rozkazał. - Może któreś z nich jeszcze żyje. - Ukląkł najpierw przy Shanti i przyłożył

stetoskop do miejsca, gdzie powinno znajdować się serce dziecka.

Philo gwałtownie chwycił powietrze i mówił przerywanie.

- Mój Boże, mój Boże - powtarzał wciąż.

- Przykro mi. Żadnych znaków życia - powiedział lekarz.

- Śmierć musiała nastąpić natychmiast. - Metodycznie schował stetoskop i zamknął pudełko. - Są już z Panem. Zabierzmy ich ciała do rzeki.

Murali stała samotnie w saloniku, zapomniana przez innych, którzy towarzyszyli zmarłym. Philo niósł w ramionach Shanti, nie pozwalając, aby dotknął ją ktokolwiek inny. Murali była zadowolona, że o niej zapomniał, gdyż nie chciała widzieć stosu pogrzebowego matki. Usiadła przed ołtarzem, ułożywszy wokół długich, chudych nóg suknię, i popatrzyła w oczy Premy, który odwzajemnił jej spojrzenie ze zdjęcia otoczonego bukietem kwiatów.

- Nie jesteśmy naszymi ciałami - wyszeptała, przypominając sobie słowa, jakie często słyszała od matki. - Ciało jest jak cień. Czy obchodzi mnie, że mój cień jest długi, czy krótki, czy w ogóle znika? Tak samo jest z mamą i tamtymi. Tylko ich cienie odeszły. - Mimo to po bladych policzkach popłynęły łzy i Murali zatęskniła za ramionami Premy. Nagle poczuła jego obecność, a w głowie usłyszała jego słowa. Nie płacz, bangaroo. Oni są ze mną, radują się. Pod zamkniętymi powiekami rozbłysło światło i Murali westchnęła. Przez ulotną chwilę widziała postać matki, która rozplynęła się w płomieniu jaśniejszym niż ten, który spalił jej ciało na brzegu Chitravathi.

* * *

Ladakh, Himalaje

Podczas dwuipółgodzinnego lotu z Katmandu, Abraham próbował przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o maleńkim górskim Ladakh. Niewiele tego było: państwo

graniczyło z Kaszmirem i Chinami, i miało najmniejsze zaludnienie na kilometr kwadratowy na świecie, z wyjątkiem może Antarktydy. Kiedy jego warkoczący, powyginany samolot zniżał lot nad Leh, stolicą, Abraham chwycił kurczowo oparcie pustego siedzenia przed sobą. Samolot leciał nisko pod płynącymi z wiatrem, ciemnymi chmurami, i zdawało się, że za chwilę nadzieje się na szczyty olbrzymich gór pod nim. Abraham nie dostrzegał znaku życia, tylko nagie granitowe turnie i poszarpane ściany błyszczącego w świetle księżyca przedzierającego się przez chmury, błękitnego lodu. U stóp gór, w wąskiej dolinie, wiła się wstęga rzeki. Kiedy samolot leciał nad wąwozem, tuż nad rzeką, jego skrzydła niemal dotykały skał po obu stronach. Abraham zamknął oczy, co stało się jego nawykiem, kiedy nadchodziły straszne chwile, i modlił się w trzech świętych językach, mając nadzieję, jak to wyjaśniał Sollemu z komiczną powagą, że usłyszy go ktoś, kto jest już wolny.

Abraham dostrzegł jeszcze w Leh kilka budynków, a będąc już na ziemi, przed maleńkim terminalem, przyjrzał im się. Dziesięciopiętrowy pałac w opłakanym stanie, pozostałość po świetności dawnych maharadzów, stał na wystającej skale, patrząc na rozciągające się poniżej miasteczko i klasztor. Może powinien pójść do klasztoru, zastanowił się Abraham, nie wiedząc co robić dalej. Zimny, suchy wiatr szarpał jego cienką, wełnianą kurtkę i Abraham dostawał już dreszczy. Gdzieś w zakamarku jego głowy zaczął pulsować tępy ból, który powoli rozprzestrzeniał się dalej.

- Ty jesteś Abraham - odezwał się za nim głos, który należał do mężczyzny o intensywnym spojrzeniu szeroko rozstawionych oczu. Było to stwierdzenie, nie pytanie. - Nazywam się Rumi. Przysłał mnie Prema Sai, abym zabrał cię do domu.

Abraham nie był pewien, czy powinien się skłonić, czy uścisnąć tamtemu rękę, gdyż młody człowiek, pomimo doskonałego arabskiego, nie wyglądał na kogoś, kto od urodzenia nosi niekształtną, watowaną kurtkę i czerwono - złotą szatę, która powiewała wokół jego łydek. Ostatecznie Abraham skłonił się lekko i niepewnie wyciągnął przed siebie rękę, której Rumi dotknął lekko, najwidoczniej nie chcąc go urazić. A więc żadnego podawania rąk wśród tych mnichów, stwierdził Abraham, zapamiętując nowo zdobytą informację.

Czuł się jakby głowa miała mu pęknąć i bryznąć i informacjami, i mózgiem po niewielkim, kamienistym dziedzińcu przed terminalem. Pilot powiedział, że znajdą się na wysokości trzech i pół kilometra nad poziomem morza. Abraham stwierdził, że po spędzeniu całego życia w nisko położonym Izraelu, upłynie trochę czasu, zanim przyzwyczai się do nowych warunków. Serce biło mu gwałtownie i czuł mdłości.

Rumi pozdrowił człowieka prowadzącego wózek zaprzężony w woły.

- Nigdy nie dojdiesz do klasztoru, jeśli już teraz tak dyszysz - stwierdził, kiedy się wspinali. - Odpocznijemy przez kilka dni w Hemis Gompa, żebyś mógł się zaaklimatyzować.

- Więc idziemy do klasztoru? - Abraham wyprostował się, osłonił rękami oczy i spojrzał na gwiazdy błyszczące niewiarygodnie jasnym światłem między chmurami. - Czy do aśramu Gufa, tego, do którego Sai Baba posłał swoich ludzi?

- Do żadnego z nich. Hemis leży na szlaku turystycznym, jak cały Nepal ostatnio. I zbyt wielu turystów próbowało odnaleźć Gufa, więc mnisi przenieśli się z Nepalu do Ladakh. Grupa buddystów ofiarowała nam jaskinię nad ich klasztorem, a niektórzy z nich nawet się do nas przyłączyli. - Rumi wyjął z plecaka gruby, haftowany płaszcz i parę ciężkich, podniszczonych butów. - Będziesz ich potrzebował. W twoich

butach stopy ci zmarzną albo pokryją się pęcherzami, albo jedno i drugie.

Abraham był zbyt zmęczony, aby opierać się, kiedy młodszy mężczyzna opatulił go płaszczem i zmienił mu buty, sprawdzwszy najpierw starannie czy nie otarł stóp.

- Przed nami daleka droga po skałach - wyjaśnił Rumi - i nawet jeden pęcherz może sprawić, że pod koniec dnia w twoim bucie będzie pełno krwi. Powiedz mi, jeśli tylko odczujesz najmniejszy ból. Dziwne - zaśmiał się i poklepał Abrahama po ramieniu - mam wrażenie, że już kiedyś robiłem dla ciebie coś takiego, ale byłeś wtedy dzieckiem. - Spojrzał na Abrahama uważnie i wzruszył ramionami. - Może w innym życiu. To mi się czasami zdarza, jakbym sobie przypominał sen. Na pewno dobrze się czujesz?

- Czuję się, jakbym wdychał tłuczone szkło - przyznał Abraham - i boli mnie głowa. Reszta w porządku.

Rumi zmarszczył brwi i przyłożył rękę do czoła Abrahama.

- Zatrzymamy się w Hemis na tydzień. Albo dłużej, jeśli będzie trzeba.

- Więc będę mógł przeczytać manuskrypt Notowicza, ten, który opisuje pobyt Jezusa w klasztorze? - Abraham poczuł się lepiej, mimo że powietrze wciąż smagało mu usta i język ostrymi igiełkami, kiedy mówił. W tym kraju na dachu świata ludzie nie mówili wiele. Kiedy usta były otwarte, uciekało ciepło, a do środka wdzierało się zimno. A jednak tyle musiał się nauczyć, że gotów był łykać lodowate powietrze.

- Ten i inne. Prema mówi, że w Hemis Gompa również są manuskrypty skopiowane z tych, które powstały w miastach indyjskich pięć tysięcy lat temu. Powiedział nam, że są to hymny na cześć czystego ducha, Brahmana, oraz nauki o tym jak się stać z nim jednym. Wszystkie wielkie religie zaczęły

od tej wiedzy, ale Prema mówi, że później dostały się do niej pewne lokalne naleciałości.

Razem z pojęciem wyłączności na wyznawanie jedynej słusznej wiary, Abraham pomyślał ze smutkiem o trzech religiach, które próbowały rozedrzeć jego kraj na części.

- Tak, chciałbym zobaczyć te manuskrypty. Coś podobnego ostatnio przeszmyglowano z ukrytej kolekcji w Watykanie. Coś o tym, że Żydzi i pierwsi chrześcijanie wierzyli w reinkarnację.

- Nie słyshałem o tym. Tutaj nie docierają do nas żadne nowiny. Ale oczywiście, Żydzi z czasów biblijnych wierzyli w reinkarnację, inaczej dlaczego powiedziałiby Jezusowi, że ślepiec urodził się ślepy z powodu swoich grzechów? Przecież biedak nie mógł zgrzeszyć, będąc jeszcze w łonie matki. - Rumi przyłożył złożoną dłoń do ust i wdychał ciepłe powietrze. - Spróbuj oddychać w ten sposób - poradził stłumionym głosem, - wyjdzie to na dobre twoim płucom. Od tej chwili milczeli, póki nie weszli do klasztoru.

Od chwili, kiedy się spotkali, Abrahama dręczyło jedno pytanie, ale zadał je dopiero, gdy tydzień później opuścili Hemis i zaczęli długi marsz ku skalistej przełęczy Namila - La. Wiedział już, że Rumi jest synem przyjaciółki matki z lat dzieciństwa, tej, która przesłała mu ostrzeżenie o Bromie Strassbourgu, wciąż jednak niezręcznie mu było pytać o życie z Premą Sai.

Jego przewodnik zatrzymał się na chwilę, bardziej dla Abrahama niż siebie samego, i spojrział na pokryte śniegiem i spowite chmurami szczyty górskie za nimi, widoczne w szczelinie, jaką tworzyła ścieżka między dwoma ścianami urwiska.

- Bez względu na to jak wysoko dojdziemy - powiedział - te góry zawsze będą wyżej. Jak Prema. Czasami medytujemy i po osiemnaście godzin na dobę, potem on zaprasza nas na

wspólny posiłek, na spacer, aby tylko sprowadzić nas z powrotem do ciała. Mówi, że to właśnie jest nasza świątynia, dana nam przez matkę, nasze boskie źródło. - Rumi zdjął kurtkę i znów zaczął wspinaczkę. Słońce prześwitywało przez rozrzedzone, suche powietrze i szczypało w policzki.

- Czy to prawda, że on jest bardziej matką niż ojcem? - Abraham starał się nadażyć za Rumim. Każdy krok sprawiał, że czuł się jakby na nogach miał ołowiane buty, a na plecach kosz pełen odłamków skalnych, jak chłopki, które od czasu do czasu widzieli niżej. - Jeden z manuskryptów watykańskich twierdzi, że w Złotym Wieku, kiedy nie znano jeszcze broni ani wojen, przez sto tysięcy lat panowała na świecie bogini miłości. Czy Prema może nauczyć ludzi jak kochać w ten sposób?

- Po to właśnie przyszedł - odparł Rumi. - Prema jest jak matka, a jednak mówi, że boskość przechodzi nasze proste pojęcia o mężczyźnie czy kobiecie. Najlepsze, co możemy zrobić, to połączyć siłę z łagodnością, jak on. Czasami śpiewa nam stare pieśni pierwszych mędrców, którzy żyli w tych górach, i mówi, żeby medytować te czasy, kiedy kobiety żyły po to, aby dawać życie, a mężczyźni po to, aby je chronić. Taki był początek ludzkiej miłości.

- A początek boskiej miłości? - Abraham ostrożnie odsunął kosturem na bok maleńką szarą salamandrę. - Co Prema mówi o tym?

- O tym nie mówi nic. On po prostu jest tą miłością. Czujesz ją tak samo, jak niemowlę wyczuwa mleko matki. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Sam musisz znaleźć na to swoją odpowiedź. - Rumi poprawił plecak z przyczepionym do niego wielkim płaskim pakunkiem owiniętym w plastik.

- Co tam masz? - Abraham wskazał kijem na pakunek.

- Materiały do malowania. Folio.

- Zajmujecie się czymś takim w tej jaskini? - Abraham spojrział na różowy granit błyszczący na tle przeszywająco błękitnego nieba i pomyślał, że żaden artysta nie mógłby sobie wymarzyć nic piękniejszego.

- Ja niedługo. Prema mówi, żebyśmy, ty i ja, napisali i zilustrowali książkę o tych latach w jaskini. Któregoś dnia ludzie będą chcieli wiedzieć jak to było.

Abraham zadrżał lekko, myśląc o tych wszystkich latach, podczas których studiował święte pisma spisane przez innych. Teraz Prema prosił go, aby sam napisał taką księgę, i Abrahamowi nagle zachciało się płakać. Oddychał z trudem, świszcząc, i zdawało mu się, że ściany przełęczy zamykają się nad nim. Miał nadzieję, że zdąży się jeszcze nauczyć, jak być czymś więcej niż tylko uczonym. Aby napisać taką książkę, musiałby zostać świętym, co nie wydawało się prawdopodobne.

- Jak myślisz, jak długo tu będziemy?

- Nie wiem. Pewnie wiele lat. Prema mówi, że dostępujemy transformacji. I świat też się zmienia, zostaje przekształcany właśnie stąd, jak stare umierające komórki ciała ustępują rodzącym się nowym. To część planu. - Kiedy wyszli z przełęczy i szli, ostrożnie stawiając kroki w ostrym wietrze wiejącym z białego masywu górującego nad nimi, Rumi założył na twarz wełnianą maskę. - Spójrz tam, na rzekę! Była jeszcze zamarznięta, kiedy szedłem tędy dwa tygodnie temu. Słońce wcześniej tu zachodzi - wręczył Abrahamowi podobną maskę. - Znów zaczyna być zimno. Lepiej to załóż.

Szli dalej, opierając się wiatrowi jęczącemu ponuro i rzucającemu im pod nogi małe okruchy skalne. Niżej, w dolinie biegnącej ze wschodu na zachód, Abraham widział niewielkie skrawki ziemi porosłej zieloną trawą, zwłaszcza

nad bystrą szarą rzeką, gdzie śnieg już stopniał i odkrył nagie gałęzie drzew niecierpliwie oczekujących wiosny. ~A

- Liście pojawią się za kilka miesięcy - powiedział Rumi.
- Dobrze, że przybyłeś tu pod koniec maja, to najlepszy okres.
- Zatrzymał się przed połyskującą szkliscie płachtą śniegu. - Ale niebezpieczny, bo tworzą się śnieżne mosty. Proszę, obwiąż się tą liną w pasie. - Rumi również to zrobił, zostawiając między nimi około pięciu metrów odległości. - Teraz musimy iść ostrożnie. O tej porze roku rzeka żłobi pod spodem tunele i śnieg może się pod nami zapaść. Upadek na skały z trzydziestometrowej wysokości nie jest elementem naszego planu.

Jak Rumi, Abraham położył się płasko na brzuchu i zaczął się czołgać po śnieżnym moście. Kiedy Rumi wdrapał się na występ skalny po drugiej stronie rzeki, Abraham usłyszał złowieszczy trzask. Przez chwilę zastygł w bezruchu, potem posunął się naprzód o cal, instynktownie próbując chwycić przemoczonymi rękawicami osuwający się śnieg. Znowu usłyszał trzask, ale tym razem poczuł jeszcze, że śnieg zapada się. Istotnie, zapadła się część tuż za nim, i Abraham leżał trzęsąc się i bojąc uczynić choćby najmniejszy ruch.

- Przywiążę się do skały! - zawołał Rumi. - Trzymaj się liny obiema rękami i nie próbuj się czołgać. To zbyt ryzykowne. Wciągnę cię.

Kiedy Rumi pociągnął, most całkiem się zapadł i Abraham zawisł w próżni, kołysząc się trzydzieści metrów nad wartkim nurtem rzeki i jej skalistym brzegiem. Starał się nie patrzeć w dół i skoncentrować się na linie trzymanej grabieżącymi palcami. Rumi powoli podciągał go w górę. Abraham oddychał ciężko i czuł, jak jego ubranie sunie po ostrych krawędziach.

- To się zdarza co roku w maju albo czerwcu - powiedział Rumi, wciągnawszy Abrahama na bezpieczny występ. - Nikt po nas nie przejdzie tej rzeki.

- Czemu nikt nie zbuduje prawdziwego mostu? - jego głos zabrzmiał dziwnie i Abraham zdał sobie sprawę, że wciąż jeszcze cały się trzęsie. - Na pewno musicie schodzić do miasta częściej niż tylko kilka razy do roku?

- Tylko po to, aby przyprowadzić ciebie - odparł z uśmiechem Rumi. - W jaskini jest pięknie jak w niebie, czemu ktoś chciałby ją opuszczać? Proszę, weź moje rękawice. Słońce zachodzi i mógłbyś odmrozić dłonie.

Abraham zastanawiał się, dlaczego dłonie Rumiego nawet się nie zaczerwieniły, choć rękawice miał cały czas w kieszeni, oraz dlaczego wciąż miał odpiętą kurtkę, nawet na tym wietrze. Potem przypomniał sobie opowieści o tybetańskich mnichach, którzy siadali nago na śniegu, pograżali się w głębokiej medytacji, a śnieg topniał wokół ich nagich ciał. Jego własne ciało, przyzwyczajone do ciepła Izraela było zdrętwiałe od stóp do głów. Pragnął zatrzymać się w klasztorze Lamaryaru, ale Rumi nawet nie zwolnił kroku.

- To już niedaleko - wskazał na nieregularny otwór w skale, jakieś trzy metry nad nimi. - Tu jest lina. Będę zaraz za tobą.

Kiedy Abraham podciągał się centymetrem ponad lodową przepaścią, usłyszał wycie wilków roznoszące się po dolinie. Dźwięk odbijał się od urwistych ścian i zakończył się rykiem, który wypełnił uszy i sprawił, że zakreśliło mu się w głowie. Zatrzymał się na chwilę, patrząc na księżyc, który już się pojawił na wschodniej stronie nieba, i na słońce czerwieniejące na zachodzie. Śnieg błyszczał na dalekich zboczach, a kiedy powiał wiatr, Abraham usłyszał trzask lodu spadającego na lód. Wstrzymał oddech, a do oczu napłynęły mu łzy.

- Dalej - trącił go lekko Rumi. - To jeszcze nic. On czeka na ciebie.

* * *

Lamaryaru, Ladakh

W górach zagościła wiosna, i niedługo mosty śniegowe staną się zbyt niebezpieczne dla podróżnych. Przez dwadzieścia lat Rumi obserwował jak zmieniają się pory roku i zawsze zaskakiwało go, jak szybko to się działo. Spał na podłodze jaskini, obok otwartego szkicownika. Zanim poszedł spać, narysował coś, co go zdumiało. Był to obraz wysokiej kobiety, o nogach długich jak u mężczyzny, ale znacznie kształtniejszych i pełnych wdzięku. Miała małą, trójkątną twarz, a w kącikach ust krył się delikatny cień, jak gdyby jej uśmiech był wymuszony. To była twarz Kori. Niemal zapomniał o tym, że dawno temu ukrył na dnie szkicownika jej portret. Tym razem Rumi narysował jej włosy jakby rozwiane przez wiatr, ten, który wiał na zewnątrz, oraz krótkie pasma włosów wokół jej policzków. Rękę miała wyciągniętą ku niemu, jakby go przywoływała.

We śnie Rumi znów ujrzał jej twarz, poruszył się i jęknął cicho, kiedy uderzył łokciem w twardą skałę. Śnił, że płynęli ku sobie w błękitnej poświacie, niby dwa promyki światła rzucane przez spadające gwiazdy.

Jego głos brzmiał jak jęk, kiedy; mruczał przez sen.

- Twoja twarz nawiedza mnie, odkąd ujrzałem cię w klasztorze. Jak mogę nauczyć się kochać bez ciebie? Nawet wtedy, kiedy byłem Kamalem i miałem przy sobie moją ukochaną Radhę, moje serce było zimne dla wszystkich oprócz Boga.

Postać Murali zaczęła rozmywać się jak niewyraźny szkic i znikać.

- Musisz zapytać Premę. Jeśli cierpisz z mojego powodu, to dzieje się tak dlatego, że nasze dusze wybrały taką drogę zanim się narodziliśmy.

Rumi usiadł gwałtownie, a na czole wystąpił mu kroplisty pot. Jego mały pokój był ciemny, więc trzęsącymi się rękami rozpałił ogień. Miał tak krótki oddech, że musiał dmuchnąć dwa razy, żeby zgasić zapalnik. Ściany oddzielające pomieszczenia zbudowane były z kamieni spiętrzonych na wysokość prawie dwóch metrów, więc nie obawiał się, że obudzi sąsiadów. Kim była ta kobieta, szepnął do siebie. Dlaczego miała siłę, która dotarła do tej części jego jestestwa, które do tej pory tylko Prema Sai zdolny był poruszyć? Oparł głowę na rękach.

- Nie przeszkadzam? - głos Premy był delikatny i z początku Rumi nie zdawał sobie sprawy, że Prema odsunął zasłonę u wejścia.

- Wejdz, Panie - skłonił się nisko Rumi i ułożył koce, aby Prema mógł wygodnie usiąść.

Podczas lat, które spędzili w jaskini, Prema urosł tylko trochę. Liczył sobie zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu, choć wydawał się wyższy dzięki pełnemu gracji sposobowi poruszania się. Urosła mu broda, którą ścinał krótko, choć falujące, czarne włosy sięgały ramion.

Prema usiadł na kocu i uśmiechnął się do Rumiego.

- Martwi cię coś - stwierdził, podczas gdy z jego własnych oczu wyzierał smutek. - Zapytaj mnie o to, o co musisz zapytać. Nie mogę pozwolić, abyś się martwił, bangaroo.

- Chodzi o tę kobietę z mojego snu - odparł Rumi, podnosząc szkiełko. - Widziałem ją już wcześniej i serce boli mnie z tęsknoty do niej. Jak to może być, Panie? Tobie oddałem siebie. W moim życiu nie ma miejsca dla kobiety.

- Nie bądź tego taki pewien - Prema ujął dłoń Rumiego. - Może taka jest moja wola, żebyś pokochał kobietę tak bardzo, żeby twoje serce nauczyło się lepiej jak kochać Boga.

- Myślisz, że jest we mnie więcej miłości niż dałem tobie?
- Rumi potrząsnął głową. - Nie mogę w to uwierzyć. Wiesz, że cała moja miłość należy do ciebie.

- Jest jej więcej, mój drogi, niż możesz sobie wyobrazić. Ta kobieta cię tego nauczy. Pozwól sobie nauczyć się tego, czego nie potrafił nauczyć się Kamal.

- Nie pamiętam, żebym był Kamalem - odparł Rumi, marszcząc brwi i próbując przywrócić utraconą pamięć. Zaciśnął palce na ręce Premy. - Nie rozumiem dlaczego to widziałem?

- Wszystko jest tak, jak być powinno, hangaroo - odparł Prema. - Dano ci wizję, abyś był silniejszy, kiedy nadejdzie właściwa pora. Będzie ci trudno, ale ja chcę zmniejszyć twój ciężar. - Prema puścił rękę Rumiego i wstał. - Bez łaski tego snu nie byłbyś w stanie znieść tego, co ma nadejść. Ale ciesz się wynikiem ostatecznym. Wierz mi.

Rumi pochylił się i dotknął ciepłych stóp Premy.

- Wierzę, Panie. Pomóż mi nigdy nie poddawać się niczyjej woli, tylko twojej.

- Nic ci się nie stanie - szepnął Prema, dotykając głowy Rumiego w geście błogosławienia. - A teraz obudź innych i niech się zbiorą w sali puji. Musimy przygotować się do natychmiastowego opuszczenia tego miejsca, póki jeszcze mosty są dość mocne.

- Wracamy do świata? - Rumi wyprostował się, przez chwilę czując się niepewnie. Wsparł się ramieniem o ścianę jaskini.

- Nadszedł czas. Ten, który niesie światu zło od czasów Ravany, od czasów, kiedy Syn Poranka zszedł z nieba, znów przybył na Ziemię. Jeśli nie zostanie powstrzymany, nikt nie

będzie mógł wdychać powietrza, a ogień spali Ziemię, tak że nie będzie mogła rodzić.

Rumi na chwilę zamknął oczy i ujrzał wizję Ziemi takiej, jaką widział sam Prema. Wody mórz wrzały, a ludzie, stłoczeni jak mrówki, płonęli w ogniu, który trawił całą planetę.

- Chodź - powiedział Prema. - Nie mamy wiele czasu. Moje serce płonie miłością do moich dzieci. Muszę zjawić się na czas, aby je wszystkie ocalić. Nie chcę marnować więcej czasu niż to jest niezbędne.

Rumi zatrzymał się jeszcze na chwilę, wziął do ręki szkicownik i ołówek. Zamierzał oddać to ostatnie spotkanie równie wiernie, jak oddał inne. Odwrócił stronicę, aby nie widzieć więcej pięknej twarzy kobiety i ułożył szkicownik wygodnie pod pachą. Skończywszy pisać, przeszedł do pomieszczenia obok.

- Obudź się, Eddie! - zawołał radośnie. - Już czas.

* * *

Prasanthi Nilayam

Radha patrzyła na słońce wschodzące na purpurowym niebie nad wzgórzami, oddychając głęboko świeżym, chłodnym wiosennym powietrzem. Czekala dwadzieścia lat, tak długo, że niemal zapomniała, że w ogóle na coś czeka. Dni wypełniała pracą w szpitalu i uprawianiem ogródka warzywnego za domem, który zostawił im Tewati. Pod koniec dnia niezmiennie szła z Murali i Philem pomodlić się do Mandiru i razem oglądali jak słońce chowa się za wzgórzami, słuchali jak dzieci śpiewają bhajany i jak ptaki wtórują im na dachu wielkiej świątyni, którą Sai Baba wybudował pod koniec życia.

Choć miała teraz osiemdziesiąt lat, tyle co Kori, kiedy umierała, Radha wyglądała i czuła się zaledwie jak kobieta w średnim wieku. Jej ciemnozłote włosy posiwiały na skroniach,

a dołki w policzkach były teraz głębokimi liniami z maleńkimi bruzdami rozchodzącymi się kolistnie, ale wciąż była szczupła i pełna werwy, wciąż była w stanie zmieniać prześcieradła pacjentom szpitala i kłaść ich na wyciągach. Każdego ranka wychodziła na patio i ćwiczyła tai chi, co sprawiało, że była silna i czuła się, jakby Eddie wciąż był przy niej.

Zeszła na taras, zwróciła twarz ku słońcu i zrobiła kilka rozgrzewających ćwiczeń. Potem zaczęła wolno popychać dłońmi powietrze, czując jak pod jego naporem zaczyna się mrowienie w palcach. Poranne słońce rzucało jej cień na białą ścianę domu i patrzyła na jego ruchy, myśląc o tym, że ten cień niczym nie różni się od tego, jaki rzucała, gdy była młodą dziewczyną. To, co wydaje się najbardziej podlegać zmianom, zaśmiała się, w istocie jest najbardziej trwałe.

Kiedy zatoczyła ramieniem koło, odwracając się w kierunku domu, nagle wydało jej się, że zobaczyła na ścianie cień innego ramienia, dłuższego od jej. Stała nieruchomo z opuszczonymi ramionami, a serce zaczęło jej mocno bić.

- Eddie? - wyszeptała, nie odwracając głowy.

- Jestem tu, Radho. - Ręce spoczęły na jej ramionach i odwróciły ją.

Bała się na niego spojrzeć, bała się, że będzie stary i niedołężny, u progu śmierci. Ale patrząc na niego z odległości wyciągniętego ramienia, Radha zdała sobie sprawę, że Eddie nie wygląda starzej niż ona sama. Oczy błyszczały mu tak, że prawie nie mogła dostrzec źrenic, a jego okryta siecią delikatnych zmarszczek skóra miała odcień starego złota, jakby kąpał się w promieniach słońca.

- Nie dziw się, ukochana - powiedział głosem głębszym niż go zapamiętała. - Prema powiedział nam, że ludzie zaczną żyć sto lat dłużej niż kiedyś. Dostaniemy więcej czasu, aby dowiedzieć się kim jesteśmy. Widzę, że ty już się wiele nauczyłaś.

- Wydaje mi się, że dopiero co odszedłeś - wyszeptała, kiedy ją przytulił. - Żyłam każdą chwilą tak intensywnie, że przeszłość i przyszłość jakby przestały istnieć.

- A jednak wiele się zdarzyło - powiedział Eddie, biorąc ją za rękę i prowadząc do domu. - Chcę o tym wszystkim usłyszeć. Ale najpierw powiem ci moje nowości. Prema wraca do świata. Za kilka dni spotkamy się z nim w Jerozolimie.

- W Jerozolimie? - Radha przyłożyła rękę do gardła, czując pulsowanie krwi. - Dlaczego nie tu? - zaprowadziła go do jej niewielkiego pokoiku i zamknęła drzwi.

- Ma zadanie do wykonania. Jeśli tam nie pójdzie, wybuchnie kolejna wojna.

- Słyszeliśmy o tym. - Radha posadziła go na zrolowanej macie do spania, która w dzień służyła jako kanapa. - Izraelici zbudowali miasto na granicy z Libanem, z mieszkaniami dla uchodźców arabskich dotąd mieszkających w obozach. Potem powiedzieli Arabom, że mogą tam zamieszkać. Ludzie właściwie byli szczęśliwi mogąc się przenieść do normalnych mieszkań po tylu latach spędzonych w nędznych namiotach, które zgotował im Nazim. Nazim jest ich ostatnim bohaterem, i przywódcy arabscy uważają, że nie powinno się zmienić nic, co on zrobił. Honor nie pozwala uchodźcom przenieść się, chyba że Izraelici oddadzą im ich stare domy. Oczywiście nikt już nie ma pojęcia gdzie ci ludzie kiedyś żyli.

Oparła się o twarde, szczupłe ramiona męża, czując kości napinające skórę. Z pewnością nie jadł wiele, pomyślała, w ciągu tych lat z dala od niej, i teraz będzie musiała go odkarmić.

- Jeśli wojna nadejdzie - powiedział Eddie, trzymając jej rękę w swoich - Prema mówi, że Arabowie zrzucą na Izrael dość broni biologicznej, aby zabić każdego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko, a Izraelici zasolą każdy arabski kraj

bombami wodorowymi. Choroby i promieniowanie będą się szerzyć po całej planecie, aż w końcu nie zostanie nikt.

- Jak Prema może temu zaradzić? - Radha poczuła, że w oczach zbierają się jej łzy. świat tak bardzo cierpiał, jęczał niby rodząca kobieta, która nie widzi końca swych cierpień. Nawet na obszarach, które kiedyś były Ameryką, na rolniczym Środkowym Zachodzie ziemia została wyjałowiona od zbyt intensywnych upraw. Nie starczyło rządowych pieniędzy, aby uratować ziemię. Teraz te tereny były jałowe i opuszczone, pokryte ciemnymi, przewalającymi się z wiatrem chmurami niosącymi tony pyłu od Gór Skalistych aż po same Appalache. Świat stał się szklarnią, w której panowała temperatura jak w Indiach, na biegunach topniały lodowce. Linie brzegowe zaczynały znikać pod wznoszącymi się wodami oceanów, w wielu miejscach cofnęły się o ponad pięćdziesiąt kilometrów. Nie istniały już Floryda, Boston, Nowy Jork i Long Island. Ich kurcząca się, wyniszczona epidemiami populacja uciekła w tereny górzyste.

To, co zostało się z bogactw naturalnych Ameryki, zostało wykupione przez Azjatycką i Europejską Wspólnotę. Niewielu szczęśliwców zdołało zatrzymać swoje imponujące fortece, chronione przez prywatne armie, albo uciekło do wciąż wielkich, kosmopolitycznych miast w Azji i Europie. Nawet tam jednak, mądrzy dostrzegali znaki które poprzedziły upadek Ameryki - rosnące bogactwo garstki wybranych, rządy, które wydają pieniądze na zbrojenia, a nie na zaspokajanie potrzeb swoich obywateli, oraz wszechobecny rosnący cynizm i egoizm ludzi, którzy pracując dla rządu, napełniali własne kieszenie podatkami ściąganyymi z biednych. Poza zindustrializowanym światem Broma Strassbourga, zostały puste, wyjałowione kraje, które ograbił z ich niewielkich bogactw, przekazując je fundamentalistom. Radha wiedziała, że zwykli ludzie wciąż czekali na przyjście Boga,

ale milczeli, bojąc się wściekłości twardych panów, którzy przedkładali siłę nad pokój.

- Co zrobi Prema? Nie wiem - odparł Eddie. - Powiedział mi tylko, żebym sprowadził ciebie i innych do niego, do Jerozolimy. Stamtąd powstrzyma upadek świata.

- Ludzie Strassbourga zabili Devi i Shanti - powiedziała Radha, z oczami pełnymi łez, jakby to stało się wczoraj. - Zabili też Narayana. Żadne z nich nie powiedziało im, że Prema odszedł w Himalaje.

- Wiem - Eddie zamknął oczy i odchylił głowę, patrząc w przestrzeń. - Prema powiedział nam, że oni byli bodhisattvami i urodzili się w tym czasie tylko po to, aby mu pomóc. Kiedy umarli, uświęciliśmy w drodze ich śmierć, a Prema pokazał nam w wizji jak do niego dołączyli. Zobaczyliśmy błysk światła, bardzo szybki, jak błyskawica, i zniknęli.

- Murali stwierdziła, że tak właśnie musiało być. Biedny Philo wciąż opłakuje Shanti, choć Murali jest dla niego pocieszeniem. Jest teraz dorosłą, trzydziestoletnią kobietą, wiesz? - Radha nagle zapragnęła powiedzieć mu wszystko o wszystkim i głos zaczął jej się trząść. - Murali jest tak piękna jak moja matka. Wysoka i szczupła, z twarzą jak anioł. Nie z rodzaju tych słodkich, ale tych, co strzegą bram i przechodzą przez wyłamane drzwi z mieczem w ręku.

- Nie wyszła za męża?

- Jest za silna dla tutejszych mężczyzn. Za duża - uśmiechnęła się Radha. - Myślę, że się jej boją, jest taka odległa i poważna. Poza tym, sądzę, że pragnie poświęcić życie modlitwie, nie małżeństwu. Jest w niej coś z zakonnicy, podobnie jak w mojej matce.

- Zupełnie niepodobna do mojej drogiej Radhy - stwierdził Eddie, obejmując ją. Zbliżył do niej twarz o oczach błyszczących tak bardzo, że prawie ją to bolało. - Wciąż jesteś pełna pasji. Będę cię kochał aż do śmierci.

Radha zamknęła oczy i rozchyliła wargi. Inni poczekają, tak jak i pakowanie. Tą chwilą pragnęła teraz żyć, póki trwała.

* * *

Megiddo, Izrael

Abraham stał wśród ruin starożytnego miasta, które chrześcijanie nazywali Armageddonem, miejscem ostatniej bitwy. Zastanawiał się, dlaczego Prema postanowił spotkać Broma Strassbourga i jego małą armię ochroniarzy właśnie tutaj, a nie w Jerozolimie. Ich niewielka grupa składała się z mnichów i była słaba i podatna na ciosy, a w tym skalistym, pustym miejscu nie było żadnych kryjówek. Pod nimi, niby nory gryzoni, ciemniały otwory jaskiń wykopanych przez odkrywców poszukujących znaków życia w tym miejscu. Lecz zapadł już zmierzch i archeolodzy poszli do domów, zostawiając wzgórze takim, jakie było od tysiący lat - nagie i pozbawione życia.

- Dlaczego tu? - Abraham przejechał dłonią po krótkich, nierówno obciętych włosach. - Co za okropne miejsce.

Prema stał bez ruchu z opuszczonymi rękami.

- Trzeba wypełnić ludzkie proroctwa - powiedział patrząc na zachodzące słońce, które odbijało się w jego wielkich brązowych oczach. - To ma dla nich znaczenie. A ty jesteś tu po to, aby wszystko spisać.

Abraham dobrze znał to miejsce, gdyż brał udział w tych i wielu innych wykopaliskach, kiedy był młody i studiował historię Hebrajczyków. Starożytne miasto leżało w sercu kraju i walczono o nie przez tysiące lat. W ciszy jaka tu panowała, niemal słyszał krzyki umierających i gryzący smród ognia po raz kolejny trawiącego Megiddo. A jednak ludzie wciąż budowali nowe domy na gruzach starych, bo było to dobre miejsce na uprawę i łatwiejsze do obrony niż inne. W końcu, pomyślał, musieli odejść i oddać swe domy pustyni, która okryła je delikatnym pyłem, stwardniałym z biegiem czasu, a

na tym samym miejscu zaczęto wypasać kozy i owce. Teraz nie było tu nawet tego, gdyż ziemia była jałowa i martwa. Meggido stało się jedynie miejscem biblijnego proroctwa mówiącego o ostatniej bitwie między armiami dobra i zła, która miała się odbyć tuż przed nadejściem Mesjasza.

Abraham rozejrzał się, lecz nie dostrzegł żadnych armii, a tylko garstkę mnichów i Broma Strassbourga wspinającego się ze swoimi ludźmi po krętych stopniach. Brom i jego świta byli oczywiście uzbrojeni i Abraham uśmiechnął się, myśląc jak niewiele znaczyła ich broń. Podczas podróży z Himalajów, widział jak Prema Sai sprawił, że wyrzutnia pewnego myśliwego, który próbował zabić rzadki okaz jaguara, stała się zupełnie bezużyteczna. To nie broni się obawiał. Było coś w masywnym ciele Broma Strassbourga odzianego w błyszczący metalicznie strój, co przypominało mu maszynę, smukłą jak torpeda mknąca ku celowi.

W prostej sukni z białej bawełny, zapinanej pod szyją na trzy guziki, długiej do kostek, z rękawami sięgającymi nadgarstków, Prema wyglądał niemal jak dziecko, gdyby nie jego wąsy i ciemna broda. Jego twarz była szeroka, o wysokich kościach policzkowych, a nos długi i prosty. Ku podbródkowi twarz ta zwężała się, tworząc niemal doskonały trójkąt. O tej twarzy ludzie mówili, że była samymi oczami. Nic w niej nie było ważne, tylko te szeroko rozstawione, jasne, ocienione ciemnymi rzęsami oczy. Potrafiły spojrzeć w duszę tak głęboko, że człowiekowi chciało się płakać na myśl o tym, że ciemna strona jego duszy mogłaby obrazić to czyste spojrzenie.

Nawet Brom Strassbourg zatrzymał się kilka metrów od Premy Sai i zapatrzył się w jego twarz. Cofnął się trochę, jakby nagle ujrzał przed sobą górskiego lwa. Położył dłonie na wyrzutni zwisającej z ciężkiego, nabijanego srebrnymi

ćwiekami pasa na biodrach, i otworzył usta. Jednak żaden dźwięk się z nich nie wydobył.

- A więc znów się spotykamy, stary przyjacielu - zaczął Prema, uśmiechając się nieznacznie. - Nie masz mi nic do powiedzenia?

- Nie znam cię - odparł Strassbourg ochryple.

- Ale ja znam ciebie. Jesteś demonem zabitym przez boginię Chamundi. Rzymianinem, który zabił Jezusa. Tym, który zamordował sześć milionów moich świętych niewiniątek zaledwie sto lat temu - Prema nie spuszczał wzroku z twarzy Broma. - Wciąż nie pamiętasz?

- Ja to ja. I nikt inny - Brom potrząsnął głową i skrzywił się, jakby coś go zabolało.

- No cóż, dobrze. Wiesz coś więcej niż w dawnych czasach. Ja to ja. Niezły początek - Prema mówił łagodnie, jakby zwracał się do dziecka.

- Nie możemy ich po prostu zastrzelić i mieć to wszystko z głowy? - wysoki chudy mężczyzna o szaro - srebrnych włosach, które kiedyś musiały być jasne, stanął u boku Broma. - Komu potrzebne całe to gadanie?

Za nim pospieszyła kobieta ubrana w czarny kaftan, z głową okrytą szarą chustą. Położyła na ramieniu mężczyzny rękę, chcąc go powstrzymać.

- Consuelo! - zawołał Prema. - Możesz już przyjść do mnie, droga. Uwalniam cię od twojego zadania.

Jasnowłosa próbował ją zatrzymać, ale Consuela wysunęła się z luźnego ubrania, które zostało mu w rękach. Podbiegła do nich, ubrana jedynie w długą, białą suknię, która skrywała szczupłe ciało. Kiedy Consuela uklękła przed Premą, jej srebrny warkocz dotknął jego stóp.

- Nie czas teraz na łzy - powiedział, stawiając ją na nogi. - Nigdy się już nie rozstaniemy. Czy wiesz, jak płakałem razem z tobą, kiedy było ci ciężko? Dowiesz się.

- Zabieraj ręce od mojej żony, ty! - wrzasnął jasnowłosy. - Dalej, Brom, kiedy się do nich dobierzemy? Ten mały w białej koszuli jest mój, chwytasz?

Brom zrobił krok naprzód i wyjął wyrzutnię.

- Czekaj - Prema zasłonił sobą Consuełę. - Dano ci jeszcze jedną szansę, stary wojowniku. Możesz otworzyć serce i zapomnieć o szaleństwie. Powiedziałem ci to, kiedy spadłeś z nieba, a teraz znów ci to mówię. Możesz to zrobić teraz albo zmarnować kolejne wcielenie. Zapewniam cię, że to wcielenie nie będzie tak przyjemne, jak to, które kończysz teraz. Zburzysz ten mur, czy nie?

Brom zaczął się jękać i jego słowa stały się niemal niezrozumiałe.

- Zabrałeś to, co należało do mnie - wymamrotał. - Nie pójdzie ci to na zdrowie - wyrzutnia wyślizgnęła mu się z zeszywniałych nagle palców. Przez chwilę stał, wpatrując się w broń i w swoje dłonie, jakby nie mógł zrozumieć co sprawiło, że nie były już jednością. Potem zachłysnął się i osunął się na kolana, a ciało zaczęło mu sztywnieć, jakby nagle doznał jakiegoś ataku. Walczył o oddech, a jego brązowa twarz poczerwieniała.

Prema postąpił ku niemu, zbliżył ku klęczącemu twarz.

- Jeszcze nie jest za późno - powiedział łagodnie, a wiatr poniosł cichy głos. - Ile razy muszę cię prosić? Biedny człowieku, nie zmęczyła cię już ta walka? - Mówił jak matka próbująca pocieszyć zmartwione dziecko.

Zaciśnięte wargi Bromo otworzyły się w ciemne, puste „O”. Potrząsnął głową i upadł na ziemię, twarzą w dół.

Pochylając się nad jego ciałem, Prema pogłaskał kręcone jasne włosy. Nie wyglądał, jakby właśnie wygrał ostatnią bitwę. Potem odwrócił się i zaczął schodzić ze wzgórza.

Abraham patrzył, jak mała grupka mnichów podąża za nim i Consuełą, stąpając ostrożnie po stromych, pogrążonych

w cieniu stopniach. Jason i jego oddział wciąż tam stali, zastygli w bezruchu, z uniesioną bronią, czekając aż ich przywódca znów się podniesie. Lecz on, jak mówiły przepowiednie, zostanie tu na tysiąc lat i pokryje go pył pustyni, razem z duchem, który ożywiał to ciało przez ten długi, zły wiek.

Ali stał tuż za ojcem, kiedy Brom Strassbourg upadł, i nie rozumiał, dlaczego nikt się nie rusza. Ludzie tak przywykli do wypełniania rozkazów stawali się bezradni, kiedy zabrano im przywódcę. Sam tak się czuł, kiedy pograżył się w grzechu i błagał Boga o ratunek. Broma uczynił swoim bogiem, a teraz Brom nie żył. Ali nigdy nie widział Jasona w takim stanie. Kiedy wracali do Jerozolimy w wojskowym helikopterze Broma, pragnął pocieszyć ojca czytając mu pisma, może kierując jego tonącą duszę z powrotem ku Bogu. Przyszły mu na myśl cytaty z Psalmów, ale poniechał tej myśli. Jason uważał, że jego syn wciąż jest muzułmaninem.

- Ten mały w białym - mruknął Jason. - Ten to zrujnuje życie wszystkim, jak zrujnował mnie. Kradnie cudze żony. Sam powinienem był go zastrzelić.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś? - Ali naprawdę był tego ciekaw. Tylu ludzi było na tym wzgórzu! Dlaczego żaden z nich nie użył broni? Stanowiło to dla niego coś więcej niż czysto akademickie zapytanie, gdyż niedawno obarczono go misją, która była jego obsesją od dzieciństwa. W kieszeni miał list od Waynela Mastersa, głowy organizacji Healie w Ameryce, w którym wyrażał zgodę na to, aby Ali reprezentował ich na najbliższym światowym spotkaniu w Jerozolimie, które zostało zwołane przez Premę Sai. Ali wymyślił też sobie, że taka pozycja ułatwi mu zamach. Waynel uchwycił tok rozumowania Alego, lecz napisał tylko, że ludzie Boga będą czcili każdego, kto tylko zdoła pokonać Bestię, rozważnie nie wymieniając żadnych nazwisk.

- Nie rozumiem tego - Jason założył z powrotem wojskowy hełm. - Stałem tam i przez chwilę odwróciłem od nich wzrok, żeby zobaczyć, czy Brom nie żyje. A kiedy znów spojrzałem tam, gdzie przedtem stali, ich już nie było, jakby rozplynęli się w powietrzu, czy co!

- Ten w białym to Antychryst! - wykrzyknął Ali, nareszcie czując się pewnie w obecności ojca. - Może sprawić, że ludzie znikają i umierają. Pan na chwilę przekazał świat w ręce Szatana, aby wypróbować ludzi przed Sądem Ostatecznym - długa, koścista twarz Alego pałała, a ręce gestykulowały bezładnie, jakby ich właściciel dyrygował orkiestrą.

Jason skoczył ku niemu z wykrzywionymi wargami.

- Co ty gadasz, chłopcze?! Będziesz jeszcze oglądał tych nawiedzonych kaznodziejów w telewizji, a sprawię ci niezłe lanie, słyszysz? - wciąż nazywał go chłopcem, choć Ali przekroczył już czterdziestkę.

- Chciałem powiedzieć tylko to, że może ten gość posługuje się jakąś magią, która sprawia, że ludzie znikają, jak sam powiedziałeś. - Ali poczuł jak zaciska mu się gardło, a do oczu napływają łzy. Przez chwilę czuł się bliższy ojcu, ale teraz Jason znów stał się równie odległy jak wcześniej.

- A, zamknij się. Teraz znów magia! - mruknął Jason, wkładając do ust kawałek tabaki do żucia. Nie żuł często, gdyż Consuela tego nie cierpiała. Teraz przynajmniej będzie mógł żuć do woli. - Nigdy nie odznaczałeś się wielkim rozumem, chłopcze. A teraz wydaje mi się, że straciłeś i tę resztkę.

Ali trzymał się kurczowo tej rozmowy, pierwszej odkąd pamiętał, gdyż Jason nigdy z nim nie rozmawiał.

- Chciałbyś, żeby ten gość nie żył, prawda tato?

- W tym to masz rację - Jason strzyknął śliną w kierunku plastikowego pojemnika u swoich stóp.

- A co byś pomyślał o tym, który by to zrobił? - Ali pochylił się i zerknął w twarz ojca.

- Co zrobił? - Umysł Jasona już odpływał, najpewniej w poszukiwaniu Consueli. Zaciśnął ponuro zęby na kawałku tytoniu.

- Zabił tego gościa - Ali pociągnął desperacko za rękaw ojca.

- To by było nieźle - Jason wyrwał mu rękaw. - Pomyślałbym, że to niezły gość, kimkolwiek by nie był.

Ali pograżył się w myślach. Jason powiedział mu wszystko, co chciał wiedzieć. Był zadowolony z tego, że jego misji błogosławił nie tylko jego niebieski ojciec, ale i ten ziemski. Jason uważał go za chłopca, ale nalegał, aby raz w tygodniu uczył się strzelać. Teraz, po roku ćwiczeń, Ali potrafił już nieźle strzelać. Oczywiście, wycelować było łatwo, bo komputer zainstalowany w broni robił wszystko sam. A jednak Ali był dumny z tego, że potrafił zabić ptaka w locie, celując nie więcej niż sekundę. W tej bitwie przeciw Antychrystowi - Goliatowi, czuł się prawie jak Dawid.

Prema Sai był magikiem, więc trzeba będzie podkraść się do niego, postanowił Ali. Może w tłumie, który miał zgromadzić się wokół niego w Świątyni na Górze następnego dnia. Strzelić do niego z tyłu, zanim zdoła zrobić jakąś sztuczkę tymi swoimi świecącymi oczami. Ali wsparł głowę o oparcie wysokiego siedzenia, czując lekkie mdłości, kiedy helikopter obniżał lot, kładąc się raz na jedną, raz na drugą stronę. Wyobraził sobie, jak dumny będzie z niego Jason, a Healies przyjmą go do siebie, kiedy wykona dla nich to zadanie, i poczuł się lepiej. Cichutko powtarzał słowa króla Dawida z Psalmów: „Pan karze grzesznych, ale kocha dobre czyny. Ci, którzy robią dobrze, będą żyć z Nim”. Ali był szczęśliwy, gdyż teraz, jako że Król przyrzekł, miał żyć wiecznie.

* * *

Jerozolima

Delikatny wiosenny deszcz sprawił, że drzewa w Jerozolimie pokryły się mgiełką zieleni. Murali okryła swoje miękkie włosy plastikowym kapturem i czekała razem z innymi zgromadzonymi na wielkim placu między świątynią Skały a bardziej skromnym meczetem El Aqsa, gdzie modliły się kobiety. Obok niej stał jej kuzyn Sol, ubrany w czarny płaszcz i kapelusz. Dorównywał jej wzrostem, miał czarną, kręconą brodę i ciepłe, dobre ciemne oczy.

Kiedy poznała go kilka dni wcześniej, zaledwie na nią spojrzał, mówił szybko, gwałtownie i niezręcznie gestykułując. Dziś mówił niewiele, ale wciąż ukradkowo na nią spoglądał, jakby starając sobie przypomnieć, gdzie ją wcześniej spotkał. Kiedy spotykały się ich oczy, czerwienił się i odwracał wzrok. Jej babka wyjaśniła jej, że ortodoksyjni Żydzi wierzyli, że patrzenie na kobietę przynosi złe myśli. Sol chciał zostać rabinem, powiedziała, i starał się zachowywać czystość myśli. A jednak najwyraźniej nie mógł przestać przyglądać się jej wysokiemu, kształtnemu ciału i delikatnej, opalonej twarzy o szerokich kościach policzkowych i małym spiczastym podbródku.

Murali starała się uważać na to, co mówił Sol, ale jej oczy wędrowały ponad jego ramieniem tam, gdzie stał Rumi, zwrócony ku niej bokiem, słuchający z uwagą arabskiego szejka. Wydawał się być odprężony, ale dostrzegła w nim ukrytą energię, jakby oczami znajdującymi się z tyłu głowy obserwował niebezpieczny, nieznaną świat. Tak samo robi, pomyślała, mąż ciotki Radhy, Eddie. Wyglądali jak wojownicy, z tymi ich twardymi, smukłymi ciałami i błyszczącymi, uważnymi oczami, którzy zabłądzili pośród tłumu miękkich uczonych.

Zaledwie wczoraj poznała Rumiego, kiedy Abraham przedstawił Araba całej rodzinie, akurat podczas Havdalah, sobotniej kolacji, która kończyła szabas. Ciocia Sara zapaliła plecioną świecę i podniosła ją, aby wszyscy mogli wyciągnąć ręce ku płomieniowi, widzieć go między palcami i przypomnieć sobie, że byli zarówno ciałem, jak i duchem. Kiedy Murali wyciągnęła rękę, stwierdziła nagle, że patrzy poprzez stół, poprzez płomień świecy i rozchodzący się dym, w ciemne oczy Rumiego, zapominając całkowicie o tym, że jest też duchem. Spojrzenie, które jej oddał rozplomieniło ją, tak że niemal sparzyła palce w płomieniu świecy. Teraz, stojąc obok Sola, Murali stwierdziła, że chce, aby Rumi odwrócił się i znów na nią spojrzał tak samo, jak tamtego wieczoru. Kiedy nagle odwrócił się gwałtownie, a jego biały kaftan zafurkotał wokół jego nóg, Murali zaledwie zdążyła odwrócić wzrok. Zdołała wyrzucić Rumiego z myśli tylko dlatego, że na szerokich, kamiennych schodach pojawił się Prema.

Wszyscy zwrócili się ku niemu, nawet ci, którzy dotychczas stali tyłem do schodów. Z całego świata zjechali przywódcy religijni, niektórzy wezwani osobiście przez Eddiego, Abrahama i Rumiego. Innych ściągnęły wieści przynoszone po całym świecie przez satelitę. Znajdowali się tam przedstawiciele wszystkich religii świata i wszystkich ich odłamów. Murali zauważyła, że delegaci ustawili się przezornie w pewnej odległości od swoich przeciwników. Małe grupki kobiet i mężczyzn ubranych w szafran i czerń, lub nawet pióra, jak w przypadku niektórych grup afrykańskich i indiańskich, zebrały się na obrzeżach Góry. Poniżej stały masy zwykłych ludzi, niektórzy z nich mieli w rękach liście palmowe. Wielu miało własne telecomy, nie ufając zastępom profesjonalnych dziennikarzy, siedzących na murach Świątyni, lecz obiektywy kamer wciąż były zasłonięte w oczekiwaniu na coś ważnego.

Przywódcy religijni przybyli na to spotkanie helikopterami, lecz Prema przyszedł schodami, jak każdy inny pielgrzym, pozdrawiany przez tłumy próbujące go dotknąć mimo chroniących go tybetańskich mnichów. Dotarłszy na szczyt Góry, Prema przystanął na chwilę i pozdrowił przedstawicieli różnych odłamów wiary, a jego czysty głos niósł się ponad bezustannym szumem helikopterów przekazujących na żywo transmisję ze spotkania. Z początku liderzy trzymali się sztywno, niepewni jak się zachować. Jeśli ten mężczyzna w bieli był oszustem, nie chcieli robić z siebie głupców. Murali wiedziała, że czekają na cuda, o których tak wiele mówiono, by dopiero potem porzucić ostrożny sceptycyzm. Przecież oglądali ich wyznawcy na całym świecie i dlatego musieli zachować swój dystyngowany image. Kilka kobiet znajdujących się pośród duchowieństwa, upadło do nóg Premy, łkając, i ich bardziej ostrożni koledzy po fachu musieli je odciągać. Przywódcy chrześcijańscy patrzyli w niebo, gdyż zostało powiedziane, że Jezus przyjdzie na chmurze.

Abraham, stojący obok Sola, wskazał Murali zgarbioną postać swego teścia, stojącego wśród innych czarno odzianych rabinów pośrodku Góry, tak daleko od obu meczetów, jak tylko to było możliwe.

- Nieszczęśliwy stary człowiek - powiedział Abraham. - Po tym, co stało się w Megiddo, Sara i Sol powiedzieli mu, że wierzą w Premę Sai.

Po drugiej stronie Abrahama stali ramię w ramię Consuela i Philo. Ojciec Murali trzymał parasol nad jej głową, nie dbając o siebie, tak jak to robił dla jej matki. Radha stała obok niego, uśmiechając się, kiedy tamtych dwoje pochylało się ku sobie, jakby dzieląc się sobie tylko znanymi tajemnicami. Murali pomyślała, że ciotka pewnie jest trochę zazdrosna, gdyż przez wszystkie te lata ona i Philo stali się sobie bardzo

bliscy. Lecz twarz Radhy była spokojna, i nawet nie wyciągnęła ręki ku Philowi, jak to często zwykła była robić.

Deszcz padał coraz mocniej i ludzie zaczęli zakładać na głowy plastikowe kaptury. Murali czuła, jak pot spływa jej po szyi i łączy się z kroplami deszczu. A jeśli nic zupełnie się nie stanie, zastanowiła się nagle. Jeśli ci ludzie tak pełni byli dumy i samozadowolenia, że Prema Sai nie będzie w stanie zrobić żadnego cudu? Przecież i Jezus nie czynił cudów pośród niedowiarków. Spojrzała na niewielką postać w bieli, przechodzącą niespiesznie pośród zebranych, niczym gospodarz wśród swoich gości. Wyglądał tak krucho, niemal jak dziecko. Co mogą mu zrobić ci ludzie, jeśli mu się nie uda, jeśli z jakiegoś powodu zdecyduje, że to nie czas ani miejsce na dokonywanie cudów? Wysztydzą go, odpowiedziała sobie Murali, może nawet zaatakują. Oczy wypełniły jej się łzami, a dłonie zacisnęły w pięści.

Nagle niski, jasnowłosy mężczyzna podszedł do Premy. Jedną rękę trzymał w kieszeni. Murali poczuła, jak słabną jej nogi i Sol musiał ją podtrzymać. Ten człowiek chciał zabić Premę. Wiedziała o tym, jakby to był rozdział książki, którą kiedyś czytała. Murali krzyknęła, lecz jej głos był zbyt słaby i cichy. Eddie i ciocia Radha zaczęli biec ku Premie, ale on machnął na nich uspokajająco. Jasnowłosy wyciągnął broń, stojąc kilka kroków od Premy, i wycelował w jego pierś.

- To ty jesteś Bestią! - wykrzyknął cienkim głosem. - Antychrystem, który przyszedł, aby zwieść nawet wybranych. Umrzesz!

Operator kamery wepchnął się między Murali i Solą, i syknął, żeby się odsunęli. Kiedy Murali odmówiła, stanął jej ciężko na stopie.

Prema odwrócił się, a jego długa suknia zatrzepotała wokół jego nóg. Wyciągnął rękę, dłonią do góry.

- Jak ci na imię? - zapytał łagodnie, jakby nie widział wycelowanej w siebie broni.

Jasnowłosa zawahał się, przestępując z nogi na nogę. Jego głos zabrzmiał niepewnie.

- Ali. Przysłali mnie wierni z całego świata, abym zabił Antychrysta.

- Czy sądzisz - mówił dalej Prema z oczami utkwionymi w twarz Alego - że twój Pan Jezus nie mógłby przyjść ponownie jako niewielki ciemnowłosy mężczyzna z kraju, gdzie ludzie czczą Boga pod tysiącem imion?

- Nie mógłby - Ali wciąż celował w szczupłe ciało Premy.
- Jezus będzie wysoki i biały, i przybędzie na chmurze.

- Właśnie tak? - Prema nagle wznosił rękę nad głowę.

Ali podniósł wzrok i wykrzyknął coś, czego Murali nie dosłyszała. Zastanawiała się, co też Ali mógł zobaczyć, gdyż sama nic nie widziała, choć wpatrywała się w błękitne niebo, aż rozboleły ją oczy. Eddie Szu również wskazywał na niebo, wykrzykując do jej ciotki, że widzi Jezusa.

- On jest Mesjaszem - Sol zmienił się na twarzy. - Chmury się rozstały i on tam był!

Kiedy patrzyli, deszcz przestał padać. Radha słyszała, jak zachrząścił plastik, kiedy tysiące ludzi zdejmowało swoje kaptury. Głosy powtarzały 'Jezus, Jezus', delikatnie, jakby wyśpiewując to imię, podczas gdy inne głosy mówiły 'Mesjasz'.

Ali upuścił broń i stał przed Premą z otwartymi ustami.

- Ale on ma twoją twarz - wymamrotał.

- Wiem, że nie spodziewałaś się, że to będzie właśnie tak - powiedział Prema, dotykając jego policzka. - Pokochaj mnie, drogi, jak ja kocham ciebie.

Ali upadł na kolana i ujął Premę pod nogi, zwracając ku niemu twarzą jak wymęczony kwiat zwraca główkę ku słońcu.

- Jestem nędznym grzesznikiem - wyjęczał. - Jestem śmieciem.

Prema podniósł go łatwo, jakby Ali był szmacianą lalką.

- Jesteś moim przyjacielem - zaprzeczył. - Częścią mnie, tak samo jak moje serce. Pomyśl, Ali! Czy cokolwiek, co uczyniłem i pokochałem, może być złe? - w ręku Premy nagle pojawiła się chusteczka do nosa, jakby znikąd, bo przecież nie miał kieszeni. Wytarł twarz Alego, szepcząc mu coś do ucha, i poszedł dalej. Ali stał, patrząc za nim i wycierając nos w chusteczkę Premy.

Prema podszedł do rabinów, niepewnych i stojących oddzielnie, i powitał ich po hebrajsku, którego nauczył się od Radhy jako dziecko. Murali uczyła się razem z nim. Zawsze chciała robić to samo, co on, być przy nim. Hebrajski, którym przemówił teraz, zdała sobie sprawę, był bardziej płynny i złożony niż ten, którego nauczyli się razem, i przyszło jej do głowy czy Prema przypadkiem nie pozwalał, aby ciotka bawiła się w nauczyciela, ponieważ to sprawiało, że była szczęśliwa.

- Jak on może ich pozyskać, wujku - szepnęła do stojącego obok Abrahama - jeśli oni wierzą, że Bóg to czysty duch? Żyd nigdy nie uwierzy, że Bóg mógłby przyoblec się w ciało i stać się taki jak oni.

- Jeśli uda mu się pozyskać rabiego Ordmana - odparł Abraham, ściskając rękę Sary pod ramieniem - to pozyska cały świat.

Prema mówił cicho, ale jego głos docierał do każdego zakamarka Góry.

- Czekaliście tak długo, moi drodzy przyjaciele, przez wiele wcieleń, bo tak bardzo baliście się obrazić ha - Shem czczeniem kogokolwiek innego. Przez wszystkie te wieki poświęcaliście mi swe istnienia w doskonałym posłuszeństwie

prawom, które wam dałem. Cierpieliście za cały świat, tak jak ja cierpiałem, kiedy byłem między wami.

Rabi Ordman był blady i głos mu drżał.

- Przywróć Świątynię - zażądał. - Oddaj nam naszą Świątynię, a uwierzemy, że jesteś Mesjaszem.

Ludzie unieśli twarze ku niebu i zaczęli skandować unisono „Oddaj nam naszą Świątynię!”

Pobrużdżona twarz rabiego Ordmana była pełna smutku, to tak trzeba, pomyślała Murali, ponieważ jego córka poślubiła syna mordercy.

- Jak ty, który pochodzisz z innego świata i należysz do innej tradycji, jak możesz znać zadanie, które nam powierzono? - wykrzyknął ponad głosami.

Prema podszedł do rabiego i pochylił się lekko ku niemu, jakby chciał mu powierzyć tajemnicę, lecz każdy go słyszał.

- Proszono was, abyście przez wszystkie wieki nieśli prawdę jednego ducha, jednego Boga. I zrobiliście to.

- Lecz jakim kosztem? - rabi Ordman kołysał się w przód i w tył, jak w modlitwie. - Świat nas nienawidzi, prześladowuje. Patrzymy jak na naszych oczach morduje się nasze dzieci, ponieważ nie kłaniamy się obcym bogom. Nasz Bóg nie może stać się ciałem.

Skandowanie zamarło, a tłum w napięciu wyczekiwał odpowiedzi.

- Nie może? - Prema wyciągnął ręce ku rabiemu, ale zaraz je opuścił. - Uważasz, że wszechpotężny Bóg nie jest w stanie czegoś uczynić?

- Niezupełnie - odparł rabi cicho. - Ale z pewnością nie przybrałby ludzkiego ciała, które jest zbrukane. Mów, odpowiedz nam.

- Rozumiem - powiedział Prema, zakładając z tyłu ręce, jakby nie chciał pozwolić im dotknąć tych ludzi z miłością. - Ale i ty musisz zrozumieć. Nadszedł czas, aby przebaczyć

tym, którzy was skrzywdzili. Aby ich kochać, jak kochacie swego Boga oraz aby uwolnić ich od ich winy. Oni są waszymi dziećmi i potrzebują waszego przebaczenia. Słyszałeś jak Budda porzucił wiarę swej matki, aby nauczać prawdy uniwersalnej? Tak samo było z Chrystusem, który porzucił judaizm i uczynił swoją prawdę prostszą, aby świat mógł ją pojąć. Jak dziecko musi szanować rodziców, tak rodzice muszą mieć cierpliwość dla dziecka.

- A nam, którzy również kochaliśmy jedyne Boga, nic nie powiesz? - Szejk w powiewnej, czarno - białej szacie stanął na czele innych przywódców muzułmańskich. - Nasza wiara jest czystsza niż jakakolwiek inna. Żądamy, aby nasi mężczyźni pięć razy dziennie kłaniali się Bogu. Któż inny na całym świecie jest tak oddany Bogu jak muzułmanie? Tak wolny od grzechu nieskromności i chciwości i pijaństwa? Odpowiedz, jeśli jesteś tym, za kogo się podajesz!

Prema odwrócił się ku złotej kopule, która wyrosła nad Górą niby odwrócona do góry dnem filiżanka, rozlewając swoje błogosławieństwa. Wyciągnął obie ręce, skierował dłonie w stronę nieskazitelnej bieli i błękitowi wykładanych kafelkami ścian.

- Czciecie czystego ducha, który jest wszystkim, ducha, którego nazywacie Allahem. Ale nie wszyscy z was rozumieją, że na ludzkiej płaszczyźnie egzystencji nieskończony duch manifestuje się jako miłość. Kochacie swoją muzułmańską rodzinę nade wszystko. A teraz proszę was, abyście wszystkich pokochali tak, jak swoją rodzinę. Zrobicie to teraz, ponieważ ja was o to proszę. - Prema podniósł głos, lecz jego twarz była pełna światła i łagodna, jakby mówił jedynie o wschodzie słońca.

- Pokaż nam dowód! - zażądał imam, a inni muzułmanie mu zawtórowali. - Święty Nazim jest naszym prorokiem w tym wieku. Nie potrzebujemy innego.

Dhattu i młody Dalaj Lama stali razem z innymi buddystami, spostrzegła Murali, rozglądając się wokół i zastanawiając, czy ktoś z nich stanie przy Premie. Buddyści nie powiedzieli nic, ale ich twarze były spokojne i rozjaśnione.

Prema odszedł od tłumu ku pustemu centrum placu. Spuścił głowę pod okrzykami muzułmanów. Rabini bez słowa wycofali się pod Kotel, ostatnią ścianę pozostałą po ich świątyni. Poniżej, tłumy falowały niespokojnie, a niektórzy kamerzyści zaczęli pakować sprzęt. Byli umówieni na konkretną godzinę, a pół materiału jest lepsze niż żaden materiał. Murali oddychała płytko i chwyciła rękę Sola, bojąc się, że wybuchnie płaczem jak dziecko. Zdawało się, że Sol zapomniał o przepisach swojej wiary, które nie pozwalały mu dotknąć kobiety, i mocno objął Murali.

To nie w porządku, pomyślała. Oni wszyscy oczekiwali, że złamie swoje wrodzone sobie prawo, tylko po to, aby zaspokoić ich żądę cudów. Cały tłum zaczął skandować. Muzułmanie, chrześcijanie i żydzi trzymali się za ręce i wznosili zaciśnięte pięści. Może, przestraszyła się, pozwoli, aby tłum go zabił, jak Jezus pozwolił się zabić.

- Cud! Cud! - wrzeszczał tłum, tupiąc nogami w takt wykrzykiwanych słów.

Prema stał pośrodku Góry, kurz unosił się z wiatrem wokół jego sandałów. Spojrzał przelotnie na buddyjskich mnichów. Uśmiech zagościł na jego twarzy, choć oczy pozostały smutne. Murali wstrzymała oddech i zakryła dłonią usta, kiedy Prema uniósł ręce. Zamrugła, sądząc, że to łzy spowodowały, iż widzi jak zadrgało powietrze między dwoma meczetami. A może to były jasne promienie słońca przedzierające się przez chmury, nagle otulające całą Jerozolimę złotą mgiełką. Sol ścisnął jej rękę aż do bólu. Przypomniała sobie, że kiedyś Prema zmienił w nicość coś, co wydawało się solidną bryłą. Eddie wyjaśnił jej potem, że dla

ludzkich zmysłów materia jest niczym innym jak tylko wibracjami, energią dźwięku i światła na krótko skupioną w jedno. Teraz patrzyła, a jej własne ciało było słabe niczym para wodna.

Krzyk tłumu zamierał powoli i wszyscy usłyszeli głos Premy.

- Dostaniecie swoją świątynię, taką jaka była w czasach Salomona - oświadczył. - Ale musicie mi coś obiecać. Każdy z was, muzułmanin, chrześcijanin, żyd, buddysta, czy poganin. I wy, którzy w nic nie wierzycie. Nie będzie więcej żadnych krwawych ofiar, bo nigdy już nie będziecie swojej winy przenosić na innych. Nie będziecie krzywdzić kobiet i dzieci. Nie będziecie odmawiać kobietom wstępu do waszych świątyni, ale czcić je jako swoje święte przewodniczki, bo to one nauczą was co to znaczy kochać. Złóżcie broń, zapomnicie o luksusach, nakarmicie biednych, będziecie lekko stapać po ziemi i zwrócicie jej wszystko, co jej zagrabiliście. Będziecie traktować się wzajemnie jak bogów, którymi jesteście, i będziecie moim narodem, jedną rodziną. Czy to przyrzekacie? - Wyciągał ręce, a oczy lśniły mu jak gwiazdy. - Ile razy brałem was pod moje skrzydła jak kwoka swe kurczęta, a wy spod nich uciekaliście? Nie kochaliście mnie.

Tłum, po długiej chwili ciszy, zaszepotał 'tak, tak'. Ludzie byli niepewni, pomyślała Murali, niepewni czy mogą poniechać swoich kast, swoich niewolników, swojej wyższości nad innymi, a nade wszystko, swego prawa do wyznawania jedynej prawdy. A komuś takiemu jak Prema nie mogli skłamać, nie mogli składać obietnic, których później nie będą w stanie dotrzymać. Gdyby go znali tak jak ja go znam, pomyślała oddychając tak szybko, że poczuła zawroty głowy, gdyby tylko wiedzieli, że jest wszystkim, co w nich najlepsze, wszystkim, co kochali, wtedy chętnie zrobiliby to, o co ich prosił i tym samym staliby się wolnymi ludźmi.

Prema zwrócił się ku błyszczącej, złotej masie powietrza, a Murali zdawało się, że słyszy bicie dzwonów i grzmoty piorunów. Ziemia zatrzęsa się pod nogami. Jasne słońce Jerozolimy opromieniało ich wszystkich, a jeden koniec łuku tęczy dotykał środka Góry. Murali zdawało się, że dostrzegła złoty blok wsparty na dwóch długich kolumnach. Połyskiwał na piasku, a potem przyjął trwałą formę. Arka Przymierza, szepnęła głośno, Arka, w której ukryto żywego Boga Izraelitów, zaginiona od wieków, a teraz zwrócona światu. Murali zdawało się, że widzi jak Arka wynurza się wprost z ziemi, ale przecież ziemia była brązowa i twarda jak zawsze. Z powierzchni Arki wiatr zdmuchiwał kurz pustyni, a wokół niej zaczęła się tworzyć prostokątna struktura z cedru i złota. Z początku Murali widziała prześwitujące przez nią słońce, ale po kilku sekundach słońce świeciło już zza budowli. Otarła oczy, świadoma, że nie tylko ona płakała, ale razem z nią płakali wszyscy zgromadzeni.

- Chodźcie - odezwał się Prema do zmieszanych twarzy wokół niego. - Nie bójcie się. Wszyscy jesteście teraz kapłanami, a dzień dzisiejszy, jak wszystkie dni, jest święty. Wszyscy możecie tu Wejść, dotknąć Arki i nie umrzecie. Przygotowałem wasze dusze i ciała do boskości.

Mówiąc, szedł jednocześnie ku świątyni, ale zatrzymał się, zwrócił lekko głowę i uśmiechnął się do tłumu uśmiechem, który Murali pamiętała z dzieciństwa.

- Chodźcie, nic wam nie grozi. Jesteście tu, ponieważ kochacie mnie w tym życiu i kochaliście w innych. Wierście mi, zabieram was do bezpiecznego miejsca.

Szedł dalej, pod stopami chrząścił mu piach dziedzińca świątyni i nie spojrzał, czy ktokolwiek idzie za nim. Murali zerwała się do biegu, wiedząc w sercu, że musi pierwsza podążyć za Premą, tak jak to robiła jako dziecko. Z drugiej strony nadbiegał Rumi, a rękawy jego szaty powiewały za nim

jak skrzydła na wietrze. Wziął ją za rękę, a za nimi podążył tłum dzieci, śpiewając wysokimi głosikami „Mi melach molachai hamlochim? Hakodosh Boruchu? Kto jest Królem Królów? Kto jest Świętym Wybrańcem?” Za dziećmi podążyli wszyscy inni, śpiewając drżącymi głosami, ale Murali już ich nie widziała. Patrzyła na Premę Sai, mijającego złote kolumny i prowadzącego ich ku temu, co Najświętsze.

Epilog

Zdarzenia i osoby tu przedstawione są częściowo prawdziwe, a częściowo zmyślone, jak większość rzeczy. Sathya Sai Baby żyje dziś w Puttaparthi w Indiach. Inne postaci są zmyślone. Złoty Wiek, rozpoczęty w powieści przez Premę Sai, istnieje w przepowiedniach na całym świecie. Tacy ludzie, jak Murali, Rumi i Abraham będą może w nim żyli. Ale to już inna historia.